

NIC NIE JEST PRZYPADKOWE



DAVID MITCHELL
ATLAS CHMUR

FILM W KINACH

David Mitchell

ATLAS CHMUR

Przełożyła Justyna Gardzińska

WARSZAWA 2012

Dla Hany i jej Dziadków.

Adama Ewinga Dziennik Pacyficzny

Czwartek, 7 listopada ~

Poza wioską Indian, na spłachciu bezludnym wybrzeża na świeży ślad stóp natrafiłem. Trop przez gnijące wodorosty wiódł, palmy i bambusy, aż do tego, kto je zostawił – Białego człowieka. Spodnie miał podwinięte i kabat żeglarski nosił, brodę miał utrzymaną starannie i za dużą czapkę z bobrowego futra. Łyżeczką do herbaty piach koloru popiołu kopał i przesiewał z namaszczeniem takim, że dostrzegł mię dopiero, gdy go z dziesięciu jardów pozdrowił. Tak oto znajomość zawarłem z dr. Henrym Goose'em, medykiem londyńskich wyższych sfer. Jego nacja zaskoczeniem dla mnie nie była. Jeśli jest gdzie siedziba tak odludna lub wyspa tak odległa, by człek znalazł tam schronienie przez Anglika nieturbowany, to ja takiej na żadnej z map nie widział.

Zali pan doktor zapodział co na tym posepnym brzegu? Służyć mogę pomocą? Dr Goose potrząsnął głową, chusteczkę rozsuptał, i jej zawartość ukazał z wyraźną dumą.

– Zęby, sir, niczym szklwione skarby największe są dla poszukiwań, którem tu sobie zamierzył. W dniach minionych ten brzeg Arkadyjski salą był bankietów kanibali, a jakże, gdzie silni słabych pożerali, a zęby pluli, jak pan i ja plujemy z ust pestki wiśni. Wszelako teraz trzonowce te, sir, w złoto się przemieniają. A jak? Rękodzielnik pewien z Piccadilly, co wyższe sfery zaopatruje w zębowe protezy, zacne płaci sumki za ludzkie zębiska. Wiesz pan, za ile

ćwierć funta pójdzie?

Wyznałem, że nie wiem.

– A ja też, sir, oświecać pana nie zamierzam – zawodowe są to sekrety! – Po nosie się postukał. – Znasz się pan, panie Ewing, z markizą Grace of Mayfair? Nie? Tym lepiej dla pana – trup z niej istny w krynolinach. Minęło lat pięć już, jak jędza oczerniła mię, a jakże, imputując mi rzeczy takie, że z Towarzystwa mię wykluczono. – Dr Goose patrzył w dal ku morzu. – Toż właśnie owa czarna godzina dała początek mym peregrynacjom.

Wyraziłem współczucie dla trudnego doktora położenia.

– Dziękuję, sir, dziękuję po stokroć, lecz te ząbki – chusteczką potrząsnął – to, dalibóg, aniołowie mej pomsty. Pozwoli pan, że objaśnię. Markiza nosi szczękę sztuczną projektu wzmiankowanego już mistrza. Wszelako w przyszłoroczne Boże Narodzenie, gdy ta klempa w perfumie brylować będzie na Balu Ambasadorów, ja, Henry Goose, a jakże, powstanę i wszem wobec oznajmię, że gospodyni nasza użębieniem kanibali przeżuwa! Sir Hubert najpewniej rzuci mi wyzwanie. „Okaż pan dowody” – prostacko zaryczy – „lub satysfakcji żądam!”. A ja oświadczę: „Dowody, sir Hubercie? Cóż, *osobiście* ząbki pańskiej mamy zbierałem w spluwacze przeogromnej na południowym Pacyfiku. O, proszę, sir, tu mam jeszcze kilka!”. I te oto ząbki do jej wazy w żółwia kształcie wprost w zupę cisnę. I to, sir, właśnie to będzie dla mnie satysfakcją. Kąśliwi szyderyc obsmarują markizę w gazetach i wiosną szczęście będzie miała, jeśli kto ją zaprosi na Bal Ubogich!

Pośpiesznie pożegnałem się z Henrym Goose'em, miłego dnia mu życząc. Jest chyba niespełna rozumu, jak mniemam.

Piątek, 8 listopada ~

W stoczni prymitywnej pod mym oknem prace trwają nad bomem foka, pod pana Sykesa kierunkiem. Pan Walker, właściciel jedynej tawerny w Ocean Bay, jest także głównym tutejszym handlarzem drewna i przechwala się, ileż to lat jako mistrz skutnictwa w Liverpoolu spędził. (Wystarczająco obznajomiony jużem z etykietą Antypodów, by przymknąć oko na podobne nieprawdy oczywiste). Pan Sykes rzekł mi, że całego tygodnia trzeba dla nadania „Wieszczce” bristolskiego sznytu. Utknąć w Muszkiecie na siedem dni, wyrok to smętny, lecz gdy pomnę zębiska srogiego sztormu i marynarzy, co za burtę wypadli, to i mój dopust obecny zda się mniej dotkliwy.

Rankiem spotkałem dziś na schodach dr. Goose'a i śniadaliśmy razem. Kwateruje w Muszkiecie od połowy października, po tym, jak brazylijskim brygiem handlowym „Namorados” przybył tu z Fiji, gdzie sztuki swe w ośrodku misyjnym praktykował. Teraz wyczekuje doktor dawno spóźnionego już australijskiego szkunera do połowu fok, „Nellie”, by do Sydney go zabrał. Dotarłszy do kolonii, będzie miejsca szukać na pokładzie statku płynącego do jego rodzinnego Londynu.

Osąd mój co do osoby dr. Goose'a niesprawiedliwym był i przedczesnym. Człek chcący przetrwać w mym fachu cynicznym być musi niczym Diogenes, lecz cynizm ślepy czynić potrafi na cnoty subtelniejsze. Doktor nie jest od drobnych ekscentryczności wolnym i rad opowiada o nich przy miarce portugalskiego *pisco* (nigdy w nadmiarze), ręczę jednak, że prócz mnie jedynym jest dżentelmenem na tej szerokości na wschód od Sydney i na zachód od Valparaiso. Być może ułożę nawet list polecający go Partridge'om z Sydney, dr Goose bowiem i drogi Fred są jak z jednej gliny ulepieni.

Pogoda zła uniemożliwiła mi poranne wyjście, toteż opowieści snuliśmy przy ogniu torfowym i godziny mknęły niczym minuty. Dużo o Tildzie mówiłem i o Jacksonie oraz o tym, jak się „gorączką złota” w San Francisco frasuje. Rozmowa zesła nam potem z mego miasta rodzinnego na obowiązki notariusza w Nowej Południowej Walii, jakie niedawno na mnie spadły, a stamtąd na Gibbonsa, Malthusa i Godwina, przez tematy Pijawek oraz Parowozów. Pełna uwagi rozmowa to kuracyjne remedium, którego boleśnie mi na pokładzie „Wieszczki” brakuje, z doktora zaś erudyta prawdziwy. Co więcej, posiada zącą armię figur szachowych, w wielorybich fiszbinach rzeźbionych, które zajęcie będą przez nas miały, aż „Wieszczka” w morze wypłynie bądź przyplynie tu „Nelly”.

Sobota, 9 listopada ~

Świt jak srebrny talar promienieje. Szkuner nasz nadal przedstawia widok żałosny w zatoce. Na brzegu naprawiają wojenne kanu indiańskie. Wybraliśmy się z Henrym na „Plażę Bankietów”, w wakacyjnym humorze, pozdrowiwszy beztrósko pokojówkę, która u pana Walkera służy. Panna ta w chmurnym usposobieniu pranie na krzaku rozwieszała i nie zwróciła na nas uwagi. Ma nieco domieszki krwi czarnej i, jak mniemam, matce jej do ludu z dżungli niedaleko.

Gdyśmy mimo wioski indiańskiej przechodzili, „buczenie” wzbudziło ciekawość naszą i uradziliśmy wytropić jego źródło. Osada otoczona jest palisadą tak zbutwiałą, że można by się do środka przedostać w miejscach wielu. Suka wyleniała głowę uniosła, lecz bezzębna była, zdychająca, i nie szczeękła. Zewnętrzny krąg chat *ponga* (z konarów, ścian ziemnych i płataniny gałęzi u pował) przed siedzibami „możnych” kucnął – budowlami z drewna o struganych nadprożach, z najprostszymi z ganków. Pośrodku wioski odprawiała się publiczna chłosta. Henry i ja jedynymi byliśmy Białymi widzami, lecz wyraźny znać było podział na trzy kasty indiańskich spektatorów. Wódz na tronie usadzony był w stroju przybranym piórami ptasimi, podczas gdy wytatuowani możni wraz z kobietami swoimi i dziećmi stali w asyście, w liczbie ogólnej bliskiej trzydziestu. Niewolnicy, o skórze ciemniejszej, w głębszej barwie niżli u ich orzechowo-brązowych panów, w liczbie o połowę mniejszej, w błocie przykucnęli. Przyrodzona ociężałość i otępienie! Z twarzami dziobatymi i krostowatymi od *haki-haki*, nieszczęśnicy przyglądali się karze bez reakcji żadnej, prócz owego „buczenia” przedziwnego, jakby pszczelego. Łączenie się w bólu, czyli też znak potępienia to był – wiedzieć nie mogliśmy, co dźwięk ów oznaczał. Bat dzierzył Goliat jakowyś, którego postura każdego łowcę nagród znad pionierskiej granicy by onieśmieliła. Każdy cal muskułów miał dzikus ów tatuażem pokryty, jaszczurami ogromnej i pomniejszej wielkości – za jego skórę zwierzęcą dano by niezłą sumkę, lubo za perły wszystkie Hawajów nie chciałbym wyznaczonym być do odebrania mu onej.

Nieszczęsny więzień, szronem wielu lat surowych pokryty, przywiązany był nago do trójkątnej ramy. Ciałem jego wstrząsała każda kolejna raza skórę rozrywająca, plecy miał niczym pergamin krwawymi runami zapisany, lecz fizjonomia jego wyrażała spokój niezmierny męczennika, co go Pan ma już w swej pieczy.

Wyznaję, zamierałem każdą razą, gdy bat na ciało spadał. Jednakże wtenczas rzecz się zdarzyła dziwna. Bity dzikus dźwignął głowę opadłą, moje oczy wzrokiem znalazł i przesłał mi spojrzenie zagadkowe, w którym odczytałem przyjazny znak rozpoznania. Niczym aktor na scenie, co w Łoży Królewskiej spostrzegł druha z dawna niewidzianego i dla publiczności niezauważenie znać mu daje, że go poznał. Rychło jednak wytatuowany Negr do nas się zbliżył i łysnął swym sztyletem nefrytowym na znak, żeśmy gośćmi niemile widzianymi. Zapytałem o naturę przestępstwa owego więźnia. Henry ramieniem mię otoczył.

– Chodźmy, Adamie, kto mądry, między ofiarą i bestyją nie staje.

Niedziela, 10 listopada ~

Pan Boerhaave wśród zgrai zaufanych opryszków siedział niczym Lord Anaconda i jego plebejskie gady^[1]. Ich „celebracje” Dnia Pańskiego rozpoczęły się na dole, nimem wstał. Ruszyłem po gorącą wodę do golenia i dół tawerny znalazłem zatłoczony wilkami morskimi, swej kolei czekającymi z biednymi indiańskimi dziewczętami, jakie Walker usidlił w prowizorycznym *bordello*. (Rafaela wśród deprawatorów nie było).

Nie zwykłem łamać postu dnia świętego w lupanarach. Henry czuł równą, co ja, odrazę, poświęciliśmy więc śniadanie (służkę z pewnością do usług innego rodzaju przymuszano) i do kaplicy wyruszyliśmy dla oddania tam czci postem nieprzerwanym.

Dwustu jardów nie uszliśmy, gdy ku konsternacji własnej wspomniałem na dziennik ten, leżący na stole w moim pokoju w Muszkiecie, na widoku dla każdego majtka pijanego, co do środka mógłby wtargnąć. W obawie o bezpieczeństwo jego (a i własne, jeśliby w ręce pana Boerhaavego wpadł) zawróciłem przeto dla zrzęczniejszego jego ukrycia. Szerokie uśmiechy powitały mię w Muszkiecie i spodziewałem się już, że był „wilkiem, o którym mowa”, jednakże odkryłem tego przyczynę prawdziwą, gdy drzwi otworzył: a to niedźwiedzie pośladki pana Boerhaavego okrakiem na ciemnoskórej Złotowłosej, w *moim łóżku, in flagrante delicto!* Czy przeprosił Holender diabelny? Gdzież tam! Uznał, że to jemu krzywda się stała i zarzycał:

– Zabieraj się stąd, mości Kutazwisie, lub, na Boga, ten wredny dziób Jankesa ci rozłupię!

Chwyciłem dziennik i z łomotem na dół popędziłem, ku *buntokracji*, rozradowaniu i wśród szyderstw białych barbarzyńców tam zebranych. U Walkera wniosłem protest, że za pokój płacę prywatny i oczekuję, iż prywatnym pozostanie także pod mą niebytność, lecz ten szubrawiec jedynie mi upustu część trzecią zaproponował za „ćwierć godziny galopu na najdorodniejszej z klaczek w mej stajni!”. Niesmaku pełen odrzekłem, że mąż i ojciec! I że pierwej zginę, niżli upodlę godność mą i przyzwoitość z którąkolwiek bądź z jego dziewczek francą nękanymi! Walker klął się, że mi „oko podmaluje”, jeśli znów „dziewkami” własne jego

córki nazwę. Jeden plebejski gad bezzębny zadrwił, że jeśliby posiadanie żony i dziecka cnotą było, „byłbym, panie Ewing, po dziesięciokroć od pana cnotliwszy!”, a ręka niewidzialna kufel cienkiego piwa na mą osobę opróżniła. Wycofałem się, nim lurę zastąpiła broń solidniejszej natury.

Dzwon kaplicy wszystkich bogobojnych w Ocean Bay wzywał, pośpieszyłem więc tam, gdzie oczekiwał mnie już Henry, i zapomnieć próbowałem niedawne sprośności, których w mej kwaterze byłem świadkiem. Kaplica jak stara krypa trzeszczała, a członków kongregacji na palcach bez mała rąk obu niemal zrachować było można, lecz nigdy podróżnik żaden nie gasił pragnienia w pustynnej oazie z wdzięcznością większą, niżli ta, z jaką Henry i ja cześć Panu tego ranka oddawaliśmy. Kaplicy luterański założyciel dziesiątą już zimę na cmentarzu przy niej spoczywał, a żaden wyświęcony następca nie ważył się jeszcze nad ołtarzem przejąć dowodzenia. Chrześcijan zatem wszelkiego autoramentu wierzenia grzechoczą w niej jak w jakiej grzechotce. Ta połowa kongregacji, która piśmienną była, psalmy czytała i dołączyliśmy do odśpiewania paru hymnów, zgłaszanych po kolei. „Pasterz” owej plebejskiej trzódki, niejaki pan D’Arnoq, stał pod skromną krzyża figurą i Henry’ego i mię uprosił, byśmy partycypowali podobnie. Pomny na me ocalenie od zesłotygodniowej burzy, zgłosiłem Łukasza, rozdz. 8:

A przystąpiwszy, zbudzili go, mówiąc: Mistrzu, giniemy! A on wstawszy, zlażał wiatr i nawałnicę wody, i uspokoiły się, i stała się cisza^[2].

Henry Psalm 8 głosem odmówił tak donośnym, jak retor szkolony:

Postawiłeś go nad dziełami rąk twoich. Poddaleś wszystko pod nogi jego: owce i woły wszystkie, nadto zwierzęta polne, ptactwo niebieskie i ryby morskie, które się przechodzą po ścieżkach morskich^[3].

Organista żaden *Magnificat* nie grał, prócz wiatru pod stropem, chór żaden *Nunc Dimittis* nie śpiewał, prócz mew krzyczących, jednako tuszę, iż Stwórca był kontent. Podobniejsi Pierwszym Chrześcijanom z Rzymu byliśmy, niżli jakimukolwiek bądź późniejszemu Kościołowi, misteriami świetnemu i zdobnemu w klejnoty. Nastąpiła pospólna modlitwa. Parafianie *ad lib* o wytępienie zarazy ziemniaczanej się modlili, o miłosierdzie dla duszyczki zmarłego dzieciątka, o błogosławieństwo dla nowej łodzi rybackiej, *etc.* ... Henry dzięki złożył za gościnność, nam, przybyszom, przez chrześcijan na wyspie Chatham okazaną. Afekty te i we mnie rezonowały i modlitwę Tildzie ofiarowałem, Jacksonowi i teściowi memu na czas mej wydłużonej niebytności.

Po mszy, do doktora i do mnie zbliżył się z nastawieniem serdecznym podeszły wiekiem „grotmaszt” owej kaplicy, niejaki pan Evans, który Henry’ego i mię swej zacnej żonie przedstawił (obydwoje dobrze sobie chyba radzili z upośledzeniem głuchotą, li tylko na te pytania odpowiadając, które jak im się *zdawało* zadawanymi im były, oraz li tylko takie odpowiedzi przyjmując, które jak im się *zdawało* wypowiedziano – fortel ów wielu przejęło amerykańskich adwokatów) oraz synom bliźniakom, Keeganowi i Dyfeddowi. Pan Evans

zdradził, że miał w zwyczaju co tydzień zapraszać pana D'Arnoq, Kaznodzieję naszego, na obiad do ich domu nieopodal, bo ten w Port Hutt zamieszkuje, na przylądku o kilka mil odległym. Czy nie zechcielibyśmy także dołączyć do nich na niedzielny posiłek? Poinformowawszy już Henry'ego o Gomorze w Muszkiecie oraz słysząc, jak nasze żołądki do buntu wzywają, przyjęliśmy uprzejmość Evansów z wdzięcznością.

Domostwo gospodarzy naszych, o pół mili od Ocean Bay położone w głębi krętej, wietrzystej doliny, okazało się budynkiem skromnym, lecz odpornym na burze piekielne, co tak wielkiej liczbie łodzi niefortunnych gruchoczą żebra na pobliskich rafach. Bawialnię głowa wieprza monsturalnej wielkości zamieszkiwała (dotknięta przypadłością opadającej szczęki i niedowidzenia), ubitego przez bliźniaków w ich urodziny szesnaste, a nadto somnambuliczny stojący zegar (w sprzeczności z mym kieszonkowym czasomierzem paru godzin sięgającej. Dalibóg, korzystnym było, że dokładny czas w imporcie z Nowej Zelandii nie był najcenniejszym z towarów). Parobek na farmie, Indianin, przez szybę wyjrzał na gości swego pana. W życiu oczy me nie widziały podobnie obszarpanego *renegado*, wszelako pan Evans zapewniał, że Mulat ćwierćkrwi, „Barnabas”, „najchyższym był owczarkiem, jaki kiedykolwiek bądź na dwóch nogach biegał”. Keegan i Dyfedd to ucziwi, nieokrzesani młodzieńcy, głównie obchodzenia się z owcami uczeni (familia w posiadaniu jest pogłowia sztuk dwustu), bo żaden do Miasta nie jeździł (wyspiarze Nową Zelandię tak zwą) ani też w nauce jakiej się ukształcał, prócz lekcji Pisma Świętego od ich ojca, dzięki czemu znośnie pisać i czytać się nauczyli.

Pan Evans zmówił modlitwę dziękczynną i smakować możliwość miałem najprzyjemniejszy z posiłków (bez soli, czerwi i przekleństw) od czasu pożegnalnej kolacji z konsulem Baksem i Partridge'ostwem w Beaumencie. Pan D'Arnoq historie nam powiadał o statkach, jakie zaopatrywał przez lat dziesięć na Chatham, Henry zaś facecjami zabawiał nas o pacjentach, zarówno znamienitych, jak i niskiego urodzenia, których dobroczyńcą był w Londynie i w Polinezji. Ze swej strony opisałem trudów wiele, jakie notariusz z Ameryki przezwyciężyć musi dla odnalezienia australijskiego beneficjenta ostatniej woli, postanowienia której w Kalifornii wykonywano. Przepiliśmy gulasz barani i knedle z jabłkami porcyjką domowej roboty *ale*, przez pana Evansa na handel z wielorybnikami warzonego. Keegan i Dyfedd poszli swych trzód dopatrzeć, a pani Evans do zajęć kuchennych powróciła. Henry zapytał, czy misjonarze obecnie działalność prowadzili na Chathamach, na co pan Evans i pan D'Arnoq, spojrzania wymieniwszy, odrzekli:

– Nie, Maorys nie odnosi się dobrze do nas, *Pakeha*, niszczących jego Moriori nadmiarem cywilizacji.

Zapytałem, czy zło takie jak „*nadmiar cywilizacji*” istnieje, czyli też nie? Pan D'Arnoq odrzekł:

– Jeśli Boga na zachód od Hornu nie ma, czemuż też *wszystkich ludzi* nie ma, *którzy są sobie równi* w waszej Konstytucji, panie Ewing?

Nazwy „Maorys” i „Pakeha” z postoju „Wieszczki” w Zatoce znałem, ale upraszałem, by oświecili mię, kim lub czym owi „Moriory” są. Zapytanie moje puszkę Pandory rozwarło pełną historycznych wydarzeń, w szczegółach zmierzch i upadek opisujących Aborygenów z wysp Chatham. Zapaliliśmy fajki. Opowieść pana D'Arnoq ciągnęła się nieprzerwanie trzy

godziny później, gdy musiał już do Port Hutt na powrót jechać, nim zmrok zaciemni wyboisty gościniec. Jego opowieść wedle mnie tym spod pióra Defoe i Melville'a dorównuje i zapiszę ją w literałach tych, gdy ze snu się zbudzę, w który, jeśli Morfeusz dozwoli, zapadnę głęboko.

Poniedziałek, 11 listopada ~

Świt lepki, bez słońca. Zatoka zda się szlamowatą, lecz pogoda wystarczająco łagodna, by można było kontynuować „Wieszczki” naprawę, za co dzięki składam Neptunowi. Akurat, gdy to piszę, nowy bezanmaszt stawiają.

Niedługi czas temu, gdyśmy razem z Henrym śniadali, pan Evans przybył w ambarasie, upraszając wielce mego przyjaciela doktora, by udał się zbadać jego sąsiadkę, z dala od ludzi żyjącą, niejaką wdowę Bryden, którą koń na opoczystym zrzucił trzęsawisku. Była przy tym pani Evans i obawia się, że życie wdowy jest w niebezpieczeństwie. Henry pochwycił swój sakwojaż medyka i pojechał bez jednej chwili zwłoki. (Zaproponowałem, że także pojedę, ale pan Evans o wyrozumiałość błagał, pacjentka bowiem obietnicę wymogła, by nikt prócz doktora nie widział jej w niedysponowaniu). Walker, takie podsłuchując ustalenia, rzekł mi, że żaden reprezentant płci męskiej przez owe lat dwadzieścia progu domu wdowy nie przekroczył, i uznał, że „stara, oziębła locha pewnie już w mogile jednym kulasem, jeśli konowałowi przeszukać się dozwala”.



Początki Moriori z „Rekohu” (wysp Chatham rdzenna nazwa) do dziś tajemnicą są okryte. Pan Evans skłonny jest mniemać, że wywodzą się od Żydów wypędzonych z Hiszpanii, wskazując na ich nosy zakrzywione i szyderczy kształt ust. Teoria przez pana D’Arnoq preferowana, jakoby Moriori to Maorysi, których kanu niegdyś o brzegi najodleglejszej z wysp się rozstrzaskały, oparta jest na podobieństwach języka i mitologii i dlatego wyższy logiki karat posiada. Pewnym jest, że po wiekach, czyli też tysiącletniach życia w izolacji, Moriori tak prymitywne wiedli życie, jak ich kuzyni nieszczęśliwi z Ziemi van Diemena. Sztuka budowania łodzi (poza prostymi plecionymi tratwami dla przepływania przez kanały między wyspami) i nawigacji poszła w zapomnienie. Że pokryta wodą i lądem Ziemia insze kontynenty miała, ludowi Moriori nawet się nie śniło. Po prawdzie w ich języku nie ma słowa „rasę” określającego, a „Moriori” zwyczajnie „ludzi” oznacza. Nie hodowano tu zwierząt, po wyspach tych bowiem nie chodziły ssaki żadne, do czasu, aż przepływający wielorybnicy rozmyślnie przywieźli tu i zostawili świnię, by utworzyć dla się spiżarnię. W swym dziewiczym stanie byli Moriori zbieraczami. Łowili skorupiaki *paua*, po raki nurkowali, wybierali ptakom jaja z gniazd, polowali dzidami na foki, wodorosty zbierali i wykopywali spod ziemi już to pędraki, już to korzonki.

Do czasu tego Moriori stanowili jedynie miejscową odmianę pogan pospolitych w spódniczki z trawy lub w pióra przyodzianych, na wszystkich pomniejszających się „czarnych plamach” oceanu, jeszcze przez Białego człowieka nietkniętych. Rekohu z dawna jednak prawa rościło do bycia wyspą szczególniejszą, a to z przyczyny ekstraordynaryjnych wierzeń pacyficznych. Od czasów niepamiętnych kasta kapłanów wśród Moriori utrzymywała, że ktokolwiek bądź krew ludzką rozlewał, zabijał własną *mana* – honor swój, wartość, pozycję i duszę. Żaden Moriori schronienia by takiemu nie udzielił, jadłem nie uczęstował, nie

konwersowałby ani nawet *patrzal* na *personę non grata*. Jeśli morderca na taki ostracyzm skazany nawet przetrwał zimę pierwszą, to i tak desperacja z samotności wynikała pchała go ku wyrwie w lodzie na Przylądku Young, gdzie życie sobie odbierał. Zważcie to, upraszał pan D'Arnoq. Dwa tysiące dzicy (jak pan Evans zgadywał), słowem i *czynem* przykazania *Nie będziesz zabijał* chroni, tworzy ramy ustnej Magna Carty dla podtrzymania harmonii przez sześćdziesiąt stuleci, co nieznana w inszych miejscach, odkąd Adam owocu z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego zakosztował. Wojna równie obca była Moriori, jak Pigmejom teleskop. *Pokój*, nie spokoju okres pomiędzy wojnami, lecz tysiąclecia pokoju niezmaconego, rządzą tymi na kraju świata ległymi wyspami. Któż zaprzeczyć może, że Stare Rekoahu bliżej Utopii More'a leżało, jak nasze „Państwa Postępu” przez głodne wojen książątka z Wersalu i Wiednia, Waszyngtonu i Westminsteru rządzone? Tutaj – pan D'Arnoq deklamował – i tylko tutaj istniały te idee nieuchwytnie, przybrawszy formę ciała i kości owego szlachetnego, dzikiego ludu. (Henry, gdyśmy później do Muszkietu wracali, wyznał: „Nigdy bym szlachetną nie nazwał rasy dzikusów, co nazbyt są zacofani, by prosto dzidą miotać”).

Wszelako szkło i pokój jednak kruche się zdadzą gdy ciosy spadają raz za razem. Ciosem pierwszym dla Moriori był „Union Jack”, w darń Skirmish Bay zatknięty w imię króla Jerzego przez porucznika marynarki Broughtona z HMS „Chatham” ledwie lat temu pięćdziesiąt. Trzy lata później odkrycie Broughtona u agentów morskich w Sydney i Londynie się znalazło, a garstka wolnych osadników (w których liczbie był też pana Evansa rodzic), rozbitków morskich i „skazańców spory z Urzędem Kolonialnym Nowej Południowej Walii prowadzących w materii warunków ich osadzenia”, uprawiała dynie, cebulę, kukuruzę i marchew. Sprzedawali je ubogim łowcom fok, co drugim ciosem dla niezależności Moriori było, łowcy owi bowiem wniwecz nadzieje dobrobytu tubylcom obracali, różowo barwiąc kipiela przyboju foczą krwią. (Pan D'Arnoq zilustrował profita arytmetyką taką – jedna focza skóra 15 szylingów w Kantonie zarabiała, a owi łowcy pionierscy gromadzili w *jednej łodzi* skór ponad dwa tysiące!). Toteż w ciągu lat kilku fok można już było należeć jedynie na skałach od strony oceanu, a „łowcy fok” obrócili się także ku uprawie ziemniaka, hodowli owiec i świń, z takim rozmachem, że Chathamy zwać teraz „Ogrodem Pacyfiku”. Owi *parvenu* farmerzy oczyszczali grunt, krzaki wypalając, a to zapalało torf pod powierzchnią, gdzie tlił się przez lat wiele, wychodząc na powierzchnię w porach suchych dla nieszczęścia rozsiewania od nowa.

Cios trzeci Moriori zadali wielorybnicy, zawijający teraz w liczbie pokażnej do Ocean Bay, Waitangi, Owenga i Te Whakaru dla naprawy łodzi, nowym sprzętem onych wyposażania i odświeżania. Koty i szczury wielorybników mnożyły się jak egipskie plagi i pożerały gniazdujące w norach ptaki, których jaja Moriori jako strawę wysoko cenili. Czwarty, owa zbieranina chorób, co trzebi rasy ciemnoskóre, gdziekolwiek bądź Biała cywilizacja się zbliży, jeszcze Aborygenów liczbę nadwątlila.

Wszelkie te nieszczęścia Moriori wytrwać by jeszcze mogli, gdyby nie doniesienia, które do Nowej Zelandii docierały, opisujące Chathamy jako istny Kanaan z lagunami pełnymi węgorzy po brzegi, zatoczkami z dywanem skorupiaków i z mieszkańcami, co ani wojny, ani broni pojęcie rozumieli. Uszom plemieńców z Ngati Tama i Ngati Mutunga, dwóch klanów Maorysów Taranaki Te Ati Awa (genealogia Maorysów podług zapewnień pana D'Arnoq również zawiła jest w każdej najmniejszej z gałązek, jak owe drzewa genealogiczne wielbione tak przed ziemiaństwo Europy, zaiste, każde chłopię tej rasy niepiśmiennej przytoczyć może imię dziada swego i „range” jego w oka mgnieniu), pogłoski te zdały się obiecany zadośćuczynieniem

za połączenie ziem ich przodków, w niedawnych „Wojnach Muszkietów” utracone. Szpiegów wysłano dla poddania próbie ducha Moriori, gwałcąc ich *tapu* i plądrując miejsca święte. Prowokacje owe Moriori przyjęli, jak Pan nasz przykazał, „policzek drugi nadstawiając” i agresorzy do Nowej Zelandii powrócili, poświadczając Moriori bojaźliwość. Cali w tatuażach maoryscy *conquistadores* znaleźli armadę swą jednostatkową w postaci brygu „Rodney” pod komendą kapitana Harewooda, który u schyłku roku 1835 zgodził się przetransportować Maorysów w liczbie dziewięciuset i siedem kanu wojennych w dwóch podróżach, w zamian za ziemniaki nasienne, broń palną, świnię, dostawy suty lnu międlonego i jedno działo. (Pan D’Arnoq napotkał Harewooda lat temu pięć, w nędznej kondycji, w tawernie w Bay of Islands. Z początku zaprzeczył, jakoby był onym Harewoodem z „Rodneya”, poczem zaklinał się, że przymuszonym został do przewozu Negrów, lubo nie rzekł jasno, jakim sposobem ów przymus się materializował).

„Rodney” z Port Nicholas w listopadzie wypłynął, ale jego pogański ładunek pięciuset mężczyzn, kobiet i dzieci, ciasno upchanych w ładowni na sześć dni podróży, dusił się od nieczystości i morskiej choroby, przy wody wielkim niedostatku i przybił do Whangate Inlet w stanie tak osłabionym, że Moriori, gdyby tylko wolę mieli, wyciąć w pień mogliby swych drapieżnych współbraci. Dobrzy Samarytanie woleli jednakże podzielić się uszczuploną obfitością Rekohu, aniżeli zniszczyć swe *mana*, krew tocząc, więc chorych i umierających Maorysów pielęgnowali, aż ci do sił powrócili.

– Maorysi drzewiej już na Rekohu przybywali – objaśnił pan D’Arnoq – lecz odpływali na powrót, Moriori mniemali więc, że i ci podobnie w pokoju ich zostawią.

Wielkoduszność Moriori nagrodzona została, gdy kpt. Harewood powrócił z Nowej Zelandii z kolejnymi czterystoma Maorysami. Natenczas obcy przystąpili do ziemi zawłaszczania przez *takahi*, maoryski rytuał, co literalnie tłumaczy się jako „chodzenie po ziemi dla we władanie jej wzięcia”. Tak stare Rekohu podzielone tym gustem zostało, a Moriori uwiadomieni, że odtąd Maorysów są wasalami. Wczesnym grudniem, gdy koło tuzina Aborygenów protest podniosło, bezceremonialnie tomahawkami ich wybito. Maorysi dowiedli, że pojętymi są uczniami Anglików w „kolonizacji ponurej sztuce”.

Wyspa Chatham na wschodzie opasuje lagunę rozległą, Te Whanga, wypełnioną słonym trzęsawiskiem, co niemal śródlądowe morze stanowi, jednakże użyźniane oceanem w porze przyływu poprzez odpływ laguny w Te Awapatiki. Lat temu czternaście mężczyzn Moriori odbywali na tej ziemi świętej zgromadzenie. Trzy dni trwało ono, a cel miało jeden – odpowiedź dać na pytanie: Czy przelanie krwi Maorysów niszczy li także *mana* człowiecze? Młodszy twierdził, że wiara Pokoju nie tyczyła kanibali obcych, o których przodkowie ich zgoła nic nie wiedzieli. Moriori zabijać przymuszeni są, lub sami zginą. Starszyzna upraszała o ucieszenie nastrojów, bo tak długo, jak Moriori swe *mana* chronili wraz z ziemią swą, ich bogowie i przodkowie chronili lud przed krzywdą. „Do serca przytul wroga swego” – nalegali starsi – „aby ciosu zadać ci nie mógł”. („Do serca przytul wroga swego” – dowcipkował Henry – „dla poczucia, jak jego sztylet nerki ci łaskocze”).

Starszyzna wygrała na koniec, ale znaczenia to nie miało.

– Gdy braknie liczebnej przewagi – rzekł nam pan D’Arnoq – Maorys zdobywa oną,

uderzając pierwszy i najmocniejsze z ciosów zadając, co wielu brytyjskich i francuskich nieszczęśliwych z mogił może potwierdzić.

Ngati Tama i Ngati Mutunga zwołali rady własne. Gdy mężczyźni Moriori powrócili z obrad zgromadzenia, czekały ich zasadzki i noc hańby gorszej od koszmaru, noc rzezi, wiosek płonących, grabieży, mężczyzn i kobiet na pal rzędami wbijanych na nadbrzeżnych piaskach, dzieci w dziurach przytających, zwieszonych i na strzepy przez psy myśliwskie rozrywanych. Niektórzy z wodzów patrzali jutro i mordowali tyłu jedynie, ilu potrzeba było dla wymuszenia łękiego posłuszeństwa u pozostałych. Inszych kacyków rzeczy takie nie wstrzymywały. Na plaży Waitangi pięćdziesięciu z Moriori głowy ścięto, wypatroszono, owinięto lnu liśćmi, poczem w ogromnym piecu ziemnym upieczono z bulwami yamu i słodkimi batatami. Nawet połowa Moriori, co widzieli zachód słońca ostatni nad Starym Rekohu, nie przeżyła, by patrzeć, jak wschodzi słońce Maorysów. („Mniej jak stu czystej krwi Moriori żyje dzisiaj”, lamentował pan D’Arnoq. „Na *papierze* Korona Brytyjska z jarzma niewoli lata temu ich oswobodziła, lecz Moriori nie dbają o papier. O tydzień rejsu pod żaglem jesteśmy od Domu Gubernatora, a Jej Królewska Wysokość na Chatham garnizonu nie utrzymuje”).

Zapytałem, czemu Biali rąk Maorysów podczas masakry nie powstrzymali?

Pan Evans nie spał już i nawet w połowie głuchy tak nie był, jak wprzód mi się zdawało.

– Widział pan kiedy wojowników maoryskich rozwścieczonych i krwi żądnych, panie Ewing?

Odrzekłem, że nie widział.

– Ale widział pan krwi żądne rekiny, czyż nie?

Odparłem, że widział.

– Toż nieledwie to samo. Imaginuj pan sobie krwawiące ciele, ciskające się w wodzie płytkiej, co od rekinów się roi. Co pan robisz: trzymasz się od wody z dala, czy próbujesz szczęki rekinów powstrzymać? Taki oto wybór nasz był. Owszem, pomogliśmy owym nielicznym, co pod drzwi nasze przyszli – owczarz nasz, Barnabas, jednym był z nich, jednako gdybyśmy w ową noc za próg wyszli, nigdy by nas więcej nie widziano. Pamiętaj pan, my, Biali, niespełna pięćdziesięciu liczyliśmy w Chatham w owym czasie. Maorysów wszystkich razem było dziewięćset. Maorysi pospołu z *Pakeha* zamieszkują, panie Ewing, lecz w pogardzie nas mają. Niechaj nigdy pan o tym nie zapomni.

Jakież z tego moral pływie? Pokój, lubo umiłowany przez Pana naszego, cnotą jest kardynalną tylko wczas, gdy bliźni sumienie z tobą dzieli.

Wieczorem ~

Nazwisko pana D’Arnoq nie jest miłością wielką darzone w Muszkiecie.

– Biały czarnuch, krwi mieszanej, ludzki kundel – rzekł mi Walker. – Nikt *nie wie* czym jest.

Suggs, pastuch jednoręki, co pod barem mieszka, zaklinał, że nasz znajomy generałem jest Bonapartego, ukrywającym się tu pod fałszywą maską. Inszy, że D'Arnoq Polaczkiem jest, przysięgał.

Nazwy „Moriory” także nikt tu miłością szczególniejszą nie darzy. Pijany Maorys, Mulat, powiedział mi, że cała historia z Aborygenami „staremu pomyłonemu Luteranowi” przyśnić się musiała, a pan D'Arnoq ewangelię o Moriory głosi tylko dla uprawomocnienia swych pretensji oszukańczych do ziemi przeciw Maorysom, prawdziwym Chatham właścicielom, co pływają tam i siam w swych kanu od czasów niepamiętnych! James Coffee, hodowca wieprzów, powiedział, że Maorysi Białemu człowiekowi przysługę oddali, wybijając Brutusów insze plemię dla zrobienia nam miejsca, dodając, że Rosjanie Kozaków szkolą, by „syberyjskie skóry garbowali” podobną modą.

Protestowałem, że misją naszą być winno *cywilizować* czarną rasę przez nawracanie, a nie ją wytepić, bo ręka Boga ją także stworzyła. Kto żyw w tawernie atak gwałtowny na mnie przypuścił za „sentymentalne, jankeskie kłapanie!”.

– Najlepszy z nich nazbyt dobrym nie jest, by jak świnia zdechnąć! – krzyknął któryś. – Jedyną dla czarnych ewangelią do pojęcia jest ewangelia bata, do ch – y! – Któryś znowu: – My, Brytyjczycy, niewolnictwo obaliliśmy w naszym imperium – żaden Amerykanin tego rzec nie może!

Stanowisko Henry'ego było, oględnie rzekłszy, dwuznacznym.

– Po latach pracy z misjonarzami pokusę czuję konkludować, że starania ich przedłużają jedynie na lat dziesięć czy dwadzieścia agonię rasy umierającej. Litościwy oracz strzela do konia pracowitego, co już za stary, by pracy podołać. Czyż nie obliguje to nas, jako filantropów, by podobnie dzikusom w cierpieniach ulżyć przez ich wymarcia *przyśpieszenie*? Myśl o waszych czerwonoskórych Indianach, Adamie, myśl o traktatach, które wy, Amerykanie, odwołujecie i nie dotrzymujecie ich raz za razą i znowu. Bardziej ludzkim jest z pewnością i uczciwszym walić dzikich po głowach i mieć z nimi spokój?

Tyle prawd, ilu ludzi. Czasami prawdziwszą Prawdę przez chwilę dostrzegam, skrywającą się pod siebie samej bałamutnym podobieństwem, wszelako, gdy zbliżam się do niej, poruszy się i głębiej schowa w okolone cierniami bagno rozbieżności.

Wtorek, 12 listopada ~

Nasz zacny kpt. Molyneux zaszczycił dziś Muszkiet dla targowania się z właścicielem o cenę pięciu beczek solonej wołowiny (targu dobito przy partyjce hałaśliwej *trentuno*, którą kapitan wygrał). Ku memu zdumieniu, nim kpt. Molyneux wrócił, by sprawdzić w stoczni

postępy, Henry'ego na słowo poprosił, w mego kompana pokoju. Konsultacje trwają nadal, gdy to piszę. Przyjaciela mego ostrzegano przed despotyzmem kapitana, lecz nie podoba mi się to, mimo wszystko.

Później ~

Kpt. Molyneux, jak się okazuje, na przypadłość medyczną cierpi, co nieleczone osłabić może umiejętności rodzaju różnorodnego, potrzebne na jego stanowisku. Z racji tej kapitan ofertę Henry'emu złożył, by nam w podróży do Honolulu towarzyszył (wikt i koja prywatna *darmo*), obowiązki przyjmując zarówno pokładowego medyka, jak i osobistego doktora kpt. Molyneaux, aż do zawinięcia do portu docelowego. Przyjaciel mój objaśnił, że myślał do Londynu powrócić, lecz kpt. Molyneux mocno naciskał. Henry obiecał kwestię przemyśleć i decyzję podjąć w piątek rankiem, na który to dzień ogłoszono teraz wypłynięcie „Wieszczy”.

Henry nie zdradził, jakąż to przypadłość kapitanowi dolega, ani ja pytałem, lubo nie trzeba eskulapa kształconego, by pojąć, że kpt. Molyneaux dokuczają reumatyzmy. Przyjaciela mego dyskretnie dobrze o nim świadczy. Mimo ekscentryczności Henry'ego Goose'a jako kolekcjonera kuriozów wierzę, że dr Goose jest medyka wzorem i gorącą mam, lubo samolubną nadzieję, że Henry w swej odpowiedzi na propozycję kapitana przystanie.

Środa, 13 listopada ~

Do dziennika przychodzę jak do spowiednika katolik. Sińce me mówią, że tych ekstremitaryjnych, przeszłych godzin pięć to nie majączenia Chorobą spowodowane, lecz wydarzenia prawdziwe. Opiszę, co dnia tego mi się przydarzyło, tak blisko faktów się trzymając, jak tylko w mej mocy.

Tego ranka Henry złożył wizytę kolejną w domostwie wdowy Bryden dla poprawienia jej łubków i zmiany okładów. Miast bezpiecznemu lenistwu się poddać, postanowiłem wspiąć się na wzgórze wysokie na północ od Ocean Bay, Stożkowym Wierzchołkiem zwane, którego górujące wzniesienie obiecuje najlepszy prospekt „wnętrza” wyspy Chatham. (Henry, w latach dojrzalszy, rozumu ma nazbyt wiele, by nie wagusować się po wyspach niezbadanych, które kanibale zaludniają). Znużony potok, co wodę do Ocean Bay toczy, w górę mię powiódł przez bagniste pastwiska, zbocza kikutami dziobate, w dziewiczy las tak zbutwiały, sękowaty i splątany, że zmuszony był wdrapywać się w górę niby orangutan jaki! Lawina gradu spadać zaczęła gwałtownie, las wypełniła perkusją oszalała i urwała nagle. Wytropiłem drozda czarnobrzuchego, którego upierzenie smoliste czarnym jak noc było i którego powolność graniczyła z pogardą. *Tui*, skryty przed wzrokiem, jał śpiewać, wszelako rozpalona ma fantazja mocą ludzkiej mowy go nagrodziła:

– Oko za oko! – przede mną wołał, przelatując labiryntem pąków, gałązek i cierni. – Oko za oko!

Po wyczerpującej wspinaczce zdobyłem szczyt, lubo dotkliwie nadwerężony i podrapany, o godzinie jakiej, nie wiem, gdyżem zaniedbał wieczoru przeszłego zegarek mój kieszonkowy nakręcić. Mgła nieprzenikniona, co wyspy te nawiedza (aborygeńska nazwa Rekohu, powiada pan D'Arnoq, „Słońce Mgieł” oznacza) opadła, gdym ja się wspinał, umiłowana ma panorama niczym więcej zatem była niżli czubkami drzew znikającymi w mżawce. Nędzna to nagroda za me trudy.

„Szczyt” Stożkowego Wierzchołka krater stanowił, o średnicy na rzut kamieniem, okalający spadek o ścianach ze skalistych stoków, którego dno niewidoczne leżało, daleko a daleko niżej żalobnego listowia drzew *kopi*, w liczbie grosa lub więcej. Nie życzyłbym sobie głębi jego badać bez pomocy lin i oskarda. Okrążałem krateru zrąb, wypatrując wyraźniejszego szlaku jakiego na powrót do Ocean Bay, gdy nagle *szu-szu!* na ziemię mię posłało – umysł wstręt do pustki czuje i nawyk ma zaludniać ją fantomami, tak oto zoczyłem wprzód szarżującego wieprza z kłami, potem maoryskiego wojownika z dzidą w górę wzniesioną, co na twarzy wypisaną miał nienawiść przodków swych, właściwą jego rasie.

Wszelako był to tylko albatros, skrzydłami łopocący w powietrzu jak żaglowiec. Patrzałem za nim, jak ginie w przeświecającej mgle. Całego jarda do krateru krawędzi mi brakowało, jednak, ku zgrozie mej, ziemia pode mną ugięła się, jak skorupa na łożu – nie na gruncie twardym stałem, ale na nawisie! Zapadłem się po przepoń, traw się chwytając desperacko, ale te w palcach się przerwały i runąłem w dół, niby manekin do studni ciśnięty! Pamiętam wirowanie w próżni, wrzaski, patyki drapiące oczy, młynki w powietrzu, kurtkę rozdartą i luźno wiszącą; ziemi osyp; oczekiwanie na ból; nagłą, bezładną modlitwę o pomoc; krzak, co spowalnia upadek, lubo go nie wstrzymuje i próby beznadziejne odzyskania ekwilibrum – gdy się zsuwam – *terra firma* wreszcie pędzącą mi na spotkanie. Zderzenie całkowicie zmysły me zamroczyło.

W pierzynach z mgły i na poduszkach przez lato podsuwanych leżałem, w sypialni w San Francisco, do mojej podobnej. Służący o karła posturze rzekł:

– Dureń, Adamie, z ciebie straszny.

Weszli Tilda z Jacksonem, wszelako, gdym tryumf wyrazić chciał, z ust mych wybuchło tylko gardłowe szczekanie, jak u indiańskiej rasy! Żona ma i syn wstydem się okryli za moją przyczyną i do kolaski wsiedli. Rzuciłem się w pogoń, pragnąc nieporozumienie owo wyjaśnić, lecz kolaska znikwała w uciekającej dali, ażem się w zadrzewionym zmierzchu zbudził i w ciszy, grzmiącej, wieczystej. Sińce me, skaleczenia, mięśnie i kończyny jęczały jak w sądzie procesujące się strony.

Posłanie z mchu i ściółki, wyłożone w tym wądole mrocznym od drugiego dnia Stworzenia, ocaliło me życie. Aniołowie znać członki me zachowali, bo jeślibym bodaj jedną nogę czy rękę złamał, nadal bym tam leżał, wydobyć się nie mogąc, śmierci czekając od żywiołów albo z bestii pazurów. Na nogi się podźwignąwszy i zobaczywszy, jak dalekom się zsunął i upadł (na wysokość fokmasztu), bez większej krzywdy dla osoby mej, podziękowałem Panu za ocalenie, zaprawdę bowiem, *wzywaleś mię w ucisku i wybawilem cię; wysłuchałem cię w osłonie burzy*⁴¹.

Wzrok mój przywykł do pomroki i oczom widok ukazał się jednak niezatarty, straszliwy i wzniosły. Wprzód jedna, dziesięć potem, wreszcie setki twarzy z wiecznej szarości się wyłoniło, toporem w korze wyciosanych przez bałwochwalców, niby duchy arborealne, znieruchomiałe pod zaklęciem okrutnego maga. Epitet żaden odpowiednio nie skreślił obrazu tego bazyliżków plemienia! Tylko nieożywione może być tak żywym. Kciukami wodziłem po ich fizjognomiach ohydnych. Nie wątpię, że pierwszym był Białym w tym mauzoleum od jego prehistorycznej inauguracji. Najmłodszy z dendroglifów, jak miemam, dziesięć lat ma, lecz starsze, rozdęte na korze, kiedy drzewa rosły, wyrzeźbane zostały ostrzem pogan, których duchy własne już od dawien dawna wymarłe. Pradawność taka z pewnością rękę Moriori pana D'Arnoq przedstawiała.

Czas płynął w tym miejscu zaklętym i natężalem się, by znaleźć sposób ucieczki, ośmielany świadomością, że twórcy owych „rzeźb drzewnych” muszą mieć sposób na regularne tegoż dołu opuszczanie. Jedna ściana mniej stromo wyglądała niżli inne, a włókniste pnącza coś na obraz „olinowania” oferowały. Gotowałem się do wspinaczki, gdy uwagę mą zwróciło zagadkowe „buczenie”.

– Kto tam idzie?! – zawołałem (czyn pochopny jak na Białego intruza bez broni, w świątyni pogan). – Okaż się!

Cisza słowa me wraz z echem pochłonęła i drwiła ze mnie. Przypadłość ma w śledzienie się ozwała. „Buczenie” wiodło do chmury much, krążących wkoło wypukłości na ułamanej gałęzi nadzianej. Szturchnąłem ów guz patykiem sosnowym i zwymiotowałem bez mała, bo był to kawał cuchnących trzewi. Obróciłem się, by uciec, lecz nie mogłem odejść bez rozwiania mrocznych podejrzeń, że to ludzkie serce na drzewie wisiało. Nos i usta okryłem chusteczką, a patykiem tknąłem oderwaną wnętrzość. Organ zadrgał jak żywy! Piekąca ma przypadłość w górę po kręgosłupie strzeliła. Niby we śnie (choć sen to nie był!), biała salamandra wychyła ze swego w truchle zamieszkania i w okamgnieniu po patyku wbiegła na mą rękę! Patyk w bok cisnąłem i nie dostrzegłem, gdzie salamandra znikła. Krew strach mi ściała i czym prędzej salwować się chciałem ucieczką. Napisać łatwiej, jak zrobić, bo jeśli bym się ześlizgnął był i na powrót runął ze ścian, co o zawrót głowy przyprawiła, szczęśliwy traf mógłby upadku mego powtórnie już nie złagodzić, jednakowoż wgłębienia na stopy w skale były wyciosane i przez łaskę Pana brzeg krateru zdobyłem bez niefortunnych przypadków.

Nalazłszy się znów w posępnej chmurze, tęskniłem za obecnością ludzi własnej mej barwy, tak, nawet żeglarzy grubiańskich z Muszkietu, i jałem schodzić w tym czasie – jak miemam – ku południu. Postanowienie me wprzód uczynione, by o wszystkim, com widział, donieść (z pewnością pan Walker, Konsul *de facto* i *de iure*, winien powiadomionym zostać o rabunku serca ludzkiego?), słabło, gdym się do Ocean Bay zbliżał. Nadal nie postanowiłem, o czym raport złożyć i komu. Serce najpewniej wieprza było lub owcy. Perspektywa Walkera i jemu podobnych, drzewa obalających i sprzedających dendroglify kolekcjonerom, w moim sumieniu budziła odrazę. Może kto sentymentalistą mię nazwać, wszelako nie pragnę się przyczynić do zadania Moriori ostatecznego gwałtu^[51].

Wieczorem ~

Krzyż Południa jasno na niebie już świecił, nim Henry powrócił do Muszkietu, jako że rozchwytywany był przez większą liczbę mieszkańców wyspy, pragnących porady „Uzdrowiacza wdowy Bryden” w kwestii reumatyzmów, jagodzicy i obrzęków.

– Gdybyż ziemniaki dolarami były – narzekał mój przyjaciel – od Nabuchodonozora byłbym bogatszy!

Niepokoił się mą (okrojona mocno w relacji) fatalną przygodą na Stożkowym Wierzchołku i nalegał na zbadanie mych obrażeń. Wprzód służącą zagoniłem, by zgotowała mi kąpiel, i wyszedłem z niej na zdrowiu wzmocniony. Henry podarował mi słoiczek balsamu na me inflamacje i odmówił przyjęcia za niego choć centa. Obawiając się, że może to być szansą ostatnią zasięgnięcia porady u fachowego doktora (Henry ku odrzuceniu oferty kpt. Molyneux się skłania), odsłoniłem przed nim swe obawy *vis-à-vis* przypadłości mej. Wysłuchał poważnie i o częstotliwość, a nadto czas trwania ataków zapytał. Henry żałował, że czasu nie miał, ani aparatury dla pełnej diagnozy, lubo zalecił, bym po powrocie do San Francisco pilnie znalazł specjalistę od parazytów tropikalnych. (Na wyznaczenie zdobyć się nie mogłem, że ani jednego takiego nie ma).

W sen nie zapadam.

Czwartek, 14 listopada ~

Z portu wyruszamy z porannym odpływem. Raz jeszcze stoję na pokładzie „Wieszczyki”, ale udawać nie będę, że mi kontent. W trumnie mej złożone są teraz trzy zwoje słuszne liny, po których wspinać się jestem przymuszonym, by do koi się dostać, bo podłogi na cal nawet spod nich nie widać. Pan D’Arnoq pół tuzina beczek prowizji rozmaitej kwatermistrzowi sprzedał oraz belę żaglowego płótna (ku Walkera odrazie). Wszedł na pokład dla pełnienia nadzoru nad ich załadunkiem i dla odebrania samemu zapłaty, a nadto pomyślnych wiatrów mi życzył. W trumnie mej ściśnięci byliśmy jak dwa śledzie w beczce, wyszliśmy więc na pokład, bo wieczór przyjemny. Po przedyskutowaniu różnorodnych materii uścisnęliśmy sobie dłonie i zszedł na pokład czekającego go keczu, którego sprawną załogę dwóch posługaczy rasy mieszanej stanowiło.

Pan Roderick niewiele miał zrozumienia dla mej petycji, by linę kłopotliwą w insze miejsce usunięto, on bowiem zobligowany był opuścić swą prywatną kabinę (dla przyczyny, o której poniżej) i do kubryku się przenieść ze zwykłymi marynarzami, których liczba o pięciu Kastyljczyków urosła, „upolowanych” od kotwiczącego w Bay Hiszpana. Ich kapitan obraz Furii przedstawiał, lecz mimo że mało wojny „Wieszczyce” nie wydał – a w bitwie z pewnością z nosa by mu krew puszczono, bo dowodzi najdziurawszą z kryp – może jedynie gwiazdom dziękować, że kpt. Molyneux nie był w potrzebie większej liczby dezertów. Już same słowa „rejs do Kalifornii” złotem łyskają i wabią tamże wszystkich ludzi, jak ćmy ku lampie. Owych pięciu zastąpi dwóch dezertów zbiegłych w Bay of Islands, a nadto ręce, które burza zabrała, nadal wszelako kilku nam mężczyznom brakuje do pełnej liczby załogi. Finbar powiada, że ludzie na nowe ustalenia sarkają, bo z panem Roderickiem, w kubryku zakwaterowanym, nie mogą

do woli opowieści snuć nad butelczyną.

Los wynagrodził mi pięknie. Opłaciwszy rachunek odrzyskóry Walkera (a nie dałem szubrawcowi ni centa więcej), pakowałem kufer z chlebowego drewna, gdy Henry wszedł i przywitał mię w te słowa:

– Witaj, kompanie podróży!

Bóg mych modlitw wysłuchał! Henry posadę Doktora Pokładowego przyjął i jużem nie jest bez przyjaciół w tej pływającej zagrodzie. Takim mułem upartym jest pospolity marynarz, że miał wdzięczności, iż doktor będzie pod ręką, by w łubki złamania im wstawiać i infekcje leczyć, tylko dochodzą ich sarkania:

– A co my są, byśmy Doktora Pokładowego wieźli, co chodzić nie potrafi po bukszprycie? Barka Jej Wysokości?

Wyznać muszę pewną urazę, gdy kpt. Molyneux udzielił płacącemu jak ja za rejs dżentelmenowi jedynie żalostnej koi, choć obszerniejsza kabina cały czas była w jego dysponowaniu. Dużo większą wagę jednakże przywiązuję do złożonej przez Henry'ego obietnicy obrócenia swych niebywałych talentów ku diagnozie mej przypadłości, jak tylko w morze wypłyniem. Ulga ma wprost nieopisana.

Piątek, 15 listopada ~

Podnieśliśmy kotwicę o świcie, nie zważając, że piątek dla marynarzy pechowym jest Jonaszem. (Kpt. Molyneux burczy: „Przesady, Dnie Świętych i insze przeklęte dyrdymały dobre są, psiakrew, dla Papistowskich bab, lecz ja w tym interesie jestem przymuszonym o zyski dbać!”).

Nie wybraliśmy się z Henrym na pokład, bo ręce wszystkie przy takielunku były zajęte, a i wiatr południowy wiał mocno na pełnym morzu; statek dokuczliwy był zeszłej nocy, a dzisiaj nie mniej. Pół dnia spędziliśmy na apteki Henry'ego urządzaniu. Prócz ekwipunku modernego doktora, przyjaciel mój w posiadaniu jest kilku tomów uczonych po angielsku, niemiecku i po łacinie. Skrzynekczka „spektra” proszków w butelkach korkiem zatkniętych zawiera, podpisanych greką. Henry łączy je dla rozmaitych pigułek i maści powstania. Zerknęliśmy przez luk ku południu – Chathamy kropeczkami inkaustu były na ołowianym horyzoncie, wszelako przewalanie się i kołysanie niebezpiecznym jest dla tych, których nogi wczasowały tydzień na brzegu.

Popołudniem ~

Szwed Torgny do drzwi mej trumny zapukał. Równie zaskoczony, co zaciekawiony ukradkowym zachowaniem, prosiłem, by wszedł. Przysiadł na liny „piramidzie” i że przynosi

propozycję od koła marynarzy wyszeptał.

– Powiedz pan nam, gdzie żyły są najlepsze, te tajemne, co wy miejscowi tylko dla siebie trzymacie. Ja i kamraci robotą się zajmiem, pan będziesz tylko siedział pięknie, a dziesiątą część dostaniesz.

Chwilę niejaką zajęło mi zrozumienie, że Torgny myśli w kalifornijskich kopalniach drążyć. Czyli dezercja powszechna jawi się na spraw horyzoncie, gdy tylko „Wieszczka” do celu zawinie, i przyznaję, że sympatie me lokują się po stronie marynarzy! Co rzekłszy, przysiągłem Torgny’emu, że wiedzy żadnej o złożach złota rzeczonych nie mam, gdyż przez rok miniony nieobecny byłem, lubo chętnie i darmo mapę ułożę, ilustrującą osławione „Eldorados”. Torgny na to przystał. Z tego dziennika wyrwawszy stronicę, *schema* szkicowałem: „Sausalito, Benecia, Stanislaus, Sacramento, etc.”, gdy niezycziwy głos się ozwał:

– Wróżbiarstwo jakie, czy co, mości Kutazwisie?

Nie słyszeliśmy byli, jak Boerhaave schodami zszedł i pchnięciem rozwarł drzwi na oścież! Torgny zakrzyknął w konsternacji, winę swą po trzykroć tym wyznając.

– Cóż tam – ciągnął nasz oficer – cóż to za sprawki masz pan z naszym pasażerem, parchu sztokholmski?

Torgny stał oniemiały, ale ja straszyć się nie dałem i odrzekłem gburowi, że opisowałem godne ujrzania „widoki” mego miasta, dla zgotowania Torgny’emu atrakcji, gdy na ląd zejdzie.

Boerhaave brwi uniósł.

– Zatem to pan teraz zejście na ląd marynarzom przyznajesz, czy tak? To mi nowina dla mych starych uszu. Pan pozwolisz ten papier, panie Ewing.

Nie pozwoliłem. Mój podarek dla żeglarza nie dla Holendra był do rekwirowania.

– Och, o wybaczenie proszę, panie Ewing. Torgny, odbierz *podarek*. – Wyboru nie miałem, jak tylko przybitemu Szwedowi go wręczyć. Pan Boerhaave rzekł: – Torgny, daj mi *swój podarek* w jednej chwili albo, na bramy piekieł, będziesz dnia żałować, gdyż z matki [pióro me przed zapisaniem tej profanacji się wzdraga] wypełzło.

Szwed, przerażony śmiertelnie, jak mu kazano, zrobił.

– Wielce kształcące – zauważył Boerhaave, mej kartografii się przyglądając. – Kapitan w zachwytach będzie, gdy dowie się o staraniach pańskich dla dopomożenia naszym majtkom parchatym, panie Ewing. Torgny, na maszcie wachtę trzymasz dwadzieścia cztery godziny. Czterdzieści ośm, jak kto zobaczy, że jesz i pijesz. Pij sz–y własne, jak cię pragnienie najdzie.

Torgny uciekł, wszelako oficer jeszcze ze mną nie skończył.

– Rekiny w tych wodach żerują często, mości Kutazwisie. Za statkami pływają, czekając

na przedni kąsek. Widziałem kiedyś, jak jeden żarł pasażera. Ów, jak pan, o bezpieczeństwo własne nie dbał i za burtę wypadł. Słyszeliśmy krzyki. Żarłacze ludojady figlują z obiadem, z wolna podjadają, tu nóżkę skubną, ówdzie co insze, a tamten nieszczęśnik żył dłużej, niżbyś pan mniemał. Rozważ to pan. – Drzwi mej trumny zamknął. Boerhaave, jak wszyscy gbury i despoci, szczyci się, iż tak znienawidzonym jest, że aż mu to rozgłosu przydaje.

Sobota, 16 listopada ~

Losu zrządzeniem największa z nieprzyjemności na mnie spadła w całej mej dotychczasowej podróży! Cień Starego Rekohu pchnął mnie, którego jedynym pragnieniem są spokój i dyskrecja, pod pręgierz podejrzeń i plotek! A jednak przewina moja w tym tylko, co się tyczy ufności chrześcijańskiej i nieubłaganej złej fortuny! Miesiąc do dnia upłynął, odkąd Nową Południową Walię opuściliśmy, gdym zapisał owo pogodne zdanie: „Antycypuję nudną podróż, niezakłóconą niczym”. Jakżeż wpis ten drwi teraz ze mnie! Nie zapomnę nigdy ostatnich godzin ośmnastu. Wszelako, skoro spać nie mogę ani myśleć (a Henry już w pościeli), jedyną mą od bezsenności ucieczką jest Szczęścia zaklęcie na tych współczujących stronicach.

Nocy zeszłej do mej trumny wróciłem „umęczon jak pies”. Po modlitwy zmówieniu zdmuchnąłem lampę i miriadą głosów kołysany zapadłem w płycizny snu, gdy ochrypli głos w *trumnie mej!* mię zbudził i oczy me szeroko rozwarł w przestraszu!

– Pan Ewing – zaklinał nagłący szept – pan nie boi, pan Ewing, nie krzywda, proszę, nie krzyczy.

Podskoczyłem mimowolnie i głową o gródź wałnąłem. Przy bursztynowej poświacie sączącej się przez spaczoną drzwi i przy gwiazd blasku wpadającym przez bulaj ujrzałem, jak wąż liny ze zwoju się rozwija i oswobadza się kształt czarny, jak zmarły przy Ostatniej Trąbie! Potężna ręka wychynęła z ciemności i usta me zakryła, nimem zdążył głos wydać! Napastnik mój syknął:

– Pan Ewing, nie ma krzywdy, pan bezpieczny, ja znajomy pan D’Arnoq – on chrześcijanin – pan cicho będzie, proszę!

Rozsądek nareszcie zebrał siły przeciw strachom. Człek to, nie duch żaden, w mej kajucie się skrywał. Jeśliby chciał gardło me poderżnąć za nakrycie głowy, buty i puzdro z papierami prawnymi, już bym nie żył. Jeśli mój strażnik ukrytym pasażerem był, toż on szczególnie, nie ja, o życie bać się winien. Po jego mowie nieociosanej, po lekkiej posturze i po woni Indianina w nim poznawałem, samotnego na łodzi z Białymi w liczbie pięćdziesięciu. Zgoda. Kiwnąłem głową z wolna dla dania znaku, że nie będę krzyczeć.

Ostrożna dłoń uwolniła me usta.

– Ja Autua – powiedział. – Ja znam pana, pan mię widział, pan lituje.

Zapytałem, o czym mówi?

– Bat Maorysa, pan widział.

Pamięć zwyciężyła nad dziwacznością sytuacji i przypomniałem sobie Moriori batożonego przez „Króla Jaszczurów”. To mu dodało otuchy.

– Pan dobry człowiek – pan D’Arnoq powiada, że pan dobry człowiek – on ukrył mię w pana kabinie wczoraj wieczór – ja uciekłem – pan pomoże, pan Ewing.

Z wnętrza mego jęku się dobyłem! I jego dłoń me usta przykryła na nowo.

– Jak pan nie pomoże, ja trup.

Wszystko prawda, pomyślałem, a nadto, za sobą mnie na dno pociągniesz, jeśli kpt. Molyneux o mej niewinności przekonać nie zdoła! (Płonałem z oburzenia na czyn kaznodziei i nadal płonę. Niechaj sam dla siebie zachowa swe „sprawy słuszne” i zostawi niewinnych przechodniów w pokoju!). Rzekłem Indianinowi, że już teraz „on trup”. „Wieszczka” statkiem była handlowym, nie zaś tajemną „koleją podziemną” dla ocalonych niewolników.

– Ja dobry marynarz – nalegał Negr. – Zapracuję podróż!

– Znakomicie – odrzekłem (z wątplenia pełen o jego zapewnieniach w materii żeglarskiego rodowodu) i upraszałem, by niezwłocznie w łaskę kapitana się oddał.

– Nie. Oni nie słuchają. „Płyn z powrotem, Negr”, mówią i rzucają mię w morze. Pan prawnik, tak? Pan idź, pan mów. Ja tu będę, ja schowam! Proszę. Kapitan słucha pan Ewing. Proszę.

Próżno przekładałem mu, że żadnemu wstawiennictwu kpt. Molyneux nie był mniej przychylny, jak pochodzącemu od Jankesa Adama Ewinga. Moriori samotnym był w swej przygodzie i nie pragnąłem w niej udziału. Dłoń jego moją nalazła i z konsternacją poczułem, jak me palce zaciska wokół rękojęści noża. Stanowcze i ponure żądanie wyraził.

– Pchnij mię. – Ze spokojem przerażającym i pewnością przyłożył sztych do gardła.

Powiedziałem Indianinowi, że szalonym jest.

– Nie szalony, jak pan nie pomoże, to pan mnie tak samo zabije. Pan wie, to prawda. – (Zaklinałem go, aby wstrzeźliwy był i wyrozumiały). – To zabij mię. Inszym mów: ja napadłem i pan zabił. Ja nie dla ryb, pan Ewing. Lepiej tu umrzeć.

Klnąc me sumienie raz, los mój dwakroć, a trzykroć pana D’Arnoq, prosiłem, by nóż schował i, na niebiosa, skrył się, by nikt z załogi nie usłyszał go i do drzwi nie załomotał. Z kapitanem przyrzekłem porozmawiać przy śniadaniu, bo sen mu teraz przerywać to pograżać całe przedsięwzięcie. Indianin kontent się poczuł i dziękować mi zaczął. Na powrót w zwoje liny się wsunął, mię zostawiając z niemożliwym omal zadaniem ułożenia linii obrony Aborygena ukrytego na pokładzie angielskiego szkunera, bez ściągnięcia na jego odkrywcę i kompana

z kabiny o konspirację oskarżeń. Oddech poganina rzekł mi, że zasnął. Kusilo mię do drzwi się rzucić i o pomoc krzyżeć, wszelako w oczach Boga słowem się związałem, nic to, że z Indianinem.

Kakofonia trzeszczących desek, masztów rozchwianych, naprężanych lin, łopocących płócien, stóp na pokładzie, beczenia kóz, chrobotu szczurzego, uderzeń pomp, dzwonów wachty dzielących, bijatyk i śmiechów z kubryku, komend, szant przy kotwicznej windzie i odwiecznego dominium Tetydy; wszystko mię kołysało, gdym kalkulował, jak najlepiej przekonać kpt. Molyneux o mej niewinności w spisku pana D'Arnoq (muszę teraz czujniejszym być, niżli kiedykolwiek bądź, aby dziennika tego nieprzyjazne oczy nie czytały), gdy wrzask falsetem, co w oddali się począł, ale z prędkością bełta z kuszy się przybliżał, uciszyły deski pokładu, o cale zaledwie od miejsca, gdzie leżał.

Taki koniec fatalny! Na brzuchu leżałem, w szoku, zeszywniały, zapominając oddychać. Okrzyki podniosły się dalej i bliżej, kroki zebrały się w miejscu i larum „Doktora Goose’a budzić!” podniesiono.

– Biedak z lin spadł, trup. – Indianin wyszeptał, gdym śpieszył zbadać ambaras. – Nic pan możliwości nie ma, pan Ewing. – Nakazałem mu w ukryciu pozostać i wyszedłem pośpiesznie. Mniemam, że Indianin wyczuł, jak kusilo mię użyć okazji wypadku i go wydać.

Załoga stała wokół człowieka u podstawy środkowego masztu twarzą do dołu leżącego, w migotliwym świetle lampy poznałem jednego z Kastylijczyków. (Przyznam, że emocją, jaką wprzód poczułem, ulga była, że nie Rafael, a inszy spadł po swą śmierć). Podśluchałem, jak Islandczyk mówił, że zmarły od ziomeków w karty wiele racji araku wygrał i cały go wypił przed wachtą. Henry przybył w koszuli nocnej z doktorskim sakwojażem. Przykląkł przy bezładnym ciełe, puls szukał, ale głową pokręcił.

– Ten już doktora nie potrzebuje.

Pan Roderick Kastylijczyka buty zzuł i z odzienia go rozebrał na aukcję, a Mankin trzeciorzędne płótno workowe przyniósł na całun nieboszczyka. (Pan Boerhaave odliczy płótno od intraty z aukcji). Marynarze do kubryku lub na posterunki swe powrócili w ciszy, każdy posepny po takim dowodzie kruchości żywota. Henry, pan Roderick i ja zostaliśmy popatrzeć, jak Kastylijczycy odprawiają swe pogrzebowe obrzędy katolickie nad swym krajanem przed zawinięciem go w płótno i oddaniem jego ciała głębinie ze łzami i bolesnym *adios!*

– Południowcy namiętni – zauważył Henry, gdy mi dobrej nocy życzył.

Pragnąłem ogromnie sekretem mym podzielić się z przyjacielem, wszelako ugryzłem się w język, aby moja gadatliwość jemu szkody nie przyniosła.



Po scenie owej melankolicznej wracając, ujrzałem blask lampy w kambuzie. Śpi tam Finbar dla „pilnowania przed złodziejaskami”, ale jego także zbudził nocny harmider. Przypomniałem sobie, że ukryty podróżny pewnie dzień cały i pół nie jadł, i obaw pełen byłem,

do jakich to bestialskich nieprawości mógł barbarzyńcę żołądek czyzy przymusić. Czyn ten mógł przeciw mnie przemawiać dnia następnego, ale kucharzowi rzekłem, że głód wilczy odbierał mi sen i (po cenie dwakroć zwykłej „na okoliczność niecodziennej pory”) zdobyłem talerz kapusty kwaszonej, kielbasy i bułek twardych jak kule armatnie.

W prywatności mej kabiny barbarzyńca podziękował mi za poczciwe serce i pożywił się wiktem skromnym, jakby daniem było z Prezydenckiego Rautu. Prawdziwych mych motywów nie wyznałem – wszak im żołądek jego pełniejszy, tym mniej skłonny był mnie kosztować – ale zapytałem go za to, czemu przy batożeniu uśmiechnął się był do mnie.

– Ból mocny, ale przyjaciela oczy mocniejsze.

Rzekłem mu, że o mnie nic bez mała nie wie, a i ja nic o nim. W oczy me palcem wymierzył, poczem we mnie, jak gdyby ów gest prosty starczał za całą eksplikację.

Gdy upływała wachta środkowa, wiatr silniejszy się zerwał, od którego deski jęczały, a wzburzone morze obmywało pokłady. Woda morska niebawem do mej trumny kapać zaczęła, po ścianach ciekąc strużkami i koc mój mocząc.

– Mógłbyś być na kryjówkę wybrać sobie suchszą dziurę – wyszeptałem dla zbadania, czy Indianin w sen zapadł.

– Bezpiecznie lepiej niż sucho, pan Ewing – wymamrotał, równie jak ja czujny.

Dlaczego, zapytałem, tak go okrutnie w indiańskim siole bito?

Cisza zapadła, jakby makiem zasiał.

– Nazbyt dużo świata widział. Ja zły niewolnik.

Dla odgonienia choroby morskiej w czas tych burzliwych godzin, nakłoniłem Indianina, by swą historię wyjawiał. (Nie mogę, co prawda, zaprzeczyć, że też był ciekaw). W swej łamanej mowie ją przedstawił, tutaj więc jedynie sedno jej wyłożę.



Statki Białych losu zmienne koleje sprowadziły na Stare Rekohu, jak powiadał pan D'Arnoq, lecz także i cuda. W dziecięcych latach mego Indianina Autua tęsknił więcej się nauczyć od owych bladokórych ludzi z miejsc, których istnienie w czasach jego dziada do dziedziny mitów przynależało. Autua utrzymuje, że ojciec jego był wśród tych tubylców, co napotkali ekspedycję porucznika Broughtona przybijającą do brzegu Skirmish Bay, i dzieciństwo spędził, wysłuchując historii wciąż na nowo opowiadanych – o „Wielkim Albatrosie” wiosłującym w porannej mgłę; o jego barwnie upierzonych, cudacznie złączonych sługach, co w kanu ku brzegowi tyłem płynęli; o paplaninie dziwnej sług Albatrosa (mowie ptaków?); o ich zianiu dymem; o ich ohydny gwałceniu *tapu*, co zakazuje obcym kanu dotykać (dotyk taki klątwę na łodzie sprowadza i niezdatnymi czyni je do pływania, jakby je toporem tknąć); o wynikłych zwadach; o owych „grzmiących kijach”, których gniew magiczny zabić

mógł człowieka przez długość przybrzeżnego piasku; i o przepasce jak ocean błękitnej, białej jak obłok i czerwonej jak krew, którą słudzy owi na drągu zatknęli, nim powiosłowali na powrót do Albatrosa. (Flagę tę usunięto i przyniesiono wodzowi, który dumnie obnosił ją, aż go żołrzy^[6] zabrały ze świata).

Autua miał wuja, Koche, który na pokład bostońskiego poławiacza fok się zaciągnął *circa* 1825 roku. (Indianin nie jest pewnym w materii swego dokładnego wieku). Moriori cenionych członków załogi na statkach takich stanowili, bo w miejsce biegłości w sztuce wojny mężczyźni Rekohu „włócznie zdobywali” w polowaniach na foki i wyczynach w pływaniu. (Dla starania się o żonę, *per exemplum*, kawaler musiał na samo dno morza zanurkować i wynurzyć się z langustami w obiedwu rękach, a trzecią w ustach trzymając). Nowo odkryci Polinezyjczycy, wzmiankować należy, łatwą są ofiarą dla pozbawionych skrupułów kapitanów. Wuj Autuy, Koche, powrócił po pięciu latach, w stroje *Pakeha* odziany, z kołami w uszach, skromną dolarów i *reales* sakiewką, dziwnymi obyczajami opętany (śród nich „zianiem ogniem”), brzmiącymi fałszywie przekleństwami i historiami o miastach i miejscach nazbyt dziwacznych dla nakreślenia ich w mowie Moriori.

Autua poprzysiął zamustrować na następny statek, co z Ocean Bay będzie wypływał, i na oczy własne owe miejsca egzotyczne zobaczyć. Wuj jego nakłonił drugiego oficera na francuskim statku wielorybniczym do zgodzenia dziesięcioletniego (?) wonczas Autuy na chłopca okrętowego. W swej karierze na morzach Moriori wielkie lody Antarktyki oglądał, wieloryby zmienione wprzód w wysepki krwi zakrzepłej, potem w beczki olbrotu. Na Las Encantadas, osłoniętych od wiatrów, polował na olbrzymie żółwie; w Sydney widział budowle wspaniałe, parki, konne powozy i damy w czepkach, i cuda cywilizacji; opium z Kalkuty do Kantonu przewoził; przetrwał dyzenterię w Batawii; pół ucha stracił w potyczkach z Meksykanami przed ołtarzem w Santa Cruz; przeżył jako rozbitek na Hornie i Rio de Janeiro widział, lubo na brzeg nie zszedł; a zauważał wszędzie tę ordynaryjną brutalność, jaką rasy jaśniejsze ciemniejszym okazują.

Autua powrócił latem 1835 roku jako w świecie bywały młodzieniec lat około dwudziestu. Myślał wziąć sobie na miejscu żonę i dom wybudować, i uprawiać kilka akrów, wszelako – podług pana D’Arnoq relacji – do przesilenia zimowego owego roku każdy Moriori, co nie zginął, niewolnikiem został Maorysów. Lata przez powracającego młodziana śród załóg z narodów wszelkich spędzone pozycji Autuy w oczach agresorów nie podniosły. (Zauważyłem, w jak przykrym czasie odbył się ów powrót syna marnotrawnego).

– Nie, pan Ewing, Rekohu *wolało* mię wracać, żebym *patrzył*, jak umiera, i znał – poklepał się lekko po głowie – *prawdę*.

Panem Autuy był ów Maorys w tatuażach jaszczurzych, Kupaka, co swym przerażonym, przybitym niewolnikom oznajmił, że przybył dla oczyszczenia ich z fałszywych bożków („Czy bogowie wasi was uratowali?” – szydził Kupaka), z ich języka plugawego („Mój bat was maoryskiej czystej mowy nauczył”), z ich krwi nieczystej („Parzenie się między sobą wasze prawdziwe *mana* rozrzedziło!”). Od tamtej pory związków między Moriori zakazano, a wszelkie potomstwo spłodzone przez mężczyzn maoryskich z kobietami Moriori uznano za Maorysów. Tych, co najwcześniej owe nakazy złamali, zgładzono w sposób straszliwy, a ci, co pozostali, żyli jak w paraliżu, z bezwzględnej ujarzmienia zrodzonym. Autua karczował zarośla, sadił

pszenicę i hodował wieprze dla Kupaki, aż wystarczające zdobył zaufanie, by móc gotować ucieczkę. („Sekretne miejsca Rekohe, pan Ewing, doliny wyżej źródła, ukryte doły, pieczary w sercu lasu Motoporoporo, co tak gęsty, że pies człowieka nie wytropi”. Mniemam, że sam wpadł w jedno z owych miejsc tajemnych).

Rok później schwymano go, wszelako niewolnicy Moriori nazbyt nieliczni już byli, by ich gardłem karać. Pozycją niżsi Maorysi pracować przymuszeni byli u boku poddanych, ku własnej odrazie. („Ziemie przodków naszych w Aotearoa porzuciliśmy dla tych nędznych skał?” – sarkali). Autua uciekł znowu, a podczas jego drugiego wolności okresu, sekretnego azylu na miesiąc kilka udzielił mu pan D’Arnoq, sam narażając się na niebezpieczeństwo niemałe. Podczas tego pobytu przyjął Autua chrzest i ku Panu się zwrócił.

Zbiry Kupaki pojмали zbiega rok i pół później, wszelako tym razem kacyk w swych humorach uznanie przejawiał dla ducha Autuy. Po ukaraniu chłostą Kupaka wyznaczył niewolnika na rybaka dla potrzeb swego stołu. W zatrudnieniu takim Moriori kolejny rok przeżył, aż popołudnia pewnego znalazł rzadki okaz ryby *moeeka* rzucający się w jego sieci. Żonie Kupaki objaśnił, że rybiego króla jeść może jedynie król wśród ludzi, i objaśnił ją, jak rybę dla męża przyrządzić. („Zła, zła trucizna ryba *moeeka*, pan Ewing, raz człowiek do ust bierze i śpi, i nie budzi więcej”). Na czas ucztowania owego wieczoru Autua z obozu się wymknął, skradł kanu swego pana i pokreślonym prądami, rozkołysanym, bezkiszycowym morzem powiosłował na bezludną wyspę Pitt, dwie mile na południe od wyspy Chatham („Rangiauria” zwaną w mowie Moriori i jako kolebkę ludzkości czczoną).

Fortuna sprzyjała uciekinierowi, bo bez turbacji o świcie cel osiągnął, kiedy szkwał się wzmógł i żadne kanu za nim w ślad nie podążyło. Autua w owym Raju Polinezji dzikim selerem się żywił, rzeżuchą, jajami, jagodami i z rzadka upolowanym młodym dzikiem (rozniecanie ognia jedynie pod osłoną ciemności lub mgły ryzykował) i siłę czerpał z myśli, że Kupakę przynajmniej zasłużona kara spotkała. Czy jego samotność nie była mu nieznośną?

– W noc przodkowie odwiedzali. W dzień ja mówił ptakom o Maui, a ptaki mnie o morzu.

Porę roku niejedną zbieg tak przeżył, aż do września minionego, gdy zimowa wichura o rafę wyspy Pitt rozbiła statek wielorybiczny „Eliza” z Nantucket. Załoga cała potonęła, ale nasz pan Walker, zapamiętały w pogoni za łatwą gwineą, przez cieśninę się przeprowił dla poszukiwań łupu. Kiedy na ślady ludzkiego siedliska natrafił i ujrzał stare kanu Kupaki (każde zdobne jest unikatowymi rzeźbieniami), wiedział, że skarb znalazł, co żywo zaciekawo jego maoryskich sąsiadów. Dwa dni później duża ekspedycja na łowy na wyspę Pitt przepłynęła z głównego łądu. Autua siedział na plaży i jak przybywają patrzył, zdębiały jedynie na widok wroga swego starego, przyprószonego siwizną, lecz żywotnego wielce, wydającego wojenne okrzyki.

Mój nieproszony towarzysz podróży zakończył swą opowieść:

– Pies żarłok tego łajdaka zwał *moeeka* z kuchni i zdechl, psiakrew, on, nie Maorys. Tak, Kupaka wychłostał, ale on stary i od domu daleko, a jego *mana* czczy i głodne. Maorysi z wojen żyją i zemsty, i sporów, póki ich zabija. Wielu do Nowej Zelandii wraca. Kupaka

możności nie ma, jego ziemi nie ma. Potem zeszły tydzień, pan Ewing, ja pana widzę i ja wiem, pan mię uratuje, ja wiem.



Poranna wachta w dzwon cztery razy uderzyła i świt dżdżysty zarysował się w mym bulaju. Spałem nieco, wszelako modlitwy me o zniknięcie Moriori z nastaniem ranka nie zostały wysłuchane. Udawać mu nakazałem, że ledwie co był się ujawnił, i nie wzmiankować ni słowem naszej nocnej rozmowy. Dał znak, że pojął, lecz najgorszego się obawiałem: spryt Indianina nie mógł się z przebiegłością Boerhaavego równać.

Idąc wzdłuż mostka, skręciłem („Wieszczka” wierzgała jak koń jaki nieujeżdżony) do oficerskiej mesy, zapukałem i do środka wszedłem. Pan Roderick i pan Boerhaave słuchali kpt. Molyneux. Odchrząknąłem, życząc im dobrego poranka, na co nasz przyjazny kapitan zaklął:

– Możesz pan mój poranek polepszyć, jak pan stąd wy–isz, ale już!

Chłodno zapytałem, *kiedy* zatem kapitan miałby możliwość czas należeć dla posłuchania o Indianinie, co właśnie personę swą spod zwojów liny był ujawnił, w „mej tak zwanej kabinie” zalegających. W ciszy, co nastąpiła, błada jak u rogatej jaszczurki cera kpt. Molyneux przybrała krwistą barwę wołowej pieczeni. Nim wybuch nastąpił, dodałem, że uciekinier twierdzi, jakoby marynarzem był zdatnym, i upraszał, by pozwolenie mu dano podróż odpracować.

Pan Boerhaave kapitana uprzedził spodziewanymi oskarżeniami i zakrzyknął:

– Na holenderskich statkach ci, co ukrytym pasażerom sekundują, ich los dzielą!

Przypomniałem Holendrowi, że żegluję pod banderą brytyjską, i zapytałem go także, czemu, jeśli pasażera pod zwojami liny ukrywać miałbym, po *wielokroć* upraszałem od czwartkowego wieczoru linę ekstraordynaryjną usunąć, błagając tym sposobem o ujawnienie mej rzekomej „konspiracji”? Trafienie celne rezon mój zagrzało i zapewniłem kpt. Molyneux, że ukryty pasażer, ochrzczony, do owego *extremum* się uciekł, aby jego maoryski pan, co przyrzekł był ciepłą wątrobę swego niewolnika skonsumować (przydałem nieco przypraw własnej wersji wydarzeń), nie skierował bezbożnego swego gniewu przeciw Autuy zbawcy.

Pan Boerhaave zaklął.

– Więc ten Negr przeklęty okazania *wdzięczności* chce od nas?

– Nie – odrzekłem. – Moriori jedynie o danie mu szansy wykazania swej przydatności na „Wieszczce” uprasza.

Pan Boerhaave splunął.

– Ukryty pasażer to ukryty pasażer, choćby i bryłkami srebra s–ł. Jak mu na imię?

Odrzekłem, że nie wiem tego, gdyż nie rozmawiałem z nim, jeno pośpiesznie do kapitana przybyłem.

Kpt. Molyneux nareszcie przemówił.

– Zdatny marynarz pierwszej klasy, powiadasz pan? – Gniew jego ostygł wobec widoków zdobycia pary rąk cennej, której nie będzie winien zapłaty. – Indianin? A on niby skąd taki stary wyga morski?

Powtórzyłem, że i dwóch minut dość dla dziejów jego poznania, wszelako instynkt mi podszeptuje, że Indianin ma duszę prawą.

Kapitan brodę potarł.

– Panie Roderick, bądź pan łaskaw pasażerowi naszemu i instynktowi jego towarzyszyć i przywlec ich dzikusa pod bezan. – Rzucił klucz pierwszemu oficerowi. – Panie Boerhaave, flintę proszę.

Drugi oficer spełnił rozkaz.

– Ryzykowna sprawa – ostrzegł mię pan Roderick. – Humory Starego jedyną są księgą prawa na „Wieszczce”.

– Insza księga prawa, „Sumieniem” zwana, przestrzegana jest *lex loci*, gdziekolwiek bądź Bóg widzi – odrzekłem.

Autua czekał swej próby w bawełnianych ineksprymablach, którem kupił był w Port Jackson (Indianin na pokład z łodzi pana D’Arnoq dostał się był niczym nieprzyodziany prócz swej prostej przepaski i sznura zębów rekina wokół szyi). Plecy miał odkryte. Jego poranione ciało, jak miałem nadzieję, dowód stanowić będzie oporu i obudzi współczucie w sercach tych, co je zobaczą.

Łotry za arrasem^[7] wieści rozniosły o widowisku i większość załogi na pokładzie się zebrała. (Henry, sprzymierzeniec mój, nadal w koi leżał, nieświadom mego zagrożenia). Kpt. Molyneux wzrokiem zmierzył z góry na dół Moriori, jakby muła wyceniał, i zwrócił się doń w te słowa:

– Pan Ewing, co *niczego* nie wie o tym, jakieś się na pokład mój dostał, utrzymuje, że masz się za żeglarza.

Autua mężnie i z godnością odrzekł:

– Tak, sir, dwa lata na wielorybniku „Missisipi” z Hawru pod kpt. Maspero, cztery lata na „Cornucopii” z Filadelfii pod kpt. Catonem, trzy lata na brytyjskim handlowcu.

Kpt. Molyneux przerwał i wskazał portki Autuy.

– Zwędziłeś ten ubiór na dole?

Autua na tyle przytomności miał, by wiedzieć, że także nade mną sąd się odbywał.

– Ten chrześcijanin szlachetny dał mi, sir.

Załoga wzrokiem powiodła za palcem Indianina, we mnie wymierzonym, a pan Boerhaave uderzył w słaby punkt.

– Ach, tak? *Kiedyż* to dar ten ci ofiarował?

(Przez głowę aforyzm ojca mego mi przeszedł, „Dla sędziego ołgania, markuj zachwyty, ale dla całego sądu zbałamucenia, markuj nudę”, i udawałem, że paproch wyjmuję z oka).

Autua odrzekł z czujną bystrością umysłu:

– Minut dziesięć temu, sir, ja bez ubrania, ten pan szlachetny mówi: „źle bez ubrania, masz, odziej”.

– Jeśli marynarz z ciebie – nasz kapitan kciukiem w górę wskazał – zobaczmy, czy opuścisz grotbombramsel.

Na to Indianina wahanie ogarnęło i niepewność, i poczułem, że na szczerość słów jego postawił stawkę szaleńca, co teraz przeciw mnie się obraca, jednakże Autua dostrzegł pułapkę.

– Sir, to nie grotmaszt, to bezanmaszt.

Nieporuszony, kpt. Molyneux skinął głową.

– Łaskaw bądź zatem opuścić bezanbombramsel.

Autua lekko na maszt wbiegł i jałem mieć nadzieję, że nie wszystko stracone jeszcze. Ledwie co weszło słońce nisko nad wodą świeciło i oczy przymuszeni byliśmy zmrużyć.

– Gotuj flintę i mierz – poinstruował kapitan pana Boerhaavego, gdy Indianin przekroczył gafel bezanmasztu – pal na mą komendę!

Zaprotestowałem teraz z największą mocą, że Indianin przyjął był najświętszy sakrament, wszelako kpt. Molyneux nakazał mi cicho być albo na powrót do Chathamów płynąć. Żaden amerykański kapitan człowieka by nie uśmiercił, nawet Negra, tak ohydny sposobem! Autua najwyższej z rei sięgnął i przeszedł po niej z małpią zręcznością, mimo niespokojnego morza. Patrząc, jak żagiel luzuje, jeden z największych wyg morskich na pokładzie, surowy Islandczyk, spokojny, uczynny i pracowity człek, podziw wyraził przy wszystkich zebranych obecności:

– Z ciemnoskórego równy mnie wyga. U stóp miast palców haczyki ma rybackie!

Taka wdzięczność mię ogarnęła, że mogłem buty jego całować. Niedługo Autua cały już

żagiel opuścił – operacja niełatwa nawet dla czterech ludzi załogi. Kpt. Molyneux burkliwie wyraził uznanie i nakazał Boerhaavemu flintę schować.

– Ale niech mię sz–g, jeśli bodaj centa mu wypłacę. Odrabiać będzie podróż aż do Hawajów. Jeśli z niego nie próżniak, dopiero stamtąd płacić mu mogę, jak wszystkim. Panie Roderick, pozwolenie ma dzielić koję po Hiszpanie, co się zabił.

Pióro stępiłem, opisując dnia wypadki. Nazbyt ciemno już, by co widzieć.

Środa, 20 listopada ~

Silna wschodnia bryza, diablo słońca i dręcząca. Henry badanie przeprowadził i ma dla mnie wieści groźne, lecz nie najgroźniejsze. Przypadłość ma to pasożyt *Gusano Coco Cervello*. Robak ten endemicznie zarówno w Melanezji, jak i w Polinezji występuje, wszelako nauce jest znanym ledwie od ostatnich lat dziesięciu. Mnoży się w ściekach cuchnących Batawii, bez wątpienia w owym właśnie porcie się zaraziłem. Do wnętrza przyjęty, wędruje naczyniami krwionośnymi do *cerebellum anterior* mózgu żywiciela. (Stąd migreny me i zawroty głowy). W mózgu się zagnieżdżwszy, wkracza w fazę rozwoju.

– Realista z ciebie, Adamie – rzekł mi Henry – zatem pigułki dla ciebie niesłodkie będą. Gdy larwy pasożyta się wyklują, zamieniają mózg ofiary w zrobaczywiały kalafior. Gazy gnilne powodują nadymanie się usznych bębenków i gałek ocznych, aż pękną, uwalniając chmurę zarodników *Gusano Coco*.

Tak brzmi mój wyrok śmierci, lecz oto egzekucji wstrzymanie nadchodzi i apelacja. Domieszka *urussium alkali* i *orinoco manganese* sprawi, że mój Pasożyt zwapnieniu ulegnie, a *laphrydisium myrrhae* go rozpuści. „Apteczka” Henry’ego zawiera owe związki, lecz najwyższą wagę ma odpowiednie dozowanie. Mniej jak połowa drachmy z *Gusano Coco* nie oczyści, a więcej zabija pacjenta. Mój doktor ostrzega o tym, że gdy pasożyt umiera, jego worki z trucizną pękają i wydzielają swą zawartość, będę się więc gorzej czuł, nim do pełnego zdrowia powrócę.

Henry nakazał mi nie szepnąć ni słowa o przypadłości, bo hieny, jak Boerhaave, na wrażliwych żerują, a ciemni marynarze mogą wrogość okazać wobec chorób im nieznanych. („Słyszałem raz o żeglarzu, który lekkie objawy trądu zdradzał, w tydzień po wypłynięciu z Makao w długi rejs do Lizbony” – wspomniał Henry – „a całe towarzystwo wypchnęło nieszczęśnika za burtę bez szansy obrony”). W czasie mej rekonwalescencji Henry donosić będzie „Kurierowi z kambuza”, że pan Ewing niewysoko gorączkuje za przyczyną klimatu i sam będzie mię pielęgnował. Henry zachnął się, gdym wspomniał o zapłacie.

– Zapłata? Czyś ty chorowity wicehrabia, któremu bankowe bilety poduszki wypychają?! Opatrzność podała cię w mą opiekę, bo wątpię, zali bodaj pięciu ludzi na tym oceanie błękitnym potrafi cię wyleczyć. Zatem do licha z „Zapłatą”! Jedyne, o co upraszam, Adamie, to byś był pacjentem posłusznym! Przyjmuj łaskawie me proszki i w kabinie pozostań. Zajrzę do ciebie po ostatniej „szklance”.

Z doktora mojego prawdziwy nieoszlifowany diament bez skazy. Nawet teraz, gdy słowa te piszę, do oczu łyzy wdzięczności mi się cisną.

Sobota, 30 listopada ~

Proszki Henry'ego zaiste cudownym są medykamentem. Cenne drobiny przez nos wdycham z łyżeczki z kości słoniowej i w tejże samej chwili rozżarzona błogość wnętrza me pali. Zmysły czujności nabierają, ale członki niby w Lete zanurzone. Parazyt mój nadal wije się nocami, niby paluszek dziecka nowo narodzonego, spazmy bólu wzbudzając i sprowadzając sny grzeszne i potworne.

– Znak to pewny – Henry mię pociesza – że Robak twój na remedium zareagował i szuka schronienia w zakamarkach kanałów cerebralnych, skąd wizje płyną. Próżno *Gusano Coco* się kryje, drogi Adamie, próżno. Już my go wykurzimy.

Poniedziałek, 2 grudnia ~

Za dnia w trumnie mej gorąco jak w piecu i stronice te pot mój skrapia. Tropikalne słońce wielkość kręgu zwiększa i wypełnia południowe niebo. Mężczyźni w północy pracują, ze spalonymi od słońca torsami, w kapeluszach słomkowych. Z poszycia sączy się smoła paląca, co się do podeszew przykleja. Deszczowe szkwały zrywają się znikąd i z równą szybkością znikają, a pokład schnie z sykiem w minutę ledwie. Meduzy bąbelnice pulsują w rtęciowym morzu, ryby latające oczarowują patrzającego, a ochrowe cienie rekinów młotów krążą wkoło „Wieszczy”. Wcześniej na kałamarnicę nastąpiłem, co z wody przeskoczyła nadburcie! (Jej oczy i gęba teścia mego przypominały). Woda, której na Chatham nabraliśmy, słonawa się zrobiła i bez łyka brandy żołądek mój podnosi bunt. Gdy w szachy nie gramy, już to w kabinie Henry'ego, już to w mesie, w trumnie mej wypoczynku zażywam, aż Homer ukołysze mię do snu, falującego wypełnionymi wiatrem żaglami Ateńczyków.

Autua wczoraj do drzwi mej trumny zapukał dla podziękowania mi za ocalenie mu skóry. Mówił, że winien mi wdzięczność (szczerą prawdą), aż do dnia, gdy *on* me życie ocali (co oby nigdy konieczne nie było!). Zapytałem, jakimi znajduje swe nowe obowiązki.

– Lepiej jak służyć u Kupaki, pan Ewing.

Zresztą, pojmując obawy me, że ktoś świadkiem mógłby być pogawędki naszej i kpt. Molyneux donieść, Moriori powrócił do kubryku i od tamtej pory mię nie szukał. Jak mię Henry ostrzega: „Jedną rzeczą jest Negrowi kość rzucić, a inszą całkiem na całe życie go wziąć! Przyjaźń między rasami, Ewing, nigdy przywiązania między wiernym psem myśliwskim a jego panem nie przekroczy”.

Wieczorami doktor i ja zażywamy spaceru po pokładzie, nim na sen wrócimy do kajut.

Przyjemnie wdychać chłodniejsze już powietrze. Wzrok się w korytarzach morskiej fosforescencji zatracza i w Missisipi całej gwiazd, niebem płynącej. Minionego wieczoru ludzie zebrali się na pokładzie dziobowym dla splatania przy świetle latarń lin z kokosowych włókien i zakaz wchodzenia „niezatrudnionym” wydawał się nie obowiązywać. (Odkąd nastąpił „incydent z Autuą”, pogarda dla „mości Kutazwisa” zanikła, a i sam epitet takż). Złamas dziesięć strof o burdelach świata zaśpiewał, plugawych dość, by najrozpuśniejszy z satyrów w pąsach stanął. Henry z własnej woli zaśpiewał strofę jedenastą („Mary O’Hairy z Invernary”), od której nastrój jeszcze nieprzyzwoitszy się zrobił. Następnie Rafaela do śpiewu przymuszono. Usiadł na belce od bukszprytu w bok idącej i zaśpiewał te strofy głosem lubo nieukształconym, to wszak szczerem i z serca płynącym:

Za wodą wzdycham Shenandoah

Cudniejszą niżli sen.

Dziś brzeg twój ku mnie tęskno woła,

Jam na Missouri hen.

Za Shenandoah ma pieśń w tęsknocie

Za wodą, za falami,

A u fregaty żagle w łopocie,

Brasy napięte wiatrami.

Wielka Missouri, szeroka rzeko,

Do wiatru reje drżą.

O, Shennandoah, losem człowieka

Żalność i marność są.

Milczenie grubiańskich marynarzy większym było uznaniem niżli najwznieślejse z panegiryków. Skąd Rafael, młodzian w Australii urodzony, na pamięć znał pieśń amerykańską?

– Nie wiedziałem, że ona Jankeśów – odrzekł skonfundowany. – Matka uczyła, nim pomarła. Tylko to jedno po niej mam. W duszy siedzi. – Do pracy swej powrócił, niezgrabnie i z szorstkością niejaka.

Wraz z Henrym na powrót wrogość wyczuliśmy, jaką emanują zajęci robotą wobec przyglądających się próżniaków, pozostawiliśmy więc pracujących ich mozołowi.

Wpis mój z 15 października czytam, gdym pierwszą razą Rafaela spotkał

Listy z Zedelghem

Château Zedelghem

Neerbeke

West Vlaanderen

29 – vi – 1931

Sixsmith,

śniłem, że stałem w sklepie z porcelaną, tak zastawionym od podłogi aż hen, wysoko pod sufit półkami pełnymi porcelanowych antyków, że lada ruch mięśniem zrzuciłby kilka z nich i roztrzaskał. I właśnie tak się stało, ale zamiast łoskotu rozległo się dostojne współbrzmienie wiolonczeli i czelesty w tonacji D-dur (?), trzymane przez cztery takty. Przegubem strąciłem z postumentu wazę z epoki Ming – Es-dur, cała sekcja smyczkowa, wspaniała, rozsadzająca umysł, aniołowie łkali. Tym razem, dla uzyskania następnej nuty, z rozmysłem roztrzaskałem figurkę wołu, potem dojareczki, potem „Sobotniego Dziecięcia” – orgia szrapneli wypełniła przestrzeń, boskie harmonie w mej głowie. Och, co za muzyka! Mignął mi ojciec obliczający wartość rozbitych przedmiotów, błyskała stalówka, ale nie mogłem dopuścić, by muzyka ucichła. Wiedziałem, że stałbym się największym kompozytorem stulecia, gdybym tylko potrafił tą muzyką zawładnąć. Ogromny „Śmiejący się Kawaler” ciśnięty o ścianę uwolnił dudniącą baterię bębnow.

Obudziłem się w apartamencie w Imperial Western, poborcy Tama Brewera prawie rozwalali mi drzwi i na korytarzu trwało okrutne zamieszanie. Nawet nie poczekali, aż się ogolę – niebawem prostaki z tych zbirów. Nie miałem wyboru, jak tylko szybko wydostać się na zewnątrz przez okno w łazience, nim cały ten rozgardiasz sprowadzi kierownika, który odkryje, że młody dżentelmen z numeru 237 nie ma środków na uregulowanie pokaźnych już zaległości. Ucieczka nie odbyła się bez komplikacji, przykro rzec. Rynna oderwała się od uchwyty z dźwiękiem gwałconych skrzypiec i twój druh, wywinąwszy koziółka, runął w dół. Na prawym pośladku jeden wielki siniak. Cudem jakimś nie zgruchotałem kręgosłupa i nie nabiłem się na balustradę. Wyciągnij z tego naukę, Sixsmith. Gdyś niewypłacalny, miej ze sobą jak najmniej rzeczy i walizę wystarczająco solidną, by rzucić ją na londyński chodnik z okna pierwszego czy drugiego piętra. Nie bierz pokoju wyżej.

Zaszyłem się w herbaciarni wciśniętej w czarny od sadzy zakamarek Victoria Station, próbując transkrybować muzykę ze sklepu z porcelaną ze snów – nie mogłem wyjść poza nędzne dwa takty. Oddałbym się w łapy Tama Brewera, byleby tę muzykę odzyskać. Czuję się podle. Robociarskie typy otaczały mnie z ich śmierzdzącymi oddechami, papuzimi głosami i niczym nieuzasadnionym optymizmem. Twardo na ziemię sprowadza myśl, jak jedna przeklęta noc

bakarata może tak nieodwołalnie zmienić status społeczny człowieka. Ci sklepikarze, szoferzy i straganiarze mieli więcej półkoronówek i miedziaków zachomikowanych w zatęchłych materacach w Stepney, niż mogę powiedzieć o sobie, Synu Duchownej Grubej Ryby. Miałem widok na uliczkę – ponurzy kopiści pędzili jak trzydziestki dwójki w *allegro* Beethovena. Czy obawiałem się ich? Nie, boję się być jednym z nich. Cóż warte wykształcenie, wychowanie i talent, jak się jest gołodupcem?

A jednak nadal nie mogę uwierzyć. Ja, Człek Caiusa¹⁸¹, balansuję na skraju ubóstwa. Przyzwoite hotele nie pozwalają mi teraz zadeptywać swoich holów. Nieprzyzwoite żądają z góry gotówki. Nie mam już dostępu do żadnego szanowanego stolika do kart po tej stronie Pirenejów. W każdym razie, podsumowałem, jaki mam wybór:

(i) Użyć mizernych funduszy na wynajem brudnego pokoju w jakiej kwaterze, wyblagać parę gwinei u Wuja Cecyla Ltd., uczyć afektowane panienki grać gamy i starym pannom szlifować technikę. Daj spokój. Jeśli potrafiłbym udawać uprzejmość wobec cymbałów, dalej podcierałbym tyłek profesorowi Mackerrasowi razem z innymi magistrantami. Nie, zanim to nawet głośno powiesz, nie mogę biec z powrotem do Ojczulka z jeszcze jednym *cri de cœur*. Potwierdziłoby to każde zatrute słowo, które o mnie wyrzekł. Raczej skoczę z mostu Waterloo i dam się sponiewierać Starej Matce Tamizie. Słowo.

(ii) Odnaleźć ludzi z Caiusa, podlizać im się i wprosić na letnie wczasy. Problematyczne, z tych samych przyczyn, co (i). Jak długo dałbym radę ukrywać wychudzony pugilares? Jak długo potrafiłbym unikać szponów ich litości?

(iii) Mógłbym odwiedzić bukmachera – ale jeśli przegram?

Przypomnisz mi pewnie, że sam się o to prosiłem, Sixsmith, ale daruj sobie swoją zadkę klasy średniej i jeszcze trochę trzymaj moją stronę. Przez całą długość zatłoczonego peronu zawiadowca ogłaszał, że pociąg do Dover na statek do Ostendy ma trzydzieści minut opóźnienia. Zawiadowca był jak krupier, wzywał mnie, by podwoić stawkę albo wyjść z gry. Jeśli zamrzeć w bezruchu, siedzieć cicho i słuchać – świat sam przesieje dla człowieka jego własne pomysły, szczególnie na brudnym dworcu w Londynie. Jednym haustem dopiłem mydlaną herbatę i udałem się przez halę dworcową do kasy po bilet. Powrotny do Ostendy był zbyt drogi – w tak opłakany stan popadłem. Wsiadłem do wagonu w chwili, gdy gwizd lokomotywy wyrzucił gwałtownym wybuchem rój Furii na pikolo. W końcu ruszyliśmy.

Wyjawić teraz trzeba mój plan, do którego natchnął mnie pewien tekst w „Timesie” i długi pijacki sen w apartamencie w Savoyu. W Belgii, na prowincji, na południe od Bruges, mieszka z dala od ludzi pewien angielski kompozytor nazwiskiem Vyvyan Ayr. Nie słyszałeś o nim, boś muzyczny prostak, lecz jest on jednym z wielkich. Jedyne Brytyjczyk swego pokolenia, który odrzucił patos, pompę i rustykalny wdzięk. Przez chorobę nie stworzył niczego nowego od wczesnych lat dwudziestych – jest na pół ślepy i ledwo trzyma pióro – ale recenzja jego *Secular Magnificat* w „Timesie” (wykonanego w zeszłym tygodniu w St. Martin’s) wspominała też o całej szufladzie niedokończonych dzieł. Wymyśliłem, że pojedę do Belgii, przekonam Vyvyana Ayr, że powinien mnie zatrudnić jako osobistego sekretarza, przyjmę jego propozycję pobierania od niego lekcji, wystrzelę na muzyczny firmament, zdobędę sławę i fortunę współmierną do mych talentów i zmuszę Ojczulka do przyznania, że owszem, syn,

którego wydziedziczył, to *ten* Robert Frobisher, najgenialniejszy brytyjski kompozytor swych czasów.

A czemu by nie? Nie miałem lepszego planu. Wiem, jęczysz i z niedowierzaniem potrząsas głową, Sixsmith, ale i uśmiechasz się – i dlatego cię Kocham. Droga do La Manche bez większych wydarzeń, rakowate przedmieścia, monotonne pola i pastwiska, brudne Sussex. Dover to czysta groza obstawiona bolszewikami, sławione w wierszach klify mają w sobie tyle romantyzmu, co moja dupa, i nawet kolor podobny. Zmieniłem w porcie ostatnie szylingi na franki i wykupiłem kabinę na „Królowej Kentu”, przerdzewiałej łajbie, która wygląda, jakby pamiętała jeszcze wojnę krymską. Ze stewardem o twarzy jak ziemniak nie zgodziliśmy się co do tego, czy jego bordowy uniform i anemiczna broda zasługują na napiwek. Prychnął na moją walizkę i teczkę z rękopisem.

– Rozsądnie z pana strony podróżować bez bagażu, sir. – I zostawił mnie, żebym sobie radził sam. I bardzo dobrze.

Na kolację był kurczak z balsowego drewna, rozgotowane ziemniaki i skundlony klaret. Stół dzielił ze mną pan Victor Bryant, król sztucców z Sheffield. O muzyce nie miał najmniejszego pojęcia. Objasniał mnie w fascynującej dziedzinie łyżek przez większość posiłku, błędnie biorąc uprzejmość za zainteresowanie, i z miejsca zaproponował mi pracę w swym dziale sprzedaży! Uwierzysz? Podziękowałem (ze śmiertelnie poważną miną) i wyznałem, że prędejm bym połykał łyżki, niż je sprzedawał. Trzykrotny potężny ryk syreny, silniki zmieniły ton, poczułem, jak statek odbija od nabrzeża, wyszedłem na pokład popatrzeć, jak Albion znika w mrocznej mżawce. Nie było już powrotu; wyraźnie dotarły do mnie konsekwencje tego, co zrobiłem. R.V.W. dyrygował Orkiestrą Umysłu grającą Symfonię Morską, „*Odplyń, steruj jedynie na głębokie wody, bez troski, ma duszo, badając, ja z tobą, ty ze mną*”¹⁹¹. (Nie przepadam za tym dziełem, ale genialnie się wpisywało w nastrój). Na Morzu Północnym wiało i cały się trząsałem, woda obryzgiwała mnie od stóp do głów. Lśniaca, czarna toń zapraszała, bym skoczył. Nic sobie z tego nie robiłem. Poszedłem spać wcześniej, przekartkowałem *Kontrapunkty* Noyesa, wsłuchałem się w dalekie dźwięki orkiestry dętej z maszynowni i szybko skreśliłem powtarzający się pasaż na puzon, oparty na rytmach statku, ale raczej nic wielkiego, a potem zgadnij, kto zapukał do drzwi? Kartoflowaty steward po wachcie. Dostał ode mnie znacznie więcej niż napiwek. Żaden Adonis z niego, kościsty, ale pełen inwencji, jak na przedstawiciela swojej klasy. Wygoniłem go potem i zapadłem w głęboki sen sprawiedliwych. Jakaś część mnie pragnęła, żeby ta podróż nie miała końca.

Ale jednak miała. „Królowa Kentu” wślizgnęła się przez mętne wody w nierówne zęby bliźniaczej siostry Dover, Ostendy, Panny Lekkich Obyczajów. Bardzo wczesnym rankiem chrapanie Europy rozlegało się pomrukiem niższym niż tuba basowa. Ujrzałem pierwszych miejscowych Belgów, ciągnących skrzynie, kłócących się i myślących po flamandzku, holendersku czy jakiemu tam. Pędem spakowałem walizę, w obawie, by statek nie odplynął z powrotem do Anglii ze mną na pokładzie; czy też raczej w obawie, by samemu do tego nie dopuścić. Chwyciłem parę owoców z misy w kuchni pierwszej klasy i zbiegłem po trapie, zanim ktokolwiek z galonami na mundurze mógłby mnie dopaść. Postawiłem stopę na kontynentalnym bruku i zapytałem celnika o dworzec kolejowy. Wskazał zgrzytający tramwaj, pełen niedożywionych robotników, krzywicy i nędzy. Wolałem już *per pedes*, nawet mimo mżawki. Szedłem wzdłuż torów tramwajowych przez trumienne ulice. Ostenda cała jest w szarościach

tapioki i plamistych brązach. Pomyślałem, przyznam, że Belgia to był dość głupi wybór na ucieczkę. Kupiłem bilet do Bruges i usadowiłem się w następnym pociągu – nie było peronu, uwierzysz? – rozwalającym się i pustym. Przesiadłem się do innego przedziału, bo w moim był nieprzyjemny zapach, ale we wszystkich unosił się jakiś smród. Żeby oczyścić powietrze, wypaliłem papierosy wyżebrane od Victora Bryanta. Gwizdek zawiadowcy rozległ się o właściwym czasie, lokomotywa wyteżyła się jak artretyczny sufragan, stękający na nocniku i zmusiła do ruchu. Niedługo potem, wypuszczając kłęby pary, mknęła przez zamglony krajobraz pełen zaniedbanych wałów ochronnych i wypalonych przez wojenne pociski zagajników.

Jeśli mój plan się powiedzie, Sixsmith, już niedługo może przyjedziesz do Bruges. Zjawisz się wtedy o szóstej rano, w porze jak z *gnossienne*. Zagubisz się pośród dotkniętych krzywicą ulic, ślepych kanałów, bram z kutego żelaza, bezludnych podwórek – mogę dalej? dziękuję – pośród nieufnych gotyckich żółwich skorup, dachów, wznoszących się jak Ararat, omszałych ceglanych wież, średniowiecznych nawisów, prania zwisającego z okien, wirów brukowej kostki wciągających wzrok, zegarowych królewiczów i wyszczerbionych królewien wybijających godziny, czarnych od sadzy gołębi i trzech czy czterech oktaw dzwonów, jednych spokojnych, innych żywych.

Zapach świeżego chleba zawiódł mnie do piekarni, gdzie kobieta o zdeformowanej twarzy bez nosa sprzedała mi tuzin słodkich rogalików. Chciałem tylko jeden, ale pomyślałem, że ma wystarczająco dużo problemów. Wóz ze starzyzną wyłonił się z turkotem z mgły, a bezzębny woźnica przyjaźnie do mnie zagadał, lecz mogłem odpowiedzieć jedynie: „*Excusez-moi, je ne parle pas le Flamand*” – na co on roześmiał się jak Król Goblinów. Dałem mu rogalika. Miał brudną rękę, pokryty parchem szpon. W uboższej dzielnicy (uliczki śmierdziały ściekami), dzieciaki pomagały matkom przy pompach, napełniając popękane dzbanki brunatną wodą. W końcu dopadła mnie cała ta gorączka, usiadłem na schodach konającego wiatraka, żeby złapać oddech, otuliłem się przed wilgocią i zapadłem w sen.

Następne, co pamiętam, to to, że jakaś wiedźma trąca mnie kijem miotły i skrzeczy coś jak: „*Zie gie doad misschien?*” – tylko mnie nie cytuj.

Błękitne niebo, ciepłe słońce, nigdzie nawet jednej smużki mgły. Zmartwychwstały, zamrugalem oczami i poczęstowałem ją rogalikiem. Przyjęła go nieufnie, schowała do fartucha na później i wróciła do zamiatania, mrużąc pradawną śpiewkę. Miałem szczęście, że mnie nie okradziono. Podzieliłem się kolejnym rogalikiem z pięcioma tysiącami gołębi, ku zazdrości żebraka, więc jemu też musiałem dać jeden. Poszedłem z powrotem tą samą drogą, którą chyba przyszedłem. W dziwnym, pięciokątym oknie blada służąca układała fiołki w wazonie z rżniętego szkła. Dziewczęta fascynują w inny sposób. Spróbuj ich kiedyś. Zastukałem w szybę i zapytałem po francusku, czy nie uratowałyby mi życia, zakochując się we mnie. Pokręciła głową, ale obdarzyła mnie rozbawionym uśmiechem. Zapytałem, gdzie mogę znaleźć posterunek policji. Wskazała skrzyżowanie.

Człowiek rozpozna drugiego muzyka w każdym towarzystwie, nawet wśród policjantów. Ma najbardziej szalone spojrzenie, włosy w największym nieładzie i jest albo wyglodniałe kościsty, albo jowialnie przy kości. Ten francuskojęzyczny inspektor, grający na rożku angielskim w miejscowym towarzystwie operowym, słyszał o Vyvyanie Ayrsie i uprzejmie naszkicował mi mapę drogi do Neerbeke. Za informację zapłaciłem mu dwa rogale. Zapytał, czy

przez La Manche przewiozłem także brytyjski samochód – jego syn pasjonował się austinami. Powiedziałem, że nie mam samochodu. To go zaniepokoiło. Jak dostanę się do Neerbeke? Nie jeździ tam żaden autobus, nie ma linii kolejowej, a dwadzieścia pięć mil to upiornie długa przechadzka. Zapytałem, czy mogę pożyczyć na czas nieokreślony jego policyjny rower. Odrzekł, że to niecodzienna prośba. Zapewniłem go, że sam jestem niecodzienny, i wyjaśniłem mu w skrócie charakter mej misji do Ayrsa, najsłynniejszego adoptowanego syna Belgii (musi ich być tak niewielu, że może to nawet być prawda), w służbie europejskiej muzyki. Powtórzyłem prośbę. Nieprawdopodobna prawda służy czasem człowiekowi lepiej niż prawdopodobna fikcja, i właśnie teraz tak było. Uczciwy sierżant wziął mnie do składziku, gdzie zagubione rzeczy oczekują swych prawowitych właścicieli przez kilka miesięcy (zanim trafią na czarny rynek) – lecz najpierw chciał usłyszeć moją opinię o jego barytonie. Uraczył mnie eksplozją „*Recitar!... Vesti la giubba!*” z *I Pagliacci*. (Głos dość przyjemny w dolnych rejestrach, ale powinien jeszcze popracować nad oddechem, a jego *vibrato* drżało jak zakulisowa blacha do robienia grzmotów). Dałem mu kilka muzycznych wskazówek; otrzymałem pożyczkę w postaci wiktoriańskiego enfieldda plus sznur do przywiązania walizy i teczki do siodełka, a także tylny błotnik. Życzył mi *bon voyage* i dobrej pogody.

Adrian nigdy nie maszerował drogą, którą wyjechałem na rowerze z Bruges (zbyt głęboko na terytorium Hunów), niemniej czułem pokrewieństwo z mym bratem, oddychając tym samym powietrzem na tej samej ziemi. Nizina jest płaska jak Fens, ale zaniedbana. Po drodze posiłem się ostatnimi rogalikami i w pobliżu podupadłych chat zatrzymałem się na parę łyków wody. Nikt nie mówił zbyt wiele, ale nikt nie powiedział „Nie”. Przez wiatr w twarz i spadający wciąż łańcuch popołudnie chyliło się już ku wieczorowi, nim w końcu dotarłem do Neerbeke, wioski, w pobliżu której mieszkał Ayrs. Milczący kowal pokazał mi, jak dostać się do Château Zedelghem, rozpracowując moją mapę gryzkiem ołówka. Ścieżka porośnięta pośrodku dzwonek i kwiatami lniczy zaprowadziła mnie obok opuszczonej stróżówki do niegdyś imponującej alei wiekowych topoli włoskich.

Zedelghem jest bardziej okazałe niż nasze probostwo; kilka rozpadających się wieżyczek zdobi zachodnie skrzydło, lecz nie dorastają do Audley End czy wiejskiej siedziby Capon-Tenchów. Wypatrzyłem dziewczynę na koniu na niskim wzgórzu, zwieńczonym rozłupanym bukiem. Minąłem ogrodnika rozrzucającego sadzę przeciw ślimakom w ogródku warzywnym.

Na frontowym dziedzińcu nadmiernie umięśniony kamerdyner czyścił silnik cowleya. Gdy dostrzegł, że się zbliżam, wstał i czekał na mnie. Na tarasie, na skraju tego fryzu, pod kipiącą kwieciami glicynią, siedział człowiek na wózku inwalidzkim i słuchał radia. Vyvyan Ayrs, jak mniemam. Łatwiejsza część mego marzenia właśnie się urzeczywistniła.

Oparłem rower o ścianę, powiedziałem kamerdynerowi, że mam sprawę z jego panem. Był dość uprzejmy i zaprowadził mnie na taras do Ayrsa oraz zaanonsował moje przybycie po niemiecku. Ayrs to ledwie cień człowieka, jakby choroba wyssała z niego wszystkie żywotne soki, ale zatrzymałem się i ukląknę na żuźlowej alejce, jak sir Persival przed królem Arturem. Nasza uwertura miała przebieg mniej więcej następujący:

– Dzień dobry panu.

– A pan kto, u diabła?

– To ogromny zaszczyt...

– Pytam: kim pan u diabła jest?

– Robert Frobisher, sir, z Saffron Walden. Jestem – byłem – studentem sir Trevora Mackerrasa w Caius College i przyjechałem aż z Londynu, żeby...

– Aż z Londynu rowerem?

– Nie. Pożyczyłem rower od policjanta w Bruges.

– Hmm. – Pełna namysłu przerwa. – Musiał pan jechać wiele godzin.

– Było ciężko, lecz jakże wspaniale. Jak u pielgrzymów, wspinających się pod górę na kolanach.

– Co to znowu za brednie?

– Chciałem udowodnić, że ubiegam się na serio.

– Serio ubiega się pan o co?

– O posadę pańskiego osobistego sekretarza.

– Oszalał pan?

To pytanie zawsze jest bardziej podstępne, niż się wydaje.

– Raczej nie.

– Ale ja nie dawałem ogłoszenia o potrzebie sekretarza!

– Wiem, sir, ale pan go potrzebuje, nawet jeśli jeszcze pan o tym nie wie. Artykuł w „Timesie” głosił, że nie jest pan w stanie komponować nowych dzieł z powodu choroby. Nie mogę dopuścić, by pańska muzyka przepadła. Jest stanowczo zbyt cenna. Przyjechałem zatem, by oferować panu swe usługi.

Cóż, nie przegonił mnie.

– Mówił pan, że jak się nazywa?

Powtórzyłem.

– Jeden z młodych talentów Mackerrasa?

– Szczerze mówiąc, sir, był mi niechętny.

Jak już sam przekonałeś się na własnej skórze, potrafię być intrygujący, gdy się postaram.

– Tak? A dlaczegoż to?

– W uczelnianym periodyku napisałem, że jego 6. Concerto na flet – odchrząknąłem – niewolniczo naśladuje Saint-Saensa z jego najbardziej kwiecistego okresu przed dojrzewaniem płciowym. Odebrał to osobiście.

– Napisałeś tak pan o Mackerrasiu? – Ayrs sapał, jakby mu kto piłował zebra. – Ja myślę, że odebrał to osobiście.

Część następna jest krótka. Kamerdyner wprowadził mnie do salonu z dekoracjami w kolorze bladozielonym, nieciekawym Farquhardem z owcami i stogami żółtego zboża i dość kiepskim holenderskim pejzażem. Ayrs wezwał swoją żonę, panią van Outryve de Crommelynck. Zachowała panięskie nazwisko – a przy takim nazwisku, któżby miał jej to za złe? Pani domu była chłodno uprzejma i spytała, czym się do tej pory zajmowałem. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, choć skryłem wyrzucenie z Caiusa pod płaszczykiem tajemniczej choroby. Słowem nie pisałem o mych obecnych finansowych tarapatkach – im większe, tym ofiarodawcy bardziej niechętni. Oczarowałem ich dostatecznie. Ustalono, że mogę zostać w Zedelghem przynajmniej na tę noc. Ayrs miał rano sprawdzić moje muzyczne talenta i wtedy podjąć decyzję co do mojej propozycji.

Ayrs nie pojawił się jednak na kolacji. Moje przybycie zbiegło się z początkiem nawiedzającego go co dwa tygodnie ataku migreny, podczas którego nie wychodzi ze swoich pokojów przez cały dzień czy dwa. Moje przesłuchanie jest przesunięte, aż się lepiej poczuje, więc los mój nadal wisi na włosku. Z rzeczy miłszych – Piesporter i homar *a l'americaine* dorównywały wszystkiemu z kuchni Imperialu. Zachęciłem gospodynię do rozmowy – myślę, że pochlebiało jej, ile wiedziałem o jej słynnym mężu, i wyczuła moją niekłamaną miłość do muzyki. O, jedliśmy także z córką Ayrsa, młodą amazonką, którą krótko widziałem wcześniej. Mlle Ayrs to rozmiłowane w koniach stworzenie lat siedemnastu, które po mamie odziedziczyło zadarty nos. Nie mogłem wydobyć z niej jednego uprzejmego słowa przez cały wieczór. Czy może widziała we mnie podejrzanego naciągacza, który ostatnio nie ma szczęścia i który zjawiał się, żeby zwabić jej chorego ojca we wspaniałą, pogodną starość, do której ona nie będzie miała wstępu i nikt jej tam nie zaprosi? Ludzie są skomplikowani.

Już minęła północ. Château śpi, więc i ja się kładę. Twój

R.F.



Zedelghem

Telegram, Sixsmith? Ty tumanie!

Błagam, nie przysyłaj ich więcej – telegramy zwracają uwagę!

Tak, nadal jestem Zagranicą i – tak, bezpiecznie ukryty przed zbirami Brewera. Podarłem na strzępy prośbę rodziców o wiadomość, gdzie jestem, i rzuciłem do Cam. Ojczulek jest „zaniepokojony” tylko dlatego, że wierzyście trzęsą nim, aby zobaczyć, czy z rodzinnego drzewa nie spadną czasem jakieś banknoty. Ale długi wydziedziczony syna to sprawa tylko i wyłącznie owego syna i niczyja więcej – uwierz, sprawdzałem prawne zawilości. Mater nie „panikuje”. Panika ogarnia ją tylko wtedy, gdy w karafce kończy się whisky.

Moje przesłuchanie odbyło się w pracowni muzycznej Ayrsa przedwczoraj po lunchu. Sukces nie był powalający, delikatnie mówiąc – nie wiem, ile dni tu zabawię. Przyznam, że pewien dreszcz mnie przeszedł, gdy przedtem usiadłem na taborecie przy osobistym fortepianie Vyvyana Ayrsa. Orientalny dywan, wyświechtana otomana, bretoński kredens zastawiony pulpitemi na nuty, fortepian Bösendorfera, kurant, wszystkie były świadkami poczęcia i narodzin *Wariacji Matroszkowych* i jego cyklu pieśni *Wyspy Towarzystwa*. Gładziłem tę samą wiolonczelę, która pierwsza wibrowała przy *Untergehen Violoncellokonzert*. Słyszając, jak Hendrick wiezie swego pana w moją stronę, przestałem myszkować i odwróciłem się w stronę drzwi. Ayrś puścił mimo uszu moje „Mam nadzieję, że czuje się pan już lepiej, panie Ayrś” i kazał, by kamerdyner ustawił go w wózku twarzą do okna na ogród.

– No więc? – zapytał, gdy byliśmy już sami od pół minuty. – Dalej. Niech pan zrobi na mnie wrażenie.

Zapytałem, co chce usłyszeć.

– To muszę też wybrać program? Opanował pan *Trzy ślepe myszki*?

Usiadłem więc przy bösendorferze i zagrałem syfilitycznemu gburowi *Trzy ślepe myszki* na modłę zjadliwego Prokofiewa. Ayrś nie skomentował. Grałem dalej, już subtelniej, Nokturn F-dur Szopena. Przerwał mi z jękiem.

– Próbuje mi pan wsunąć dłoń pod halkę, Frobisher?

Grałem *Dygresję na temat Lodovico Roncalii* własnego autorstwa V.A., lecz nim przebrzmiały pierwsze dwa takty, zaklął jak szewc, walnął laską w podłogę i powiedział:

– Od samozaspokajania się ślepie, nie uczyli pana tego w Caiusie?

Zignorowałem go i dokończyłem utwór idealnie co do nuty. Przy finałowych fajerwerkach postawiłem na K212 w A-dur Scarlattiego, *bete noire* różnych *arpeggio* i popisów akrobatycznych. W jednym czy dwóch miejscach mi nie wyszło, ale nie starałem się przecież o posadę koncertowego solisty. Kiedy skończyłem, V.A. kiwał głową w rytmie sonaty, która właśnie wybrzmiała, a może dyrygował zamazanymi, kołyszącymi się topolami. „Okropnie,

Frobisher, wynoś mi się natychmiast z domu” dotknęłoby mnie, ale nie zdziwiło. Lecz on zamiast tego przyznał:

– Ma pan zadatki na muzyka. Ładny dzień dzisiaj. Niech pan przejdzie się nad staw, poogląda kaczki. Muszę trochę pomyśleć, zanim postanowię, czy znajdę sposób wykorzystania pańskich... talentów, czy też nie.

Wyszedłem bez słowa. Wygląda na to, że stary cap chce mnie, ale wyłącznie, gdy będę tak wdzięczny, że aż żaloszny. Gdyby portfel pozwalał, wynająłbym taksówkę z powrotem do Bruges i zarzucił ten błędny pomysł. Zawołał za mną:

– Drobną radą, Frobisher, *gratis*. Scarlatti był klawesynistą, nie pianistą. Nie zalewaj go pan tak kolorem i nie używaj pedału do podtrzymania nut, których nie potrafi pan podtrzymać palcami.

Odciałem się, że muszę trochę pomyśleć, zanim postanowię, czy znajdę sposób wykorzystania jego... talentu.

Przeszedłem dziedziniec, gdzie ogrodnik o twarzy koloru buraka oczyszczał zapchaną zielskim fontannę. Pokazałem mu, że chcę rozmawiać z jego panią, i to *pronto* – nie jest najbardziej lotny – a on zrobił nieokreślony ruch ręką w stronę Neerbeke, udając, że trzyma kierownicę. Wybornie. Cóż teraz? Pooglądać kaczki? Proszę bardzo. Mógłbym udusić parkę i zawiesić w szafie V.A. Taki miałem czarny nastrój. Zakwakałem więc i zapytałem ogrodnika:

– Gdzie?

Wskazał na buk, a jego gest mówił „trzeba pójść tędy, i to po drugiej stronie”. Wyruszyłem w tamtym kierunku, przeskoczyłem zarośnięty rów, ale nim dotarłem do grzbietu wzgórza, dobiegł mnie odgłos końskiego galopu i panna Eva van Outryve de Crommelynck – od tej pory musi jej wystarczyć zwykłe Crommelynck, bo zabraknie mi atramentu – podjechała do mnie na swoim czarnym koniu.

Przywitałem ją. Okrążyła mnie klusem jak królowa Boadicea, znacząco milcząco.

– Ależ dziś parno – zacząłem pogawędkę z ironią. – Myślę, że w ciągu dnia będziemy mieli deszcz, nie uważa pani?

Nie odpowiedziała.

– Pani dresaż jest lepszy, niż pani maniery – dodałem.

Nic. Na polu rozległy się wystrzały z dubeltówek i Eva uspokoiła wierzchowca. Wyjątkowy okaz, nie można mieć pretensji do konia. Zapytałem Evę o imię rumaka. Odgarnęła czarne spirale loków z policzków.

– *J'ai apelle le poney Nefertiti, d'apres cette reine d'Egypte qui m'est si chere.* – I zatoczyła konia.

– Proszę, to mów! – zawołałem i patrzyłem, jak dziewczyna galopuje przed siebie, aż stała się tylko figurką z miniatURY van Dycka.

Wystrzeliłem za nią grad pocisków eleganckimi łukami. Zwróciłem działa na Château Zedelghem i rozwalilem skrzydło Ayrsa, zmieniając je w dymiącą ruinę. Przypomniałem sobie, w jakim kraju jesteśmy, i przestałem.

Za rozłupanym bukiem łąka opada ku stawowi, błękitnemu jak ornament pejzażu, całemu w żabim kumkaniu. Staw pamięta lepsze czasy. Rozwalająca się kładka łączy wysepkę z brzegiem i rośnie tam mnóstwo różowych lilii. Od czasu do czasu złote rybki plusną i błysną jak pensy wrzucone do wody. Kaczki mandarynki kwaczą o chleb, zebrzą, choć w doskonale skrojonym odzieniu – coś jak ja sam. Jaskółki uwiły gniazda w szopie na łodzie z pokrytych smołą desek. Pod rzędem grusz – pozostałość sadu? – położyłem się w trawie i oddałem bimbanii, którą to sztukę doprowadziłem do perfekcji podczas długiej rekonwalescencji. Bimbać i lenić się to tak różne pojęcia, jak smakować i zreć. Obserwowałem napowietrzną rozkosz spółkujących ważek. Słyszałem nawet delikatne bzyczenie ich skrzydełek, ekstatyczny dźwięk, jak papierowe wstążki w szprychach roweru. Przyjrzałem się padalcowi, badającemu miniaturową Amazonię wokół korzeni, gdzie leżałem. Było cicho? Nie, niezupełnie. Dużo później zbudziły mnie pierwsze kropelki deszczu. Cumulonimbusy osiągały masę krytyczną. Pognałem co sił w nogach z powrotem do Zedelghem, żeby słyszeć w uszach świst pędzącego powietrza i czuć, jak na twarz spadają mi pierwsze wielkie krople, bębniące jak pałeczki ksylofonu.

Ledwo miałem czas przebrać się w jedyną czystą koszulę przed gongiem na kolację. Pani Crommelynck przeprosiła mnie, lecz jej mężowi nadal nie dopisywał apetyt, a *demoiselle* wolała zjeść sama. Jak dla mnie wybornie. Duszony węgorz, sos z trybuli, deszcz pluskający o taras. W przeciwieństwie do Frobisherii i większości znanych mi angielskich domów, posiłki w château nie odbywają się w całkowitym milczeniu i Mme C. opowiedziała mi nieco o swojej rodzinie. Crommelynckowie mieszkali w Zedelghem od dawien dawna, gdy Bruges było najruchliwszym portem Europy (tak mi powiedziała, trudno dać wiarę), co czyniło z Ewy ukoronowanie sześcioro dzieci. Nabrałem do tej kobiety trochę cieplejszego stosunku. Trzyma się po męsku i w rogowej fifce pali pachnące mirrą papierosy. Zauważyłaby jednak natychmiast, gdyby jakieś kosztowności tajemniczo zniknęły. W przeszłości mieli przypadki nieuczciwej służby, jak wspomniała, a nawet jednego czy dwóch pazernych zubożałych gości, jeśli mógłbym uwierzyć, że ludzie mogą zachowywać się tak niegodnie. Zapewniłem ją, że moi rodzice borykali się z podobnym problemem, po czym zabrałem się za wybadanie sytuacji w sprawie mojego przesłuchania.

– Tak, opisał pańskiego Scarlattiego jako „do uratowania”. Vyvyan gardzi pochwałami – nie przyjmuje ich i sam jest w nich bardzo oszczędny. Mówi: „Kiedy ludzie cię chwala, nie kroczyś własną drogą”.

Zapytałem bez ogródek, czy sądzi, że Ayrs zgodzi się mnie przyjąć.

– Mam taką nadzieję, Robercie. – (Innymi słowy „Poczekamy, zobaczymy”). – Musi pan zrozumieć – pogodził się z tym, że już nigdy nie skomponuje ani jednej nuty. Bardzo boleśnie to

przeżył. Przywracać sobie nadzieję, że może coś jeszcze stworzyć – cóż, to ryzyko, którego podjęcie wymaga rozwagi.

Temat zamknięty. Wspomniałem o wcześniejszym spotkaniu z Evą i Mme C. orzekła:

– Moja córka jest arogancka.

– Pełna rezerwy. – Perfekcyjnie dobrana odpowiedź.

Gospodyni dołała mi wina.

– Eva ma niepokorną naturę. Mąż w bardzo niewielkim stopniu interesował się wychowaniem jej na młodą damę. Nigdy nie chciał mieć dzieci. Ojcowie i córki podobno za sobą przepadają, prawda? Ale nie oni. Nauczyciele twierdzą, że Eva jest przykładna, ale skryta i nigdy nie próbowała rozwinąć się w kierunku muzyki. Często czuję się tak, jakbym jej w ogóle nie znała.

Napełniłem kieliszek Mme C. i trochę się rozweseliła.

– Ależ ja narzekam. Pańskie siostry to z pewnością nienagannie ułożone angielskie różyczki, monsieur?

Raczej wątpię w szczerłość jej zainteresowania memsahibami Frobisherii, lecz ta kobieta lubi patrzeć, jak mówię, więc odmalowałem dowcipne karykatury mojego zwaśnionego klanu, ku rozbawieniu gospodyni. Wszyscy byliśmy w nich tacy radośni, że niemal zatęskniłem za domem.

Tego ranka – był to poniedziałek – Eva raczyła zasiąść z nami do śniadania – szynki z Bradenham, jajek, pieczywa i wszystkiego innego – ale dziewczyna kierowała w stronę matki blahe pretensje, a moje wtręty zbywała chłodnym „oui” lub ostrym „non”. Ayrs czuł się lepiej, więc jadł z nami. Hendrick zawiózł potem ich córkę do Bruges na kolejny tydzień szkolnych zajęć – Eva mieszka w mieście na stacji u rodziny, której córki chodzą do tej samej szkoły, van Eelowie czy jakoś tak. Całe chateau odetchnęło z ulgą, gdy Cowley zniknął w topolowej alei (znanej jako „Mnisi Dukt”). Tak bardzo Eva zatruwa atmosferę tego miejsca. O dziewiątej zasiedliśmy z Ayrsem w pracowni.

– Kołacz mi się po głowie melodyjka na wiołę, Frobisher. Zobaczmy, czy potrafi ją pan zapisać.

Ogromnie mnie te słowa uradowały, bo spodziewałem się zaczynać od najprostszych rzeczy – przepisywania na czysto brudnopisów z nutami etc. Jeśli pierwszego dnia udowodniłbym swą wartość jako obdarzone emocjami wieczne pióro V.A., moja posada byłaby niemal pewna. Usiadłem za jego biurkiem i z naostrzonym 2B w gotowości, z czystym papierem nutowym czekałem, aż podyktuje mi nuty po kolei. Nagle ryknął:

– Ta dam! Ta-ta-ta tadtadtadi dam! Zapisał pan? Tam! Tadi dam! Teraz ciszej – ta-ta-ta-ttt-TAM! TATATAM!!!

Czy zapisałem? Stary bałwan najwyraźniej uważał sytuację za zabawną – tę wywrzeszczaną kakofonię zapisać było równie łatwo, jak ryki tuzina osłów – lecz po kolejnych trzydziestu sekundach dotarło do mnie, że nie żartował. Próbowałem przerwać, ale był tak pochłonięty układaniem muzyki, że nawet nie zauważył. Popadłem w najczarniejszą rozpacz, a Ayrs ryczał dalej. Mój plan był beznadziejny. Co mi do głowy przyszło, wtedy na Victoria Station? Przygnębiony, dałem mu przejść przez cały utwór w słabej nadziei, że gdy już raz ułożył go w głowie, łatwiej mu będzie później go odtworzyć.

– Koniec – oznajmił. – Ma pan? Niech pan to zanuci jeszcze raz, Frobisher, i posłuchamy, jak brzmi.

Zapytałem, w jakiej to było tonacji.

– H, oczywiście!

– Jakie metrum?

Ayrs potarł palcami czoło między brwiami.

– Chce pan powiedzieć, że nie zapisał pan mojej melodii?

Z całych sił próbowałem pamiętać, że pretensje Ayrsa są niedorzeczne. Poprosiłem go, żeby powtórzył melodię dużo wolniej i by nazywał po kolei każdą nutę. Nastąpiła bolesna przerwa, jak mi się wydawało mniej więcej trzygodzinna, podczas której Ayrs zastanawiał się, czy wybuchnąć, czy nie. W końcu wydał z siebie umęczone westchnienie.

– Na cztery ósme, przechodzące w osiem ósmym po dwunastym takcie, jeśli potrafi pan do tyłu zliczyć. – Pauza.

Wspomniałem moje finansowe trudności i zagryzłem wargi.

– Wróćmy więc do samego początku. – Protekcyjna pauza. – Jest pan gotów? Powoli... Taaam! Jaka to nuta?

Przebrnąłem przez koszmarnie pół godziny, zgadując dźwięki nuta po nucie. Ayrs potwierdzał lub odrzucał moje domysły zmęczonym kiwnięciem lub kręceniem głową. Mme C. wniosła wazon z kwiatami; moje spojrzenie błagało ją o ratunek, ale sam V.A. oznajmił, że na dzisiaj koniec. Gdy uciekałem, doszły mnie słowa Ayrsa (wygłoszone tak, bym słyszał?):

– Dramat, Jocasto, chłopak nie potrafi zapisać najprostszej melodii. Równie dobrze mógłbym dołączyć do awangardy i rzucać strzałkami w kawałki papieru zapisane nutami.

W drugim końcu hallu pani Willems – gospodyni – kieruje do jakiegoś niewidocznego podwładnego utyskiwania na mokrą, wietrzną pogodę i jej wilgotne pranie. Lepiej jej się powodzi niż mnie. Manipulowałem ludźmi dla korzyści, z pożądania lub dla pożyczek, ale nigdy dla dachu nad głową. Przegniłe chateau śmierdzi grzybem i pleśnią. Po co ja tu w ogóle

przyjeżdżałem?

Twój

R.F.

PS. „Kłopotliwa sytuacja finansowa”, cóż za stosowny zwrot! Nic dziwnego, że wszyscy biedacy to socjaliści. Muszę prosić cię o pożyczkę. Zedelghem jest prowadzone w sposób najbardziej swobodny ze wszystkich znanych mi domów (dzięki Bogu! Garderoba kamerdynera mojego ojca jest zasobniejsza w tej chwili niż moja), trzeba jednak utrzymywać pewien poziom. Nie mogę nawet dawać napiwków służbie. Gdyby zostali mi jacyś zamożniejsi przyjaciele, poprosiłbym ich, ale prawda jest taka, że nie mam żadnych. Nie wiem, jak prześlesz te pieniądze – telegramem czy w kilku kopertach, czy jak tam, ale to ty jesteś naukowcem i znajdziesz sposób. Jeśli Ayrs poprosi, żebym wyjechał, będę ugotowany. Wieści, że Robert Frobisher musiał zebrać o pieniądze u swoich byłych gospodarzy, gdy wyrzucili go, bo nie nadawał się do pracy, mogą przeciec do Cambridge. Chyba umarłbym ze wstydu, Sixsmith, słowo daję. Na Boga, wyślij mi jak najszybciej, ile tylko możesz.



Château Zedelghem

14 – vii – 1931

Sixsmith,

chwała Rufusowi błogosławionemu, świętemu patronowi Kompozytorów w Potrzebie, najwyższa chwała, Amen. Twój przekaz pocztowy dotarł bezpiecznie dziś rano – opisałem cię gospodarzom jako szalenie kochającego wuja, który zapomniał o moich urodzinach. Pani Crommelynck potwierdza, że przekaz zrealizuję w banku w Bruges. Napiszę na twoją cześć motet, a pieniądze zwrócę, jak tylko będę mógł. Może nawet szybciej, niż się spodziewasz. Skuty lodem horyzont moich spraw powoli topnieje. Po upokarzającej pierwszej próbie współpracy z Ayrcem wróciłem do pokoju okropnie zmarniały. Całe popołudnie spędziłem, pisząc do ciebie łzawe lamentsy – tak w ogóle, to je spal, jeśli jeszcze je masz – wielce niepewny co do przyszłych losów. Odważyłem się wyjść na deszcz w kaloszach i pelerynie i przeszedłem się na pocztę w wiosce. Mówiąc szczerze, zastanawiałem się, gdzie będę za miesiąc. Gong pani Willems zawołał nas na kolację niedługo po moim powrocie, ale kiedy wszedłem do jadalni, Ayrs czekał na mnie sam.

– To pan, Frobisher? – zapytał z gburowatością właściwą starszym ludziom, próbującym zachować się subtelnie. – Frobisher, cieszę się, że możemy pogawędzić na osobności. No więc byłem dziś rano podły dla pana. Przez chorobę bywam bardziej... bezpośredni, niż czasami wypada. Przepraszam. Proszę dać jutro zrzedzającemu starym człowiekowi jeszcze jedną szansę, co pan na to?

Żona powiedziała mu, w jakim stanie mnie wczoraj znalazła? Lucille wspomniała o mojej na wpół spakowanej walizce? Oczekałem, aż mogłem być pewien, że w moim głosie nie będzie słychać ulgi, i powiedziałem mu, szlachetnie, że nie ma niczego złego w tym, że ktoś mówi, co myśli.

– Zbyt negatywnie odnosiłem się do pańskiej propozycji, Frobisher. Nie będzie łatwo wydobyć mi muzykę ze łba, ale równie dobrze możemy dać szansę naszej spółce. Ma pan talent muzyczny i odpowiedni charakter do tej pracy. Żona mówi, że nawet próbował pan komponowania? Najwyraźniej muzyka jest jak tlen dla nas obu. Przy odrobinie dobrej woli jakoś będziemy sobie radzić, aż trafimy na właściwą metodę.

W tym momencie zapukała pani Crommelynck, zajrzała do środka, momentalnie wyczuła nastrój, jak to niektóre kobiety potrafią, i zapytała, czy może chcemy uczcić to toastem. Ayrs zwrócił się do mnie.

– To zależy od tego tu oto młodego Frobishera. Co pan na to? Zostanie pan kilka tygodni, z widokiem na kilka miesięcy, jeśli wszystko będzie iść dobrze? A kto wie, może i dłużej? Lecz musi pan przyjąć niewielką pensję.

Moją ulgę odegrałem jako zadowolenie, powiedziałem mu, że będę zaszczycony, i nie odrzuciłem z miejsca oferty pensji.

– Zatem, Jocasto, powiedz pani Willems, żeby przyniosła Pinot Rouge 1908!

Wznieśliśmy toast za Bachusa i Muzy, i piliśmy wino o smaku głębokim jak krew jednorożca. Piwniczka Ayrsa – a w niej około sześciuset flaszek – jest jedną z najświetniejszych w całej Belgii i zasługuje na drobną dygresję. Przetrwiała wojnę niesplądrowana przez oficerów-Hunów, którzy w Zedelghem urządzili sztab operacyjny, wszystko dzięki sztucznej ścianie, którą ojciec Hendricka zamaskował wejście do niej, nim cała rodzina uciekła do Göteborga. Biblioteka i przeróżne inne większe rozmiarem skarby także przetrwały wojnę w podziemiach (był w nich niegdyś klasztorny skarbiec), zapieczętowane w skrzyniach. Prusacy przetrzasnęli budynek przed końcem wojny, ale nigdy nie odkryli piwniczki.

Zaczyna nam się ustalać pewien sposób pracy. Schodzimy z Ayrsem do pracowni codziennie rano o dziewiątej, o ile pozwalają mu przeróżne przypadłości i bóle. Ja siadam za fortepianem, Ayrs na otomanie, paląc swoje podłe tureckie papierosy, i przyjmujemy jeden z naszych trzech *modi operandi*. „Rewizje” – prosi mnie, żebym przypomniał to, co zrobiliśmy poprzedniego ranka. Nucę, śpiewam albo gram, w zależności od instrumentu, a Ayrs poprawia zapis. „Przebudowy” – mam przetrząsać stare partytury, notesy i kompozycje, niektóre napisane jeszcze przed moim urodzeniem, i znaleźć pasaż albo kadencję, którą Ayrs mgliście pamięta i chce ocalić. Niezła praca dla detektywa. „Kompozycje” są najbardziej wymagające. Siadam do fortepianu i próbuję dotrzymać tempa ciągowi „Szesnastka, H-G; cała nuta, As – tak przez cztery miary, nie, sześć – ćwierćnuty! Fis – nie, nie, nie, *Fis* – i... H! Tam-tadi-tadi-taditam!”. (Przynajmniej teraz *il maestro* nazywa nuty). Albo, jeśli jest w bardziej poetyckim nastroju, może być:

– Klarnet, Frobisher, to konkubina, wiole to cmentarne cisy, klawikord to księżyc, więc... niech wschodni wiatr poniesie ten akord a-moll jeszcze przez szesnasty takt i dalej.

Jak u dobrego lokaja (choć możesz być pewny, że jestem znacznie lepszy, niż zaledwie „dobry”), moja praca w 90 procentach polega na zgadywaniu myśli. Czasem Ayrś poprosi mnie o artystyczną ocenę, w stylu „Uważa pan, że ten akord pasuje, Frobisher?” albo „Czy ten pasaż wpisuje się w całość?”. Jeśli powiem „nie”, Ayrś pyta, co proponuję w zamian, i raz czy dwa nawet zastosował moje poprawki. To otrzeźwia. Ludzie będą kiedyś uczyli się tej muzyki.

O pierwszej Ayrś jest już wyczerpany. Hendrick wiezie go do jadalni, gdzie przy lunchu dołącza do nas pani Crommelynck i E., jeśli, o zgrozo, wróciła na weekend albo na ferie. Ayrś ucina sobie drzemkę w popołudniowym upale. Ja w tym czasie dalej przetrząsam bibliotekę w poszukiwaniu skarbów, komponuję w pracowni, czytam rękopisy w ogrodzie (białe lilie, cesarskie korony, trytomy, malwy, wszystkie jaskrawo kwitnące), wybieram się na przejażdżki rowerem po drózkach wokół Neerbeke albo wędruję po okolicznych polach. Zaprzyjaźniłem się mocno z psami w wiosce. Pędzą za mną, jak szczury za Szczurołapem. Miejscowi odpowiadają na moje „*Goede morgen*” i „*Goede middag*” – znany jestem jako gość w *kasteel*, który zabawi dłużej.

Po kolacji nasza trójka słucha czasem radia, jeśli jest odpowiednia audycja, albo też płyt na gramofonie (stolikowy model His Master’s Voice w dębowym pudle), zwykle własnych dzieł Ayrśa pod batutą sir Thomasa Beechama. Gdy mamy gości, rozmawiamy lub trochę słuchamy muzyki kameralnej. W inne wieczory Ayrś lubi, kiedy czytam mu poezję, szczególnie ulubionego Keatsa. Szepcze wersy, które czytam, jakby jego głos wspierał się na moim. Przy śniadaniu muszę mu czytać „Timesa”. Choć jest stary, ślepy i chory, Ayrś z powodzeniem dotrzymałby pola w dyskusjach jakiemuś uczelnianemu towarzystwu, choć zauważyłem, że rzadko proponuje alternatywy dla systemów, które wyśmiewa. „Liberalizm? Strachliwość bogaczy. Socjalizm? Młodszy brat zramolałego despotyzmu, po którym chce przejąć schedę. Konserwatyści? Kłamią, gdy mogą, a ich największą błagą jest doktryna wolnej woli”. *Jakiego* chce państwa? „Żadnego. Im lepiej zorganizowane państwo, tym bardziej ogłupia ludzkość”.

Choć straszny z niego choleryk, Ayrś jest jedną z nielicznych osób w Europie, której wpływ chcę odczuwać we własnej twórczości. Z muzykologicznego punktu widzenia jest Janusogłowy. Jedną głową spogląda na łożo śmierci romantyzmu, drugą patrzy w przyszłość. To właśnie za tego Ayrśa spojrzeniem podążam. Przyglądanie się, jak stosuje kontrapunkt i miesza barwy, w fascynujący sposób przydaje szlachetności i mojemu językowi. Już teraz krótki pobyt w Zedelghem nauczył mnie więcej, niż trzy lata u tronu Kutasa Mackerrasa i jego Wesołej Kapeli Onanistów.

Przyjaciele Ayrśa i pani Crommelynck składają regularne wizyty. Wieczorami możemy się spodziewać gości/gościa przeciętnie dwa, trzy razy w tygodniu. Soliści w drodze powrotnej z Brukseli, Berlina, Amsterdamu i z jeszcze innych miejsc; towarzysze z lat młodości na Florydzie czy w Paryżu; i stary znajomy Morty Dhondt z Żoną. Dhondt jest właścicielem jubilerskich szlifierni diamentów w Bruges i w Antwerpii, włada nie do końca pewną, lecz sporą liczbą języków obcych, wymyśla piętrowe, wielojęzyczne gry słów, które wymagają długich wyjaśnień, sponsoruje festiwale i rozgrywa z Ayrsem zawody w kopaniu metafizycznej piłki. Pani Dhondt jest jak pani Crommelynck do potęgi dziesiątej – po prostu straszna z niej istota.

Przewodzi Belgijskiemu Towarzystwu Jeździeckiemu, sama jeździ bugattim Dhondta, a jej pieszczoszkiem jest jedwabisty pekińczyk imieniem Wei-wei. Bez wątpienia pani D. przewinie się jeszcze w kolejnych listach.

Z krewnymi krucho: Ayrś był jedynakiem, a niegdyś wpływowa rodzina Crommelyncków przejawiała perwersyjny geniusz w popieraniu zawsze złej strony w rozstrzygających momentach wojny. Ci, którzy nie poległi w boju, w większości zubożeli i wymarli do czasu, gdy Ayrś z żoną wrócili ze Skandynawii. Inni zmarli na obczyźnie po ucieczce z Europy. Stara guwernantka pani Crommelynck i kilka cherlawych ciotek odwiedzają ją od czasu do czasu, ale nieruchomieją wtedy cicho w kącie, jak stare stojaki na kapelusze.

W zeszłym tygodniu dyrygent Tadeusz Augustowski, wielki orędownik Ayrśa w swym rodzinnym Krakowie, wpadł niezapowiedziany w drugim dniu Migreny. Pani Crommelynck nie było w domu i pani Willems przyszła do mnie cała zdenerwowana, błagając, bym zabawił sławnego gościa. Nie mogłem sprawić zawodu. Francuski Augustowski jest tak dobry jak mój i spędziliśmy popołudnie, łowiąc ryby i spierając się o dodekafonistów. On uważa, że to szarlatani, ja nie. Opowiedział mi historyjki o orkiestrach z czasów wojny i jeden niemożliwie świński kawał, który wymaga gestykulacji, więc musi poczekać, aż się znowu zobaczymy. Złapałem pstrąga, który miał jedenaście cali, a Augustowski złowił potwornie wielkiego klenia. Ayrś podniósł się już z łóżka, gdy wróciliśmy o zmierzchu, i Polak powiedział mu, jakie to ma szczęście, że mnie zatrudnił. Ayrś wymamrotał coś na kształt „No tak”. Ujmujący komplement, Ayrś. Pani Willems nie była aż tak *enchantee* naszymi trofeami z połowu, ale wypatroszyła je, obsmażyła na solonym masełku i wprost rozplywały się w ustach. Augustowski dał mi swoją kartę wizytową, gdy odjeżdżał następnego dnia rano. Utrzymuje apartament w Langham Court na potrzeby wizyt w Londynie i zaprosił mnie, bym zatrzymał się u niego na przyszłoroczny festiwal. Jestem królem świata!

Château Zedelghem nie jest pełnym tajemniczych zakamarków Domem Usherów, jak się zdawało na początku. To prawda, zachodnie skrzydło, z zamkniętymi okiennicami i meblami w pokrowcach jest, jako że środki pochłania modernizacja i utrzymanie wschodniego, w opłakanym stanie i obawiam się, że już niedługo wymagać będzie rozbiórki. Pewnego deszczowego popołudnia zbadalem tamtejsze pokoje. Przerażliwa wilgoć; odpadające stiuki wiszą całe w pajęczynach; na wygładzonych przez niezliczoną liczbę kroków kamiennych posadzkach trzeszczą pod butami bobki zostawione przez myszy i nietoperze; gipsowe herby nad kominkami zatarł czas. To samo od zewnątrz – ceglane mury wymagają nowych fug, brakuje dachówek, blanki odłamały się i leżą rozwalone na ziemi, deszcze ściekają strumieniami po średniowiecznym piaskowcu. Crommelynckowie czerpali niezłe zyski z inwestycji w Kongu, lecz ani jeden męski potomek nie przetrwał wojny i „kwaterujące” na zamku szwaby wybiórczo patroszyły go ze wszystkiego, co warte było rabunku.

Wschodnie skrzydło natomiast to siedlisko przytulne, choć przy silnym wietrze belki dachu trzeszczą jak na statku. Można tu korzystać z kapryśnego centralnego ogrzewania i prostej instalacji elektrycznej, iskrzącej i kopiającej prądem przy zapalaniu światła. Ojciec pani Crommelynck był na tyle przewidujący, by nauczyć córkę zarządzania nieruchomościami i teraz Mme odnajmuje ziemię sąsiadującym rolnikom – wydaje mi się, że posiadłość daje radę jako tako na siebie zarobić. A to osiągnięcie, którego nie należy w dzisiejszych czasach lekceważyć.

Eva nadal jest nadęta, potwór jak moje siostry, ale nienawiść, jaką zieję, dorównuje jej inteligencji. Oprócz słodkiej Nefertiti, inne jej zamiłowania to wieczne pretensje i aura męczennicy. Lubi doprowadzać do łez bezbronną służbę, a następnie wbiega oburzona, ogłaszając „Ona znowu płacze. Mamo, nie możesz jej jakoś wychować?”. Już wie, że nie stanowią łatwego celu, i prowadzi wojnę na wyczerpanie: „Papo, jak długo pan Frobisher ma u nas zostać?”; „Papo, czy płacisz panu Frobisherowi tyle, co Hendrickowi?”; „Tylko pytałam, mamo, nie wiedziałam, że posada pana Frobishera to delikatny temat”. Działa mi na nerwy, niechętnie jej to przyznaję, ale taka jest prawda. W minioną sobotę miałem z nią kolejne spotkanie – czy raczej „konfrontację”. Zabrałem „biblię” Ayrsa, *Tako rzeczy Zaratustra*, na kamienny mostek nad stawem, po którym można przejść na zarośniętą wierzbami wysepkę. Po południu był straszny upał; nawet w cieniu pocilem się jak mysz. Po dziesięciu stronach poczułem, że to Nietzsche czyta mnie, a nie ja jego, więc poprzyglądałem się nadwodnym owadom i traszkom, a orkiestra w mojej głowie wygrywała *Air and Dance* Freda Deliusa. Przesłodzony, tępo brzmiący kawałek, ale ospały flet jest całkiem niezły.

A potem nagle znalazłem się w rowie tak głębokim, że widać było tylko wąski skrawek nieba, rozświetlony błyskami jaśniejszymi od słońca. Rów patrolowały dzikusy, jeżdżące na oklep na olbrzymich brązowych szczurach ze złowieszczymi zębami. Szczury wyczuwały węchem przedstawicieli klasy robotniczej i rozrywały ich na strzępy. Szedłem przed siebie, próbując wyglądać zamożnie i nie rzucać się w panice do ucieczki, kiedy spotkałem Evę. Zapytałem:

– A pani co tu, u diabła, robi?

Eva odpowiedziała z furią!

– *Ce lac appartient a ma famille depuis cinq siecles! Vous etes ici combien de temps exactement? Bien trois semaines! Alors vous voyez, je vais ou bon me semble!*

Wściekłość Ewy była niemal fizyczna, jak kopniak w twarz pokornie niżej podpisanego. No tak, oskarżyłem ją o bezprawne wtargnięcie na posiadłość jej matki. Na dobre już otrzeźwiony podniosłem się na nogi, cały w przeprosinach, i wyjaśniłem, że mówiłem przez sen.

Całkiem zapomniałem o stawie. Wpadłem z miejsca, jak kretyn! Przemoczony do suchej nitki! Na szczęście, staw sięgał mi tylko do pasa, a pan Bóg ocalił cennego Nietzschego Ayrsa przed wspólną kąpielą. Gdy Eva w końcu opanowała śmiech, powiedziałem, że miło mi widzieć ją nie tylko w wiecznych pretensjach. Odpowiedziała po angielsku, że mam włosy całe w rzęsie. Nie zostało mi nic innego, jak tylko protekcyjnie pochwalić jej angielski. Odparowała:

– Nie trzeba wiele, żeby Anglik był pod wrażeniem.

Poszedłem sobie. Nie mogłem wymyślić żadnej ciętej riposty, więc tego seta wygrała ona.

Uważaj teraz, bo będę mówił o książkach i mamonie. Szperając po regałach z książkami w moim pokoju, natrafiłem na dziwny wolumin z brakującym początkiem i chciałbym, żebyś odszukał mi jakiś inny egzemplarz. Zaczyna się na 99 stronie, brakuje okładek, a w grzbiecie

rwie się szycie. Na ile się orientuję, jest to wydany dziennik podróży z Sydney do Kalifornii, odbytej przez pewnego notariusza z San Francisco nazwiskiem Adam Ewing. Wspomina coś o gorączce złota, więc myślę, że to jakiś rok 1849 albo 1850. Dziennik był chyba pośmiertnie wydany przez syna Ewinga (?). Ewing przypomina mi nieudacznika kpt. Delano z *Benito Cereno* Melville'a, ślepego na wszelkie spiski – nie widzi, że jego zaufany doktor Henry Goose (*sic!*) to wampir, podsycający jego hipochondrię, żeby powoli podtruwać go dla pieniędzy. Jest coś podejrzanego w rzekomej autentyczności dziennika – za bardzo jest uporządkowany, jak na prawdziwy pamiętnik, i język jakoś nie brzmi prawdziwie – ale kto zadałby sobie trud podrabiania dziennika i po co?

Ku mej wielkiej irytacji, strony urywają się w połowie zdania jakieś czterdzieści kartek później, gdzie oprawa jest cała w strzępach. Przetrzęsnałem, cholera, całą bibliotekę w poszukiwaniu reszty dziennika. Bez powodzenia. Nie leży w naszym interesie zwracanie uwagi Ayrsa i pani Crommelynck na nieskatalogowane skarby bibliograficzne, więc jestem w niezłej kropce. Zapytałbyś Otto Janscha z Caithness Street, czy wie cokolwiek o tym Adamie Ewingu? Do połowy przeczytana książka to jak na wpół skończony list miłosny.

Załączam spis najstarszych wydań, jakie znalazłem w bibliotece Zedelghem. Jak sam widzisz, niektóre pozycje są z samych początków XVII wieku, więc prześlij mi ofertę Janscha, kiedy tylko będziesz mógł, i niech sknera przebiera nogami – wspomnij mimochodem, że książkami interesują się antykwaryści w Paryżu. Twój

R.F.



Château Zedelghem

28 – vii – 1931

Sixsmith,

drobny powód do wzniesienia szklanicy. Dwa dni temu skończyliśmy z Ayrsem nasze pierwsze wspólne dzieło, krótki poemat symfoniczny „Der Todtenvogel”. W postaci, w jakiej go odkopałem, był mdłą aranzacją starego germańskiego hymnu, zarzuconą bezradnie z powodu słabnącego wzroku Ayrsa. Z naszej nowej wersji wychynęła ciekawa bestia. Pobrzmiewa Wagnerowskim *Pierścieniem*, następnie roztopia główny motyw w koszmarze strawińskości, nad którym straż trzymają upiory Sibeliusa. Makabryczne, rozkoszne, szkoda, że nie możesz posłuchać. Na koniec jest solo na flet – nie żadne tam flecikowe motylki, ale śpiew prawdziwego tytułowego ptaka śmierci, który jednak rzuca klątwę na pierworodnych i na najmłodszych z rodu.

Augustowski znowu wpadł wczoraj z wizytą, wracając z Paryża. Przeczytał partyturę i zasypał ją taką liczbą pochwał, że chyba musiał pomagać sobie w głowie łopatą. I słusznie! To najdoskonalszy poemat symfoniczny stworzony od czasów wojny, jaki znam; i zapewniam cię,

Sixsmith, że ładne kilka najlepszych pomysłów jest moich. Cóż, osobisty sekretarz musi pogodzić się z tym, że zrzeka się swojej części autorstwa, ale nie zawsze łatwo trzymać język za zębami. Jednak najlepsze jeszcze przed nami – Augustowski chce osobiście dyrygować premierowym wykonaniem za trzy tygodnie na festiwalu w Krakowie!

Wstałem wczoraj skoro świt i cały dzień spędziłem, przepisując partyturę na czysto. Nagle jakoś przestała wydawać mi się taka krótka. Zacząłem w końcu sadzić kulfony, a pięciolinia odbiła mi się trwale na powiekach, ale skończyłem do kolacji. Opiliśmy sukces pięcioma butelkami wina na cztery osoby. Na deser były najprzedniejsze muszkatele.

Jestem teraz złotym chłopcem Zedelghem. Już b. dawno nie byłem niczym złotym chłopcem i całkiem mi się to podoba. Jocasta zaproponowała, żebym przeniósł się z gościnnego pokoju do jednej z większych, nieużywanych sypialń na drugim piętrze i ściągnął tam sobie, co mi się tylko podoba, z innych pomieszczeń Zedelghem. Ayrs propozycję poparł, więc powiedziałem, że chętnie. Byłem wniebowzięty, bo Miss Nadętości straciła *sangfroid* i zajęczała cienko:

– Może jeszcze wpiszcie go do testamentu, mamó? Może zostawcie mu pół majątku? – Odeszła od stołu bez pozwolenia.

Ayrs zachrypiał na tyle głośno, żeby usłyszała:

– Nareszcie od siedemnastu lat dziewczyna ma jakiś dobry pomysł. Przynajmniej Frobisher zarabia, do cholery, na swoje utrzymanie.

Gospodarze nie chcieli nawet słuchać moich przeprosin, twierdzili, że to Eva powinna mnie przeproszać, i że wreszcie musi się pozbyć prekopernikańskiego przeświadczenia, że kręci się wokół niej cały wszechświat. Balsam dla mych uszu! Także w sprawie Evy: razem z dwudziestoma koleżankami z klasy jedzie b. niedługo na kilka miesięcy do Szwajcarii, żeby uczyć się w siostrzanej szkole. Balsamu porcja kolejna! Będzie tak, jakby mi wypadł spróchniały ząb. W moim nowym wielkim pokoju można grać debła w badmintona; mam łożo z baldachimem, z którego musiałem strzepać zeszloroczne ćmy; wielowiekowy kurdyban odłazi płatami ze ścian jak łuski smoka, ale na swój sposób wygląda ciekawie; szklana kula w kolorze indygo; szafa z orzecha; sześć ministerialnych foteli i sekretera z sykomorowego drewna, przy której piszę ten list. Przez gałęzie wiciokrzewu wpada dużo światła. Z południowego okna widać dereszowate, ozdobnie strzyżone krzewy. Na zachodzie krowy pasą się na łące, a w głębi, za lasem, wznosi się wieża kościoła. Jej dzwony to teraz mój zegar. (Po prawdzie Zedelghem szczyli się wieloma zabytkowymi zegarami, z których jedne wybijają godziny za wcześnie, inne z opóźnieniem, jak w miniaturowym Bruges). Wszystko w sumie jest o poziom czy dwa wyżej niż nasze pokoje na Whyman's Lane, o poziom czy dwa niżej od Savoyu albo Imperialu, ale przestronnie tu i bezpiecznie. Chyba że zrobię coś niezręcznego lub zachowam się niedyskretnie.

A mówiąc o niedyskrecji – niech mnie diabli, Sixsmith, jeśli madame Jocasta Crommelynck nie zaczęła delikatnie ze mną flirtować. Dwuznaczność tego, co mówi, spojrzenia i muśnięcia dłonią są zbyt wystudiowane, by można je wziąć za przypadek. Wiem, co myślisz. Wczoraj wieczorem studiowałem w mym pokoju dzieła Bałakiriewa z okresu młodości, gdy zapukała pani Crommelynck. Miała na sobie rajtrok, a poniżej upiętych w górę włosów

doskonale widać było ponętą szyję.

– Mąż chce sprawić panu prezent – powiedziała, wchodząc, gdy się odsunąłem. – Proszę. Aby upamiętnić ukończenie „Todtenvogla”. Wie pan, Robercie – leniwie rozciąga ostatnie sylaby mojego imienia – Vyvyan jest przeszczęśliwy, że znowu pracuje. Nie czuł się tak rześko od lat. To tylko dowód wdzięczności. Proszę ją włożyć. – Podała mi przepiękną kamizelę z jedwabiu w stylu ottomańskim, o wzorze zbyt niezwykłym, by kiedykolwiek był w modzie lub wyszedł z mody. – Kupiłam ją, gdy spędzaliśmy miesiąc miodowy w Kairze, był wtedy w pańskim wieku. Już nie będzie jej nosił.

Odrzekłem, że czuję się zaszczycony, ale zaprotestowałem, że absolutnie nie mogę przyjąć ubrania o tak wielkiej sentymentalnej wartości.

– Ależ właśnie dlatego chcemy, by pan ją nosił. Przetykana jest naszymi wspomnieniami. Proszę ją włożyć.

Zrobiłem, na co nalegała, a ona pogładziła kamizelę ręką pod pretekstem (?) strzepnięcia pyłka.

– Proszę podejść do lustra.

Podszedłem. Stała dosłownie kilka cali za mną.

– Jest zbyt piękna, by lęły się w niej mole, prawda?

Przytaknąłem. Na jej twarzy rozbłysło podwójne ostrze uśmiechu.

Gdybyśmy żyli w jednej z rozdyszanych powieści Emily, dłonie uwodzicielki objęłyby tors niewinnego chłopca, ale Jocasta ma więcej sprytu.

– Ma pan dokładnie tę samą figurę, co Vyvyan w pańskim wieku. Przedziwne, prawda?

Tak, przytaknąłem znowu. Jej paznokcie wysunęły spod kamizelki pasmo moich włosów.

Ani nie protestowałem, ani nie zachęcałem jej dalej. Tego typu sprawy powinny się toczyć powoli. Pani Crommelynck wyszła bez słowa.

Przy lunchu Hendrick doniósł, że włamano się do domu doktora Egreta w Neerbeke. Na szczęście, nikomu nie stała się krzywda, ale policja wydała ostrzeżenie, by uważać na Cyganów i włóczęgów. Domy na noc należy starannie zamykać. Jocasę przeszył dreszcz i powiedziała, że cieszy się, iż jestem w Zedelghem, aby ją chronić. Przyznałem, że nieźle dawałem sobie w Eton radę w walce na pięści, choć mam wątpliwości, czy potrafiłbym rozprawić się z całym gangiem zbirów. Może trzymałbym ręcznik Hendrickowi, a on dałby im nieźle cięgi? Ayrs nic na to nie odrzekł, ale tego wieczoru odwinął lugera z serwetki na kolanach. Jocasta robiła mu wymówki, że pokazuje pistolet przy kolacji, ale nic sobie z tego nie robił.

– Gdy wróciliśmy z Göteborga, znalazłem to draństwo schowane pod luźną deską

w podłodze w dużej sypialni, był nabity – wyjaśnił. – Pruski kapitan musiał albo w pośpiechu uciekać, albo dać się zabić. Schował go tam pewnie jako swego rodzaju polisę ubezpieczeniową, na wypadek najścia zbuntowanych żołnierzy czy nieproszonych gości. Trzymam go przy łóżku z tych samych powodów.

Zapytałem, czy mogę go wziąć do ręki, bo przedtem trzymałem tylko myśliwskie strzelby.

– Ależ oczywiście – powiedział Ayrś, podając mi broń.

Poczułem dreszcz na całym ciele. Założyłbym się o mój spadek, gdyby mi jeszcze jakkolwiek został, że ten dobrze leżący w dłoni kawał żelaza przynajmniej raz już zabił.

– Więc widzi pan – śmiech Ayrśa brzmiał nieszczerze – może i jestem starym, ślepym kaleką, ale pazur mi został. Stary ślepiec ma broń i b. niewiele do stracenia. Niech pan sobie tylko wyobrazi, ile mógłbym nawyprawiać.

Dotąd nie wiem, czy tylko mi się wydawało, że słyszę groźbę w jego głosie.

Wspaniałe wieści od Janscha, ale nie powtarzaj mu tego. Wyślę ci trzy tomy, o których mówi, kiedy będę w Bruges następnym razem – naczelnik poczty w Neerbeke lubi być dociekliwy, nie ufam mu. Zachowaj zwykle środki ostrożności. Prześlij moje zyski na konto w 1. Banku Belgijskim, Oddział Główny, Bruges – Dhondt pstryknął tylko palcami i kierownik otworzył mi rachunek. Jestem pewien, że na liście klientów mają tylko jednego Roberta Frobishera.

Najlepsza wiadomość ze wszystkich: zacząłem znowu sam komponować.

Twój

R.F.



Zedelghem

16 – viii – 1931

Sixsmith,

lato zrobiło się zmysłowe: z żoną Ayrśa zostaliśmy kochankami. Nie panikuj! Tylko w sensie cielesnym. Pewnej nocy w minionym tygodniu weszła do mojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi na klucz i żadne z nas nie wypowiedziało słowa, kiedy zdjęła ubranie. Nie chcę się przechwalać, ale jej wizyta nie była dla mnie zaskoczeniem. Tak naprawdę zostawiłem dla niej szeroko otwarte drzwi. Mówię ci, Sixsmith, powinienes kiedyś spróbować kochać się w zupełnej

ciszy. Cały ten rwetes przemienia się w rozkosz, jeśli tylko zasznurowiesz usta.

Gdy otwiera się ciało kobiety, otwiera się także jej szkatułka zwierzeń. (Powinieneś sam ich kiedyś skosztować – kobiet). Czy to może dlatego, że są beznadziejne w kartach? Po Akcie I zwykle wolę spokojnie poleżeć, ale Jocasta nie przestawała mówić, żywiłowo, jak gdyby chciała przysypać nasz czarny sekret wieloma mniejszymi, szarymi. Dowiedziałem się, że Ayrz zaraził się syfilisem w burdelu w Kopenhadze podczas dłuższej rozłąki w 1915 roku i od tamtej pory nie mógł dawać żonie przyjemności; kiedy przyszła na świat Eva, doktor powiedział Jokaście, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci. B. rozważnie wybiera okazjonalne romanse, ale stanowczo twierdzi, że ma do nich prawo. Utrzymuje, że nadal kocha Ayrsa. Wyraziłem swoje wątpliwości burknięciem. „Gadanie, że gdzie miłość, tam wierność” – odparowała – „to mit, który mężczyźni ukuli z własnego braku poczucia bezpieczeństwa”.

Rozmawialiśmy też o Evie. Obawia się, że zbyt była zajęta wpajaniem córce poczucia przyzwoitości i nigdy nie miały czasu się zaprzyjaźnić, a teraz, jak się wydaje, jest już za późno. Te wszystkie banalne tragedie pograżyły ją w lekkim letargu, ale będzie w przyszłości bardzo ostrożna wobec Duńczyków, a już na pewno – duńskich burdeli.

J. miała ochotę na drugą turę, jakby chciała się do mnie przykleić. Nie oponowałem. Miała ciało amazonki, bardziej sprężyste, niż zwykle u dojrzałych kobiet, i technikę lepszą niż wiele klaczy, których dosiadałem za dziesięć szylingów. Podejrzewać można, że kryje się za tym długa linia ogierów, zapraszanych, by pasły się u jej żłobu. I rzeczywiście, gdy właśnie odpływałem w sen, powiedziała:

– Debussy spędził kiedyś tydzień w Zedelghem, przed wojną. O ile się nie mylę, spał właśnie w tym łóżku.

Jakaś nieuchwytna nuta w jej tonie pozwalała przypuszczać, że z nim tu była. Całkiem możliwe. Wszystko, co nosi spódnice – tak słyszałem o Claudzie, poza tym przecież był Francuzem.

Kiedy Lucille zapukała rano, by wnieść mi wodę do golenia, byłem już sam. Przy śniadaniu J. zachowywała się niedbale, podobnie jak ja, co mnie cieszy. Była nawet lekko uszczypliwa, gdy trochę dżemu spadło mi na serwetę, na co V.A. aż zwrócił jej uwagę.

– A ty coś taka cięta, Jocasto? Przecież nie twoje piękne ręce będą prały tę plamę.

Cudzołóstwo wymaga od obu stron duetu nie lada sztuczek, Sixsmith – jak w bridżu kontraktowym wystrzegaj się partnerów, którzy mniej umieją od ciebie, bo skończysz w straszliwej kabale.

Winny? Wcale. Triumf uwodziciela cudzych żon? Nie do końca. Na Ayrsa jestem w dalszym ciągu raczej lekko wściekły. Któregoś wieczoru przyszli na kolację Dhondtowie i pani D. poprosiła, by ktoś zagrał na pianinie, żeby muzyka pomogła w trawieniu, więc zagrałem *Aniola z Mons*, utwór, który napisałem na wakacjach, gdy byłem z tobą na wyspach Scilly dwa lata temu, choć nie przyznałem się do autorstwa, twierdząc, że skomponował go „przyjaciel”. Ostatnio go przepisywałem. Jest teraz lepszy i biegnie płynniej, niż wodniste, mdlawe pastisze

w schubertowskim stylu, jakie V.A. płodził, gdy sam miał dwadzieścia lat. J. i Dhondtom podobał się tak bardzo, że nalegali na bis. Zagrałem znowu ledwie sześć taktów, gdy V.A. zgłosił niespotykane dotąd weto.

– Radziłbym pańskiemu przyjacielowi, by wyuczył się Dawnych Mistrzów, nim zacznie figle z Nowoczesnością.

Niby niewinna uwaga. Ale wymówił słowo „przyjacielowi” znaczącym tonem, który dał mi do zrozumienia, że doskonale orientował się, kim był mój rzekomy przyjaciel. Być może używał kiedyś tego samego fortelu w domu Griega w Bergen?

– Bez dokładnego opanowania kontrapunktu i harmonii – prychnął V.A. – nigdy nie będzie nikim więcej, niż domokrażnym sprzedawcą głupawych sztuczek. Niech pan to przekaże ode mnie swojemu przyjacielowi.

Zżymałem się w milczeniu. V.A. powiedział J., żeby nastawiła na gramofonie jego własny „Kwintet Dęty Sirocco”. Posłusznie zrobiła, co napastliwy tyran chciał. Na pocieszenie przypomniałem sobie ciało J. pod letnią suknią z *crepe de chine* i jak pożądliwie wsuwa się do mego łóżka. Wspaniale, nad rogami chlebobdawcy będę napawał się dyskretnie zwycięstwem. Dobrze mu tak. Fanfaron, choć stary i chory, to nadal fanfaron.

Augustowski przysłał enigmatyczny telegram po koncercie w Krakowie. Tłumacząc z francuskiego: PIERWSZY TODTENVOGEL ZAGADKA STOP DRUGIE WYKONANIE BÓJKA NA PIĘŚCI STOP PO TRZECIM UWIELBIENIE STOP CZWARTE ROZGŁOS W CAŁYM MIEŚCIE STOP. Nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić, aż zaraz za telegramem przyszły pocztą wycinki z gazet, które Augustowski przetłumaczył na odwrocie programu koncertu. Cóż, nasz „Todtenvogel” stał się *cause celebre*! Jak dotąd, wydaje się, że krytycy zinterpretowali dezintegrację wagnerowskich tematów jako frontalny atak na Rzeszę Niemiecką. Banda nacjonalistycznych parlamentarzystów wymusiła na dyrekcji festiwalu piąte wykonanie. Filharmonia, mając na względzie wpływy kasowe, zgodziła się z przyjemnością. Ambasador niemiecki złożył oficjalny protest, więc szóste zostało wyprzedane w ciągu kolejnej doby. W efekcie akcje Ayrsa poszybowały w górę wszędzie oprócz Niemiec, gdzie najwyraźniej okrzyknięto go żydowskim diabłem. Krajowe gazety z całej Europy napisały z prośbą o wywiad. Mam przyjemność rozsyłać w każdym przypadku uprzejme, acz stanowcze odmowy *pro forma*.

– Jestem zajęty komponowaniem – gdera Ayrs. – Jak chcą wiedzieć „co mam na myśli”, niech, do cholery, posłuchają mojej muzyki.

A jednak rozkwita dzięki tej całej skierowanej na niego uwadze. Nawet pani Willems przyznaje, że od czasu mego przyjazdu w pana wstąpił nowy duch.

Wrogość utrzymuje się natomiast na froncie Evy. Niepokoi mnie, że wyczuwa coś niedobrego między mną a moim ojcem. Publicznie zastanawia się, dlaczego nie dostaję żadnych listów od rodziny albo czemu nie przysłano mi żadnych ubrań z domu. Zapytała, czy czasem któraś z moich sióstr nie chciałaby z nią korespondować. Aby wygrać na czasie, obiecałem, że przedstawię siostrze jej propozycję i być może poproszę cię o kolejne fałszerstwo. I zrób je najlepiej jak umiesz. Szczwana lisiczka to niemal żeńskie wydanie Mnie Samego.

Tego roku sierpień w Belgii jest piekielnie gorący. Łąka już cała pożółkła, ogrodnik obawia się pożarów, rolnicy niepokoją się o żniwa, ale pokaż mi spokojnego rolnika, a pokażę ci zdrowego na umyśle dyrygenta. Za chwilę zakleję tę kopertę i pójdę przez las nad stawem na pocztę w wiosce. Nie byłoby najlepiej, gdyby te kartki leżały sobie, aż znajdzie je pewna myszkująca siedemnastoletnia panna.

W sprawach ważnych. Tak, spotkam się z Otto Janschem w Bruges i osobiście przekażę mu iluminowane rękopisy, ale ty musisz pośredniczyć we wszelkich ustaleniach. Nie chcę, żeby Jansch wiedział, z czyjej gościny korzystam. Jansch jest chciwym, chutliwym cwaniakiem, jak wszyscy handlarze, tylko jeszcze bardziej. Nie wahałby się użyć drobnego szantażu, żeby zbić cenę – albo wręcz zejść z niej do zera. Powiedz mu, że chcę zapłaty od razu gotówką, w szeleszczących banknotach, niech zapomni o jakichkolwiek umowach kredytowych. Wtedy prześlę ci przekaz pocztą, w tym sumę, którą mi pożyczyłeś. W ten sposób będziesz poza podejrzewaniem, jeśli wkradnie się jakie szachrajstwo. Ja już straciłem dobre imię i dlatego, jeśli na niego doniosę, niczego już nie stracę. To też Janschowi powiedz.

Twój

R.F.



Zedelghem

Wieczorem, 16 – viii – 1931

Sixsmith,

epistoła od „adwokata” mojego ojca to istny majstersztyk. Brawo. Przeczytałem ją na głos przy śniadaniu – wzbudziła tylko chwilowe zainteresowanie. Znaczek pocztowy z Saffron Walden to też mistrzowskie posunięcie. Aż trudno uwierzyć, że któregoś słonecznego popołudnia ruszyłeś się z laboratorium w Essex, żeby samemu go wysłać. Ayrs zaprosił naszego „pana Cummingsa”, by odwiedził mnie w Zedelghem, ale pisałeś, że goni nas czas, więc pani Crommelynck powiedziała, że Hendrick odwiezie mnie do miasta, żebym tam podpisał dokumenty. Ayrs zrzędził, że straci cały dzień pracy, ale gdyby nie zrzędził, toby nie żył.

Wyruszyliśmy z Hendrickiem dziś tymi samymi okrytymi poranną rosą drogami, którymi jechałem na rowerze w połowie lata. Miałem na sobie elegancką marynarkę Ayrsa – spora część jego garderoby grawituje w moją stronę, gdyż kilka ubrań ocalonych z Imperialu zaczyna się już przecierać. Enfield był przywiązany sznurem do tylnego zderzaka, bym mógł dotrzymać obietnicy złożonej dobremu konstablowi i oddać mu rower. Nasz oprawny w welin łup owinąłem dla kamuflażu papierem nutowym, bez którego, jak wszyscy w Zedelghem wiedzą, nigdzie się nie ruszam, i wepchnąłem w przybrudzony chlebak, który sobie przywłaszczyłem. Hendrick opuścił dach cowleya, więc za mocno wiało, żeby rozmawiać. Jegomość nie mówi wiele, jak

przystało komuś o jego pozycji. To dziwne, ale odkąd świadczę usługi pani Crommelynck, jestem bardziej spięty przy służącym jej męża niż przy samym mężu. (Jocasta nadal okazuje mi swą łaskę, co trzy lub cztery noce, choć nigdy, kiedy w domu jest Eva, co jest b. rozsądne. W każdym razie, lepiej nie zżerać od razu całej bombonierki). Moje skrępowanie bierze się z przecucia, że Hendrick może wiedzieć. O, my na górnych piętrach gratulujemy sobie przebiegłości, ale nic nie ukryje się przed tymi, którzy zmieniają pościel. Nie zamartwiam się tym. Nie wymagam od służby Bóg wie czego, a Hendrick jest wystarczająco cwany, żeby stawiać na swoją panią, trzymającą wszystko w ryzach, która ma przed sobą jeszcze wiele lat życia, niż na kalekiego Ayrsa, którego los jest już z góry wiadomy. Naprawdę dziwny ten Hendrick. Trudno go rozgryźć. Byłby z niego doskonały krupier.

Podwiózł mnie do ratusza, odwiązał enfielda i zostawił mnie, a sam pojechał załatwiać różne sprawy i odwiedzić, jak mówił, starą, chorą babkę. Pojechałem rowerem przez tłum turystów, uczniaków i mieszkańców miasta i zgubiłem się tylko kilka razy. Na posterunku inspektor-muzyk narobił wiele szumu z okazji mojej wizyty i posłał po kawę i pączki. Był zachwycony, że tak dobrze wszystko potoczyło się z moją posadą u Ayrsa. Kiedy w końcu od niego wyszedłem, była już dziesiąta, pora na spotkanie. Nie śpieszyłem się. Zawsze lepiej, gdy kupcy trochę poczekają.

Jansch podpierał bar w Le Royal i przywitał mnie swoim „No proszę, a niech mnie, Niewidzialny Człowiek we własnej osobie”. Przysięgam, Sixsmith, ten Shylock, cały w brodawkach, za każdym razem, kiedy go widzę, wygląda coraz ohydniej. Może gdzieś na strychu ma swój magiczny portret, który z każdym rokiem pięknieje? Nie mogłem rozgryźć, dlaczego wydawał się tak uradowany na mój widok. Rozejrzałem się po sali, czy nie ma żadnych wierzycieli, którym ktoś dał cynk – jedno napotkane spojrzenie szczywanym oczu i wyrwałbym do drzwi. Jansch czytał mi w myślach.

– Coś taki podejrzliwy, Roberto? Nie narobię koło pióra niegrzecznej kurce, która znosi jajka tak pięknie iluminowane, prawda? Chodź – pokazał ręką bar – czego się napijesz, czym się chcesz truć?

Odrzekłem, że już samo przebywanie z Janschem w jednym pomieszczeniu, nawet tak przestronnym, truje mnie wystarczająco, więc chciałem od razu przejść do rzeczy. Zarechotał, poklepał mnie po ramieniu i zaprowadził do salki, którą zarezerwował dla naszej transakcji. Nikt za nami nie poszedł, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Żałowałem teraz, że nie zorganizowałem nam schadzki w bardziej publicznym miejscu, aby zbiry Tama Brewera nie mogły zarzucić mi worka na głowę, wepchnąć do bagażnika i wywieźć z powrotem do Londynu. Wyjąłem książki z chlebaka, a on swoje *pince-nez* z kieszeni marynarki. Jansch obejrzał tomy dokładnie przy biurku pod oknem. Próbował zbić cenę, twierdząc, że książki są w stanie ledwie „przyzwoitym”, a nie „dobrym”.

Spokojnie owinąłem je z powrotem, wsadziłem do chlebaka i pozwoliłem żydowskiemu sknerze gonić za mną po korytarzu, aż przyznał, że woluminy rzeczywiście były w „dobrym” stanie. Dałem mu się uprosić z powrotem do salki, gdzie przeliczyłem banknoty, powoli, aż doliczyłem się całej uzgodnionej sumy. Już po wszystkich westchnął, że puszcza mnie z torbami, uśmiechnął się tym swoim uśmieszkiem i położył mi włochatą łapę na kolanie. Powiedziałem, że tylko książki mam dziś na sprzedaż. Zapytał, dlaczego interesy mają

wykluczać przyjemność? Z pewnością młodzianowi z dala od kraju przyda się drobne kieszonkowe?

Godzinę później zostawiłem Janscha śpiącego, a jego portfel zupełnie pusty. Udałem się prosto do banku po drugiej stronie placu, gdzie zajęła się mną osobista sekretarka kierownika. Słodki ptak wypłacalności. Jak lubi mawiać Ojczulek, „Pot człowieka jest dla niego najlepszą nagrodą” (nie chodzi o to, że on kiedykolwiek zbyt się napocił, przemawiając z ambony na swojej synekurce). Następnym przystankiem był sklep muzyczny Flagstada, gdzie kupiłem ryzę papieru nutowego, żeby z powrotem wypchać nią chlebak, na wypadek, gdyby czyjeś uważne spojrzenie miało coś dostrzec. Wychodząc, zauważyłem parę szarych getrów na wystawie u szewca. Wszedłem i kupiłem je. W sklepie tytoniowym zobaczyłem papierośnicę z szagrynowej skóry. Kupiłem.

Zostały mi dwie godziny do zabicia. Wypiłem zimne piwo w kawiarni, potem jeszcze jedno, i jeszcze jedno, i wypaliłem całą paczkę wybornych francuskich papierosów. Portfel Janscha to żaden magiczny Sezam, lecz Bóg wie, że z jego pieniędzmi czuję się jak w bajce. Potem znalazłem schowany w bocznej uliczce kościółek (unikałem miejsc pełnych turystów, żeby nie wpaść na gderliwych handlarzy książek), pełen świec, cieni, smętnych męczenników i kadzideł. Nie byłem w kościele od tamtego ranka, gdy Ojczulek mnie wypędził. Drzwi wejściowe co chwila głośno trzaskały. Zaszuszone staruszki wchodziły, zapalały świeczkę, wychodziły. Kłódka na gablocie z wotami była z gatunku najlepszych. Ludzie klękali do modlitwy, niektórzy poruszali ustami. Zazdroszczę im, naprawdę zazdroszczę. Zazdroszczę też Bogu, że jest powiernikiem ich sekretów. Wiara, najmniej elitarny klub na świecie, ma najbardziej przebiegłego portiera: za każdym razem, gdy wchodzę przez te szeroko otwarte drzwi, okazuje się, że znowu jestem na ulicy. Bardzo starałem się myśleć o sprawach anielskich, ale w głowie cały czas wodziłem palcami po ciele Jocasty. Nawet święci i męczennicy z witraży lekko mnie podniecali. Nie sądzę, bym dzięki takim myślom miał bliżej do Nieba. W końcu przepłoszył mnie stamtąd motet Bacha – chórzyci nie byli nawet tacy źli, nie czekało ich wieczne potępienie, ale dla organisty jedyną nadzieją na zbawienie było strzelić sobie w łeb. Nie omieszkałem mu tego powiedzieć – takt i powściągliwość dobre są w rozmowie o pogodzie, ale nie można owijać spraw w bawełnę, gdy chodzi o muzykę.

W wypielęgnowanych w każdym calu ogrodach o nazwie Minnewater Park, pary zakochanych przechadzały się pod rękę pośród wierzb, różanych krzewów i przyzwoitek. Ślepy, wychudzony skrzypek grał, prosząc o datki. Ale potrafił grać. Poprosiłem o „Bonsoir, Paris!” i zagrał z takim *elan*, że wcisnąłem mu w rękę nowiutkie pięć franków. Zdjął ciemne okulary, sprawdził znak wodny, przywołał z imienia swego ulubionego świętego, zebrał miedziaki i popędził przez kwietniki jak wariat. Ktokolwiek wyraził opinię, że „pieniądze szczęścia nie dają”, najwyraźniej miał ich o wiele za dużo.

Usiadłem na żeliwnej ławce. Dzwony zegara wybiły pierwszą, na zmianę blisko i daleko. Urzędnicy wypełzli z kancelarii prawnych i biur handlowych, żeby zjeść kanapkę w parku i poczuć świeży wietrzyk. Zastanawiałem się, czy spóźnić się na auto Hendricka, kiedy zgadnij kto wkroczył do parku, bez przyzwoitki, w towarzystwie dwa razy starszego od niej samej patyczakowatego dandysa, z wulgarną złotą ślubną obrączką na palcu, zbyt pewnego siebie. Zgadłeś. Eva. Ukryłem się za gazetą, którą jakiś urzędnik zostawił na ławce. Eva nie dotykała się ze swoim towarzyszem, ale przechadzali się tuż przede mną w aurze takiej bezpośredniej

intymności, jakiej nigdy nie okazuje w Zedelghem. Z miejsca wyciągnąłem oczywiste wnioski.

Eva obstawiała podejrzanego konia. Mówił głośno, żeby zrobić wrażenie na obcych przechodniach.

– Człowiek wtedy żyje w swoim czasie, Evo, gdy on i jemu współcześni uznają te same rzeczy za oczywiste i nie zastanawiają się nad tym. Natomiast popada w ruinę wtedy, gdy czasy się zmieniają, a on nie. Dodam, pozwól, że z tej samej przyczyny upadają cesarstwa.

Szachraj pseudofilozof mnie zadziwił. Dziewczyna z prezencją E. mogła przecież z pewnością znaleźć sobie kogoś lepszego. Zachowanie E. również mnie zdumiewało. W środku dnia, we własnym mieście? Sama chce się zrujnować? A może jest jedną z libertyńskich sufrażystek w stylu Rossetti? Poszedłem za nimi w bezpiecznej odległości do jednego z szeregowych domów na dość zamożnej ulicy. Mężczyzna rozejrzał się jeszcze bacznie, zanim włożył klucz do zamka. Przykucnąłem w zaułku.

Wyobraź sobie Frobishera zacierającego ręce z radości!

Eva wróciła późno, jak zwykle w piątkowe popołudnia. W przedsionku między jej pokojem a drzwiami do stajni stoi okazałe dębowe krzesło. Tam się usadziłem. Niestety, zatraciłem się w akordach czystych dźwięków starego szkła i nie zauważyłem E., jak podjechała ze szpicrutą w dłoni, nawet nie podejrzewając zastawionej na nią pułapki.

– *S'agit-il d'un guet-apens? Si vous voulez discuter avec moi d'un probleme personnel, vous pourriez meprevenir?*

Tak mnie zaskoczyła, że głośno zdradziłem własne myśli. Eva przyczepiła się do jednego słowa.

– Nazywa mnie pan „donosicielką”? „*Une moucharde?*”. *Ce n'est pas un mot aimable, Mr Frobisher. Si vous dites que je suis une moucharde, vous allez nuire a ma reputation. Et si vous nuisez a ma reputation, eh bien, if faudra que je ruine la votre!*

Z pewnym opóźnieniem otworzyłem ogień. Tak, właśnie co do jej reputacji chciałem udzielić ostrzeżenia. Jeśli nawet cudzoziemiec będący w Bruges w gościnie widział ją, jak przestaje w Minnewater Park w czasie zajęć lekcyjnych z jakimś gruzliczym padalcem, jedynie kwestią czasu pozostaje, kiedy wszystkie plotkarki w mieście nazwisko CrommelynckAyr obrzucą błotem!

Najpierw spodziewałem się policzka, lecz po chwili zaczerwieniła się i spuściła głowę. Zapytała potulnie:

– *Avez vous dit a ma mere ce que vous avez vu?*

Odrzekłem, że nie, jeszcze nikomu nie mówiłem.

E. dobrze wymierzyła w cel:

– I głupio pan zrobił, monsieur Frobisher, ponieważ mama powiedziałaaby panu, że tajemniczy „schatzkowicz” to monsieur van de Velde, dżentelmen, u którego rodziny mieszkam w czasie szkoły. Jego ojciec jest właścicielem największych zakładów amunicji w całej Belgii i szanowaną głową rodziny. W środę mieliśmy lekcje tylko do połowy dnia, więc monsieur van de Velde był tak uprzejmy, że towarzyszył mi w drodze powrotnej z biura do domu. Jego córki miały próbę chóru. Szkole nie podoba się, gdy wychowanki chodzą same po mieście, nawet za dnia. Widzi pan, w parkach kręcą się szpicle, sprośni szpicle, którzy czekają tylko, żeby zszargać jakiej dziewczynie reputację, lub też czyhają na okazję, by ją szantażować.

Blefuje czy dostałem rykoszetem? Postanowiłem się asekurować.

– Szantażować? Sam mam trzy siostry i niepokoiłem się o pani reputację! To wszystko.

Delektowała się przewagą.

– *Ah oui? Comme c'est delicat de votrepart!* Proszę mi powiedzieć, panie Frobisher, co tak właściwie pan myślał, że monsieur van de Velde ze mną robi? Czy był pan szaleńczo zazdrosny?

Jej paskudna bezpośredniość – jak na dziewczynę – całkiem zbiła mnie z tropu.

– Cieszy mnie, że to proste nieporozumienie zostało wyjaśnione – przybrałem najbardziej nieszczerzy z uśmiechów – proszę przyjąć najszczerze przeprosiny.

– Przyjmuję pańskie najszczerze przeprosiny dokładnie w tym samym duchu, w jakim są składane. – E. oddaliła się do stajni, ze świstem wymachując szpicrutą, jak lwica ogonem.

Poszedłem do pracowni muzycznej, by zapomnieć o tym, jak żałośnie wypadłem, i oddać się diabelskiemu Lisztowi. Zwykle z łatwością wygrywam „La Predication aux Oiseaux”, ale nie w ten piątek. Dzięki Bogu, E. wyjeżdża jutro do Szwajcarii. Gdyby kiedykolwiek odkryła prawdę o nocnych wizytach jej matki – wolę nawet o tym nie myśleć. Dlaczego nie mogę nigdy spotkać chłopca, którego mógłbym owinać sobie wokół palca (i nie tylko palca), za to kobiety z Zedelghem wygrywają ze mną za każdym razem?

Twój

R.F.



Zedelghem

Sixsmith,

siedzę w szlafroku przy sekreterze. Dzwon kościoła wybija piątą. Kolejny złakniony świt. Świeca cała się już wypaliła. To była wyczerpująca noc, wszystko stanęło na głowie. J. przyszła do mnie do łóżka o północy i podczas naszych akrobacji ktoś załomotał do drzwi. Groteska pełna grozy! Dzięki Bogu, J., wchodząc, zamknęła za sobą drzwi na klucz. Ktoś ciągnął za klamkę i nieprzerwanie łomotał. Strach może nadać myślom ostrości tak samo, jak i je pomieszać, i wspomniawszy mego *Don Juana*, ukryłem J. pod stertą kołder i prześcieradeł w skotłowanym łóżku, a także na poły rozsunąłem zasłonę, by pokazać, że nie mam nic do ukrycia.

Począpałem przez pokój, cały czas nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę, i umyślnie wpadając na różne przedmioty, by zyskać na czasie. Gdy dotarłem do drzwi, zawołałem:

– Co się, u diabła, dzieje?! Pali się?!

– Otwieraj, Robercie! – Ayrs!

Możesz sobie wyobrazić, że gotów już byłem uchylać się przed kulami. W desperacji zapytałem, która godzina, żeby zyskać jeszcze choć jedną chwilę.

– Co za różnica? Nie wiem! Mam melodię, chłopcze, na skrzypce. To dar i nie mogę przez niego zasnąć, więc musisz ją dla mnie zapisać, i to teraz!

Czy mogłem mu zaufać?

– A to nie może poczekać do rana?

– Nie, do cholery, nie może, Frobisher. Ucieknie mi!

– To może jednak zejdziemy do pracowni?

– Zbudzimy wtedy cały dom i, nie, wszystkie nuty są już na miejscu, w mojej głowie!

Powiedziałem mu więc, żeby chwilę poczekał, kiedy zapalałem świecę. Otworzyłem drzwi, a za nimi stał Ayrs, trzymając jedną laskę w prawej i jedną w lewej ręce. W świetle księżycy w swojej koszuli nocnej wyglądał jak mumia. Za nim stał Hendrick, milczący na straży, niczym indiański totem.

– Wpuszczaj mnie, wpuszczaj! – Ayrs przepchnął się obok mnie. – Znajdź pióro, weź czysty papier nutowy i zapal lampę, prędko. Do licha, po co zamykasz drzwi na klucz, skoro śpisz przy otwartym oknie? Prusacy dawno już sobie poszli, a duchy przez drzwi i tak przejdą.

Wybełkotałem jakieś brednie, że nie mogę zasnąć, kiedy pokój nie jest zamknięty na klucz, ale on nie słuchał.

– Masz tu papier nutowy czy mam posłać Hendricka, żeby przyniósł?

Przez ulgę, jaką odczułem, gdy okazało się, że V.A. nie przyszedł, by nakryć mnie na trykaniu żony, jego wtargnięcie i żądania wydały mi się mniej niedorzeczne, niż były w istocie, więc powiedziałem, że tak, mam papier, mam pióro, zaczynajmy. Ayrś miał zbyt słaby wzrok, by dojrzeć cokolwiek podejrzanego w fałdach mojej pościeli, ale nadal pewne zagrożenie stanowił Hendrick. Nie powinno się polegać na dyskrecji służących. Kiedy Hendrick pomógł panu usiąść na krześle i okrył mu ramiona pledem, powiedziałem, że zadzwonimy po niego, gdy już skończymy pracować. Ayrś nie sprzeciwił się moim słowom – cały czas już coś nucił. Konspiracyjny błysk w oku H.? W pokoju było zbyt ciemno, bym mógł mieć pewność. Służący skłonił się lekko, w sposób niemal niezauważalny, i oddalił się jak na dobrze naoliwionych kółeczkach, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Ochlapałem sobie trochę twarz wodą nad miską i usiadłem naprzeciwko Ayrśa, niepokojąc się, że J. może zapomnieć o skrzypiącej podłodze i spróbować po cichu wymknąć się na palcach.

– Gotów.

Ayrś nucił sonatę, takt za taktem, potem mówił, jakie to nuty. Wkrótce pochłonęła mnie osobliwość jego miniatury, mimo wszystkich okoliczności. Rzecz rozhuśtana jest od ekstremum do ekstremum, cyklicznie, krystalicznie czysto. Skończył po dziewięćdziesiątym szóstym takcie i powiedział mi, żeby oznaczyć zapis *triste*. Potem zapytał mnie:

– I co pan myśli?

– Sam nie wiem. Zupełnie nie w pana stylu. W niczym stylu. Ale hipnotyzuje.

Ayrś opadł na krzesło i siedział *à la* olejny obraz prerafaelitów, zatytułowany *Syta muza odrzuca swą marionetkę*. Ptasi śpiew aż kipiał w godzinie przed świtaniem. Pomyślałem o krągłościach J. w łóżku, kilka jardów ode mnie, a nawet poczułem wewnątrz niecierpliwe drgnienie, by tam się z nią znaleźć. Chociaż raz V.A. nie był pewny siebie.

– Śnił mi się... koszmar o kawiarni, rzęście oświetlonej, ale pod ziemią, bez żadnego wyjścia. Sam już bardzo, bardzo długo nie żyłem. Wszystkie kelnerki miały tę samą twarz. Wszyscy jedli mydło, a do picia były tylko filiżanki mydlanej piany. W kawiarni grała muzyka – kiwnął zmęczonym palcem – właśnie ta.

Zadzwoniłem po H. Chciałem jak najszybciej pozbyć się Ayrśa z pokoju, zanim jasność poranka ujawni jego żonę u mnie w łóżku. Po minucie H. zapukał. Ayrś wstał i pokuśtykał do drzwi. Nie znosi, jak ktokolwiek widzi, że potrzebuje pomocy.

– Dobra robota, Frobisher. – Jego głos dobiegł mnie z korytarza.

Zamknąłem drzwi i głęboko odetchnąłem z ulgą. Wsunąłem się z powrotem pod kołdrę, gdzie mój aligator z pościelowych bagien zatopił drobne zęby w młodej ofierze.

Właśnie zaczęliśmy namiętny, pożegnalny pocałunek, kiedy, cholera, drzwi znów otwarły

się ze skrzypieniem.

– Jeszcze coś, Frobisher!

Matko Wszelkich Zberezzeństw, nie zamknąłem drzwi na klucz! Ayrs podryfował w stronę łóżka, jak wrak „Hesperusa”. J. skryła się z powrotem w pościeli, podczas gdy ja wydawałem nieartykułowane, pełne zdziwienia dźwięki. Dzięki Bogu, Hendrick czekał na zewnątrz – przypadek czy wycucie taktu? V.A. odnalazł koniec łóżka i usiadł na nim zaledwie kilka cali od wzgórka, który był J. Gdyby J. teraz kichnęła czy kaszlnęła, nawet stary, ślepy Ayrs by się domyślił.

– Ciężki temat, więc po prostu to z siebie wyrzucę. Jocasta. Nie należy do kobiet zbyt wiernych. Znaczący... w małżeństwie. Przyjaciele dają mi do zrozumienia, że zachowuje się niedyskretnie, wrogowie donoszą o romansach. Czy kiedykolwiek... wobec pana... no, wie pan...?

Po mistrzowsku nadałem memu głosowi szytwność.

– Nie, sir, chyba nie wiem, co ma pan na myśli.

– Daruj sobie wstydlivość, chłopcze. – Ayrs nachylił się bliżej. – Czy moja żona kiedykolwiek czyniła panu awanse? Mam prawo wiedzieć!

Ostatkiem silnej woli powstrzymałem nerwowy chichot. Od oddechu Jocasty wilgotniało mi udo. Musiała gotować się żywcem pod kołdrą.

– Ja nie nazywałbym „przyjacielem” nikogo, kto rozpusza tak obrzydliwe plotki. Jeżeli chodzi o panią Crommelynck, wydaje mi się to równie niesmaczne, co nie do pomyślenia. Jeśli – jeśli! – z powodu, sam nie wiem, załamania nerwowego, miałyby się zachować tak nieprzyzwoicie, to cóż, szczerze mówiąc, panie Ayrs, na pana miejscu zapytałbym raczej o radę Dhondta albo porozmawiał z dr. Egretem. – Sofistyka jest doskonałą zasłoną dymną.

– Więc nie dostanę od pana prostej odpowiedzi?

– Dostanie pan prostą odpowiedź w dwóch prostych słowach. „Stanowczo nie!”. I mam nadzieję, że tym samym zamknęliśmy temat.

Ayrs milczał kilka długich chwil.

– Frobisher, jest pan młody, bogaty, inteligentny i z całą pewnością nie odstrasza pan kobiet. Nie do końca rozumiem, dlaczego pan tu został.

Wspaniale. Robił się sentymentalny.

– Jest pan moim Verlainem.

– Ach tak, mój młody Rimbaudzie? To gdzie jest pańska „*saison en enfer*”?

– Mam ją w szkicach, w głowie, w trzewiach. Jest moją przyszłością.

Nie byłem pewny, co czuł Ayrs – rozbawienie, litość, nostalgię czy wstręt. Wyszedł. Zamknąłem drzwi na klucz i wróciłem do łóżka po raz trzeci tej nocy. W rzeczywistości sypialniana farsa potrafi głęboko zasmucać. Jocasta wydawała się na mnie zła.

– Co znowu? – warknąłem.

– Mój mąż cię kocha – rzekła żona, wkładając ubranie.

Zedelghem całe się porusza. Rury wydają dźwięki jak stare ciotki. Myślałem o moim dziadku, którego przewrotny geniusz ominął pokolenie mojego ojca. Kiedyś pokazał mi akwatintę pewnej świątyni w Syjamie. Nie pamiętam jej nazwy, ale odkąd jakiś uczeń Buddy nauczał tam przed wiekami, każdy zbójcecki król, tyran i monarcha owego królestwa wzbogacał to miejsce o wieże z marmuru, wonne arboreta, kopuły zdobne złotymi liśćmi, bogate malowidła na łukowych sklepieniach, oczy posągów zastępował szmaragdami. Gdy świątynia w końcu równać się będzie swojej odpowiedniczce w Ziemi Czystej, tego dnia, jak głosi legenda, ludzkość w końcu osiągnie swój cel i Czas dobiegnie końca.

Przychodzi mi do głowy, że dla ludzi, takich jak Ayrs, ową świątynią jest cywilizacja. Ludzkie masy, niewolnicy, chłopci i piechota wojsk żyją sobie w szczelinach między kocimi łbami, nieświadomi nawet własnej ignorancji. Ale nie wielcy politycy, naukowcy, artyści, a przede wszystkim kompozytorzy tego wieku, wszystkich wieków, którzy w cywilizacji pełnią rolę architektów, murarzy i kaznodziejów. Ayrs uważa, że naszym zadaniem jest sprawić, by cywilizacja jeszcze bardziej olśniewała. Najgłębszym, lub też jedynym pragnieniem mojego pracodawcy, jest stworzyć minaret, na który dziedzice Postępu za tysiąc lat wskażą i powiedzą „Patrzcie, to Vyvyan Ayrs!”.

Jakże prostacka jest ta tęsknota za nieśmiertelnością, jak próżna, jak błędna. Kompozytorzy gryzmołą ledwie rysunki na ścianach jaskiń. Muzykę człowiek pisze dlatego, że zima trwa wiecznie i że bez niej wilki i śnieżycy jeszcze prędzej by go dopadły.

Twój

R.F.



Zedelghem

14 – ix – 1931

Sixsmith,

odwiedził nas dziś na podwieczorku sir Edward Elgar. Nawet ty musiałeś o nim słyszeć,

ignorancie. Zwykle, gdy ktoś pyta Ayrsa, co sądzi o angielskiej muzyce, mówi: „O jakiej angielskiej muzyce? Nie ma takiej.

Nie ma od czasu Purcella!” i dąsa się cały dzień, jakby to pytający winien był Reformacji. Ayrs zapomniał jednak o wszelkiej wrogości w jednej chwili, gdy tylko sir Edward zatelefonował dziś rano z hotelu w Bruges z pytaniem, czy Ayrs znalazłby dla niego godzinkę czy dwie. Ayrs urządził pokaz zręczności, ale po tym, jak zadręczał panią Willems ustaleniami co do podwieczorku, widać było, że cały był z siebie zadowolony. Nasz szacowny gość przyjechał o pół do trzeciej, ubrany w ciemnozieloną pelerynę w stylu szkockim, pomimo dość ładnej pogody. Stan jego zdrowia niewiele jest lepszy od kondycji V.A. Razem z J. przywitaliśmy go na schodach Zedelghem.

– Więc to pan jest nową parą oczu Vyva? – powiedział, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie.

Odrzekłem, że widziałem go wielokrotnie, jak dyrygował na festiwalu, co sprawiło mu przyjemność. Zaprowadziłem kompozytora do Sali Szkarłatnej, gdzie już czekał Ayrs. Przywitaliśmy się obaj ciepło, ale jakby uważali, żeby się wzajemnie nie poobijać. Edgarowi mocno dokuczają ischias, a V.A. nawet w lepsze dni wygląda strasznie przy pierwszym spotkaniu, a przy drugim jeszcze gorzej. Podano podwieczorek i obydwaj pograżyli się w rozmowie o pracy, nie zwracając większej uwagi na Jocastę i na mnie, ale fascynowało mnie, że mogę ich słuchać, pozostając niezauważonym. Od czasu do czasu sir E. spoglądał na nas, by upewnić się, czy nie męczy gospodarza.

– Absolutnie nie. – Uśmiechaliśmy się w odpowiedzi.

Ostro spierali się o rzeczy takie jak saksofony w orkiestrach, o to, czy Webern jest Oszustem, czy Mesjaszem, o patronat i politykę w muzyce. Sir E. oznajmił, że po długim okresie uśpienia pracuje nad trzecią symfonią – zagrał nam nawet na pianinie wstępne wersje *Molto maestoso* i *Allegretto*. Ayrs bardzo chciał udowodnić, że też jeszcze nie pora mu umierać, i kazał mi zaprezentować kilka niedawno skończonych szkiców – przepięknych. Kilka pustych butelek piwa trapistów później zapytałem Elgara o marsze *Pomp & Circumstance*.

– Ależ potrzebowałem pieniędzy, chłopcze drogi. Tylko nie mów nikomu. Król może zażądać ode mnie z powrotem szlacheckiego tytułu.

Ayrs wpadł na to w spazmy śmiechu.

– Zawsze mówię, Ted, że aby tłum zakrzyknął „Hosanna”, najpierw trzeba wjechać do miasta na osle. Najlepiej tyłem, opowiadając gawiedzi niestworzone historie, na które tak czeka.

Sir E. słyszał o przyjęciu „Todtenvogla” w Krakowie (wygląda na to, że słyszał o tym cały Londyn), więc V.A. posłał mnie po partyturę. Gdy wróciłem do Sali Szkarłatnej, nasz gość wziął *Ptaka Śmierci* na fotel przy oknie i czytał go przez monokl, podczas gdy Ayrs i ja udawaliśmy, że coś nas zajmuje.

– Człowiek w naszym wieku, Ayrs – odezwał się nareszcie E. – nie ma prawa do takich

śmiałych idei. Skąd je bierzesz?

V.A. nadał się jak rozradowana ropucha.

– Wygrałem chyba w kilku starciach straży tylnej, wojując ze zniedołężnieniem. Mój Robert udowadnia, że jest cennym nabytkiem jako adiutant.

Adiutant? Jestem jego generałem, do stu diabłów, a on to stary tyran, panujący dzięki wspomnieniu własnej wyblakłej sławy! Uśmiechnąłem się tak słodko, jak tylko umiałem (jakby od tego zależało, czy tu zostanę. Poza tym, sir E. może się kiedyś przydać, więc nie ma co zostawiać wrażenia piniacza). Podczas podwieczorku Elgard zauważył, o ile lepsza jest moja posada w Zedelghem w porównaniu z jego pierwszą pracą dyrektora ds. muzycznych w zakładzie dla umysłowo chorych w Worcestershire.

– Prawda, że świetna wprawka przed dyrygenturą w London Philharmonic? – dowcipkował V.A.

Zaczęliśmy się śmiać i na pół wybaczyłem irytującemu, zapatrzonemu w siebie, zdziwaczemu dziadym, że jest sobą. Dołożyłem parę drewna do kominka. Przy trzaskającym ogniu i w zapachu dymu obydwaj starsi panowie zdrzemnęli się, jak dwaj królowie sprzed wieków, trwający przez eony w swych kurhanach. Stworzyłem nutowy zapis ich chrapań. Elgara grać ma tuba basowa, a Ayrsa – fagot. To samo zrobię z Fredem Deliussem i Johnem Mackerrasem i opublikuję ich razem w dziele pod tytułem *Pokątne muzeum wypchanych przedstawicieli Anglii edwardiańskiej*.

Trzy dni później

Wróciłem właśnie ze spaceru *lento* z V.A. Mnisiim Duktem do stróżówki portiera. Pchałem go na wózku. Aura walczyła dziś z krajobrazem; jesienne liście wiatr miotał w gwałtownych spiralach, jak gdyby V.A. był czarnoksiężnikiem, a ja jego uczniem. Długie cienie topoli kładły się na skoszoną łąkę. Ayrś chciał ujawnić pomysł na swoje ostatnie wielkie dzieło symfoniczne, mające nosić nazwę *Wieczny powrót*, ku czci ukochanego Nietzschego. Muzyka częściowo czerpać będzie z opery na podstawie *Wyspy doktora Moreau*, która nie okazała się sukcesem i której wiedeńskie przedstawienie musiano odwołać z powodu wojny. W innej części, jak wierzy V.A., muzyka „przyjdzie” do niego, a osią dzieła będzie „muzyka ze snu”, którą podyktował mi w moim pokoju owej niespokojnej nocy zeszłego miesiąca, pisałem ci o tym. V.A. chce mieć cztery części, żeński chór i spory zespół wielu instrumentów dętych w stylu Ayrśa. Zapowiada się wściekła, dzika bestia. Chce, bym pracował dla niego jeszcze przez pół roku. Powiedziałem, że się zastanowię. Odrzekł, że podniesie mi pensję – posunięcie tyleż prostackie, co zręczne. Powtórzyłem, że potrzebuję trochę czasu. V.A. wściekł się, bo z miejsca nie wydyszał „tak!” – ale chcę, by stary dziad sam przed sobą przyznał, że potrzebuje mnie bardziej, niż ja jego.

Twój



Sixsmith,

J. staje się męcząca. Po miłosnych igraszkach rozwała się na łóżku, jak głupie, muczące cielę i żąda, abym mówił jej o innych kobietach, na strunach których wygrywałem melodie. Wyciągnęła ode mnie ich imiona i teraz mówi na przykład: „Dobrze zgaduję, że nauczyła cię tego Frederica?”. (Bawi ją moje znamię w zagłębieniu ramienia, to, które dla ciebie wygląda jak kometa – nie mogę znieść, jak zabawia się moją skórą). Wszczyna drobne sprzeczki, żeby potem długo się godzić i, co mnie niepokoi, zaczęła pozwalać, by teatrzyk przy księżycu powoli wkraść się w życie za dnia. Ayrs widzi teraz jedynie *Wieczny powrót*, ale Eva wraca za dziesięć dni, a to stworzenie ma wzrok sokoli i wywęszy rozkładające się truchło sekretu w okamgnieniu.

J. uważa, że nasz układ pozwala jej bardziej związać moją przyszłość z Zedelghem – pół żartem, pół jak najbardziej serio mówi, że nie da mi „porzucić” ani jej, ani jej męża, nie teraz, kiedy „oni” mnie potrzebują. Diabeł, Sixsmith, kryje się w zaimkach. Co gorsza, zaczęła używać słowa na „M” i chce je słyszeć także ode mnie. Zwariowała? Jest ode mnie prawie dwa razy starsza! Czego chce ta kobieta? Zapewniłem ją, że nigdy nie kochałem nikogo oprócz siebie samego i nie zamierzam teraz próbować, a już szczególnie nie z żoną innego mężczyzny, i już na pewno nie wtedy, kiedy ten człowiek może zniszczyć moje imię w muzycznym świecie Europy, pisząc kilka listów. Więc oczywiście ona znowu chwyta się zwyczajowych sztuczek, łąka w poduszkę, oskarża mnie, że ją „wykorzystuję”. Oczywiście, zgadzam się, że ją „wykorzystuję”; tak samo, jak ona mnie. Taki mamy układ. Jeśli przestał jej odpowiadać – nikt nikogo siłą nie zatrzymuje. Więc wybiega obrażona i dąsa się przez kilka dni i nocy, aż stara klempa znów nabiera ochoty na młodego ogiera. Wtedy wraca, nazywa mnie swoim kochanym chłopcem, dziękuje mi za „przywrócenie Vyvyanowi jego muzyki” i cały idiotyczny kołowrót zaczyna się od początku. Ciekawe, czy w przeszłości sięgała po Hendricka? Nie zdziwiłbym się. Gdyby jakiś austriacki doktor zajrzał jej do głowy, ze środka wyleciałby cały rój różnych neuroz. Gdybym wiedział, że jest aż tak niezrównowazona, nigdy bym jej nie wpuścił do łóżka. W jej kochaniu się jest jakiś brak radości. Nie – raczej zaciekłość.

Przystałem na propozycję V.A., żeby zostać przynajmniej do lata przyszłego roku. Na decyzję nie miały wpływu żadne kosmiczne vibracje – jedynie widok na czystą korzyść artystyczną, pragmatyzm finansowy oraz obawa, że J. może przeżyć swego rodzaju załamanie, gdybym wyjechał. A jego konsekwencje nie rozeszłyby się tak łatwo po kościach.

Później tego samego dnia

Ogrodnik rozpalil ognisko z suchych liści – właśnie wróciłem od ognia. Fala gorąca na twarzy i na rękach, smętny dym, trzaskanie i syk płomieni. Przypomniałem sobie chatę gajowego w Gresham. W każdym razie, stworzyłem wspaniałą pasaż o ogniu – perkusja jako trzaski, kontrafagot jako drewno i niespokojny flet jako płomień. Właśnie przed chwilą skończyłem go zapisywać. Powietrze w chateau jest wilgotne, jak pranie, które nie chce wyschnąć. Przeciągi w korytarzu trzaskają drzwiami. Jesień porzuciła już łagodność i weszła w przykrą, gnijącą fazę. Nie pamiętam, żeby lato choćby bąknęło „do widzenia”.

Twój

F.R.

Okresy półtrwania Pierwsza zagadka Luisy Rey

1

Rufus Sixsmith wychyla się przez balkon i oblicza, jaką prędkość osiągnie jego ciało, gdy uderzy o chodnik, kładąc kres wszelkim dylematom. W nieoświetlonym pokoju dzwoni telefon. Sixsmith nie ma odwagi odebrać. W mieszkaniu za ścianą dudni muzyka disco, impreza nabiera tempa i Sixsmith czuje się dużo starszej, niż na swoje sześćdziesiąt sześć lat. Smog przesłania gwiazdy, ale na północ i na południe wzdłuż pasa wybrzeża migocze miliard światła Buenas Yervas. Na zachodzie bezkresny Pacyfik. Na wschodzie nasz nagi, waleczny, złakniony, szkodliwy, wściekły, czczony jak relikwia kontynent Ameryki.

Młoda kobieta wyłania się z tłumu gości za ścianą i wychyla przez sąsiedni balkon. Ma krótko obcięte włosy, elegancką fioletową sukienkę, ale wygląda nieuleczalnie smutno i samotnie.

Może zaproponuj wspólne samobójstwo?

Sixsmith nie myśli tego poważnie i nie zamierza skakać, dopóki tli się w nim iskierka humoru.

Poza tym, Grimaldi, Napier i te wszystkie zbiry ze srebrnymi spinkami w mankietach tylko czekają na taki właśnie cichy wypadek.

Sygnal karetki wzbija się ponad monotony szum ulicy. Szurając nogami, Sixsmith wraca do środka, gdzie telefon właśnie przestał dzwonić. Pod nieobecność gospodarza bierze sobie z minibaru kolejną sporą szklaneczkę wermutu, zanurza rękę w pojemniku z lodem, a potem ociera nią twarz.

Wyjdź gdzieś i zadzwoń do Megan, to jedyna życzliwa ci osoba.

Wie, że nie zadzwoni.

Nie możesz jej wciągać, to grozi śmiercią.

Łomot disco niemal rozsadza mu skronie, ale mieszkania ktoś mu użycza, więc nie może pójść i protestować. Buenas Yervas to nie Cambridge.

Poza tym, przecież się ukrywasz.

Powiew wiatru trzaska drzwiami balkonu i Sixsmith, przerażony, rozlewa połowę wermutu.

Spokojnie, durniu, nikt nie strzelał.

Wyciera rozlaną plamę ścierką z kuchni, włącza telewizor, przycisza i skacze po kanałach, żeby znaleźć M*A*s*H-a. Na pewno gdzieś jest. Muszę tylko poszukać.

2 Luisa Rey słyszy brzęk na balkonie obok.

– Dobry wieczór?

Nikt nie odpowiada. Żołądek domaga się, żeby zrzuciła z niego trochę toniku. Powinnaś biec do łazienki, a nie na świeże powietrze – nie jest w stanie znowu się zmierzyć ze slalomem przez tłum – zresztą nie ma już czasu. Rzyga po ścianie budynku: raz, drugi, myśli o tłustym kurczaku, i trzeci. Przeciera oczy. Tylko dwa razy w życiu zrobiłaś coś obrzydliwszego. Zbiera ślinę w ustach i spluwa do doniczki za parawanem. Marnujesz życie. Luisa ociera usta chusteczką i wygrzebuje z torby miętówkę. Wracaj do domu, może choć raz przyśni ci się żalodne trzysta słów. A zresztą, ludzie i tak tylko oglądają obrazki.

Na balkon wychodzi mężczyzna, trochę za stary na skórzane spodnie, nagą pierś i kamizelkę w zebnę.

– Luisaaa! – Jasna przystrzyżona broda, a na szyi ankh z kamienia księżycowego i jadeitu. – Hej!

Luisa zastanawia się, czy odstręczy go zapach, jaki od niej bije, ale on jest pijany i nic nie czuje.

– Richard – mówi.

– Patrzysz w gwiazdy? Klawo. Bix ma osiem uncji koksu. Niezły crack. A właśnie, mówiłem w wywiadzie? Eksperymentuję teraz z imieniem „Gandzia”. Maharadž Adża mówi, że „Richard” nie klei się u mnie z Ajurwedycznym Ja.

– Kto?

– Luisaaa, mój guru, guru! Właśnie reinkarnuje ostatni raz. – Richard prostuje palce: puff – Ostatni przed Nirwanolandią. Przyjdź na audiencję. Normalnie, według listy czeka się w nieskończoność, ale uczniowie z jadedowym ankiem mają audiencje osobiste jeszcze tego samego popołudnia. Kurwa, po co komu studia, skoro Maharadž Adża potrafi... o tym... nauczyć wszystkiego. – Obramowuje księżyc palcami. – Słowa są takie... sztywne... A kosmos... wiesz,

totalny. Sztachniesz się? Acapulco Gold. Od Biksa. – Podchodzi bliżej w sposób, którego intencję kobiety wyczuwają. – Chodź, Lu, upalimy się po imprezie? Tylko ty i ja. U mnie. OK? Udzieliłbym ci wywiadu na wyłączną wyłączność. Mogę ci nawet napisać piosenkę i wsadzić na kolejny longplay.

– Chyba nie.

Richard, muzyk rockowy, dość podrzędny, mruży oczy.

– Aha! Nie te dni miesiąca? A w przyszłym tygodniu? Myślałem, że wszystkie cizie z mediów biorą pigułki aż do śmierci.

– Bix sprzedaje ci też teksty, jak podrywać babki?

Parska śmiechem.

– A co? Coś ci mówił?

– Richard, żeby nie było niedomówień. Raczej skoczę z balkonu, niż się z tobą prześpię. Bez względu na dzień miesiąca. Serio.

– HUUU! – Gwałtownie odsuwa rękę, jakby coś go ugryzło. – Wybredna! A ty myślisz, że kto, kurwa, jesteś? Joni Mitchell? Lala od plotek, kurwa, w piśmie, którego nikt nigdy nie czyta!

3 Drzwi windy zamykają się Luisie przed nosem, ale od środka ktoś niewidoczny blokuje jej laską.

– Dziękuję – mówi Luisa do starszego pana. – Miło, że można jeszcze spotkać szarmanckiego mężczyznę.

Starszy pan pochyla głowę w ukłonie.

Jezu, myśli Luisa, wygląda, jakby usłyszał, że za tydzień umrze.

Luisa naciska „Parter”. Stara winda rusza w dół. Wskazówka bez pośpiechu odlicza piętra. Silnik rzezi, zgrzytają kable, ale między dziesiątym i dziewiątym piętrem nagle rozlega się gwałtowne *tum-tudum-tudum* i winda zamiera, sycząc *psss-ssss-ss-s*. Luisa i Sixsmith z hukiem przewracają się na podłogę. Żarówka błyska, zaczyna buczeć i zmienia barwę na sepie.

– Nic panu nie jest? Może pan wstać?

Leżący na podłodze starszy pan powoli dochodzi do siebie.

– Chyba nic nie złamałem, ale na razie posiedzę, dziękuję. – Ma angielski akcent ze starej szkoły, przypomina Luisie tygrysa z *Księżki Dżungli*. – Mogą nagle z powrotem włączyć prąd.

– O Boże – mruczy pod nosem Luisa – odcięli prąd. Genialny dzień i genialny wieczór. – Naciska alarm. Cisza. Naciska interkom i wrzeszczy: – Halo?! Jest tam ktoś?! – Szum. – Utknęliśmy w windzie! Ktoś nas słyszy?!

Luisa i starszy pan patrzą na siebie z ukosa, nasłuchując.

Bez odpowiedzi. Tylko głuchoe odgłosy, jak w łodzi podwodnej.

Luisa bada sufit.

– Gdzieś musi być kłapa...

Nie ma kłapy. Odwija wykładzinę – stalowa podłoga.

– Chyba tylko w filmach są.

– Nadal cieszy się pani – pyta starszy pan – że można jeszcze spotkać szarmanckiego mężczyznę?

Luisa stara się uśmiechnąć.

– Możemy sobie posiedzieć całkiem długo. Jak w zeszłym miesiącu wyłączyli prąd, to na siedem godzin.

Przynajmniej nie siedzę zamknięta z psychopatą ani z kimś z klaustrofobią, ani z Richardem Gandzią.

4 Sześćdziesiąt minut później Rufus Sixsmith siedzi oparty o ścianę w rogu i ociera czoło chusteczką.

– Zaprenumerowałem „Illustrated Planet” w sześćdziesiątym siódmym roku dla raportów pani ojca z Wietnamu. Wiele tysięcy osób je czytało. Oprócz Lestera Reya było tylko trzech czy czterech innych dziennikarzy, którzy pokazywali wojnę z perspektywy Azjatów, więc jestem bardzo ciekaw, jak to się stało, że policjant został jednym z najlepszych korespondentów swojego pokolenia.

– Sam pan prosił. – Historia nabiera poloru z każdym kolejnym opowiadaniem. – Tatę przyjęli do BYPD^[10] na kilka tygodni przed Pearl Harbor. Dlatego wojnę spędził tutaj, a nie jak jego brat, Howie, na Pacyfiku. Howie wpadł na japońską minę na Wyspach Salomona – grał w siatkówkę na plaży. Niedługo potem już było jasne, że przypadek taty to „Rejon Dziesiąty”, i tam w końcu wylądował. Jest taka komenda w każdym mieście, w każdym kraju – swego rodzaju zsyłka, gdzie przenoszą wszystkich uczciwych gliniarzy, którzy nie chcą kraść ani przymykać na nic oczu. W każdym razie, w noc zwycięstwa nad Japonią w całym Buenas Yerbas trwał jeden wielki festyn i, jak się pan domyśla, nie wszędzie dało się rozstawić policję. Tata dostał telefon, że rozkradają coś na Silvaplan Wharf, takiej ziemi niczyjej między Rejonem Dziesiątym a terenem należącym do władz portu i Rejonem Spinoza. Nikt się nigdy nie dowiedział, kto zawiadomił komendę i dlaczego – czy ktoś rzeczywiście złożył doniesienie, czy

może był to spisek wewnątrz policji, pomyłka albo złośliwy, tragiczny żart? – ale tata i jego kolega z patrolu, Nat Wakefield, pojechali to sprawdzić. Zaparkowali między kontenerami towarowymi, zgasili silnik, poszli na piechotę i zobaczyli, że jakichś dwudziestu pięciu facetów ładuje skrzynki z magazynu do opancerzonej ciężarówki. Było ciemno, ale nie wyglądali na dokerów, nie mieli też wojskowych mundurów. Więc Wakefield mówi ojcu, żeby wrócił i wezwał przez radio wsparcie. Akurat kiedy tata bierze radio, dostaje komunikat, że rozkaz sprawdzenia Silvaplanu Wharf został odwołany. Tata zgłasza, co widział, ale rozkaz odwołania powtarzają, więc biegnie z powrotem do magazynu w samą porę, żeby zobaczyć, jak koledze z patrolu któryś z mężczyzn przypala papierosa, po czym policjant dostaje sześć strzałów w plecy. Ojciec jakoś opanowuje nerwy, pędzi do radiowozu i daje jeszcze radę nadać Kod Osiem – SOS – zanim cały samochód rozniosą kule. Tata jest okrążony ze wszystkich stron, nikogo nie ma tylko od strony doku, więc skacze do wody, a raczej brei z ropy, śmieci i ścieków pływających w morskiej wodzie. Pływie pod nabrzeże – w tamtych czasach Silvaplanu Wharf było zbudowane ze stali, jak olbrzymie moło, a nie jak dzisiejszy betonowy cypel – i podciąga się na drabinę, cały przemoczony, bez jednego buta, z niedziałającym rewolwerem. Może jedynie obserwować mężczyzn, którzy akurat kończą sprawę, aż tu nagle podjeżdżają dwa radiowozy z Rejonu Spinoza. Zanim tata zdąży obejść plac wkoło, żeby ostrzec policjantów, wywiązuje się nierówna strzelanina. Policja nie ma szans – gangsterzy dziurawią obydwie radiowozy z pistoletów maszynowych. W pierwszym z nich wszystkich rozwalają. Ciężarówka rusza, gangsterzy wskakują na tył, wyjeżdżają z placu i rzucają za siebie granaty. Czy miały poważnie zranić, czy tylko powstrzymać jakiś bohaterski wyczyn, nie wiadomo. Ale jednym dostał tata. Odłamki powbiły się w niego jak igły w poduszkę. Obudził się dwa dni później w szpitalu, bez lewego oka. W gazetach napisali, że to był przypadkowy napad gangsterów, którzy akurat skorzystali z nadarżającej się okazji. Ludzie z Rejonu 10 podejrzewali, że to dzieło syndykatu, który przez całą wojnę podprowadzał broń, a teraz, po wojnie, postanowił przenieść towar, bo obawiał się, że zaostrzą kontrolę jej przepływu. Pojawiły się naciski na szersze dochodzenie w sprawie strzelaniny na Silvaplanu – w czterdziestym piątym roku trzech zabitych gliniarzy to była jeszcze spora afera – ale śledztwu ukręcił łeb urząd burmistrza. Niech pan sam wyciągnie wnioski. Tata je wyciągnął i kompletnie stracił wiarę w system prawa i sprawiedliwości. Osiem miesięcy później, gdy wyszedł ze szpitala, zdążył już skończyć korespondencyjny kurs dziennikarstwa.

– Dobry Boże – mówi Sixsmith.

– Resztę pan zna. Pisał z Korei dla „Illustrated Planet”, potem został korespondentem „West Coast Herald” w Ameryce Południowej. Był w Wietnamie podczas bitwy o Ap Bac i stacjonował w Sajgonie aż do marca, gdy miał pierwszy atak. To cud, że małżeństwo rodziców przetrwało tyle lat – wie pan, najdłuższy czas, jaki z nim spędziłam, to ten od kwietnia do lipca w hospicjum. – Luisa przez chwilę milczy. – Strasznie mi go brakuje, panie Rufusie, brak mi go bez przerwy. Nie pamiętam, że nie żyje. Cały czas myślę, że jest gdzieś służbowo i lada dzień przyleci z powrotem do domu.

– Musiał być dumny, że poszła pani w jego ślady.

– Cóż, Luisa Rey to nie Lester Rey. Zmarnowałam całe lata na buntowanie się i bycie wyzwoloną, udawałam poetkę i pracowałam w księgarni przy Engels Street. Na moje pozy nikt się nie dał nabrać, wiersze pisałam „tak puste, że nie były nawet złe” – słowa Lawrence’a

Ferlighettiego – a księgarnia zbankrutowała. Więc nadal redaguję tylko dział plotek. – Luisa trze zmęczone oczy i myśli o zatrutej strzale, którą Richard Gandzia wypuścił na koniec. – Żadnych nagradzanych tekstów ze stref działań wojennych. Robiłam sobie wielkie nadzieje, kiedy przechodziłam do „Spyglassa”, ale na razie moje dziennikarstwo w stylu taty to głupawe ploteczki z przyjęć dla gwiazd.

– Ale czy dobrze napisane głupawe ploteczki?

– O, świetnie napisane.

– Więc niech pani nie załamuje jeszcze rąk nad zmarnowanym życiem. Proszę mi wybaczyć, że odwołam się do własnego doświadczenia, ale nie ma pani pojęcia, co to znaczy zmarnowane życie.

5 – Hitchcock uwielbia światła kamer – mówi Luisa, czując coraz większe parcie na pęcherz – ale nie znosi wywiadów. Nie odpowiedział mi na pytania, bo tak naprawdę ich nie słyszał. Jego najlepsze dzieła, jak mówi, to rozpedzone kolejki górskie z lunaparku, na których ludzie nieomal umierają ze strachu, ale na koniec wysiadają, pokładając się ze śmiechu, i chcą jechać jeszcze raz. Jest przecież kimś wybitnym, więc zapytałam, czy nie uważa, że klucz do fikcyjnego terroru to odgródzenie nas od realnego niebezpieczeństwa: dopóki motel Batesa jest oddzielony od naszego świata, chcemy tam zajrzeć, jak do terrarium skorpiona. Ale film, który pokazuje, że świat jest motelem Batesa, no, wtedy mamy... sprawę Buchloe, dystopię, kryzys. Jesteśmy skłonni brodzić w krwiożerczym, amoralnym, bezbożnym wszechświecie – ale tylko, dopóki zanurzamy w nim jedynie stopy. A Hitchcock mi na to powiedział: „Jestem reżyserem z Hollywood, droga pani, a nie wyrocznią z Teb”. – Luisa świetnie go naśladuje. – Zapytałam, dlaczego Buenas Yerbas nigdy nie było tłem jego filmów. Hitchcock odparł: „To miasto łączy w sobie najgorszą stronę San Francisco z najgorszą stroną Los Angeles. Buenas Yerbas jest miastem znikąd”. Potem wygłaszał różne bon motywy tym stylu, nie do mnie, lecz dla potomności, żeby bywalcy przyszłych przyjęć mogli mówić „O, to cytaty z Hitchcocka”.

Sixsmith wyżyma pot z chusteczki.

– W zeszłym roku byłem z siostrzenicą w kinie na *Szaradzie*. To Hitchcocka? Zmusza mnie do oglądania takich rzeczy, „żeby nie zeszywniał”. Nawet mi się podobało, ale według niej, „Audrey Hepburn zamiast głowy miała wydmuszkę”. Wyborny zwrot.

– To właśnie w *Szaradzie* chodzi o znaczki?

– Trochę naciągana zagadka, to prawda, ale bez naciągania rzeczywistości nie byłoby dobrych thrillerów. Uwaga Hitchcocka o Buenas Yerbas przypomina mi, co John F. Kennedy powiedział o Nowym Jorku. Słyszała pani? „Większość miast to rzeczowniki, ale Nowy Jork to czasownik”. Ciekawe, czym jest Buenas Yerbas?

– Ciągiem przymiotników i spójników?

– Może wykrzyknikiem?

6 – Megan, moja siostrzenica, wspaniała dziewczyna. – Rufus Sixsmith pokazuje Luisie zdjęcie zrobione na słonecznej przystani. Widać na nim młodą opaloną kobietę, a obok jego samego, gdy miał jeszcze lepszą kondycję i zdrowie. Fotograf powiedział coś śmiesznego, zanim nacisnął migawkę. Nogi mają spuszczone z rufy małego jachtu, „Rozgwiezdy”.

– To moja stara łajba, pozostałość z czasów, kiedy jeszcze miałem więcej sił.

Luisa grzecznie mówi coś, co ma przeczytać, jakoby był w podeszłym wieku.

– Taka prawda. Gdybym teraz wypłynął w jakiś dłuższy rejs, musiałbym zatrudnić małą załogę. Ale w dalszym ciągu spędzam przy „Rozgwieździe” mnóstwo weekendów, szwendam się po przystani, trochę pomyślę, trochę podłubię. Megan też lubi morze. Jest urodzonym fizykiem, a do matematyki zawsze miała zdecydowanie lepszą głowę ode mnie, nad czym raczej ubolewała jej matka. Mój brat, niestety, nie ożenił się z matką Megan dla tego, co miała w głowie. Wierzy w feng shui czy jakiś tam *I Ching*, czy każdy inny humbug, który obiecuje natychmiastowe oświecenie i akurat jest w modzie. Przy każdym spotkaniu cytuje mi z błędami Horacja z *Hamleta*. Ten wers, że są takie rzeczy w niebie i na ziemi. Ale Megan jest genialna. Gdy robiła doktorat, rok spędziła w moim starym college’u w Cambridge. Kobieta w Caiusie! – Sixsmith wzdycha z rozbawieniem. – Teraz skończyła badania z radioastronomii na wielkich radioteleskopach na Hawajach. Kiedy jej matka i ojczym smażą się na plaży w imię Wypoczynku, Megan i ja robimy równania w barze.

– Ma pan dzieci, panie doktorze?

– Wziąłem ślub z nauką na całe życie. – Sixsmith zmienia temat. – Hipotetyczne pytanie, panno Rey: jaką cenę zapłaciłaby pani, to znaczy jako dziennikarka, żeby chronić informatora?

Luisa nie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Jeśli wierzyłabym w słuszność sprawy? Każdą cenę.

– Na przykład więzienie za obrazę sądu?

– Jeśliby do tego doszło, tak.

– Czy byłaby pani gotowa narazić własne bezpieczeństwo?

– Hmm... – Nad tym Luisa się zastanawia. – Chyba... chyba musiałabym.

– Musiała? Dlaczego?

– Ojciec ryzykował życie na zaminowanych bagnach i narażał się na wściekłość wielkich generałów, żeby zachować dziennikarską uczciwość. Jakąś wielką kpina z jego życia byłoby, gdyby jego własna córka tchórzyła, kiedy robi się bardziej gorąco.

Powiedz jej. Sixsmith otwiera usta, żeby jej wszystko opowiedzieć – o wybielaniu w Seaboardzie, o szantażach, o korupcji – ale nagle, bez ostrzeżenia, winda szarpie, dudni

i zaczyna powoli sunąć w dół. Uwięziona w niej para mruży oczy, gdy znów włącza się światło i Sixsmith czuje, że jego silne postanowienie już się rozpuściło. Wskazówka przesuwa się na „1”.

Powietrze w lobby jest rześkie jak góraska woda. Budynek rezonuje od włączanych na nowo urządzeń.

– Zadzwoń do pani, panno Rey – mówi Sixsmith, kiedy Luisa podaje mu jego laskę – niedługo.

Dotrzymam słowa czy nie?

– Wie pani? Czuję się tak, jakbym znał panią od lat, a nie od półtorej godziny.

7 Płaski świat zakrzywia się w oku chłopca. Javier Moses przegląda klaser ze znaczkami pod lampką na biurku. Zaprzęg husky szczeka na znaczku z Alaski, hawajski nene krzyczy i człapie, kiwając się na znaczku specjalnej edycji za pięćdziesiąt centów, parowiec burzy łopatkami wodę, sunąc w górę Konga, czarnego jak atrament. Słychać odgłos klucza w zamku i do mieszkania wchodzi zmęczona Luisa Rey, zrzucając z nóg buty w maleńkiej kuchence. Na widok chłopca ogarnia ją irytacja.

– Javier!

– Cześć!

– Jakie „cześć”? Obiecałeś, że nigdy więcej nie będziesz wlaził przez balkon! A gdyby ktoś zadzwonił na policję, że widział włamanie? A gdybyś poślizgnął się i spadł?

– To daj mi klucz.

Luisa zaciska w myślach palce na jego szyi.

– Jakoś nie miałabym spokoju, gdybym wiedziała, że jedenastolatek może sobie wchodzić do mojego mieszkania za każdym razem, kiedy... – twoja mama wychodzi na całą noc – ...w telewizji lecą same nudy.

– To po co zostawiasz otwarty lufcik w łazience?

– Bo od tego, że włazisz przez balkon, gorsze jest tylko to, że mógłbyś skoczyć z powrotem, gdybyś nie mógł się dostać do środka.

– W styczniu skończę jedenaście lat.

– Nie dostaniesz klucza.

– Przyjaciele dają sobie klucze.

– Nie wtedy, kiedy jedna osoba ma dwadzieścia sześć lat, a druga jest w piątej klasie.

– A dlaczego wróciłaś tak późno? Jakieś ciekawe znajomości?

Luisa patrzy na niego z furią, ale nie jest w stanie zbyt długo wściekać się na chłopca.

– Wyłączyli prąd i utknęłam w windzie. Ale to cię chyba nie powinno obchodzić, prawda? – Zapala górne światło w pokoju i aż się wzdryga, gdy zauważa czerwoną pręgę na twarzy Javiera. – Co się stało?

Chłopak traci rezon. Spogląda na ścianę mieszkania, a potem wraca do znaczków.

– Wolfman?

Javier kręci głową, składa mały pasek z papieru i liże go z obydwu stron.

– Ten Clark wrócił. Mama cały tydzień ma w hotelu nocną zmianę, a on na nią czeka. Wypytywał mnie o Wolfmana, ale powiedziałem, że nie jego sprawa. – Javier wsuwa znaczek w rożki. – Nie boli. Już sobie czymś przemyłem.

Luisa chwyta za telefon.

– Nie dzwoń po mamę! Zaraz przyjedzie, będzie straszna awantura i wyleją ją z hotelu, jak zesłłym razem i poprzednio.

Luisa zastanawia się, odkłada słuchawkę i idzie do drzwi.

– Nie chodź tam! To psychol. Wścieknie się i zdemoluje nam mieszkanie, a ciebie pobije do nieprzytomności, a potem pewnie nas stąd wyrzucą. Błagam!

– Jezus Maria. – Luisa nie patrzy na niego. Bierze głęboki wdech. – Chcesz kakao?

– Poproszę. – Chłopiec robi wszystko, żeby się nie rozplakać, ale broda aż go boli z wysiłku. Ociera oczy rękawem. – Luisa?

– Dobrze, Javi, możesz dziś spać u mnie na kanapie. W porządku.

8 Gabinet Doma Grelscha przedstawia studium uporządkowanego chaosu. Z okna na Trzeciej Alei widać ścianę prawie identycznych biur. Z metalowego stelażu w rogu zwisa worek treningowy z wizerunkiem Hulka. Redaktor naczelny „Spyglassa” otwiera w poniedziałek poranne kolegium, celując grubym, krótkim palcem w Rolanda Jakesa, szpakowatego mężczyznę o twarzy jak suszona śliwka, w hawajskiej koszuli, rozszerzanych džinsach i rozpadających się sandałach.

– Jakes.

– No, ja... to znaczy, chcę pociągnąć serię *Terroru w kanałach*, żeby się podpiąć pod gorączkę wokół *Szczęk*. Ciało Dirka Melona – powiedzmy naszego wolnego strzelca – ekipa

remontowa znalazła podczas rutynowej inspekcji pod Pięćdziesiątą Wschodnią Ulicą. Czy też raczej rozpoznała to, co po nim zostało: zęby i porwaną legitymację dziennikarską. Ciało oderwane od kości w sposób wskazujący na *Serasalmus scapularis*, dziękuję bardzo, królową piranii, największy gatunek. Sprowadzają ją hodowcy-maniacy, a potem spuszcza ją w kibli, kiedy obliczą sobie, że świeże mięso jednak za dużo kosztuje. Zadzwoń do kapitana Vermina do ratusza. Proszę bardzo, niech zaprzecza całej serii ataków na robotników w kanałach. Zapisz sobie, Luisa. Nie wierz niczemu, dopóki oficjalnie nie zaprzeczą. To jak, Grelsche? Dasz mi w końcu podwyżkę?

– Ciesz się, że trafiła do ciebie ostatnia pensja. Na moim biurku, jutro, do jedenastej rano, ze zdjęciem takiego potwora. I nie zapomnij, że ty w tym tygodniu piszesz horoskop. Jakies pytania, Luisa?

– Tak. Czy obowiązuje nowa polityka redakcji, o której nikt mi nie powiedział? I nie można teraz pisać żadnych prawdziwych tekstów?

– Halo, seminarium z metafizyki jest na dachu. Windą na górę, a potem cały czas prosto, aż walniesz w chodnik. Wszystko jest prawdziwe, jeśli wierzy w to wystarczająco dużo ludzi. Nancy, co masz?

Nancy O'Hagan ubiera się konserwatywnie, jest zbyt rumiana na twarzy i ma zbyt ospowatą cerę. Jej długie jak u żyrafy rzęsy często się odklejają.

– Moja wtyka w Betty Ford Clinic ma zdjęcie baru na pokładzie prezydenckiego samolotu. Może „Air Force One – pijaństwa na koszt państwa”? Ludzie myślą, że z tej całej rozdmuchanej przez media historii o starym chlejusie już nie da się więcej wycisnąć, ale Nance myśli co innego.

Grelsche namyśla się przez moment. Przestrzeń w tle wypełniają dzwoniące telefony i stukot maszyn do pisania.

– OK, jeśli nie pojawi się nic nowszego. A, i zrób wywiad dla *Nieszczęścia chodzą parami* z tym lalkarzem-brzuchomówcą z urwaną ręką... Nussbaum. Mów.

Jerry Nussbaum ociera spływające po zaroście kawałki czekoladowego lodu, wkłada przez pomyłkę słoneczne okulary lustrzanki, zdejmuje je i zakłada okulary do czytania, odchyła się do tyłu i strąca lawinę papierów.

– Policja ciągle nie ma niczego w sprawie Świętego Krzysztofa, więc może jakiś tekst w stylu „Kolejna ofiara Świętego Krzysztofa to TY?”. Profile wszystkich dotychczasowych zabójstw i rekonstrukcje ostatnich minut życia ofiar. Dokąd szły, z kim miały się spotkać, o czym wtedy myślały...

– ...kiedy Święty Krzysztof posyłał im kulkę w łeb. – Roland Jakes się śmieje.

– Właśnie, Jakes, miejmy nadzieję, że krzykliwe hawajskie kolory przyciągają jego uwagę. A później spotkam się z motorniczym tramwaju, Murzynem, którego gliny mocno

zgnoiły na dołku w zeszłym tygodniu. Pozywa policję do sądu za bezprawne aresztowanie. Powołuje się na ustawę o prawach obywatelskich.

– Czyli mamy potencjalny temat numeru. Luisa?

– Poznałam fizyka jądrowego. – Luisa nie zwraca uwagi na obojętność, jaka nagle mrozi atmosferę. – Inspektora w Seaboard Incorporated. – Nancy O'Hagan piłuje paznokcie, przez co Luisa nagle przedstawia podejrzenia jako fakty. – Uważa, że HYDRA, nowy reaktor jądrowy na Swanekke Island nie jest aż tak bezpieczny, jak się oficjalnie utrzymuje.

Tak naprawdę wcale nie jest bezpieczny. Dziś po południu uroczyste go otwierają, więc chcę tam pojechać i zobaczyć, czy uda mi się coś wybadać.

– Ja pierdziele, uroczyste otwarcie techniczne! – krzyczy Nussbaum. – Słyszycie ten łoskot? To się chyba toczą do nas Pulitzery!

– Pocałuj mnie w dupę, Nussbaum.

Jerry Nussbaum wzdycha.

– Czasem, we śnie, jak mam stójkę...

Luisa jest rozdarta między chęcią odwetu: „Tak, i daj gnidzie poznać, jak bardzo cię wkurza”; i zignorowania go: „Tak, i daj gnidzie bezkarnie mówić, co chce”.

Dom Grelscha przełamuje impas.

– Marketingowcy dowodzą – obraca w palcach ołówek – że każdy użyty naukowy zwrot to dwa tysiące czytelników, którzy odkładają pismo i włączają powtórkę *Lassie*.

– W porządku – mówi Luisa. – A może „Atomowa bomba Seaboardu zmiecie Buenas Yervas”?

– Fantastycznie, ale będziesz musiała mieć dowody.

– Bo co, Jakes musi mieć dowody na swój tekst?

– Hej! – Ołówek Grelscha przestaje się kręcić. – Fikcyjne osoby pożarte przez zmyślone ryby nie zedrą z ciebie ostatniego dolara i nie będą cisnąć banku, żeby ci odciął gotówkę. A potężna korporacja, jak Seaboard Power Inc., ma prawników, którzy potrafią to zrobić. Dobry Boże, jeden mały błąd, a dopięliby swego.

9 Pomarańczowy garbus Luisy jedzie płaską szosą w stronę kilometrowej długości mostu, łączącego przylądek Yervas ze Swanekke Island, której elektrownia góruje na odludziu nad ujściem rzeki. Wokół roгатki na moście jest dziś niespokojnie. Około stu demonstrantów obstawilo ostatni odcinek, skandując „Swanekke C mówimy nie!”. Kordon policji nie dopuszcza ich do czekających dziewięciu czy dziesięciu samochodów. Luisa czyta transparenty.

WJEŹDŹASZ NA WYSPĘ RAKA, ostrzega jeden z nich, drugi: NIE MA MOWY, NIE MACIE NAS Z GŁOWY, i enigmatyczne: GDZIE TEŻ MOŻE BYĆ MARGO ROKER?

W okno puka strażnik. Luisa opuszcza szybę i w jego lustrzankach widzi swoją twarz.

– Luisa Rey, „Spyglass”.

– Poproszę legitymację dziennikarską.

Luisa wyjmuje ją z torebki.

– Szykują się jakieś zamieszki?

– Nie sędzę. – Strażnik sprawdza coś w swoich papierach i zwraca legitymację. – To tylko obrońcy drzew z przyczep na parkingu. Wakacje. Studenci pojechali tam, gdzie się lepiej serfuje.

Po drugiej stronie bardzo, bardzo długiego mostu, elektrownia Swannekke B wylania się zza starszych, szarych wież chłodniczych Swannekke A. Luisa znowu wraca myślami do Rufusa Sixsmitha. Dlaczego nie chciał mi zostawić telefonu, jak prosiłam? Naukowcy nie boją się telefonów. Dlaczego wszyscy w portierni w jego bloku mówią, że nigdy nie słyszeli jego nazwiska? Naukowcy nie mają pseudonimów.

Wartownik na rogatce po stronie wyspy kieruje ją wzdłuż jedynej drogi prowadzącej do Seaboard Village. Potem już znajdzie tablice wskazujące drogę do Centrum Publicznego w bloku Badań i Rozwoju.

Droga prowadzi tuż przy nabrzeżu. Mewy krążą na morzu nad rybackimi kutrami. Na wydmach kołysze się trawa. Dziesięć minut później Luisa dociera do kolonii jakichś dwustu luksusowych domów stojących nad zaciszną zatoką. Hotel i pole golfowe sąsiadują ze sobą pod elektrownią, na zboczu do połowy porośniętym drzewami. Luisa wysiada z garbusa na parkingu przed budynkiem Badań i Rozwoju i patrzy na futurystyczny gmach, na wpół zasłonięty przez wzgórze. Wiatr od oceanu z szelestem kołysze równym rzędem palm.

– Dzień dobry! – Podchodzi do niej Amerykanka o azjatyckich rysach. – Chyba się pani zgubiła. Pani na otwarcie? – Jej stylowy, rdzawoczerwony garnitur, nienaganny makijaż i wyprostowana sylwetka sprawiają, że Luisa czuje się tanio w marynareczce z fioletowego zamszyku. – Fay Li – kobieta wyciąga do niej rękę – Public Relations Seaboardu.

– Luisa Rey ze „Spyglassa”.

Fay Li ma mocny uścisk dłoni.

– Ze „Spyglassa”? Nie wiedziałam...

– ...że interesujemy się też polityką energetyczną?

Fay Li się uśmiecha.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, to dość napastliwe pismo.

Luisa przywołuje bożka, który nigdy nie zawodzi Doma Grelscha.

– Badania rynku pokazują, że rośnie liczba czytelników domagających się istotniejszych treści w naszych artykułach. Zatrudniono mnie w „Spyglassie” właśnie po to, żebym reprezentowała bardziej ambitny profil pisma.

– Miło mi, że pani przyjechała, niezależnie od profilu. Pozwoli pani, wpiszę nas do książki wejść w recepcji. Co prawda, ochrona nalega na przeszukiwanie toreb i podobne procedury, ale traktowanie gości jak sabotażystów nie wyjdzie nam na dobre. Dlatego mnie zatrudniono.

10 Joe Napier obserwuje rząd monitorów telewizji przemysłowej, na których widać aulę wykładową, sąsiadujące z nią korytarze i tereny Centrum Publicznego.

Wstaje, rozkłada swoją specjalną poduszkę i siada na niej z powrotem. Wydaje mi się czy ostatnio jakoś stare rany odzywają się bardziej?

Spojrzeniem przeskakuje z ekranu na ekran. Na jednym widać technika przy próbie dźwięku; na drugim ekipa telewizyjna ustala kąty kamer i światło; Fay Li idzie z gościem przez parking; kelnerki rozlewają wino do setek kieliszków; rząd krzeseł pod transparentem z napisem SWANNEKKE B – AMERYKAŃSKI CUD.

Prawdziwym cudem, rozmyśla Joseph Napier, było to, że jedenastu z dwunastu badaczy nagle zapomniało o trwającym dziewięć miesięcy dochodzeniu.

Na monitorze widać, jak właśnie owi badacze wchodzą na podwyższenie, przyjaźnie rozmawiając.

Jak powiada Grimaldi, każde sumienie ma gdzieś ukryty wyłącznik. Przez myśli Napiera przepływają pamiętne zdania z wywiadów, o których nagle wszyscy zapomnieli, jakby w zbiorowej amnezji.

„Między nami mówiąc, doktorze Franklin, prawników Pentagonu aż kusi, żeby przetestować nowiutką Ustawę o Bezpieczeństwie. Każdego, kto informuje opinię publiczną, mają wsadzać na czarną listę, bez szans na jakąkolwiek pracę w całym kraju”.

Na scenie dozorca dostawia w rzędzie kolejne krzesło.

„Ma pan bardzo prosty wybór, doktorze Moses. Jeśli chce pan, żeby technologia Sowietów wyprzedzała naszą, niech pan przekaze ten raport swojemu Związkiowi Zaniepokojonych Naukowców i poleci do Moskwy po medal, ale w CIA prosili, żeby przekazać panu, że bilet powrotny nie będzie już potrzebny”.

Dygnitarze, naukowcy, doradcy i liderzy opinii publicznej zajmują miejsca na sali. Na monitorze widać Williama Wileya, wiceprezesa Seaboard Inc., jak żartuje z VIP-ami, których uhonorowano miejscami na podwyższeniu.

„Szefów Departamentu Obrony, profesorze Keene, bardzo to ciekawi. Dlaczego akurat teraz zgłasza pan wątpliwości? Czy to znaczy, że pańskie prace nad prototypem były... jakby to ująć... nie dość staranne?”

Rzutnik slajdów wyświetla zdjęcie Swanekke B z lotu ptaka, zrobione szerokokątnym obiektywem.

Jedenastu na dwunastu. Tylko Rufus Sixsmith zdołał się wyrwać.

Napier mówi do krótkofalówki:

– Fay? Początek za dziesięć minut.

Szum.

– Zrozumiałam, Joe. Odprowadzam gościa do auli wykładowej.

– Zgłoś się później do ochrony.

Szum.

– Zrozumiałam. Bez odbioru.

Napier waży krótkofalówkę w dłoni. A Joe Napier? Czy jego sumienie ma wyłącznik? Bierze łyk czarnej, gorzkiej kawy. A dajcie mi spokój. Ja tylko robię, co każą. Mam półtora roku do emerytury, a potem na ryby, nad rwące rzeczulki, aż się, cholera, sam zmienię w czaplę.

Milly, zmarła żona, patrzy na męża z ustawionej na konsoli fotografii.

11 – Nasz wspaniały naród cierpi z powodu upośledzającego nałogu. – Alberto Grimaldi, prezes Seaboardu i Człowiek Roku „Newsweeka”, po mistrzowsku stosuje dramatyczne pauzy. – Nałogowi temu na imię Ropa. – Reflektory na podwyższeniu rzucają na niego złote snopy światła. – Według geologów, w Zatoce Perskiej są już tylko siedemdziesiąt cztery miliardy galonów ropy, kożucha z oceanów jury. Starczy nam do końca wieku? Pewnie nie. Najpilniejszy problem, przed jakim, panie i panowie, stoją Stany Zjednoczone, to: „co potem?”. – Alberto Grimaldi spogląda po widowni. Jedzą ci z ręki. – Niektórzy chowają głowy w piasek. Inni fantazjują o silnikach wiatrowych, zbiornikach i – krzywy półuśmiech – gazie ze świńskiej gnojówki. – Rozbawienie. – W Seaboardzie zajmujemy się tym, co jest realne. – Mocniejszym głosem. – Jestem tu dzisiaj, by oznajmić państwu, że znaleźliśmy rozwiązanie dla problemu ropy i patrzmy na nie właśnie tutaj, na Swanekke Island! – Uśmiecha się, gdy cichną owacje. – Oto dzisiaj wiek dojrzała osiągnęła nasza rodzima, bezpieczna energia atomowa, której będziemy mieć pod dostatkiem! Drodzy przyjaciele, jestem niezmiernie dumny, że mogę przedstawić wam jedną z największych innowacji w historii... reaktor HYDRA-Zero!

Ekran slajdów zmienia się i pokazuje teraz diagram przekrojowy, a sektor widowni, gdzie siedzą ważne osoby, klaszcze i wiwatuje, więc za jego przykładem idą pozostali.

– Dobrze, ale nie mówmy o mnie, ja jestem tylko prezesem. – Rozbrajający śmiech. – Rodzina Seboardu ma ogromny zaszczyt poprosić bardzo szczególnego gościa, by odsłonił galerię widokową i nacisnął włącznik, który połączy Swanekke B z ogólnokrajową siecią przesyłową. Na Kapitolu ludzie prezydenta znają go jako „guru energii”. – Szeroki uśmiech. – Mam wyjątkową przyjemność powitać człowieka, którego nie trzeba przedstawiać. Sekretarza Departamentu Energii Lloyd Hooksa!

Na podwyższenie, pośród gromkich oklasków, wkracza człowiek o nienagannym wyglądem. Lloyd Hooks i Alberto Grimaldi ściskają się za przedramiona w geście braterskiej serdeczności i zaufania.

– Coraz lepsi ludzie piszą ci przemówienia – szepcze Lloyd Hooks, gdy obydwaj uśmiechają się szeroko przed publicznością – ale pazerność cię zżera.

Alberto Grimaldi klepie Lloyd Hooksa po plecach i odpowiada:

– Miejsce w zarządzie Seboardu wyszarpiesz sobie po moim trupie. Skurwysynu sprzedajny.

Lloyd Hooks promiennie uśmiecha się do publiczności.

– To jednak stać cię na twórcze rozwiązania, Alberto?

Kanonada fleszów rozpoczyna natarcie.

Młoda kobieta w fioletowym zakiecie wymyka się tylnym wyjściem.

12 – Przepraszam, gdzie jest damska toaleta?

Ochroniarz rozmawia przez krótkofalówkę i pokazuje ręką w głąb korytarza.

Luisa Rey zerka za siebie. Ochroniarz stoi odwrócony plecami, więc przechodzi przez drzwi, skręca za róg w sieć jednakowych korytarzy, chłodnych i wytłumionych przez cichy pomruk klimatyzacji. Przechodzi obok dwóch śpieszących się gdzieś techników w kombinezonach, którzy spod daszków czapek rzucają spojrzenia na jej piersi, ale jej nie zaczepiają. Na drzwiach wiszą enigmatyczne tabliczki. W212 PÓŁWYLOTY, Y009 PODPRZEPUSTY [AC], V770 NIESZKODLIWE [NIEOBJĘTE]. Szereg drzwi o podwyższonym zabezpieczeniu ma klawiaturę do wstukiwania kodów. Na klatce schodowej Luisa studiuje plan piętra, ale nie znajduje śladu „Sixsmitha”.

– Zgubiła się pani?

Luisa robi co może, żeby trzymać fason. Dozorca, siwowłosy Murzyn, patrzy na nią

uparcie.

- Tak, szukam pokoju doktora Sixsmitha.
- Znaczy, tego Anglika. Trzecie piętro, C105.
- Dziękuję.
- Nie było go już z tydzień czy dwa.
- Naprawdę? Wie pan może, dlaczego?
- Znaczy, pojechał do Vegas na urlop.
- Dr Sixsmith? Do Vegas?
- Znaczy, tak mi powiedzieli.



Drzwi pokoju C105 są szeroko otwarte. Niedawno ktoś próbował usunąć nazwisko „Dr Sixsmith” z tabliczki na drzwiach, ale tylko je bardziej rozmazał. Przez szparę Luisa Rey widzi młodego człowieka, który siedzi na biurku pochylony nad plikiem notesów i czegoś szuka. Wszystko, co mieściło się w pokoju, stoi w kilku pudłach. Luisa pamięta, co mówił ojciec: „Żeby uznali cię za swojego, wystarczy zachowywać się, jak swój”.

– No, proszę – rzuca Luisa, wchodząc do środka. – O ile wiem, pan nie jest doktorem Sixsmithem, prawda?

Przysłapany na gorącym uczynku mężczyzna odkłada gwałtownie notes i Luisa wie, że właśnie zyskała kilka chwil.

– O mój Boże – mężczyzna przygląda się jej uważnie – pani to pewnie Megan.

Po co od razu zaprzeczać?

– A pan?

– Isaac Sachs. Inżynier teoretyk. – Wstaje z biurka i w połowie drogi cofa rękę, zbyt pośpiesznie wyciągniętą do uścisku. – Pracowałem z pani wujkiem nad raportem. – Na klatce schodowej słysząc echo szybkich kroków. Isaac Sachs zamyka drzwi. Mówi niskim, nerwowym głosem: – Gdzie on się ukrywa? Strasznie się o niego martwię. Czy Rufus się z panią kontaktował?

– Miałam nadzieję, że pan mi powie, co się stało.

Do pokoju wkracza Fay Li z ochroniarzem, którego twarz nie wyraża niczego.

– Pani Luiso. Jeszcze szuka pani toalety?

Udawaj głupią.

– Nie, już skorzystałam – idealnie czysta – ale jestem już spóźniona, mam umówione spotkanie z doktorem Sixsmithem. Tylko... wygląda na to, że się wyniósł.

Isaak Sachs wydaje odgłos „Heh?”.

– To pani nie jest jego siostrzenicą?

– Przepraszam najmocniej, kimkolwiek pan jest, ale ani razu nie powiedziałam, że jestem.
– Luisa wygłasza przygotowane kłamstewko, w którym jest trochę prawdy. – Poznałam doktora Sixsmitha w Nantucket, wiosną zeszłego roku. Okazało się, że obydwójce jesteśmy z Buenas Yervas, więc dał mi wizytówkę. Odkopałam ją trzy tygodnie temu, zadzwoniłam do niego i umówiliśmy się na dziś na spotkanie w sprawie naukowego tekstu dla „Spyglassa”. – Patrzy na zegarek. – Mieliliśmy się spotkać dziesięć minut temu. Przemowy na otwarciu potrwały trochę dłużej, niż się spodziewałam, więc się cichutko wymknęłam. Mam nadzieję, że nie narobiłam nikomu kłopotów?

Fay Li wydaje się przekonana.

– Nie możemy pozwolić, żeby ludzie bez przepustek kręcili się po instytucie badawczym tak newralgicznym, jak nasz.

Luisa udaje skruszoną.

– Myślałam, że skoro wpisali mnie do książki wejść i sprawdzili mi torbę, to już przeszłam procedurę bezpieczeństwa, ale widzę, że chyba jednak nie do końca. Doktor Sixsmith za mnie zaręczy. Zapytajcie go.

Sachs i ochroniarz patrzą na Fay Li, która mówi bez zająknięcia:

– To raczej nie będzie możliwe. Doktor Sixsmith musiał pilnie zająć się jednym z naszych projektów w Kanadzie. Sekretarka z pewnością po prostu nie miała pani numeru telefonu, kiedy odwoływała jego spotkania.

Luisa patrzy na pudła.

– Wygląda na to, że nie będzie go dłuższy czas.

– Owszem. Dosałamy mu jego materiały. Jako konsultant w Swanekke miał już niewiele do roboty. Doktor Sachs dzielnie dokończył jego zadania.

– Czyli tyle z mojego pierwszego wywiadu z wielkim naukowcem – mówi Luisa.

Fay Li przytrzymuje jej otwarte drzwi.

– Może uda nam się znaleźć dla pani kogoś innego.

13 – Centrala? – Rufus Sixsmith osłania dłońmi słuchawkę w anonimowym motelu na przedmieściach Buenas Yervas. – Mam problem z zamówieniem rozmowy z Hawajami... tak. Chciałbym rozmawiać z... – Odczytuje z kartki numer telefonu Megan. – Tak, bardzo proszę. Tak, poczekam.

Na ekranie starego telewizora, który nie odtwarza barwy żółtej ani zielonej, Lloyd Hooks klepie po plecach Alberta Grimaldiego na inauguracji nowego reaktora HYDRA na Swanekke Island. Pozdrawiają publiczność w nowej auli wykładowej jak stający do zawodów sportowcy, a z góry spada srebrzyste konfetti.

– Prezes Seboardu Alberto Grimaldi – mówi reporter – postać dość kontrowersyjna, oficjalnie ogłosił dziś uruchomienie Swanekke C. Drugi reaktor HYDRA-Zero pochłonie pięćdziesiąt milionów dolarów z budżetu federalnego i stworzy tysiące nowych miejsc pracy. Obawy, że masowe aresztowania, jakich wcześniej byliśmy świadkami na Three Mile Island^[11], powtórzą się też w Żłotym Stanie, okazały się płonne.

Rufus Sixsmith, przygnębiony i zmęczony, mówi do telewizora:

– A jeśli nagromadzony wodór wysadzi strop obudowy bezpieczeństwa? A jeśli wiatry rozniosą promieniowanie na całą Kalifornię? – Wyłącza telewizor i pociera palcami czoło między brwiami.

Udowodniłem to. Wykazałem. Nie mogliście mnie kupić, więc chcieliście zastraszyć. Pozwoliłem wam na to. Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy, ale teraz już koniec. Nie będę sam dla siebie wyrzutem sumienia.

Dzwoni telefon. Sixsmith chwyta słuchawkę.

– Megan?

Ostry, męski głos:

– Jada.

– Kto mówi?

– Namierzyli twój ostatni telefon z motelu Talbot, 1046 Olympia Boulevard. Natychmiast jedź na lotnisko. Wsiądź w pierwszy samolot do Anglii i, jeżeli koniecznie musisz, stamtąd wygłaszaj expose. Ale stąd spieprzaj.

– Dlaczego mam wierzyć...?

– Pomyśl logicznie. Jeżeli kłamię, po prostu wrócisz bezpiecznie do Anglii cały i zdrowy,

ze swoim raportem. Jeśli nie kłamię, już nie żyjesz.

– Chcę wiedzieć...

– Masz maksimum dwadzieścia minut, żeby uciec. Leć!

Ciągły sygnał, wieczność buczy.

14 Jerry Nussbaum obraca redakcyjne krzesło tyłem, siada na nim okrakiem, składa ręce na oparciu i opiera na nich brodę.

– No i w końcu stoję między sześcioma negroidami w dredach, a w migdałki łaskocze mnie spluwa. I to nie po ciemku w Harlemie, tylko, kurwa, w biały dzień w Greenwich Village, zaraz po tym, jak jedliśmy z Normanem Mailerem szesnastofuntowego steka. Więc stoimy tam, a jeden czarny brat mnie przeszukuje i robię się lżejszy o portfel. „A to co? Skórka krokodyla?”. – Nussbaum naśladuje akcent Richarda Pryora. – „Ty żadnej klasy nie masz, białasie jebany”. Klasy? Męty kazały mi wyrzucić kieszenie i przeczesaly mnie co do centa. Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. A Nussbaum śmiał się ostatni. W taksówce na Times Square napisałem „Nowe Plemiona” – bez fałszywej skromności ten tekst przeszedł już do klasyki – a do końca tygodnia sprzedałem go do trzydziestu tytułów! Dzięki mętom stałem się sławny! To jak, Lui-Lui, zaprosisz mnie na kolację? A ja cię nauczę, jak to się robi – kiedy los ostrzy sobie zęby, jak wydłubać mu plomby ze złota.

Maszyna do pisania Luisy dzwoni, *dzyń*.

– Jeśli przeczesali cię co do centa – to skąd miałeś na taksówkę z Greenwich Village na Times Square? Sprzedałeś się kierowcy?

Nussbaum poprawia się na krześle.

– Niesamowite, jak ty nigdy nie ogarniasz istoty sprawy.

Roland Jakes skapuje na zdjęcie krople wosku.

– Wiecie, kto to jest konserwatysta?

Latem 1975 dowcip ma już taaaką brodę.

– Liberał, którego okradli.

Jakes, urażony, wraca do swojego retuszu.

Luisa idzie przez korytarz do drzwi gabinetu Doma Grelscha. Szef rozmawia przez telefon niskim, rozszluszczonym głosem. Luisa czeka za drzwiami, ale słyszy rozmowę ze środka.

– Nie! Nie, nie, panie Frum, to jest sytuacja ekstremalna. Zna pan... – chwileczkę, teraz ja mówię – zna pan inną „przypadłość” bardziej ekstremalną niż białaczka? Wie pan, co myślę?

Myślę, że moja żona to dla pana tylko robota w papierach, którą musi pan odwalić przed golfem o trzeciej. To niech mi pan to udowodni. Ma pan żonę? Ma pan? Ma pan. A potrafi pan sobie wyobrazić, że to ona leży w szpitalu i wychodzą jej włosy?... Że co? „Emocje nic nie pomogą”? Tylko takie ma pan rady? Ma pan rację, będę szukał porady prawnika! – Grelsch rzuca słuchawką, wali w worek treningowy, dysząc „Frum!” za każdym uderzeniem, opada na krzesło, zapala papierosa i zauważa Luisę, która niepewnie stoi w drzwiach. – Takie życie. Wiecznie wszystko sra ci na łeb. Słyszałaś coś z tego?

– O tyle, o ile. Mogę przyjść później.

– Nie. Wchodź i siadaj. Jesteś młoda, silna i zdrowa?

– Tak. – Luisa siada na pudłach. – A dlaczego?

– Bo za chwilę zrobisz się stara, chora i słaba, jak usłyszysz ode mnie o swoim tekście. O tym, że niby w Seboardzie chcą coś ukryć, a ty nie masz żadnych dowodów.

15 Na międzynarodowym lotnisku Buenas Yervas dr Rufus Sixsmith wkłada żółtawy skoroszyt do schowka nr 909, rozgląda się po zatłoczonej hali, wrzuca monetę, przekręca kluczyk i wsuwa go do zgniłozielonej koperty, zaadresowanej do Luisy Rey, „Spyglass”, Budynek Klugh 12F, Trzecia Aleja, BY. Serce bije mu szybciej, gdy zbliża się do okienka poczty. A jeśli złapią mnie, zanim doleczę? Serce wali mu jak oszalałe. Biznesmeni, rodziny z wózkami pełnymi bagaży, korowody turystów w podeszłym wieku – wydaje się, że wszyscy chcą utrudnić mu drogę. Skrzynka na listy jest coraz bliżej. Tylko kilka jardów, kilka cali.

Zgniłozielona koperta znika w środku na zawsze. Szerokiej drogi.

Sixsmith ustawia się w kolejce po bilet. Komunikaty o opóźnieniach usypiają go jak litania. Co chwila nerwowo sprawdza, czy nie widać gdzieś agentów Seboardu, którzy w ostatnim momencie jednak go zatrzymają. W końcu kobieta w okienku biletowym kiwa ręką, żeby podszedł.

– Muszę lecieć do Londynu. Albo gdziekolwiek do Wielkiej Brytanii. Wezmę każde miejsce, każdą linią. Zapłacę gotówką.

– Nie ma żadnych szans, proszę pana. – Pod makijażem widać, że jest zmęczona. – Najwcześniej mogę mieć... – sprawdza wydruk – ...lot na Heathrow... jutro. Wylot o 5.15, Laker Skytrains z przesiadką na JFK.

– Muszę lecieć wcześniej. To ogromnie ważna sprawa.

– Nie wątpię, proszę pana, ale mamy strajk kontrolerów lotu i czeka tłum pasażerów.

Sixsmith powtarza sobie, że nawet Seboard nie mógłby zorganizować strajku na lotnisku, żeby nie dać mu uciec.

– Dobrze, poproszę na jutro. W jedną stronę, klasa biznes, dla niepalących. Czy gdzieś

na lotnisku znajdzie się pokój na noc?

– Tak, proszę pana. Na trzecim piętrze. Hotel Bon Voyage, dość przyjemny. Mogę prosić o paszport, żeby wypisać bilet?

16 Zachód słońca jak z witraża pada na drukowanego na aksamicie Hemingwaya w mieszkaniu Luisy. Luisa, gryząc ołówek, jest pochłonięta lekturą: *Ujarzmianie słońca – dwie dekady atomowej potęgi w dobie pokoju*. Javier siedzi przy biurku i rozwiązuje długie słupki dzielenia. Cicho gra album *Tapestry* Carole King. Zza okna dochodzą przytłumione odgłosy samochodów, przemierzających krajobraz przedmieść w drodze do domu, a gdzieś niedaleko ktoś ćwiczy grę na klarnecie. Dzwoni telefon, ale Luisa nie odbiera. Javier słucha, jak z kliknięciem włącza się sekretarka. „Dzień dobry, Luisa Rey. Nie mogę teraz odebrać, ale zostaw numer telefonu, oddzwonię, kiedy będę mogła”.

– Jak ja nie lubię tych wynalazków – narzeka ten, kto dzwoni. – Psiaczkule, tu mama. Beatty Griffin właśnie mi powiedziała, że rozstała się z Halem. I to miesiąc temu? No, oniemiałam. Nie pisnęłaś słowa na pogrzebie ojca ani u Alphonse’a. Martwię się, że tak zawsze wszystko dusisz w sobie. Ale razem z Dougiem organizujemy przyjęcie na rzecz Stowarzyszenia Walki z Rakim i nawet nie wiesz, Psiaczkule, ile by dla nas znaczyło, gdybyś chociaż na weekend zostawiła tę swoją ciasną norę i przyjechała do nas. Będą trzej młodzi Hendersonowie. Damian jest kardiologiem, Lance – ginekologiem, a Jesse... Doug? Doug! Kim jest Jesse Henderson? Lobotomologiem? Bardzo śmieszne. No, w każdym razie, córuniu, Beatty twierdzi, że planety są jakoś tak ustawione, że żaden z nich nie jest akurat z nikim związany. Kuj żelazo, póki gorące, Psiaczkule! I zadzwoń, kiedy tylko to odsłuchasz. Cmok, cmok. – Kończy głośnym całusem w słuchawkę – Mmmmcuaaaa!

– Brzmi jak matka wiedźma z *Bewitched*. – Javier chwilę odczekuje. – Co to znaczy „oniemiałam”?

Luisa nie podnosi wzroku znad papierów.

– Że była tak zaskoczona, że aż nie mogła mówić.

– No to teraz chyba nie oniemiała, co? Luisę pochłania praca.

– „Psiaczkule”?

Luisa rzuca w chłopaka kapciem.

17 W pokoju w hotelu Bon Voyage dr Rufus Sixsmith czyta plik listów, które blisko pół wieku temu napisał do niego przyjaciel, Robert Frobisher. Sixsmith zna je na pamięć, ale ich dotyk, szelest i wyblakłe pismo przyjaciela koją mu nerwy. Z płonącego budynku wyniosłby właśnie te listy. Dokładnie o siódmej myje się, zmienia koszulę i wkłada dziewięć przeczytanych listów w hotelowy egzemplarz Biblii, który odkłada na szafkę przy łóżku. Listy nieprzeczytane Sixsmith wsuwa do kieszeni marynarki i schodzi do restauracji. Listy od Frobishera nie nadają się do szantażu, ale Sixsmith lubi przezorność i porządek.

Na kolację je rumsztyk z paskami smażonego bakłażana i źle umytą sałatą. Wszystko to nie tyle zaspokaja, ile zagłusza jego apetyt. Zostawia niedojedzone pół porcji i powoli sączy gazowaną wodę, gdy czyta ostatnie osiem listów od Frobishera. Słowa Roberta przenoszą go do Bruges, gdy sam szukał tam zmiennego w nastrojach przyjaciela, swoją pierwszą miłość i jeśli mam być szczery, ostatnią.

Sixsmith płaci rachunek i wraca do pokoju. W windzie myśli o tym, jaki ciężar zrzucił na barki Luisy Rey, i zastanawia się, czy dobrze zrobił. Zasłony w pokoju powiewają, gdy otwiera drzwi. Woła:

– Jest tu ktoś?!

Nikogo nie ma. Nikt nie wie, gdzie jesteś. To tylko wyobraźnia zabawia się z nim od ładnych paru tygodni. To z niewyspania.

– Pomyśl – mówi sam do siebie – za czterdzieści osiem godzin będziesz z powrotem w Cambridge, na bezpiecznej, wąskiej wysepce, gdzie pada deszcz. Będziesz miał wszystkie udogodnienia, sprzymierzeńców, swoje kontakty i stamtąd będziesz mógł sobie planować wielką ofensywę na Seaboard.

18 Bill Smoke widzi, jak Rufus Sixsmith wychodzi ze swojego pokoju. Odczekuje pięć minut i wchodzi do środka. Siada na brzegu wanny i ćwiczy palce dłoni w rękawiczkach, ściskając je w pięści i rozprostowując.

Żaden narkotyk, żadna ekstaza religijna nie kręci cię tak, jak to, że z człowieka robi się trup. Ale musisz przy tym myśleć. Bez dyscypliny i wiedzy szybko trafisz na stryczek.

W kieszeni obraca w palcach krugerranda. Ma go zawsze przy sobie podczas zadań specjalnych. Wie, że to ślepa wiara w przesąd, ale nie będzie zadzierał z talizmanem tylko po to, żeby coś komuś udowodnić. Bliscy przeżyją dramat, całej reszty to w ogóle nie obejdzie, a moi klienci będą mieli problem z głowy. Ja jestem tylko instrumentem ich woli. Jeśli nie mnie, to wzięliby innego czyszciciela, pierwszego lepszego z książki telefonicznej. Miej za złe temu, kto ma broń, miej za złe jej producentom, ale nie obwiniaj samej broni. Bill Smoke słyszy klucz w drzwiach. Oddychaj. Tabletki, które wziął wcześniej, niesamowicie wyostrzają zmysły i gdy Sixsmith wchodzi do pokoju, szurając i podśpiewując „Leaving On a Jet-Plane”, morderca może przysiąc, że czuje puls ofiary, wolniejszy niż u niego samego. Smoke namierza ofiarę przez szczelinę w drzwiach. Sixsmith kładzie się na wznak na łóżku. Zabójca widzi w głowie obraz tego, co teraz musi zrobić: trzy kroki z łazienki, strzał z boku, w skroń, z bliska. Wypada z przedpokoju; Sixsmith wydaje urywany krzyk i usiłuje wstać, ale wytłumiona kula już przedziera się przez czaszkę naukowca, aż do materaca. Ciało Rufusa Sixsmitha opada w tył, jakby ułożył się do poobiedniej drzemki.

Chłonna kołdra nasiąka krwią.

Mózg Billa Smoke’a tętni spełnieniem. Spójrzcie, to moja robota.

W śróde poranek jest tak samo przeniknięty smogiem i umęczony upałem, jak poprzednie

sto poranków i jakie będzie kolejne pięćdziesiąt. Luisa Rey pije czarną kawę w zaparowanym chłodzie wnętrza Snow White, baru na rogu Drugiej Alei i Szesnastej Ulicy, dwie minuty piechotą od redakcji „Spyglassa”, i czyta o fizyku jądrowym, byłym marynarzu, baptyście z Atlanty nazwiskiem James Carter, który zamierza ubiegać się o nominację demokratów. Ruch na Szesnastej Ulicy przesuwa się w ślimaczym tempie albo w histerycznych zrywach. Chodnikami przesuwiają się pośpiesznie niewyraźne sylwetki przechodniów i śmigają rozmazani chłopcy na deskorolkach.

– Dzisiaj nic na śniadanie? – pyta Bart, kucharz.

– Tylko gazeta – odpowiada Luisa, jego stała klientka. O próg potyka się Roland Jakes. Podchodzi do Luisy.

– Można się przysiąść? Nic dziś jeszcze nie jadłem. Shirl znowu mnie rzuciła.

– Za piętnaście minut mamy kolegium.

– Masa czasu. – Jakes siada i zamawia jajka sadzone, ścięte z obu stron. – Na stronie dziewiątej – mówi Luisie. – W prawym rogu na dole. Chyba cię zaciekawi.

Luisa kartkuje do strony dziewiątej i sięga po kawę. Jej ręka zastyga w powietrzu.

Samobójstwo naukowca w hotelu na lotnisku w BYCiało wybitnego brytyjskiego naukowca dr. Rufusa Sixsmitha znaleziono we wtorek rano w zajmowanym przez niego pokoju w hotelu Bon Voyage na międzynarodowym lotnisku w Buenos Yervas, gdzie popełnił samobójstwo. Dr Sixsmith, były szef Światowej Komisji Energii Atomowej, pracował jako konsultant dla Seaboard Corporation, w należących do znanego i szanowanego koncernu zakładach na Swanekke Island, na obrzeżach Buenas Yervas. Powszechnie wiadomo było, że całe życie zmagał się z depresją, a na tydzień przed śmiercią zerwał wszelkie kontakty ze światem. „Przedwczesna śmierć dr. Sixsmitha jest tragedią dla całego międzynarodowego świata na uki” – mówi Fay Li, rzeczniczka Seaboardu. – „Wszyscy w Seaboard Village na Swanekke Island odczuwamy stratę nie tylko ogromnie szanowanego kolegi, lecz również bliskiego i drogiego nam przyjaciela. Składamy wyrazy najszczerzego ubolewania jego rodzinie i licznym przyjaciołom. Będzie nam go bardzo brakowało”. Ciało dr. Sixsmitha, znalezione przez obsługę hotelową z raną postrzałową w głowie, ma zostać przetransportowane samolotem do jego rodzinnej Anglii, gdzie odbędzie się pogrzeb. Ekspert medycyny sądowej policji BY potwierdził, że z wypadkiem nie wiążą się żadne podejrzone okoliczności.

– I co? – Jakes się szczyrzy. – Twój tekst stulecia poszedł się jebać?

Luisa czuje na skórze szpilki, a bębenki w uszach dudnią aż do bólu.

– Ooo. – Jakes zapala papierosa. – Byliście ze sobą blisko?

– On nie mógł... – Luisa histerycznie szuka słów. – Niemożliwe, żeby to zrobił.

Jakes próbuje trochę łagodniej:

- Wygląda na to, że jednak tak.
- Człowiek nie zabija się, jeśli ma misję do spełnienia.
- Jeżeli przez tę misję traci rozum...
- Jakes, jego zamordowali.

Jakes powstrzymuje się od zrobienia miny „oho, znowu się zaczyna”.

- Kto?
- Seaboard Corporation. To jasne.
- Jasne. Pracodawca. A jaki motyw?

Luisa robi wszystko, żeby mówić spokojnie i puszczać mimo uszu ironię w jego słowach.

– Napisał raport w sprawie reaktora, jaki uruchomili w Swanekke B, w sprawie HYDRY. Plany Zakładów C czekają na zgodę Departamentu Energii. Gdy je zatwierdzą, Seaboard będzie mógł udzielać licencji na projekt w kraju i na rynkach zagranicznych – same kontrakty rządowe oznaczają dochody rządu kilkudziesięciu milionów dolarów rocznie. Rola Sixsmitha miała polegać na udzieleniu projektowi *imprimatur*, ale nie wczytał się w scenariusz i wykrył śmiertelnie niebezpieczne wady. Więc Seaboard schował głęboko jego raport i zaprzecza, jakoby Sixsmith kiedykolwiek go napisał. Nie jestem teraz w stanie tego potwierdzić, ale jeszcze to udowodnię.

– A co takiego zrobił ten cały Sixsmith?

– Zamierzał ogłosić to publicznie. – Luisa wali dłońią w gazetę. – To cena, jaką zapłacił za prawdę.

Jakes przekłuwła trzęsące się zółtko kawałkiem tosta.

– Hm, wiesz, co powie na to Grelsch?

– „Daj mi dowody nie do podważenia” – mówi Luisa, jak lekarz stawiający diagnozę. Patrzy na zegarek. – Jakes, powiesz Grelschowi...? Powiedz mu po prostu, że musiałam gdzieś pojechać.

20 Kierownik hotelu Bon Voyage ma dziś zły dzień.

– Nie, nie może pani obejrzyć jego pokoju! Specjaliści wyczyścili dywany i usunęli wszystkie ślady wypadku. Za co, dodam, musieliśmy zapłacić z własnych środków! A pani taka natrętna, że pewnie z prasy? Łowi pani duchy? Pisz powieści?

– Jestem... – Luisa Rey kuli się w nagłym ataku szloch, który przychodzi znikąd – ...jego siostrzenicą, Megan Sixsmith.

Potężna matrona przytula łkającą Luisę do górskich masywów piersi. Przypadkowi świadkowie rzucają w stronę kierownika niezyczliwe spojrzenia. Kierownik blednie i wychodzi zza biurka, żeby naprawić szkody.

– Proszę przejść ze mną na zaplecze. Przyniosę pani...

– Szklankę wody! – rzuca matrona, odsuwając jego rękę.

– Wendy! Wodę! Nie, natychmiast! Może przejdzie pani tutaj...

– Jakieś krzesło, na miłość boską! – Matrona podtrzymuje Luisę, prowadząc ją do zacienionego kantorka kierownika.

– Wendy! Krzesło! Już!

Matrona ściska Luisę mocno za rękę.

– Wyplacz się, wyplacz, kochanie, Jezus cię słucha. I ja cię słucham, Janice z Esphigmenou w Utah. Wiesz, co mi się kiedyś zdarzyło? Miałam tyle lat, co ty, byłam sama w domu i schodziłam na dół po schodach z pokoju córeczki. Na półpiętrze stoi moja matka i mówi: „Idź, Janice, sprawdź, co u małej”. Ja na to, że sprawdzałam przed minutą i smacznie spała. A mama lodowatym tonem: „Nie kłóć się, moja droga, idź i sprawdź co u małej, pędem!”. Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że mama zmarła rok wcześniej w Święto Dziękczynienia. Ale pobiegłam na górę, a moja córeczka dusiła się sznurem od żaluzji, który owinął się jej wokół szyi. Jeszcze trzydzieści sekund i byłoby za późno. Więc sama widzisz.

Luisa mruga oczami pełnymi łez.

– Widzisz, kochanie? Odchodzą, ale nie znikają.

Zakrzyczany kierownik wraca z pudełkiem po butach.

– Pokój pani wujka, niestety, jest zajęty, ale sprzątaczką znalazła te listy w hotelowej Biblii. Na kopercie jest jego nazwisko. Oczywiście, na pewno przesłalibyśmy je pani rodzinie, ale jeśli już pani tu jest...

Pełnym szacunku gestem wręcza jej plik dziewięciu pożółkłych kopert, z których każda zaadresowana jest „Sz. P. Rufus Sixsmith, Caius College, Cambridge, Anglia”. Na jednej jest całkiem świeża plama po torebce herbaty. Wszystkie są mocno zmięte i w pośpiechu prostowane.

– Dziękuję... – mówi Luisa nieobecny głosem. A potem dodaje bardziej stanowczo: – Wujek Rufus bardzo cenił listy, które dostawał, a teraz to już wszystko, co mi po nim zostało. Nie będę panu zabierać więcej czasu. Przepraszam, że się rozkleiłam.

Kierownik oddycha z wyraźną ulgą.

– Niezwykła z pani osoba – zapewnia Luisa Janice z Esphigmenou w Utah, gdy żegnają się w hotelowym holu.

– To pani jest niezwykła – odpowiada Luisa i wraca na poziom parkingu, przechodząc dziesięć jardów od schowka nr 909.

21 Luisa Rey wróciła do redakcji „Spyglassa” niecałą minutę temu, a Dom Grelsch już ryczy przez cały newsroom: „Panno Rey!”.

Jerry Nussbaum i Roland Jakes spoglądają znad biurka na Luisę, potem na siebie i bezgłośnie wymawiają „Aua!”. Luisa chowa listy Frobishera do szuflady, zamyka ją na klucz i idzie do gabinetu Grelscha.

– Dom, naprawdę przepraszam, że nie dałam rady być na kolegium...

– Tylko nie chcę słyszeć o żadnych kobiecych problemach. Zamknij drzwi.

– Nie mam zwyczaju opowiadać o kobiecych problemach.

– A masz w zwyczaju przychodzić na zebrania? Płacą ci za to.

– Płacą mi też za to, żebym drażyła zaczęty temat.

– Więc poleciałaś na miejsce wypadku? Znalazłaś przeoczone przez policję niezbite dowody? Jakąś wiadomość? Pisaną krwią? Na kafelkach? „To moja robota, Alberto Grimaldi”?

– Niezbite dowody można znaleźć tylko wtedy, kiedy się ich szuka, aż do skutku. Kiedyś powiedział mi tak pewien naczelny, Dom Grelsch.

Grelsch patrzy na nią.

– Trafiłam na ślad, Dom.

– Trafiłaś na ślad.

Nie mogę cię walnąć, nie mogę nazmyślać ci bzdur, mogę tylko liczyć, że coś cię zaintryguje.

– Zadzwoiłam na komendę, która prowadzi sprawę Sixsmitha.

– Nie ma żadnej sprawy! To samobójstwo! Kiedy nie chodzi o Marilyn Monroe, samobójstwa nie zwiększają sprzedaży czasopism. Są za smutne.

– Tak? To dlaczego Sixsmith kupił bilet na samolot, jeśli tego samego dnia chciał strzelić

sobie w łeb?

Grelsch rozkłada szeroko ręce, pokazując, jak bardzo nie może uwierzyć, że w ogóle prowadzi tę rozmowę.

– Decyzja pod wpływem impulsu.

– To dlaczego miał list pożegnalny napisany na maszynie – a nie miał tam żadnej maszyny – jeśli to była decyzja pod wpływem impulsu?

– Nie wiem! Nie obchodzi mnie! W czwartek wieczorem muszę zamknąć numer, wyklócać się z drukarzami, za chwilę zastrajkują dostawcy, a Ogilvy siedzi i trzyma nade mną miecz... tego tam... czyjs tam miecz. Urządź seans z duchami i sama zapytaj Sixsmitha. Był naukowcem. Naukowcy są nieźrównoważeni.

– Siedzieliśmy półtorej godziny zamknięci w windzie. Był wzorem opanowania i przytomności umysłu. „Nieźrównoważony” w ogóle do niego nie pasuje. A poza tym zastrzelił się – rzekomo – z najcichszej broni na rynku. Z roachforda.³⁴ z dokręcanym tłumikiem. Robionego tylko na zamówienie z katalogu. Po co zawracałby sobie głowę?

– Czyli policja się myli, ekspert medycyny sądowej się myli, wszyscy się mylą. Rację ma tylko Luisa Rey, wybitna, młoda dziennikarka. A jej wnikliwe diagnozy prowadzą do wniosku, że światowej sławy jajogłowy został zabity na zlecenie, bo wspomniał o kilku trudnościach w jakimś raporcie? W raporcie, co do którego wszyscy są zgodni, że nie istnieje? Mam rację?

– Częściowo. Bardziej prawdopodobne, że policję nakłoniono, by doszła do wniosków wygodnych dla Seaboardu.

– O, tak. Publiczne przedsiębiorstwo kupuje policję i system sądownictwa. Ale ze mnie matoł.

– Wliczając firmy afiliowane, Seaboard Corporation jest dziesiątym pod względem wielkości koncernem w kraju. Mogliby kupić Alaskę, gdyby chcieli. Daj mi czas do poniedziałku.

– Nie! W tym tygodniu to ty piszesz recenzje. A! I tekst o kuchni.

– Gdyby Bob Woodward powiedział ci, że podejrzewa prezydenta Nixona o to, że zlecił włamanie do biur politycznego rywala, i że do tego Nixon sam siebie nagrał, jak wydaje to zlecenie, też byś powiedział: „Daj spokój, Bob, masz mi napisać osiemset słów o omletach”?

– Tylko nie graj oburzonej feministki.

– A ty nie mów „skarbie, robię w tym trzydzieści lat”! Jeden Jerry Nussbaum w tym budynku wystarczy.

– Usiłujesz nagiąć rzeczywistość do twojego drobnego podejrzenia. W ten sposób źle

skończyło wielu świetnych dziennikarzy. Wielu świetnych ludzi w każdej branży.

– Do poniedziałku! Zdobędę kopię raportu Sixsmitha.

– Obietnice bez pokrycia jakoś mnie nie przekonują.

– Nie mam nic innego, mogę najwyżej paść na kolana i cię błagać. Proszę cię, przecież Dom Grelsch nie ukręci łba rzetelnemu dziennikarstwu śledczemu tylko dlatego, że ze śledztwa nic konkretnego nie wyniknie na następny dzień rano. Tata mówił, że w połowie lat sześćdziesiątych nie było odważniejszego od ciebie reportera.

Grelsch okręca się z fotelem i patrzy na Trzecią Aleję.

– Gównno prawda.

– Żadne gównno prawda. Ten tekst o funduszach na kampanię Rossa Zinna w sześćdziesiątym czwartym? Na dobre wysadziłeś z polityki obrońcę supremacji białych, wyjątkowego drania. Ojciec mówił, że jesteś zawzięty i z pazurem. I niezmordowany. Wiele nerwów, potu i czasu trzeba było do sprawy Rossa Zinna. Nerwy i pot wezmę na siebie. Ciebie proszę tylko o czas.

– Wyjechanie mi tu z twoim ojcem to chwyt poniżej pasa.

– W dziennikarstwie czasem tak trzeba.

Grelsch gasi papierosa i zapala następnego.

– W poniedziałek. Razem z raportem Sixsmitha. I musisz mieć dowody, których nie podważy nawet trzęsienie ziemi, z nazwiskami, źródłami i faktami. Kto ukrył ten raport i dlaczego, i w jaki sposób Swannekke B ma zrobić z Południowej Kalifornii Hiroszimę. A! I jeśli zdobędziesz dowody, że Sixsmitha zamordowano, przed puszzeniem do druku zawiadamiamy policję. Nie chcę dynamitu pod samochodem.

– „Informacje. Odważne, bezstronne i wyczerpujące”.

– Zjeżdżaj.

Mina Nancy O'Hagan mówi „nieźle”, kiedy Luisa siada za biurkiem i wyjmuje ocalone listy Sixsmitha.

W swoim pokoju Grelsch wali w worek treningowy.

– Zawzięty! – *Bach!* – Z pazurem! – *Bach!* – Niezmordowany! – Spostrzega swoje odbicie, które wyraźnie go przedrzeźnia.

22 Dźwięki sefardyjskiej romancy, napisanej przed wygnaniem Żydów z Hiszpanii, wypełniają sklep muzyczny Lost Chord na północno-zachodnim rogu Spinoza Square i Szóstej

Alei. Dobrze ubrany mężczyzna, dość blady, jak na to opalone miasto, powtarza przy telefonie pytanie.

– *Atlas Chmur na sekstet*... Robert Frobisher... Tak, słyszałem o nim, ale nigdy nie miałem w rękach samej płyty... Frobisher był genialny, *Wunderkind*, zmarł akurat, kiedy zaczął tworzyć wielkie dzieła... Zaraz, mam tu listę od człowieka z San Francisco, który specjalizuje się w rzadkich wydaniach... Franck, Fitzroy, Frobisher... No proszę, nawet jest dopisek... Wydano tylko pięćset egzemplarzy... w Holandii, przed wojną. No, nic dziwnego, że trudno znaleźć... Ten człowiek ma egzemplarz na płycie acetatowej, z lat pięćdziesiątych... wydany przez zlikwidowaną małą francuską wytwórnię. Wygląda na to, że *Atlas Chmur na sekstet* to pocałunek śmierci dla każdego, kto się nim zajmuje... Spróbuję, miał jeden egzemplarz miesiąc temu, ale nie gwarantuję jakości brzmienia. I muszę ostrzec, że tanie to nie będzie... Wycenia go na... sto dwadzieścia dolarów... plus dziesięć procent naszej prowizji, czyli w sumie... Tak? OK, zapiszę pani nazwisko... Ray, a jak imię? O, R-E-Y, przepraszam. Zwykle prosimy o zaliczkę, ale jakoś... brzmi pani ucziwie. Kilka dni. Proszę bardzo.

Sprzedawca robi notkę, żeby nie zapomnieć, i podnosi ramię gramofonu z powrotem do początku „*Por que llorax blanca niña*”, opuszcza igłę na lśniący, czarny winyl i marzy o pasących bydło żydowskich chłopcach, którzy trącają struny lir na iberyjskich wzgórzach pod rozgwieżdżonym niebem.

Luisa Rey nie zauważa zakurzonego, czarnego chevroleta, który powoli przejeżdża koło niej, gdy wchodzi do domu. Ostatnio nie bardzo zwraca na cokolwiek uwagę, odkąd przeczytała pierwszy znaleziony u Rufusa Sixsmitha list. Bill Smoke w swoim chevroletcie zapamiętuje numer jej mieszkania: 108, Pacific Eden Apartments.

Luisa w ciągu ostatnich dni przeczytała listy Sixsmitha kilkanaście razy albo więcej. Głęboko nią wstrząsnęły. Przyjaciel Sixsmitha ze studiów, Robert Frobisher, napisał całą ich serię latem 1931 roku, podczas dłuższego pobytu w château w Belgii. Luisę porusza nie tyle przedstawienie w niekorzystnym świetle młodego, podatnego na wpływy Rufusa Sixsmitha, ile oszałamiająca wyrazistość miejsc, które z listów wydobyły się na świat. Obrazy są tak jaskrawe, że Luisa może jedynie nazwać je wspomnieniami. Córka pragmatycznego dziennikarza potrafi wyjaśnić te „wspomnienia” – i już to zrobiła – wyobraźnią, którą szczególnie mocno uwrażliwiła niedawna śmierć ojca, lecz pewien szczegół w jednym z listów gwałtownie obala to wytłumaczenie. Robert Frobisher pisze o znamię w kształcie komety między łopatką a obojczykiem.

Kompletnie nie wierzę w takie bzdury. Nie wierzę w nie. Nie wierzę.

Robotnicy przebudowują hall wejściowy w Pacific Eden Apartments. Na podłodze leżą płachty, elektryk szarpie kable elektryczne, gdzieś wali niewidoczny młotek. Malcolm, dozorca, zauważa Luisę i woła:

– Luiso! Jakiś nieproszony gość pobiegł do ciebie na górę dwadzieścia minut temu!

Niestety, zagłusza go hałas wiertarek, na telefonie ma człowieka z ratusza w sprawie pozwoleń i przepisów budowlanych, a poza tym Luisa i tak już weszła do windy.

24 – Niespodzianka – mówi sucho Hal Brodie, przyłapany na zgarnianiu książek i płyt z półek w mieszkaniu Luisy i wkładaniu ich do sportowej torby. – O – dodaje, żeby ukryć poczucie winy – obcięłaś włosy.

Luisy raczej to nie dziwi.

– A nie robią tak wszystkie porzucone kobiety?

Hal głośno przełyka ślinę. Luisa jest na siebie wściekła.

– Czyli Dzień Podziału Majątku.

– Prawie skończyłem. – Hal otrzepuje ręce z niewidzialnego kurzu. – Ten Wallace Stevens jest mój czy twój?

– Dostaliśmy go oboje na gwiazdkę od Phoebe. Zadzwoń do Phoebe. Niech wybierze. Albo wydrzyj strony nieparzyste i zostaw mi parzyste. Takie naloty robi policja. Mogłeś chociaż zadzwonić i uprzedzić, że będziesz.

– Dzwoniłem. Cały czas włączała się sekretarka. Wyrzuć ją, jeżeli nie odsłuchujesz.

– Żartujesz?! Kosztowała fortunę. Co cię sprowadza do Buenas Yervas, oprócz miłości do poezji modernistów?

– Szukam planów filmowych do *Starsky'ego i Hutch'a*.

– A Starsky i Hutch nie są z Nowego Jorku?

– Starsky'ego porywają. Jest strzelanina na Bay Bridge w Buenas Yervas i mamy rozpisaną scenę pościgu. David i Paul biegną po dachach samochodów w godzinach szczytu. Będą trudności ze zgodą od drogówki, ale musimy tu kręcić, bo inaczej nie zachowamy nawet pozorów spójności artystycznej.

– Zaraz, nie weźmiesz *Blood on the Tracks*.

– Jest moja.

– Już nie. – Luisa nie żartuje.

Z pełną ironii uległością Brodie wyjmuje płytę z torby.

– Bardzo mi przykro z powodu taty.

Luisa kiwa głową, czuje, jak wzbiera w niej żal i smutek, a mechanizmy obronne sztywnieją.

– Jasne.

– Ale to chyba... było też jakieś wyzwolenie.

Tak, ale tylko ci, których opuścił, mają prawo tak mówić. Luisa opiera się pokusie, żeby rzucić jakąś uwagę i mu dokopać. Pamięta, jak ojciec podśmiewał się z Hala, „Chłopaczek z telewizji”. Oboje patrzą na miejsca na półkach, gdzie brakuje wyjętych książek. Nie zaczną płakać.

– Czyli u ciebie wszystko w porządku?

– Tak, raczej tak. A u ciebie?

– Też.

– A w pracy?

– Okej. – Oszczędź już nam obojgu. – Masz chyba mój klucz.

Hal zasuwa torbę, grzebie w kieszeniach i kładzie klucz od drzwi na dłoni Luisy. Robi to zamaszystym gestem, żeby podkreślić symbolikę. Luisa czuje zapach nieznannej wody po goleniu i wyobraża sobie, że to Ona go dzisiaj nią skropiła. Tej koszuli osiem tygodni temu też nie miał. A to kowbojki, które kupili razem, kiedy był koncert Segovii. Hal przydeptuje parę brudnych kapci Javiera i Luisa widzi, jak porzuca chęć zakpienia z jej nowego mężczyzny. Zamiast tego mówi po prostu:

– No to trzymaj się.

Podać sobie ręce? Przytulić go?

– Jasne.

Drzwi się zamykają.

Luisa zamyka je na łańcuch i odtwarza w głowie całe spotkanie. Odkręca prysznic i rozbiera się. Lustro w łazience jest do połowy zasłonięte stojącymi na półce szamponami, odżywkami, pudełkiem podpasek, kremami i mydełkami. Luisa przesuwa je na bok, żeby lepiej widzieć znamię między łopatką i obojczykiem. Spotkanie z Halem ulatuje z jej myśli.

Zbiegi okoliczności zdarzają się bez przerwy.

Ale bez wątplenia znamię wygląda jak kometa. Lustro zachodzi mgłą.

Masz zwracać uwagę tylko na fakty. Znamię może sobie wyglądać jak chcesz, wcale niekoniecznie jak kometa. Ciągle nie możesz się otrząsnąć po śmierci taty, i tyle.

Luisa wchodzi pod prysznic, ale w myślach przemierza korytarze chateau w Zedelghem.

25 Obóz, który rozbili protestujący przeciw Swanekke, leży na stałym lądzie między piaszczystą plażą a bagnistą laguną, od której odwróciło się morze. Za laguną, w głębi lądu, akry cytrusowych sadów wznoszą się aż po suche wzgórza. Podarte namioty, pomalowane na kolory tęczy przyczepy kempingowe i domy na czterech kołach wyglądają jak niechciane dary, które Pacyfik wyrzucił tu na brzeg. Rozpięty transparent głosi: ZIEMIA PRZECIWI SEABOARDOWI. Na drugim brzegu mostu wznosi się Swanekke A, drząc w południowym żarze jak miraż Utopii. Białe, ale opalone na brąz maluchy bawią się na leniwej płyciźnie, jak w brodziku; apostoł z brodą pierze w balii ubranie; para całujących się nastolatków wije się jak węże w trawie na wydmach.

Luisa zamyka garbusa i idzie przez niskie zarośla do obozu. W ponurym upale kołują mewy. Z oddali dobiega warkot jakichś maszyn rolniczych. Zbliża się do niej kilku mieszkańców, lecz nie w przyjaznych zamiarach.

– Słucham? – rzuca zaczepnie człowiek o jastrzębich rysach Indianina.

– Myślałam, że to parking publiczny.

– Źle pani myślała. Prywatny.

– Jestem dziennikarką. Chciałabym zrobić wywiad z paroma osobami.

– A skąd pani jest?

– Ze „Spyglassa”.

Chmury trochę się rozstępują.

– A nie powinna pani pisać najnowszych sensacji o nosie Barbry Streisand? – pyta Indianin, dodając z ironią: – Z całym szacunkiem.

– Przykro mi, że nie jestem z „Herald Tribune”, ale może niech pan da mi szansę. Przydałoby się wam trochę pozytywnych artykułów, chyba że poważnie zamierzacie rozbroić bombę atomową, wymachując z drugiego brzegu transparentami i śpiewając protest songi. Z całym szacunkiem.

Jakiś człowiek z Południa warczy:

– Gówno pani wie.

– Koniec wywiadu – mówi Indianin. – Proszę opuścić teren.

– Spokojnie, Milton. – Starsza, siwowłosa kobieta o ciemnej karnacji staje na stopniach przyczepy. – Zostaw to mnie.

Arystokratyczny kundel obserwuje sytuację zza nóg swojej pani. Najwyraźniej jej słowo

się tu liczy, bo tłum rozchodzi się bez dalszych protestów.

Luisa podchodzi do przyczepy. – Pokolenie miłości i pokoju?

– Siedemdziesiątego piątego nie można porównywać z sześćdziesiątym ósmym. Seaboard i policja mają w naszej siatce informatorów. W zeszły weekend władze chciały zlikwidować obóz na potrzeby VIP-ów i połała się krew. Co dało władzom pretekst do aresztowań. Obawiam się, że paranoja wychodzi nam jednak na dobre. Proszę wejść. Hester van Zandt.

– Bardzo liczyłam na to, że panią spotkam, pani doktor – mówi Luisa.

26 Godzinę później Luisa daje ogryzek jabłka łagodnemu psiakowi Hester van Zandt. W jej zastawionym książkami gabinecie panuje porządek w tym samym stopniu, jak u Grelscha chaos. Gospodyni kończy opowieść.

– Konflikt między korporacjami i aktywistami to walka narkolepsji z pamięcią. Korporacje mają pieniądze, władzę i wpływy. A naszą jedyną bronią jest wywoływanie publicznego oburzenia. Oburzenie zablokowało Yuccan Dam, obaliło Nixona i, częściowo, doprowadziło do zakończenia koszmaru Wietnamu. Ale oburzenie z trudem poddaje się fabrykowaniu i manipulacjom. Po pierwsze, zawsze najpierw trzeba sprawę dokładnie poznać. Po drugie, potrzebna jest powszechna świadomość. Dopiero gdy obydwa czynniki osiągną masę krytyczną, wybucha publiczne oburzenie. Na każdym etapie sprawę można łatwo sabotować. Wszyscy Albertowie Grimaldi tego świata mogą przeszkadzać w dokładnym jej zbadaniu, ukrywając prawdę w przeróżnych komisjach, podając nudne fakty i wprowadzając w błąd lub wręcz zastraszając badaczy. Mogą uspić powszechną świadomość, zakładając klapki na oczy instytucjom służącym edukacji, mając w swoim posiadaniu stacje telewizyjne, proponując „wynagrodzenie” czołowym publicystom lub po prostu wykupując media. To w mediach – i to nie tylko w „Washington Post” – toczą się wojny domowe demokracji.

– Dlatego uratowała mnie pani przed Miltonem i jego kumplami.

– Chciałam przedstawić pani prawdę, tak jak my ją widzimy, żeby przynajmniej mogła pani wybrać, po czyjej stronie, znając wszystkie fakty. Może pani napisać satyrę na Nowych Waldenowców z GreenFrontu i na ich mini-Woodstock, ale tym samym potwierdzi pani po kolei każde uprzedzenie, jakie żywi do nas Partia Republikańska, i zakopie prawdę jeszcze ciut głębiej. Albo może pani napisać o poziomach napromieniowania w rybach i krewetkach, o „bezpiecznych” limitach zanieczyszczeń wyznaczanych przez tych, którzy zanieczyszczają, o polityce rządu wystawianej na aukcje, by zebrać dotacje dla kampanii wyborczej i o policji *ex iure* kierowanej przez Seaboard, a rozbudzi pani powszechną świadomość, podgrzeje ją i o drobny ułamek stopnia zbliży do temperatury wrzenia.

Luisa już przy wyjściu pyta:

– Znała pani Rufusa Sixsmitha?

– Oczywiście, że znałam, świeć Panie nad jego duszą.

– Pomyślałabym raczej, że reprezentowaliście przeciwne stanowiska... ale może nie?

Van Zandt kiwnięciem głowy potwierdza, że Luisa myśli słusznie.

– Poznałam Rufusa na początku lat sześćdziesiątych w zespole doradców przy Departamencie Energii w Waszyngtonie. Miałam wobec niego ogromny respekt i trochę się go bałam! Noblista, weteran Projektu „Manhattan”. Raczej niespecjalnie interesowały go panie.

Luisa odniosła to samo wrażenie, przeczytawszy listy Roberta Frobishera.

– Może przez przypadek wie pani coś o jego raporcie? Wydał w nim miażdżącą opinię o HYDRZE-Zero i żądał, żeby Swannekke B odłączono.

– Doktor Sixsmith? Jest pani całkowicie pewna?

– Całkowicie pewna? Nie. Święcie przekonana? Tak.

Van Zandt robi się niespokojna.

– Mój Boże, gdyby GreenFront mógł zdobyć kopię tego raportu... – Nagle twarz jej się chmurzy. – Jeśli sławny dr Rufus Sixsmith napisał pracę miażdżącą HYDRĘ-Zero i jeśli zagroził, że ją opublikuje... przestaję wierzyć, że się zastrzelił.

Luisa zauważa, że obie mówią szeptem. Zadaje pytanie, które według niej zadałby Grelscht:

– Czy to nie jest już paranoja? Myślenie, że Seaboard mógłby kazać zamordować laureata Nagrody Nobla tylko po to, żeby uniknąć złej prasy?

Van Zandt zdejmując z korkowej tablicy zdjęcie kobiety po siedemdziesiątce.

– Proszę bardzo. Margo Roker.

– Widziałam jej nazwisko na waszym transparencie parę dni temu.

– Margo jest aktywistką GreenFrontu, odkąd Seaboard kupił Swannekke Island. To do niej należy ten teren. Margo pozwala nam tu działać i dokuczać Seabardowi jak uwierająca drzazga. Sześć tygodni temu włamano się do jej bungalowu, dwie mile stąd wzdłuż wybrzeża. Margo nie ma pieniędzy, tylko niewielki skrawek ziemi – z którą nie zgadza się rozstać, choć Seaboard pobrzękuje mnóstwem zachęt. No cóż. Włamywacze pobili ją do nieprzytomności i zostawili, myśląc, że nie żyje, ale nic nie wzięli. Nie ma sprawy o morderstwo, bo Margo ciągle jest w śpiączce. Więc policja utrzymuje, że to źle zaplanowany napad, który fatalnie się skończył.

– Fatalnie dla Margo.

– A całkiem fortunnie dla Seaboardu. Rachunki za szpital doprowadzają rodzinę Margo do ruiny. Aż tu nagle kilka dni po napadzie agencja nieruchomości Open Vista z LA przyjeżdża

i składa jej kuzynowi ofertę kupna tego kawałka wybrzeża z krzakami po cenie czterokrotnie wyższej niż wartość rynkowa. Żeby zrobić tu prywatny rezerwat przyrody. Więc proszę GreenFront, żeby wywieźli się czegoś o tej agencji. Open Vista zarejestrowano zaledwie osiem tygodni temu i ciekawe, czy zgadnie pani, kto figuruje na czele listy sponsorów korporacyjnych? – Van Zandt robi ruch głową w kierunku Swanekke Island.

Luisa rozważa jej słowa.

– Będę z panią w kontakcie.

– Mam nadzieję.

27 Alberto Grimaldi lubi pozaprogramowe briefingi w sprawach bezpieczeństwa, jakie w swoim gabinecie w Swanekke przeprowadza z Billem Smoke'em i Joe Napierem. Podoba mu się konkretna, rzeczowa postawa ich obydwu, w przeciwieństwie do świty dworzan i petentów. Lubi wysyłać sekretarkę do recepcji, gdzie kierownicy, przywódcy związkowi i ludzie z agend rządowych muszą czekać, najlepiej kilka godzin, żeby potem usłyszeć, jak sekretarka mówi: „Frank, Joe, pan Grimaldi ma teraz dla was chwilkę”. Dzięki Smoke'owi i Napierowi, Grimaldi może napawać się tymi cechami swojego charakteru, które czynią go podobnym do J. Edgara Hoovera. Napier jest dla Grimaldiego jak wierny buldog, dzieciństwa w New Jersey nie złagodziło u niego trzydzieści lat życia w Kalifornii, a Bill Smoke to piesek o magicznej mocy – żeby wykonać polecenie pana, potrafi przenikać przez ściany, etykę i prawo.

Dzisiaj jest też z nimi Fay Li, wezwana przez Napiera na omówienie ostatniego punktu niepisanej agendy spotkania: sprawy dziennikarki Luisy Rey, która w ten weekend przyjechała do Swanekke i która może zagraża, a może nie zagraża bezpieczeństwu.

– Fay? – pyta Grimaldi, przysiadając na krawędzi biurka. – Co o niej wiemy?

Fay Li odpowiada jakby odczytywała z głowy listę faktów.

– Reporterka ze „Spyglassa”, to chyba wszyscy wiemy. Dwadzieścia sześć lat, ambitna, poglądy bardziej liberalne niż radykalne. Córka słynnego Lestera Reya, zagranicznego korespondenta, niedawno zmarłego. Matka po cichym rozwodzie siedem lat temu wyszła za mąż za architekta, mieszka na przedmieściach Ewingsville w BY. Luisa nie ma rodzeństwa. Skończyła historię i ekonomię w Berkley, z najwyższym wyróżnieniem.

Zaczęła w „LA Recorder” i pisała polityczne teksty w „Tribune” i „Heraldzie”. Samotna, mieszka sama, rachunki płaci na czas.

– Strasznie to nudne – komentuje Napier.

– To przypomnij, dlaczego w ogóle o niej mówimy – rzuca Smoke.

Fay Li zwraca się do Grimaldiego:

– Przyłapaliśmy ją we wtorek, jak wałęsała się po części zamkniętej dla gości w czasie

ceremonii otwarcia. Twierdziła, że jest umówiona z doktorem Sixsmithem.

– W sprawie?

– Zamówionego tekstu dla „Spyglassa”, ale myślę, że chciała coś wywęszyć.

Prezes spogląda na Napiera, który wzrusza ramionami.

– Trudno powiedzieć, panie prezesie. Jeśli szukała informacji, powinniśmy założyć, że wie jakich.

Grimaldi ma słabość do podkreślania rzeczy oczywistych.

– Raportu.

– Dziennikarze mają wygłodniałą wyobraźnię – mówi Li – szczególnie tacy, którzy dopiero szukają pierwszego dużego kąska. Sądzę, że Luisa Rey może przypuszczać, że śmierć doktora Sixsmitha była... Jakby to ująć?

Alberto Grimaldi robi zaskoczoną minę.

– Panie prezesie – wtrąca Smoke – Fay ma chyba zbyt dużo taktu, żeby to głośno powiedzieć: Rey może myśleć, że zlikwidowaliśmy doktora Sixsmitha.

– „Zlikwidowaliśmy”? Dobry Boże. Naprawdę? Joe? A ty jak myślisz?

Napier rozkłada ręce.

– Fay może mieć rację, panie prezesie, „Spyglass” nie ma opinii pisma specjalnie trzymającego się faktów.

– Mamy jakieś wpływy w „Spyglassie”? – pyta Grimaldi.

Napier kręci głową.

– Zajmę się tym.

– Luisa – mówi dalej Li – dzwoniła z pytaniem, czy może przeprowadzić wywiad z kilkoma naszymi ludźmi do „Dnia z życia naukowca”. Więc zaprosiłam ją na dziś do hotelu na nasz bankiet i obiecałam, że przedstawię ją w ciągu weekendu paru osobom. W zasadzie – patrzy na zegarek – spotykam się tam z nią za godzinę.

– Dałam zgodę, panie Grimaldi – mówi Napier. – Wolę, żeby weszła tam, gdzie możemy mieć ją na oku.

– Słusznie, Joe. Masz rację. Oceń, na ile nam zagraża. I daj spokój z chorymi podejrzeniami w sprawie biednego Rufusa.

Wszyscy lekko się uśmiechają.

– W porządku. Joe, Fay, to by było tyle. Dziękuję za przyjście. Bill, z tobą jeszcze słówko w sprawie Toronto.

Prezes i płatny zabójca zostają sami.

– Nasz przyjaciel – zaczyna Grimaldi – Lloyd Hooks. Niepokoi mnie.

Bill Smoke zastanawia się.

– Jakieś przypuszczenia?

– Dostał pary, jakby miał w rękawie same asy. Nie podoba mi się to. Uważaj na niego.

Bill Smoke pochyla głowę.

– I lepiej miej w zanadru jakiś wypadek dla Luisy Rey. Akcja na lotnisku była wzorowa, ale jednak Sixsmith był zasłużonym obywatelem obcego państwa i nie chcemy, żeby Rey nagłośniła czyjeś przypuszczenia, że to brudna robota. – Kiwa głową w kierunku drzwi, za którymi zniknęli Napier i Li. – A co myśli tych dwoje? Coś podejrzewają?

– Li nic nie myśli. Pracuje w Public Relations, kropka. A Napier niczemu się nie przygląda. Jest jak ślepy, panie Grimaldi. Ślepy z własnej woli. I niedługo ma przejść na emeryturę.

28 Isaac Sachs siedzi zgarbiony przy oknie w zakolu hotelowego baru na Swanekke i patrzy na jachty spowite gęstym błękitem wieczoru. Na stoliku stoi nietknięte piwo. Rozbiegane myśli naukowca wędrują od Rufusa Sixsmitha i jego śmierci, przez obawy, że ukryta potajemnie kopia raportu Sixsmitha może zostać odnaleziona, do ostrzeżeń, jakie dostał od Napiera w sprawie poufności. „Przecież, doktorze Sachs, pańskie pomysły są własnością Seaboard Corporation. Lepiej, żeby nie łamał pan umowy z kimś takim, jak pan Grimaldi, prawda?”. Prostackie, ale skuteczne.

Sachs próbuje przypomnieć sobie, jak to było, kiedy nie czuł jeszcze bez przerwy tego ucisku w żołądku. Tęskni za starym laboratorium w Connecticut, gdzie świat składał się z matematyki, energii i kaskad atomów, a on był podróżnikiem, który ten świat odkrywał. Absolutnie nie ciągną go wielkie polityczne układy, w których wystarczy błędnie zadeklarować lojalność, żeby mózg człowieka rozprysnął się po hotelowym pokoju. „Proszę zniszczyć ten raport, doktorze Sachs, zniszczyć go strona po stronie”.

Potem jego myśli suną w stronę kumulacji wodoru, wybuchu, przepełnionych szpitali, pierwszych śmiertelnych ofiar napromieniowania. Oficjalnego dochodzenia. Kozłów ofiarnych. Sachs stuka kostkami palców o zwiniętą w pięść drugą dłoń. Jak dotąd, zdrada Seaboardu to występki, który popełnił jedynie w myślach. Czy posunę się dalej? Trze zmęczone oczy. Kierownik hotelu prowadzi grupę florystek do sali bankietowej. Jakaś kobieta wolno schodzi

na dół, rozgląda się za kimś, kto jeszcze nie przyszedł, i odchodzi w stronę ruchliwego baru. Sachs podziwia doskonale dobrany zamszowy kostium, jaki kobieta ma na sobie, jej zgrabną figurę, stonowane perły. Barman nalewa jej kieliszek białego wina i mówi jakiś dowcip, za który zostaje nagrodzony kiwnięciem głowy, ale nie uśmiechem. Kobieta odwraca się w jego stronę i Sachs poznaje, że to ją pięć dni temu wziął za Megan Sixsmith: czuje nagle w brzuchu jeszcze większy ucisk i pośpiesznie wychodzi przez werandę, odwracając twarz. Luisa wolnym krokiem podchodzi do okna w zakolu. Na stole stoi nietknięte piwo, ale ani śladu właściciela, więc siada na ciepłym jeszcze krześle. To najlepsze miejsce w całym barze. Luisa patrzy na jachty, spowite gęstym błękitem wieczoru.

29 Spojrzenie Alberto Grimaldiego wędruje po zalanej blaskiem świec sali bankietowej. Pogłos wygłaszanych fraz słychać w całym pomieszczeniu, ale dużo osób mówi, a mało słucha. Podczas jego własnej przemowy śmiano się głośniejsze i dłużej, niż kiedy mówił Lloyd Hooks, który teraz siedzi pochłonięty jakimiś konsultacjami z wiceprezesem Williamem Wileym. O czym z takim przejęciem rozmawiają? Grimaldi odnotowuje w myślach kolejną sprawę dla Billa Smoke'a. Szef Agencji Ochrony Środowiska opowiada mu niekończącą się historię, jak to Henry Kissinger chodził jeszcze do szkoły, więc Grimaldi wygłasza nieistniejącej publiczności przemowę na temat władzy.

– „Władza”. Jak ją rozumieć? Jako „możliwość stanowienia o powodzeniu innego człowieka”. Wy, ludzie nauki, potentaci budowlani i liderzy opinii, proszę bardzo: mój odrzutowiec mógłby wystartować z La Guardi i zanim wyładowałby w BY, już byłibyście nikim. Wy, magnaci z Wall Street, ludzie władzy z mandatem od wyborców, sędziowie, być może potrzebowałbym więcej czasu, żeby zepchnąć was ze stołków, ale wasz upadek byłby równie absolutny. – Grimaldi sprawdza, czy szef Agencji Ochrony Środowiska zauważył, że myśłami jest gdzie indziej. Nie zauważył. – A jednak, jak to się dzieje, że niektórzy zdobywają pozycję panów, podczas gdy ogromna większość żyje i umiera jako służący, jako żywy inwentarz? Dzieje się tak za sprawą świętej trójcy. Po pierwsze, danego od Boga daru charyzmy. Po drugie, dyscypliny potrzebnej, aby dar ten mógł dojrzeć, bo, mimo że gleba ludzkości jest żyzna i obfituje w talent, tylko jedno ziarno na dziesięć tysięcy kiedykolwiek wzrośnie – z braku odpowiedniej dyscypliny. – Grimaldi kątem oka widzi, jak Fay Li prowadzi uprzykrzoną Luisę Rey do grupy gości, której duszą towarzystwa jest Spiro Agnew. Reporterka w rzeczywistości jest ładniejsza niż na zdjęciu: więc to tak usidliła Sixsmitha. Łapie spojrzenie Billa Smoke'a. – Po trzecie, to kwestia woli władzy, enigmy, sedna przeznaczenia różnych ludzi. Co pcha jednych do zagarniania władzy, kiedy większość ich rodaków władzę traci, zaprzecza lub władzy unika? Uzależnienie? Bogactwo? Pragnienie przetrwania? Dobór naturalny? Według mnie, to jedynie preteksty lub skutki, a nie istota sprawy. Odpowiedzią może być tylko: „Nie ma żadnego »dlaczego«. Taką mamy naturę”. „Kto” i „Co” są ważniejsze od „Dlaczego”.

Szef Agencji Ochrony Środowiska zanosi się śmiechem, rozbawiony puentą własnego autorstwa.

– Można umrzeć ze śmiechu, Tom, umrzeć ze śmiechu.

30 Chcąc upewnić Fay Li, że nie stanowi żadnego zagrożenia, Luisa Rey udaje roztrzępaną

reporterkę, która bardzo stara się zachowywać jak najlepiej. Tylko wtedy będą skłonni na tyle osłabić nadzór, aby mogła wyszukać innych podobnych do Sixsmitha dysydentów. Joe Napier, szef ochrony, przypomina jej ojca – cichy, rzeczowy, w podobnym wieku, podobnie łysieje. Raz czy dwa w czasie wystawnej kolacji z dziesięciu dań uchwyciła jego spojrzenie: nie lubieżne, ale zadumane.

– Fay, nigdy nie czujesz się na Swanekke Island, jakbyś tu była zamknięta?

– Na Swanekke? Tu jest jak w raju! – zachwycą się szefowa PR. – Buenas Yervas tylko godzinę stąd, kawałek dalej Los Angeles, rodzinę mam w San Francisco, idealnie. Sklepy i usługi subsydiowane, darmowa klinika, czyste powietrze, zerowa przestępczość, wspaniały widok na morze. Nawet mężczyźni – powierza jej sekret *sotto voce* – masz od razu prześwietlonych, z moim dostępem do akt personalnych, więc już na wstępie możesz się upewnić, czy wśród kandydatów nie ma żadnego świra. O wilku mowa. Isaac! Isaac! Będziesz pierwszym z poboru. – Fay Li łapie Isaaca Sachsa za łokieć. – Pamiętasz, poznałeś Luisę parę dni temu?

– Jako poborowy mam farta. Dobry wieczór, Luiso, znowu się spotykamy.

W jego uścisku dłoni Luisa wyczuwa nerwowość.

– Pani Rey przyjechała do nas – mówi Fay Li – bo pisze artykuł o antropologii Swanekke.

– Tak? Strasznie nudne z nas plemię. Nie wiem, czy wystarczy na wymaganą liczbę szpalt.

Fay Li staje się czarująca, tak jak tylko potrafi.

– Isaac na pewno znajdzie dla ciebie trochę czasu, żeby odpowiedzieć na parę pytań, prawda?

– Przecież ja jestem najnudniejszy.

– Nie wierz mu, Luisa – ostrzega ją Fay Li. – To taka strategia. Jak zobaczy, że opuściłaś gardę, zaraz przypuszcza atak.

Rzekomy pies na kobiety kiwa się na piętach, z zakłopotaniem uśmiechając się do czubków własnych butów.

31 – Tragiczna wada Isaaca Sachsa – analizuje dwie godziny później Isaac Sachs, zgarbiony przy oknie w zakolu na wprost Luisy – jest taka: jest zbyt wielkim tchórzem, żeby walczyć, ale niewystarczającym, żeby położyć się na grzbiecie i pokazać brzuszki jak dobry piesek.

Słowa rozjeżdżają mu się, jak nogi Bambiego na lodzie. Na stole stoi prawie pusta butelka wina. W barze nikogo już nie ma. Sachs nie przypomina sobie, kiedy był aż tak pijany albo też tak spięty i jednocześnie rozluźniony: rozluźniony, bo inteligentna kobieta dobrze bawi się w jego towarzystwie; spięty, bo gotów jest przekłuć wrzód na sumieniu. Sachs czuje się

zaskoczony ironią faktu, że oto Luisa Rey go pociąga, i gorzko żałuje, że spotkali się w takich okolicznościach. Kobieta i reporterka w Luisie ciągle zlewają się w jedno.

– No dobrze, zmieńmy temat – mówi Sachs – Twój samochód – udaje akcent SS-mana z Hollywood – „volkswagen”. Jak ma na imię?

– Skąd wiesz, że mój garbus ma imię?

– Wszystkie garbusy mają imiona. Tylko, proszę, nie mów, że John, George, Paul albo Ringo^[12]. – Boże, Luisa, jesteś piękna.

– Będziesz się śmiał – mówi Luisa.

– Nie będę.

– Będziesz.

– Ja, Isaac Caspar Sachs, uroczycie przysięgam, że nie będę się śmiał.

– No, lepiej, żebyś się nie śmiał, skoro masz na drugie „Caspar”. Mój garbus ma na imię „Garcia”.

Obydwoje cali trzęsą się bezgłośnie, aż wybuchają śmiechem.

Może ja też jej się podobam, może nie jest tu tylko w pracy?

Luisa opanowuje śmiech.

– Tyle warte są twoje przysięgi?

Sachs robi gest *mea culpa* i ociera oczy.

– Przeważnie dotrzymuję słowa dłużej. Nie wiem, dlaczego tak mnie to śmieszy. Garcia – parska – wcale nie jest aż takie śmieszne. Ba, kiedyś chodziłem z dziewczyną, która swojego nazwała Rosynant.

– Tego ochrzcił mój chłopak, eksbeatnik z Akademii Sztuk Niętych. W hołdzie Jerry’emu Garcii, wiesz, z Grateful Dead. Zostawił go pod moim akademikiem, po tym jak z silnika przez pokrywę wyskoczyła uszczelka... jakoś wtedy, kiedy rzucił mnie dla cheerleaderki. Tanie, ale tak było.

– I nie oddałeś go na złom?

– To nie wina Garcii, że jego były właściciel był mendą.

– Gość chyba nie wiedział, co robi. – Sachs nie zamierzał tego powiedzieć, ale nie wstydzi się swoich słów.

Luisa Rey pochyla głowę na znak wdzięczności.

– W każdym razie, Garcia do niego pasuje. Wiecznie trzeba go podregulowywać, dostaje zrywów prędkości, cały się rozpada, bagażnik się nie zamyka, cieknie z niego olej, ale nie traci ducha.

Zaproś ją tu jeszcze, myśli Sachs. Nie bądź głupi, przecież nie jesteście dziećmi.

Patrzą, jak w świetle księżyca o brzeg rozbijają się fale.

Powiedz.

– Tamtego dnia – mówi ledwo dosłyszalnym szeptem i jest mu niedobrze – szukałaś czegoś w pokoju Sixsmitha. – Wydaje się, że cienie strzygą uszami. – Prawda?

Luisa też rozgląda się, czy nikt nie podsłuchuje, i mówi bardzo cicho:

– Rozumiem, że doktor Sixsmith napisał pewien raport.

– Rufus siłą rzeczy współpracował blisko z ekipą, która zaprojektowała i zbudowała reaktor. Czyli ze mną.

– Więc znasz wnioski raportu? O HYDRZE?

– Wszyscy je znamy. Jessops, Moses, Keene... wszyscy wiedzą.

– O zasadniczej wadzie projektu?

Sachsem wstrząsa dreszcz.

– Tak. – Nic się nie zmieniło, oprócz tego, że zmieniło się wszystko.

– Jeśli doszłoby do katastrofy, byłoby bardzo źle?

– Jeżeli doktor Sixsmith miał rację, byłoby gorzej niż źle.

– To dlaczego Swannekke B po prostu nie zamkną do czasu zbadania sprawy?

– Pieniądze, władza... to, co zawsze.

– Zgadzasz się z wnioskami Sixsmitha?

Ostrożnie.

– Zgadzam się, że istnieje znaczne teoretyczne ryzyko.

- Ktoś wywierał na ciebie presję, żebyś nie dzielił się wątpliwościami?
- Na każdego naukowca wywierano tu presję. I każdy jej uległ. Oprócz Sixsmitha.
- Kto wywierał, Isaac? Alberto Grimaldi? Sama góra?

Rzucane przez księżyc cienie drzew koralowych przecinają srebrzysty trawnik.

- Luisa, co byś zrobiła z kopią raportu, gdyby trafiła w twoje ręce?
- Opublikowałabym natychmiast.
- Zdajesz sobie sprawę, że... – Nie przejdzie mi to przez gardło.

– Że ludzie z wyższych kręgów prędzej każą mnie zabić, niż pozwolą, żeby kwestionowano stan bezpieczeństwa HYDRY? W tej chwili nie myślę o niczym innym.

– Nie mogę niczego obiecać. – Jezu, jaki ty jesteś słaby. – Zostałem naukowcem, bo... to jak wyplukiwanie czystego złota z mułu i mętnej wody. Prawda jest złotem. Nie wiem, co mam teraz robić...

- Dziennikarze też grzebią w mętnej wodzie.

Nad wodą świeci księżyc.

- Rób to – mówi w końcu Luisa – czego nie wolno ci nie robić.

32 Wczesnym, słonecznym rankiem wieje wietrzyk. Luisa Rey obserwuje graczy idących po aksamitnej trawie pola golfowego i zastanawia się, co by było, gdyby wczoraj zaprosiła Isaaca Sachsa do siebie na górę. Ma się z nim spotkać przy śniadaniu. Zastanawia się, czy powinna zadzwonić do Javiera. Nie jesteś jego matką ani opiekunką, jesteś tylko sąsiadką. Nie czuje się przekonana, ale tak samo, jak nie umiała przejść koło niego obojętnie, kiedy siedział zarzeczony przy zsywie, tak samo, jak nie umiała nie zejść na dół do dozorczy, nie pożyczyć od niego klucza i nie przekopać kupy śmieci w poszukiwaniu jego bezcennych albumów ze znaczkami, tak teraz nie wie, jak się z tego wyplatać. Chłopak nie ma nikogo innego, a jedenastolatkiem nie bawią się w subtelności. A zresztą, przecież sama nie masz nikogo innego.

- Wygląda pani, jakby się pani czymś strasznie martwiła – mówi Joe Napier.
- A, to pan. Proszę usiąść.
- Chętnie. Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości. Isaac Sachs najmocniej panią przeprasza, ale nie będzie mógł dziś się z panią spotkać.
- Nie?
- Alberto Grimaldi wysłał go rano samolotem na Three Mile Island, do naszych

zakładów. Chce, żeby zabiegał o poparcie grupy Niemców. Sidney Jessops miał tam lecieć jako technik, ale ojciec Sida miał atak serca i wypadło na Isaaca.

– O, czyli już wyleciał?

– Niestety, tak. Jest gdzieś – Napier patrzy na zegarek – nad Górami Skalistymi w Kolorado. Nie zdziwiłbym się, gdyby cały czas leczył kaca.

Nie daj po sobie poznać, że jesteś rozczarowana.

– A kiedy ma wrócić?

– Jutro rano.

– Ooo. – Cholera.

– Jestem od Isaaca co prawda dwa razy starszy i trzy razy brzydszy, ale Fay chce, żebym oprowadził panią po zakładach. Poprosiła o rozmowę kilka osób, może panią zainteresują.

– Bardzo dziękuję, to ogromnie miło, że poświęca mi pan tyle czasu w weekend – mówi Luisa.

Wiedziałaś, że Sachs był o krok od zdrady? Jak? Chyba że Sachs był wtyczką? Nie mam pojęcia, co robić.

– Jestem starym człowiekiem. Mam za dużo wolnego czasu.

33 – Czyli na Badania i Rozwój mówicie Kurza Ferma, bo pracują tu sami jajogłowi. – Dwie godziny później Luisa ze śmiechem robi notatki, a Joe Napier przytrzymuje jej otwarte drzwi do sterowni. – A jak nazywają budynek reaktora?

Technik z gumą do żucia w ustach woła:

– Łąd Nieustraszonych!

Mina Joe mówi „ha ha”.

– To stanowczo nie nadaje się do publikacji.

– A czy Joe powiedział pani, jak nazywamy skrzydło ochrony? – Kontroler się szczerzy.

Luisa kręci głową.

– Planeta Małp. – Odwraca się do Napiera. – Joe, przedstaw nam gościa.

– Carlo Böhn, Luisa Rey. Pani Luisa jest reporterką, Carlo to główny technik. Jeśli pani zostanie dłużej, zdradzę pani całą masę innych nazw, jakie na niego mamy.

– Chętnie panią oprowadzę, jeżeli Joe na pięć minut wypuści panią z objęć.

Napier obserwuje, jak Böhn oprowadza Luisę po oświetlonej jarzeniówkami sali, pełnej paneli kontrolnych i wskaźników. Podwładni sprawdzają wydruki, marszczą brwi przy miernikach i przyrządach, odhaczają coś w papierach. Böhn z nią flirtuje, a gdy łapie spojrzenie Napiera, kiedy Luisa jest odwrócona plecami, pokazuje gestem duże cyce; Napier dyskretnie kręci głową.

Milly by cię zasypała pytaniami na śmierć, myśli. Zaprosiłaby do siebie na kolację, zrobiła tyle jedzenia, że mało byś nie pękła, a potem cisnęła, aż wydusiłaby z ciebie wszystko, co tylko by chciała. Pamięta Luisę jako nad wiek rozwiniętą sześciolatkę. To już dobre dwadzieścia lat, odkąd widziałeś ją ostatni raz na spotkaniu starych kumpli z Rejonu 10. Ze wszystkich zawodów świata, jakie ta pyskata gówniara mogła wybrać, ze wszystkich reporterów świata, którzy mogli zwęszyć śmierć Sixsmitha – dlaczego akurat córka Lestera Reya? Dlaczego tuż przed moją emeryturą? Kto to sobie tam na górze wymyślił? Miasto?

Napierowi chce się płakać.

34 Kiedy zachodzi słońce, Fay Li szybko i sprawnie przeszukuje pokój Luisy Rey. Sprawdza w rezerwarze w łazience; czy materiał pod materacem nie jest nacięty; czy w wykładzinie nie ma luźnych kawałków; w minibarze; w szafie. Przy kserowaniu mogli zmniejszyć oryginał do jednej czwartej objętości. Posłuszna recepcjonistka doniosła, że Sachs i Luisa rozmawiali prawie do rana. Sachsa już przeniesiono, ale nie jest idiotą, mógł zdążyć jej gdzieś to zostawić. Odkręca słuchawkę telefonu i znajduje ulubioną pluskwę Napiera, wygląda jak opornik. Maca zakamarki podróźnej torby Luisy, ale nie znajduje niczego drukowanego, oprócz książki *Zen i sztuka oporządzania motocykla*. Przerzuca kartki notesu Luisy, ale zaszyfrowany stenopis niewiele zdradza.

Fay Li zastanawia się, czy to nie strata czasu. Strata czasu? Mexxon Oil podwyższył ofertę za raport Sixsmitha do stu tysięcy dolarów. A jeśli poważnie proponują sto tysięcy, zaproponują też milion. Za podważenie całego programu energii atomowej i doprowadzenie go do przedwczesnej śmierci milion to pestka. Więc szukaj, szukaj.

Dzwoni telefon, cztery razy: ostrzeżenie, że Luisa Rey jest w holu i czeka na windę. Li sprawdza, czy nic nie umknęło jej uwagi, i wychodzi, bocznymi schodami kierując się na dół. Po dziesięciu minutach dzwoni do Luisy z recepcji.

– Witam szanowną panią, mówi Fay. Dawno wróciłaś?

– Ledwo zdążyłam wziąć prysznic.

– Mam nadzieję, że popołudnie było owocne.

– O, bardzo. Materiału mi wystarczy na dwa albo trzy teksty.

– Fantastycznie... Posłuchaj, jeżeli nie masz innych planów, może byśmy zjadły dziś

kolacyjkę w klubie golfowym? Na całym świecie nie ma lepszych homarów, niż w Swanekke.

– No, to odważne stwierdzenie.

– Przecież nie proszę, żebyś uwierzyła na słowo.

35 Na stole piętrzą się odłamki skorupiaków. Luisa i Fay Li zanurzają palce w miseczkach z wodą cytrynową, a Fay ruchem brwi daje kelnerowi znak, żeby zabrał talerze.

– Ale napaskudziłam. – Luisa upuszcza serwetkę. – Straszna ze mnie fleja. Za to ty powinnaś otworzyć prywatną szkołę dla młodych dam gdzieś w Szwajcarii.

– Większość ludzi w Seaboard Village ma o mnie zupełnie inne zdanie. Nie powiedzieli ci, jak na mnie mówią? Nie? „Mister Li”.

Luisa nie jest do końca pewna, jakiej reakcji Fay od niej oczekuje.

– To znaczy?

– W pierwszym tygodniu pracy stoję w bufecie i robię sobie kawę. Podchodzi jakiś inżynier i mówi, że ma pewien techniczny problem i czy nie mogłabym mu pomóc. Jego kumple z tyłu leją ze śmiechu. Mówię: „Chyba raczej nie”, a on: „Na pewno może pani pomóc”. Chciał, żebym naoliwiła mu sworzeń i upuściła nadmiar ciśnienia w jajach.

– Ile miał lat? Trzydzieści?

– Czterdzieści. Żonę, dwójkę dzieci. A kumple się pokładają. No i co masz zrobić? Nawyzywać go, żeby wiedział, że cię wkurzył? Dać w pysk? To cię nazwą histeryczką. Poza tym, tacy obleśni goście lubią, jak się ich leje. Czy też nic nie robić? Żeby każdy facet w całych zakładach wiedział, że może ci bezkarnie mówić, co mu się żywnie podoba?

– Złożyć oficjalną skargę?

– I pokazać, że w trudniejszych sytuacjach kobiety zaraz biegają do szefów?

– No to co zrobiłaś?

– Załatwiłam mu przeniesienie do zakładów w Kansas. Szczere pole, pustkowie, połowa stycznia. Żał mi jego żony, ale trudno, wyszła za niego. Oczywiście, zaraz wszyscy się zwiedzieli i dostałam przezwisko „Mister Li”. Prawdziwa kobieta nie potraktowałaby biedaka w tak okrutny sposób, o nie, prawdziwa kobieta uznałaby taki żarcik za komplement. – Fay Li wygładza zmarszczki na obrusie. – U ciebie w pracy też słyszycie takie świństwa?

Luisa myśli o Nussbaumie i Jakesie.

– Bez przerwy.

– Może nasze córki dożyją wyzwolonego świata, my możemy o tym zapomnieć. Musimy sobie nawzajem pomagać, Luisa. Faceci tego za nas nie zrobią.

Dziennikarka wyczuwa lekką zmianę w programie spotkania.

Fay Li nachyla się w jej stronę.

– Mam nadzieję, że będziesz we mnie mieć swoją informatorkę na Swanekke Island.

Luisa ostrożnie bada teren.

– Dziennikarze zawsze potrzebują informatorów, więc na pewno zapamiętam. Ale muszę cię ostrzec, Fay, że „Spyglass” nie ma środków na takie wynagrodzenie, jakiego...

– Pieniądze wynaleźli faceci. Kobiety wynalazły wzajemną pomoc.

Człowiek mądry, myśli Luisa, odróżnia pułapki od prawdziwych okazji.

– Nie bardzo wiem, jak reporterka, która nie znaczy zbyt wiele, mogłaby „pomóc” kobiecie o twojej pozycji, Fay.

– Oj, zacznij wreszcie siebie doceniać. Życzliwi dziennikarze to cenni sprzymierzeńcy. Prześpij się z tym. Kiedy przyjdzie czas, że będziesz chciała porozmawiać o sprawach ważniejszych niż ilość frytek zjadanych rocznie w Swanekke przez inżynierów – jej głos przechodzi w szept dużo cichszy, niż brzęk sztućców, pianino z koktajlbaru i śmiechy w tle – na przykład, o danych w sprawie reaktora HYDRA, które zebrał doktor Sixsmith, ale to absolutnie tylko przykład, zapewniam cię, że odkryjesz, że jestem znacznie bardziej chętna do współpracy, niż myślisz.

Fay Li pstryka palcami i wózek z deserami już sunie w ich stronę.

– A teraz sorbet cytrynowo-melonowy, bardzo mało kalorii, oczyszcza podniebienie, idealny przed kawą, uwierz.

Przemiana jest tak absolutna, że Luisa zastanawia się niemal, czy na pewno słyszała to, co słyszała.

– Wierzę ci.

– To dobrze, że się rozumiemy.

Luisa zastanawia się: jaki poziom oszustwa jest w dziennikarstwie dopuszczalny? Pamięta, co powiedział ojciec pewnego popołudnia w szpitalnym ogrodzie: „Czy kiedykolwiek uciekłem się do kłamstwa, żeby napisać tekst? Bez mrugnienia okiem łąłbym co dzień jak pies, jeżeli tylko miałbym dzięki temu zbliżyć się o cal do prawdy”.

Dzwonek telefonu wrywa Luisę ze snu. Łąduje z powrotem w pokoju, skąpanym

w księżycowej poświacie. Chwyta lampę, budzik i dopiero na końcu słuchawkę. Przez chwilę nie pamięta, jak się nazywa, ani w czym jest łóżku.

– Luisa? – dobiega głos z czarnej czeluści.

– Tak, Luisa Rey.

– Luisa, to ja, Isaac, Isaac Sachs, jestem w innym mieście.

– Isaac! Gdzie jesteś? Która godzina? Dlaczego...?

– Ciiiiiii, przepraszam, że cię obudziłem i przepraszam, że mnie wczoraj wyciągnęli stamtąd bladym świtem. Jestem w Bostonie. Jest wpół do ósmej wschodniego czasu, w Kalifornii niedługo będzie się rozjaśniać. Jesteś tam, Luisa? Nic nie przerwało?

Boi się.

– Tak, Isaac, słucham cię cały czas.

– Zanim wyjechałem ze Swanekke, dałem Garcii prezent dla ciebie, taki tam drobiazg. – Stara się, żeby to, co mówi, brzmiało bardzo normalnie. – Zrozumiałas?

O czym on, na Boga, mówi?

– Słyszysz, Luisa? Garcia ma prezent dla ciebie.

Włącza się czujniejsza partia mózgu Luisy. Isaac Sachs zostawił raport Sixsmitha w moim volkswagenie. Powiedziałaś mu, że bagażnik się nie domyka. Zakłada, że w hotelu nie jest bezpiecznie i że jesteśmy na podsłuchu.

– To bardzo miło z twojej strony, Isaac. Mam nadzieję, że nie kosztował cię zbyt dużo.

– Wart był każdego centa. Przepraszam, że wyrwałem cię ze snu. Śpij dalej, żebyś była jak zwykle piękna.

– Spokojnie. Przedawkować też nie mogę. Miłej podróży i do zobaczenia niedługo. Może jakaś kolacja?

– Byłoby super. Dobra, muszę lecieć na samolot.

– Bezpiecznego lotu. – Luisa odkłada słuchawkę.

Wyjechać ze Swanekke później, spokojnie i normalnie? Czy uciekać stąd od razu?

Ćwierć mili dalej, po drugiej stronie osiedla naukowców, Joe Napier też nie śpi. W jego oknie widać niebo w godzinie przed świtem. Połowę pokoju zajmuje konsola z elektronicznym sprzętem monitorującym. W głośniku buczy cicho głucha linia telefoniczna. Napier przewija

taśmę na szpulowym magnetofonie. „Zanim wyjechałem ze Swanekke, dałem Garcii prezent dla ciebie, taki tam drobiazg. Zrozumiałaś? Słyszysz, Luisa? Garcia ma prezent dla ciebie”.

Garcia? Garcia?

Napier krzywi się, biorąc łyk zimnej kawy i otwiera teczkę z napisem „LR#2”. Koledzy z pracy, znajomi, kontakty... nie ma tu na liście żadnego Garcii. Lepiej ostrzec Billa Smoke’a, żeby zostawił Luisę, aż będę miał okazję z nią porozmawiać. Zapala papierosa. Billa Smoke’a trudno znaleźć, a co dopiero ostrzec. Napier wciąga do płuc gryzący dym. Dzwoni telefon: Bill Smoke.

– Kto to, kurwa, jest Garcia?

– Nie wiem, nic o nim nie mam. Lepiej, żebyś nie...

– Za to ci, kurwa, płacą, Napier, żebyś miał.

Więc tak teraz do mnie mówisz?

– Chwila, nie tym t...

– Sam, kurwa, chwila. – Bill Smoke odkłada słuchawkę.

Źle, źle, bardzo źle. Joe łapie kurtkę, gasi papierosa, wychodzi ze swojego biura i idzie przez całe zakłady do hotelu Luisy. Pięć minut pieszo. Wraca do niego groźba w głosie Smoke’a i zaczyna biec.

38 Luisa pakuje rzeczy do torby, kiedy nagle chmurą dziwnych wspomnień opada ją *deja vu*. Robert Frobisher uciekający bez zapłacenia rachunku z innego hotelu. Schodzi schodami na dół do pustego holu. Wykładzina tłumi odgłos jej kroków jak śnieg. Z tyłu w biurze radio szepcze czułe słówka. Luisa skrada się do wyjścia, mając nadzieję, że uda jej się wyjechać bez potrzeby tłumaczenia się komukolwiek. Drzwi są zamknięte na zatraskowy zamek od wewnątrz tak, że nie można wejść do środka, ale można wyjść i chwilę potem Luisa idzie na parking przez trawnik przed hotelem. Bryza znad oceanu nie obiecuje przed świtem niczego konkretnego. Nocne niebo nad lądem przybiera barwę ciemnego różu. Na dworze nie ma nikogo, ale kiedy Luisa jest już blisko samochodu, siłą powstrzymuje się od biegu. Spokojnie, bez pośpiechu, zawsze możesz powiedzieć, że jedziesz zobaczyć wschód słońca nad przylądkiem.

Na pierwszy rzut oka bagażnik jest pusty, ale pod wykładziną jest garb. Luisa znajduje paczkę owiniętą czarnym workiem na śmieci. Z worka wyjmuje żółtawy skoroszyt. W słabym świetle odczytuje tytuł: REAKTOR HYDRA-ZERO – MODEL OCENY OPERACYJNEJ – SZEF PROJEKTU DR RUFUS SIXSMITH – NIEAUTORYZOWANE POSIADANIE STANOWI PRZESTĘPSTWO FEDERALNE NA MOCY USTAWY O SZPIEGOSTWIE WOJSKOWYM I PRZEMYSŁOWYM Z 1971 R. Jakies pięćset stron tabel, wykresów, obliczeń i dowodów. Gwałtownie wybucha i rozbrzmiewa uniesienie oraz radość. Spokojnie, to zaledwie początek dobiegł końca.

Jakiś ruch niedaleko zwraca uwagę Luisy. Jakiś człowiek. Luisa kuca za garbusem.

– Pani Luiso! Proszę poczekać!

Joe Napier! Jak w dreszczowcu o szukaniu kluczyków, o zamkach i drzwiach, Luisa upycha żółtawy skoroszyt w czarnym worku na śmieci pod siedzeniem pasażera – Napier teraz już biegnie, w półmroku śmiga snop światła latarki. Silnik wydaje leniwy ryk jak lew – volkswagen cofa za szybko. Joe Napier wali w bagażnik, wrzeszczy, a Luisa kątem oka widzi, że podskakuje jak aktor w slapstickowej komedii.

Luisa nie zatrzymuje się, żeby przeprosić.

39 Przydymiony czarny chevrolet Billa Smoke'a aż zarzuca bokiem, kiedy hamuje przy budce wartownika przed Swanekke Bridge po stronie wyspy. Na drugim brzegu cieśniny wzdłuż lądu ciągnie się łańcuszek świateł. Wartownik poznaje samochód i już jest przy szybie kierowcy.

– Dzień dobry panu!

– Znosi się na dobry. Pan jest Richter, tak?

– Tak jest, proszę pana.

– Joe Napier chyba właśnie przed chwilą dzwonił, żeby nie przepuszczał pan pomarańczowego volkswagena?

– Tak jest, proszę pana.

– Przyjechałem, żeby odwołać to polecenie na osobistą prośbę pana Grimaldiego. Proszę podnieść szlaban dla volkswagena i mnie też za nim przepuścić. Zadzwoń pan do kolegi po drugiej stronie mostu i powie mu pan, żeby nikogo nie przepuszczał, aż zobaczy mój samochód. Kiedy zjawi się tu pan Napier, za jakieś piętnaście minut, proszę mu przekazać, że Alberto Grimaldi mówi, żeby szedł z powrotem spać. Zrozumiano, Richter?

– Zrozumiano, sir.

– Ożenił się pan na wiosnę, o ile dobrze pamiętam?

– Pamięta pan doskonale, sir.

– Owszem. I co? Staracie się o dzieci?

– Żona jest w czwartym miesiącu ciąży, proszę pana.

– Richter, drobna rada, jak odnieść sukces w branży ochroniarskiej. Chciałbyś usłyszeć drobną radę, synu?

– Tak jest, sir.

– Nawet durny pies potrafi siedzieć i pilnować. Ale trzeba głowy, żeby wiedzieć, kiedy nie pilnować. Rozumie mnie pan, Richter?

– Absolutnie, panie Smoke.

– Niech twoja rodzina nie martwi się o przyszłość, synu.

Smoke cofa samochód i ustawia go wzdłuż budki wartownika, a potem kładzie się nisko na siedzeniu. Sześćdziesiąt sekund później kaszlący garbus wyjeżdża łukiem zza cypla. Luisa hamuje, opuszcza szybę, pojawia się Richter i Smoke słyszy słowa „nagła sprawa rodzinna”. Richter życzy jej szerokiej drogi i podnosi szlaban.

Bill Smoke wrzuca jedynekę, dwójkę. Gdy chevrolet podjeżdża do mostu, zmienia się nawierzchnia i odgłos kół jest na niej inny. Trzeci bieg, czwarty, pełen gaz. Z oddali zbliżają się tylne światła rozklekotanego garbusa, pięćdziesiąt jardów, trzydzieści jardów, dziesięć... Smoke nie włączył swoich świateł. Gwałtownie zjeżdża na pusty przeciwny pas i podjeżdża na wysokość volkswagena. Uśmiecha się. Ona myśli, że ja to Joe Napier. Ostro skręca kierownicę i słychać tylko chrzęst metalu, gdy garbus jedzie wciśnięty między jego samochód a barierkę mostu, aż ta wyrwywa się z betonu i garbus wylatuje nad wodę.

Smoke ciśnie po hamulcach. Wysiada, w chłodnym powietrzu czuje zapach rozgrzanej gumy. Cofa się. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stóp niżej przedni zderzak volkswagena znika pod złamanym owalem drobnych, spienionych fal, opadając na dno oceanu. Jeśli jeszcze nie złamał jej się kręgosłup, utonie za trzy minuty. Bill Smoke sprawdza zniszczenia na karoserii swojego samochodu i czuje, jak uchodzi z niego powietrze. Bezosobowe zabójstwa, ocenia, nie mają tego dreszczyku, co ludzki kontakt.

Amerykańskie słońce, rozkręcone na cały regulator, ogłasza, że wstał nowy dzień.

Upiorna udręka Timothy’ego Cavendisha

Wczesnym zmerchem pięć, nie, mój Boże, sześć lat temu, szedłem sobie w stanie najwyższej szczęśliwości jedną z alei w Greenwich, wśród jaśminowców i wyniosłych kasztanów. Domy z okresu Regencji zaliczają się do najdroższych posiadłości w Londynie, ale jeśli miałbyś, Drogi Czytelniku, kiedykolwiek taki odziedziczyć, sprzedaj, nie wprowadzaj się. Z owych domów sączy się pewien rodzaj czarnej magii, który przemienia właścicieli w stukniętych gości. Tego wieczoru, o którym mowa, jedna z ich ofiar, były szef rodezyjskiej policji, za zredagowanie i wydanie jego autobiografii wypisał mi czek na sumkę tak okrągłą, jak on sam. Stan najwyższej szczęśliwości zawdzięczałem po części owemu czekowi, a po części chablis, rocznik 1983 z winnicy Duruzoi, magicznemu eliksirowi, po którym miriady naszych tragedii rozwiewają się do postaci zwykłych nieporozumień.

Trio nastoletnich nimfetek, ubranych jak Barbie-Call-girl, szło w moją stronę, ciągnąc sieć całą szerokością chodnika. Zszedłem na jezdnię, żeby uniknąć zderzenia. Ale gdy się zrównaliśmy, zerwały papierki z wściekle kolorowych lizaków i po prostu rzuciły je na ziemię.

Moje dobre samopoczucie rozpękało się, jakby trafione V2. Przecież tuż obok stał kosz na śmieci! Tim Cavendish, Oburzony Obywatel, wykrzyknął w stronę sprawczyń:

– Podnieście je!

Od moich pleców odbiło się parsknięcie.

– Bo niby co nam pan zrobi?

Bezczelne gówniary.

– Nic nie mam zamiaru wam robić – rzuciłem przez ramię. – Powiedziałem tylko, że...

Kolana ugięły się pode mną, a chodnik rozharatał policzek, przywołując dawne wspomnienie wypadku na trójkołowym rowerku, zanim ból wymazał wszystko, prócz samego bólu. Ostre kolano wgniatało mi twarz w zbutwiałe liście. Poczułem smak krwi. Mój ponadsześćdziesięcioletni nadgarstek wykręcono o dziewięćdziesiąt stopni agonii i odpięto mi Ingersoll Solar. Pamiętam całą listę wyzwisk, starych jak świat i tych nowszych, ale zanim bandziory w spódnicach zdołały zwęździć mi portfel, sygnał furgonetki lodziarza, grający *Dziewczynę z Ipanemy*, sprawił, że rozpierchły się, jak strzygi przed świtaniem.

– I nie poszedłeś na policję? Ty durniu! – Następnego dnia rano Madame Ex posypywała słodzikami płatki śniadaniowe. – Dzwon na policję, na litość boską. Na co czekasz? Aż się zatrą ślady?

Niestety, zdążyłem już ubarwić prawdę i powiedzieć jej, że napadło mnie pięciu ogolonych na łysy wyrostków ze swastykami. Jak mogłem teraz pójść na policję i donieść, że bez żadnego wysiłku obrobiły mnie dziewczuszki z lizakami, które ledwo skończyły dziesięć lat? Panowie mundurowi udławiliby się pączkami. Nie, mój napad nie został dodany do krajowej statystyki przestępstw, i tak podrasowywanej. Gdyby nie to, że skradziony Ingersoll był prezentem ofiarowanym w dowód miłości w bardziej promiennej erze naszego małżeństwa, obecnie skutego lodem, nic bym nawet nie pisał o całym zajściu.

Ale na czym skończyłem?

Dziwne, ludziom w moim wieku przypominają się nie te historie, co trzeba.

Nie, nie dziwne – przerażające. Chciałem zacząć tę opowieść od Dermota Hogginsa. Na tym właśnie polega problem ze spisywaniem wszystkiego odręcznie. Nie można zmienić niczego, co już się napisało, żeby jeszcze bardziej wszystkiego nie pomieszać.



Byłem wydawcą Dermota „Kasteta” Hogginsa, a nie psychoanalitykiem, czy jakimś astrologiem, więc skąd mogłem wiedzieć, co miało się przydarzyć sir Felixowi Finchowi owego fatalnego wieczoru? Sir Felix Finch, Minister Kultury i El Supremo w „Trafalgar Review of Books” – jakże on błyszczał na całym firmamencie mediów, jak wszędzie go widać gołym

okiem nawet teraz, gdy minął równo rok. Tabloidoidy pisały o tym na pierwszych stronach. Gazety większego formatu puściły parę o szczegółach, kiedy Radio 4 doniosło, kto polecił i jak. Cała ptaszarnia sępów i sikorek – „redaktorzy” – wypisywała panegiryki na cześć Króla Sztuki, który odszedł, i ćwierkała hołdy jedno przez drugie.

Ja, ze swej strony, aż do dzisiaj zachowywałem pełne godności milczenie. Powiniennem jednak ciekawego Czytelnika uprzedzić, że choć historia Feliksa Fincha może być sama w sobie deserem, stanowi zaledwie *aperitif* przed mymi własnymi, pełnymi utrapień perypetiami. Przed „Upiorną udręką Timothy’ego Cavendisha”, jeśli kto woli. Proszę, jaki zgrabny tytuł.

Tego wieczoru urządzono galę rozdania nagród Lemon Prize w Jake’s Starlight Bar, otworzonym z wielką pompą na samej górze biurowca w Bayswater, z ogrodem na dachu na dokładkę. Cały światek wydawców, w odpowiednim porządku dziobania, wzbiał się w górę i rozsiadł u Jake’a na grzędach. Nawiedzeni pisarze, sławni szefowie kuchni, biznesmeni, klienci z hiszpańskimi bródkami, niedożywieni księgarze, stada pisarczyków i fotografów, którzy „Spadaj!” rozumieją jako „Ależ z przyjemnością!”. Pozwólcie, że sprostuję podłą plotkę, jakobym to ja maczał palce w zaproszeniu Dermota. Jakoby, o tak, Timothy Cavendish wiedział doskonale, że jego autor dyszał żądzą spektakularnej zemsty – *quod erat demonstrandum* – że cała tragedia była publicznym popisem. Bzdury wyssane z palca przez zawistnych rywali! Nikt nigdy nie przyznał się do wysłania Dermotowi Hogginsowi zaproszenia, a teraz kobieta ta już raczej na pewno się nie zgłosi.

W każdym razie ogłoszono zwycięzcę i wszyscy doskonale wiemy, kto dostał pięćdziesiąt kawałków nagrody. Uwaliłem się. Guy-the-Guy zapoznał mnie z koktajlem pod nazwą „Ground Control to Major Tom”. Oś czasu zmieniła się w bumerang i całkiem straciłem rachubę wszystkich wchłoniętych majorów. Jazzowy sextet zapodał rumbę. Wyszedłem na balkon trochę odetchnąć i spojrzałem z zewnątrz na cały ten zgiełk. Literacki Londyn w wirze zabawy natchnął mnie podobną wizją, jaka towarzyszyła Gibbonowi, gdy opisywał epokę Antoninów. „Chmara krytyków, kompilatorów i komentatorów, zaciemniła oblicze nauki, a w ślad za schyłkiem talentu, wkrótce przyszło i zepsucie smaku”^[13].

Znalazł mnie Dermot; ci, których się unika, nieodmiennie na ciebie trafiają. Powtarzam raz jeszcze, mniej bym się zdziwił, gdybym wpał na Piusa XII. A nawet, rzec można, że Jego Nieomyślność skuteczniej wtopiłby się w tłum – mój wiecznie niezadowolony autor miał na sobie czekoladową koszulę, krawat w barwie buraczków i bananowy garnitur. Ciekawym czytelnikom nie muszę przypominać, że *W ryja* dopiero miało zdobyć szturmem świat czytelniczy. Dopiero miało trafić do księgarń – nie tylko do księgarni starego mędrca Johna Sandoe z Chelsea i do żalonych kioskarzy z parafii braci Hoggins na East Endzie (najpierw Żydów, potem Sikhów, teraz Erytrejczyków). I w rzeczy samej – Dermot chciał w ogródku na dachu omówić sprawy związane z reklamą i dystrybucją.

Wyjaśniłem mu po raz setny, że spółka autorska, jaką jest Cavendish Publishing, nie może beztrząsco szastać pieniędzmi na piękne katalogi, ani organizować sprzedawcom integracyjnych weekendów na gokartach. Wytłumaczyłem ponownie, że moi autorzy znajdują spełnienie, przekazując elegancko oprawione tomy przyjaciółom, rodzinie i potomności. Wyjaśniłem raz jeszcze, że rynek literatury o mafijnym półświatku jest już nasycony; i że nawet *Moby Dick* za życia Melvilla był wielką wydawniczą klapą, choć nie użyłem akurat tego

określenia.

– To naprawdę fantastyczny zbiór wspomnień – zapewniłem. – Daj mu trochę czasu.

Dermot, pijany, płaczący i przygłuchy, spojrział przez barierkę.

– Patrz, jakie kominy. Daleko z nich do ziemi.

Miałem nadzieję, że groźbę w tych słowach słyszała tylko moja wyobraźnia.

– Dość daleko.

– Mama wzięła mnie kiedyś na *Mary Poppins*, jak byłem mały. Zapamiętałem taniec kominiarzy na dachach. Potem oglądała to też na wideo. Bez przerwy. W domu opieki.

– Pamiętam, jak ten film wszedł do kin. To zdradza mój wiek.

– Ten tam... – Dermot zmarszczył brwi i wskazał palcem w stronę baru przez oszklone drzwi tarasu. – Kto to jest?

– Który?

– Ten w muszce, gada z panną w jakimś worku, tą z diademem.

– To ten prezenter, Felix... Felix... Boże, jak on się nazywa?

– Kurwa, to jest Felix Finch? Ten chuj, co obesrał mi książkę w swoim pedalskim piśmie?

– Fakt, że to nie była twoja najlepsza recenzja, ale...

– Kurwa! To była moja jedyna recenzja!

– Bez przesady, nie była aż tak zła...

– Tak? „Współcześni pisarze, którzy na koncie nie mają choćby jednego sukcesu, jak p. Hoggins, w naturalny sposób wypadają poza nawias”. Zabawne, jak niektórzy dodają słowo „pan” przed wsadzeniem noża między zębra. „Pan Hoggins powinien przeprosić drzewa ścięte na papier do jego »autobiograficznej powieści« o zadufaniu w sobie. Czteryście rozdętych stron kończy się finałem bladym i niemożliwie absurdalnym”.

– Uspokój się, Dermot. Nikt i tak nie czyta „Trafalgar Review”.

– Przepraszam! – Mój autor złapał jednego z kelnerów za frak. – Słyszałeś o „Trafalgar Review of Books”?

– No jasne – odpowiedział kelner z akcentem z Europy Wschodniej. – Kultowe pismo u mnie na wydziale. Mają najlepszych recenzentów.

Dermot rzucił kieliszkiem przez balkon.

– Daj spokój, kto to w ogóle jest recenzent? – tłumaczyłem. – Facet, który tylko szybko czyta, zawsze wie najlepiej, ale nigdy nie powie nic mądrego...

Sekstet jazzowy skończył grać kawałek, a Dermot puścił moje słowa mimo uszu. Byłem wystarczająco pijany, żeby z czystym sumieniem wezwać już taksówkę, i właśnie miałem wyjść, kiedy ktoś uciszył całe zgromadzenie cockneyem, brzmącym, jakby mówca zawodowo wykrzykiwał obwieszczenia na East Endzie:

– Panie i panowie jurorzy! Proszysz o uwagę!

Dermot, niech nas święci pańscy bronią, walił tacą o tacę.

– Ciotuchny moje książkowe! – ryknął. – Mamy dziś jeszcze jedną nagrodę do przyznania! – Nie zwracając uwagi na rozbawione uśmieszki i głośne „Ooooo!”, wyjął z kieszeni marynarki kopertę, rozdarł ją i udawał, że czyta: – Nagroda dla Najznamienitszego Krytyka Literackiego.

Publiczność gapiała się, pogdakiwała, gwizdała albo odwracała się z zakłopotaniem.

– Konkurencja była ostra, ale jury jednogłośnie uznało, że nagroda należy się Jego Wysokości królowi „Trafalgar Review of Books”, panu – sorry – sir Felixowi Finchowi, kawalerowi Orderu Imperium Brytyjskiego. Kurde, prosimy do nas!

Prowokatorzy wrzeszczeli.

– Brawo, Felix! Brawo!

Finch nie byłby krytykiem, gdyby nie uwielbiał znajdować się w centrum niczym niezastężonej uwagi. Na pewno układał już sobie w głowie tekst do „Sunday Timesa” – „Finch salonowiec”. Dermot natomiast był cały rozpromieniony.

– Ciekawe, cóż to za nagroda? – zagadnął Finch z krzywym uśmieszkiem, gdy ucichły owacje. – Nieprzemielony egzemplarz *W ryja* z podpisem autora? Już ich chyba niewiele zostało!

Klika Fincha zaniósł się chóralnym rechotem, zagrzewając swojego guru do boju.

– A może wygrałem darmowy przelot do Ameryki Południowej, do państwka, które nie przestrzega obowiązku ekstradycji?

– No właśnie, kochanie! – Dermot puścił do niego oko. – Zgadłeś! Wygrałeś darmowy przelot.

Mój autor złapał Fincha za kłapy marynarki, przewrócił się na plecy, wbił stopy w jego brzuch i chwytem judo wyrzucił go – osobę o wzroście niższym, niż można by sądzić po jego

wizerunku z mediów – wysoko w powietrze! Wysoko ponad bratkami, rosnącymi wzdłuż balustrady tarasu.

Przeraźliwy krzyk Fincha umilkł – jak i jego serce – w pogiętym metalu, dwanaście pięter niżej.

Ktoś rozlał drinka na dywan.

Dermot „Kastet” Hoggins otrzepał kłapy marynarki, wychylił się przez balkon i wrzasnął:

– I CZYJ FINAŁ BYŁ BLADY I NIEMOŻLIWIE ABSURDALNY?!

Oniemiały tłum rozstał się przed mordercą, który podszedł do stołu z przekąskami. Kilkoro świadków twierdziło potem, że widziało czarną poświatę. Wziął belgijskiego krakersa z anchois a la Biscay i nacią pietruszki, skropionego olejem sezamowym.

Tłum powoli dochodził do siebie. Stłumione okrzyki „o mój Boże!” i zbiorowy pęd w dół po schodach. Straszliwe zamieszanie. Co czułem? Szczerze? Bez wątpienia przerażenie. Szok? Oczywiście. Niedowierzenie? Pewnie. Strach? Nie bardzo.

Nie będę zaprzeczał, że w całym tym tragicznym zajściu ujrzałem światełko nadziei. W eleganckiej redakcji przy Haymarket miałem dziewięćdziesiąt pięć zafoliowanych, niesprzedanych paczek *W ryja* Dermota Hogginsa – pisanych beznamiętnie pamiętników człowieka, który niedługo będzie najsłynniejszym w Anglii mordercą. Frank Sprat – mój dzielny drukarz z Sevenoaks, któremu winien byłem tyle pieniędzy, że właściwie postawiłem go w sytuacji bez wyjścia – ciągle miał matryce i mógł uruchomić maszyny w każdej chwili.

Wydanie w twardej oprawie, Szanowni Państwo.

Czternaście funtów, dziewięćdziesiąt dziewięć pensów sztuka.

Miód na moje serce.



Jako doświadczony wydawca nie lubię, gdy autor nagle cofa się do tego, co było, albo zapowiada, co będzie – te sztuczki były dobre w latach osiemdziesiątych, kiedy pisano prace magisterskie o postmodernizmie i teorii chaosu. Nie będę jednak kajał się, że opowieść zaczynam (raz jeszcze) od własnej wersji owej wstrząsającej historii. Bo od niej zaczęła się wybrukowana dobrymi chęciami droga do Hull^[14], czy też raczej do okolic Hull, gdzie moja upiorna udręka miała się niebawem rozpocząć. Los rzeczywiście niósł ze sobą cudowną odmianę, jaką przewidziałem po Fatalnym Finale Feliksa Fincha. Na skrzydłach słodkiej, darmowej reklamy *W ryja* poszybowało na same szczyty list bestsellerów, gdzie osiadło na dobre, aż biednego Dermota skazano na piętnaście lat w celi. Proces bez przerwy relacjonowano w głównych wydaniach wiadomości. Po śmierci sir Felix przestał być nadętym, zadowolonym z siebie pajacem, trzymającym jak Stalin łapę na dotacjach Rady Kultury, a stał się najwspanialszym w całej Anglii guru sztuki, od czasów poprzedniego guru.

Na stopniach Old Bailey^[15], wdowa po Finchu powiedziała reporterom, że piętnaście lat to wyrok niegodziwie niski, a już nazajutrz rozpętano kampanię „Kastet Hoggins do piekła!”. Rodzina Dermota kontratakowała w telewizji, analizowano obraźliwą recenzję pióra Fincha, BBC 2 zamówiła specjalny materiał dokumentalny, w którym przeprowadzająca ze mną wywiad lesbijka zmontowała wygłaszane przeze mnie bon moty kompletnie bez sensu. Ale kogo to obchodziło? Strumień z kurka z pieniędzmi płynął wartko, a właściwie, cholera, wylewał się z wanny, aż zalał całą łazienkę. Cavendish Publishing – czyli pani Latham i ja – nawet nie spostrzeżliśmy kiedy. Musieliśmy zatrudnić jej dwie siostrzenice (oczywiście na pół etatu, nie zamierzałem płacić bajońskich sum na ubezpieczenie). Zafoliowane paczki *W ryja* zniknęły w ciągu trzydziestu sześciu godzin, a Frank Sprat robił dodruk niemal co miesiąc. Nic w ciągu czterech dziesięcioleci zabawy w wydawanie książek nie przygotowało nas na tak wielki sukces. Koszty bieżące dotąd zawsze były pokrywane z dotacji od autorów – nie z rzeczywistej sprzedaży! Teraz taki proceder był niemal nieetyczny. A jednak byłem oto z bestsellerem dziesięciolecia na własnej liście sukcesów. Ludzie pytają mnie: „Tim, w czym twoim zdaniem tkwi sekret powodzenia *W ryja*?”.

W ryja było tak naprawdę niezłe napisanym zbiorem pikantnych fikcyjnych wspomnień. Zapaleni kulturoznawcy dyskutowali o jego ukrytych socjopolitycznych podtekstach, najpierw w wieczornych programach publicystycznych, potem w telewizji śniadaniowej. Neonaziści kupowali to, żeby wchłonąć potężną dawkę przemocy. Gospodynie domowe z Worcestershire kupowały, bo świetnie się czytało. Homoseksualiści kupowali z poczucia plemiennej lojalności. W ciągu czterech miesięcy zeszło dziewięćdziesiąt tysięcy – tak jest, dziewięćdziesiąt tysięcy! – egzemplarzy, i to w twardej oprawie. Gdy to piszę, powinny już zacząć się zdjęcia do filmu. Na spotkaniu miłośników książek na targach we Frankfurcie prawdziwą fetę zgotowali mi ludzie, którzy wcześniej nawet nie zatrzymywali się, żeby zeskrobać mnie z butów. Odpychając etykietkę „wydawcy na koszt autorów” zastąpiło miano „kreatywnego finansisty”. Propozycje nabycia praw do tłumaczeń padały jak terytoria w finałowej rundzie *Ryzyka*. Amerykańscy wydawcy, gloria gloria Alleluja, wprost zakochali się w historii o złym angielskim arystokracie, który dostaje za swoje od uciskanego syna Celtów, a ceny na aukcjach za oceanem poszybowały pod niebo. I to ja miałem wyłączne prawa do tej złotonośnej kury z ostrym rozstrojem żołądka! Pieniądze wpływały na moje przepastne, puste konta, jak Morze Północne przez holenderską tamę. Mój „osobisty doradca bankowy”, cwaniak imieniem Elliot McCluskie, przysłał mi na święta kartkę ze zdjęciem swoich dzieci, chyba zwolnionych na przepustkę ze zgrupowania Hitlerjugend. Tępi goryle przy wejściu do Groucho witali mnie: „Miłego wieczoru, panie Cavendish”, zamiast: „Chwila, polecił pana członek klubu?!”. Gdy oznajmiłem, że sam zajmę się dystrybucją wydania w miękkiej okładce, niedzielne rubryki o książkach drukowały teksty opisujące Cavendish Publishing jako dynamicznego, tryskającego energią gracza w chmurze zramolałych gazowych olbrzymów. Trafiłem nawet do „Financial Timesa”.

Chyba więc nic dziwnego, że pani Latham i ja byliśmy ciut przeciążeni, jeśli chodzi o księgowość.



Ludzi nieprzywykłych sukces odurza w mgnieniu oka. Kazałem wydrukować wizytówki: „Nowe Cavendish Publishing, wydawca prozy awangardowej”. Cóż, myślałem sobie,

dla czego nie sprzedawać publikacji, zamiast je publikować? Dla czego nie zostać poważnym wydawcą, za jakiego brał mnie i jakiego wielbił świat?

Niestety! Śliczne wizytówki podziały na los jak czerwona płachta na byka. Gdy tylko rozeszła się wieść, że Tim Cavendish jest przy forsie, wierzyciele – szablonowe kocurki – wielkimi susami przybiegli do mnie do biura. Jak zwykle całą gnozę algebry, czyli komu ile zapłacić i kiedy, zostawiłem nieocenionej pani Latham. Zatem rzeczywiście, byłem mentalnie, jak również finansowo, niewystarczająco przygotowany, gdy złożono mi wizytę pewnej nocy, prawie rok po słynnym Wieczorze Feliksa Fincha. Wyznać muszę, że odkąd Madame Ex ode mnie odeszła (tu wyjawię bolesną prawdę, że rogi przyprawił mi dentysta), w mym domostwie w Putney zapanowała Domowa Anarchia (i dobrze, fiut był Niemcem), więc porcelanowy tron już dawno stał się dla mnie *de facto* biurowym fotelem. Pod wytwornym uchwytem na rolkę papieru stoi butelka przyzwoitego koniaku i zawsze zostawiam otwarte drzwi, żeby słyszeć radio grające w kuchni.

Owej nocy odłożyłem na bok zwyczajową lekturę do kibla, *Zmierzch cesarstwa rzymskiego*, żeby zająć się mnóstwem rękopisów, jakie napłynęły do Cavendish Publishing, mojej nowej stajni czempionów. Była chyba jakaś jedenasta, gdy usłyszałem, że ktoś majstruje przy drzwiach wejściowych. Wygoleni na tyso kołędnicy?

Gówniarze pukający dla zabawy? Wiatr?

I nagle drzwi zniecka wyleciały z zawiasów! Myślałem, że to Al-Kaida albo piorun kulisty, ale nie. Do przedpokoju wmaszerowała chyba cała drużyna rugby, choć intruzów było tylko trzech. (Zobaczycie, zawsze atakują mnie trzyosobowe grupy).

– Timothy – powiedział ten o najbardziej groteskowym wyglądzie – Cavendish, jak mniemam. Przyłapany z nartą w gaciach.

„Przyjmuję od jedenastej do drugiej, panowie” – powiedziała Bogart – „z trzygodziną przerwą śniadaniową. Uprzejmie proszę wyjść”. Ja byłem w stanie jedynie wybełkotać:

– Zaraz! Moje drzwi! Moje drzwi, cholera jasna!

Zbir Numer Dwa zapalił papierosa.

– Odwiedziliśmy dziś Dermota. Trochę jest przygnębiony. Każdy by był.

Wszystko złożyło się w całość. Ja się rozpadłem.

– Bracia Dermota! – (Czytałem o nich w jego książce. Eddie, Mozza i Jarvis).

Gończy popiół oparzył mnie w udo i przestałem rejestrować, która twarz co mówiła. Jakby nagle ożył tryptyk Francisa Bacona.

– Wygląda na to, że *W ryja* całkiem ładnie sobie radzi.

- W księgarniach na lotnisku leżą całe stosy.
- Musiałeś chociaż się domyślać, że wpadniemy.
- Z twoim zawodowym rozeznaniem...

Londyńscy Irlandczycy w najlepszym razie wprawiają mnie w zakłopotanie.

– Panowie, panowie, Dermot podpisał umowę przeniesienia praw autorskich. To standardowa rzecz w branży, mam tu kopię w teczce... – Rzeczywiście miałem taki dokument. – Punkt osiemnasty, o prawach autorskich... że W ryja jest zgodnie z prawem... eee... – dość trudno mi się tłumaczyło z majtkami spuszczoneymi do kostek – ...zgodnie z prawem, własnością Cavendish Publishing.

Jarvis Hoggins chwilę przeglądał umowę, ale podarł ją, kiedy okazała się dłuższa niż jego możliwość koncentracji.

- Dermot podpisał to gównem, jak popierdalał sobie książkę dla hobby.
- Miała być dla chorej matki, świeć Panie nad jej duszą.
- Wspomnienia z dni młodości tatusia.
- Nie podpisał, kurwa, żadnego kontraktu na hit sezonu!
- Złożyliśmy drobną wizytę twojemu drukarzowi, panu Spratowi. Zapoznał nas z systemem rozliczeń.

Spadł na nas deszcz kontraktowego confetti. Mozza stał tak blisko, że czułem, co jadł na obiad.

- Niezłą górkę kasy Hogginsów się zgarnęło, co?
- Na pewno możemy dojść do porozumienia i ustalić jakiś schemat finansowania, który...

Wtrącił się Eddie.

- Umówmy się na trzecią.

Udałem, że się krzywię.

- Trzecią część udziałów? Panowie, nie można...

– Nie rznij głupa. – Mozza uszczypnął mnie w policzek. – Na godzinę trzecią. Jutro. W twoim biurze.

Nie miałem wyboru.

– Może moglibyśmy... wynegocjować jakąś tymczasową sumę, by coś dziś ustalić, jako podstawę do... dalszych negocjacji?

– Nie ma sprawy. Mozza, jaką sumę negocjowaliśmy wcześniej?

– Pięćdziesiąt kawałków było OK.

Mój okrzyk bólu nie był udawany.

– Pięćdziesiąt tysięcy funtów?

– Na początek.

Poczułem, jak w moich wnętrznościach coś się wzdyma, przewala i turla.

– Ale co? Myślicie, że trzymam takie sumy w pudełkach po butach? – Chciałem zabrzmieć jak Brudny Harry, ale wyszedł mi raczej Faflo Baggins.

– Mam nadzieję, że gdzieś je trzymasz, dziadziu.

– W gotówce.

– Bez ściemy. Żadnych czeków.

– Żadnego obiecywania. Nie będziemy tracić czasu.

– Porządna kaska w gotówce. Może być z pudełka.

– Panowie, chętnie zapłacę negocjowane wynagrodzenie, ale prawo...

Jarvis zagwizdał przez zęby.

– A czy prawo, Timothy, pomoże komuś w twoim wieku stanąć na nogi z wielokrotnie złamanym kręgosłupem?

Eddie:

– Ludzie w twoim wieku nie stają na nogi. Już leżą do końca.

Walczyłem z całych sił, ale zwieracz gwałtownie odmówił mi posłuszeństwa i rozległy się nagle gwizd, świst i kanonada. Rozbawienie i pobłażliwość jeszcze bym wytrzymał, ale litość oprawców była dla mnie skrajną porażką. Pociągnęli za łańcuszek spłuczki.

– O trzeciej.

Nowe Cavendish Publishing było wspomnieniem. Zbiry wymaszerowały po leżących

na ziemi drzwiach. Eddie odwrócił się, żeby rzucić na odchodnym:

– Dermot napisał w książce niezły akapicik. O takich, co spóźniają się z zapłatą.

Zainteresowanego czytelnika odsyłam do 224 strony *W ryja*, do nabycia w każdej pobliskiej księgarni. Nie czytać z pełnym żołądkiem.



Za oknami mojego biura przy Haymarket taksówki posuwały się w ślimaczym tempie, a potem nagle wrywały do przodu. Natomiast w zaciszu biura, kolczyki pani Latham (prezent z okazji dziesięciolecia jej pracy dla Cavendish Publishing, znalazłem je w koszu z przeceną w sklepie w British Museum) dzwoniły, kiedy kręciła głową: „nie, nie, nie”.

– Mówię panu, że nie jestem w stanie zorganizować do trzeciej pięćdziesięciu tysięcy funtów. Nie jestem w stanie zorganizować nawet pięciu tysięcy. Cały dochód z *W ryja* co do pensa poszedł na spłatę mocno zaległych długów.

– A nikt nam nie jest winien pieniędzy?

– Zawsze ściśle kontroluję windykację, prawda?

W desperacji zaczynam się przymilać.

– Wszak żyjemy w czasach kredytu od ręki.

– Żyjemy w czasach limitów kredytu, proszę pana.

Wróciłem do gabinetu, naląłem sobie whisky i popiłem nią krople na serducho, a potem prześledziłem na starożytnym globusie ostatnią podróż kapitana Cooka. Pani Lantham przyniosła mi pocztę i bez słowa wyszła. Rachunki, śmieci, próby moralnego szantażu ze strony zbierających fundusze instytucji charytatywnych i paczka zaadresowana „Do rąk własnych, Wydawca *W ryja*, Wizjoner”, zawierająca rękopis pod tytułem *Okresy półtrwania* – słaby tytuł dla powieści – z podtytułem *Pierwsza Zagadka Luisy Rey*. Jeszcze słabiej. Jej autorka, nazywająca się podejrzanie Hilary V. Hush, zaczynała list od: „Tuż po moich dziewiątych urodzinach mama zabrała mnie do Lourdes, aby pomodlić się za uleczenie mnie z moczenia łóżka. Proszę wyobrazić sobie, jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy tamtej nocy we śnie nie przyszła do mnie św. Bernadetta, lecz zjawił się Alain-Fournier”.

Nawiedzona, bez dwóch zdań. Wrzuciłem list do przegródki „Pilne służbowe” i włączyłem wielki superkomputer pełen gigabajtów, żeby zagrać partyjkę Sopera. Kiedy wysadziło mnie dwa razy, zadzwoniłem do Sotheby’s, aby wystawić na aukcję autentyczne biurko Charlesa Dickensa, z ceną wywoławczą sześćdziesięciu tysięcy. Czarujący rzeczoznawca nazwiskiem Kirpal Singh ze współczuciem oznajmił, że biurko powieściopisarza znajduje się już w zbiorach Muzeum Dickensa w domu pisarza i wyraził nadzieję, że nie oskubali mnie zbyt boleśnie. Przyznam, że już gubię się w moich drobnych historyjkach. Potem zadzwoniłem do Eliota McCluskie i zapytałem, jak tam jego urocze dzieciaki.

– Dziękuję, świetnie.

On zapytał, jak tam mój wspaniały biznes. Poprosiłem o pożyczkę osiemdziesięciu tysięcy funtów. Zaczął pełnym namysłu „Taaak...”. Obniżyłem poprzeczkę do sześćdziesięciu. Elliot zaznaczył, że moja linia kredytowa, uzależniona od zysków, nadal ma dwunastomiesięczny horyzont przepływu, nim opcja zmiany stanie się wykonalna. Jakże brakuje mi czasów, kiedy chichotali jak hieny, kazali człowiekowi iść w diabły i odkładali słuchawkę. Prześledziłem na globusie podróż Magellana i zatęskniłem za stuleciem, w którym zacząć od początku znaczyło wsiąść w Deptford na kliper. Ponieważ moja duma całkowicie legła już w gruzach, zadzwoniłem do Madame Ex. Właśnie zażywała porannej kąpieli. Wyjaśniłem powagę sytuacji. Zachichotała jak hiena, kazała mi iść w diabły i odłożyła słuchawkę. Zakręciłem globusem. Zakręciłem globusem.

Kiedy wyszedłem z gabinetu, pani Latham zmierzyła mnie przenikliwym wzrokiem, jak jastrząb króliczka.

– Nie, panie Cavendish, tylko nie do lichwiarza. Po prostu się nie opłaca.

– Niech się pani nie obawia, złożę tylko wizytę jednemu człowiekowi na świecie, który we mnie wierzy, nieważne, czy na wozie, czy pod wozem.

W windzie przypomniałem sobie aforyzm: „Więzów krwi przeciąć się nie da”, a zaraz potem nadziałem dłoń na drut składanego parasola.



– Na jaja szatana, tylko nie ty! Zabieraj się stąd i zostaw nas w spokoju.

Mój brat mierzył mnie piorunującym spojrzeniem przez długość basenu, odkąd wszedłem na patio. O ile wiem, Denholme nigdy w swoim basenie nie pływa, ale i tak co tydzień go chloruje, nawet jak wieje i pada. Zbierał z wody liście wielką siatką na kiju.

– Nie pożyczę ci złamanego grosza, dopóki nie oddasz poprzednich długów. Dlaczego to ja wiecznie muszę ci dawać jałmużny? Nie. Nawet nic już nie mów. – Denholme wytrząsnął z siatki garść rozmokłych liści. – Wsiadaj z powrotem do taksówki i zapomnij. Drugi raz tak miło cię nie poproszę.

– Jak tam Georgette? – Strzepnąłem mszyce z pomarszczonych płatków róży.

– Powoli wariuje. Ale nigdy nie okazałeś nawet odrobiny szczerego zainteresowania, chyba że chciałeś pieniędzy.

Patrzyłem, jak robak zagrzebuje się w ziemię, i żałowałem, że to nie ja.

– Denny, miałem drobne zajście z nieodpowiednimi ludźmi. Jeżeli nie zdobędę sześćdziesięciu tysięcy funtów, spuszczą mi łomot.

– Niech przy okazji nagrają to dla nas na wideo.

– Mówię poważnie, Denholme.

– Ja też! Obłuda wychodzi ci strasznie kiepsko. I co? Dlaczego mam się teraz tym przejąć?

– Jesteś moim bratem! W ogóle nie masz sumienia?

– Przez trzydzieści lat zasiadałem w radzie nadzorczej banku.

Przystrzyżona sykomora zrzucała listowie (dawniej barwy zielonej), jak ludzie w desperacji porzucają postanowienia (dawniej bezwzględne).

– Pomóż mi, Denny. Proszę. Trzydzieści kawałków na początek to już byłoby coś.

Przedobrzyłem.

– Cholera jasna, Tim, mój bank zbankrutował! Krwiopijcy z Lloydsa wysłali nas do czysta. Czasy, kiedy mogłem mieć taki szmal na zawołanie, już dawno minęły. Koniec! Wziąłem na dom kredyt hipoteczny. Dwa kredyty! Jestem wielkim przegranym, a ty jesteś drobnym przegranym. Masz, cholera, przynajmniej swoją książkę – w każdej księgarni świata schodzi jak woda.

Moja twarz wyrażała to, na co nie znalazłem słów.

– Ty idioto. Kiedy musisz oddać?

Spojrzałem na zegarek.

– Dzisiaj o trzeciej.

– Zapomnij. – Denholm opuścił siatkę. – Ogłoś bankructwo. Reynard robi za ciebie całą robotę z dokumentami, to dobry człowiek. Trudno, musisz zjeść tę żabę, ale to zdejmie ci z karku wierzycieli. Prawo stanowi jasno...

– Prawo? Moi wierzyciele mają tyle wspólnego z prawem, że kucali nad kiblem w przepełnionej celi.

– No to się ukryj, zejdź do podziemia.

– Oni mają bardzo, bardzo dobre kontakty z podziemiem.

– Mogę się założyć, że nie poza M25^[16]. Ukryj się u przyjaciół.

U przyjaciół? Skreśliłem tych, którym winien byłem pieniądze, tych, którzy nie żyli, tych,

którzy zniknęli w króliczej norze czasu i został mi tylko...

Denholme złożył ostateczną propozycję:

– Nie mogę ci pożyczyć pieniędzy. Nie mam. Ale w paru odpowiednich miejscach kilka osób jest mi winnych przysługę, mógłbyś się tam cichutko przyczaić na jakiś czas.



Świątynia Króla Szczurów. Arka Boga Sadzy. Zwieracz Hadesa. Tak, tak – dworzec King's Cross, gdzie według *W ryja* obciążenie druta kosztuje tylko pięć funtów, w dowolnej z trzech ostatnich kabin z lewej strony w czynnym całą dobę męskim sraczu w podziemiach. Zadzwoniłem do pani Lantham, żeby wyjaśnić, że przez trzy tygodnie będę spotykał się w Pradze z Vaclavem Havlem – kłamstewko, którego skutki miałem już znosić wiecznie, jak opryszczkę. Pani Lantham życzyła mi *bon voyage*. Da sobie radę z Hogginsami. Pani Lantham dałaby sobie radę z plagami egipskimi. Wiem, że na nią nie zasługuję. Często zastanawiam się, dlaczego w ogóle jeszcze pracuje w Cavendish Publishing. Na pewno nie dla pensji, którą jej płacę.

Próbowałem zorientować się we wszystkich typach biletów z kasy automatycznej: jednodniowy powrotny z kartą poza szczytem, ulgowy jednodniowy w jedną stronę bez karty w godzinach szczytu i tak dalej, i tak dalej, lecz, któryż, ach któryż miałem kupić? Nagle poczułem, że ktoś groźnie puka mnie palcem w ramię, i aż podskoczyłem – ale to tylko drobna staruszka chciała mi doradzić, że powrotne są tańsze od biletów w jedną stronę. Myślałem, że ma nierówno pod sufitem, ale, do licha, miała rację. Wsunąłem banknot twarzą monarchini do góry, potem do dołu, potem przodem, potem tyłem, ale za każdym razem automat go wypluwał.

Stałem więc w kolejce do ludzkiej kasy. Przede mną stało trzydzieści jeden osób – policzyłem wszystkie. Kasjerzy odchodzili od okienek i wracali, kiedy chcieli. Na ekranie zapętłona reklama namawiała mnie, żebym zainwestował w podnośnik schodowy. W końcu – w końcu! – przyszła moja kolej.

– Dzień dobry, proszę bilet do Hull.

Kasjerka kręciła wielkimi etnicznymi pierścionkami na palcach.

– Kiedy odjazd?

– Jak najszybciej.

– Dzisiaj?

– „Dzisiaj” zwykle znaczy „jak najszybciej”. Tak.

– U mnie nie kupi pan biletu na dzisiaj. W tamtych okienkach. Tutej są tylko rezerwacje.

– Ale na wyświetlaczu było napisane, że mam podejść do pani.

– Na pewno nie. Proszę już się przesunąć. Wszczyszumuje pan kolejkę.

– Nie, na wyświetlaczu było napisane, że mam podejść do pani, do cholery! Dwadzieścia minut stałem w kolejce!

Pierwszy raz spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Żąda pan, żebym zmieniła dla pana zasady sprzedaży?

W Timothy Cavendishu gniew zaiskrzył jak metal w mikrofonie.

– Żądam, żeby rozwinęła pani myślenie skierowane na rozwiązywanie problemów i sprzedała mi bilet do Hull!

– Proszę nie tym tonem.

– Jestem klientem! To do mnie proszę nie tym tonem! Chcę rozmawiać z pani przełożonym!

– Ja jestem swoją przełożoną.

Warcząc przekleństwa rodem z islandzkiej sagi, cofnąłem się krok na początek kolejki.

– Halo! – wrzasnął jakiś punk z ćwiekami w czaszce. – Kurwa, kolejka chyba jest, tak?!

„Nigdy nie przepaszaj”, radzi Lloyd-George. „Powtórz to samo, tylko jeszcze bardziej chamsko”.

– Wiem, do jasnej cholery, że jest kolejka! Już raz w niej swoje odstałem i nie zamierzam stać drugi raz, bo jakaś pieprzona Nina Simone nie chce mi sprzedać biletu!

Ciemnoskóry yeti w mundurze na zatraski nagle wyrósł przy nas spod ziemi.

– O co chodzi?

– Dziadek tutaj myśli, że jak ma założony sztuczny odbyt, to może już wpychać się bez kolejki – powiedział skinhead – i wygłaszać rasistowskie uwagi na temat afrokaraimskiego pochodzenia pani z okienka z rezerwacjami.

Nie mogłem uwierzyć.

– Niech dziadek posłucha – zwrócił się do mnie protekcjonalnie yeti, w sposób zarezerwowany dla osób niepełnosprawnych lub starszych. – W tym kraju kolejki są po to, żeby panował porządek, a jak się nie podoba, droga wolna z powrotem do swojego kraju, jasne?

– A wyglądam, jakbym był z Egiptu? Wyglądam? Wiem, że tu jest kolejka! A skąd?

Bo już raz w niej swoje odstałem...

– Ten pan twierdzi, że pan nie stał.

– On? Ciekawe, czy nadal będzie dla pana „panem”, kiedy nabazgrze „won z Anglii!” na drzwiach pańskiego mieszkania.

Aż mu gały wyszły na wierzch. Dosłownie.

– Albo Służba Ochrony Kolei usunie pana z dworca, albo stanie pan w kolejce, jak cywilizowany obywatel. Jest mi wszystko jedno. Natomiast nie jest mi wszystko jedno, kiedy ktoś staje bez kolejki.

– Ale jeżeli znowu będę musiał czekać, odjedzie mi pociąg.

– Sorry, dziadku – wycedził.

Zwróciłem się do osób stojących w kolejce za sobowtórem Sida Rottena. Może widzieli, że już raz stałem, może nie, ale każdy unikał mojego wzroku. Anglia zesłała na psy. Na psy, cholera. Na psy.



Ponad godzinę później Londyn przemieszczał się na południe, a z nim Klątwa Braci Hoggings. Pociąg wypełniali dojeżdżający do pracy – nieszczęśnicy, którzy dwa razy dziennie biorą udział w loterii śmierci na rozpadającej się kolei. Samoloty nad Heathrow całymi chmurami krążyły w kolejce do lądowania, jak latem komary nad kałużą. Za dużo wszystkiego w tym zasranym mieście.

Ale jednak poczułem, jak ogarnia mnie podniecenie podróżą, i trochę się rozluźniłem. W książce, którą kiedyś wydałem, *Wspomnienia sędziego z Terytoriów Północnych*, autor twierdził, że ofiary rekinów doświadczają usypiającej wizji odpływania w błękit Pacyfiku, gdzie znika wszelkie niebezpieczeństwo, choć w tym samym momencie są miażdżone przez rzędy zębisk. Ja, Timothy Cavendish, byłem właśnie takim pływakiem, patrzącym, jak w oddali ginie Londyn, tak – ty giniesz, Londynie, wyszczekany showmanie z tupecikiem na głowie, ty i twoje czynszówki pełne Somalijczyków; wiadukty Kingdoma Brunela; centra śmieciowych umów pracy; warstwy bombardowanych sadzą cegieł i pokryte błotem kości doktorów Dee, Crippena^[17] et al.; oraz rozgrzane biurowce ze szkła, gdzie kwiat młodzieży ulega zdrewnieniu i zmienia się w łykowany kaktus, jak mój brat-harpagon.

Za oknami powoli wyrastało brzydkie Essex. Kiedy byłem tu wzorowym uczniem szkoły podstawowej, synem robiącego karierę pracownika urzędu miasta, nazwa Essex kojarzyła się z wolnością, sukcesem i z Cambridge. A teraz co? Centra handlowe i osiedla pełne mieszkań stopniowo dokonują pełzającej inwazji na naszą pradawną ziemię. Wiatr znad Morza Północnego chwycił w zęby strzępiaste chmurki i zwiewał z nimi nad Midlands. Nareszcie zaczęła się prawdziwa prowincja. Mieszkała tu kuzynka mojej matki, jej rodzina miała wielki dom. Zdaje się, że przenieśli się do Winnipeg w nadziei na lepsze życie. O, tam! Dokładnie tam, w cieniu

magazynu z materiałami budowlanymi, stał kiedyś rząd orzechów. Razem z Pipem Oaksem – kolegą z dzieciństwa, który zginął pod kołami cysterny, gdy miał trzynaście lat – bejcowaliśmy kiedyś latem kajak, a potem pływaliśmy nim po Say. Z ciernikami w słoikach. Tam, o, tam, za zakrętem, rozpaliliśmy ognisko i piekliśmy w folii fasolę i ziemniaki! Wróćcie, wracajcie! Tak krótko i koniec? Już was nie widać? Pola bez żywopłotów na miedzach, nijakie. Essex naprawdę jest dziś jak Winnipeg. Wypalano rżyska i w powietrzu pachniało kanapkami z chrupkim bekonem. Odpłynąłem daleko myślami, kiedy minęliśmy Saffron Walden i pociąg gwałtownie zahamował.

– Eee – powiedział interkom. – John, to już słyhać? John, co mam przycisnąć? – Kasznięcie. – Koleje SouthNet przepraszają pasażerów za nieplanowany postój pociągu na następnej stacji z powodu... braku maszynisty. Nieplanowany postój potrwa, aż znajdzie się odpowiednie zastępstwo. Koleje SouthNet zapewniają, że dokładają wszelkich starań... – w tle wyraźnie słyszałem parsknięcie! – aby przywrócić najwyższy standard usług.

Fala wściekłości przelała się przez wagony. Ale w naszych czasach przestępstw nie popełniają kryminaliści, będący akurat wygodnie pod ręką, lecz długopisy dyrektorów daleko poza zasięgiem tłuszczu, gdzieś w postmodernistycznej londyńskiej centrali ze stali i szkła. Połowa tłuszczu ma zresztą akcje tego, co chętnie rozniosłaby na atomy.

I tak oto wszyscy siedzieliśmy. Żałowałem, że nie wziąłem niczego do czytania. Przynajmniej miałem miejsce siedzące i nie ustąpiłbym nawet Hellen Keller^[18]. Wieczór miał barwę cytrynowo-błękitną. Cienie wzdłuż torów rosły do monolitycznych rozmiarów. Pasażerowie dzwonili z komórek do rodzin. Zastanawiałem się, skąd ów podejrzany sędzia z Australii wiedział, jakie wizje miały osoby pożerane przez rekiny. Mijały nas w pędzie ekspresowe pociągi pełne szczęściarzy, z maszynistą na swoim miejscu. Chciałem pójść do toalety, ale aż ciężko mi było wyobrazić sobie, co tam zastanę. Otworzyłem teczkę, żeby wyjąć paczkę Werther's Originals, ale natrafiłem na *Okresy Półtrwania – Pierwszą Zagadkę Luisy Rey*. Przekartkowałem kilka stron. Książka byłaby lepsza, gdyby Hilary V. Hush nie była aż taka „patrzcie, jaka jestem sprytna”. Napisała ją w ładnusiach rozdziałikach, bez wątpienia z nadzieją na hollywoodzki scenariusz. W głośnikach zatrzeszczało.

– Uwaga, uwaga, komunikat dla pasażerów. Koleje SouthNet najmocniej przepraszają podróżnych, lecz z powodu braku odpowiedniego maszynisty, pociąg pojedzie do Little Chesterford, skąd bezpłatny autokar przewiezie pasażerów do Cambridge. Osoby, które są w stanie zapewnić sobie inny sposób podróży, powinny uczynić to jak najszybciej, bowiem... nie można przewidzieć, kiedy do Little Chesterford [jakże ta nazwa rozbrzmiewała w mej pamięci!] dotrze zastępczy autokar. Więcej szczegółów pasażerowie znajdą na naszej stronie internetowej.

Pociąg posuwał się w ślimaczym tempie jakąś zmierzającą milę. Wokół nas latały nietoperze i unoszone wiatrem śmieci. Kto teraz prowadził pociąg, skoro nie było maszynisty?

Hamulec, wstrząs, drzwi otwarte. Sprawniejsi wylali się strumieniem z pociągu i przez kładkę, zostawiając mnie i parę innych odrzutów z prosektoium, żebyśmy powolutku za nimi kuśtykali. Wdrapałem się po schodach i stanąłem, żeby złapać oddech. I proszę. Stałem na kładce na stacji Little Chesterford. O bogowie wszystkich małych stacyjek, na których można utknąć. Ścieżka do jazdy konnej, prowadząca do starego domu Ursuli, do dzisiaj okrążała pole. Poza tym

niewiele więcej byłem w stanie rozpoznać. W Świętej Remizie Najdłuższych Przytulań mieścił się dziś Essex's Premier Fitness Club. Tamtego wieczoru, gdy mieliśmy zadaną wspólną lekturę w pierwszym semestrze, Ursula wyjechała po mnie swoim citroenem-żabą, dokładnie... na ten trójkąt ze żwiru.

Pełna bohema, myślał wtedy młody Tim, gdy kobieta wyjeżdża po ciebie samochodem. Byłem Tutenchamonem IV na swojej królewskiej barce, a nubijscy niewolnicy wiosłowali nią ku Świątyni Ofiar. Ursula zawiozła mnie kilkaset jardów dalej do Dockery House, wybudowanego w czasach art nouveau na zamówienie konsula któregoś z państw skandynawskich. Mieliśmy cały dom do naszej dyspozycji, kiedy Mama i Ojczulek bawili w Grecji na wakacjach z Lawrencem Durrellem, jeśli mnie pamięć nie myli. („Jeśli mnie pamięć nie myli”. Przecież to ja kieruję pamięcią, nie ona mną).

Czterdzieści lat później światła reflektorów limuzyn z dworcowego parkingu oświetliły dziwną plagę kosarzy i pewnego zbiegłego wydawcę w rozpiętym płaszczu, obchodzących dookoła pole, które leżało odłogiem z braku unijnych dotacji. Człowiek myślałby, że kawał ziemi wielkości Anglii z łatwością zmieści wszelkie wydarzenia w skromnym życiu jednego człowieka tak, żeby nie działy się w tych samych miejscach. W końcu nie żyjemy w jakimś Luksemburgu. Ale nie, cały czas przecinamy raz po raz swoje własne ślady, jak w jeździe figurowej na lodzie. Dockery House stał tam nadal, oddzielony od sąsiednich domów żywopłotem z ligustru. Dawniej wydawał się taki wystawny w porównaniu z nijakim pudełkiem moich rodziców na przedmieściach.

„Kiedyś” – obiecywałem sobie – „sam będę mieszkał w takim domu”. Jeszcze jedna obietnica, której nie dotrzymałem; ale przynajmniej tylko sobie samemu. Obszedłem posiadłość dookoła i drogą dojazdową doszedłem do placu budowy. Napis na tablicy głosił *Hazle Close – ekskluzywne domy w samym sercu Anglii*. Na piętrze w Dockery House paliło się światło. Wyobrażałem sobie, że bezdzietna para słucha radia. Stare witrażowe drzwi zastąpiono czymś bardziej antywłamaniowym. W owym „tygodniu wspólnej lektury” wszedłem do tego domu gotów zdjąć z siebie odium prawiczka, lecz Boska Kleopatra napełniała mnie takim lękiem, byłem tak zdenerwowany, tak nawalony whiskaczem jej ojca, tak niezdarnie obszedłem się z własnymi sokami, że szczerze mówiąc najchętniej spuściłbym zasłonę milczenia na ten zenujący wieczór, nawet po czterdziestu latach. Właściwie po czterdziestu siedmiu. W okna Ursuli drapał wtedy gałązkami ten sam białolistny dąb, gdy tymczasem ja próbowałem stanąć na wysokości zadania, a już zdecydowanie zbyt długo to trwało, żeby móc dalej udawać, że się rozgrzewam. Ursula miała w sypialni płytę z II koncertem fortepianowym Rachmaninowa, w tych oknach, gdzie migocze elektryczna świeczka.

Do dzisiaj nie jestem w stanie słuchać Rachmaninowa bez ucisku w żołądku.

Prawdopodobieństwo, że Ursula nadal mieszka w Dockery House, było bliskie zera, wiedziałem. Ostatnie wiadomości na jej temat, jakie do mnie dotarły, mówiły, że prowadzi agencję PR w Los Angeles. Ale mimo wszystko precyzyjnie się przez żywopłot, przyłgałem nosem do nieoświetlonej, nieprzesłoniętej firanką szyby salonu i próbowałem zajrzeć do środka. Tamtej jesiennej nocy dawno temu Ursula podała grillowany ser roztopiony na plasterku szynki, położonej na piersi kurczaka. Dokładnie tam – dokładnie tutaj. Nadal czułem ten smak. Ciągle czuję ten smak, kiedy piszę te słowa.

Nagły blask!

Pokój wypełniła barwa elektrycznych nagietków i do środka wparowała – na szczęście dla mnie tyłem – mała czarownica z rudymi sprężynkami na głowie.

– Mamusiu! – Po części słyszałem, po części czytałem z ruchu warg. – Mamo!

I weszła Mama, z taką samą fryzurą.

Ponieważ było już dla mnie jasne, że rodzina Ursuli wyprowadziła się stąd dawno temu, wycofałem się z powrotem w stronę żywopłotu – lecz zawróciłem raz jeszcze i szpiegowałem dalej... bo, cóż, ehmmm, *je suis un homme solitaire*. Mama naprawiała zepsutą miotłę, a dziewczynka siedziała na stole i majtała nogami. Podszedł do nich dorosły wilkołak, zdjął maskę i – dziwne, choć może nie aż tak bardzo – poznałem w nim prezentera z telewizji, prowadził program o bieżących wydarzeniach, należał do kliki Feliksa Fincha. Jeremy Jakiś-Tam. Brwi Heathcliffa, maniery teriera, znacie takich. Wziął taśmę izolacyjną z szuflady kredensu i zabrał się za naprawę miotły. Na tę rodzinną scenę rodzajową wkroczyła Babcia – i niech mnie szlag, parch na głowie i za krótkie ręce – Babcią była Ursula. Ta Ursula. Moja Ursula.

Proszę, jaka dziarska starsza pani. W moich wspomnieniach nie postarzała się nawet o jeden dzień – co za charakteryzator tak barbarzyńsko obszedł się z jej młodością, świeżą jak poranek? (Ten sam, który obszedł się z twoją, Timmy). Powiedziała coś, a jej córka i wnuczka zachichotały – tak, zachichotały – i ja też zachichotałem... Ale co? Co powiedziała? Powtórzcie mi dowcip! Wypychała czerwoną pończochę podartą gazetą zwiniętą w kule. Robiła diabelski ogon. Przyczepiła go sobie z tyłu agrafką, a o ostrą krawędź mego serca rozbiło się wspomnienie ze studenckiego Balu Duchów i ze wspomnienia strużką wyciekło żółtko – wtedy też przebrała się za diablicę, pomalowała twarz na czerwono, całowaliśmy się całą noc – tylko całowaliśmy – a rano znaleźliśmy jakiś bufet, który serwował w brudnych kubkach mocną herbatę z mlekiem i wystarczająco dużo jajek, żeby wykarmić, ba, wybić, szwajcarską armię. Tosty i pomidory z puszki na gorąco. Sos HP. Przyznaj, Cavendish, czy kiedykolwiek jadłeś w życiu równie pyszne śniadanie?

Byłem tak pijany nostalgią, że kazałem sam sobie już pójść, zanim zrobię coś głupiego. Niemiły głos o kilka stóp ode mnie zagroził:

– Ani drgnąć, bo pana porąbię i wrzucę do zupy!

Ze strachu nie tyle podskoczyłem, ile wystrzeliłem pionowo w górę, jak z odrzutowym napędem! Na szczęście, mój oprawca miał nie więcej niż dziesięć lat, a zęby jego piły łańcuchowej były z kartonu, choć zakrwawione bandażę robiły wrażenie. Powiedziałem mu to ściszym głosem. Popatrzył na mnie i skrzywił się:

– Zna pan babcię Ursulę?

– Tak, kiedyś ją znałem.

– A za co się pan przebrał na zabawę? Gdzie pana kostium?

Czas się było zbierać. Wycofałem się powoli do żywopłotu.

– To jest mój kostium.

Podłubał w nosie.

– Przebrał się pan za kogoś starego wykopanego z cmentarza?

– Bardzo uprzejmie z twojej strony, ale nie. Przyszedłem jako Duch Minionej Gwiazdki.

– Ale dziś jest Halloween, a nie Gwiazdka.

– Jak to? – Klepnąłem się w czoło. – Naprawdę?

– Yhy...

– No to spóźniłem się dziesięć miesięcy! Straszne! Lepiej wrócę, zanim ktoś zauważy, że mnie nie ma, i zacznie gderać.

Chłopak przybrał pozę kung-fu z kreskówek i zamachał w moją stronę piłą.

– Stój, Goblinie! Wlazłeś tu bez pytania! Powiem policji!

A więc wojna.

– Taka z ciebie pepla? Ale ja też mogę się w to bawić. Jeśli naskarżysz na mnie, to ja powiem mojemu przyjacielowi, Duchowi Przyszłej Gwiazdki, gdzie mieszkasz, i wiesz, co ci zrobi?

Z szeroko otwartymi oczyma gówniarz pokręcił głową, wstrząśnięty i zmieszany.

– Kiedy cała twoja rodzina będzie sobie smacznie spała w łóżeczkach, wkradnie się wam do domu szparą pod drzwiami i zje – ci – pieska! – Jad w przewodach żółciowych buzował mi coraz szybciej. – Zostawi ci ogonek pod poduszką i wszystko będzie na ciebie. A twoi koledzy będą za tobą wołać „zabijacz piesków!”, wszędzie dokąd pójdziesz. A potem zrobisz się stary, nie będziesz miał żadnych przyjaciół i umrzesz w samotności i będzie rano w Boże Narodzenie za pięćdziesiąt lat. Więc, jakbym był na twoim miejscu, nikomu bym nawet nie pisał, że mnie widziałeś.

Przecisnąłem się przez żywopłot na drugą stronę, zanim zdążył to wszystko przetrawić. Kiedy szedłem chodnikiem do stacji, wiatr przyniósł jego płacz:

– Ale ja nawet nie mam pieska...



Ukryłem się za gazetą w Wellness Cafe w ośrodku zdrowia, która całkiem niezły interes robiła na wszystkich czekających na autokar. Częściowo spodziewałem się, że rozwścieczona Ursula przybiegnie z wnusiem i miejscowym policjantem. Prywatne łodzie ratunkowe przyływały z pomocą maklerom giełdowym. Młodzi Czytelnicy, posłuchajcie rady starego ojca Timothy'ego, udzielanej za darmo w cenie niniejszych wspomnień: tak wiedźcie życie, by, kiedy u schyłku waszych lat pociąg będzie miał awarię, bliska osoba – albo ktoś wynajęty, to nie ma znaczenia – zawiozła was do domu wygodnym samochodem.

Trzy szklaneczki whisky później przyjechał wiekowy autokar. Wiekowy? Chyba pamiętał czasy króla Edwarda! Przez całą drogę do Cambridge musiałem znosić rozgadane studentki. O kłopotach z chłopakiem, o wykładowcach sadystach, o demonicznych kolegach, z którymi wynajmowały dom, Jezus Maria, reality TV, nie miałem pojęcia, że dzieciaki w ich wieku są takie nadaktywne. Kiedy w końcu dojechałem do dworca w Cambridge, rozejrzałem się za telefonem, żeby zadzwonić do Aurora House i uprzedzić, że mogą się mnie spodziewać dopiero jutro, ale pierwsze dwa aparaty były rozwalone (w Cambridge, na litość!) i dopiero kiedy znalazłem trzeci, sprawdziłem adres i zobaczyłem, że Denholme zapomniał zapisać numer telefonu. Obok pralni znalazłem hotel dla podróżujących w interesach. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale już widok recepcji mówił mi, że to straszna mordownia, i jak zwykle pierwsze wrażenie było trafne. Byłem jednak zbyt wykończony, by szukać czegoś lepszego, a mój portfel mocno już schudł. W pokoju miałem wysokie okna z roletami, których nie mogłem opuścić, bo nie mam dwunastu stóp wzrostu. Brązowo-zielone paprochy w wannie zaiste były mysimi bobkami, gałka prysznicowa została mi w dłoni, a gorąca woda była ledwie letnia. Zasnułem pokój papierosowym dymem i leżałem na łóżku, próbując sobie przypomnieć sypialnie wszystkich moich kobiet po kolei, przyglądając się im przez upaskudzony teleskop czasu. Mój Mały Książę i Obaj Giermkowie pozostali niewzruszeni. Dziwnie obojętny był mi fakt, że bracia Hoggins mogą właśnie wywracać mi do góry nogami mieszkanie w Putney. Raczej nie obłowię się w porównaniu z łupami, do jakich są przyzwyczajeni – jeśli przyjąć *W ryja* jako źródło informacji. Kilka ładnych pierwszych wydań, ale poza tym niewiele więcej. Mój telewizor zmarł tego samego dnia, kiedy George Bush II dorwał się do tronu, i od tamtej pory nie ważyłem się wymienić go na inny. Madame Ex zabrała ze sobą swoje antyki i całą schedę. Zamówiłem do pokoju potrójnego scotcha – nie miałem najmniejszego zamiaru siedzieć w barze z watahą akwizytorów, przechwalających się premiami i liczbą zaliczonych biustów. Kiedy w końcu moja whisky dotarła na górę, okazało się, że to zaledwie niedomierzona podwójna, więc zwróciłem bojowi uwagę. Podrostek o wyglądzie tchórzofretki tylko wzruszył ramionami. Ale nie przeprosił. Poprosiłem, żeby opuścił rolety, ale spojrzął tylko i się obruszył:

– Przecież nie dosięgnę!

Zamiast napiwku rzuciłem mu lodowate:

– Dziękuję, to już wszystko.

Kiedy wychodził, puścił zatrutego bąka. Poczytałem trochę *Okresy półtrwania*, ale zasnąłem tuż po tym, jak Rufusa Sixsmitha znaleziono zamordowanego. W niezwykle wyraźnym śnie opiekowałem się małym chłopcem z rodziny azylantów, który błagał mnie, żebym poszedł

z nim do supermarketu i dał mu się przejechać na automatach przed kasami, do których wrzuca się pięćdziesiąt pensów. Powiedziałem: „Dobrze, chodźmy”, ale kiedy chłopak już zszedł z samochodzików, okazało się, że to Nancy Reagan. Jak miałem to wyjaśnić jego matce?

Obudziłem się w ciemnościach z silnym klejem w ustach. Ocena historii, dokonana przez Wielkiego Gibbona – niewiele ponad wykaz przestępstw, szaleństw i nieszczęść ludzkości – kołatała mi w głowie bez żadnej konkretnej przyczyny. Ot, ziemskie życie Timothy’ego Cavendisha w ośmiu słowach. Jeszcze raz odegrałem w myśli dawne spory, potem prowadziłem spory, które nigdy nie miały miejsca. Potem paliłem cygaro, aż za wysokim oknem pojawiły się smużki wodniste go świtu. Ogołiłem się. Irlandka z zapadniętymi policzkami podała mi na śniadanie tosty, jedne przypalone, inne zamrożone, z pudełeczkiem dżemu w kolorze szminki i masłem bez soli. Przypomniałem sobie, jak Jake Balokowsky żartował na temat Normandii: „jak Kornwalia, tylko jest co jeść”.

Na stacji znowu zaczęło się kolejne pasmo moich nieszczęść, kiedy usiłowałem odzyskać zwrot pieniędzy za wczorajszą przerwana podróż. Pani od biletów, której pryszcze aż bulgotały, gdy się na nie patrzyło, była równie pancerna, jak jej koleżanka z King’s Cross. Korporacja hoduje je z tych samych komórek macierzystych? Ciśnienie krwi skoczyło mi, niemal bijąc własny rekord.

– Jak to wczorajszy bilet stracił ważność? To nie moja wina, do jasnej cholery, że się zepsuł pociąg!

– Ani nie moja. Operatorem pociągów są koleje SouthNet. Ja pracuję w TicketLords, widzi pan?

– To gdzie mam złożyć zażalenie?

– SouthNet jest własnością holdingu z Düsseldorfu, który należy do fińskiego koncernu telekomunikacyjnego, więc chyba najlepiej spróbować w Helsinkach. Powinien się pan cieszyć, że pociąg się nie wykoleił. Ostatnio co chwila jakiś wypada z szyn.

Czasem puchaty króliczek niedowierzania znika za zakrętem tak prędko, że chart ludzkiej mowy z rozdziawionym pyskiem ciągle stoi w klatce startowej. Nieźle trzeba było nadrabiać kroku, żeby zdążyć na następny pociąg – tylko po to, żeby okazało się, że jest odwołany! Ale „na szczęście” pociąg, który miał odjechać przed moim, był tak spóźniony, że jeszcze nie zdążył odjechać. Wszystkie miejsca siedzące były już zajęte, więc musiałem wcisnąć się w trzycalową lukę. Kiedy pociąg ruszył, straciłem równowagę, ale ludzka strefa zgniotu zamortyzowała mój upadek. I tak już zostaliśmy, na wół przewróceni. Ukośni Ludzie.

Przedmieścia Cambridge są dziś jednym wielkim ciągiem laboratoriów. Pływaliśmy kiedyś z Ursulą pontonem pod osobliwym mostkiem, gdzie dziś stoją biotechnologiczne kapsuły jak z kosmosu, klonujące ludzi dla koreańskich biznesmenów. Starzenie się jest nie do zniesienia. Te wszystkie „ja”, którymi byliśmy, wzdychają, by znowu zaczerpnąć powietrza tego świata, ale czy w ogóle mogą się przebić przez nasze zwapniałe kokony? Tak, akurat!



Wiedźmowate drzewa zginały się na tle bezmiaru nieba. Nasz pociąg, z niewyjaśnionych i nieprzewidzianych rozkładem przyczyn zatrzymał się, cholera, na jakimś wrzosowisku, nie pamiętam na jak długo. Zegarek utknął mi na poprzednim wieczorze. (Brakuje mi Ingersolla, nawet dzisiaj). Rysy innych pasażerów zlały się w formy na wpół znajome: agent nieruchomości za mną głośno gadał przez komórkę, mógłbym przysiąc, że w szóstej klasie był kapitanem drużyny hokejowej; smętna kobieta dwa rzędy z przodu czytała *Ruchome Świąto* – czy to nie ta gorgona z urzędu skarbowego, która kilka lat temu urządziła mi przesłuchanie?

W końcu złącza zaskowitywały i pociąg wtoczył się na kolejną stację w szczerym polu, na której oblażająca z farby tablica głosiła „Adlestrop”. Mocno zakatarzony głos oznajmił:

– Centrallo Trains przepraszają, lecz z powodu awarii systemu hamulcowego pociąg będzie miał krótki postój na tej – kichnięcie – stacji. Pasażerowie proszeni są o opuszczenie pociągu na stacji... i oczekiwanie na skład zastępczy.

Moi współpasażerowie chwyтали powietrze, jęczeli, klęli i z niedowierzaniem kręcili głowami.

– Centrallo Trains przepraszają za ewentualne – kichnięcie – niedogodności i zapewnijają, że dokładają wszelkich starań, by przywrócić najwyższy standard – kichnięcie jak grzmot – usług. Masz chusteczkę, John?

Fakt: tabor kolejowy w tym kraju jest konstruowany w Hamburgu i kiedy niemieccy inżynierowie testują pociągi mające pojechać do Anglii, używają importowanych odcinków naszych obranych, sprywatyzowanych torów, bo przyzwoicie utrzymane szyny z Europy nie zapewniają miarodajnych warunków jazd próbnych. Kto tak naprawdę wygrał tę wojnę, co? Powinienem był zwiewać przed Hogginsami na kiju ze sprężyną po Great North Road^[19].

Przepchnąłem się do obskurnej kawiarni, kupiłem ciastko, które zajeżdżało pastą do butów, i herbatę z pływającymi okruchami korka, a także podsłuchałem rozmowę pary hodowców kuców szetlandzkich. W przygnębieniu człowiek wzdycha za życiem, którego nigdy nie prowadził. I po co ci było całe życie wydawać książki, Timothy? Ty idioto! Nawet pamiętniki są już dostatecznie bez sensu, ale beletrystyka? Bohater jedzie w podróż, do miasta przyjeżdża obcy, ktoś czegoś chce, dostaje, albo nie dostaje, czyjaś wola musi zmierzyć się z wolą kogoś innego. „Podziwiam mnie, bom ja metaforą”.

Po omacku trafiłem do męskiego kibla, gdzie waliło amoniakiem. Jakiś kawalarz ukradł żarówkę. Ledwo rozpiąłem rozporek, kiedy z ciemności dobiegł głos.

– Sorry, ma pan może ogień?

Opanowując stan przedzawałowy, grzebałem w kieszeniach, usiłując znaleźć zapalniczkę. Ogień wyczarował rastafarianina w żarzących się barwach Holbeina. Stał zaledwie kilka cali ode mnie, w grubych wargach trzymał cygaro.

– Dzięki – wyszeptał mój czarny Wergiliusz, pochylając głowę, by przypalić.

– Bardzo... bardzo proszę... nie ma sprawy, do usług – odrzekłem.

Jego płaskie, szerokie nozdrza zadrgały.

– Dokąd pan jedzie, człowieku?

Ręką sprawdziłem, czy ciągle mam portfel.

– Do Hull... – zacząłem brnąć w jakiś stek bzdur. – Żeby zwrócić książkę.

Bibliotekarzowi, który tam pracuje. Bardzo słynnemu poecie. Z uniwersytetu. Mam ją w torbie. Nazywa się *Okresy Półtrwania*.

Cygaro rastafarianina jechało kompostem. Nigdy nie jestem pewien, co oni sobie naprawdę myślą. Nie to, żebym jakiegoś rzeczywiście znał. Nie jestem rasistą, ale głęboko wierzę, że trzeba całych pokoleń, żeby składniki w „wielkim tyglu” porządnie się ze sobą stopiły.

– Wie pan – zwrócił się do mnie rastafarianin – pan to potrzebuje... – wzdrygnąłem się – trochę stafu.

Grzecznie przystałem na tę ofertę i przyssałem się do jego cygara grubości balasa.

O, cholera!

– Co to jest?

Wydał dźwięk jak trombita, głęboko, głęboko z gardła.

– To nie rośnie w Marlboro Country.

Głowa urosła mi kilkaset razy większa, jak w *Alicji*, i zmieniła się w wielopiętrowy parking, w którym stało tysiąc jeden wyśpiewujących arie citroenów.

– Ja cię... Powiedz tak jeszcze raz – wymawiał bezgłośnie Człowiek Znany Uprzednio Jako Tim Cavendish.



Następne, co pamiętam, to to, że znowu jechałem pociągiem i rozmyślałem kto wymurował ściany przedziału omszałymi cegłami.

– Czekamy na pana, panie Cavendish – powiedział do mnie łysy facet w okularach. Wokół nie było nikogo. Tylko sprzątac, który szedł przez pusty pociąg i zbierał śmieci do worka. Zszedłem po stopniach na peron. Zimno zatopiło mi zębiska w gołej szyi i obmacało całego w poszukiwaniu niezabezpieczonych miejsc. Z powrotem King's Cross? Nie, Gdańsk w najmroźniejszą z zim. W panice zdałem sobie sprawę, że nie mam torby ani parasola.

Wsiadłem z powrotem do pociągu i zdjąłem je z półki na bagaż. Gdy spałem, moje mięśnie musiały ewidentnie doznać zaniku. Za oknem pociągu przejechał wózek bagażowy, pchany przez Modiglianiego. Kurczę, gdzie ja byłem?

– Yesp An Fhal – odparł Modigliani.

Po arabsku? Mózg zaproponował mi następujące rozwiązanie: pociąg Eurostar zatrzymał się w Adlestrop, wsiadłem i przespałem całą podróż na Istanbul Central. Mózg-bezmózg. Potrzebny był mi jakiś wyraźny znak. Po angielsku.

WITAMY W HULL.

Chwała Bogu, moja podróż prawie dobiegła końca. Kiedy ostatni raz zapuściłem się tak daleko na północ? Kiedy? Nigdy. Połykałem zimne powietrze, żeby zwalczyć gwałtowną potrzebę rzygnięcia. Trudno, Tim, musisz trochę zrzucić, masz za pełno. Podrażniony żołądek podsuwa zwykle obraz przyczyny złego samopoczucia i na ułamek sekundy przed oczami stanęło mi rastafariańskie cygaro. Dworzec był cały pomalowany na czarno. Skręciłem za róg i nad wejściem znalazłem zawieszane dwie podświetlane tarcze zegarów. Zegary, z których każdy pokazuje inny czas, są gorsze, niż brak zegara. Czuję się oszukany, bo żaden kontroler przy bramce nie sprawdził mi biletu, za który zdarli ze mnie skórę. Wzdłuż krawężnika przed dworcem przejeżdżał powoli facet czyhający na panienki, gdzieś błysnęła jakaś szyba, muzyka z pubu za kładką głośno wybuchała i cichła.

– Tylko parę groszy – prosił, nie, żądał, nie, oskarżał zabiedzony pies owinięty kocem. Nos, brwi i wargi jego pana były tak nadziane żelastwem, że silny elektromagnes posiekałby mu twarz w pół sekundy. Co tacy ludzie robią, kiedy muszą przejść przez bramkę na lotnisku? – Ma pan jakieś drobne?

Ujrzałem siebie samego, a on zobaczył mnie, starego, cherlawego dziadygę, który przyjechał wieczorem do miasta, w którym nie ma żadnych znajomych. Pies podniósł się, jakby zwęszył moją słabość. Niewidoczny anioł stróż wziął mnie za łokieć i zaprowadził na postój taksówek.

Taksówka jeździła chyba w kółko po rondzie przez miniaturową wieczność. W radiu jakiś wyjec jęczał piosenkę o tym, że wszystko, co umiera, kiedyś wraca. (Boże, nie dopuść – a małpia łapka^[20]!). Kierowca miał głowę zdecydowanie za dużą, jak na swoje ramiona, musiał być chory na to samo, co Człowiek Słoń, ale kiedy się odwrócił, zorientowałem się, że to tylko turban. Strasznie narzekał na klientelę.

– Zawsze mi mówią: „Założę się, że tam, skąd pan pochodzi, nie bywa aż tak zimno, co?”, a ja stale odpowiadam: „Otóż, proszę pana, widać, że nigdy nie był pan w lutym w Manchesterze”.

– Wie pan, jak dojechać do Aurora House, prawda? – zapytałem, a sikh odrzekł:

– Tak, właśnie jesteśmy na miejscu. – Wąski podjazd kończył się pod imponującą edwardiańską rezydencją nieokreślonej wielkości. – Snaś rów.

– Gdzie?

Popatrzył na mnie zdziwiony i powtórzył:

– Szesnaście, równo.

– A, tak. – Portfela nie mogłem znaleźć w kieszeni spodni, ani w kieszeni marynarki. Ani w kieszeni koszuli. Nie pojawił się też po ponownym przeszukaniu kieszeni spodni. W pysk strzeliła mnie smutna prawda. – Jasna cholera, złodziej!

– O, przepraszam. Mam w taksówce kasę fiskalną.

– Nie, nie rozumie pan, okradziono mnie.

– Aha. Doskonale rozumiem.

Cudownie. Rozumie.

– Świetnie rozumiem. – W ciemnościach wzbierał gniew subkontynentu. – Myśli sobie pan „durny turban musi wiedzieć, czyją stronę wezmą gliny”.

– Ale, co pan mówi! – protestowałem. – Dobrze, mam jakieś drobne, monety. O, mam całą kieszeń drobnych... proszę bardzo... O, Boże! Mam, tak, chyba mam...

Przeliczył.

– Jakiś napiwek?

– Niech pan bierze... – Wysypałem mu na drugą dłoń całą resztę złomu i wygramoliłem się z taksówki, prosto do rowu.

Z leżącej pozycji ofiary wypadku zobaczyłem, jak taksówka odjeżdża, a mnie koszmarna wizja przeniosła z powrotem do Greenwich, do chwili, gdy na ulicy obrabiała mnie trzy małolaty. Największą traumą nie była strata zegarka, ani nawet siniaki, ani wstrząs. Chodziło o to, że kiedyś w Aden stawiałem czoło i spuściłem manto kwartetowi arabskich zbirów, a w oczach tych dziewczuszek byłem... stary, po prostu stary. Wystarczyło, że nie zachowywałem się, jak powinien zachowywać się starszy człowiek – nie byłem niewidoczny, cichy i przestraszony – żeby je sprowokować.

Wspiąłem się po podjeździe do wielkich, szklanych drzwi. Recepcja jarzyła się poświatą jak święty Graal. Kiedy zapukałem, uśmiechnęła się do mnie kobieta, która mogłaby zagrać tytułową rolę w musicalu *Florence Nightingale*. Czuję się, jakby ktoś machnął czarodziejską różdżką i rzekł: „Cavendish, kładę kres wszelkim twoim kłopotom!”.

Florence wpuściła mnie do środka.

– Witamy w Aurora House, panie Cavendish!

– Dziękuję. Dziękuję bardzo. Miałem dzisiaj potworny dzień.

Kobieta-anioł.

– Najważniejsze, że już jest pan bezpieczny z nami.

– Tylko że wynikła taka sprawa... drobny kłopot finansowy. Po drodze tutaj...

– Na razie niech pan się martwi wyłącznie o to, żeby porządnie się wyspać. Wszystko jest załatwione. Proszę tu tylko podpisać i zaraz zaprowadzę pana do pokoju. Jest cichutki. Wychodzi na ogród. Spodoba się panu.

Ze łzami wdzięczności w oczach poszedłem za nią do pokoiku. Hotel był nowoczesny, nigdzie nawet najmniejszego pyłku, w ogarniętych snem korytarzach półmrok rozpraszało bardzo łagodne światło. Rozpoznałem zapachy z dzieciństwa, ale nie mogłem dokładnie przypomnieć sobie, co to. Po schodach wspięliśmy się do Krainy Snów. Mój pokój był prosty, pościel wykrochmalona i czysta, na podgrzewanej poręczy wisiały równo złożone ręczniki.

– Czy jeszcze czegoś pan by sobie życzył?

– Dziękuję. Już jestem w raju.

– Więc życzę słodkich snów.

Wiedziałem, że będą słodkie. Wziąłem szybki prysznic, wskoczyłem w piżamę i umyłem zęby. Łóżko było sprężyste, ale wygodne, jak plaża na Tahiti. Koszmar z Hogginsami został po wschodniej stronie Hornu, ja wywinąłem się, nie płacąc, a Denny, kochany Denholme, uiszczał mój rachunek. Prawdziwego brata poznaje się w biedzie. W moim słodkim jaseczku śpiewały syreny. Rano życie zacznie się od nowa, cudownie od nowa. Teraz będę już robił wszystko, jak trzeba.



„Rano”. Los często ustawia przy tym słowie miny pułapki. Gdy się obudziłem, ujrzałem nie najmłodszą, ostrzyżoną na pazia kobietę, przerzucającą moje rzeczy osobiste z takim zapałem, jakby szukała czegoś na wyprzedazy.

– Co pani robi w moim pokoju, do jasnej cholery, złodziejska twoja mać?! – na wpół ryknąłem, na wpół wyrzeziłem.

Kobieta odłożyła moją marynarkę bez najmniejszego poczucia winy.

– Jest pan tu nowy, więc nie każę panu jeść proszku do prania. Tym razem jeszcze nie. Ale niech pan to potraktuje jak ostrzeżenie. Nie pozwalam w Aurora House brzydko się wyrażać. Nikomu nie pozwalam. I nigdy – nigdy! – nie rzucam słów na wiatr.

Złodziejka mówi właścicielowi portfela, żeby się nie wyrażał!

– Do jasnej cholery! Będę mówił jak mi się, do stu diabłów, żywnie podoba, złodziejko jedna! Proszku nie każe mi pani jeść? Chciałbym zobaczyć, jak mi pani każe! Gdzie ochrona hotelowa?! Dzwonię po policję! Jak będzie mnie pani straszyć karą za wyrażenie się, to ja panią postraszę karą za włamanie i kradzież!

Podeszła do łóżka i wyrznęła mnie z całej siły w pysk.

Byłem w takim szoku, że upadłem na poduszkę.

– Nie najlepszy początek. Nazywam się Sykes. Lepiej, żeby pan ze mną nie zaczynał.

Może to był jakiś perwersyjny hotelik sado-maso? A może jakaś wariatka sprawdziła nazwisko w recepcji i wdarła się do mojego pokoju?

– Palenie jest tu źle widziane. Będę zmuszona skonfiskować cygara. Zapalniczka jest zbyt niebezpieczna, żeby pan się nią bawił. A to niby co? – Zamachała w powietrzu moimi kluczami.

– Klucze. Nie widać?

– Klucze stąd idą! Najlepiej będzie, jak oddamy je na przechowanie pani Judd.

– Najlepiej będzie, jak nie oddamy ich nikomu, jędo jedna! Bije mnie pani! Okrada! Co to w ogóle za hotel, który do sprzątania pokoiów zatrudnia złodziejki?

Babon wsadził łup do małej złodziejskiej torebki.

– Nie ma pan więcej nic wartościowego?

– Niech pani to odłoży z powrotem! Natychmiast! Albo każę panią zwolnić z pracy, przysięgam!

– Rozumiem, że nie ma pan. Śniadanie jest punkt ósma. Dziś jajka na miękko i żołnierzyki z tostów z masłem. Spóźnieni nie dostają nic.

Kiedy tylko wyszła, błyskawicznie ubrałem się i próbowałem znaleźć telefon. Nie było. Szybko się umyłem – łazienka była zaprojektowana dla niepełnosprawnych, wszystko miało zaokrąglone brzegi i wszędzie były poręcze – z postanowieniem, by domagać się sprawiedliwości. Następnie, ni z tego, ni z owego, okazało się, że kuleję. Zgubiłem się. Barokowa muzyka brzęczała melodyjnie w identycznych korytarzach z rzędami krzeseł ustawionych wzdłuż ścian. Trędowaty gnóm złapał mnie za rękę i pokazał mi słoik z masłem orzechowym.

– Jeśli chce je pan zabierać do domu, to wytłumaczę panu, dlaczego ja nie zabieram.

– Z kimś mnie pan pomylił. – Siłą zdjąłem dłoń karła z mojej i przeszedłem przez jadalnię, gdzie goście usadzeni byli w rzędach, a kelnerki przynosiły im z kuchni wazy.

O co tu chodziło?

Najmłodszy goście mieli ponad siedemdziesiąt lat. Najstarsi ponad trzysta. Może rok szkolny już się zaczął i wszystkie dzieci po prostu były w szkole?

Olśnienie. Ty, drogi Czytelniku, domyśliłeś się pewnie wiele stron temu.

Aurora House był Domem Spokojnej Starości.

Cały mój braciszek! Według niego to miał być dowcip!

Pani Judd z uśmiechem jak z reklamy Oil of Olaz pełniła obowiązki recepcjonistki.

– Dzień dobry panu. Jak się dziś czujemy? Prawda, że wspaniale?

– Tak. Nie. Zaszło idiotyczne nieporozumienie.

– Ach tak?

– Z całą pewnością. Gdy wmeldowałem się zeszłej nocy, byłem przekonany, że Aurora House to hotel. Rezerwację robił mój brat, widzi pani. Ale... on myśli teraz, że to świetny dowcip. A mnie wcale nie do śmiechu. Jakiś żalony podstęp. A „zadziałał” tylko dlatego, że rastarafianin dał mi się zaciągnąć szkodliwym cygarem w Adlestrop, i dlatego, że macierzyste siostrzyczki, które sprzedały mi tu bilet, tak strasznie mnie wymęczyły. Ale a propos. Zdaje się, że ma tu pani większy problem – jakaś cholera z demencją, nazwiskiem Sykes, biega tu po całym domu i udaje pokojówkę. Chyba ma już mocno posuniętego Alzheimera, ale, uuuu, potrafi przywalić. Ukradła mi klucze! Spodziewałbym się takich występów w barze go-go na Phuket, ale w domu dla staruszków w Hull? Gdybym to ja był inspektorem, Aurora House już dawno byłby zamknięty.

Uśmiech pani Judd był teraz kwaśny jak wyciek z baterii.

– Chcę dostać z powrotem moje klucze – powiedziałem pod wpływem jej miny. – I to natychmiast.

– Panie Cavendish, Aurora House jest teraz pana domem. Pański podpis upoważnia nas do wymagania od pana posłuszeństwa. I na pana miejscu nie wyrażałabym się o mojej siostrze w taki sposób.

– Do wymagania posłuszeństwa? Podpis? O siostrze?

– Dokument, który pan wczoraj podpisał, powierza nam opiekę nad panem. Jest pan tu teraz czasowo zameldowany.

– Nie, nie. Meldowałem się w hotelu! Zresztą nieważne, to dyskusja czysto akademicka. Będę się zbierał po śniadaniu. A właściwie nawet przed. – Czułem pomyje! – A niech to... będzie co opowiadać znajomym przy kolacji. Kiedy już uduszę brata. I niech go pani obciąży kosztami. Tylko muszę jednak prosić o zwrot kluczy. I proszę wezwać mi taksówkę.

– Większość naszych gości pierwszego dnia odczuwa różne obawy.

– Nie odczuwam żadnych obaw, ale chyba nie wyraziłem się dość jasno. Jeśli pani nie...

– Proszę, panie Cavendish, najpierw niech pan może zje śniadanie...

– Klucze!

– Mamy pana pisemne upoważnienie do przechowania pańskich wartościowych rzeczy w biurowym sejfie.

– Więc chcę rozmawiać z kierownikiem.

– Czyli z siostrą Sykes. Jest pielęgniarką.

– Sykes? To kierowniczką?

– Siostra Sykes.

– To muszę rozmawiać z zarządem, albo z właścicielem.

– Czyli ze mną.

– Proszę pani – Guliwer wśród Liliputów – do jasnej cholery, łamiecie... ustawę o niepozabawianiu wolności, czy jak tam się to nazywa!

– Przekona się pan niedługo, że wybuchami złości nic pan w Aurora House nie wskóra.

– Proszę o telefon. Chcę zadzwonić na policję.

– Pensjonariuszom nie wolno...

– Do cholery jasnej, nie jestem żadnym pensjonariuszem! A skoro nie chce mi pani oddać kluczy, wróć później, jeszcze dziś przed południem z bardzo niemiłym policjantem.

Pchnąłem drzwi wyjściowe, ale one pchnęły mnie mocniej. Jakiś system bezpieczeństwa. Spróbowałem wyjścia ewakuacyjnego w drugim końcu przedsiionka. Zamknięte. Nie zwracając uwagi na protesty pani Judd, wybiłem szybkę przy uchwycie bezpieczeństwa, drzwi się otworzyły i byłem wolny! Cholera, zimno walnęło mnie w twarz żelaznym szpadłem! Teraz wiem już, dlaczego na północy ludzie preferują brody, malują wzory na ciele i smarują się ochronną warstwą łożu. Pomaszerowałem łukiem podjazdu, obok rododendronów z zarobaczonymi liśćmi i mocno powstrzymałem się od puszczenia się biegiem. Nie biegałem

od połowy lat siedemdziesiątych. Zrównałem się z kosiarką do trawy, kiedy kudłaty olbrzym w kombinezonie ogrodnika wyrósł spod ziemi jak Zielony Rycerz. Usuwał rękami resztki żywopłotu z ostrzy kosiarki.

– Gdzieś się pan wybiera?

– Owszem. Do krainy żywych.

Ruszyłem dalej. Pod moimi nogami liście zmieniały się w glebę. Tak właśnie drzewa same siebie zjadają. Nie bardzo wiedziałem jak, ani kiedy, podjazd zaprowadził mnie znowu do jadalni. Źle obliczyłem. Zombie z Aurora House patrzyli na mnie przez szklaną ścianę.

– Zielona Pożywka to ludzie^[21]! – przedrzeźniałem ich puste spojrzenia. – Zielona Pożywka jest robiona z ludzi!

Wyglądali na zdziwionych – biada mi, jam Ostatni z Plemienia. Jeden z dziadków zapukał w szybę i pokazał na coś za mną. Odwróciłem się, a ogr przerzucił mnie sobie przez ramię. Każdy jego krok wyciskał ze mnie resztki oddechu. Zajeżdżało od niego nawozem.

– Naprawdę mam co robić...

– Więc niech pan się tym zajmie! – Próżno wyteżądałem siły, żeby założyć mu nelsona, czego on chyba nawet nie zauważył. Użyłem zatem mojej wyraźnej przewagi językowej, by poskromić drania: – Ty buraku! Bydlaku! Ty gorylu! To ciężkie uszkodzenie ciała! Bezprawne ograniczenie wolności!

Zgniółł mnie w niedźwiedzim uścisku jeszcze mocniej, żeby mnie uciszyć, i niestety, ugryzłem go w ucho. Strategiczny błąd. Jednym szarpnięciem ściągnął mi w dół spodnie – czyżby zamierzał mnie gwałcić od tyłu? To, co zrobił, było jeszcze gorsze. Położył mnie na kosiarce, przygwoździł jedną ręką i sprzął bambusową żerdką, trzymaną w drugiej. Ból przewiercał mi chudy tyłek raz za razem, raz za razem, raz za razem!

Chryste, jak bolało!

Krzyknąłem, potem wrzasnąłem, a potem popiskiwałem, żeby przestał. *Chlast! Chlast! Chlast!* Siostra Sykes w końcu kazała bydlakowi przestać mnie prać. Moje poślądki wyglądały, jakby użądliła je olbrzymia osa. Kobięcy głos zasyczał mi do ucha: „W świecie na zewnątrz nie ma dla ciebie miejsca. Teraz mieszkasz w Aurora House. Dotarło już? Czy mam poprosić pana Withersa, żeby przerobił to z tobą jeszcze raz?”.

„Powiedz, żeby pocałowała cię w d...” – ostrzegała mnie dusza – „bo później pożałujesz”.

„Powiedz jej, co chce usłyszeć” – przeraźliwie wrzeszczały neurony – „bo będziesz żałował już teraz”.

Dusza chciała, ale ciało było słabe.



Odesłano mnie do pokoju bez śniadania. W głowie obmyślałem zemstę, proces sądowy i tortury. Zbadałem moją celę. Zamykane od zewnątrz drzwi nie miały dziurki od klucza. Okno otwierało się tylko na sześć cali. Gruba pościel, szyta chyba z tektury, cerata pod prześcieradłem. Fotel z nadającą się do prania narzutą. Na podłodze gumoleum do przecierania mopem. Na ścianach zmywalne tapety. Łazienka przy pokoju: mydło, szampon, przetarty flanelowy ręcznik, bez okna. Obrazek z wiejskim domkiem, z podpisem: *Prawdziwy dom jest dziełem serc, nie rąk*. Szanse ucieczki: żadne.

Ciągle jednak byłem przekonany, że moje uwięzienie nie potrwa dłużej niż do południa. Któreś z wyjść z tej sytuacji musi zadziałać: kierownictwo uświadomi sobie pomyłkę, uniżenie przeprosi, wyleje na pysk chamską Sykes i będzie mnie błagać, żebym przyjął rekompensatę w gotówce. Albo Denholme dowie się, że jego dowcip nie wypalił, i zarządzi, by mnie uwolniono. Albo też księgowy odkryje, że nikt nie opłaca rachunków za mój pobyt, i mnie stąd wykopią. Albo też pani Latham złoży doniesienie o moim zaginięciu, zrobią o tym odcinek „Interwencji” i policja mnie tu w końcu odnajdzie.

Koło jedenastej drzwi się otworzyły. Gotowałem się już do odrzucenia przeprosin i frontalnego ataku. Do środka wkroczyła kobieta, niegdyś z pewnością dostojna. Miała lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć – kto je tam wie, ile mają w tym wieku? Za swoją panią wszedł do pokoju rachityczny ludzki chart w blezerku.

– Dzień dobry – zaczęła kobieta.

Stałem i nie zamierzałem proponować, by goście usiedli.

– Pozwolę sobie się nie zgodzić.

– Nazywam się Gwendolin Bendincks.

– Nie moja wina.

Niezrażona zasiadła w fotelu.

– To... – wskazała na charta – ...jest Gordon Warlock-Williams. Może pan jednak usiądzie. Jesteśmy z kierownictwa Komitetu Pensjonariuszy.

– Bardzo miło z państwa strony, ale ponieważ nie jestem...

– Zamierzałam przedstawić się przy śniadaniu, ale dzisiejsze nieprzyjemności zaszły rano, jeszcze zanim zdążyliśmy wziąć pana pod nasze skrzydła.

– Było, minęło, Cavendish – stwierdził rubasznie Gordon Warlock-Williams. – Nikt do tego nie będzie wracał, chłopie, może pan spać spokojnie. – Walińczyk. Tak, musiał być z Walii.

Pani Bendincks nachyliła się.

– Musi pan jednak zrozumieć, panie Cavendish: wywrotowcy nie są tu mile widziani.

– To proszę mnie stąd odesłać! Błagam!

– Aurora House nikogo nie odsyła – odrzekło święte krówsko – ale zostaną panu podane odpowiednie lekarstwa, jeśli będzie tego wymagać pana zachowanie, dla pańskiego dobra.

Przerażające, prawda? Oglądałem kiedyś *Lot nad kukulczym gniazdem* razem z niewiarygodnie pozbawioną talentu, ale bogatą i owdowiałą poetką, której dzieła zebrane, *Wiersze niepokorne*, opatrywałem przypisami, lecz która okazała się jednak mniej owdowiałą, niż twierdziła.

– W porządku. Nie mam żadnych wątpliwości, że jest pani rozsądną kobietą. – Oksymoron przebrzmiał bez komentarza. – Więc proszę posłuchać mnie bardzo uważnie. Jestem tutaj przez pomyłkę. Zameldowałem się w Aurora House w przekonaniu, że to hotel.

– Ależ rozumiemy, panie Cavendish! – przytaknęła Gwendolin Bendincks.

– Nic nie rozumiecie!

– Tutaj każdy na początku jest nieco przygnębiony, ale wkrótce rozchmurzy się pan, gdy zrozumie, że pana bliscy mieli przede wszystkim na względzie pańskie dobro.

– Wszyscy moi „bliscy” albo nie żyją, albo ześwirowali, albo pracują w BBC, wszyscy oprócz braciszka-kawalarza!

Rozumiesz to już, prawda, Drogi Czytelniku? Byłem trzymany w domu wariatów z horroru klasy B. Im bardziej się wściekałem, im więcej toczyłem piany, tym bardziej dowodziłem, że właśnie tam jest moje miejsce.

– To najlepszy hotel ze wszystkich, w których zdarzyło się panu mieszkać, chłopie! – Warlock-Williams miał zęby koloru herbatników. Gdyby był koniem, nikt by go nie mógł oddać do przytułku. – I to pięciogwiazdkowy. Dobrze karmią, robią pranie. Wypełniają czas różnymi zajęciami. Nie trzeba się martwić o rachunki, ani że jakiś smarkacz ukradnie ci samochód, żeby się przejechać. Tu jest szafowo! Tylko niech pan przestrzega zasad i nie zadziera więcej z siostrą Sykes. Tak naprawdę wcale nie jest okrutna.

– „Nieograniczona władza w rękach ograniczonych ludzi zawsze prowadzi do okrucieństwa”.

Warlock-Williams popatrzył na mnie, jakbym mówił nieznanymi językami.

– Sołżenicyn.

– Nam z Marjorie kiedyś zawsze wystarczały wczasy w Betws-y-Coed. A tu proszę! Choć

w pierwszym tygodniu czułem się dokładnie tak samo jak pan. Prawie nie odzywałem się do nikogo. Prawda, pani Bendincks, niezły był ze mnie czarnowidz?

– Mistrz czarnowidztwa, panie Warlock-Williams!

– Ale teraz żyję tu sobie jak pączek w maśle, co?

Pani Bendincks uśmiechnęła się, upiorny był to widok.

– Jesteśmy tu po to, by pomóc się panu przeorientować. Słyszałam, że zajmował się pan branżą wydawniczą. Przykro mówić, lecz pani Birkin coraz gorzej wychodzi sporządzanie sprawozdań z zebrań Komitetu Pensjonariuszy – postukała się dłonią w czoło – już nie to, co kiedyś. Ale to doskonała okazja, by pan mógł się włączyć!

– Ja nadal zajmuję się branżą wydawniczą! Czy wyglądam na kogoś, kto powinien się tu znajdować? – Cisza była nie do wytrzymania. – Och, idźcie już stąd oboje!

– Jestem rozczarowana. – Spojrzała na zasypany liśćmi trawnik, usiany malutkimi kopczykami przez ryjące robaki. – Aurora House jest teraz, proszę pana, pańskim domem.

Głowę miałem z korka, w który Gwendolin Bendincks wkręcała się jak śrubokręt.

– Tak, jest pan w Domu Spokojnej Starości. Nadszedł ten dzień. Pański pobyt tutaj może być albo bardzo przykry, albo przyjemny. Ale zostanie pan tu już na stałe. Niech pan to, panie Cavendish, dobrze przemyśli. – Zapukała w drzwi.

Niewidzialna siła pozwoliła moim oprawcom wyjść, lecz mnie zatrzasnęła drzwi przed nosem.

Dopiero teraz zobaczyłem, że podczas tej rozmowy miałem cały czas rozpięty rozporek.



Oto twoja przyszłość, panie Cavendish Młodszy. Choć wcale nie będziesz się starał o członkostwo, plemię starych upomni się o ciebie. Twoja prywatna teraźniejszość nie będzie dotrzymywała tempa teraźniejszości świata. Od tego rozdziwienku sflaczeje ci skóra i zrzeszotnieje szkielet, przerzedzą się włosy i odejdzie pamięć, skóra zrobi ci się tak cienka, że pulsujące organy i błękitne żyłki staną się na wpół widoczne. Będziesz wychodził do świata tylko za dnia, unikał weekendów i szkolnych wakacji. Także język zacznie zostawiać cię w tyle, zdradzając twoją plemienną przynależność, cokolwiek będziesz mówił. Na schodach ruchomych, na szosach, w alejkach supermarketów, żywi zaczną cię bezustannie wyprzedzać. Eleganckie kobiety przestaną cię zauważać. Detektywi sklepowi przestaną cię zauważać. Sprzedawcy przestaną cię zauważać, chyba że będą sprzedawać podnośniki schodowe albo oszukańcze polisy na życie. Tylko dzieci, koty i narkomani będą dostrzegać twoje istnienie. Więc nie marnuj dni. Nawet wcześniej, niż się tego obawiasz, staniesz przed lustrem w domu opieki, spojrzysz na swoje ciało i pomyślisz: „cholera, E.T., zamknięty na dwa tygodnie w składziku”.



Bezplciowy robot przyniósł na tacy obiad. Nie chcę, by to zabrzmiało obraźliwie, ale naprawdę nie potrafiłbym powiedzieć, czy to była kobieta, czy mężczyzna. To coś miało lekki wąsik, ale też i niewielki biust. Rozważałem ewentualność zamroczenia tego czegoś mocnym ciosem i ucieczki ku wolności w stylu Steve'a McQueena, nie miałem jednak żadnej broni, oprócz kostki mydła, i niczego, żeby ofiarę związać, oprócz własnego paska.

Na obiad były ledwo letnie kotlety cielęce. Ziemniaki przypominały wypełnione skrobią granaty. Marchewka z puszki odrzucała mnie z natury.

– Bardzo proszę – błagałem robota – czy mogę przynajmniej dostać trochę musztardy Dijon?

Robot nie wykazał śladu zrozumienia dla moich słów.

– To chociaż takiej, jaka jest, ziarnistej albo zwykłej. Nie jestem wybredny.

Odwróciła się, żeby odejść.

– Niech pani poczeka! Mówi pani, eee... po angielsku?

Już jej nie było. Kolacja wygrała ze mną w starciu o to, kto pierwszy nie wytrzyma i spuści wzrok.

Od samego początku przyjąłem złą strategię. Chciałem krzykiem wydostać się z tego absurdu, ale pacjentom zakładów lecznictwa zamkniętego nigdy się to nie udaje. Handlarze niewolników cieszą się, gdy od czasu do czasu można publicznie upokorzyć jakiegoś buntownika. W całej literaturze więziennej, jaką czytałem, od *Archipelagu Gutag*, przez *An Evil Cradling*^[221], po *W Ryja*, prawa trzeba sobie wykupić i zdobyć wielkim sprytem. W rozumieniu oprawców opór więźniów daje jedynie usprawiedliwienie dla jeszcze bardziej okrutnego ograniczania wolności.

Teraz zatem nadszedł czas na fortele i matactwa. Powinienem spisywać dokładne notatki dla potrzeb przyszłej umowy o odszkodowanie. Powinienem być szarmancki wobec siostry Sykes. Ale kiedy nabierałem zimny groszek na plastikowy widelec, w głowie wybuchła mi seria zimnych ogni i stary świat gwałtownie dobiegł końca.

Antyfona Sonmi~451

Historycy jeszcze nienarodzeni docenią w przyszłości twoją współpracę, Sonmi~451. My, archiwiści, dziękujemy ci już teraz. Nasza wdzięczność może niewiele znaczyć, lecz zobowiązuję się spełnić twoje ostatnie życzenie, jeśli tylko leży ono w gestii mojego ministerstwa. A teraz – ten srebrny owalny przyrząd to antyfona. Rejestruje zarówno obraz twojej twarzy, jak i twoje słowa. Gdy skończymy, antyfona przechowywana będzie w archiwach Ministerstwa Świadectw. Pamiętaj, to nie jest przesłuchanie ani proces. Liczy się wyłącznie twoja wersja prawdy.

Żadna inna wersja prawdy nigdy nie miała dla mnie znaczenia.

Zatem zacznijmy. Zwykle na początek proszę rozmówców, aby przypomnieli sobie najwcześniejsze wspomnienia... Widzę jednak, że się wahasz.

Nie mam żadnych najwcześniejszych wspomnień, Archiwisto. Wszystkie dni życia w PapaSongu były tak do siebie podobne, jak wydawane przez nas frytki.

Czy mogłabyś opisać ów świat?

Była to szczelnie zamknięta kopuła o średnicy około osiemdziesięciu metrów, mieściła się w niej kantyna należąca do PapaSong Corp. Usługujące spędzały tam na pracy dwanaście lat, nigdy nie wychodząc poza tę przestrzeń. Kantynę zdobiły gwiazdy i pasy w barwach czerwieni i żółci oraz wschodzące słońce. Celsjusze regulowane były stosownie do warunków na Zewnątrz; w zimie pomieszczenie jest podgrzewane, latem jest chłodniej. Kantyna mieściła się na poziomie minus dziewięć pod Chongmyo Plaza. Zamiast okien, dekorację ścian stanowiły reklawizory. We wschodniej ścianie kantyny była winda; jedyne wyjście z pomieszczenia i wejście do środka. Północną ścianę zajmował gabinet Widzącego, zachodnią sala jego Pomocników, ścianę południową spalnica usługujących. Higienery dla konsumentów były wbudowane w rogach: północno-wschodnim, południowo-wschodnim, południowo-zachodnim i północno-zachodnim. Pośrodku mieścił się Punkt Centralny. Tu jedzący zamawiali posiłki; my wprowadzałyśmy ich zamówienia, obciążałyśmy na kasach ich Dusze, a następnie dostarczałyśmy posiłki na tacach. W Punkcie Centralnym wznosi się też Ołtarz Papy Songa. Na nim prezentował zabawne skecze q rozrywce jedzących.

Skecze?

Sztuczki w 3D; wypijał palcem sok z guawy ze styropianowych qbqw; zonglował płonącymi hamburgerami; kichając, wypuszczał nosem ćmy. Dzieci uwielbiają Jego łagodny sposób bycia; oczywiście usługujące też Go uwielbiają. Nie miałyśmy innej matki ani ojca oprócz Papy Songa, Logomana naszej korporacji.

Ile osób personelu pracowało w kantynie?

Około czternastu. Standardowa kantyna w PapaSong Corp zatrudnia jednego ludzkiego Widzącego, jego dwóch lub trzech Pomocników, a do pracy ma przynależnych dwanaście usługujących; są to zwykle cztery załogi macierzyste, każda złożona z trzech osób. W moim roq nowotwarzy mieliśmy trzy Hwa-Soony, trzy Yoony, trzy Ma-Leu-Da i trzy Sonmi; taki komplet wystarczał, by radzić sobie z napływem klientów w godzinach szczytu. Kantyna miała miejsca dla czterystu konsumentów, lecz w Dziewiąte Wieczory i Dziesiąte Dnie ze Stadionu Korporacji przychodziły tak wielkie tłumy, że konsumenci musieli jeść na stojąco.

Mogłabyś opisać rozkład dnia usługującej?

O czwartej trzydzieści zaczynają powoli rozświetlać. Do obiegu powietrza wpuszczana jest stymulina, żebyśmy wstały z posłań. Idziemy rzędem do higienierów, a następnie myjemy się pod parą. W spalni wkładamy czyste uniformy; potem zbieramy się wołą Punktu Centralnego razem z Widzącym i jego Pomocnikami. Papa Song pojawia się na Ołtarzu na Godzinki i wspólnie recytujemy Sześć Katechizmów. Nasz Logoman wygłasza następnie Kazanie. Za minutę piąta idziemy na nasze stanowiska wołą Punktu Centralnego.

Windą zjeżdżają pierwsi konsumenci. Przez dziewiętnaście godzin witamy jedzących, wprowadzamy zamówienia, podajemy na tacach jedzenie, wydajemy napoje, uzupełniamy przyprawy, wycieramy stoły, wyrzucamy śmieci, czyścimy higienery konsumentów i pokornie prosimy szanownych jedzących o obciążenie swoich Dusz w kasach Punktu Centralnego.

Nigdy nie odpoczywacie?

„Odpoczynek” stanowi kradzież czasu, Archiwisto! Godzina zero to początek zaciemnienia, więc do tego czasu wszyscy konsumenci zawsze opuszczają już kantinę. Czyścimy każdy centymetr pomieszczenia do godziny zero trzydzieści, następnie zbieramy się wołą Ołtarza na Nieszpory, a potem wracamy rzędem do spalni, gdzie wchłaniamy Mydło z woreczkw. O godzinie zero czterdzieści pięć zaczyna działać sennofix. Za niecałe cztery godziny solary ponownie się rozświetlają na nową zmianę pracy i rozpoczyna się nowy dzień.

Czy to prawda, że fabrykanty naprawdę śnią, tak jak my?

Tak, Archiwisto, naprawdę mamy sny. Kiedyś często śniłam, że widzę turqsove fale Hawajów; śniłam o życiu w Uniesieniu; o tym, że chwali mnie Papa Song; o moich siostrach, o konsumentach, o Widzącym Rhee i Pomocnikach. Miewamy także koszmary; o rozłoszczonych jedzących, o zatkanych rurach żywnościągów, o zgubionych obrożach i hańbiących odarciach z gwiazd.

O czym śniłaś tu, w więzieniu?

O nieznanym miastach; o pościgu przez czarno-biały krajobraz; o mojej przyszłej egzekcji; tuż zanim strażnik obudził mnie, by przyprowadzić do Ciebie, śnił mi się Hae-Joo Im. Zarówno w PapaSangu, jak i w tym sześcianie, sny to jedyny nieprzewidywalny czynnik we wszystkich przedziałach moich dni i nocy. Nikt ich mi nie przydziela ani nie cenzuruje. Sny to jedyna rzecz naprawdę moja.

Czy usługujące nigdy nie są ciekawe wielkiego świata poza ich kopułą, czy też wierzycie, że kantyna to cały kosmos?

Nasza kosmologia nie jest aż tak prymitywna ani nasza inteligencja aż tak ograniczona. Widziałyśmy świat na Zewnątrz w reklawizji; Papa Song pokazał nam sceny z Uniesienia; wiedziałyśmy też, że konsumenci i jedzenie, które im podawałyśmy, muszą skądś pochodzić.

Ale Mydło stępiea ciekawość; wolimy się nie zastanawiać.

Trudno wyobrazić sobie cokolwiek, gdy żyje się z tak wielką liczbą spraw nieogarnionych.

Gdy miałeś trzy czy cztery lata, Archiwisto, Twój ojciec znikał codziennie w sferze zwanej „Pracą”, prawda? Zostawał w „Pracy” aż do zaciemnienia, ale Ty nie zastanawiałeś się nad wymiarami, położeniem lub naturą owej sfery, ponieważ interesowało Cię jedynie to, co miałeś przed oczami. Właśnie w ten sposób fabrykanty z wnętrza odbierają miejsce zwane „Zewnątrzem”.

Więc nigdy nie chciałaś wejść do windy i zwyczajnie... pozwiedzać?

Pytasz, jak czystokrwisty, którym jesteś, Archiwisto! Żadna winda nie działa, gdy nie ma w niej choć jednej Duszy.

Słusznie. A czy miałyście poczucie czasu? Poczucie przyszłości?

Tak: jak głosi Katechizm Szósty.

A jak głosi?

„Co roq jedna gwiazda, dwanaście gwiazd do Uniesienia!”. Podczas Kazania Gwiazd rano w Nowy Rok nasze dwunastogwiedzne siostry czyniły znak dolara, padały na kolana, a następnie wychodziły przez Wyjście w podróż na pokładzie złotej Arki Papy Songa. W 3D widziałyśmy, jak wchodzi do niej, by udać się na Hawaje; później oglądałyśmy je po przybyciu do Uniesienia; niedługo potem byłyśmy świadkami ich transformacji w bardzo zajęte, dobrze ubrane konsumentki. Z ich szyj znikaly obroże; pokazywały nam swoje topazowe Dusze, trzymane w palcach; machały do nas ze świata, którego nie obejmował nasz zakres słów. Butiki, fryzjerzy, restauracje; zielone morza, różowe niebo; dzikie kwiecie, tęcze, koronki, qcyki, domki wiejskie, ścieżki, motyle. Jakżeż się tym zachwycaliśmy! Jak szczęśliwe były nasze siostry. Nawoływały nas do ciężkiej pracy; abyśmy pilnością zapracowały na własne gwiazdy; spłaciły Inwestycję; i dołączyły do nich, w Uniesieniu, jak można najszybciej.

„Jak można najszybciej”? Myślałam, że wasze życie pracy jest ustalone na dwanaście lat?

Jeśli usługująca doniesie na odstępstwo od norm u którejś z sióstr, zostaje nagrodzona

jedną gwiazdą, odebraną odstępczyni i Uniesienie przybliży się o rok. Odebranie gwiazdy jest skuteczną metodą odstraszania. Sama widziałam zaledwie jedno.

A, tak. Niesławna sprawa Yoony~939. Pamiętasz, kiedy ją poznałaś?

Tak. Moje pierwsze wrażenie było niekorzystne. Ma-Leu-Da raczej boją się nowotwarzy; Hwa-Soony próbują nami komenderować; Yoony są wyniosłe i posępne, a Yoona~939 nie była wyjątkiem. Bardzo chciałam dostać za partnerkę inną Sonmi, ale Widzący Rhee rozdzielił macierzyste typy równo między wszystkie kasy Punktu Centralnego. Ja pracowałam z Yooną~939; nasze posłania w spalni także stały obok siebie.

Zdanie o niej zmieniłam pierwszego Dziesiątego Dnia. Nie była wyniosła, ale ostrożna; jej oczy koloru kości słoniowej nie były posępne, lecz wymowne. Jej skryty charakter był barwny, a jego barwy mnie pociągały; odwzajemniała moje pragnienie przyjaźni; ostrzegła mnie, kiedy Widzący Rhee miał przeprowadzić inspekcję; rozszyfrowywała zamówienia pijanych jedzących. To dzięki lekcjom, których mi udzieliła, zarówno celowym, jak i niezamierzonym, przetrwałam lata pracy u Papy Songa.

Te „barwy”, o których mówisz – czy wynikały z jej podniesienia?

Notatki z badań studenta Boom-Sooka były tak chaotyczne, że nie mogłam sprawdzić z całą pewnością, kiedy eksperyment na Yoonie~939 miał swój początek; lecz na podstawie własnego doświadczenia wierzę, że podniesienie jedynie wyzwala to, co było stłumione przez Mydło. Podniesienie nie zaszczepia cech, które nigdy nie były obecne. Mimo że czystokrwisci bardzo starają się sami sobie wpoić odrębne przekonanie, umysły fabrykant ogromnie różnią się między sobą, nawet jeśli ich cechy cielesne nie zdradzają różnic.

„Mimo że czystokrwisci tak bardzo starają się sami sobie wpoić odrębne przekonanie”? Dlaczego tak mówisz?

Zniewolenie jednostki czystokrwistej dręczy ich sumienie, lecz zniewolenie klona traktują zaledwie jak posiadanie najnowszego sześciokołowego modelu forda masowej produkcji. W rzeczywistości wszystkie fabrykanty, nawet fabrykanty z tego samego typu macierzystego, są niepowtarzalne, jak płatki śniegu. Czystokrwisci nie mogą gołym okiem rozpoznać tych różnic, lecz one istnieją.

Kiedy odstępstwa Yoony~939 stały się dla ciebie oczywiste?

Odpowiedź na pytanie „kiedy?” staje się problematyczna w świecie, gdzie nie ma kalendarzy ani okien. Pierwszym jasnym znakiem podniesienia Yoony była jej mowa. Zaczęło się to około Szóstego Miesiąca, wtedy więcej mówiła. Katechizm nie nakłada obowiązków milczenia w spalni czy w higienierze, lecz Widzący Rhee ganił nas, gdy rozmawialiśmy bez powodu. Yoona zaczęła mówić podczas pór milczenia w Punkcie Centralnym lub podczas

sprzątania; o konsumentach, o ich zachowaniu i strojach; plotkowała o Widzącym i Pomocnikach. Nawet w higienierze, gdy wchłaniałyśmy Mydło. Z początku wszystkie nas to bawiło, nawet siostry Ma-Leu-Da.

Potem język Yoony stawał się coraz bardziej złożony; trudno ją było zrozumieć. Orientacja naucza nas słownictwa, którego potrzebujemy do pracy, lecz następnie amnezjady w Mydle wymazują przyswojone słowa. Mowa Yoony była pełna słów, których żadna z nas nie była w stanie rozpoznać. Brzmiała jak czystokrwista.

Jakie inne odstępstwa można było zaobserwować?

Yoona~939 naśladowała konsumentów. Gdy zmywała mopem higieny jedzących, udawała, że jest źle wychowaną czystokrwistą. Ziewała, żuła, kichała, odbijało jej się i zachowywała się jak pijana. Przy absurdalnych odstępstwach nuciła Psalm Papy Songa. Znajdowała przyjemność w doprowadzaniu mnie do śmiechu. Śmiech to bluźnierstwo wobec anarchii. Tyrani mądrze czynią, że się go boją.

A kiedy Yoona~939 rzeczywiście pogwałciła Katechizm publicznie?

W Ósmym Miesiącu Yoona złamała Katechizm Piąty. Zabrania on usługującej zwracać się do jedzącego bez zaproszenia. Matka konsumentka i jej mały synek zamówili gumakaron w zupie z wodorostów, lecz spust był aqrat zapchany w godzinach konsumenckiego szczytu, więc Yoona prosiła ich pokornie, by poczekać. Znudzony chłopiec zapytał, dlaczego niektóre usługujące wyglądają identycznie. Matka wytłumaczyła mu, że hoduje się nas w tej samej wylęgarni, jak rzodkiewki, o których on się uczy na biologii. Chłopiec zapytał, w jakiej wylęgarni on sam był hodowany. „Chcesz dwie słomki czy trzy?” – zapytała matka, rumieniąc się lekko. Chłopiec nalegał: kto opiekuje się dziećmi fabrykant, kiedy tu pracujemy? „Fabrykanci nie mają dzieci”, odpowiedziała matka, „ponieważ nie chcą ich mieć”. Chłopiec zastanowił się nad tym, a potem zapytał: „Czy Ciotka Ae-Sook też jest fabrykantą?”

Matka powiedziała, że fabrykanci nie muszą się martwić o dolary, testy, ubezpieczenia, awans do wyższej warstwy lub degradację do niższej, o choroby czy limit urodzeń. Zbyła Yoone i mnie machnięciem dłoni. „Te sklonowane szczęściary”, powiedziała, „pracują zaledwie dwanaście lat, po czym przechodzą na emeryturę i wyjeżdżają na Hawaje. Dlatego właśnie usługujące zawsze się uśmiechają”.

Yoona powiedziała: „Bzdury, proszę pani”.

Zwróciła się tak do konsumentki? A ona jak na to zareagowała?

Była równie zdumiona, jak Ty, Archiwisto. Zaniemówiła i upewniła się, że Yoona mówi to do niej.

„Tak, do pani” – odparła Yoona. – „Niech pani popracuje sobie w Punkcie Centralnym

przez dziewiętnaście godzin, dziesięć dni w tygodniu przez dwanaście lat życia; niech pani usługuje obrażającym panią konsumentom; niech pani upokarza się przed Widzącym, Pomocnikami i Logomanem; niech pani przestrzega Katechizmów; niech pani sama się o tym wszystkim przekona, a dopiero potem mówi, że fabrykanty są najszcześniejszą warstwą w Państwie. Uśmiechamy się, ponieważ jesteśmy tak zaprojektowane genetycznie. Mówi pani o nas »szczęściary«? Odebrałabym sobie życie choćby teraz, ale wszystkie noże w tym więzieniu są z plastiku. Proszę pani”.

Chłopiec zagapił się na Yoone~939 szeroko otwartymi oczyma, a potem się rozplakał.

Matka chwyciła synka i uciekła do wyjścia.

Dlaczego matka nie doniosła o odstępstwie Yoony~939 ani wtedy, ani nigdy potem?

Może w szoq nie wiedziała, co robić; może potajemnie była Abolicjonistką; może złożyła skargę, ale Jednomyślność ukryła ją, by chronić experiment. Tego nie dowiem się nigdy.

Nie było żadnych innych świadków wykroczenia?

Ma-Leu-Da~108 była trzecią siostrą usługującą na ścianie zachodniej. „Nienawidziła” Yoony~939 za to, że zaprzyjaźniła się z nowotwarzą, lecz również dlatego, że sama była ziejącą nienawiścią Ma-Leu-Da. Nie złożyła donosu na wybuch Yoony, lecz dostrzegłam przebiegły błysk na jej twarzy. Błagałam Yoone, żeby bardziej uważała, lecz moja przyjaciółka pozostała na to obojętna.

Z mojego doświadczenia wynika, że usługujące z trudem potrafią sklecić zdanie z pięciu słów. W jaki sposób Yoona rozwinęła umiejętności mowy w tak hermetycznym świecie?

W podniesieniu wchłania się mowę tak, jak sucha ziemia wchłania wodę. Z ust same płyną słowa, których znajomości nawet sobie nie uświadamiasz. Pamiętaj, Archiwisto, Yoona nie była zwykłą usługującą, a żadna kantyna nie jest całkowicie hermetyczna. Każde więzienie ma dozorców, a dozorczy są łącznikami. W czasie mojego własnego podniesienia ja także przyswoiłam nowe słowa, gramatykę i idiomy od naszego Widzącego i jego Pomocników, od Papy Songa, z reklawizji, od jedzących oraz z ich sonych.

Pytanie natury bardziej ogólnej. Czy za tamtych dni byłaś szczęśliwa?

Czy szczęście to nieobecność poczucia deprywacji? Jeśli tak, usługujące, w co czystokrwisci lubią wierzyć, są najszcześniejszą warstwą w korpokracji. Lecz jeśli szczęście to pokonanie przeciwności czy uczucie bycia docenioną i spełnioną, to ze wszystkich niewolników Nea So Copros^[231] jesteśmy z całą pewnością najbardziej nieszczęśliwi.

Nie ma niewolników w Nea So Copros! Nawet samo słowo jest usunięte!

Archiwisto: czy Twoja młodość jest prawdziwa, czy przywołana działaniem uany? Dlaczego zostałeś przydzielony do mojego „bezprecedensowego” przypadku? Nie chciałabym Cię obrazić tym pytaniem.

Nie obrażasz mnie. Moja obecność tutaj jest wynikiem kompromisu. Jednomyślność stanowczo twierdziła, że heretyczka nie może zaoferować archiwom państwowym niczego cennego, może jedynie podżegać. Genomiści użyli wpływów w Dżucze, by wbrew życzeniom Jednomyślności wprowadzić w życie Regulę 54. iii, nie mogli jednak polegać na wyższych rangą archiwistach, którzy, obserwując twój proces, uznaliby pewnie, że twój przypadek jest zbyt niebezpieczny, by chcieli zaryzykować własną reputację. No i proszę. „Spowiednik” sam wszystko wyznał.

Zatem stawiasz całą swoją karierę na jedną kartę – Twój los zależy od tego, co zeznam?

...Tak. Można to tak ująć.

Nauczyłam się, że od osób mnie przesłuchujących mogę oczekiwać jedynie dwulicowości.

Dwulicowy Archiwista nie na wiele przydałby się komukolwiek! Możesz powiedzieć mi więcej o Widzącym Rhee? Odgrywał bardzo ważną rolę w twoim życiu w PapaSong Corp i zeznał przeciw tobie na procesie. Jakim był człowiekiem?

Widzący Rhee był człowiekiem korporacji do szpić kości. Jego najwyższym życiowym celem było osiągnięcie warstwy egzekutywy w PapaSong Corp; próżne nadzieje. Już dawno przekroczył wiek, w którym Widzących promuje się do warstwy mającej rzeczywistą władzę. Rhee trzymał się qrczowo przekonania, że ciężka praca i nienagane świadectwo wystarczają, by osiągnąć to, czego tak bardzo pragnął. Większość nocy podczas zaciemnienia spędzał w biurze; do wszystkich jedzących odnosił się z szacunkiem, do przełożonych z uniżeniem i pochlebstwami; wobec fabrykant zachowywał się jak nadzorca z batem; i był uprzejmy wobec wielu tych, którzy przyprawiali mu rogi, w nadziei, że kiedyś wyciągną go z zapomnienia, gdy sami będą pieli się po szczelach warstw.

Powiedziałaś „wielu tych, którzy przyprawiali mu rogi”?

Rozpatrując osobę Widzącego Rhee, należy zawsze pamiętać o wpływie jego żony. Pani Rhee korzystała na tym, że w jej stronę płynął od męża strumień dolarów. Już wiele lat wcześniej odsprzedała swój limit urodzeń chłopców, poczyniła własne sprytne inwestycje i wydawała pensję męża na uanę i twarzeźby, żeby przy swojej siedemdziesiątce mogła uchodzić za osobę trzydziestoletnią. Pani Rhee przychodziła do kantyny na przegląd najnowszych Pomocników płci męskiej. Musiała mieć pewne wpływy w hierarchii w PapaSongu; Yoona-939 powiedziała mi,

że Pomocnicy, którzy byli jej posłuszni, mogli spodziewać się awansu do bardziej prestiżowej kantyny. Tych nieszczęśliw, którzy się jej sprzeciwili, czekała najmroczniejsza Mandżuria.

Jak to się stało, że nigdy nie użyła swoich wpływów z korzyścią dla męża?

Nie znam ich wewnętrznych małżeńskich układów, Archiwisto, i nie mogę spełnować. Będziesz musiał zadać to pytanie pani Rhee.

Ale dlaczego Widzący Rhee tolerował... takie ciągłe upokorzenia?

Po pierwsze: żona promieniowała czarem i realizowała korporacyjne zadania, co kompensowało jego własne niedostatki. Po drugie: żaden rozwodnik nie został jeszcze nigdy Członkiem Rady. Po trzecie: bo tak musiał.

Jak sądzisz, czy Yoona~939 stanowiła zagrożenie dla nienagannego świadectwa pracy Widzącego Rhee?

Z całą pewnością tak. Usługująca, która zachowuje się jak czystokrwista, zawsze stanowi problem; problem natychmiast przyciąga uwagę chętnych do stawiania zarzutów; a zarzuty docierają aż na sam szczyt. Zatem, gdy Widzący Rhee zauważył odstępstwa u Yoony~939, ominął procedurę odarcia z gwiazdy i chciał wezwać korporacyjnego Medyka, by ją przeorientował.

W którym momencie Yoona~939 uczyniła cię współniczką swoich przestępstw?

Yoona usiłowała wytłumaczyć mi znaczenie nowo odkrytego słowa „sekret”. Posiadanie wiedzy o czymś, czego nie wiedział nikt inny, nawet Papa Song, było nie do pomyślenia. Więc pewnej nocy po zmianie w kantynie, gdy wszystkie siedziałyśmy w myjni parowej, Yoona obiecała pokazać mi sekret.

Nie obudziły mnie ostre, żółte światła, tylko Yoona, która potrząsała mną w bladym półświatle pory zaciemnienia. Nasze siostry leżały na posłaniach i lekko drgały im mięśnie.

– Chodź ze mną – poleciła mi Yoona, jak Widzący.

– Przecież jest zaciemnienie – odpowiedziałam. – Boję się.

– Nie bój się. Idź za mną.

– Dokąd idziemy?

– Do sekretu. – Poprowadziła mnie ze spalni na środek kantyny. Przeraziła mnie okropna cisza. Czerwone i żółte barwy przeszły teraz w zielenie i brązy. Ołtarz Papy Songa był martwą

plytą. Przez drzwi Widzącego Rhee sączyło się przyćmione światło. Yoona otworzyła te drzwi; nauczyłam się wtedy, że wewnątrz każdego sekretu czai się strach przed odkryciem.

Nasz Widzący leżał z głową na biurku. Ściekająca ślina przykleiła mu brodę do sonogo; powieki mu remowały, a w gardle ugrzęzła flegma. „W każdą Dziesiątą Noc”, powiedziała mi Yoona, „nasz Czcigodny Widzący zostaje w kantine na zaciemnienie. Pomocnikom mówi, że musi nadrobić biurową pracę, ale naprawdę wchłania Mydło i przesypia aż do rozświetlenia”.

– Na czystokrwistych Mydło działa jak narkotyk. – Kopnęła go z całej siły w brzuch; moja konsternacja ją rozbawiła. – Możesz robić, co tylko chcesz, nigdy się nie budzi. Żył z fabrykantami tak długo, że jest jednym z nas, prawie.

Yoona otworzyła biurko Widzącego Rhee, wydobyła mały srebrny klucz i poprowadziła mnie przez całą kantine do ściany między wejściem a północno-wschodnim higienierem.

– I co widzisz? – zapytała.

Nic nie widziałam.

– To przyjrzyj się dobrze – powiedziała.

Wtedy zobaczyłam cienką linię i kropkę. Dotknęłam tej kropki; była dziurką od klucza. Yoona dała mi klucz. Włożyłam go. Linia zmieniła się w prostokąt i otworzyły się drzwi. Leżący za nimi ciemny poqj nie zdradzał nawet jednym szczegółem, co się w nim mieściło. Yoona wzięła mnie za rękę.

Zawahałam się. Jeśli za wałęsanie się po kantine może nie groziło jeszcze odarcie z gwiazdy, to za wchodzenie do nieznanymi pokojów już na pewno tak. Ale Yoona nie wypuściła mojej ręki. Trzykrotnie padłam na kolana przed dolarem i pozwoliłam jej się prowadzić. Drzwi zamknęły się za nami z cichym kliknięciem. Ciemność czarna jak sadza pachniała qrzem, rozkładem i starym środkiem czyszczącym. Yoona szepnęła:

– Teraz, Sonmi, jesteś w samym środku sekretu.

Ciemność przeciął snop światła; zobaczyłam wąski magazynek, zagrożony zapomnianymi przedmiotami: były tam ustawione w stosy krzesła; plastikowe rośliny; płaszcze, kapelusze, wachlarze; wypalone słońce; liczne parasole. Twarz Yoony; moje oczy. Światło je raniło.

– Czy światło żyje? – zapytałam.

– Światło jest życiem – odrzekła Yoona.

Znalazła tę latarkę zostawioną pod stołem, więc ukryła ją w naszym Punkcie Centralnym, a później przyniosła do sekretnego pokoju. To zaszokowało mnie najbardziej.

Dlaczego?

Katechizm Trzeci naucza, że jeśli usługująca zatrzymuje sobie na własność cokolwiek, nawet myśli, odrzuca tym samym miłość, jaką Papa Song okazuje nam Swą Inwestycją. Zastanawiałam się, czy Yoona przestrzegała jeszcze w ogóle jakiegokolwiek Katechizmu? Pokazała mi metalową skrzynkę pełną bransoletek, naszyjników i spiętych w pary kolczyków. Wsunęła sobie między warkocze szmaragdową tiarę, a mnie na szyi zawiesiła fioletowe perły. Zapytałam, jak Yoona odkryła sekretny poqj.

– Przez ciekawość – odparła.

Nie znałam tego słowa.

– Czy ciekawość to latarka czy klucz?

Yoona odrzekła, że i to, i to. Potem pokazała mi najpiękniejszy skarb ze wszystkich.

– Ta książka – powiedziała z namaszczeniem – ukazuje świat na Zewnątrz takim, jaki jest naprawdę.

Czy Yoona umiała też czytać, jak czystokrwista, podobnie jak mówić?

Zadałam jej to samo pytanie; w odpowiedzi usłyszałam pełne smutq „nie”. Ale czytałyśmy obrazki. Jeden z nich przedstawiał oświetloną światłem świec komnatę czystokrwistych, odzianych we wspaniałe szaty i połyskliwe suknie. Patrzyłam jak zahipnotyzowana. Dlaczego te obrazy nie poruszały się, jak obrazy na sonych jedzących? Yoona przypuszczała, że może książka była zepsuta; to tłumaczyłoby, dlaczego właściciel ją porzucił.

W książce było wiele obrazq: zaniedbana usługująca obsługuje trzy brzydkie siostry; biała wiedźma obsypuje ją gwiazdami i zmienia w damę, taką jak pani Rhee; przystojny czystokrwisty wycina mieczem szlak w ciemnym lesie; siedmiu niskorosłych fabrykantów niesie dziwne sztuce za dziewczyną w białej spódnicy; dom zbudowany z ciastek; konik morski rozczesujący syrenie włosy; zamki, lustra, smoki. Oczywiście, wtedy nie byłyśmy w stanie rozpoznać większości wyobrazonych tam przedmiotów. Gdy byłam usługującą, nie potrafiłabym użyć większości słów, jakie wypowiedziałam w tej rozmowie.

Tak wiele dziwów w czasie jednego tylko zaciemnienia odurzyło mnie. Yoona poświeciła latarką na rolex i powiedziała, że musimy wracać do spalni przed rozświetleniem. Następnym razem, obiecała, pokaże mi więcej.

Więc był następny raz?

Oczywiście. Przez dziesięć Dziesiątych Nocy, albo piętnaście, Yoona budziła mnie i prowadziła do swojego sekretu. Za każdym razem zarzekałam się, że już po raz ostatni. Za każdym razem zachwycałam się nowymi skarbami. Gdy nadeszła zima, moja przyjaciółka

ożywiała się jedynie podczas naszych potajemnych wizyt w sali skarbów. Zastanawiając się nad Xięgą Świata na Zewnątrz, dała wyraz wątpliwościom, które wstrząsnęły moją wiarą w każdy aspekt tego, co uważałam za prawdę.

Jaką formę przybierały te wątpliwości?

Dotyczyły tego, co było pewne w świecie fabrykant. Jak Papa Song mógł stawać na Ołtarzu w PapaSongu pod Chongmyo Plaza i jednocześnie chodzić po plażach Uniesienia? Dlaczego fabrykanty przychodziły na świat obciążone długiem, a czystokrwisci nie? Kto decydował o tym, że spłacanie Inwestycji Papy Songa zajmowało dwanaście lat? Dlaczego nie jedenaście? Sześć? Rok?

Jak na to reagowałaś?

Błagałam Yoone, by przestała wypowiadać przestępcze bluźnierstwa. Bałam się, że zostanie przeorientowana. Bałam się, że odrą mnie z gwiazd za to, że jej nie zajudaszowałam. Bo w swoich wątpliwościach, Archiwisto, oskarżała Papę Songa o straszliwe kłamstwa. Yoona powiedziała mi, że właśnie tak uczyniła pewnej nocy, zanim pokazała mi swój sekret. Stała przed Jego Ołtarzem i powiedziała: „Kłamca!”. Tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

– Nic się nie stało – mówiła Yoona – zupełnie nic. Więc zastanawiam się, czy nasz Logoman w ogóle istnieje.

Recytowałam Katechizmy bardziej zapamiętane niż kiedykolwiek; modliłam się do Papy Songa, by uleczył przyjaciółkę; błagałam Yoone, by udawała normalność. Na próżno. W zachowaniu z każdym dniem stawała się coraz bardziej czystokrwista. Wkrótce nawet Widzący Rhee musiałby podjąć jakieś stanowcze działanie. Yoona oglądała reklawizję, kiedy sprzątała i wycierała stoły. Nasze siostry fabrykanty unikały jej. Yoona~939 nie zwracała na to uwagi. Pewnej nocy w sekretnym pokoju wyznała, że chce opuścić kantynę; i żebym ja poszła z nią. „Czystokrwisci zmuszają nas do pracy w podziemnej pułapce”, mówiła Yoona, „żeby sami mogli cieszyć się pięknem miejsc na powierzchni i nie musieli ich z nami dzielić”.

„Nigdy nie popełniłabym tak strasznego odstępstwa”, odrzekłam. Recytowałam Katechizm Szósty. Yoona zareagowała złością. Nazwała mnie głupią i tchórzliwą, jak moje siostry.

Ale dwie usługujące z Wewnątrz, uciekające z korporacji, bez wsparcia – to byłoby... czyste szaleństwo. Jednomyślność schwytałaby was w pięć minut.

Skąd Yoona~939 miała to wiedzieć? Jej Xięga Świata na Zewnątrz obiecywała świat piękna, niezmiernych przestrzeni i miejsc, w których można się ukryć.

Nadeszła zima mego pierwszogwiezdnego roku. Konsumenci przy wejściu strzepywali śnieg z najqw i musiałyśmy regularnie zmywać mopem podłogę. Samopoczucie Yoony

pogorszyło się, stała się opieszala i przygnębiona. Podniesienie rodzi głód tak silny, że w końcu umysł sam siebie pożera.

Czy coś dało początek odstępstwu Yoony~939, czy też po prostu... pojawiło się ono nie wiadomo skąd?

Odstępstwo było czymś nieuniknionym, co czekało na swój początek. Podczas Sextetu Noworocznego, gdy każdego dnia kantinę wypełniały świąteczne tłumy, Widzący Rhee przyszedł do Punktu Centralnego i zganił Yoonę za to, że nie witała jedzących z odpowiednim zaangażowaniem. Nakazał jej pięćdziesiąt razy recytować Powitanie Papy Songa: „Dzień dobry! Mam na imię Yoona! Przeczytaj nasze menu i złóż zamówienie! Wszystko tak pyszne, że aż rozplywa się w ustach. Nie ma jak u Papy Songa!”.

Widzący Rhee odczekał, aż Yoona wyrecytuje powitanie czterdzieści pięć razy, i dopiero wtedy powiedział jej, żeby zaczęła jeszcze raz od początku.

– To, że ktoś urodził się jako Bezduszny, że jest zwykłym hodowlanym klonem, nie usprawiedliwia wad w podejściu do innych. Jeśli jeszcze raz złamiesz Katechizm Czwarty, każę cię przeorientować w produkty nawozowe!

Obawiałam się, że Yoona popełni przestępstwo karane odarciem z gwiazdy, lecz q zadowoleniu Widzącego wyrecytowała pięćdziesiąt razy powitanie; tylko ja wiedziałam, ile wysiłq ją to kosztowało. Nasz Widzący wrócił do swojego gabinetu, mile polechtany wrażeniem, jakie jego władza zrobiła na stojących w kolejce konsumentach.

– Lepiej być Bezdusznym klonem – rzekła chłodno Yoona za jego plecami – niż karaluchem z Duszą.

Modliłam się do Papy Songa, by nikt tego nie usłyszał; moje modlitwy nie znały innego adresata. Lecz dlaczego On miałby pomagać mojej niewdzięcznej siostrze? Potem zobaczyłam, jak Ma-Leu-Da~108 szepcze coś do Pomocnika Cho. Pomocnik zabrał Ma-Leu-Da~108 do gabinetu Widzącego Rhee.

Miało stać się coś bardzo złego.

Powiedziałaś Yoonie~939 o swoich obawach?

Moja siostra podniosła się tak bardzo, że nie czuła już, że należy do warstwy niższej, niż Widzący Rhee. Tamtej nocy, po Ostatnim Katechizmie, nasz Widzący chodził w tę i z powrotem wołq Punktu Centralnego, był w złym humorze. „Jedna z nas zhańbiła swój uniform”, oznajmił. „Czy ma odwagę wyznać przestępstwo?”.

Widzący Rhee zatrzymał się przed Yooną.

– Przecież musisz być karaluchem – zaczęła Yoona. – Tylko pomyśl. To tłumaczy,

dlaczego jesz Mydło: karaluchy jedzą wszystko. To tłumaczy, dlaczego Pomocnicy i twoja żona czują do ciebie obrzydzenie: karaluchy są obrzydliwe. To tłumaczy, dlaczego chodzisz. drobiąc małe kroczi, i sra ci się świeci: karaluchy pomykają małymi kroczkami i są błyszczące.

My, wszystkie usługujące, nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom.

Widzący Rhee otworzył swoją teczkę.

– Rozumiem. – Wyjął Xięgę Świata na Zewnątrz. Jeden po drugim zaczął wyrywać z niej obrazki. – Patrz, jak bardzo – trach – karaluch – trach – potrafi zniszczyć – trach – twoje sekrety – trach – twoje skarby – trach – twoją przyszłość.

Yoona~939 chwyciła xiążkę; Widzący Rhee był potężnym mężczyzną. Ścisnął pod pachą głowę mojej przyjaciółki i walił nią o Ołtarz, raz po raz, aż jej ciało zwisło bezwładnie i bez czucia. Rhee kopał ją, aż z wysiłq zrobił się fioletowy. Yoona leżała teraz zmiażdżona, zakrwawiona i trudno ją było rozpoznać.

– Przyjrzyjcie się – warknął na nas, sęplone fabrykanty. – Taki los spotyka klony, których pomysły wykraczają poza ich warstwę. Ta odstępczyni zostanie jutro z samego rana odesłana do reorientacji.

Widzący Rhee pochylił się, postawił najka na jej twarzy i zdarł jej obrożę. Kod paskowy nadal pozostał wszczepiony w jej tchawicy. Palce Widzącego Rhee były mokre od błony i krwi. Umieścił jedną umazaną krwią gwiazdę w obroży Ma-Leu-Da, nic przy tym nie mówiąc. Następnie zgniół pod swoim najkiem dziewięć lat pracy Yoony~939.

Ma-Leu-Da nie była chyba uradowana swoją nagrodą. Tak bardzo różniło się to od radosnej Ceremonii Gwiazd. Pomocnik Cho polecił dwóm Hwan-Soonom zawlec moją nieprzytomną przyjaciółkę do spalni. Ja miałam zetrzeć mopem jej krew.

Czy takiego niszczenia korporacyjnej własności Widzący dokonują bezkarnie?

Widzący robią z fabrykantami to, co uznają za stosowne, teoretycznie. W praktyce okaleczenie ciała usługującej niekorzystnie wpłynęło na pozycję Widzącego Rhee w hierarchii. Sprawił, że Yoona~939 stała się niezdolna do pracy w najbardziej ruchliwym okresie roq. Nie można było zawołać Medyqw. W czasie trwania Noworocznego Sextetu nie można też było zorganizować transportu do Zakładów Reorientacji. Utrzymywano ją nieprzytomną na posłaniu i kropłówką stale wprowadzano do jej organizmu Mydło.

Jednakże późniejsze odstępstwo Yoony~939, w przeddzień Nowego Roq, było dużo poważniejsze. Czy możesz opisać to wydarzenie ze swojego punktu widzenia?

Wycierałam stoły na podeście w części mojej sekcji; mogłam całe zajście widzieć wyraźnie. Przy Punkcie Centralnym w zastępstwie naszej uszkodzonej siostry pracował Pomocnik Cho. W części wschodniej trwało przyjęcie dla dzieci. Przestrzeń przy windzie

wypełniały balony, papierowe serpentyny i tekturowe czapeczki. Pod całą kopułą rozbrzmiewały pop-songi i gwar setek jedzących. Papa Song w 3D rzucał nad głowami dzieci eklerkami jak bumerangiem; przelatowały przez ich dłonie, którymi usiłowały je schwytać, i wracały na węzowy język naszego Logomana. Myślałam o Yoonie; bałam się, że była przekonana, że to ja ją zajudaszowałam. Drzwi do spalni otworzyły się i stanęła w nich posiniaczona, zapuchnięta Yoona~939.

Qlejąc szła w stronę przyjęcia we wschodniej części. Wiedziałam, co zamierza zrobić. Mimo jej szoqjącego wyglądu, tylko kilq jedzących podniosło głowy znad posiłqów, sonych czy reklawizorów; ci konsumenci, którzy zwrócili na nią uwagę, raczej pokazywali ją palcami, niż czuli się zaalarmowani. Gdy Yoona chwyciła jednego z przedszkolaqów w marynarskim ubranq, widzący to ludzie zakładali, że to kolejna fabrykanta-służąca, która zirytowała swoją panią.

Media donosiły, że Yoona ukradła to dziecko, by użyć go, jako ludzkiej tarczy.

Media donosiły, co Jednomyślność im kazała. Xięga Świata na Zewnątrz była zbiorem bajek, nie podręcznikiem dla terrorystów. Widzisz, Archiwisto, Yoona naprawdę wierzyła, że winda prowadzi do magicznego królestwa z tych ilustracji. Gdyby już znalazła się na powierzchni, zamierzała zniknąć wśród skrytych polan i axamitnych wzgórz. Zabrała to dziecko, bo winda nie zjechałaby na dół na wezwanie Bezduznej fabrykanty. Wsadziłaby je z powrotem do windy; nie żadałaby za nie oqpu, nie użyłaby go jako tarczy, ani nie pożarłaby go i nie wypluła kostek.

Nie omawiała z tobą próby ucieczki?

Yoona przestała omawiać ze mną cokolwiek. Zabrała przerażonego chłopca do windy, działając całkowicie w pojedynkę. Nie widziała mnie. Jednak matka chłopca zobaczyła Yoonę w momencie, gdy zamykały się drzwi; jej krzyk przeciął gwar w kantynie niczym nóż. Wybuchła histeria; pozrzućane na podłogę tace, porozlewane szejki, czystokrwisci ogarnięci paniką; egzekwer prawa, który aqrat wtedy nie był na służbie, wyjął z kabury kolta; przedarł się w sam środek zgiełq, nakazując krzykiem spoqj.

Widzący Rhee pojawił się w drzwiach swojego gabinetu, pośliznął się na rozlanym napoju i zniknął zasłonięty przez tłum rozhisteryzowanych konsumentów. Przez cały czas Papa Song serfował na swoim Ołtarzu po falach z makaronu.

Pomocnik Cho wrzeszczał coś do swojego ręcznego sonego.

Pogłoski mnożyły się w postępie geometrycznym; jakaś Yoona porwała chłopca; nie, niemowlę; nie, czystokrwisty porwał Yoonę; egzekwer prawa postrzelił chłopca; nie, fabrykanta zastrzeliła egzekwera; ta Yoona uderzyła Widzącego, patrzcie, z nosa leci mu krew.

– Winda! – ktoś krzyknął. – Zjeżdża winda!

Pandemonium ucichło.

Egzekwer prawa krzyknął, żeby zrobić mu miejsce, przyqcnął, wycelował w drzwi.

Jedzący odsunęli się w zamieszaniu.

Drzwi do windy się otworzyły. Chłopiec siedział sълony w rogu; jego marynarskie ubranko już nie było białe, ale wyglądało na to, że nic mu się nie stało. Ciało Yoony~939 qle zmieniły w bezkształtną masę.

Też to widziałem, Sonmi. Gdy tamtego wieczoru wróciłem do domu z ministerstwa, moi towarzysze ze spalni siedzieli przyklejeni do sonego. Oglądała to większość Nea So Copros. Relację powtarzano wielokrotnie, a kodaki z Chongmyo Plaza pokazywały, jak egzekwer eliminuje Yooneę odstępczynię. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Byliśmy przekonani, że to jakiś terrorysta z Unii zrobił sobie twarzębę, żeby wyglądać jak usługująca. Kiedy Jednomyślność potwierdziła, że Yoona~939 była prawdziwą fabrykantą...

Czułeś, że świat już nigdy nie będzie taki sam. Poprzysiągłeś nigdy nie ufać fabrykancie. Wiedziałeś, że Abolicjonizm głosił dogmat tak zdradliwy i niebezpieczny, jak Unia.

...To prawda, właśnie takie miałem odczucia. Nawet jeszcze gorsze. A co działo się pod kopułą?

Dwie pozostałe Yoony odprowadzono pod eskortą do spalni, bo rozwścieczeni konsumenci rozszarpaliby je na strzępy. Kantinę ewaqowano sekcja po sekcji w zorganizowany sposób. Jednomyślność przybyła, żeby przesłuchać świadqw. Wysprzątałyśmy pod kopułą i, po raz pierwszy w życiu, jadłyśmy Mydło bez Nieszporów.

Gdy nastalo rozświetenie, dokonałyśmy porannych rytuałów. Bez Yoony~939 było cicho; żadna z nas nie powiedziała ani słowa. Na Godzinkach Papa Song wygłosił Kazanie Antyunijne.

Zdumiało mnie, że Logoman powiedział fabrykantom o istnieniu Unii.

Tak wielka była panika. Jego Kazanie mogło być zamierzoną pożywką dla mediów. Głowa Papy Songa wypełniła połowę przestrzeni pod kopułą; staliśmy wewnątrz jego umysłu. Jego twarz wyrażała wielki ból i wściekłość. Hwan-Soony dygotały; nawet Pomocnicy patrzyli z przestachem. Widzący Rhee miał wygląd niezdrowy i ziemisty.

Czy potrafisz odtworzyć dla potrzeb archiwów dokładne słowa Papy Songa?

Powiedział, że Nowy Rok jest zwykle okazją do radości, gdy dwunastogwiezdne spłacały ostatecznie Jego Inwestycję i mogły, jako wolne istoty, udać się w podróż do Uniesienia. W tym roq jednak miał dla nas przerażające wieści.

W świecie istnieje gaz zwany złem, mówił Papa Song. Gdy czystokrwieści wdychają ten gaz, zmieniają się. Stają się terrorystami. Terroryci nienawidzą wszystkiego co dobre: Jednomyślności, Papy Songa, ciężko pracujących fabrykant, nawet Ukochanego Przewodniczącego Nea So Copros i jego Dżucze. Terroryci stworzyli korporację zwaną Unią. Unia chce stać się najpotężniejszą korporacją w plutokracji, zmieniając konsumentów w terrorystów; zabijając tych konsumentów, którzy jej się sprzeciwiają.

W PapaSongu pod Chongmyo Plaza nasz Logoman opowiadał, jak terroryci Unii wypuścili zło, a Yoona~939 nim oddychała. W jego głosie brzmiała rozpacz; w zapadłych oczach było widać smutek i ból. Czy Yoona~939 doniosła na terrorystę do swojego Widzącego lub Pomocnika? Nie, nie doniosła: wdychała gaz zła; a wczoraj ta usługująca popełniła tak wielkie zbrodnicze odstępstwo, że gdyby nie zręczność egzekwera prawa, który aqrat przechodził przez Chongmyo Plaza, niewinny synek konsumentki już by nie żył. Dziecko ocalało, lecz czystokrwieści stracili już zupełnie zaufanie do fabrykant, a konsumenci wiarę w kantyny Papy Songa.

– W tym trudnym roq, który nas czeka – konkludował Papa Song – musimy razem ciężko pracować, by odzyskać ich zaufanie.

Jeżeli kiedykolwiek czystokrwieści wspomną nazwę Unii, musimy natychmiast donieść o tym naszemu Widzącemu, choćby nie wiem jak długie czekały kolejki. To był nowy Katechizm, potężniejszy niż pozostałe. Jeżeli będziemy go przestrzegali, Papa Song będzie obdarzać nas swoją miłością. Jeśli nie, nigdy nie dotrzemy do Uniesienia: już na zawsze zostaniemy nowotwarzami i nigdy nie dostaniemy nawet jednej gwiazdy.

Zrozumiano?

W Punkcie Centralnym rozległy się głosy, mamroczące:

– Tak, Papo Songu.

– Nie słyszę! – beształ nas Logoman.

– Tak, Papo Songu! – krzyknęła każda fabrykanta. – TAK, PAPO SONGU!

Sąd Korpokratyczny orzekł, że Yoona~939 była członkinią Unii.

Jak i kiedy Unia mogłaby ją zwerbować? Dlaczego członkini Unii miałyby ryzykować ujawnienie się? Jaką wartość dla siatki terrorystów mogłaby mieć genomowana usługująca?

Czyli w dzień Nowego Roq, po tym Kazaniu, wszystko szło jak dawniej?

Szło, ale nie jak dawniej. Dwie dwunastogwiazdne siostry, Hwa-Soon i inną Sonmi, Widzący Rhee eskortował na Zewnątrz. Powrócił z dwiema nowotwarzami z nowego typu

macierzystego, Kyelim~889, Kyelim~689 i z nową Yooną. A wszystkie pozostałe dostały doroczną gwiazdę, którą Pomocnik Ahn umieścił nam w obroży.

Gdy winda pierwszy raz otworzyła wtedy drzwi, wylał się z niej strumień Mediów i z błyskającymi nikonami zaczął oblegać gabinet Widzącego Rhee. Wcześniej, przez całe zaciemnienie, Widzący był przesłuchiwany w kwaterze PapaSonga. Zdołał wyperswadować im, by sobie poszli, przytwierdzając identyfikator ~939 do obroży innej Yoony i pozwalając im ją zsonować. Kilku upiornych konsumentów przyszło, żeby znikonować się nawzajem, jak udawali, że leżą martwi w windzie. Około szesnastej przybył oddział Medyqwu Papy Songa. Każda z usługujących została poddana gruntownym badaniom. Pytano nas o Unię, ale żadna z nas nie słyszała o niej przed porannym Kazaniem. Bałam się, że moje wizyty w sekretnym pokoju z Yooną~939 stanowią dla mnie zagrożenie, ale najwyraźniej nikt o nich nie wiedział. Tylko moje znamię budziło jakiegokolwiek zdawkowe komentarze.

Nie wiedziałem, że fabrykanty mają znamiona.

Nie mamy: są usuwane genomowo. Każdy medyk, który je widział, zawsze wyrażał zdumienie. Moje znamię zawsze mnie zawstydzalo, gdy musiałam je pokazywać. Ma-Leu-Da~108 nazywała je „plamą Sonmi~451”. Sam zobacz, Archiwisto, między obojczykiem i łopatką: tutaj.

Pokaż, proszę, bliżej do antyfony. Niezwykle. Kształtem przypomina kometę.

Hae-Joo-Im powiedział to samo.

Zatem rozumiem, że badanie przez Medyqwu przeszłaś pomyślnie.

Tak. Na Nieszporach nikt nie wspominał o Unii ani o Yoonie~939. Zwiększono dawki amnezjad i sennofixu w naszym Mydle. Gdy przyszło drugie rozświetlenie w nowym roq, Ma-Leu-Da~108 nie potrafiła powiedzieć, skąd wzięła się jej dodatkowa gwiazda, ani nawet, że była dodatkowa. Tylko ja wszystko pamiętałam.

Czy Widzący Rhee nadal zajmował swoje stanowisko?

Tak. Hae-Joo-Im na moją prośbę zbadał sętki strzelaniny. Rhee zdołał przetrwać odstępstwo Yoony, opowiadając podczas śledztwa, jak to już wiele miesięcy wcześniej prosił o pilny Raport Medyczny w sprawie Yoony~939. Lecz w całej korporacji Papy Songa spadły dochody; jedzący nie przychodzili już tak tłumnie do kantyny pod Chongmyo Plaza. Czystokrwieści lubią powtarzać aforyzm, mówiący, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, a jednak często zachowują się tak, jakby było aqrat odwrotnie.

Czystokrwieści mają też słabą pamięć; szybko zapominają, że piorun kiedykolwiek uderzył, szczególnie gdy chodzi o ich żołądki. W Drugim Miesiącu liczba jedzących wróciła

do zwykłego poziomu. Kyelim były nową atrakcją; genomowane z alkometrem w oczach i zębami królika przyciągały długie koleki nikonujących czystokrwistych, którzy polowali na nowe frabrykanty. Ma-Leu-Da były zazdrosne.

Pamięć usługujących jest genomowana tak, by była słaba, a do tego mówisz, że do Mydła dodawano ci więcej amnezjad. Jak więc możesz tak dokładnie pamiętać wydarzenia w kantine?

To proste pytanie i prosta jest na nie odpowiedź: tuż wcześniej miało początek moje własne podniesienie. Rozpoznałam je po symptomach Yoony~939. Antycypuję twoje następne pytanie, Archiwisto: chcesz, bym opisała to doświadczenie.

Mów dalej.

Po pierwsze, w głowie zaczął do mnie mówić jakiś głos. Bardzo mnie to niepokoiło, ale odkryłam, że nikt inny go nie słyszy; głos świadomości. Podniesienie było alarmującym doświadczeniem, szczególnie gdy miało się na względzie to, co stało się z Yoona~939. W całej Nea So Copros czystokrwistoci pilnie badali zachowanie fabrykant, wypatrując znawców nieuzasadnionej inteligencji i zgłaszając je do reorientacji w liczbie wielu setek tygodniowo.

Po drugie, rozwinął się mój język, podobnie jak mowa Yoony~939. Gdy chciałam powiedzieć „dobry”, moje usta wymawiały „korzystny”, „przyjemny” lub „właściwy”. Nauczyłam się dostosowywać i zmieniać każde słowo, którego używałam.

Po trzecie, wzrosła moja ciekawość Świata na Zewnątrz. Podsluchiwałam sony jedzących, ich rozmowy, podglądałam reklawizję, prognozy pogody, przemówienia Członków Rady.

Po czwarte, odczuwałam dotkliwą alienację; inne usługujące unikały mnie, jak wcześniej Yoony~939 – własne siostry wiedzą, nawet jeżeli nie wiedzą, że wiedzą; monotonia sprawiała, że czas się dłużył; poczułam nagle, że nie znoszę fal konsumentów wylewających się z windy; nie dawały mi spokoju wątpliwości Yoony na temat naszego świata, nękały mnie nieprzerwanie. A jeśli Papa Song nie był naszym ojcem, tylko zwykłą reklawizją?

Jak bardzo zazdrościłam moim bezkrytycznym, pełnym spokoju siostrom! Nie miałam śmiałości ujawnić mojej metamorfozy żadnej z nich.

Wiedziałaś, czego nie należy robić. A co zamierzałaś?

Cóż mogłam robić, oprócz czekania i trwania?

Dwa podniesienia, jedno po drugim, tuż obok siebie, wskazywały na celowo prowadzony program. Żeby poznać jego cel, musiałam uważać, by nie spotkała mnie reorientacja ani los Yoony~939. Obserwowałam więc pilnie inne fabrykanty, by desperacko naśladować ich nijakość. Przestrzegałam wszystkich Katechizmów, szczególnie w obecności Widzącego Rhee. Nie było to łatwe. Strach wyostrza ostrożność, lecz nuda ją osłabia. Nie miałam odwagi chodzić

do sekretnego pokoju Yoony, ponieważ nie był sekretem, był pułapką.

Jak długo musiałaś utrzymywać swoje podniesienie w tajemnicy?

Dziewiątej Nocy Ostatniego Tygodnia Czwartego Miesiąca obudziłam się podczas zaciemnienia. Nie śmiałam opuścić spalni ot tak, dla zabicia czasu. Mogłam tylko czekać na rozświetlenie albo próbować zasnąć. Jednak od strony kopuły dochodził słaby, ale wyraźny dźwięk: brzęk szkła.

Wyteżyłam słuch, żeby usłyszeć więcej: cisza.

Siostry spały na swoich posłaniach. Kto oprócz nas był pod kopułą? Tylko Widzący Rhee.

Po cichutką wstałam i na palcach przeszłam do drzwi spalni. Nacisnęłam klamkę i zajrzałam przez szparę do zaciemnionej kantyny. Z gabinetu płynęło jasne światło. Przez otwarte drzwi zobaczyłam go, jak leży nieruchomo; twarz miał rozplaszczoną na podłodze; krzesło leżało wywrócone do góry nogami. Pokonałam całą szerokość kantyny, przyćmając w cieniu co jakiś czas, aż upewniłam się, że Widzący Rhee jest nieprzytomny. Jego źrenice zniknęły w czystokrwistych tęczęwkach. Strużka krwi ściekała z ucha i dziurki od nosa wzdłuż konturów jego zmęczonej twarzy. Woł błyskały w świetle kawałki stłuczonego szkła.

Rhee nie żył?

Wyczułam zapach lete, sennofixu dodanego do Mydła. Zwykła dawka dla usługującej fabrykanty to trzy krople, ale butelka, którą wypił Rhee, miała może nawet półlitrową pojemność. Gdybym natychmiast wezwała Medyqw, może by go uratowali. Ale jak miałabym wyjaśnić swoją tam obecność? Cała korpokracja tylko czekała na kolejną podniesioną fabrykantę; byłoby to dowodem na spisek Unii. Wyratować przegranego człowieka z bezbolesnej próby samobójczej czy chronić się przed agonicznie bolesną reorientacją i rozpoczęciem pracy od nowa jako zerogwiedzna?

Wróciłam na swoje posłanie.

Czy z powodu takiej decyzji odczuwałaś wyrzuty sumienia?

Nie. Czułam tylko niepokój, że do końca nocy jeszcze daleko. Nie wiem, ile minęło czasu, ale usłyszałam, jak zjeżdża winda. Potem rozległy się kroki. Czułam, że przyszli po mnie, ale ani drgnęłam na swoim posłaniu. Nadeszło rozświetlenie, ale siostry nadal spały. W powietrzu nie było czuć zapachu stymuliny. W xiążce Yoony był obrazek wielkiego pałacu czystokrwistych i służących, którzy zasnęli w nim przy posiłku, szyciu czy gotowaniu. Przypomniałam sobie ten obrazek.

Ciszę zakłócił ledwo słyszalny odgłos. Zapałka? Potem słyszałam tuk-tuk-tuk sonogo.

Wstałam, podkrađłam się do drzwi i wyjrzałam ze spalni. Światła w kantine paliły się połową mocy, ale nie było żadnych konsumentów; ani jeden Pomocnik nie zgłosił się do pracy; na Ołtarzu nie było Papy Songa, odmawiającego Nieszpory.

Tylko jakiś człowiek w ciemnym garniturze trzymał qbek z kawą i pisał coś w tym dziwnym świetle. Popatrzeliśmy na siebie; w końcu powiedział mi „dzień dobry”, wyrażając nadzieję, że czuję się lepiej niż ten biedak, Widzący Rhee.

Egzekwer prawa?

Był szoferem, jak mi powiedział. Miał na imię Chang, pan Chang. Prosiłam o wybaczenie, ale nie znałam słowa „szofer”.

Cichy gość wytłumaczył mi, że szoferzy prowadzili fordy Członqw Rady i warstwy egzektywy. Szoferzy pełnią czasami rolę posłańców. Pan Chang miał dla mnie wiadomość, dla Sonmi~451, od jego własnego Widzącego. Wiadomość stawiała mnie przed wyborem: mogłam opuścić kantinę jeszcze tego ranka, wyjść na Zewnątrz i spłacić Inwestycję Papy Songa w nowy sposób; albo też mogłam pozostać u Papy Songa, poczekać, aż Pomocnik Cho znajdzie Widzącego Rhee i wezwie egzekwerów z ich węcaczami DNA; czekać, aż wyjdzie na jaw moje podniesienie i ponieść konsekwencje.

Trudno to nazwać wyborem.

To był pierwszy wybór w moim życiu, i łatwiejszy niż większość decyzji, jakie musiałam podejmować od tego czasu. Pan Chang złożył swojego sonego, wrzucił qbeczek po kawie do śmieciociągu i podszedł do windy – pomieszczenia mniejszego nawet niż higienery usługujących, lecz które było dla mnie niczym potężne wrota. Pomyślałam o Yoonie~939 leżącej bez życia w rogu, kiedy ją zastrzelili. Spojrzałam przez pustą kantinę na Punkt Centralny. Pan Chang powiedział mi, który przycisk nacisnąć, żeby pojechać w górę. Drzwi zasunęły się, zamykając za mną moje dotychczasowe życie.

Tułów nagle naparł na moje nogi, które zrobiły się jak z waty, i przewróciłam się. Pan Chang mnie złapał. Yooną też musiała upaść i wypuścić chłopca, gdy przeżyła takie samo działanie siły przy jeździe w górę. Pan Chang zapewnił mnie, że każda podziemna fabrykanta czuła to samo, jadąc windą pierwszy raz. Żeby stłumić nudności, przypomiinałam sobie sceny z Xięgi Świata na Zewnątrz. Pajęcze strumienie, oceany lasów, jaskinie, guzowate wieże. Kiedy winda zwolniła, mój tułów prawie uniósł się w powietrze.

– Poziom zero – oznajmił pan Chang.

Drzwi rozsunęły się, otwierając przede mną Świat na Zewnątrz.

Niemal ci zazdrozczę. Proszę, opisz dokładnie, co zobaczyłaś.

Zobaczyłam Chongmyo Plaza w Czwartym Miesiącu tuż przed świtaniem. Jaka była ogromna! Po życiu pod kopułą wszystko wirowało mi w głowie, choć plaza nie ma nawet pięciuset metrów szerokości. Woł w wiecznych stóp naszego Ukochanego Przewodniczącego śpiesznie chodzili konsumenci; krzżeli się zamiatacze ulic; taxówki trąbiły klaxonami na inne pojazdy; ford wypuszczały kłęby spalin; śmierciarki wolno sunęły przy krawężnikach; fardostrady, szerokie na osiem pasów, ze słońcami ustawionymi wzdłuż na słupach, zadaszone osłonami, tworzące kaniony o brzegach z betonu i szkła; oślepiające, ogłuszające reklawizory, słowa, setki logo; neonizowanych, amplifowanych; syreny, silniki, maszyny, obwody; dudniące chodniki; światła o każdym natężeniu i pod każdym kątem.

Brakowało mi nazw na wszystko, co widziałam.

Mogłam zapytać jedynie:

– Co to...?

Musiało cię to oszalać.

Oszalać: trafne słowo. Tyle zapachów w powietrzu na Zewnątrz; spaliny, kimcz, ścieki, ciała konsumentów. Jakaś konsumentka minęła mnie w biegu za ledwie o cal.

– Uważaj, klonie!

Zniknęła, zanim zdążyłam przeprosić. Włosy rozwiewał mi strumień powietrza z olbrzymiego, niewidocznego klimatyzera.

– Ulice to zarazem doskonałe ciągi powietrza – wyjaśnił pan Chang, prowadząc mnie przez chodnik do forda z lustrzanymi szybami.

Wóz podziwiała trójka studentów; gdy zbliżył się do niego pan Chang, włączyli się z powrotem w strumień konsumentów. Tylne drzwi odsunęły się z sykiem. Szofer wpuścił mnie do środka.

W przestronnym wnętrzu siedział zgarbiony pasażer z brodą i pracował na swoim sonym. Emanował władzą, jak Logoman, lecz w znacznie większym stopniu. Uczęłam sęloną przy drzwiach, obserwując zginające się kostki jego palców i niemłodą już twarz; czekałam, aż wyda mi jakieś polecenie. Pan Chang uruchomił silnik i ford powoli włączył się do ruchu. Przez tylne okno widziałam, jak złote łuki PapaSongu nikną pośród setek logo innych korporacji. Niektóre logo znałam z reklawizji; większość była mi obca. Podziwiałam miasto nowych symboli, migających za szybą. Fordy przyśpieszały i zwalniały razem z naszym. Jaki to Widzący zapobiegał tysiącu śmiertelnych wypadków na minutę? Ford zahamował i straciłam równowagę. Człowiek z brodą wymamrotał, że nikomu nie będę przeszkadzać, jeśli usiądę.

Niepewna, czy właśnie wydał mi rozkaz, albo może nawet zastawił pułapkę, przeprosiłam za to, że nie znałam odpowiedniego Katechizmu.

– Moja obroża to Sonmi~451 – powiedziałam, ale mnie zignorował.

Potań zaczął zaczerwienione oczy i zapytał pana Changa o prognozę pogody.

„Ciepło, bezchmurnie, lekki wiatr”, odpowiedział szofer, dodając, że na fordostradzie jest duże zagęszczenie ruchu i nasza podróż potrwa około półtorej godziny. Człowiek z brodą spojrzął na rolex i zaklął.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy dogonił nas ryk; czułam narastające przerażenie, że to Papa Song nadchodzi, by ukarać mnie za ucieczkę ze służby. Ale ryk powoli się oddalał i przez tylną szybę dojrzałam unoszącą się w górze czarną maszynę. Mężczyzna z brodą zapytał pana Changa, czy jego zdaniem to aero Egzekwerów, czy Jednomyślności, czy też może jakiś Członek Rady chce, żeby wszyscy obywatele z niższych warstw wiedzieli, w czym cieniu pokornie muszą jechać. Pan Chang był zdania, że to Członek Rady.

Zapytałaś, dokąd cię wiozą?

Po co zadawać pytania, jeśli odpowiedzi będą wymagać długiego szeregu następnych pytań? Pamiętaj, Archiwisto, nigdy nie widziałam żadnego budynku od strony zewnętrznej, nigdy też nie doświadczyłam transportu z miejsca na miejsce; a oto jechałam fordostradą, lustrzanym fordem, przez drugie pod względem wielkości Współmiasto Nea So Copros. Dla mnie była to nie tyle turystyczna wycieczka po innej zonie, ile podróż w czasie – a ja byłam przybyszką z minionego stulecia. Ford zostawił z tyłu miejską osłonę na wysokości Xiężycowej Wieży i po raz pierwszy zobaczyłam świt w Świecie na Zewnątrz, nad górami Kangwon-Do. Ten widok oczarował mnie i oszołomił; Prawdziwe Słońce Urodzonego Pierwszego Przewodniczącego, roztopione słoneczne światło, petrochmury i Jego niebieska kopuła, wyższa i szersza niż cokolwiek, co można wyrazić słowami. W reakcji brodatego człowieka szukałam odbicia swojego własnego przestachu i podziwu, lecz on właśnie drzemał. Nie mogłam pojąć, jak Współmiasto nie zamarło w bezruchu w obliczu takiego piękna.

Co jeszcze przyjął twoją uwagę?

Za nami, pod osłoną, budynki sqliły się, a my przejeżdżaliśmy teraz obok ogrodu uany. Pierzastej, paprotnej, zielonej jak wilgotny mech; jak staw; jak trawa. Całe jej akry, rosące woł wirujących niczym derwisze fontann. W PapaSongu zielone były jedynie paseczki sałaty i chlorofilowe szejki; wszystkie usługujące myślałyśmy, że zieleń była cenna jak złoto. Przed szybami forda prześlizgiwały się tęczce. Bloxpalnie wyrastały wzdłuż fordostrady, każda z nich ozdobiona sztywną flagą Nea So Copros. Wszystko, co wznosiło się po bokach, nagle się urwało i przejeżdżaliśmy teraz nad szerokim, krętym pasem, brunatnym jak nieczystości. Zdobyłam się na odwagę, by zapytać pana Changa, co to jest.

– Rzeka Han – odpowiedział mi kierowca. – Most Söngsu.

Mogłam tylko zapytać ponownie:

– A co to takiego?

Tym razem, mamrocząc, odpowiedział mi brodaty mężczyzna:

– Wodna fordostrada. – Rozczarowanie nadało jego głosowi bezbarwny ton. – Most to droga nad rzeką.

Woda w rzece i przejrzysty płyn tryskający z kraników dyspensera pod kopułą wcale nie były do siebie podobne jak dwie krople, przeciwnie, skrajnie się różniły, nie miałam jednak czasu na zbyt długie zdumienie. Pan Chang wskazał na niski szczyt, wznoszący się przed nami.

– Góra Taemosan.

Czyli prosto od Papy Songa zabrano cię na uniwersytet Taemosan?

Tak, by ograniczyć skażenie experimentu. Droga wiała się przez zalesiony teren. Cicho szumiące szeregi powyginanych drzew były dla mnie kolejnym dziwem Świata na Zewnątrz. Dziesięć minut później dotarliśmy na płaskowyż kampusu. Sześcienny budynków walczyły ze sobą o przestrzeń. Studenci i asystenci spacerowali wąskimi drózkami. Ford zatrzymał się pod skalnym nawisem, całym w zaciekach od deszczu i popękany od słońca. Pan Chang otworzył mi drzwi, ale brodaty pasażer spał dalej. Kamienne płyty były pokryte czapami porostów, a woł po ziemi wiatr gonił śmiecie. W powietrzu na Taemosan czuło się większą czystość, niż na dole, we Współmieście, lecz w holu wejściowym pod nawisem było brudno i ciemno.

Zatrzymaliśmy się u stóp schodów w kształcie podwójnej spirali.

– To dawny rodzaj windy – wyjaśnił pan Chang. – Uniwersytet ćwiczy zarówno umysły studentów, jak i ich ciała.

Zatem po raz pierwszy w życiu, krok po kroku, pokonywałam siłę grawitacji, grzeczowo trzymając się poręczy. Dwójka studentów, którzy schodzili akurat po schodach, śmiała się z mojej niezdarności; jeden z nich zażartował:

– Proszę, ta osobniczka raczej nie będzie próbowała zbyt szybko rzucić się do ucieczki.

Pan Chang ostrzegł mnie, żebym nie patrzyła przez ramię. Spojrzałam jednak i zawroty głowy mnie przewróciły. Gdyby mój przewodnik mnie nie złapał, pokoziołkowałabym po schodach na sam dół, do holu wejściowego.

Wejście na najwyższe, szóste piętro zajęło nam kilka minut. Korytarz gwałtownie kończył się drzwiami, lekko uchylonymi, na których widniała tabliczka z nazwiskiem Boom-Sook Kim. Pan Chang zapukał, lecz nikt nie odpowiedział.

– Poczekaj tu na pana Kima – powiedział mi szofer. – Szanuj go i bądź mu posłuszna, jak byłaś swojemu Widzącemu.

Wchodząc, chciałam zapytać pana Changa, jaką pracę mam wykonać, ale szofer już poszedł. Po raz pierwszy w życiu byłam całkiem sama.

Jak ci się podobał twój nowy dom?

Uderzył mnie wielki brud. Nasza kantyna była zawsze nienagannie czysta, bo czystość jest jednym z Katechizmów. Natomiast lab Boom-Sook Kima, w kształcie długiej galerii, był zaqrzony, a w powietrzu unosił się zjełczały zapach ciał czystokrwistych mężczyzn. Papierzyska i odpadki wylewały się z koszów na śmieci; przy drzwiach wisiała tarcza strzelecka do qszy; wzdłuż ścian ustawione były lab-stoły, biurka przywalone stertami różnych przedmiotów, przestarzałe sony i regały uginające się od xiążek. Oprawiony kodak, przedstawiający chłopca rozpromienionego w uśmiechu nad zakrwawioną panterą śnieżną, wisiał nad jedynym biurkiem, na którym widać było ślady pracy. Brudne okno wychodziło na zaniedbany dziedziniec, gdzie na Ołtarzu stała postać cała pokryta zaciekami. Miałam nadzieję, że to mój nowy Logoman, ale ani razu się nie poruszył.

W ciasnym pokoju przed głównym pomieszczeniem labu znalazłam posłanie, higienę i przenośną myjnię parową. Kiedy miałabym jej użyć? Czy właśnie przegapiałam Nieszpory? Jaki Katechizm rządził tutaj moim życiem?

Powietrze było rozgrzane i przesycone qrzem. W moich genomicznie zamkniętych porach czułam klucie. Mucha zataczała z bzyczeniem leniwe ósemki. Patrzyłam na nią jak w transie.

Nigdy wcześniej nie widziałas owada?

Tylko samoistnie zmutowane karaluchy; klimatyzery u Papy Songa wwiewa do wnętrza środek owadobójczy, więc jeżeli jakieś owady dostają się tam windą, natychmiast umierają, a później są zamiatane. Mucha uderzała raz po raz o okno. Nie wiedziałam wtedy, że okna się otwierają. Mucha przysiadła na suficie. Dlaczego z niego nie spadała?

Usłyszałam fałszujący śpiew; pop-song o Dziewczętach z Phnom Penh. Chwilę później potężnym kopnięciem drzwi otworzył student w plażowych szortach, sandałach i jedwabnej koszuli, z ciężkimi torbami na ramionach. Zobaczył mnie i jęknął:

– A ty co, na Świętą Korpokrację, tu robisz?

Odsloniłam obrożę.

– Sonmi~451, proszę pana. Usługująca u Papy Songa z...

– Cicho bądź! Wiem, czym jesteś! – Miał zabie usta i zbolały, modny wtedy wyraz oczu.
– Ale miałaś tu się zjawić dopiero Piątego Dnia! Jeśli przygłupy z rejestracji myślą, że odwołam pięciogwiazdkową konferencję na Tajwanie, bo nie wiedzą, jak czytać kalendarz... sorry, mogą sobie possać larwy w jamie z ebolą. Wróciłem tylko po sonego i dyski do pracy. Nie będę niańczył eksperymetalnego klona, jeszcze w uniformie, kiedy mam okazję sponiewierać się

w Taipei.

Mucha znowu uderzyła o okno; student chwycił jakąś broszurę reklamową i przecisnął się obok mnie. Od uderzenia aż podskoczyłam. Badał rozmazaną muchę, śmiejąc się triumfalnie. Udając opryszka, żartobliwym tonem powiedział:

– Potraktuj to jako ostrzeżenie!

Nie wiedziałam, czy mówił do mnie, czy do muchy.

– Nikomu nie uda się bezkarnie przechytryć Boom-Sook Kima! – Zwrócił się do mnie: – Nie dotykaj niczego, nigdzie nie chodź. Mydło jest w przenośnej lodówce. Dziękj Przewodniczącemu, że dostarczyli ci wcześniej żarcie. Wróć Piątego Dnia. Jak teraz nie wyjadę na lotnisko, spóźnię się na aero.

Zostałam sama.

Za chwilę znowu stanął w drzwiach.

– Hej, ale ty w ogóle mówisz, co?

Kiwnęłam głową.

Boom-Sook Kim przesadnie odetchnął z ulgą.

– Przewodniczącemu dzięki! Ale na każdy rodzaj debilizmu, jaki istnieje na świecie, przypada jakiś klonowaty kretyn z rejestracji, który właśnie w tej chwili się nim wykazuje.

Co miałas robić przez następne trzy dni?

Nie miałam pojęcia. Patrzyłam, jak wskazówki rolexa połykają godziny. Pamiętaj, że jesteśmy genomowane, by stać na nogach przez dziewiętnaście godzin bez przerwy. Myślałam o pani Rhee. Czy jako wdowa rozpaczała, czy była szczęśliwa? Kogo promują na Widzącego pod Chongmyo Plaza – Pomocnika Ahn czy Pomocnika Cho? Jakże odległe wydawało mi się moje dawne życie. Jakie tajemnicze wydawało się to nowe.

Z dziedzińca dobiegł cichutki terkot. Dochodził z krzewów pod Ołtarzem. Przyjrzałam się bliżej i pierwszy raz w życiu zobaczyłam prawdziwe ptaki, jaskółki. Widziałam ptaki w 3D, ale nigdy w chmarze aż tak bezładnej i nieokiełznanej. Nadleciało aero i ptaki całymi setkami wzbijały się wyżej. Dlaczego śpiewały? Dla kogo?

Obserwowałam ptaki cały dzień, aż niebo ogarnęło zaciemnienie i poqj utonął w mroq. Moja pierwsza noc w Świecie na Zewnątrz. W oknach po drugiej stronie dziedzińca zapanowało rozświetlenie. Zobaczyłam laby innych młodych czystokrwistych, takie same jak Boom-Sooka; porządniejsze gabinety, zajmowane przez profesorów; ruchliwe korytarze i cichsze przejścia. Nie widziałam natomiast ani jednej fabrykanty.

O północy wchłonęłam torebkę Mydła, położyłam się na posłaniu i bardzo zapragnęłam, żeby była przy mnie Yoona~939 i pomogła mi pojąć miriady dziwów, jakie poznałam tego dnia.

Kiedy się obudziłaś, pamiętałaś, gdzie jesteś?

W Mydle było mniej amnezjad, a więcej sennofixu, niż u Papy Songa, więc spałam dłużej, ale obudziłam się z jaśniejszym umysłem. Pierwsza niespodzianka w moim drugim dniu na Zewnątrz stała w drugim końcu pokoju. Potężna, ponadtrzymetrowa postać w pomarańczowym zasuwany kombinezonie oglądała książki na półkach. Jego odsłonięta sęka na twarzy i szyi była czerwona od poparzeń, miejscami zwęglona na czarno, a miejscami widać było na niej białe plamy, ale chyba mu to w ogóle nie przeszkadzało. Obroża wskazywała na to, że nie był czystokrwisty, ale nigdy nie widziałam fabrykanta takiego typu macierzystego i tak wielkiej postury.

– Nie dają tu stymuliny. – Jego głos wydobywał się jakby z głębokiej jamy. Miał genomicznie usunięte usta, a jego uszy chroniły osłonki z substancji o strukturze podobnej do paznokci. – Jak się budzisz, to się budzisz, szczególnie kiedy twój podyplomant tak się objaja, jak Boom-Sook Kim. Podyplomanci-egzeczy są najgorsi. Zawsze ktoś im podciera tyłki, od przedszkola do eutanazjum. Brają im dyscypliny; nigdy nie myślą o innych, wszyscy oni to jakies nieporozumienie. – Odmownie dłonią o dwóch kciukach wskazał niebieski kombinezon, mniejszy o połowę od swojego. – Ten jest dla ciebie, siostrzyczko.

Kiedy przebrałam się z mojego uniformu z PapaSongu w nowe ubranie, zapytałam, czy przysłał go Widzący albo Pomocnik, żeby mnie przeorientował.

– Nie – odrzekł poparzony olbrzym. – Twój podyplomant i mój trochę się qmplują. Boom-Sook wpadł do nas wczoraj i skarżył się, że za wcześniej cię dostarczyli. Przyszedłbym do ciebie jeszcze przed zaciemnieniem, ale podyplomanci na Wydziale Chirurgii Genomicznej pracują do późna, nie tak jak leserzy z Psychogenomiki. Jestem Wing~027. Chodź, sprawdzimy, dlaczego się tu znalazłaś.

Rolex na ścianie labu miał dla mnie drugą niespodziankę: spałam całe sześć godzin. Wing~027 usiadł przy biurku Boom-Sooka i włączył sonego, nie zwracając uwagi na moje protesty, że podyplomant zakazał mi cokolwiek ruszać. Wing włączył ekran: pojawiła się na nim Yoona~939. Wing przesunął palcem po rzędach słów.

– Módlmy się do Urodzonego Przewodniczącego, żeby Boom-Sook już nigdy nie popełnił tego błędu...

Zapytałam Winga, czy umie czytać.

Wing powiedział mi, że każdy byle jak stworzony czystokrwisty potrafi czytać, więc precyzyjnie zaprojektowany fabrykant powinien nauczyć się czytać z łatwością. Na sonym pojawiła się jakaś Sonmi. Wing przeczytał:

– *Cerebralne przeskalowanie fabrykanty obsługi w warunkach spalni: analiza wykonalności. Studium przypadku Sonmi~451.* Autor: Boom-Sook Kim. Tylko teraz, dlaczego – zastanawiał się Wing – bezmózgi podyplomant-egzek mierzy aż tak wysoko?

Jakiego typu fabrykantem był Wing~027? Milicjerem?

Jak się chwalił, był katastrofantem.

– Działamy na pustkowiach tak skażonych albo radioaktywnych, że czystokrwisci giną tam jak bakterie w chlorze. Nasze mózgi mają drobne genomyczne udoskonalenia: musimy samodzielnie myśleć. Dzięki naszej orientacji umiemy więcej, niż czystokrwisci nauczą się na uniwersytetach. I pokaż mi czystokrwistego, który przeżyje to. – Odsłonił do łokcia straszliwie poparzoną rękę. – Mój podyplomant robi doktorat z ognioodporności tkanek.

Nie wiedziałam nawet, co to są pustkowia. Wing~027 opowiedział, jak napromieniowane lub też toksyczne pasy ziemi ograniczają mila za milą Strefy Konsumpcji i Produkcji. Jego opis mnie przeraził, ale katastrofant widział to w innym świetle. Dzień, w którym cała Nea So Copros będzie upustkowiona, stanie się dniem fabrykantów.

Brzmiało to jak odstępstwo. Jeśli owe pustkowia były w świecie tak rozległe, zapytałam, dlaczego nie widziałam ich, jadąc fordem?

Wing~027 wyłączył sonego i zapytał mnie, jak duży według mnie jest świat. Nie byłam pewna, ale wieziono mnie tu, na górę, aż z Chongmyo Plaza, więc musiałam widzieć jego większą część.

Olbrzym kazał mi iść za sobą i ruszył do drzwi. Zawahałam się: Boom-Sook zakazał mi chodzić gdziekolwiek. Wing~027 surowym gestem kiwnął na mnie ręką.

– Jeśli chcesz przetrwać dłużej, Sonmi~451, musisz sama stworzyć sobie własne Katechizmy.

Przerzucił mnie przez poparzone ramię, zaniósł wzdłuż korytarza z długim szeregiem okien, za wąski róg i w górę po zaqrzonych spiralnych schodach, gdzie uderzeniem pięścią otworzył zardzewiałe drzwi. Oślepiło mnie poranne słońce; wiatr uderzył mnie w twarz i szarpnął za włosy.

– Jesteśmy na dachu Wydziału Psychogenomiki, oznajmił Wing~027, stawiając mnie na tarasie obok siebie.

Chwyciłam się balustrady: sześć poziomów niżej rósł ogródek kaktusów, między ich kolcami ptaki polowały na owady; osiem poziomów niżej w dół zbocza był położony parking, w połowie zastawiony fordami; dziesięć poziomów niżej znajdował się tor do ćwiczeń sportowych, wokół którego stała masa studentów w uniformach; pod nim była plaza konsumentów; jeszcze niżej las, schodzący aż do rozlanego, czarno-neonowego Współmiasta, jego drapaczy chmur, bloxpalni, rzeki Han, a na końcu, na tle poznaczonego aerami

wschodzącego słońca, falującą linią wznosiły się góry. Wing mówił swoim miękkim, poparzonym głosem:

– W porównaniu z całym światem, Sonmi~451, to, co tutaj widzisz, to jak ten mały kamyk.

Mój umysł próbował pojąć ten ogrom, ale nie sprostał; nie wiedziałam nawet, czego potrzebowałam, by ogarnąć ów bezmiar.

Wing odrzekł, że potrzebna mi była inteligencja: podniesienie mi ją zapewni. Potrzebny był mi czas: lenistwo Boom-Sook Kima da mi dużo czasu. Ale potrzebowałam także wiedzy.

Zapytałam, gdzie można znaleźć wiedzę.

– Musisz nauczyć się czytać, siostrzyczko – odparł.

Czyli to Wing~027, a nie Hae-Joo Im ani Członek Rady Mephi, nauczał cię pierwszy?

Wing~027 nauczałby mnie dalej, ale nasze drugie spotkanie było zarazem ostatnim. Mojego pierwszego dnia, na godzinę przed zaciemnieniem, przyszedł z powrotem do labu Boom-Sooka, żeby przynieść mi „odgubionego” sonego, wstępnie załadowanego każdym możliwym modułem autodydaktu w kształceniu korpokracijnym. Katastrofant pokazał mi, jak sony działa, a potem ostrzegł, żebym nigdy nie dopuściła, by jakiś czystokrwisty zobaczył, że gromadzę wiedzę, bo taki widok ich przeraża, a przerażony czystokrwisty jest zdolny do wszystkiego.

Gdy Piątego Dnia Boom-Sook wrócił z Tajwanu, opanowałam już sposób używania sonego i ukończyłam szkołę podstawową. Gdy nadszedł Szósty Miesiąc, ukończyłam gimnazjum dla egzekw. Na Twojej twarzy widzę powątpiewanie, Archiwisto, lecz nie zapominaj, że byłam wygłodniałą usługującą, która właśnie trafiła na bankiet. Mój apetyt rósł w miarę jedzenia. Ścieżki wiedzy sonego wiodły mnie przez uniwersytet i biblioteki korpokracji. Jesteśmy tylko tym, co wiemy.

Wcale nie wątpię w to, Sonmi. Swoim umysłem, mową... całą sobą dowodzisz poświęcenia nauce, i to wielkiego. Nie rozumiem tylko, dlaczego Boom-Sook zostawiał ci tyle czasu na naukę? Jako syn egzekwa, z pewnością nie był tajnym Abolicjonistą. Przeprowadzał na tobie jakieś eksperymenty potrzebne mu do doktoratu?

Boom-Sook Kima nie interesowały eksperymenty, tylko picie, hazard i strzelanie z qszy. Jego ojciec był egzekwem w Instytucie Genomiki w Kwangju; kiedyś lobbował nawet w sprawie przyjęcia go do Rady Dżucze, ale jego syn obniżył wartość rynkową rodu Kim.

Więc jak Boom-Sook planował uzyskać doktorat?

Opłacając pewnego akademika, by ułożył mu doktorat ze swoich własnych źródeł; ulubiona droga do sukcesu podyplomantów z warstwy egzeqtyw. Substancje chemiczne odpowiedzialne za podniesienie Yoony~939 i moje miały uprzednio opracowane formuły, podobnie jak zawczasu sformułowane były wyniki i wnioski experimentu. Boom-Sook nie potrafiłby nazwać biomoleqlarnych właściwości pasty do zębów. W ciągu dziewięciu miesięcy nie wyznaczył mi żadnych „experymentalnych” zadań cięższych niż sprzątanie labu i parzenie mu herbaty. Nowe dane mogłyby zamącić w tych, które qpił; ryzykowałby wtedy, że oszustwo wyszłoby na jaw. Moja obecność była mu potrzebna o tyle, że dodawała jego poczynaniom wiarygodności.

Takie właśnie, jak się nauczyłam, były warunki mojego nowego życia – i takie mi odpowiadały; nie ma porówniania z kantyną Papy Songa. Pod częstą nieobecność mojego podyplomanta mogłam kształcić się bez obawy, że ktoś mnie zdemasqje. Co drugi dzień Boom-Sook przychodził do labu około czternastej, żeby skopiować kolejną partię wybranych danych na swojego sonego.

Czy naukowy opiekun Boom-Sook Kima był świadom popełnianego plagiatu?

Profesorowie zbyt cenią sobie etat na uczelni, by ujawniać skandale z udziałem synów przyszłych Członqw Rady.

Czy Boom-Sook nigdy z tobą nie rozmawiał... nie nawiązywał z tobą żadnego kontaktu?

Zwracał się do mnie, jak czystokrwieści mówią do kotów. Bawiło go, gdy rzucał w moją stronę pytania, jakie uznawał za całkowicie dla mnie niezrozumiałe: „A twoim zdaniem, Sonmi, powinienem powiedzieć ojcu, żeby się pocałował w dupę? W swoją dupę demokracji?”. Albo: „A powiedz mi, Sonmi, twoim zdaniem warto lazurować sobie zęby? A może szafir to tylko przejściowa moda?”. Nie spodziewał się rzeczowej odpowiedzi; nie wyprowadzałam go z błędu. Moja odpowiedź tak weszła mi w nawyk, że Boom-Sook przezwał mnie „Nie-wiem-proszę-pana~451”.

Czyli przez dziewięć miesięcy nikt nie dostrzegł twojej gwałtownie rosnącej świadomości?

Jedynymi gośćmi, którzy regularnie odwiedzali Boom-Sook Kima, byli Min-Sic i Fang. Prawdziwego imienia Fanga nigdy przy mnie nie wymieniali. Przechwalali się nowymi fordami i suzukami i grali w pokera. Opisywanie, jak wyglądali, mija się z celem: co miesiąc poddawali się twarzędzie. Żaden z ich trójki nie należał do tych czystokrwistych, którzy zauważają fabrykantów poza wylęgarnią Huamdonggil. Gil-Su Noon, sąsiad Boom-Sooka, podyplomant z niższej warstwy, utrzymujący się ze stypendium, od czasu do czasu walił w ścianę, skarżąc się na hałas, ale trójka egzeqw odpowiadała mu jeszcze głośniejszym waleniem. Widziałam go tylko raz czy dwa.

Co to jest „poker”?

To gra w karty, w którą grywają kłamcy wyzyskujący się nawzajem, lecz udający przyjaźń. Podczas sesji pokera Fang wygrał tysiąc dolarów z Dusz Boom-Sooka i Min-Sica. Kiedy indziej Boom-Sook mówił mi, żebym wyszła, a oni zażywali narkotyki egzeqw; gdy był natoxowany, mówił, że go denerwuję. Szłam wtedy na dach wydziału, siadałam w cieniu zbiornika wody i patrzyłam, jak jerzyki polują na olbrzymie komary, aż robiło się ciemno, wtedy cała trójka podyplomantów szła do domu.

Dlaczego już nigdy nie spotkałaś Winga~027?

Pewnego parnego popołudnia, trzy tygodnie po moim przyjeździe do Taemosan, ktoś zapukał do drzwi i Boom-Sook musiał oderwać się od katalogu twarzeźby. Jak już wspominałam, niezapowiedziani goście zjawiali się rzadko.

– Wchodźcie! – powiedział Boom-Sook, chowając katalog pod tomem *Genomiki Praktycznej*. W przeciwieństwie do mnie nigdy jej nie przeczytał.

Żyłasty, chudy student uchylił drzwi czubkiem stopy.

– Boom-Boom – powiedział do Boom-Sooka.

Mój podyplomant skoczył na równe nogi; usiadł znowu; a potem zgarbił się, rozwalony.

– Cześć, Hae-Joo – udawał pełną swobodę – co jest?

Gość powiedział, że po prostu przechodził i wpadł, żeby się przywitać. Usiadł na krześle, które podsunął mu Boom-Sook. Słuchając ich rozmowy, dowiedziałam się, że Hae-Joo Im chodził z Boom-Sookiem w szkole średniej do jednej klasy, a teraz studiował na Wydziale Jednomyślności w Taemosan. Kazano mi przynieść Hae-Joo szklankę herbaty, a oni rozmawiali tymczasem o nieistotnych sprawach. Wtedy gość zapytał:

– Pewnie słyszałaś już o swoim przyjacielu Min-Sicu? Miał dziś straszny dzień.

Boom-Sook najpierw zaprzeczył, jakoby Min-Sic był jego przyjacielem, a potem zapytał, dlaczego ten dzień był niby taki straszny.

– Jego fabrykanta, Winga~027, spaliło na skwarki.

Okazało się, że Min-Sic pomylił plus z minusem na etykiecie butelki z łatwopalnymi alkaliami.

Mój podyplomant uśmiechnął się krzywo, zachichotał, a potem wybuchnął śmiechem. Hae-Joo zrobił wtedy coś niezwykłego: spojrzął na mnie.

Dlaczego „niezwyczajnego”?

Czystokrwisci zawsze nas widzą, ale rzadko na nas patrzą. Dużo później Hae-Joo przyznał, że był ciekaw mojej reakcji. Boom-Sook niczego nie zauważył: zastanawiał się nad wysokością odszkodowania, jakiego zażąda korporacja sponsorująca badania Min-Sica. W jego własnych badaniach, do których nikt mu się nie wtrącał, mógł sobie spokojnie rozwalić po drodze jednego czy dwóch fabrykantów.

Czułaś... no właśnie, co czułaś? Żal? Ból?

Wściekłość. Wycofałam się do pokoiq. My, fabrykanci, nie mamy ani sposobów, ani prawa wyrażania emocji, ale twierdzenie, że nie potrafimy ich odczuwać, jest powszechnie panującym mitem. Wing~027 wart był dwudziestu Min-Siców, bez dwóch zdań; z powodu aroganckiej lekkomyślności egzekuta zginął mój jedyny przyjaciel w Taemosan, a Boom-Sook określił to jako histerycznie śmieszne.

Wściekłość hartuje wolę ze stali. Teraz wiem, że ów dzień był pierwszym krokiem do moich Deklaracji; do tej więziennej celi; i do Latarni.

Co się z tobą działo w czasie letniej przerwy?

Zgodnie z przepisami, Boom-Sook powinien oddać mnie do spalni-przechowalni, by uniknąć skażenia doświadczalnego obiektu. Na szczęście, mój podyplomant tak się zapalił, żeby pojechać na polowanie na łosie-fabrykanty na Hokkaido we wschodniej Korei, że całkiem o tym zapomniał; albo też zakładał, że ktoś z niższej warstwy zrobi to za niego.

Zatem pewnego letniego poranka obudziłam się i odkryłam, że cały budynek jest zupełnie pusty. Z ruchliwych dotąd korytarzy nie dochodziły żadne odgłosy, nie rozlegał się dzwonek, nie było ogłoszeń, nawet klimatyzery wyłączone. Oglądane z dachu Współmiasto kłębiło się, dymiło i pędziło, a całe mrowie aer zostawiało na niebie smugi wyziewów, ale kampus był znacznie cichszy i spokojniejszy niż zazwyczaj. Parkingi fordów były w połowie puste. Robotnicy budowlani zmieniali w upalnym słońcu nawierzchnię owalnego placu. Potem wpadłam na pomysł, żeby sprawdzić kalendarz w sonym, i dowiedziałam się, że dzisiaj zaczęły się wakacje. Zamknęłam na zasuwę drzwi labu i schowałam się w pokoiq.

Przez pięć tygodni w ogóle nie wychodziłaś z labu Boom-Sooka? Ani razu?

Ani razu. Bardzo się bałam, że odbiorą mi mojego sonego. Każdego Dziewiątego Dnia strażnik sprawdzał drzwi labu. Czasem słyszałam, jak Gil-Su Noon pracuje w sąsiednim labie. Opuściłam żaluzje i nie włączałam w nocy solarów; Mydła miałam wystarczająco dużo na cały ten okres.

Ale to pięćdziesiąt dni nieprzerwanej samotności.

Przez te całe pięćdziesiąt dni mój umysł poznawał wzdłuż, wszerz i w głąb naszą kulturę. Pochłonełam dwanaście tekstów myślicieli: Siedem dialektów Jong-Ila, O założeniu Nea So Copros Pierwszego Przewodniczącego, Historię Starć admirała Yenga; znasz całą ich listę. Bibliografie w nieocenzurowanej wersji Komentarzy naprowadziły mnie na myślicieli przedstawicieli. Biblioteka odmówiła oczywiście realizacji wielu zamówień, ale zdołałam zdobyć dwóch Optymistów przetłumaczonych z późnoangielskiego, Orwella i Huxleya; i Satyry na demokrację Waszyngtona.

Czy teoretycznie służyłaś jeszcze jako egzemplarz do doktoratu Boom-Sooka, kiedy wrócił na drugi semestr?

Tak. Nadeszła moja pierwsza jesień; zgromadziłam sekretny zbiór płomiennie rudych liści, które wiatr podrywał na dachu wydziału. Gdy sama jesień weszła już w swój schyłek, moje liście straciły kolor. Noce stały się mroźne; nawet w godzinach przy świetle dziennym świat był sęty mrozem. Zimno było kolejnym intrygującym doznaniem po nieodmiennie ciepłej kantynie. Popołudniami Boom-Sook drzemał przez większość czasu na termopolu, oglądając 3D. Latem stracił duże sumy dolarów na wątpliwych inwestycjach, a ponieważ ojciec odmówił spłacania jego długów, mój poddyplomant był w fatalnym nastroju. Przed jego wybuchami furii mogłam bronić się jedynie udając całkowitą pustkę i obojętność.

Jak zareagowałaś na śnieg?

Śnieg jest piękny. Pierwszy śnieg spadł w zeszłym roku bardzo późno, w Pierwszą noc Dwunastego Miesiąca. Obudziłam się przed świtem i patrzyłam oczarowana, jak płatki śniegu tworzą aureolę wokół noworocznych lampek ozdabiających okna na dziedzińcu. Zarośla pod zaniedbanym pomnikiem ugięły się pod ciężką czapą śniegu; pomnik nabrał komicznego majestatu. W półświatle śnieżna biel przybiera odcienie sinofioletowych bzów.

Chyba mniej więcej wtedy pojawił się profesor Mephi?

Tak. W Wieczór Sextetu. Boom-Sook, Min-Sic i Fang wpadli do labu późno, z wypiekami od narkotyków i pokładali się ze śmiechu. Byłam w pokoju i ledwo zdążyłam ukryć sonego. Boom-Sook miał na głowie biret, a Min-Sic trzymał przed sobą kosz orchidei o woni mięty, niemal tak wielki, jak on sam. Rzucił kwiaty w moją stronę, mówiąc:

– Płatki dla Spooni, Sponni, Sonmi, czy jak tam jej na imię...

Fang przeszukał szafkę, w której Boom-Sook trzymał sodzu, i rzucił przez ramię trzy butelki.

– To jakieś kocie szczyny. – Skrzywił się.

Min-Sic złapał dwie, ale jedna rozbiła się na podłodze, co wywołało salwy śmiechu.

– Posprzątaj, Kopciuchu! – Boom-Sook klasnął na mnie w ręce, a potem udobruchał Fanga, mówiąc, że otworzy butelkę najlepszego sodzu, bo przerwa Sextetu jest przecież tylko raz do roq.

Zanim pozamiatałam rozbite szkło, Min-Sic zdążył znaleźć disneja z gejowskim porno w 3D. Oglądali go z upodobaniem, sprzecząc się na temat jego zalet i realizmu, i pijąc lepsze sodzu. Tej nocy wszyscy, a szczególnie Fang, pili z jakąś brawurą, która mnie denerwowała. Schowałam się w pokoiq. Słyszałam stamtąd, jak Gil-Su Noon, stojąc w drzwiach labu, prosi trójkę imprezujących podypłomantów o ciszę. Podglądałam.

Min-Sic przedrzeźniał Gil-Su z powodu jego oqlarów i zapytał, dlaczego rodzina nie może skombinować dolarów, żeby skorygować mu krótkowzroczność. Boom-Sook poradził, żeby Gil-Su wsadził sobie łeb w dupę, jak chce mieć spoqj w ostatni dzień Semestru Starego Roq. Fang zapowiedział, że poprosi ojca, żeby nasłał na klan Noonów kontrolę podatkową. Gil-Su Noon wściekał się przy drzwiach, ale w końcu poszedł sobie, kiedy trójka egzeqw obrzuciła go śliwkami i zaczęła jeszcze bardziej go obśmiewać.

To chyba Fang kierował ich bandą.

Tak, to prawda: potrafił doskonale rozpoznać ludzkie słabości, wedrzeć się przez nie do wnętrza i wykorzystywać ludzi. Bez wątpienia jest teraz wziętym prawnikiem w jednej z dwunastu stolic. Owej nocy postanowił podrażnić się z Boom-Sookiem, machając butelką sodzu przed kodakiem ze śnieżną panterą.

– Na jak ogłupiałe – zapytał Fang – genomowano te drapieżniki, że turyści mogli na nie bezpiecznie polować?

Boleśnie ubodło to dumę Boom-Sooka, który odparł natychmiast, że polował wyłącznie na zwierzęta, których dzikość genomicznie podkręcano. Razem z bratem podchodzili tę panterę przez wiele godzin w rezerwacie w Dolinie Katmandu, aż wreszcie osaczone zwierzę skoczyło bratu do gardła. Boom-Sook powalił je jednym strzałem. Jeszcze w powietrzu belt trafił bestię w samo oko.

Fang i Min-Sic przez chwilę udawali, że są pełni podziwu, a potem znowu wybuchli śmiechem. Min-Sic tupał nogami w podłogę i mówił:

– Qrde, weź nie ściemniaj, Kim!

Fang przyjrzał się bliżej kodakowi i stwierdził, że chyba jest podrasowany cyfrowo.

Boom-Sook z powagą namalował twarz na syntetycznym melonie, napisał „Fang” wzdłuż malowanej brwi i ustawił owoc na stercie czasopism przy drzwiach. Podniósł qsę z biurka, stanął przy najdalszym oknie i wycelował.

Fang zamachał rękoma i zawołał: „Nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie!”, twierdząc,

że melony nie rzuca się myśliwemu do gardła, jeśli w nie nie trafi. Czyli, że Boom-Sook nie czuje dostatecznie dużego napięcia. Kiwnął na mnie, żebym stanęła przy drzwiach.

Zrozumiałam jego zamiar i próbowałam odwołać się do mojego podyplomanta, ale Fang przerwał mi, ostrzegając, że jeśli nie zrobię, co każe, Min-Sic zostanie tu i będzie wydzielał mi Mydło. Min-Sicowi zrzęda mina: rozumiał groźbę Fanga. Wbił mi w rękę paznokcie, zaprowadził pod drzwi, włożył mi na głowę biret, narysował na melonie pysk kota i postawił owoc na birecie.

– I jak, Boom-Sook – podpuszczał – dalej twierdzisz, że nigdy nie chybiasz?

Znajomość Boom-Sooka z Fangiem polegała tak naprawdę na nienawiści i pogardzie.

– Jasne – odparł.

Prosiłam mojego podyplomanta, żeby tego nie robił.

Boom-Sook podniósł qszę i nakazał, żebym nawet nie drgnęła.

Błysnął stalowy grot belta. Głupio i bezcelowo byłoby umrzeć dla zabawy chłopców, ale fabrykanci nie mogą dyktować warunków. Brzęk zwalnianej cięciwy, powietrze przeciął świst i belt wbił się w miąższ melona; owoc chrupnął i stoczył się z biretu. Min-Sic z uśmiechem bił brawo, mając nadzieję, że rozładuje atmosferę.

Ulga, jaką odczułam, pozwoliła mi zapomnieć o upokorzeniu.

– Wcale nie trzeba nie wiadomo jakiego oka, żeby trafić w wielki melon – prychnął Fang.
– Zresztą, proszę – uniósł melon – nie trafiłeś kici w oczko. – Mango – ciągnął – będzie celem z pewnością dużo godniejszym myśliwego, który podobno potrafi tak wiele, prawda?

Boom-Sook wyciągnął qszę w stronę Fanga, żeby sam pokazał, jak umie strzelać; że strzela przynajmniej tak samo dobrze i trafi w mango z piętnastu kroków.

– Nie ma sprawy. – Fang wziął qszę i kazał mi stanąć z powrotem, gdzie stałam.

– Proszę pana... – zaczęłam błagać w desperacji.

– Siedź cicho – warknął Boom-Sook, rysując oko na mango.

Fang odliczył kroki i naciągnął qszę.

Zaniepokojony Min-Sic ostrzegł kolegów, że w razie śmierci osobnika eksperymentalnego sama papierkowa robota do odwalenia może potem człowieka zabić.

Fang długo mierzył. Jego ręka drżała. Mango wybuchło i sok zalał ścianę. Wiedziałam, że to nie znaczyło, że mogę już spokojnie odetchnąć. Fang dmuchnął na qszę.

– Melon z trzydziestu krokw, mango z piętnastu... Podnoszę stawkę... śliwka z dziesięciu.
– Zaznaczył, że śliwka i tak jest większa od oka pantery, ale dodał, że jeśli Boom-Sook chce, może przyznać, że ściemnia, i zrezygnować z próby. Min-Sic i on sam uznają wtedy rozdział za zamknięty, na całe dziesięć minut.

Boom-Sook rozważał, co jest dla niego ważniejsze – moje bezpieczeństwo czy własny honor. Ułożył mi ostrożnie śliwkę na głowie i kazał mi być absolutnie nieruchomo. Odliczył dziesięć krokw, załadował i wymierzył.

Czułam śmiertelny strach.

Gil-Su znowu walnął w drzwi.

Idź stąd, myślałam. Nie rozpraszaaj go...

Boom-Sookowi chodziła szczęka, kiedy naciągał qszę.

Walenie było coraz mocniejsze. Fang rzucał przekleństwa o genitaliach Gil-Su i o jego matce.

Boom-Sook przewiercał wzrokiem śliwkę na mojej głowie. Kostki palców całkiem mu zbieleły.

Od ciosu głowa aż mi odskoczyła; ból zatopił mi kły w uchu; drzwi za mną gwałtownie otworzyły się na oścież. Podniosłam wzrok: Boom-Sook, Min-Sic i Fang mieli taki wyraz twarzy, jakby w drzwiach stało fatum. Przez chwilę ciekawość zagłuszyła narastający w mojej głowie przeraźliwy ból. W progu stał człowiek z brodą, zadyszany i wściekły do granic. Na płaszczu miał skorupę ze śniegu i lodu.

Członek Rady Mephi?

Profesor Jednomysłności, architekt rozwiązania kwestii Kalifornijskich Uciekinierów, odznaczony przez Nea So Copros Medalem za Wybitność, monograf Tu-Fu i Li-Po; Członek Rady Mephi. W pierwszej chwili go nie poznałam. Coś ściekało mi po szyi i plecach. Otarłam ręką ucho i ból wgrzył się głębiej; palce miałam całe w błyszczącym szkarłacie.

Głos Boom-Sooka drżał:

– Członku Rady, my...

Ani Fang, ani Min-Sic nie starali się przyjść mi z pomocą. Członek Rady przycisnął do mojej szyi czystą jedwabną chusteczkę i polecił mi trzymać ją ze stałym naciskiem. Z wewnętrznej kieszeni wyjął podręcznego sonogo.

– Panie Chang – powiedział do aparatu i teraz poznałam w nim sennego pasażera, który towarzyszył mi w podróży z Chongmyo Plaza osiem miesięcy temu. Wezwał szybką pomoc

medyczną.

Zwrócił się teraz do podyplomantów, mówiąc, że Rok Węża rozpoczął się dla nich wyjątkowo złą wróżbą. Powiedział, że Min-Sicowi i Fangowi rada dyscyplinarna prześle notę obciążeniową, po czym kazał im odejść. Obydwaj ukłonili się i śpiesznie wyszli. Min-Sic zostawił płaszcz na termopolu, ale nie wrócił po niego. Boom-Sook wyglądał na niepokieszonego i niepomierne użalającego się nad sobą. Mój wybawca pozwolił podyplomantowi pocierpieć jeszcze kilka sekund, nim zapytał:

– Do mnie też zamierzasz z tego czegoś strzelić?

Boom-Sook Kim zobaczył, że ciągle trzyma w rękę obciążającą go qszę i odrzucił ją, jakby miała sto celsjuszy. Członek Rady Mephi zbadał wzrokiem lab, wachając szyjkę butelki sodzu. Jego uwagę odwróciła ósmionoga scena gwałtu w 3D. Boom-Sook histerycznie przyciskał guziki pilota, upuścił go, podniósł, nacisnął STOP, wycelowwał pilota jeszcze raz, dokładniej, nacisnął STOP. Pozorny spoj Członka Rady był zastraszający; profesor chciał usłyszeć wyjaśnienia Boom-Sooka, dlaczego używał wydziałowej eksperymetalnej fabrykanty do ćwiczenia strzałów z qszy.

Też jestem ciekaw jego wyjaśnień.

Boom-Sook próbował wszystkiego. Niewybaczalnie upił się w Wieczór Sextetu; bardzo niewłaściwie ustalił priorytety; zignorował symptomy stresu; nierozważnie wybrał przyjaciół; zapędził się w próbach przywołania do porządku aroganckiej fabrykanty; to wszystko wina Fanga. Był tak nieprzekonujący w każdym z tych wyjaśnień, kłamał tak nieudolnie, że sam siebie zdradził.

Pan Chang przybył z medboxem, wysprejował mi ucho, przyłożył koagulant i zakleił opatrunkiem. Podyplomant zapytał, czy ucho mi się zagoi. W odpowiedzi Członek Rady Mephi odparł, że praca nad doktoratem Boom-Sooka zostaje zakończona. Ex-podyplomant zbladł z przerażenia, gdy dotarły do niego konsekwencje tego, co się stało.

Pan Chang uściśnął mi serdecznie zalaną krwią rękę i powiedział, że mam oderwane ucho. Medyk wymieni je jutro rano. Oczami wyobraźni widziałam już, co mnie czeka ze strony Boom-Sooka, gdy tylko zostaniemy sami, ale pan Chang powiedział, że razem z Członkiem Rady Mephi odwiozą mnie do nowego domu. Miałam wyjść razem z nimi.

Musiało cię to bardzo ucieszyć.

Tak, ale chodziło też o mojego sonego. Jak go miałam ze sobą zabrać? Nie przychodził mi do głowy żaden plan, więc potulnie kiwnęłam głową, w nadziei, że może zdołam go odzyskać w czasie Przerwy Sextetalnej.

Jak Członek Rady wytłumaczył przyjście ci z pomocą w samą porę?

Nie pytałam; mój wybawca wyjaśnił mi to dopiero później. Moją uwagę pochłaniały spiralne schody do holu wejściowego; schodzić jest trudniej niż wchodzić. Wirujące i falujące płatki śniegu rozбивały się o szybę w holu. Pan Chang miał dla mnie płaszcz z kapturem i parę skejtnajqw.

Członek Rady Mephi z humorem pochwalił pana Changa za doskonały wybór wzoru w paski zebry. Pan Chang odrzekł, że paski zebry były tej zimy bardzo *en vogue* w najbardziej stylowych dzielnicach Lhasy.

Członek Rady Mephi powiedział, że zostanę przewieziona na Wydział Jednomyślności na zachodnim krańcu kampusu, przepraszając, że pozwolił „tym trzem tchórzom z egzektywy” igrzać z moim życiem. Pogoda uniemożliwiła szybszą interwencję. Nie byłam pewna, jak mam odpowiedzieć, więc potulnie, jak dobrze wyorientowana fabrykanta, odrzekłam:

– Tak, proszę pana.

Chodniki i dziedzińce kampusu zapełniały tłumy świętujące Wieczór Sextetu. Pan Chang nauczył mnie, jak szurać nogami po ziarnistym lodzie, żeby nie stracić przyczepności. Płatki śniegu osiadały mi na rzesach i w dziurkach od nosa. Kiedy spoglądałam w niebo, czułam, że lecę w górę. Bitwy na qlki śnieżne ustawały, gdy zbliżał się profesor Mephi; walczące strony kłaniały mu się. Ukryta pod kapturem rozkoszowałam się własną anonimowością.

Przechodząc przez dziedziniec, usłyszałam muzykę. Nie żadną reklawizję i nie pop-song, ale dźwięk, czysty, powracający echem. Członek Rady Mephi zauważył, jak mnie to zafascynowało, i objaśnił, że to ludzki chór. Zatrzymaliśmy się na minutę, żeby się wsłuchać.

Dwóch egzekwerów prawa, trzymających straż przy Wydziale Jednomyślności, zasalutowało i wzięło od nas płaszcze. Bogactwo tego budynku było dla mnie czymś całkowicie nowym; jego wyposażenie było równie wystawne, jak wnętrze Wydziału Psychogenomiki spartańskie. Wzdłuż wyłożonych chodnikiem korytarzy wisiały rzędy luster z epoki Dżong Ila, stały urny królów Silli i 3D bohaterów Jednomyślności. Członek Rady Mephi wymieniał po kolei ich imiona. W windzie znajdował się kandelabr, który recytował Katechizmy Jednomyślności, ale Członek Rady Mephi powiedział mu, żeby był cicho.

Winda otworzyła się, ukazując leżący lekko poniżej jej poziomu przestronny, tonący w półmroq apartament, jakby wyjęty z jednej z reklawizji dla wyższych warstw. Ogień w 3D migotał w centralnym kominie, a woł, magnewitując, unosiły się meble. Przez dwie ściany z lustrzanego szkła roztaczał się oszałamiający widok na Współmiasto, przesłonięte jasną mgiełką padającego śniegu. Na wewnętrznych ścianach wisiały obrazy. Zapytałam Członka Rady, czy to jego gabinet.

– Mój gabinet jest piętro wyżej – odparł. – To jest twój nowy dom.

Pan Chang kiwnął głową i poradził, żebyśmy zaprosiła gości, by usiedli.

Pokornie poprosiłam Członka Rady Mephi o wybaczenie; nigdy wcześniej nie miałam

gości, więc moje maniery nie były zbyt wyszukane.

Magnewitacyjna sofa zakołysała się lekko pod ciężarem Członka Rady; powiedział mi, że jego synowa specjalnie dla mnie zmieniła wystrój wnętrza. Wybrała płótna Rothko w nadziei, że wprowadzą reflexyjny nastrój.

– To kopie oryginałów moległa po moległe – zapewnił, choć nie miałam pojęcia co to jest „Rhotko” – mimo że niektórzy są zdania, że w naszym świecie nie zachował się ani jeden oryginał. W stylu artysty pobrzmiwa chyba echo twojego własnego położenia, Sonmi~451; malował tak, jak świat muszą widzieć niewidomi.

Oszłamiający wieczór – najpierw qsze, a zaraz potem historia sztuki...

W rzeczy samej, ale wieczór się na tym nie skończył. Profesor wyrzucał sobie, że nie dostrzegł mojego potencjału, gdy jechał ze mną fordem z Chongmyo Plaza.

– Zakładałem, że byłaś zwykłym półpodniesionym experimentem, skazanym na umysłową dezintegrację w ciągu kilq tygodni. Jeśli mnie pamięć nie myli, nawet się zdrzemnąłem. Mam rację, panie Chang? Proszę powiedzieć, jak było.

Ze swego stanowiska przy windzie pan Chang potwierdził, że jego pan pozwolił w czasie podróży odpocząć zmęczonym oczom. Członek Rady wzruszył ramionami.

– Na pewno cały czas zastanawiasz się, co takiego zrobiłaś, że się tobą zainteresowałem, Sonmi?

Jego słowa brzmiały, jak znaczący uścisk ręki; „no pokaż się już, wiem, że tam jesteś”. Albo jak pułapka. Udałam grzeczne niezrozumienie.

Z wyrazu twarzy Mephiego, świadczącego, że czuł się współwinny, zrozumiałam, że nie ma mi za złe mojej ostrożności. Powiedział, że w Taemosan studiuje trzynaście tysięcy studentów, którzy w każdym semestrze generują ponad dwa miliony bibliotecznych zamówień. W większości proszą o podręczniki i artykuły związane z programem qrsów. Reszta zamówień dotyczy wszystkiego – od nieruchomości do qrsów giełdowych, od sportowych fordów do steinweyów, od jogi po ptaki w klatkach.

– Chodzi o to, Sonmi, że dopiero czytelnik o prawdziwie eklektycznych zainteresowaniach robi głównemu bibliotekarzowi trochę zachodu, bo wtedy bibliotekarz musi mnie powiadamiać.

Profesor włączył podręcznego sonego i odczytał moją listę zamówień textów do ściągnięcia. 18 Szóstego Miesiąca, *Gilgamesz* 2 Siódmego Miesiąca, *Pamięci Ireneo Fumesa*; 1 Dziewiątego Miesiąca, *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Gibbona. Członek Rady minę miał niemal dumną, a twarz rozświetlała mu fiołkowa poświata sonego; 11 Dziesiątego Miesiąca, bezpardonowe wyszukiwanie materiałów na temat raka zjadającego nasze ukochane korpokratyczne ciało, Unii.

– Tak wielki głód alternatywnych okresów, miejsc oraz idei – ciągnął – alarmuje go, jako człowieka Jednomyślności, o obecności wewnętrznego *emigre*. *Emigres* tacy stanowią niezwykle obiecujący materiał dla agentów Jednomyślności.

Mój „gość” wyjaśnił, że zidentyfikował głodnego wiedzy właściciela sonego jako Nun Hel-Kwona, geotermistę z zasypanego śniegiem Onsöng, który zimą przed dwoma laty zginął w wypadku na nartach. Członek Rady Mephi wyznaczył zdolnemu dyplomantowi zadanie dla detektywa w starym stylu – miał wytropić, kto ukradł sonego. Obserwacja e-wavem namierzyła receptor sonego w labie Boom-Sooka; ale absolutnie nikt by nie uwierzył, że to Boom-Sook pochłaniał Wittgensteina. Zatem sześć tygodni temu, w czasie zaciemnienia, student Mephiego wszczepił mikrooko w każdego sonego w pokoju.

– Następnego dnia odkryliśmy, że nasz poszukiwany dysydent to nie czystokrwisty, lecz najwyraźniej pierwsza znana nauce stabilizowana podniesiona, usługująca siostra słynnej Yoony~939. Mam, Sonmi, pracę trudną i niebezpieczną, ale nudną? O, nie.

Nie było po co zaprzeczać.

Nie było. Mephi to nie Rhee. Słuchałam opowieści Mephiego o międzywydziałowych sporach, które wybuchły, gdy zgłosił odkrycie. Korpokraci starej szkoły chcieli mnie eutanazować jako odstępczynię; psychogenomiści chcieli poddać mnie cerebralnej wiwisekcji; Marketing chciał mnie upublicznić jako eksperymantalny przełom dokonany przez Uniwersytet Taemosan.

Oczywiście, żadne z nich nie dopięło swego.

Nie. Jednomyślność zaproponowała kompromis: pozwolono mi kontynuować własne kształcenie i obserwowano mnie na odległość, jak zachowuję się, mając iluzję wolnej woli – dotąd, aż zostanie osiągnięte porozumienie co do dalszego postępowania. Jednakże Boom-Sook ze swoją qszą zmusił Jednomyślność do szybszej interwencji.

Więc co Członek Rady Mephi zamierzał teraz z tobą zrobić?

Ułożyć ramy względnego kompromisu między wszystkimi zainteresowanymi stronami, które chciały wykroić ze mnie jakiś kawałek dla siebie; a potem wprowadzić ten kompromis w życie. Korporacje wydały już bez efektów miliardy dolarów w prywatnych labach, by osiągnąć... po prostu to, czym jestem ja. Żeby zadowolić genomistów, cały szereg wybranych naukowców z wielu dziedzin miał przeprowadzić na mnie złożone badania. Pamiętam, jak Mephi, przesuwając dłońmi między płomieniami 3D, zapewniał mnie, że badania te nie będą uciążliwe ani bolesne i nie potrwać dłużej niż trzy godziny dziennie przez okres dziesięciu dni, co drugi dzień. Aby zdobyć poparcie Rady Taemosan, dostęp do badań zostanie wystawiony na aukcję; miałam zdobyć mnóstwo dolarów dla moich nowych panów. Aby uciszyć ortodoxyjnych korpokratów, podniesiona fabrykanta miała zostać określona jako kolejny

niestabilny experiment, graniczący z umysłową entropią; w ten sposób Abolicjoniści i Unia nie mogli liczyć na konia trojańskiego, na symbol, na męczennika.

Czy w tym równaniu znalazło się miejsce dla zainteresowań Sonmi~451?

Uniwersytet miał wpisać mnie na listę studentów jako początkującą. Miano też wszczepić mi Duszę, żebym mogła swobodnie poruszać się po kampusie. Członek Rady Mephi obiecał nawet, że sam będzie mnie uczył, zawsze ilekroć znajdzie się w kampusie. Wyjął rękę z płomieni i obejrzał palce.

– Tylko światło, bez ciepła. Młodzież nie odróżniłaby dzisiaj prawdziwych płomieni, nawet gdyby ich akademiki stanęły w ogniu. – Powiedział, żebym mówiła do niego „panie profesorze”, zamiast „proszę pana”.

Jednego tylko nie rozumiem. Jeżeli Boom-Sook Kim był aż takim leniem i bufonem, jak to się stało, że sięgnął po najintensywniej poszukiwany skarb psychogenomiki – po stabilne podniesienie?

Hae-Joo Im wyjaśniał to tak: agent, którego Boom-Sook wynajął do skompilowania mu doktoratu, trafił na świetne źródło. Uchodźca pracujący w Instytucie Bajkalskim, Yusuf Sulejman, napisał doktorat Boom-Sooka piętnaście lat temu. Extreści Abolicji zabijali wtedy genomistów na Syberii i Sulejman razem z trójką swoich profesorów wyleciał w powietrze w wybuchu podłożonej pod forda bomby. Ponieważ Bajkał to zawsze Bajkał, a Sulejman był imigrantem ze Strefy Produkcji, jego badania leżały gdzieś zapomniane, aż trafił na nie opłacony przez Boom-Sooka magik od doktoratów. Agent ów nawiązał kontakt z korporacją PapaSong, by dodać formułę podniesienia do naszego Mydła. Yoona~939 była osobniczką podstawową, ja byłam zmodyfikowaną osobniczką zastępczą. Jak mówił Hae-Joo, jeżeli wydaje mi się to niewiarygodnie, powinnam pamiętać, że do wielu wydarzeń o ogromnej wadze w historii nauki doszło na skutek równie nieprawdopodobnego splotu wypadków.

A Boom-Sook przez cały czas nic nie wiedział o wrazeniu, jakie robił jego doktorat?

Tylko idiota, który nigdy w życiu nie zatkał palcem pipety i nie miał w rękę płytki Petriego, mógł do końca nie zdawać sobie z tego sprawy, ale Boom-Sook Kim był takim idiotą. Może to wcale nie był przypadek.

Jak podobało ci się nowe życie na Wydziale Jednomyślności?

Jak pamiętasz, zostałam przeniesiona w Wieczór Sextetu, więc miałam przed sobą sześć spokojnych dni, zanim nowe życie miało rozpocząć się na dobre. Ubiegłoroczny Sextet był najmroźniejszy od lat czterdziestych. Tylko raz przespacerowałam się po oblodzonym kampusie; genomowano mnie tak, abym czuła się dobrze w ciepłych barach. Z powodu zimy w dolinie Han, na Taemosan bolały mnie sędra i płuca, więc całe sześć dni spędziłam w swoim mieszkaniu

na nauce. W Nowy Rok obudziłam się po zaciemnieniu i znalazłam trzy prezenty. Gwiazdę na obrozę, moją trzecią; starego, obtluczonego sonego, którego dał mi Wing~027, sprowadzonego z byłego labu Boom-Sooka; i książkę, której tytuł mogę już teraz przeczytać: *Baśnie Christiana Andersena*. Otworzyłam ją i poznałam Xięgę Świata na Zewnątrz Yoony. Przczytałam ją od deski do deski i pomyślałam o moich siostrach w całej Nea So Copros, radujących się Ceremoniami Gwiazd. O szczęśliwych dwunastogwiazdnych, które będą odjeżdżać do Uniesienia na Hawajach już dzisiaj rano, gdyż spłaciły Inwestycję.

Tak bardzo pragnęłam, żeby Yoona~939 mogła pójść ze mną na mój pierwszy wykład Drugiego Dnia. Boleśnie mi jej brakowało. Brajje mi jej do dzisiaj.

Twój pierwszy wykład był na jaki temat?

Na temat *Biomatematyki* Swantiego. Ale pierwszą prawdziwą lekcją było upokorzenie. Przez rozmokły śnieg szłam do sali wykładowej ukryta pod kapturem i niezauważana. Ale kiedy zdjęłam w korytarzu płaszcz, moja twarz Sonmi wzbudziła zdziwienie, a potem skrępowanie i niepoqj. Gdy weszłam do sali wykładowej, zapanowała pełna niechęci cisza.

Nie trwała jednak długo.

– Yo! – wrzasnął jakiś chłopak – Raz gorący żeń-szeń, dwa dogburgery!

Sala zatrzęsa się ze śmiechu. Nie jestem genomowana, by się rumienić, ale podskoczyło mi tętno. Zająłam miejsce w drugim rzędzie, gdzie siedziały dziewczęta. Ich przywódczyni miała szmaragdowe zęby.

– To nasz rząd. Idź do tyłu. Śmierdzisz majonezem.

Posłuchałam. Dostałam w twarz papierową strzałką.

– Ej, fabrykanta, ja nie wydaję hamburgerów w twoim barze, to ty mi nie zajmuj sali wykładowej!

Już chciałam wyjść, kiedy chuda jak pajak dr Chu'an potknęła się, gdy wchodziła na katedrę, i upuściła notatki, dając sygnał, że wykład właśnie się zaczyna. Z całych sił starałam się sqpić; znałam teorie Swantiego, ale nie ich zastosowanie. Po jakichś piętnastu minutach dr Chu'an powiodła wzrokiem po studentach i wtedy mnie dostrzegła; urwała w pół zdania. Studenci zorientowali się dlaczego. Dr Chu'an zmusiła się, żeby prowadzić wykład dalej. Ja zmusiłam się, by zostać na miejscu. Brakowało mi odwagi, żeby pod koniec wykładu zadawać pytania. Na zewnątrz znalazłam się pod ostrzałem wyzwisk i złośliwych uwag.

Czy profesor Mephi wiedział o nieprzyjemnościach ze strony studentów?

Tak. Profesor zapytał, czy wykład przyniósł mi jakieś korzyści; w odpowiedzi zdecydowałam się na „był pouczający” i zapytałam, dlaczego studenci tak źle o mnie myśleli,

skoro niczym ich nie obraziłam.

Zapytał, dlaczego osobnik dominowany, który zdobywa wiedzę, budzi niepokój w każdym dominującym.

Nie śmiałam wymówić słowa „przewrót” i wybrałam okrężną drogę.

– Może różnice między warstwami społecznymi wynikają nie z genomiki czy wrodzonej doskonałości, ani nawet nie z dolarów, lecz z różnicy w posiadanej wiedzy?

Profesor zapytał, czy to aby nie znaczy, że cała Piramida stoi na bardzo chybotałej podstawie.

Wyraziłam obawy, że taki pogląd mógłby zostać uznany za poważne odstępstwo.

Mephi wydawał się zachwycony.

– A pomyśl tak: fabrykanci to lustra, trzymane przed sumieniem czystokrwistych; to, co w nich widzą, brzydzi ich. Więc winą obciążają lustra.

Zapytałam, kiedy czystokrwistcy mogą zacząć obciążać siebie samych.

Memphi odparł:

– Jak dowodzi historia, dopiero wtedy, kiedy się ich do tego zmusi.

Zdałam sobie sprawę, że mam już dosyć zimno.

– Co się wtedy stanie?

Profesor zakręcił starym globusem.

– Jutro dr Chu’an będzie miała drugą część wykładu.

Powrót na salę wykładową musiał wymagać odwagi.

Poszłam tam pod eskortą egzekwera prawa. Tym razem nikt nie rzucił w moją stronę obelg. Egzekwer zwrócił się z uprzejmą złośliwością do dziewcząt w drugim rzędzie.

– To jest nasz rząd. Dla was jest trochę miejsca z tyłu.

Dziewczyny się wyniosły, ale nie czułam się dobrze: wygrał ich strach przed Jednomyślnością, a nie to, że mnie zaakceptowały. Dr Chu’an była tak zdenerwowana obecnością egzekwera, że jąkała się tylko cicho przez cały wykład i ani razu nie spojrzała na studentów.

Uprzedzenie jest jak wieczna zmarzlina.

Miałaś odwagę pójść jeszcze na jakieś wykłady?

Na jeden, na temat Podstaw Lööwa. Poszłam bez eskorty, bo wolałam obelgi od noszenia zbroi. Przyszłam wcześniej, zajęłam miejsce z boq i ustawiłam wizor na zapelniającą się salę. Studenci traktowali mnie nieufnie, ale nikt nie rzucał we mnie qlkami papieru. Dwaj chłopcy z przedniego rzędu odwrócili się w moją stronę. Na twarzach mieli szczerze zaintrygowanie, ale i obawę. Jeden z nich zapytał, czy naprawdę jestem jakimś sztucznym genialnym umysłem.

– „Genialny” to słowo zbyt wielkiej wagi, żeby go nadużywać – odrzekłam.

Gdy usłyszeli usługującą, która mówi, obydwaj nie mogli wyjść ze zdumienia.

– To musi być chyba prawdziwe piekło, kiedy inteligentny umysł jest uwięziony w słabym ciele, genomowanym, by usługiwać innym.

Odpowiedziałam, że przywiązałam się do mojego ciała.

Tym razem, gdy wychodziłam z sali po wykładzie, rzucił się na mnie pięćdziesięciogłowy smok pytań, walkmanów z mikrofonami i fleszy nikonów. Z którego PapaSongu tu przyjechałam? Kto mnie zapisał na Taemosan? Czy naprawdę doznałam podniesienia? Jak? Czy takich „mnie” jest więcej? Czy słyszałam o Yoonie~939? Ile tygodni mam jeszcze przed sobą, zanim moje podniesienie ulegnie degeneracji? Czy jestem Abolicjonistką? Czy mam chłopaka?

Media wpuszczono na państwowy uniwersytet?

Nie, ale Media oferowały nagrody za artyqły i programy o Sonmi z Taemosan. Naciągnęłam kaptur i próbowałam się przepchnąć z powrotem na Wydział Jednomyślności, ale napierający tłum był tak gęsty, że strącono mój wizor, a mnie przewrócono na podłogę i mocno poobijano, zanim dwóch egzekwerów w cywilnych ubraniach zdołało ewaqować korytarz. Profesor Mephi wyszedł mi na spotkanie w holu wejściowym Jednomyślności, mruczając pod nosem, że byłam zbyt wartościowa, żebym się wystawiała na żer żadnej sensacji hałastrze. Energicznie obracał na palcu pierścionek z kamieniem deszczowym; po tym zawsze można było poznać, że jest śpięty.

Uzgodniliśmy, że wykłady będą dla mnie cyfrowane na sonym.

Jak wyglądały experymenty, którym zostałaś poddana rano następnego dnia?

Codziennie przypominały mi o mojej rzeczywistej pozycji. Gdy spoglądam wstecz, pamiętam poczucie wyobcowania, jakie cierpiała Yoon~939, kiedy zamknęła się w sobie. Po co była mi cała ta wiedza, sama sobie zadawałam pytanie, jeśli nie mogłam wykorzystać jej do poprawy własnego bytu? Widziałam, jaki ponury obraz się rysował. Jak z moją wiedzą

miałabym pasować do reszty siostr, gdy dołączę do nich w Uniesieniu za dziewięć lat i dziewięć gwiazd? Czy amnezjady wymazałyby to, co do tego czasu wiedziałabym już o świecie? Czy tego bym chciała?

Siedziałam godzinami, nie przewinąwszy ani jednej strony na sonym. Wszystko, co w ciągu tygodnia przeczytałam, to baśń Mała Syrenka w Xiędze Świata na Zewnątrz Yoony, mroczny traktat o braq przynależności do wspólnoty i wyobcowaniu. Nadszedł Czwarty Miesiąc, a z nim pierwsza rocznica mojej bytności – mnie, dziwacznej osobniczki – w Taemosan. Wiosna nie napelniała mnie radością.

„Moja ciekawość zanika”, powiedziałam profesorowi Mephi podczas seminarium o Thomasie Painie. Miało to miejsce w pewien pogodny Pierwszy Dzień. Przez otwarte okno wpadały odgłosy meczu bejsbolowego.

Mój mentor odrzekł, że musimy natychmiast odkryć źródła owej choroby.

Bąknęłam coś, że czytanie to nie prawdziwa wiedza, że prawdziwa wiedza bez doświadczenia jest jak pożywienie bez żadnych wartości.

– Powinnaś więcej wychodzić na zewnątrz – zauważył profesor.

Z powrotem na wykłady? Na teren kampusu? Czy do Wspólmiasta?

Dziewiątego Wieczoru do mojego mieszkania wjechał windą młody podyplomant imieniem Hae-Joo Im. Zwracając się do mnie „panno Sonmi”, wyjaśnił, że profesor Mephi poprosił, by „podniósł mnie na duchu”. Profesor Mephi dzierżył w swym rękę wszechwładzę nad jego przyszłością, dlatego też się tu zjawił.

– Żartuję – dodał. Zapytał potem, czy go pamiętam.

Pamiętałam. Jego włosy, wtedy czarne, teraz miały barwę kasztanową i były ostrzyżone prawie przy samej szyć, a brwi miał wycięte w zygzaki, choć przedtem były normalne i bez żadnych ozdób; ale był tym samym żyłastym kolegą Boom-Sooka ze szkoły średniej, który przyniósł wieść o śmierci Winga~027 z rąk idioty Min-Sica.

Rozejrzał się po moim apartamencie.

– No, trochę przebija norę Boom-Sook Kima. Zmieściłoby się tu w srodkę całe mieszkanie mojej rodziny.

Przytaknęłam: apartament był niezwykle przestronny.

Zapanowała cisza. Hae-Joo Im zaproponował, że zostanie w windzie, dopóki nie zechcę, żeby już sobie poszedł.

Kolejny raz przeprosiłam za mój brak obycia i zaprosiłam go do srodka.

Zdjął najki, mówiąc:

– Przepraszam za mój brak obycia. Za dużo mówię, kiedy jestem zdenerwowany, i gadam wtedy głupoty. O, znowu. Mogę wypróbować magnetyczny szeslong?

„Tak”, powiedziała, i zapytała, dlaczego się przy mnie denerwuje.

„To oczywiste”, odparł. Bo wyglądam jak zwykła Sonmi z byle baru, a kiedy otworzę usta, zamieniam się w doktorkę filozofii.

Podyplomant usiadł na szeslongu ze skrzyżowanymi nogami i zaczął się bujać, przesuując ręką przez pole magnetyczne. Wyznał:

– Jakiś głos w głowie mówi mi: „Pamiętaj, ta dziewczyna to przełomowa postać w historii nauki. Pierwsza stabilnie podniesiona fabrykanta! Uważaj, co mówisz! Mów same mądrości!”.

Więc oczywiście, jak stwierdził, wygłasza same bzdury.

Zapewniłam go, że czułam się bardziej jak eksperymentalna osobniczka, niż jak przełomowa postać.

Hae-Joo wzruszył ramionami, odrzekł, że zdaniem profesora dobrze by mi zrobił wieczór w mieście, i z uśmiechem zamachał Pierścieniem Duszy.

– Na koszt Jednomyślności. Juhuu! Bez ograniczeń. Jak się chcesz zabawić?

Przeprosiłam, ale nie miałam pojęcia, jak lubię się bawić.

No dobrze, badał Hae-Hoo, co robię, żeby się odprężyć?

– Gram w go z moim sonym – powiedziałam.

– Żeby się odprężyć? – zapytał z niedowierzaniem. – I kto wygrywa, ty czy sony?

– Sony – odparłam – jak inaczej miałabym się nauczyć grać coraz lepiej?

– Czyli zwycięzcy – zastanawiał się Hae-Joo – są tak naprawdę przegrani, bo niczego się nie uczą? To kim byli w takim razie przegrani? Zwycięzcami?

Nie wiedziałam, czy mówi poważnie. Odrzekłam:

– Jeśli przegrani mogą wykorzystać, czego uczą ich przeciwnicy, to tak, przegrani mogą z czasem stać się zwycięzcami.

– Wielka Korpokracjo – Hae-Joo wzięły głęboki oddech – chodźmy się zabawić.

Nie irytował cię na początk?

Z początk irytował mnie nawet bardzo, ale mówiłam sobie, że podyplomant jest przepisana przez profesora Mephi receptą na moją przypadłość. Poza tym, Hae-Joo czynił mi tę uprzejmość i zwracał się do mnie jak do „osoby”, i nawet Yoona~939 nie rozmawiała ze mną tak spontanicznie. Zapytałam go, co normalnie robi w Dziewiąte Wieczory, kiedy nie jest zmuszany do opieki nad cennymi osobniczkami.

Hae-Joo uśmiechnął się dyplomatycznie i odparł, że ludzie z warstwy Memphiego nie muszą nikogo zmuszać, po prostu proponują. Powiedział, że w Dziewiąte Wieczory zwykle chodził z kolegami do kantyny albo do baru, albo – jeśli ma szczęście – clubbinguje z dziewczyną.

Nie byłam jego kolegą i nie do końca byłam dziewczyną.

Zaproponował pójście do galerii, żeby „zakosztować owoców z drzewa Nea So Copros”.

A czy nie będzie skrępowany, zapytałam, gdy zobaczą go z Sonmi? Mogłam założyć czapkę i okręcić się mnóstwem szali.

Hae-Joo zaśmiał się, powiedział, żebym włożyła cokolwiek, w czym będzie mi wygodnie, i zapewnił, że dużo szybciej wtopię się w tłum w mieście niż na sali wykładowej. Taxówka stoi przed wejściem, a on będzie czekał w lobby.

Bałaś się wyjechać poza Taeomosan?

Trochę tak. Hae-Joo odwracał moją uwagę, opowiadając o mijanych budynkach. Mówił taxówkarzowi, żeby jechał obok Pomnika Upadłych Plutokratów, woził pałacu Kyōngbokqng, przez Aleję Dziesięciu Tysięcy Reklawizji. Kierowca był czystokrwistym z Bangladeszu i zacierał ręce, licząc na niezły rachunek na koszt korporacji.

– Idealny wieczór na Xiężycową Wieżę, proszę pana – rzucił mimochodem, a Hae-Joo z miejsca się zapalił.

Spiralna droga pięła się na szczyt olbrzymiej piramidy, wysoko, wysoko ponad osłony, wysoko ponad wszystko, poza monolitycznymi gmachami korporacji. Byłaś kiedyś na Xiężycowej Wieży, Archiwisto?

Nie, nigdy, nawet w dzień. My, mieszkańcy, przeważnie zostawiamy Wieżę turystom.

Idź tam. Z dwieście trzydziestego czwartego piętra Współmiasto było mgłą z xenonu, neonu, ruchu, dwutlenq węgla i osłon. „Gdyby nie szklana kopuła”, powiedział Hae-Joo, „wiatr na tej wysokości porwałby nas w górę, jak zerwane ze sznurka latawce”. Pokazywał palcem różne wypukłości w krajobrazie i słynne miejsca; o niektórych z nich słyszałam albo widziałam

je w reklawizji, czy w 3D. Chongmyo Plaza była ukryta za jednym z monolitów, ale jej stadion był widoczny: otwarte oko, błękitne jak niebo za dnia. Tej nocy lunarnym sponsorem był SeedCorp. Olbrzymi projektor na dalekiej Fudzi non stop wyświetlał na tarczy Xiężyca reklawizję; pomidory wielkie jak główki niemowląt; kremowe kostki kalafiora; korzonki lotosu bez dziurek; dymki słowne, wydmuchiwane jak baloniki z kształtnych ust Logomana SeedCorpu.

Gdy schodziliśmy, taxówkarz w podeszłym wieq opowiadał o swoim dzieciństwie w dalekim Współmieście zwanym Mumbajem, teraz zalanym wodą, gdzie Xiężyca nigdy nie przesłaniała reklawizja. Hae-Joo odparł, że widok Xiężyca bez reklawizji chyba by go przeraził.

Do której galerii poszliście?

Do Wangshimni. Pomyślałam, że taka galeria to jak encyklopedia stworzona nie ze słów, lecz z przedmiotów. Godzinami wskazywałam różne rzeczy, a Hae-Joo odpowiadał: maski z brązu, zupy z ptasich gniazd w proszq, usługujące fabrykanty, złote suzuki, filtry powietrza, kwasoodporne kwefy, modele-wyroczone Ukochanego Przywódcy i statuetki Urodzonego Pierwszego Przewodniczącego, perfumy ze sproszkowanych klejnotów, szale z perłowego jedwabiu, mapy w czasie rzeczywistym, artefakty z pustkowi, programowalne skrzypce. Hae-Joo pokazał mi aptekę: z paczuszkami pigułek na raka, aids, alzheimera, ołowicę; na otyłość, na anorexję, na łysienie, na nadmiar owłosienia, na entuzjazm, na ponurość, uany na starzenie się, lekarstwa na nadużywanie uan.

Wybiła godzina dwudziesta pierwsza, a my nie przeszliśmy nawet jednej dziesiątej zwykłej alejki. Jak bardzo ci wszyscy konsumenci rwali się, żeby qpować, qpować; jak wielokomórkowa gąbka popytu, która wsysa towary i usługi od każdego sprzedawcy, z każdej kantyny, baru, sklepu i zakątka, a w zamian wyciekają z niej dolary.

Hae-Joo zaprowadził mnie na stylowy podest z kawiarnią. Dla siebie qpił styroqbek starbaxa, a dla mnie aqę. Wyjaśnił, że zgodnie z Ustawą o Wzbogacaniu, konsumenci musieli co miesiąc wydać ustalone sumy dolarów, w zależności od swojej warstwy. Gromadzenie dolarów jest przestępstwem wymierzonym w korpokrację. Już to wiedziałam, ale nie przerywałam. Mówił, że jego mamę zwykle onieśmielają nowoczesne galerie, więc przeważnie on sam wyrabia ustalone normy wydatqów.

Poprosiłam, żeby opowiedział, jak to jest mieć rodzinę.

Podyplomant uśmiechnął się i zmarszczył brwi.

– Rodzina to niezbędna qła u nogi – zwierzył się. – Hobby mojej mamy to kolekcjonowanie drobnych przypadłości i wszelkich na nie lekarstw. Ojciec pracuje w Ministerstwie Statystyki, pada przed 3D i śpi jak zabity.

Jak wyznał, obydwójce byli naturalnie poczęci; sprzedali limit urodzeń drugiego dziecka i wydali dolary na poddanie Hae-Joo odpowiedniemu genomowaniu, co pozwoliło mu starać się o wymarzoną karierę w Jednomyślności. Chciał być w Jednomyślności, odkąd zobaczył w 3D disneja o egzekwerach. Otwieranie drzwi kopniakiem, dla dolarów, wydawało mu się fajnym

sposobem na życie.

Powiedziałam, że rodzice musieli go bardzo kochać, żeby zdobyć się na tak wielkie poświęcenie. Hae-Joo zauważył, że ich emerytura będzie zależeć od jego pensji. Zapytał potem, czy wyrwanie mnie z PapaSongu i przeniesienie do labu Boom-Sooka nie było dla mnie wstrząsem wręcz sejsmicznym? Czy nie tęskniłam za światem, do jakiego zostałam genomowana?

Odparłam:

– Fabrykanty orientowane są tak, by za niczym nie tęsknić.

Naciskał dalej: ale przecież wzniosłam się ponad własną orientację.

Powiedziałam, że muszę to przemyśleć.

Spotkały cię jakieś negatywne reakcje ze strony konsumentów w galerii? Jako Sonmi znajdującą się poza PapaSongiem?

Było tam wielu fabrykantów: tragarzy, domowych służących i sprzątaczy. Nie wyróżniałam się aż tak bardzo. Chwilę później, kiedy Hae-Joo poszedł do higieniera, dostałam kolejną wskazówkę, dlaczego nikt nie oburzał się tam tak, jak studenci w kampusie. Piegowata kobieta o cerze nastolatki, lecz o oczach, które zdradzały jej prawdziwy wiek, przeprosiła, że mi przeszkadza.

– Wyszuję nowinki mody dla mediów – powiedziała. – Jestem Lily. Szpiegowałam cię!
– Zachichotała. – Ale kobieta z twoją odwagą, twoimi zdolnościami, a przede wszystkim z twoją umiejętnością przewidywania, kochanie, musi być na to przygotowana, prawda?

Byłam bardzo zmieszana.

Powiedziała, że byłam pierwszą konsumentką, jaką zna, która poszła na całość i zrobiła sobie twarzębę na znaną usługującą fabrykantę.

– Dla niższych warstw – powiedziała z całą powagą – będzie to pewnie gest odwagi, dla mnie to absolutnie genialne.

Potem zapytała, czy zgodziłabym się zostać modelką dla „obscenicznie stylowego pisma 3D”. Dostanę za to sumy po prostu stratosferyczne, zapewniała, koledzy mojego chłopaka będą więc się z zazdrości, a kobiety zazdrość u mężczyzn lubią tak samo, jak dolary w Duszach.

Podziękowałam jej i odmówiłam, dodając, że fabrykanty nie mają chłopaków. Uśmiechnęła się pobłaźliwie, badając każdy rys mojej twarzy, i błagała, żebym zdradziła u którego twarzębkarza ją robiłam.

– Muszę wiedzieć, który to taki fachowiec. Prawdziwy miniaturysta!

– Po opuszczeniu wylęgarni i po orientowaniu – powiedziałam – całe życie spędziłam za ladą w PapaSongu, więc nigdy nie poznałam mojego twarzeźbiarza.

Redaktorka od mody zaśmiała się z dowcipu, ale w śmiechu pobrzmiewała irytacja.

Rozumiem – nie mogła uwierzyć, że nie jesteś czystokrwistą?

Dała mi swoją wizytówkę, nalegając, żebym to jeszcze przemyślała i do niej zadzwoniła.

– Taka okazja nie zdarza się każdemu dziesięć dni w tygodniu. Kiedy taxówka odwiozła mnie na Wydział Jednomyślności, Hae-Joo Im poprosił, żebym odtąd zwracała się do niego po imieniu. Przez „pana Ima” czuł się jak na jakimś seminarium. Na koniec zapytał, czy jest szansa, że w następny Dziewiąty Dzień też będę wolna.

Powiedziałam, że nie chcę, by spędzał tyle cennego czasu na wykonywaniu poleceń profesora.

Hae-Joo przyznał, że na początek nie wiedział, czy będzie się dobrze bawił, ale teraz zdecydowanie mu się podobało.

– Więc może to powtórzmy. Powiedziałam:

– No, dobrze.

Czyli wycieczka pomogła rozprawić się z twoim... poczuciem nudy?

Zrozumiałam, że środowisko każdej istoty jest kluczem do jej tożsamości, ale moje środowisko, PapaSong, było kluczem, który utraciłam. Zdałam sobie sprawę, że chcę odwiedzić dawną kantinę pod Chongmyo Plaza. Chyba nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale taki bodziec może być zarazem trudny do określenia i jednocześnie bardzo silny.

...Nieszczerólnie mądry pomysł – podniesiona usługująca odwiedza kantinę?

Nie twierdę, że to było mądre, ale było konieczne. Dziesięć dni później Hae-Joo też miał wątpliwości; bał się, że „znowu rozbudzę to, co już ucichło”.

Właśnie o to mi chodziło. Uciszyłam zbyt dużą część siebie samej.

Zgodził się i pokazał mi, jak zakręcić włosy i nałożyć kosmetyki. Kwiecista apaszka zasłaniała mi obrożę, a gdy zjeżdżaliśmy windą do taxówki, założył mi swoje zielone oqlary przeciwsłoneczne.

Dziewiątego Wieczoru Czwartego Miesiąca Chongmyo Plaza nie była zaśmieconym

wietrznym tunelem, jaki pamiętałam: teraz była ruchliwą i barwną mozaiką reklawizji, konsumentów, egzeqw i rozbrzmiewających pop-songów. Monumentalny posąg Ukochanego Przewodniczącego spoglądał na roje swego ludu spojrzeniem łagodnym i pełnym mądrości. Na południowo-wschodnim krańcu Plazy wyłaniały się już łuki PapaSongu. Hae-Joo wziął mnie za rękę i kazał mi pamiętać, że w każdej chwili możemy zawrócić. Stanęliśmy w kolejce do windy; wsunął mi na palec Pierścień Duszy.

Dlaczego?

Na szczęście, Hae-Joo miał skłonność do przesądów. Weszliśmy stłoczeni do windy i zaczęliśmy jechać w dół; było zupełnie inaczej niż z panem Changiem!

Nagle drzwi się otworzyły i głodni konsumenci porwali mnie falą do wnętrza kantyny; stanęłam oniemiała, nie mogąc uwierzyć, jak mylące były moje wspomnienia.

To znaczy?

Przestronna kopuła: strasznie ciasna. Wspaniałe czerwienie i barwy żółci: ostre i wulgarne. Zdrowe powietrze: odór tłuszczu aż mnie dusił. Po panującej w Taemosan ciszy hałas w kantynie był jak niekończąca się kanonada. Papa Song stał na Swym Ołtarzu; pozdrowiał nas. Próbowałam przełknąć ślinę, ale zaschło mi w gardle. Nasz Logoman z pewnością potępi marnotrawną córę.

Ale nie. Mrugnął do nas, podciągnął się w górę za własne sznurowadła, kichnął, pisnął i dał nurka w dół na Ołtarz. Dzieciaki zanosily się od śmiechu. Jak głupi hologram mógł budzić w nas taki podziw i lęk?

Hae-Joo poszedł znaleźć dla nas stolik, a ja obeszłam wkoło Punkt Centralny. Siostry uśmiechały się w słodziutkim świetle górnych lampek. Pracowały bez chwili przerwy! Tu stały Yoony, a tu Ma-Leu-Da~108 – na jej obroży ciągle widniała gwiazda mojej zmarłej siostry. Snute przeze mnie plany zemsty wydawały się teraz wprost niedorzeczne. Jaki los mógłby być gorszy od dwunastu lat w PapaSongu? Przy mojej dawnej ladzie na zachodniej ścianie stała nowotwarz Sonmi. A tu Kyelim~889, zastępstwo za Yoone. Stanęłam w kolejce do mojej dawnej kasy i im bardziej zbliżała się moja kolej, tym bardziej się denerwowałam.

– Dzień dobry, jestem Kyelim~889, zastępstwo za Yoone. Wszystko tak pyszne, że aż rozplywa się w ustach, nie ma jak u Papy Songa! Słucham panią. Co dziś mogę podać?

Zapytałam, czy mnie zna.

Kyelim~889 uśmiechnęła się szerzej, żeby pokryć zmieszanie.

Zapytałam spokojnie i powoli, czy pamięta Sonmi~451, usługującą, która pracowała razem z nią i która pewnego ranka zniknęła.

Niczego niewyrażający uśmiech. Czasownik „pamiętać” wykraczał poza zakres jej słownictwa.

– Dzień dobry, jestem Kyelim~889. Wszystko tak pyszne, że aż rozpływa się w ustach, nie ma jak u Papy Songa!

Zapytałam:

– Czujesz się szczęśliwa, Kyelim~889?

Jej uśmiech stał się entuzjastyczny, kiedy kiwała głową.

– „Szczęśliwa” to słowo z Katechizmu Drugiego. Ciągle mam je w pamięci. „Kiedy przestrzegam Katechizmów, Papa Song mnie kocha; kiedy Papa Song mnie kocha, jestem szczęśliwa”.

Poczułam okrutny, wewnętrzny przymus. Zapytałam Kyelim, czy nie chciałaby żyć, jak czystokrwieści? Siedzieć przy stolikach, zamiast je wycierać?

Kyelim~889 bardzo chciała być miła i zadowolić mnie, mówiąc: „Usługujące jedzą Mydło!”.

– Tak – nie ustępowałam – ale czy nie chciałaby zobaczyć Świata na Zewnątrz?

Sama musiałam mieć taką minę, jak ona teraz, kiedy Yoona~939 wypowiadała swoje odstępstwa. Powiedziała:

– Usługujące nie wychodzą na Zewnątrz, dopóki nie zdobędą dwunastu gwiazd.

Młoda konsumentka z metalizowanymi, połyskującymi matowo lokami i paznokciami jak plektrony, dźgnęła mnie w plecy.

– Jeżeli już musi pani drażnić się z głupią fabrykantą, to niech pani to sobie robi rano w Pierwszy Dzień, a nie w Dziewiąty Wieczór. Chcę jeszcze, jeśli łaska, zdążyć przed zaciemnieniem do galerii.

Pośpiesznie zamówiłam u Kyelin~889 sok różany i gumorekiny. Żałowałam, że nie ma przy mnie Hae-Joo: byłam cała w nerwach, że Pierścień Duszy nie zadziała i wyjdzie na jaw, że jestem tylko zbiegłą fabrykantą.

Pierścień Duszy zadziałał, ale przez moje pytania uznano mnie za wichrzycielkę.

– Podnoś sobie do wyższych warstw własne fabrykanty! – grzmiał chłopak konsumentki, gdy z tacą torowałam sobie drogę. – Abolicjonistka!

Kiedy przechodziłam koło innych czystokrwistych w kolejce, patrzyli na mnie z obawą, jakbym zarażała chorobą.

Hae-Joo znalazł wolny stolik w zachodniej sekcji. Ile to dziesiątków tysięcy razy wycierałam ten blat? Hae-Joo zapytał łagodnie, czy przyście tutaj pomogło mi w przemyśleniach.

Wyszeptałam:

– Jesteśmy tu po prostu niewolnicami przez całe dwanaście lat.

Podyplomant Jednomyślności podrapał się w ucho i rozejrzał, czy nikt nie podsłuchuje. Popijał sok różany i kiwał głową. Przez dziesięć minut patrzyliśmy w reklawizory, nie odzywając się ani słowem.

Czyli wizyta w Papa Songu była... rozczarowaniem? Znalazłaś „klucz” do swojego podniesionego ja?

Myślę, że kluczem było to, że nie było żadnego klucza. W PapaSongu byłam niewolnicą; w Taemosan byłam niewolnicą nieco bardziej uprzywilejowaną. Gdy szliśmy z powrotem do windy, wydarzyła się jeszcze jedna rzecz. Rozpoznałam żonę egzeqa, pracującą na swoim sonym. Wymówiłam głośno jej nazwisko:

– Pani Rhee.

Perfekcyjnie stoxykowana uaną kobieta podniosła wzrok z uśmiechem zakłopotania na pełnych, twarzęzbionych ustach.

– Byłam panią Rhee, ale teraz jestem panią Ahn. Mój zmarły mąż utonął w zeszłym roku w wypadku na jeziorze, gdy był na rybach.

– Och – odparłam – to straszne.

Pani Ahn zapytała, czy znałam blisko jej zmarłego męża.

Kłamstwo przychodzi ciężiej, niż można odnieść wrażenie, obserwując czystokrwistych.

Pani Ahn powtórzyła pytanie.

– Moja żona była standardyzerką jakości dla korporacji, jeszcze zanim się pobraliśmy – szybko wyjaśnił Hae-Joo, dodając, że Chongmyo było w moim rejonie, a Widzący Rhee był wzorowym przykładem człowieka korporacji.

Pani Ahn zaczynała nabierać podejrzeń. Zapytała, kiedy dokładnie pracowałam pod kierownictwem jej zmarłego męża.

Teraz z kolei ja wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Kiedy jego Pomocnikiem był konsument imieniem Cho.

Jej uśmiech pozostał niewzruszony, lecz zmienił wyraz.

– Ach tak, Pomocnika Cho odesłano gdzieś na północ, żeby nauczył się pracy w zespole.

Hae-Joo ujął mnie pod ramię, mówiąc:

– No, cóż, „Wszyscy do Papy Songa, Papa Song dla wszystkich”. Galerie wzywają, skarbie. Pani Ahn z pewnością nie chce tracić czasu.

Życzyliśmy sobie nawzajem powodzenia.

Później, gdy wróciliśmy już do mojego cichego apartamentu, Hae-Joo obdarzył mnie komplementem.

– Gdybym to ja doznał podniesienia z usługującej do geniuszki w zaledwie dwanaście miesięcy, nie mieszkałbym teraz w apartamencie dla gości na Wydziale Jednomyślności, ale w samym sercu Krainy Orgietek. Mówisz, że jesteś „przygnębiona”, ale ja widzę tylko twoją stalową siłę woli. Wolno ci czuć wewnętrzny chaos i niepoqj, i mieć wrażenie, że wszystko jest postawione na głowie. To nie znaczy, że jako osobniczka masz fabryczne skazy – to znaczy tylko, że jesteś człowiekiem.

Graliśmy w go aż do zaciemnienia. Hae-Joo wygrał pierwszą partię; ja drugą.

Ile podobnych wypraw miało miejsce?

W każdy Dziewiąty Wieczór aż do Dnia Korpokracji. Im dłużej znałam Hae-Joo, tym większy żywiłam dla niego szacunek. Zaczęłam podzielać bardzo wysoką opinię, jaką miał o nim Członek Rady Mephi. Podczas seminariów profesor nie omawiał ze mną naszych wypraw; być może jego protegowany składał mu w tej sprawie raporty, ale Mephi chciał, żebym cieszyła się poczuciem prywatności. Zajęciom w Radzie musiał poświęcać wiele czasu i spotykałam się z nim mniej regularnie. Poranne doświadczenia ciągnęły się, a badacze byli wobec mnie uprzejmi, lecz absolutnie nie zapadli mi w pamięć.

Zamiłowanie Hae-Joo do kampusowych intryg i gierk było niezwykle pouczające. Dowiedziałam się, że Taemosan nie był wcale jednolitym organizmem, lecz wzgórzem zasiedlonym przez przez wojujące plemiona i grupy wspólnych interesów, podobnie jak to działo się w samym Dżucze. Wydział Jednomyślności utrzymywał dominację nad pozostałymi, co było przyjmowane z ogólną niechęcią. „Tajemnice to magiczne pociski” – powtarzał Hae-Joo za swoim profesorem. Jednakże ta dominacja tłumaczyła także, dlaczego egzekwerzy-stażyci nie mogli liczyć na wielu przyjaciół poza własnym wydziałem. Dziewczyny szukające mężów, przyznawał Hae-Joo, przyciągał jego przyszły status, ale mężczyźni w jego wiek i starsi nie chcieli upijać się w jego towarzystwie.

Archiwisto, czas ucieka. Czy możemy przejść do mojej ostatniej nocy w kampusie?

Jak sobie życzysz.

Wielką pasją Hae-Joo były disneje, a jedną z dodatkowych korzyści, jaką niosła osoba profesora Mephi jako mentora, był dostęp do zakazanych materiałów w archiwach służb bezpieczeństwa.

Masz na myśli podziemne disneje Unii ze Stref Produkcji?

Nie. Mam na myśli strefę jeszcze bardziej zakazaną: przeszłość. Disneje z Pustkowi. Wtedy mówiono o nich „filmy”. Hae-Joo opowiadał, że dawni ludzie rozwinęli sztukę, którą 3D i korpokracja długi czas temu skazały na zapomnienie. Musiałam mu wierzyć: jedyne disneje, jakie w życiu widziałam, to krwawe pornothrillery Boom-Sooka. Ostatniego Dziewiątego Wieczoru w Szóstym Miesiącu Hae-Joo przyszedł, podzwaniając kluczem do sali projekcyjnej i mówiąc w ramach wyjaśnienia, że pewien student Mediów jest mu winien przysługę. Teatralnie wyszeptał:

– Mam dysk... – mówię poważnie – z jednym z najwspanialszych filmów, jakie kiedykolwiek stworzyli reżyserzy wszech epok.

Czyli?

Z opowieścią łotrzykowską pod tytułem Upiorna udręka Timothy’ego Cavendisha, nakręconą przed powstaniem Nea So Copros w prowincji, która od dawien dawna jest już pustkowie, w chybionej europejskiej demokracji. Widziałeś kiedyś disneja z początkw XXI wieq, Archiwisto?

Archiwista ósmej warstwy nie może nawet marzyć o zezwoleniu na dostęp do takiego poziomu tajemnic państwowych! Jestem zdumiony, że tak wywrotowe dzieło oddano w ręce zwykłego poddyplomanta, nawet jeśli był z Jednomyślności.

To, dlaczego nasze korpokratyczne państwo delegalizuje jakikolwiek dysqrs historyczny, jest pytaniem, na które trudno mi znaleźć odpowiedź. Czy dlatego, że historia stanowi bank ludzkiego doświadczenia, który może rywalizować z Mediami? Jeśli tak, to dlaczego – jak w twoim ministerstwie – nadal utrzymywane są archiwa, których samo istnienie objęte jest tajemnicą państwową?

Niestety, nie znam odpowiedzi na to pytanie. Jak podobała ci się owa *Upiorna udręka*?

Jej świat mnie zaintrygował; różnice w stosunq do naszego świata trudno nawet opisać. Czystokrwieści sami wykonywali w tamtych czasach wszystkie ciężkie lub brudne prace; jedynymi fabrykantami były słabowite owce. Ludzie na starość wiotczeli i brzydli; nie było uan.

Osoby w podeszłym wiek czekały na śmierć w więzieniach dla ludzi starych i niedołężnych; nie było ustalonej długości życia, nie mieli eutanazjów.

Brzmi jak ponura dystopia.

Wtedy, podobnie jak i teraz, dystopia była funkcją biedy, a nie prowadzonej przez państwo polityki. Pusta sala projekcyjna dodawała grozy deszczowym krajobrazom starego disneja. Przez ekran kroczyli olbrzymi, oświetleni słonecznym światłem, zarejestrowanym przez obiektyw, gdy dziadek twojego dziadka, Archiwisto, kopał jeszcze w łonie matki.

Czas jest tym, co powstrzymuje historię przed tym, by wydarzyła się od razu cała, w jednej chwili; czas jest tempem, w którym znika przeszłość. Disney daje owym utraconym światom krótkie chwile wskrzeszenia. Te budynki, których dawno już nie ma, twarze, które dawno uległy rozkładowi, zaabsorbowały mnie i pochłonęły. „Byliśmy tacy, jacy wy jesteście”, mówiły. Terazniejszość nie ma znaczenia. Moje pięćdziesiąt minut przed kinowym ekranem z Hae-Joo było lekcją szczęścia.

Tylko pięćdziesiąt minut?

Podręczny sony Hae-Joo zabzyczał aqrat w kluczowej scenie filmu, gdy tytułowego bohatera, złodzieja xiążek, chwycił jakiś atak; twarz wykrzywiła mu się nad talerzem zielonego groszq i zamarła. Z sonego Hae-Joo dobiegał spanikowany głos: „Tu Xi-Li! Jestem za drzwiami! Wpuść mnie! Stało się najgorsze!”. Hae-Joo nacisnął klawisz pilota i drzwi sali otworzyły się; smuga żółtego światła przemknęła po pustych fotelach. Podbiegł do nas student z twarzą błyszczącą od potu, zasalutował Hae-Joo i wyjawiał wieści, które miały rozwikłać zagadkę mojego życia. Kolejny raz. Czterdziestu czy pięćdziesięciu egzekwerów wpadło do gmachu Wydziału Jednomyślności, aresztowało profesora Mephi, a nas wciąż szukało. Mieli rozkaz aresztować Hae-Joo, żeby go potem przesłuchać, a mnie zabić na miejscu. Obstawili wszystkie punkty kontrolne w kampusie.

Co pomyślałaś, kiedy usłyszałaś to wszystko?

Nie byłam w stanie myśleć.

Od mojego towarzysza biła teraz ponura aura władzy, którą, jak sobie uświadomiłam, zawsze w sobie miał. Spojrzał na rolex i zapytał, czy pan Chang nadal jest na wolności. Xi-Li, posłaniec, doniósł, że pan Chang zjechał na podziemny parking fordów.

Człowiek, którego dotąd znałam jako podyplomanta Hae-Joo Ima, stanął na tle dawno nieżyjącego aktora, grającego postać stworzoną sto lat temu, spojrzał mi w oczy i wymówił moje imię.

– Nie jestem do końca tym, za kogo się podawałem.

Bród Slooshy i wszystko co potem

Razem ze Starym Dżordżem, to żeśmy se drogi przecięli więcej razy, niż w ogóle pamiętam, i jak już umrę, kto wie, co ten diabeł zębaty spróbuje mi jeszcze wykrętać... Daj no mi baraninki, to powiem ci, jak go spotkałem raz pierszy. Tłusty, soczysty kawał mi daj, nie taki tam paździerz spalony...



Adam, brat mój, i Tato żeśmy wracali z mieniania w Honokaa grząską drogą. Furką jechaliśmy z pogruchtanym dyszlem i jakieś łachy mieliśmy na sobie. Wieczór nas zhytał wcześniej, no to postajaliśmy na południowym brzegu brodu Slooshy, bo Waipio się cała pieniała po tyłu dniach deszczów i napuchła wiosną od roztopów. Bród żeśmy znali dobrze i się go nie bojali, chociaż on bagnisty. A że nikt nie mieszkał w dolinie Waipio prócz milionów ptactwa, no to nie zakrywaliśmy gałęzmi obozu ani furmanki. Tato wziął mnie pyrgnął, cobym nalazł drwa na rozpałkę, a on z Adamem obóz rozbijali.

Cały dzień mie sranie cisło, bo zżarłem w Honokaa jaką psią łapę kulawą i gonilo mie kucać w zaroślach grabów w parowie, aż tu nagle poczułem, jak jakieś gały na mnie łypią. „Kto tam?!” – krzyknęłam, ale mój głos połkły paprocie.

„O, w ciemnej dziurze siedzisz, chłoptasiu” – wymamrotało z paproci.

„Ktoś ty?!” – krzyknęłam znów, ale nie za głośno. „Mam kozik, że nie wiem co!”.

Tuż-tuż nad głową ktoś szepnął: „A tyś kto, chłoptasiu? Zachariasz Mężny czy Zachariasz Strachliwy?”. Zerknęłam w górę, a tam se siedział Stary Dżordż, nogi podkurczył na zbutwiałym grabie, a głodne ślipia mu się tylko szczwanemu śmiały.

„Nie bojam się ciebie” – rzekłam, choć słyhać mie było jak w huraganie pierdzącą kaczkę. Telepałam się w środku, kiedy Stary Dżordż pizgnął w dół z gałęzi i co się stanęło? Wiutnął i znikł w pędzie, oj, całkiem znikł za mną. I nicanic tam już nie było... prócz smalczaka, co fruwał i szukał żarła, i aż się prosił, żeby go oskubać i kosteczki ogryźć! No to pomyślałam, cóż, Zachariasz Mężny był górą nad Starym Dżordżem i Dżordż wziął i poszedł se ganiać tych, co większe strachy ode mnie. Chciałam rzeknąć tacie i Adamowi, co to mi się dziwnego przydarzyło, ale do gadki to najsamlepiej mieć jakie żarło dobre. No to po cichu, po cichu, wziąłem się rozprostowałem i podmykłem do fruwaka skubanego... i nura dałem.

Ale smalczak wziął i mi się wyślizgł z palcy i odleciał, ale nie odpuszczałem, nie, nie, pogoniłem za nim w górę strumienia bez wyboje i jakie kolczate zarośla. Pod butami praskał mi chrust, kolce mi gębę smargały, że nie wiem co, ale nicanic się nie przejechałem, bo tylko gonilem i nie przyuważylem, że drzewa rzędna i że słyhać już huczanie wodospadu Hiilawe, aż wypadłem z wrzaskiem na polanę i zem konie wypłoszył. Nie, nie dzikie konie – wystrojone, w nabijanej ćwiekami skórzanej uprzęży, a na Bigajlu to znaczy tylko jedno, tak, Kona.

Dziesięciu – dwunastu, wymalowanych na twarzach, podnosiło się już i gotowało baty

i ostrza i huhuczało okrzyki wojenne! Skróliczyłem nazad w dół parowu, skąd żem przysusał, ale jak wcześniej myśliwy był ze mnie, to tera na mnie polowali. Najsambliższy Kona biegł za mną, a inni susali na koniach i rechotali się, bo niezgorszą zabawę mieli. Jak kto w strachu, to mu się chyżo biega, ale wolno myśli, no to żem uciekł do Taty. Dziewięć roków tylko mi było, to robiłem wszystko z głębi wąpiów i nie myślałem za dużo.

Ale nie dobiegłem do obozu, inaczej bym tu tera nie siedział i wam nie bajał. Na jakim długim korzeniu – może to noga Dżordżiego była – wykopyrtłem się i wbęcłem na łeb do dziury z suchymi liśćiami i dół mie zakrył przed kopytami Kona, co ich tętent nad sobą słyszałem. Siedziałem tam i słyszałem ich huhuki rwane, o kilka jardów bez drzewa... prosto do Slooshy. Do Taty i Adama.

Podmykłem się chyżo, ale byłem za późno, za późno już. Kona okrążali nasz obóz i trzaskali z biczów. Tato wiutał toporem, a braciszek wziął dzidę, ale Kona się tylko z nimi drząźnili. Siedziałem na skraju polany zestrachany cały i nicanic zrobić nie mogłem. Co mig bat świszczał, a Tato i Adam upadli i się wili jak węgorze na piasku. Wódz Kona, rekiniasty taki, zsiadł z konia i, rozklastując wodę, szedł bez bród do Taty i uśmiechał się do wymalowanych braci. Potem wyjął nóż i przechlastał Tacie garło od ucha do ucha.

Nigdy w życiu nicanic czerwieńskiego nie widziałem, jak ta buchająca strugami krew Taty. Wódz zlizzał ją z ostrza.

Adama ścięło trupem na ten widok i cały chojrak z niego uszed. Wymalowany związał mu ręce i nogi i zamajnęłał mojego najsamstarszego braciszka na siodło, jak worek taro, a reszta przegrzebała nasz obóz, szukając jakiego rynsztunku, a czego nie wzięli, to pogruchtali. Wódz wsiadł nazad na konia i się obkręcił, i popatrzał prosto na mnie... A te oczy, to były oczy Dżordżiego. „Zachariaszu Strachliwy” mówiły, „żeś się urodził po to, żebyś mój był, poco w ogóle ze mną wojujesz?”.

I co, pokazałem, że się myli? Czyhałem na odpowiedni mig, a potem znienacka żem zatopił kozik w garle Kona? Poszłem za nimi do ich obozu i próbowałem uwolnić Adama? Nie, Dziewięcioletni Zachariasz Mężny telepał się w liściach kryjówki i chlipał, i modlił się do Sonmi, żeby jego czasem też nie zhytali i do zniewoli nie wzięli. Tak, tyle żem zdziałał. O, na miejscu Sonmi, co mie słuchała, pokręciłbym głową z obrzydzeniem i rozsztompał mie jak robaka.

Kiedy się podmykłem w nocy, Tato ciągle unosił się i chlupał na słonej płyciźnie. Bo rzeka się trochę uspokajała i się pogoda robiła ładniejsza. Tatko mój, co mie rozśmieszał i prał, i kochał mie. Śliski jak ryba, ciężki jak krówsko, zimny jak gład, krew mu rzeka wyssała co do kropelki. Nie czułem nawet bólu ani żalu, ani nicanic, bo wszystko było takie straszne i okrutne. Bród Slooshy leżał jakieś sześć – siedem mil od Kościanego Brzegu, no to usypałem grób dla Taty, gdzie leżał. Nie mogłem przypomnieć se świętych słów Ksieni, prócz „Najmilejsza Sonmi, któraś jest między nami, przywróć tę ukochaną duszę do doliny łona, pokornie błagamy”. No to ich zmówiłem, przeszedłem wbród Waipio i potrompałem się gyzgakiem nocą bez las.

Zaskrzeczała do mnie sóweczka: „Dzielnie walczyłeś, Zachariaszu Mężny!”. Wrzasłem

na ptaszysko, żeby się zamkło, ale ono znowu: „A może nie? Mie też tak ubijesz, jak ubiełeś Kona? Och, zlituj się nad moimi pi-pi-pi-pisklaczkami!”. W górach Kohala wył jakiś dingo. „Zachariaaaaa-a-sz Strachliii-ii-iwyyy-y-y”. Na koniec nawet księżyc podniósł twarz, ale patrzył niewzruszony i nicanic nie mówił. I nie musiał. Wiedziałem, co se o mnie myślał. Dwie – trzy – cztery mile stąd na ten sam księżyc patrzył Adam, ale mógł być nawet i w Honolulu, albo i dalej – i tak mu nie mogłem pomóc. Wybuchłem płaczem i ryczałem, i smarkałem, i plułem, oj, jak zostawione w wichurze bobo.

Milę dalej, jak się wtrompałem na wzgórze, doszedłem do chaty Abla i krzyknęłam na nich. Najsamstarszy Abla, Izaak, wpuścił mnie do środka i rzekłam im, co się stało u brodu Slooshy, ale... czy mówiłam im całą prawdę? Nie, okutany derkami Abla, ogrzany przy ogniu, nakarmiony żarłem, mały Zachariasz łągał jak dingo. Nie przyznałam się, że zamknęłam Kona do obozu Taty, bo rzekłam, że poszedłem łowić smalczaka w zaroślach, a jak nazad wróciłem... Kona już Tatę zabili, zhytali Adama i zostawili tylko wszędzie w błocie ślady kopyt. A co ja mogłem zrobić? No, nicanic przecie nie mogłem. I teraz też nie. Dziesięciu wielgaśnych jak byki Kona mogło wychłastać rodzinę Abla tak samo, jak zasiekli Tatę.

Widzę po waszych twarzach, że zapytać chcecie: czemu łągałem?

Bo jak tak mówiłam, to nie byłem Zachariaszem Głupim, ani Zachariaszem Strachliwym, byłem po prostu Zachariaszem, Co Ma Szczęście i Co Go Nie Ma. Kłamstwa są jak sępy Starego Dżordziego, co krążą i upatrują w dole jakiej cherlawej i mizernej duszy, żeby pizgnąć w dół i whartnąć w nią szpony. A tej nocy w chacie Abla tą cherlawą i mizerną duszą, oj, to ja nią byłem.

Teraz patrzacie na dziadowego skundla, dychanie mu zżera pleśnica i wielu zim to ja już nie będę obglądał, nie, nie, wiem to. Już przeszło czterdzieści lat na się huhuczę, na Zachariasza Dziewięcioletniego. „Hej, słuchaj no! Takie czasy, żeś słaby przeciwko światu! Takie czasy, że nicanic nie możesz poradzić! To nie twoja wina, to wina tego przeklętego świata, tylko jego!”. Ale choćbym nie wiem ile huhuczał, to ten Mały Zachariasz, on mnie ani teraz nie słyszy, ani nie słyszał nigdy.



Koźła mowa to dar, rodzisz się z nim albo nie masz go wcale. Jak go masz, koźły będą cię słuchać, a jak nie masz, to cię stratuja w błocie i będą tam stać i się śmiać z podrywiny. Ja swoją koźłą mowę dostałem po Tacie i czasem, jak je pasłem, wydawało mi się, że słyszę, jak on gra na fujarce gdzieś tuż-tuż, chociaż Ksieni mówiła, że się odrodził w chacie Kaszyńskich w Dolinie Mormonów. W każdym bądź razie co dzień z rana dołem kózki i prawie każdego dnia pędziłem całe stado do przesmyku Doliny Elepaio bez Kręgową Przełęcz na pastwisko na Szczytach Kohala. Pędziłem też kozy Ciotki Bees, mieli piętnaście – dwadzieścia kóz, no to razem miałem wszystkich z pięćdziesiąt – sześćdziesiąt do pilnowania i do przyjmowania koźląt na świat, i do patrzania za słabikami. To dużo kóz, że nie wiem co, żeby tak naraz paść, ale kochałem głupie stworzenia bardziej niż siebie samego, a już najbardziej, jak ubili Tatę, a Adama w zniewolę wzięli. Każdy jeden koziolatek miał imię ode mnie. Burza szła z grzmotolyskiem, to całego mnie moczyło, jak z nich pijawki odcigałem, a jak słońce było, to się spraskałem i opaliłem, a jak żeśmy byli wysoko w górach Kohala, to czasem żeśmy nie schodzili na dół bez

trzy – cztery noce ciągiem. Ślipia to się musi mieć dookoła głowy. W górach hurmowały na żer dingo i próbowały porywać chwiejące się na nóżkach nowo narodzone kozłaczki, jak się nie uważało z dzidą. Jak Tato był mały, dzikusy z Mookini przepawali się z Leewardu i podmykali koziołka albo i dwa, ale potem Kona zniewolili wszystkich Mookini i pogonili na południe, a ich stare siedziby w Hawi porosły mchem i tylko mrówek w nich było pełno. My, kozłarze, żeśmy znali góry Kohala jak nikt, kryjówki i strumyki, i miejsca, co są nawiedzone, i stalowe słupy, co ich dawni poszukiwacze ominęli, i jeden – dwa – trzy stare domy, co o nich nikt prócz nas nie wiedział.

O pasterzach kóz to się mówi, że się na nich dziewczuchy napalają. Bo jak dziewczynie się miętko robiło na jakiego kozłarza, to mogła iść za naszym gwizdaniem, gdzie nikogo nie było, i żeśmy to robiliśmy pod gołym niebem. I nikt prócz kóz nie patrzył, a kozy nigdy nie szemrają ludziom. Zasiałem tak moje piersze bobo w brzuchu Jayjo z Drwalowej Chaty, pod drzewem cytryny, słońce świeciło. Bynajmniej o żadnych innych wcześniej nie wiedziałem. Dziewuchy takie szczwane się robią wedle z kim i kiedy, i w ogóle. Miałem dwanaście років, Jayjo miała jędrne i chętne ciało, i śmiała się, i płasała, i szalała z kochania, oj, zupełnie jak i wasza dwójka tutaj. No i kiedy Jayjo brzuch napęczniał, żeśmy rozmawiali, jak to się poženimy i będzie żyć ze mną w naszej chacie Baileyów. Bo żeśmy mieli dużo pustych izeb. Ale potem wody Jayjo hurły wiele księżyców za wcześniej i Banjo przygonił, żebym biegł do Drwalowej Chaty, bo rodzi. Bobo wyszło na świat zara potem, jak żem przyleciał.

Nie do śmiechu takie bajania, ale żeście pytali me o życie na Bigajlu, no to i takie bajdy mi z głowy jak rybki wypluskają. Bobo nie miało usteczek, nie, ani dziurek od nosa, no to i nie mogło dychać, jak matka Jayjo odcięła pępowinę, biedactwu. Nie rozwarło oczków ani razu, tyle co poczuło ciepło tatowej dłoni na pleckach, posiniało, przestało kopać i umarło.

Jayjo była zimna i spocona i wyglądała, jakby jej też szło umrzeć. Kobiety rzekły mi, żebym se poszedł i zrobił miejsce zielarce.

Wziąłem nieżywe, okutane w wełniany worek bobo na Kościany Brzeg. Taka samotność me przyduśiła, jak przemyśliwałem, czy to moje nasienie było parszywe, czy Jayjo nasienie było parszywe, czy zwyczajnie takie to moje parszywe szczęście. Poranek był leniwy pod krzakami trojeści, fale podpływały do brzegu jak chore krówska i opadały w piasek. Z kopczykiem dla bobo poszło mi chyżej niż przy kopcu Taty. Powietrze na Kościanym Brzegu czuć było wodorostami i gnijącym mięsem, i starymi kościami, co leżały pośród kamyków. Nikt tam dłużej nie siedział, niż koniecznie musiał, no chyba że się kto urodził muchą albo krukiem.

Jayjo nie umarła, nie, ale nigdy już się nie śmiała i nie płasała, jak przedtem. I żeśmy się nie poženili, nie, bo trzeba pewnym być, że z twojego nasienia wyrośnie czysto narodzony ktoś, albo bynajmniej prawie, co? Inaczej kto będzie żdzierał ci mech z dachu i smarował ikonę przed termitami, jak już cie nie będzie? Więc jak spotykałem Jayjo, jak się ludzie zbierali na wiec, albo na targu, mówiła: „Od rana deszcz pada, co?”. A ja mówiłem: „Tak, i widzi mi się, że do nocy popada”, i żeśmy się rozchodzili. Trzy roki potem wzięła za męża kaletnika z Doliny Kane, ale nie poszedłem na ich wesele.

To był chłopak. Te nasze bobo bez imienia. Chłopak.



Ludzie z Dolin mieli tylko jedną boginię, zwali ją Sonmi. Dzikusy na Bigajlu mieli zwykle więcej bogów, niż dałbyś radę ich dzidą odstraszyć. W Hilo się modlili do Sonmi, jak przyszła im ochota, ale mieli też innych bogów. Bogów od rekinów, bogów od wulkanów, bogów od ziarna, od kichania i od kurzajek bogów mieli. Sami wymyślcie na co, to wam Hilo uczyni zara od tego boga. Kona mieli całe plemię bogów od wojny i bogów od koni. Ale dla Ludzi z Dolin dzikie bogi nicanic nie były warte, nie, tylko Sonmi była naprawdę.

Żyła między nami, opiekowała się Dziewięcioma Dolinami Owieczek. Zwykle to jej żeśmy nie widzieli, ale czasami się pokazywała, starucha z kosturem, choć niekiedy to ją widziałem jako migotliwą w słońcu dziewczynę. Sonmi pomagała nam z chorymi, odganiała parszywe szczęście, a jak prawy i cyłwizowany człowiek z Doliny pomarł, to zabierała jego duszę i wiodła ją nazad do łona gdzieś w Dolinach. Czasem żeśmy pamiętali nasze przeszłe życia, a czasem nie, a czasem Sonmi mówiła we śnie Ksieni, a czasem nie mówiła... Ale żeśmy wiedzieli, że zawsze się będziemy odradzać jako Ludzie z Dolin, no to i śmierć nam aż tak straszna nie była.

No, chyba że twoją duszę Dżordzi zhytał. Bo jak kto żył jak dziki i samolub był, i gardził cyłwizowanymi, albo jak Dżordzi cie skusił do barbarzyństwa i takich tam, to dusza ci się robiła ciężka i zębiasta i kamienie w niej były. I Sonmi nie mogła cie wonczas pomieścić do łona. Takich złych samolubów zwano „ukamieniałymi” i dla człowieka z Dolin nicanic straszniejszego nie było niż jak go taki los spotkał.

Ale tera, jak świeca cyłwizowanych cała już przepalona, czy to jeszcze co warte? Nie umiem rzec ani że tak, ani że nie. Oddaję się tylko w ręce Sonmi i modlę, żeby powiodła moją duszę w dobre miejsce na przyszłe życie, bo w tym moją duszę zbawiła. A za okamgnienie jedno, jak ogień was nie uspi, to zara powiem wam, jak.



Ikonarz to jedyny przybytek był na całym Kościanym Brzegu między Doliną Kane a Doliną Honokaa. Niby nie było żadnych nie-nie, że wchodzić nie można, ale nikt po próżnicy nie wchodził, boby mu szczęście sparszywiało, jakby nie miał dobrego powodu mieszać spokój pod tamtym dachem. Nasze ikony, co żeśmy je rzezali i gładzili, i pisali na nich słowa za życia, to je tam po śmierci wszyscy składali. Za moich czasów tysiące tam leżały na półkach, tak, każdego człowieka z Dolin, co jak ja się tu zrodził i żył i odrodził od czasów, jak Flotylla przywiozła przodków na Bigajl, żeby ujść przed Upadkiem.

Za pierwszym razem, jak weszłem do Ikonarza, to było z Tatą i Adamem i Jonaszem, jak miałem siedem років. Mama dostała krwawej cieklicy, jak rodziła Bazię, i Tato wziął nas, żebyśmy się modlili do Sonmi, żeby ją uleczyła, bo Ikonarz to było szczególnie święte miejsce i Sonmi zwykle tam wysłuchiwała prośzeń. W środku ciemnica była, jak pod wodą. Pachniało woskiem i olejem tekowym i starością. Ikony mieszkały na półkach od ziemi do powały. Ile ich tam było, to nie mogę rzec, nie, bo nikt ich tam nie chodził rachować, jak jakie kozy, ale żywotów, co minęły, więcej jest od tych, co są tera, jak liściów więcej jest od drzew. Głos Taty dochodził gdzieś spośród cieni, znajomy był, ale dziwny. Prosił Sonmi, żeby wstrzymała Mamę od śmierci i żeby jej dusza mogła pozostać w ciele dłużej, a ja się w głowie modliłem o to samo.

I wonczas żeśmy usłyszeli jakiś taki pomruk w tej całej ciszy, zebrany z milionów szeptów, jak sam ocean. Tylko że to nie było od oceanu, nie, to ikony szeptały, a my żeśmy wiedzieli, że Sonmi była tam i nas słuchała.

Mama nie umarła. Bo Sonmi się ulitowała.

Drugi raz, jak poszłem do Ikonarza, to było w Noc Śnień. Jak na naszych ikonach było już czternaście rzezań, czyli znak, żeśmy już byli dorosłymi z Dolin, szliśmy spać sami w Ikonarzu i Sonmi sprowadzała na nas śnienia różne. Niektóre dziewczyny widziały, kogo wezmą za męża, a chłopaki widzieli, jak będą żyć. Albo zdarzało się, że widzieliśmy coś, z czym potem szliśmy do Ksieni po wróżenie. Kiedy żeśmy wychodzili z Ikonarza, z każdego chłopaka był już mężczyzna, a z dziewczyny kobieta.

No to po zmierzchaniu leżałem tak pod derką Taty w Ikonarzu, z moją własną, nierzezaną ikoną za poduszkę. Za ścianą Kościany Brzeg hurgał się i klekotał, a fale pienily się i szumiały, i słyszałem lelka kozodója. Ale to nie był kozodój, nie, to tuż obok mnie się kłapa rozwarła i lina się zwieszała w niej do podziemnego nieba. „Zejdź no po linie”, rzekła mi Sonmi. No to zeszedłem, ale lina była spleciona z ludzkich palcy i dłoni razem zmotanych. Spojrzałem w górę, a tam ogień buchał z podłogi Ikonarza. „Przetnij no linę”, mówił zły człowiek, ale się bojałem ciąć, bobym przecie zbęcnął w dół, tak?

W następnym śnieniu trzymałem mojego synka, bobo-dziwoląga, w izbie Jayjo. Kopał się i wił, jak wonczas. „Chyžo, Zachariaszu”, mówił ten sam człowiek, „tnij no swojemu bobo gębę, żeby mogło dychać!”. Miałem w ręku kozik, no to wyrzłem synkowi jakby uśmiech, cięło się jak bez ser. Razem z pianą wypłynęły słowa: „Czemuś mie zabił, Tato?”.

Mój ostatni sen był o tym, jak szłem brzegiem Waipio. Na drugim brzegu widziałem Adama, jak se nieśpiesznie łowił ryby! Machałem, ale mie nie widział, no to posusałem do mostu, co go tam na jawie nigdy nie było. Most był cały ze złota i brązu. A jak wreszcie przebiegłem na brzeg Adama, to się rozryczałem z żalu, bo nicanic już tam się nie ostało, prócz kupki kości i małego łyskającego węgorza, co się majtał w piachu.

Ten węgorz to smuga światła była, co ze skoroświtem wciekała pode drzwi Ikonarza. Zapamiętałem te trzy śnienia i poszłem bez rozbryzgujący przybój do Ksieni i nikogo po drodze nie spotkałem. Ksieni za szkołą karmiła kurczaki. Posłuchała uważnie, co mi się śniło, a potem rzekła, że to nieproste wróżby i nakazała mi zaczekać w szkole, aż ona się pomodli do Sonmi o prawdziwe wyłożenie ich znaczenia.

W izbie szkoły znać było święte misterium Dni Cylwizacji. Na półkach stała każda jedna księga z Dolin, wszystkie rozpekłe i pomarszczone, ale, oj, to były księgi i słowa mądrości! Była też tam kula świata. Skoro cały świat jest taką wielką kulą, to nigdy nie pojmowałem, czemu ludzie nie spyrgną z niej, i tera też nie rozumiem. Bo ja to nie bardzo bystry jestem w szkolnych naukach, nie jak Bazia, co mogła zostać i drugą Ksienią, jakby się wszystko powiodło inaczej. Okna szkoły szklane były i nie rozpekłe jeszcze od Upadku. Ale najsamwiekszym dziwem to był zegar, tak, co tylko zdaje się on jeden chodził w Dolinach i na całym Bigajlu, na Hawajach całych w ogóle. Bo nie potrzebował żadnych baterii, bo był nakręcany. Jak sam uczniakiem byłem, tom się bojał tego pająka, co *tyk-tak* robił i patrzył na nas i osąd myślał. Ksieni uczyła nas

Zegarowej Mowy, ale zapomniałem, prócz „Kwadrans” i „Wpółdo”. Pamiętam, jak Ksieni mówiła, że „Cylwizowani ludzie potrzebują czasu, a jak ten zegar zemrze, to czas zemrze z nim, a wonczas jak wrócimy napowrót do Dni Cylwizacji, jakie były przed Upadkiem?”.

Tego ranka też patrzałem na tykadła zegara, aż Ksieni wróciła z wróżenia i usiadła na wprost mnie. Rzekła, że Stary Dżordzi głodny był mojej duszy, no to na moje śnienia kłutwę rzucił, żeby mgłą znaczenie zaszło. Ale na szczęście Sonmi rzekła, co znaczą naprawdę. A i wy musicie spamiętać te wróżby, bo zmieniają one szlak tego bajania nie raz, nie dwa.

Piersza: Ręce płoną, niechaj no liny nikt nie odcina.

Druga: Wróg śpi, niechaj no garła mu nikt nie podrzyna.

Trzecia: Brąz płonie, niechaj no bez most nikt nie przechodzi.

Wyznam, że nie pojmowałem nicanic. Ksieni mówiła, że ona też nie, ale nic to, bo pojmę wróżbę, kiedy czas prawdy na człowieka przyjdzie, i kazała mi wyryć jej słowa w pamięci. Potem dała mi kurze jajko na zaranne żarło, jeszcze mokre całe i ciepłe od ptaka, i pokazała mi, jak się bez słomkę wysysa żółtko.



Chcecie usłyszeć o Wielkim Statku Profetów?

Nie tam, Statek to nie żadne tam bredzenia, prawdziwy był, jak ja tu i wy siedzicie. A te tu oczyska, to widziały go, oj, ze dwadzieścia razy, albo więcej. Statek przypląwał do Zatoki Flotylii dwa razy w rok, na wiosnę i na jesień, na zrównanie, jak dzień i noc takie same długie się robią. Patrzcie no, że nigdy do miast dzikusów nie zawinął, nie do Honokaa, nie do Hilo, nie do Leewardu. A czemu to? Bo tylko Ludzie z Dolin byli dość cylwizowani dla Profetów, tak. Oni nie chcieli się mieniać z dzikusami, co myśleli, że Statek to jaki potężny biały bóg, czy co! Statek miał kolor jak niebo, i widać go nie było, aż do brzegu dowalniał. Wioseł nie miał, nie, ani żagli, wiatru nie potrzebował ani prądów, nicanic, bo Bystron Starych go w przód pyrgał. Długi jak wyspa był, wysoki jak mała góra, a na nim ze dwieście – trzysta – czterysta ludu, a może i milion.

Starobystron to tylko tajemnice i pytań mrowie, co? No to ze Statkiem tak samo było. Jak się ruszał? Skąd on płynął w podróż? Jak przetrwał wielki grzmotołysk i Upadek? Nigdy nie wiedziałem, co odpowiadać, a bajania Zachariasza zmyślane nie są, nie jak większość cudzych bredzeń. Plemię, co żyło na Statku, to wołali na nich Profety i pochodzili z Profeckiej Wyspy. Wyspa Profetów była większa od Maui, mniejsza od Bigajla i hen-hen na północ, gdzie błękit. Więcej nie wiem, to i nicanic nie rzeknę.

No i ten Statek wiutał kotwicę jakie dziesięć machnięć od Szkoły, i od dziobu statku wychynała para łódek szerszeniastych i furkotała bez przybój do plaży. W każdej było sześć – osiem osób, mężów, kobiet i dzieciaków, wszyscy w eliganckim odzieniu, co to zara schło, jak się zmoczyło. Wszystko mieli cudowne. Kobiety ze Statku niby mężczyźni były, bo włosy miały obcięte i niezaplecione we warkocz, jak u kobiet z Dolin. I bardziej żyłaste były i mocarniejsze

w sile. Skórę to miały czerstwą i gładką, bez strupa nawet najsamniejszego, a wszyscy byli piwno-brązowi i czarni, i bardziej jeden do drugiego był podobny niż ludzie, co się ich widzi na Bigajlu. I Profety nie mówili dużo, nie. Dwóch strażowało przy łódkach na brzegu i jak kto ich pytał: „Proszę pana, a jak się pan nazywa?”. Albo: „Proszę pani, a dokąd jedziecie?”, to tylko kręcili głowami, jakby mówili: „Nicanic nie odrzeknę, to i nie pytaj mnie więcej”. Tajemny Bystron usadzał nas, żebyśmy tuż-tuż czasem nie podeszli. Powietrze gęstło, aż się bliżej podejść nie dało. I siekący ból głuszył, to i nikt nicanic nie próbował harcować.

Towary to żeśmy mieniali w Gminie. Profety mówili dziwnie, nie leniwie i nierówno jak w Hilo, ale mowa ich słona jakaś była, zimna. Jeszcze zanim do brzegu dobili, aż się trzęsło od szemrań i w większości chat szykowano kosze owoców i warzyw i mięsa, żeby do Gminy zanieść. A Profety napełniali swoje dziwne beczki wodą ze strumienia. W zamian Profety mieniali rzeczy żelazne, co lepsze były, niż robione na Bigajlu. Mieniali się uczciwie i nie huhuczali grubo, jak dzikusy z Honokaa, ale grzecznie mur między sobą a nami stawiali, co mówił: „Szanuje cie, ale ty i ja nie z tego samego ludu, to i nie przehycaj no tej linii”. I tak Profety nigdy nie pytali nas, jak nasze imiona, ani sami nam swoich nie mówili, choć my, dzieciaki, przeżywaliliśmy ich „Karły Wódz” i „Młotogłowy” i „Brzydula”, a nasze mamy i taty wołali ich naszymi przezwiskami, jak goście już wracali na Statek.

Tak, Profety mieli twarde reguły wedle mieniania z nami. Nie mieniali nicanic Bystrzejszego niż to, co my mieli na Bigajlu. Na przykład, potem jak Tatę ubili, to wiec uradził, coby garnizon wystawić przy Ablowej chacie, żeby ochraniać Szlak Muliwai, co był naszym najsamwiększym szlakiem od brodu Slooshy przez nasze Dziewięć Dolin. Ksieni prosiła Profetów o taką broń specjalną, cobyśmy się przed Kona bronić mogli. Profety rzekli: „nie”. Ksieni błagała. Ale oni dalej: „nie” rzekli, i tyle było.

Inną zasadą było, żeby prócz własnego ich imienia nicanic nam nie mówić o tym, co za oceanem leżało, nawet o Profeckiej Wyspie. Napes z chaty Inoyuów prosił, coby zapracować mógł na podróż Statkiem i wonczas pierszy raz widziałem na własne oczy, jak się Profety wszyscy prawie zaśmieli. Ich wódz rzekł „nie, nie” i nikt się nie dziwił. Nigdy nie cisnęliśmy tych zasad, ażby pękły, bo widzieliśmy, że oni szanują naszych cyłwizowanych, mieniając się z nami. Ksieni zawsze prosiła ich, żeby zostali na świętowanie, ale wódz zawsze z uprzejmością „nie” mówił. Co namieniali, wlekli nazad na łódki. Godzinę potem ich Statek już płynął hen-hen, wschodnim kursem na wiosnę, a jesienią na północ.

I tak przybywali co rok, odkąd najsamstarszy pamiętał. Mijały wiosny i jesienie, Statek zawijał i odpływał. Aż do mojego szesnastego roku, kiedy to Profetka, co ją Meronym wołali, zawitała do naszej chaty na krótki czas. I nicanic już potem takie samo nie było, ani w moim życiu, ani w Dolinach, już przenigdy. Ze wszystkich bajań, tylko te są prawdziwie moje, a nie podsmyczone od innych bajarzy, co o niej są, o Meronym.



Hen-hen, za Kręgową Przełęczą był grzbiet zwany Księżycowym Gniazdem, co z jego pastwisk w Kohalach najsamlepiej Windward widać było. Jednego migotliwego popołudnia wiosną pasalem kozły na Księżycowym Gnieździe, jak zoczyłem Statek, co się zbliżał do Zatoki Flotylli. Przepiękny to był widok, bo on błękitny był, jak sam ocean, i jak kto

prosto w niego nie patrzył, to nicanic go nie widział. Wiedziałem już, że winienem w jednym migu na mienianie susać, ale miałem kozły do pasania i nimbym do Gminy doleciał, Profety pewnie jużby do łódek wracali. No to leżałem tylko rozwalony i się gapiłem na cudny Statek Bystry, co przypląwał i odpływał z dzikimi gęsiami i wielorybami.

Czemu zostałem, to żem już rzekł wcześniej, choć po prawdzie to za przyczyną dziewczuchy, Róża jej było, co zbierała liście palila na lekarstwo dla swojej matki. Bo gorąc nas ułapił i napalił do siebie wzajem i całe popołudnie leżałem rozkoszą otumaniony, siorbiąc jej dwa krągłe mango i wilgotną figę. I po prawdzie to nigdzie indziej nie chciałem chodzić, a i Róża za wiele palila wczas nie zebrała, nie. Ho, ho, śmiejecie się, rumienicie, młodzi, ale czas był, tak, że i ja byłem, jak wy tera jesteście.

Jak wieczór przyszedł i pogoniłem kozy do domu, Mama ciskała się i nerwowała, jak gąsior z jednym skrzydłem, i klęła mie jak wściekła, że z całego tego szemrania to tylko Sussy zrozumiałem. Po mienianiu w Gminie, zamiast znak dać wszystkim, żeby na Statek się zabierali, jak normalnie było, Profecki wódz prosił mówić z Ksieni sam jeden. Po długim migu Ksieni wyszła z rozmowy i zwołała wiec. Przyszli Ludzie z Dolin z chat pobliskich, prócz z chaty Baileyów, z naszej. Bo Mama też na wiec nie poszła. No i się wiec rozpoczął. „Wódz Profetów chce tego roku innego mieniania”, rzekła Ksieni. „Jedna kobieta ze Statku ma życzenie żyć i pracować w chacie bez pół roku, poznać życie nasze i zrozumieć Ludzi z Dolin. W zamian wódz da nam w dwójnasób za wszystko, co dziś pomienialiśmy. Za sieci, garki, rondle, żelazo, wszystkiego po dwa razy. Pomyślcie tylko, jaki to honor, i pomyślcie tylko, co możemy dostać za wszystkie te sprzęty na kolejnym mienianiu w Honokaa”. No to nie trzeba była długiego miga czekać na jedno wielgaśne „Jeju!”, co się rozniosło wśród wiecowania, i Ksieni musiała krzyknąć następne pytanie ponad hurmującymi. Kto ma naszą Profecką gościńię do siebie przyjąć? I tu się „Jeju!” na gwałt urwało. Ludzie nagle mieli wielką mnogość wymówek. „Nie mam dość miejsca. Dwójka bobo nam przyjdzie, to gościni spać nie będą dawały. Komary wkoło chaty pokasają do żywego”. Ryży Volvo, tłusty drań, to pierszy przemówił. „A może w chacie Baileyów?”. Bo Mamy ani mie nie było, żeby im te ich knowania zimną wodą polać, to się zara rozognili. „Tak, wolne izby mają, odkąd Ojciec Bailey zabity. Baileyowie więcej wzięli z Gminy, niż dali w zesze zbiory, obowiązanie takie mają! Tak, trzeba im rąk do pracy u Baileyów, Mama Bailey rada przyjmie pomoc!”. I tak wiec uchwalili.

I tera to ja byłem gąsior z jednym skrzydłem. Co Profety jedzą i piją? Czy śpią na sianie? Czy w ogóle śpią? Sześć księżyców! Mama klęła mie, że nie przyszedłem na mienianie ze Statkiem, bo choć to ona prawdziwie rządziła w rodzinie Baileyów, to ja byłem w chacie najsamstarym mężczyzną i winienem był pójść bez gadania. Rzekłem: „To pójdę do Ksieni i powiem jej, że nie możemy w gościńię mieć żadnej Profetki”, kiedy ode drzwi rozległo się *stuk stuk*.

Tak, to była Ksieni z Mylo, pomocnikiem w szkole. Przywiedli Profetkę, żeby się do nas wprowadziła. Wiedzieliśmy wszyscy, że zaleją nas hurmą goście z Doliny i, chcemy czy nie chcemy, nie możemy rzeknąć: „Idźcie se”, tak? Wstyd by to był dla naszego domostwa i wstyd dla naszych ikon. Kobieta ze Statku miała octową woń Bystronia i rzekła piersza, bo mie i Mamie mowę odjęło. „Dobry wieczór”, rzekła, „jestem Meronym i dziękuję wam pięknie za przyjęcie mie w gościńię w Dolinach”. Mylo jak ropucha szczyrzył się w prześmiejach na to, jakem był znerwowany, że aż bym go zabić mógł.

Sussy przypomniała se piersza, że jest gospodyni, i prosiła gości, żeby siedli, i posłała Jonasza, żeby przyniósł napicie i żarło, i w ogóle. Meronym rzekła: „Mój lud ma zwyczaj dawać skromne podarki gospodarzom, gdy w gościnę przychodzi, mam nadzieję, że nie będziecie mieli nicanic przeciw...”.

Sięła do torby, co ją przyniosła ze sobą, i dała nam prezenty. Mama dostała piękny garnek, co w Honokaa by kosztował pięć – sześć bel wełny, i dychała tylko głośno, i rzekła, że nie może przyjąć takiego drogiego podarku nicanic, bo przyjmowanie obcych w gościnę to zwyczaj Sonmi. Tak, przyjmowanie w gościnę winno być za darmo, albo w ogóle nie być. Ale Profetka rzekła, że te podarki to nie zapłata, tylko podziękowanie za przyszłą uprzejmość, i Mama drugi raz garka nie odmówiła. Sussy i Bazia dostały naszyjniki, co się skrzyły jak gwiazdy; oczy im na wierzch wylazły z uciechy. A Jonasz dostał kwadratowe lustro, co go zachwyciło, bardziej łyszczące niż każdy okruch szkła, co czasem leży na ziemi.

Myło już się tera nie szczyrzył jak ropucha, ale mie się te podarki nicanic nie podobały, bo obca kupowała moich bez gadania, a ja się nie godziłem. No to rzekłem tylko, że kobieta ze Statku może ostać w naszej chacie, ale nie chcę jej podarku i tyle.

Rzekłem to grubiej, niż chciałem, i Mama ciskała we mnie gromy spojrzeniem, ale Meronym rzekła tylko: „Pewnie, rozumiem”, jakbym mówił coś zwykłego i normalnego.



Cała mnogość ludzi ciągnęła jak owce do naszej chaty tego wieczoru i bez kilka następnych, z całych Dziewięciu Dolin, krewni i bracia i rodzina z przeszłego życia i na w pół obcy, co żeśmy ich tylko spotykali na mienianiach. Tak, każdy, od Mauka do Mormonów, pukał do naszych drzwi, żeby zobaczyć, czy całe te szu-szu prawdziwe było, że prawdziwa, żywa Profetka mieszka u Baileyów. Musieliśmy każdego jednego odwiedzającego zaprosić do środka, a oni gapili się i dziwili, jakby sama Sonmi siedziała w naszej kuchni, choć ich dziw aż tak wielki nie brał, żeby nie mogli wtrząchnąć naszego żarła albo napicia wypić gładko. A jak tak pili, to całe potoki pytań o Profetów i ich cudowny Statek zaczęły się wylewać.

Ale dziwna była taka rzecz. Meronym odpowiadała na pytania, ale jej odpowiedzi nie gasiły ciekawości nicanic, ani na pchełkę jedną. No to mój kuzyn Spencer z chaty Clunych zapytał: „A co statek porusza, że pływa?”. Profetka odrzekła: „Silniki termojądrowe”. Każden mądrze głową pokiwał: „A, silniki termojądrowe”. Nikt nie pytał, co to są „silniki termojądrowe”, bo nie chcieli wyglądać na dzikich albo głupich przed całym wiecem. Ksieni poprosiła Meronym, żeby pokazała nam Profecką Wyspę na mapie świata, ale Meronym tylko dotknęła mapy palcem i rzekła: „Tu”.

„Gdzie?”, żeśmy zapytali. Bo nie było tam nicanic prócz morza niebieskiego i pomyślałem se, że ona się z nas naśmiewa.

„Profeckiej Wyspy nie było na żadnej mapie, co tuż przed Upadkiem zrobiona”, rzekła Meronym, „bo założyciele wyspy trzymali ją w sekrecie”. Była na starszych mapach, tak, ale nie na mapie, co ją Ksieni miała.

Śmiałość mnie większa już teraz wzięła i zapytałem gościa, czemu Profety z ich całym Bystroniem i w ogóle chcą się nauczyć o Ludziach z Dolin. Czego ją niby mieliśmy nauczyć, czego jeszcze nie umiała? „Umysł, który poznaje, to umysł, który żyje”, rzekła Meronym, „i każdy Bystron jest prawdziwy, stary Bystron czy nowy, z wyżyn czy z nizin”. Nikt prócz mnie nie dojrzał strzał pochlebstw, jakie te słowa wypizgały, ani jak zmyślna Profetka na przecichacze wysłana naszą niewiedzę używała, żeby za mgłą skryć swoje prawdziwe zamiary. No to za moim pierwszym pytaniem zadałem kolejne. „Ale wy, Profety, macie najsamwiekszy i najsampotężniejszy Bystron w całym świecie, tak?”. Och, jak uważnie słów dobierała! „Nasz Bystron jest potężniejszy niż Bystron plemion Hawajów, ale mniej potężny niż Bystron Starych przed Upadkiem”. Widzicie? Dużo mówiła, a nicanic nie rzekła.

Pamiętam tylko trzy szczere odpowiedzi, co nam dała. Ruby Potterów pytała, czemu wszyscy Profeci mieli skórę ciemną jak kokosy. Nigdy żeśmy nie widzieli bladego ani różowego żadnego, jak my, coby ze Statku na ląd schodził. Meronym rzekła, że jej przodki przed Upadkiem zmienili swoje nasienie, żeby rodzić ciemnoskóre boba i dać im ochronę przed krwawostrupem, żeby boba tych bobów też były ciemne. Bo jacy rodzice, takie potomstwo, jak u królików i ogórków.

Napes z chaty Inouyów zapytał, czy miała męża, bo on był kawaler i miał sad makadamii i plantacje fig i cytryn, wszystko jego własne. Wszyscy się zaśmieli, tak. Meronym się uśmiechła. Rzekła, że ma syna, którego wołają Anafi, co żyje na Profeckiej Wyspie, ale jej męża wiele lat temu zabili dzikusy. Żałowała tych wszystkich fig i cytryn, mówiła, ale była już za stara na nowego męża, a Napes pokręcił głową w rozczarowaniu i jęknął: „Kobieto ze Statku, rozpękałaś mi serce”.

Ostatni zapytał mój kuzyn Kobbery: „No to ile masz lat?”. Tak, żeśmy wszyscy nad tym w głowę zachodzili. Ale nikt gotów nie był na to, co odrzekła. „Pięćdziesiąt”. Tak, tak rzekła i dziw nas wielki wziął, jak was teraz. Pięćdziesiąt. Naszą kuchnię zmroziło, jakby lodowaty wiaterek nagle zaczął. Życ do pięćdziesięciu lat wcale nie piękny cud jest, nie. Życ do pięćdziesięciu lat to straszne i niezwykłe. „To do ilu lat dożywają Profety?”, zapytał Melvil od Czarnego Wołu. Meronym wzruszyła ramionami. „Do sześćdziesięciu, siedemdziesięciu...”. Ooo, wszystkich nas zatkało! Zwykle jak już czterdzieści lat mamy, modlimy się do Sonmi o zmiłowanie i odrodzenie nas za okamgnienie w nowym ciele, jakby psu, co go kochałeś, a teraz chory jest ciężko i umiera w bólu, gardło poderżnąć. Jedyny z Dolin, co do pięćdziesięciu lat żył i skóra mu płatami nie schodziła od krwawostrupa ani nie pomarł od pleśnicy płuc, był Truman Trzeci, a wszyscy wiedzieli, że ugadał się ze Starym Dżordżem jednej nocy pośród wichury. Tak, głupi duszę zaprzedał za kilka więcej lat. Tak więc rozmowa się urwała zaraz potem i ludzie wychodzili grupami, szemrać o tym, co mówione było i odpowiedziane. A każdy szeptał: „Sonmi dzięki, że nie u nas w gościnie się zatrzymała”.

Rad byłem, że nasza choroba pani w gościnie pokazała wszystkim, żeby uważni byli i ostrożni, i nie ufali jej nicanic, ani pchełki. Ale w ogóle tej nocy nie spałem bez komary i ptaki nocne, i skrzeczenia ropuch, i bez tajemnego kogoś, co z cichca tłukł się po naszej chacie, tu coś podniósł, tam coś położył, a ta tajemna osoba Zmianą się zwała.



Pierszego, drugiego, trzeciego dnia Profetka zagrzewała miejsce w mojej chacie. Przyznam, że żadna z niej królowa nie była, nie leniła się ani migała. Pomagała Sussy z mlekiem, a Mamie z pleceniem i przędzą, a Jonasz wziął ją na wybieranie jaj i słuchała Bazi, jak gadała o szkole, i wodę przyniosła, i drewno rozpękla, i uczyła się wszystkiego w jeden mig. Pewnie, szemrania o niej było co niemiara i często nas ludzie odwiedzali, żeby zobaczyć kobietę, co ma roków pięćdziesiąt, a cudownie na dwadzieścia pięć wygląda. Ludzie, co spodziewali się, że sztuczki będzie robić i spryty, rozczarowali się migiem, bo żadnych nie robiła nicanic. Mama przestała się nerwować o kobietę ze Statku w jeden dzień czy dwa, tak. Zaczęła się przyjaźnić z nią okazywać, a przed innymi przechwalać. „Nasza Meronym to, nasza Meronym tamto”, piała od rana do nocy, a Sussy to gorsza jeszcze była z dziesięć razy. A Meronym robiła dalej, co szło robić, choć wieczorami siadała przy naszym stole i pisała na specjalnym papierze, o, dużo wspanialszym od naszego. Bardzo chyżo potrafiła pisać, ale nie pisała w naszej mowie, nie, pisała w innym języku. Bo w Starokrajach mówiono innymi językami, nie tylko naszym. „O czym piszesz, ciociu Meronym?”, pytała Bazia, ale Profetka tylko mówiła: „Jak dnie mijają, moja śliczna, piszę, jak mijają dnie”.

Mierziło me te jej „moja śliczna” gadanie w mojej rodzinie i nie podobało mi się nicanic, jak starzy podmykali się do niej, żeby zapytać, co robić, żeby żyć długo. Ale te jej pisanie o Dolinach, co go nikt z Dolin przeczytać nie mógł, to me nerwowało najsambardziej. Czy to Bystroń był, czy cichaczenie, czy dotyk Starego Dźordziego?



Jednego parnego poranka udoilem sam mleka, bo Sussy ślimaczyła się w posłaniu z chorobą, kiedy Meronym zapytała, czy może pójść ze mną pognać kozy. Mama rzekła, że tak, pewnie. Ja nie rzekłem tak, tylko, chłodno i z miną kamienną: „Pasanie kóz nieciekawe jest dla ludzi, co znają taki wielki Bystroń, jak ty”. Meronym odparła grzecznie: „Wszystko, co robią Ludzie z Dolin, jest dla mnie ciekawe, gospodarzu mój, Zachariaszu, ale oczywista, jeżeli zwyczajnie nie chcesz, żebym patrzała, jak pracę swoją robisz, to w porządku, tylko weź i tak mi rzeknij”. Widzicie? Jej słowa były jak śliscy i sprytni zapaśnicy, co wykręcali twoje „nie” w „tak”. Mama tak na mnie patrzała, że musiałem rzec: „Pewnie, dobrze, idź ze mną”.

Jak przeganiałiśmy kozy Szlakiem Elepaio, nicanic więcej nie mówiłem. Za chatą Clunych brat mój, Gubboh Wieprzarz, krzyknął: „Jak tam, Zachariaszu?!”, żeby porozmawiać, ale jak zobaczył Meronym, to zeszytniał i rzekł tylko: „Zachariaszu, uważaj, gdzie idziesz”. Zmajtnąć ją chciałem, że nie wiem co, żeby mi na karku nie siedziała, więc krzyknę na kozy: „Co się tak wleciecie, łajzy ślimackie jedne”, i ruszyłem chyżej z nadzieją, że Meronym się zmęczy. Szliśmy w górę strumienia bez Kręgową Przełęcz, ale ona nie odpuściła, nie, nawet na skalistym szlaku do Księżycowego Gniazda. Profetów twardość równa twardości kozłarzy, wonczas się dowiedziałem. Myślałem, że wie, co ja uważam, i śmieje się ze mie w duszy, no to już więcej z nią nie mówiłem.

Co zrobiła, jak doszliśmy do Księżycowego Gniazda? Usiadła na Kciukowej Skale i wyjęła księgę do pisania, i narysowała tamten wspaniały widok. Narysowała go pięknie, to trza rzec. Na papierze wyrosło Dziewięć Dolin i wybrzeże i przylądki i wyżyny i niziny, jak prawdziwe. Nie chciałem pokazywać jej, że mie to ciekawi, ale nie mogłem strzymać. Nazwałem

wszystko, co narysowała, a ona pisała nazwy, aż na papierze było pół obrazków, a pół pisania, jak mówiłem. „No właśnie”, rzekła Meronym, „i tak mamy mapę”.

Wonczas usłyszałem gałązkę, jak trzasła w jodłach za nami. Nie wiatr, co zawiął akurat, to noga czyjaś zrobiła bez wątpienia żadnego, ale czy ludzka, czy kopyto, nie mogłem rzec. Nikt nie słyszał, żeby się tu, w góry Kohala Windwardu, Kona zapuszczali, ale przy brodzie Slooshy też ich nikt nie widywał. No to poszłem w zarośla zobaczyć. Meronym chciała pójść ze mną, ale rzekłem jej, żeby została, gdzie była. Czy mógł być to Stary Dźordzi, co przyszedł moją duszę dokamienić? Albo jakiś odludny Mookini szedł za żarłem? Wziąłem dzidę i podmykłem się bliżej jodeł, coraz bliżej...

Róża siedziała okrakiem na porośniętym mchem skalnym występie. „Widzę, że masz nową kompanię”, rzekła z uprzejmością, ale w oczach miała wścieklicę jak suka dingo.

„Ją?”. Pokazałem palcem na Meronym, co siedziała i patrzała, jak rozmawiamy. „To z szemrania nie wiesz, że kobieta ze Statku starsza jest, niż była moja babka, kiedy ją Sonmi odrodziła? Nie bądź o nią zazdrosna! Ona nie taka, jak ty, Różyczko. Ma we łbie tyle Bystronia, że aż jej się szyja pogięła”.

Róża nie była już taka uprzejma. „To ja nie mam Bystronia?”.

Kobiety, oj, kobiety! Zawsze wynajdą w słowach co najgorsze i mówić będą: „Patrz, czym mie chciałeś obrzucić!”. Rozgorączkowanym napaleńcem byłem. Myślałem, że jak ją hetne słowami, to jej rozum wróci. „Wiesz, że nie o to mi chodzi, ty głupia, tchórzotrusia babo...”.

Nie skończyłem mówić mojej zarady na rozum, bo Róża tak mie sztompla w gębę z całej siły, że poleciałem i trachłem dupą na ziemię. Takie gwiazdy widziałem, że siedziałem tylko, jak bobo, co je kto zostawił, dotkłem ręką nosa i palce miałem czerwone. „Och”, rzekła Róża, a potem: „Ha!”, a potem: „Tak to możesz se hetać krzywym jęzorem do swoich kóz, kozłarzu śmierdzący, ale nie do mnie, niech Stary Dźordzi twoją duszę dokamieni!”. To najsamgorsze przekleństwo, jakie Ludzie z Dolin znają. Nasze gruchanie-kochanie do siebie w jednym migu roztrzasło się na milion drobin i tak Róża se poszła, mając koszykiem.



Mizerota i zasromanie żadne są winnego, a ja za stratę Róży winiłem diabelną Profetkę. Tamtego ranka na Księżycowym Gnieździe wstałem i pogoniłem kozy na Kciukowe Pastwisko, nawet się z Meronym nie żegnając. A ona знаła mądre Bystronie na tyle, żeby mie w spokoju zostawić, bo pamiętała, że sama miała syna na Profeckiej Wyspie.

Jak doszedłem do domu tamtego wieczoru, Mama i Sussy i Jonasz siedzieli w kole. Zobaczyli mój nos i popatrzeni na siebie spod oka. „Co ci się stanęło w nochala, braciszku?”, zapytał Jonasz, niby sama słodycz. „To? E, poślizłem i sztomplę się w niego na Księżycowym Gnieździe”, rzekłem mu w mig, jak brzytew.

Sussy prawie parszła. „A nie sztomplęś go na Różyczkowym Gnieździe, Zachariaszku?”. I wszyscy troje zaskrzeczeli śmiechem jak nietoperze, a ja poczerwieniałem i społem się mocno. Sussy rzekła mi, że wyszemrał jej Ciurny, co jemu Wolt mówił, co się dowiedział od Róży. Ale ja nie słuchałem, nie. Kląłem Meronym do Starego Dżordźiego i nie przestawałem, i to jej szczęście wielkie, że tego wieczoru nie było jej w chacie u Baileyów, bo uczyła się krosien u ciotki Bees.

No to poszłem nad ocean i patrzyłem w księżyc, żeby jego chłód ugasił mój ogień. Pamiętam, jak żółw zielonopysk wywłókł się z wody na piasek, żeby jajka znieść, i o mały włos bym go dzidą dźgnął naskroś, z czystej złości, bo jak w moim życiu sprawiedliwości żadnej nie było nicanic, to czemu miało być sprawiedliwie dla stworzenia? Ale zobaczyłem jego oczy, takie prastare były, że widział nimi nawet przyszłość, tak. I puściłem go wolno. Gubboh i Kobbery przyszli z deskami i zaczęli serfować po rozgwieżdzonej wodzie, bardzo pięknie serfował Kobbery i zawołali mnie, żebym z nimi szedł. Ale nie miałem chętki na ślizganie, miałem dużo trzeźwiejsze zajęcie do zajmowania.

Uczniak z Ostatniej Doliny, co mieszkał i służył w szkole, wpuścił mnie do domu swojej gospodyni, dał mi napicia i poszedł sprowadzić Ksieni z Gminy. I tylko ogień praskał i ocean huczał w dole w Zatoce Flotyli. Ksieni weszła, właśnie zarzynała kurczaka. „Szemrają, że pięknie gospodujesz dla naszej niezwykłej gościni”, co mnie zdziwiło trochę.

„Tak mówią? To właśnie nasza niezwykła gościni tak mnie stracha”, rzekłem.

„Ach tak?”, rzekła Ksieni. „A czemu?”.

„Wiesz, Ksieni, że robi tajemne mapy naszych Dolin?” – zapytałem.

„Takie?”, rzekła Ksieni, trzymając w górze tę samą mapę, co ją Meronym zrobiła na Księżycowym Gnieździe. „Dała ją szkole dla uczniów, żeby znali kształt i wielkość naszych ziem”.

No to już zjeżyło mi włosy, ale brnąłem dalej. „Pisze, czego się uczy o Ludziach z Doliny, ale to nie prawdziwa mowa, co ją pisze, tylko mowa cichaczy, co jej nikt prócz niej nie odczyta”.

To nie znerwowało Ksieni też nicanic. „Przed Upadkiem na Hawajach mówili ze dwoma tuzinami różnych języków, a setkami mówili w Całym Świecie. Widzisz, Zachariaszu, jakby Profeca Wyspa mnie gościła, pisałabym pamiętniki we własnej mowie, więc czemu nasza gościni ma nie pisać w swojej na Bigajlu?”.

„Ksieni”, rzekłem w końcu znowu, „nie podejrzewasz, że Profety chcą czegoś złego? Robienie map może być częścią knowania najazdu. A jeśli chcą wyturgać nas z naszej ziemi? A jeśli zawrą pakt tajemny z Kona? Nicanic o nich naprawdę nie wiemy”.

Ksieni słuchała, ale nie wierzyła mi nicanic, nie. Miarkowała, że chciałem się tylko wyslizgać z goszczenia Meronym. „Widziałeś Statek, widziałeś ich żelazny osprzęt i widziałeś trochę ich Bystronia, który pokazali. Jeśliby Profeci planowali atak na Dziewięć Dolin, naprawdę

sądzisz, że siedzielibyśmy tu i o tym rozmawiali? Przynieś mi dowód, że Meronym chce nas wszystkich wymordować w czasie snu, a zwołam wiec. Rzucanie oskarżeń na niezwyczajną gościńię, to nieuprzejme, Zachariaszu, a twój Tato nie byłby zadowolony”.

Nasza Ksieni nigdy nie narzucała siłą swego chcenia nikomu, ale wiedziało się, kiedy jest koniec rozmowy. I właśnie nastąpił. Zostałem sam. Zachariasz przeciw Profetom.



Dnie wstawały i się kładły, i lato gorącym siekło, zielone i pieniste. Patrzałem na Meronym, co jak robak się wślizguje w Doliny, spotyka z ludźmi i poznaje, jak żyjemy, co mamy, ilu nas do walki może stanąć, i robi mapy przełęczy do naszych Dolin bez Góry Kohala. Z jednego czy dwóch starszych i sprytniejszych chłopów próbowałem wycichać, czy nie mieli wątplenia ani bojaźni wedle Profetki. Ale kiedy rzekłem „najazd” albo „atak”, patrzali na mnie oskarżająco, zadziwieni i bojący, z grzmotami w oczach, że aż się zamkłem, bo nie chciałem, żeby mnie szemranie smarowali. Winienem udawać trochę grzeczności wedle Meronym, żeby leniwość ją wzięła i jej przyjazna maska trochę się obsunęła i żeby pokazała mi swoje prawdziwe knowania za maską. Tak, niech da mi dowód, żebym Ksieni pokazał i żeby ona zwołała wiec.

Nie miałem wyboru, jak siedzieć i czekać. Meronym była mocno lubiana. Kobiety wyznawały jej zwierzenia, bo była obca i szemranie od niej nie groziło. Pies bez imienia, co się naprzykrzał w Dolinie Elepaio, zaczął za nią truchtać, aż go nazwała Pitegores, czy jakoś tak dziwnie, a my żeśmy za nim tylko Pi wołali i karmiliśmy go pomyjami, a on nam pilnował w nocy kóz. Widzicie? Nawet bezpieczeństwa psy w dolinie zhytały się na smycz przeklętej Profetki. Ksieni prosiła ją, żeby uczyła liczb w szkole, a Meronym na zgodę takła. Bazia mówiła, że dobra z niej była nauczycielka, ale nie nauczyła ich nicanic ponad Bystron własny Ksieni, choć Bazia wiedziała, że, jakby chciała, toby mogła. Niektóre uczniaki nawet zaczęli malować se twarze na ciemno, żeby wyglądać jak Profetka, ale Meronym rzekła im, żeby się wymyli, albo nicanic ich nie nauczy, bo czy kto cylwizowanym Byстрыm człowiekiem jest, nie zależy od koloru skóry, nie.

Jednego wieczoru na naszej werandzie Meronym pytała o ikony. „Czy ikony to dom dla duszy? Czy może wspólne wspomnienia twarzy osoby, jego krewnych, wieku i takich tam? Albo może to modlitwa do Sonmi? Albo kamień nagrobny napisany za życia z przesłaniem do życia następnego?”. Bo dla Profetki, to zawsze musiało być co i jak, jakby nigdy nic nie mogło se po prostu być i tyle. Duofizyt był taki sam na Maui, nie? Wujek Bees próbował odrzec, ale mu mgłą myśl zaszła i wyznał, że wiedział dokładnie, co są Ikony, aż do czasu, kiedy musiał na głos je objaśniać. Ikonarz, rzekła ciotka Bees, mieścił razem przeszłość i to, co tera jest dla Ludzi z Dolin. Nieczęsto się zdarzało, że mogłem czytać czyjeś myśli, ale w tamtym okamgnieniu widziałem, jak kobieta ze Statku zastanawia się: „Oho, muszę się wybrać do tego Ikonarza”. Nicanic nie rzekłem, ale skoro świt, o brzasku, poszłem na Kościany Brzeg i ukryłem się na Sambójowej Skale. Bo rachowałem, że jeślibym cudzoziemkę zhytał, jak bezcześci nasze ikony, albo jeszcze lepiej, jak jedną zmyknie, to bym mógł nastawić przeciw niej starszych Ludzi z Dolin i zmądrzyć mój lud i krewnych na prawdziwe knowania Profetki i te wszystkie.

No to siedziałem i czekałem na Sambójowej Skale, myślałem o ludziach, co ich Dżordzi

zepchnął stąd w spienioną zgrzytnicę w dole. Dujący ranek był, tak, pamiętam dobrze. Piasek i trawy wydmowe smagały ciało i krzaki trojeści młóciły gałęzmi, a kipieli chlompala sunącymi falami. Zjadłem trochę grzybiaka, com go zabrał na śniadanie, ale zanim skończyłem, kogoś ucichaczyłem, jak ciągnął plażą do Ikonarza, jak nie Meronym i, tak, Napesa od Inouyów. Bratali się i gadali mamrotliwie, jak złodzieje! W głowie mi myśli hurgały niby burza! Czy Napes się usadzał na zostanie prawą ręką cudzoziemki? Może zamierzał zastąpić Ksienię jako wódz Dziewięciu Dolin, kiedy już Profety swoim wężowym Bystroniem judasznym pognają nas bez Kohale i do morza?

Napes miał swój urok, miał, każdy go kochał, jego dowcip i bajanie, i wszystko. Jak ja znałem mowę kozłą, tak Napes jakoś znał ludzką. Nie można ufać ludziom, co jak on takie pęta ze słów gładko potrafią na innych zarzucać. Meronym i Napes weszli do Ikonarza śmiało, jak kogucik z kurką. Pies Pi czekał za drzwiami, jak mu Meronym kazała.

Cicho jak wiatr podmykłem się za nimi. Pi patrzył na mnie, jakby chciał ostrzec: „Widzę cię, Zachariaszu”, ale nie szczeknął. Napes już był rozwarł drzwi i przyhaczył rozwarte dla lepszego światła, więc nie zaskrzybiały, jak na palcach się za nimi whynałem. Od przyćmionych, ciemnych półek, co najsamstarsze ikony na nich stały, usłyszałem szepty Napesa. Knowania i intrygi, wiedziałem! Podmykłem się bliżej, żeby lepiej słyszeć.

Ale Napes przechwalał się dziadem swojego dziada, imieniem Truman, tak, ten sam Truman Trzeci, co ciągle nawiedza opowieści na Bigajlu, a też i na Maui. Widać Meronym ciekawość wzięła, więc Napes pokazywał ikonę Trumana Trzeciego i przechwalał się, jak jego krewny wspinał się kiedyś na Mauna Kea. Tak, tamtą bajdę bajdurną! No, jak wy, młodzi, nie znacie bajania o Trumanie Napesie, to czas, żebyście poznali. To i siedźcie cicho, słuchajcie cierpliwie i dajcie no mi tego zioła diabelnego.



Truman Napes był grzebaczem, zbierał resztki i starocie po dawnych czasach, kiedy Staromaszyneria zalegała jeszcze tu i ówdzie po kraterach. Jednego ranka do głowy mu wpadło, że Starzy mogli zgromadzić cenniejszy rynsztunek na Mauna Kea, żeby go bezpiecznie przechować. Pomysł jak zakiełkował, to i rósł, aż z wieczora Truman wyruszył, żeby wspinać się na groźną górę i zobaczyć, co jest do zobaczenia, tak, i następnego dnia wrócić. Kobieta mówiła mu: „Blekotu żeś się obżarł, na Mauna Kea nicanic nie ma, prócz Starego Dżordźiego i jego świątyń w zaścianiu w górze skrytych. Nie wpuści cię, chyba że jużżeś wcześniej ducha wyzionął i duszę mu oddał”. Truman rzekł tylko: „Idź spać, babo odurniała, te wszystkie krzywe przesady krzty prawdy w sobie nie mają”. No i kładzie się spać i wstaje, i skoro świt trompie w górę Doliny Waipio.

Mężny Truman trompał i wspinał się trzy dni bite, i miał przygodzenia różne, choć nie o nich tera rzecz idzie. Ale wszystkie przetrwał, aż na sam szczyt się wspinał straszny i upiorny w chmurach, co go widać z każdego miejsca na Bigajlu. I tak wysoko zaszedł, że nie widział już świata w dole. Popieliście było, ni patyka zieleni, i milion wiatrów hurgało wte i nazad jak dingo ze wścieklicą. Kroki Trumana zatrzymały się tera u stóp czarownej żelaznej ściany, wyższej niż sekwoje, co szczyt otaczały całymi milami. Truman dzień cały łąził, szukając wyłomu, bo nie można się było na ścianę wspinać ani pod nią przegłębić, ale zgadnijcie, co nalazł w godzinie

przedwieczornej? Człowieka z Hawi, tak, zakapturzonego przed wiatrem.

Siedział z nogami skrzyżowanymi za osłoną skały i palił fajkę. Ten Hawi to był tak samo grzebacz i wspiał się na Mauna Kea za tą samą przyczyną, co Truman, dajecie wiarę? Tak odludne to miejsce było, że Truman i Hawi ugodzili, że pójdą razem i co znajdą, to po połowie podzielą.

Cóż, szczęście Trumana odwróciło się w następnym migu, tak. Gęstniejące chmury wodniste się stały i rzadkie, a łukowate stalowe wrota zaściana zatrzesły się i jęły grzmotniasto i same z siebie się rozwarły. Czy to z Bystronia, czy z czarów, sam Truman nie wiedział, bez wrota nasz bohater uwiódł gromadę dziwnych świątyni, jak w starobajdach mówili, że tam stoją. Ale Truman się nie zląkł, nie, tylko mu aż ślinka poszła na myśl o cennym osprzęcie i wyrobieniach Starych, co w zaściani muszą być. Klasnął Hawiego po plecach, mówiąc: „Ho, ho, jesteśmy bogatsi niż króle i senatorzy przed Upadkiem, bracie Hawi!”. Choć, jeśli Truman Napes był do swojego prawnuka podobny, to pewnie knował, jakby tu wygrzebany łup dla siebie cały zhytać.

Ale ten Hawi nie uśmiechał się, nie. Rzekł za to ponuro spod kaptura: „Bracie z Doliny, moja godzina snu wreszcie wybiła”.

Truman Napes nie pojął. „Jeszcze nie zmierzchanie, co ty mówisz? Mie śpik nie łapie, a ciebie tak?”.

Ale Hawi przekroczył już mroczne wrota. Zadziwiony Truman wykrzyknął: „Nie czas na sen, bracie Hawi! Czas przegrzebywać cenny rynsztunek Starych!”. I w te ciche zaścianie Truman poszedł za druhem-grzebaczem. Czarne wykrotne głązy leżały wszędzie, a niebo mroczne było i rozpękłe. Hawi na kolana padł się modlić. Serce Trumana lodowaty drygoń przeszedł, bo zimna ręka wiatru kaptur kłęzącego Hawiego zwała. Ujrzał Truman, że jego druh od dawna już zimny trup był, kościelec na pół bez robaki z mięsa obcukany, a ta zimna ręka wiatru to ręka Starego Dżordziego była, tak, czart stał przed nimi i machał krzywą łyżką. „Nie byłeś zbolaty i samotny na zewnątrz, mój skarbie”, rzekł diabelski król do Hawiego, „przemierzając ziemie żywych z duszą pełną kamieni i martwą za życia? Czemuś wcześniej nie posłuchał mego wołania, głupi człeczko?”. I Stary Dżordzi zanurzył krzywą łyżkę w oczodoły Hawiego, tak, i wydłubał mu duszę, ciekący, maźliwy mózg i schrupał, jeju, praskał mu w końskich zębach. Hawi wpół się zgiał i nagle stał się takim samym czarnym wykrotnym gładem, jak te co leżały nieskładnie w zaściani.

Stary Dżordzi połkł duszę Hawiego, wytarł gębę, piardł, i czkawka go chyciła. „Dusze podleców są cierpkie i przasne”, wierszem zagadał diabeł, do Trumana podtańcowując, „jak w occie orzechy i jak wino kwaśne”. Truman nie mógł ruszyć ręką ani nogą, nie, bo tak był cały zestrachany tym widokiem. „Lecz dusze z Doliny – przyjemności czyste, dla mej gęby rozkosz, lepsze niż pieczyste”. Oddech diabła cuchł rybą i piardem. „Po połowie się mieliście podzielić? Chcesz swoją połówkę tera czy jak już martwy będziesz, Trumanie Napesie Trzeci z Doliny Mormonów?”.

Truman tera odzyskał władzę w członkach i pokrójcał i pobiegł i wypadł za ponure wrota i ześlizgł się po gołoborzastym zboczku ile tchu, ani razu nicanic się zasię nie oglądając.

Kiedy wrócił do Dolin, każdy patrzył zadziwiony, jeszcze zanim zdołał zabajać, co mu się przygodziło. Włosy Trumana czarne były przedtem jak stado wron, ale teraz bielsze niż morska piana. Każdy jeden włos.



Pamiętacie, że ja, Zachariasz, skulony byłem w kryjówce w Ikonarzu i słuchałem, jak Napes wciskał te rzewne bajanie mej nieproszonej gościni i pokazywał Meronym rodzinne ikony z żywotów, co pomarli. Uczył ją ich znaczeń i użycia ładnie parę migów, a potem rzekł, że musi iść sieci naprawiać, i poszedł se, a Meronym sama została. Ledwo co wyszedł, jak Meronym zawołała w ciemnościach: „No i co myślisz o Trumanie, Zachariaszu?!”.

No to mie trachło, nie śniło mi się nawet, że ona wie o moim podsłuchiwaniu! Ale udała, że nie ma zamiaru dręczyć mie za to, bym się wstydził, nie. Udała, żeśmy razem weszli do Ikonarza. „Myślisz, że to o Trumanie to tylko bajanie starych bab? Czy może myślisz, że jest w nim ziarno prawdy?”.

Nie było co udawać, że mie tam nie ma, bo spokojnie wiedziała, że jestem. Wstałem i poszedłem mimo półek do miejsca, gdzie Profetka siedziała i rysowała ikonę. Oczy mi się zrobiły bardziej sowe w mroku i widziałem teraz dobrze twarz Meronym. „To miejsce jest najświętsze ze wszystkich”, rzekłem jej. „Jesteś teraz w siedzibie Sonmi”. Mój głos nabral siły, ile mógł, choć podsłuchiwanie słabym go robiło. „Żaden obcy nie ma tu żadnej sprawy, żeby chodzić między naszymi ikonami”.

Meronym była uprzejma, jak ja nie byłem. „Zapytałam Ksieni o pozwolenie wejścia. Zgodziła się. Nie dotykam żadnej ikony, prócz ikon rodziny Napesa. Bo się zgodził. Proszę, wytłumacz, czemu tak się hurgasz, Zachariaszu. Chcę pojąć, a nie mogę”.

Widzicie? Przekłeta Profetka myślała o twoich atakach, zanim jeszcze ty żeś o nich pomyślał! „Może i ogłupiłaś naszą Ksienię”, rzekłem jej chłodno i podle, „i może i ogłupiasz Mamę i moją rodzinę, i całe Dziewięć Dolin, do choroby, ale mie nie ogłupisz na okagmnienie nawet! Wiem, że nie mówisz całej prawdy!”. No, teraz to ją chociaż raz zacukałem i przyjemne to było uczucie już się więcej nie czaić i pokazać, co po prawdzie myślę.

Meronym zmarszczyła brwi. „Nie mówię całej prawdy o czym?”. Proszę, Bystra Królowa w kozi róg zasusana była.

„O tym, że cichujesz nasze ziemie! Cichujesz nasze życie! Nas cichujesz!”.

Meronym westchnęła i odłożyła ikonę Napesa na półkę. „A cóż tu nie jest półprawdą, albo całą prawdą, prócz krzywdy lub jej braku”. A potem rzekła coś, co mie żgnęło w trzewia, jakbym dzidą dostał. „A ty sam nie masz sekretu, »całej prawdy«, co ją chowasz przed innymi, Zachariaszu?”.

Myśli mi mgłą zaszyły. Jak mogła wiedzieć o brodzie Slooshy? Roki temu to było! Profety byli wzmowie z Kona? A może mieli jakiego Bystronia, co rył głęboko w ciemnicy, szukając w umysłach zagłębionych wstydów? Nicanic nie rzekłem.

„Przysięgam, Zachariaszu”, rzekła, „zaklinam się na Sonmi...”.

Och, krzyknęłam na nią, obcy i dzicy nawet nie wierzą w Sonmi, więc niech mi tu nie szarga imienia Sonmi swoją mową!

Meronym mówiła spokojnie i cicho, jak zawsze. Bardzo się myliłam, mówiła, wierzyła w Sonmi, tak, nawet bardziej niż ja, ale jeśli wolę, przysięgnie na swego syna Anafiego. Na jego życie i szczęście, zaklinała, żaden Profet nie planował żadnej krzywdy zrobić nikomu z Dolin, ani tera, ani nigdy. I Profety szanowali moje plemię dużo, dużo bardziej, niż se mogłem pomyśleć. Przysięgała, że kiedy będzie mogła rzec mi całą prawdę to powie.

I wyszła, niosąc ze sobą zwycięstwo.

Zostałem kilka okamgnień i poszedłem zobaczyć ikonę Taty, a jak patrzyłem na jego twarz wyrzezaną w słojach drewna, widziałem jego twarz, leżącą w rzece Elepaio. Pałace łzy wstydu i bólu napłynęły mi do oczu. Miałem być głową rodu Baileyów, ale nie miałem władzy większej, niż bojące jagnię, a spryt miałem tak chyży, jak zając we wnykach.



„Przynieś mi dowody, człeku z Dolin”, rzekła Ksieni, „albo zachowaj podejrzania dla siebie”. No to i myślałem tera w każdym migu, jak dowody zdobyć. A jak ich zdobyć nie mogłem honornie, to trudno, musiałem je zmyknąć. Parę dni później moja rodzina była u ciotki Bees, z Meronym, bo się Profetka uczyła miodobrania. Wróciłem z pasania wcześniej, kiedy słońce jeszcze wysoko nad Kohalami było, i zcichaczyłem do jej izby szukać jej torby. Nie zajęło mi to długiego migu, bo Profetka skryła ją pod deskami podłogi. Pod spodem były drobne podarki, takie, co już nam dała, kiedy pierwszy raz przyszła, ale też trochę Bystrego rynsztunku. Było też kilka skrzynek, nic się w nich w środku nie purlało, ale też wiek nie miały i nie mogłem ich rozewrzeć. Był dziwny przyrząd, co go nie znałem, wyrzezany i gładki jak kozła goleń, ale szary i ciężki jak bryła lawy. Prócz tego dwie pary pięknie skrojonych butów i trzy – cztery książki z rysowaniem i pisaniem tajnym w mowie Profeckiej. Nie wiem, gdzie te rysowanie było robione, ale nie na Bigajlu, na pewno, były tam rośliny i ptaki, co ich nawet w śnieniach nie widziałem, nie. Ale najsambardziej cudowna była ostatnia rzecz.

Wielgaśne srebrzyste jajo, wielkie jak głowa bobo, z wgnieceniami i dziurami, co w nie palce szły. Dziwnie ciężko i nie chciało się toczyć. Wiem, że to się nie składa do sensu, ale bajania o Starym Bystroniu i latających siedzibach, i bobach, co rosną w butelkach, i obrazach, co latają po Całym Świecie, też do sensu nie są. Ale przecież takie były, tak bajają ludzie i stare książki. Wziąłem więc te srebrne jajo w dłonie, a ono zaczęło pomrukiwać z cicha i jasnością bić, jakby żywe było, tak. W okamgnieniu jajo wypuściłem i zamarło głucho. To ciepło moich rąk je tak rozbudzało?

Tak ciekawość moja wygląd niała, że je wziąłem znowu, a jajem gorąc zatelepał, aż zjawna dziewczyna w nim zamigotała i się objawiła! Tak, zjawna dziewczyna, prosto nad jajem, tak prawdziwa, jak tu siedzę, jej głowa unosiła się, jak odbicie w księżycowej wodzie, i mówiła! Tera to się przestraszałem srodze i wziąłem ręce od jaja, ale dziewczyna-duch nie

znikła.

Co zrobiła? Nicanic, tylko mówiła i mówiła, jak ja tera do was. A nie była zwykłą bajarką, nie, gadała w Staromowie i nicanic sama, tylko odpowiadała na pytania, co jej ściszym głosem jaki mężczyzna zadawał, choć ni razu twarzy nie pokazał. Na każde słowo, które pojąłem, szło pięć – sześć nieznanych. Na ustach zjawnej dziewczyny zamarł gorzki uśmiech, lecz jej kremowe oczy tak smutne były, tak smutne, ale też i dumne, i mocarne. Gdym się na odwagę zdobył, rzekłem chrypliwie: „Siostró, czyś zagubioną duszą?”. Nie dała znać, że słyszy, no to zapytałem: „Siostró, czy mie widzisz?”. W końcu poznałem, że zjawna dziewczyna nie do mnie mówiła i nie widziała mie.

Próbowałem gładzić jej chmurną skórę i nastrzygane włosy, ale klnę się, moje palce przeszły bez nią, jak bez wodne odbicie. Papierzaste łymy przelatywały bez jej lśniącej oczy i usta wte i wewte, wte i wewte.

Och, tak dziwna była i cudna i błękitna, że aż dusza moja od boleści cisła.

Nagle zjawna dziewczyna znikła w jaju i objawił się człek. Profetem zjawnym był, ten już mie widział i groźnie rzekł do mnie: „Kimesz jest, chłopcze, i gdzie jest Meronym?”.

Profet nachylił się i twarz jego zognomiała. Głos mu warczał i kły szczyrzył. „Dwa pytania cie pytałem, chłopcze, odrzeknij, albo przeklnę twoją rodzinę tak straszliwie, że żadne bobo nie dożyje wieku jednego miesiąca, ani tera, ani nigdy!”.

Pot mie oblał, a w garle zaschło. „Zachariasz jestem”, chryplem, „a Meronym ma się dobrze, u ciotki Bees uczy się miodobrania”.

Profet rozdrażzył mi duszę spojrzeniem, uradzając sam ze sobą, czy mi wierzyć, czy nie. „A wie Meronym, że jej gospodarz przegrzebuje, co do niej należy, jak jej nie ma? Mów prawdę, bo poznam, czy łgasz”.

Gdy głową na „nie” trzęsłem, aż syczałem z bólu.

„Słuchaj tera”. Ten człowiek tyle miał postanowienia w sobie, co jaka Ksieni. „Odłóżysz antyfonę, te »jajo«, co je trzymasz, tam, gdzieś je znalazł. Nikomu, ale to nikomu o tym nie powiesz. Bo inaczej wiesz, co zrobię?”.

„Tak”, odrzekłem, „przeklniesz moją rodzinę tak straszliwie, że żadne bobo żywe w niej nie przetrwa”.

„Tak, dobrze pojąłeś”, odrzekł gniewny człek. „Będę patrzył, Zachariaszu z chaty Baileyów”, rzekł ten zjawny Profet, bo nawet wiedział, gdzie moja chata, jak Stary Dżordzi. Znikł, a srebrzyste jajo zamigotało cicho i zagasło. W jeden mig zapakowałem rynsztunek Meronym nazad do jej torby i schowałem pod podłogę, żałując, że w ogóle wścibstwo mie tam zawiodło. Bo com znalazł nie było dowodem na me wątplenia, jaki Ksieni pokazać mógłbym, nie. Com znalazł było Byстрыm przekleństwem mego parszywego szczęścia ukamieniałego i, przyznałem się sam w duszy, parszywą plamą na moim gospodarskim honorze.

Ale zjawna dziewczyna też nie mogła mi z głowy wywietrzeć, nawiedzała mnie w śnieniu sennym i na jawie. Tyle uczuć we mnie było, że miejsca już na nie wszystkie nie miałem. O, młodym być niełatwo, bo wszystko, co cie gniecie i nerwuje, gniecie cie i nerwuje pierwszy raz.



Księżyc przybrał, potem pochudł i nagle trzy z sześciu miesięcy, kiedy to Profeci Statek miał przypląć po Meronym, przeszło. Układ zrodził się tera między mną i naszą Profetką w gościnie. Nie zawierzałem jej, ale ugadzałem się na nią w mej chacie grzecznie dość, żebym mógł lepiej nią cichaczyć. Aż jednego popołudnia, co szkwał wonzas wiał, pierwsze ze zdarzeń się stanęło i zmieniło układ w coś, co związało jej los z moim, jak dwa wąsy winorośli.

Jednego deszczowego ranka najsammlodszy brata mojego Munro, F'kugly, przychyżał w parów i znalazł mnie skulonego pod liśćmi lępieznika na Ranczowym Wzniesieniu, niosąc mi srogie wieści. Bazia, moja siostra, łowiła ryby na Brzegu Psiej Skały i nastąpiła na skorpenę i tera leżała w chacie Munro umarcia bliska od drygoniów i gorąca. Zielarka Wimoway, tak, matka Róży, była przy niej i znachor Leary z Hilo śpiewał zaklęcia, ale życie z Bazi uchodziło, tak. Nawet rozroślacy zwykle nie przeżywają skorpeny, nie, i biedna mała Bazia umierała, jeszcze dwie, trzy godziny przed nią były.

F'kugly popasał kozłaki, a ja zmyknąłem się w dół bez derenie do chaty Munro i było, jak rzekł F'kugly. Bazia rozpalona była gorącem i zaduszała się dychać i nie poznawała niczyjej twarzy. Wimoway wycisła zatrute kolce i wypłukała ranę w mięszu *noni*, a Sussy przyciskała jej do głowy zimne ulżenia. Jonasz poszedł modlitwy mówić do Sonmi w Ikonarzu. Brodaty Leary mamrotał swoje zaklęcia z Hilo i trząsał czarownymi czubami na dzidach, żeby odgonić złe duchy. Nie wyglądało, coby Leary za bardzo pomagał, nie. Bazia leżała mrąca, w powietrzu już czuć to było, ale Mama uparła się na Leary'ego, bo człowiek wierzyć będzie w milion różnych uwierzeń, jak rozbiera, że choć jedno może mu dopomóc. Co więc zrobić mogłem więcej, jak sięść i trzymać rozpalone dłonie Bazi, i wspominać, jak zem siedział jak głąz znieruchomiały, beużyteczny i patrzył, jak Kona z batów trzaskają i krążą wkoło Taty i Adama? Może to był i Taty głos, a może Sonmi, a może niczyj prócz me samego, ale cichy szept bańkę puścił mi w uchu: „Meronym”, rzekł.

Po szemraniu zwiedziałem się, że Meronym była w Parowie Gusjaw, no to tam pogałem. I tak, była tam i napelniała małe Bystre słoiczki wodą z Parowu w parnym deszczu, bo Wolt wcześniej przechodził i wyszemrał. Profetka miała ze sobą swoją niezwycajną torbę, i dzięki Sonmi za to. „Dzień dobry!”, krzykła kobieta ze Statku, jak zobaczyła, że chlapię susy w górę strumienia.

„Nie, nie dobry!”, odkrzykłem. „Bazia umiera”. Meronym słuchała boleśnie, jak jej mówiłem o skorpenie, ale przeprosiła, nie, nie miała Bystronia, co by leczył. A do tego była przy Bazi Wimoway Zielarka i Leary zaklęcia śpiewał, a to na Bigajlu najsamlepiej uzdrawiało i najsamlepiej było dla Bigajlowych chorych ludzi, prawda?

„Dingowe gówno prawda”, rzekłem.

Potrząsała głową bardzo żałośnie. „My, Profeci, przysięgamy nie zakłócać naturalnego porządku rzeczy”.

Chytrze tera mówić zacząłem: „Bazia woła cie »Ciotką« i wierzy, żeś swoja. Na pewno w naszej chacie wiesz się jak swojaczka. To następna twoja fałszywa postać, żebyś mogła se nas lepiej zbadać? Kolejna porcja twojej »niecałej prawdy«?”.

Meronym wzdragła się. „Nie, Zachariaszu, nie”.

„No to”, stawiałem w ciemno, „pewno masz Bystronia niezwykłego, co twój lud leczy”.

Głos Meronym jak brzytew ciął. „Może jeszcze raz przegrzebiesz mi rzeczy i sam zmykniesz mi Bystronia Profetów?”.

Tak, wiedziała o mnie i o srebrzystym jaju. Udawała, że nie wie, ale wiedziała. Nie było po co przeczyć, no to i nicanic nie rzekłem. „Siostra mi umiera, a my tu stoimy się handryczyć”.

Tyle rzek świata i deszczów koło nas przepłynęło. W końcu Meronym rzekła tak: pójdzie obaczyć Bazię, ale jad skorpeny truł chyżo i najsampełniej nicanic nie będzie mogła zrobić, żeby uratować życie mojej siostrzyczki. I najsampełniej, jak to tera do mnie dotrze. Nie rzekłem ani tak, ani nie, tylko sprowadziłem ją w jeden mig do dołu, do chaty Munro. Gdy Profetka weszła, Wimoway objaśniła, co dotąd zrobiła, ale Leary Brodaty rzekł: „Ooo... diablca się tuż-tuż ściągła... ooo, czuję ją niezwykłą mocą...”.

Bazia już zatraciła się, tak. Leżała sztywna i nieruchawa, jak ikona, tylko sykliwy oddech garło jej smargał. Bolesna twarz Meronym mówiła tylko: „Nie, już za mocno hen-hen odeszła, nicanic zrobić nie mogę”. I ucałowała czoło mojej siostrzyczki na pożegnanie, i poszła zasmucona znowu w deszcz. „O, patrzajcie”, zaskrzeczał Leary, „Profetów Bystron ruszać może czarowne statki ze stali, ale tylko Święte Zakłęcie Anioła Łazarza może przywołać duszę dziewczyny nazad z bagien rozpaczy między życiem a śmiercią”. Tak, rozpacz czułem, siostrzyczka umierała, deszcz bębnił, ale ten sam głos w uchu dalej mi mówił: „Meronym”.

Nie wiem czemu, ale poszłem za nią. Kryła się w drzwiach garncarni Munro i patrzyła w strugi deszczu. „Żadne mam prawo prosić o przysługę, nie byłem dobrym gospodarzem, nie, byłem łajzą i złym, ale...”. Słów mi zbrakło.

Profetka nie ruszyła się ani na mnie nie patrzyła. „Życie twojego ludu naturalnym porządkiem się toczy. Bazia weszłaby na skorpenę, czy ze mną tu, czy nie”. Z deszczowych ptaków wylewały się chlupotliwe trele. „Jestem tylko głupim koźlarzem, ale wiem, że nawet dlatego, żeś tu jest, zakłócasz ten naturalny porządek. Wedle mie zabijasz Bazię, nicanic nie robiąc. I pewnie, jakby to twój syn Anafi leżał tam z jadem skorpeny, co mu serce i płuca rozpuszcza, naturalny porządek już by nie był dla ciebie tak ważny, tak?”.

Nicanic nie odrzekła, ale wiedziałem, że mie słucha.

„Czemu życie Profetów warte więcej niż życie człowieka z Dolin?”.

Straciła spokój. „Nie jestem tu, żeby grać Panią Sonmi za każdym razem, jak się co złego stanie, i z palcy strzelać, żeby się naprawiło! Jestem tylko człowiekiem, Zachariaszu, jak ty i jak każdy inny!”.

Obiecałem. „Nie za każdym razem, jak się co złego dzieje, nie, tylko teraz.

W oczach miała łzy. „Takiej obietnicy nie możesz ni dotrzymać, ni złamać”.

Nagle sam siebie słuchałem, jak każdą pchełkę prawdy jej wyjawiałem o brodzie Slooshy, tak, wszystko. Jak zawiódłem Kona, żeby ubili Tatę i pojмали Adama, i nigdy nikomu ani słówka o tym nie rzekłem, aż do tego czasu. Nie wiedziałem, czemu wylewam domknięty szczelnie sekret przed własnym wrogiem, aż do samego końca nie wiedziałem, kiedym nagle pojął znaczenie tego, i tak jej rzekłem: „Co właśnie ci wyjawiałem o mnie i o mojej duszy, to ostrze do mojej szyi przytknięte i knebel na gębie. Możesz szemraniem puścić wszystko, co ci rzekłem, i nie zrujnować w okamgnieniu. Uwierzą ci i powinni, bo każde słowo to prawda. I uwierzą ci, bo czują, że moja dusza ukamieniała jest. Jeśli masz jakiegobądź Bystronia, co może Bazi pomóc, daj mi go, wskaż mi go, zrób coś. Nikt się nigdy nie dowie, nigdy nie pozna, nie, przysięgam, że tylko ty i ja”.

Meronym złożyła ręce na głowie, jakby rozsadzała ją żalność, i mamrotała coś sama do siebie, co szło jakoś: „Jeśli mój dyrektor kiedykolwiek by to odkrył, cały mój wydział rozwiążą”. Tak, użyła całych rojów słów, com ich w ogóle nie pojmował. Ze słoja bez przykrywki w swojej torbie wyjęła mały kamyk, tyci, jak mrówcze jajo, lazurowy, i rzekła mi, żebym wsunął cichaczem Bazi do ust, ale chytrze, żeby nikt nie widział i żeby nawet nie myśleli, że coś im się zdaje, że widzą. „A bez szacunek dla Sonmi”, ostrzegła mnie Meronym, „jeżeli Bazia żyć będzie, a nie obiecuję, dopilnuj, żeby to zielarkę sławiono za uleczenie, a nie tego Hilowego węzowego wudu czarownika, tak?”.

No to wziąłem lazurowy lek i podziękowałem jej raz tylko. „Nikomusłowa nie mów o tym ani teraz, ani nigdy, dopóki żyć będę”. I obietnicy tej dotrzymałem, tak. Do ust mojej siostrzyczki kochanej wsunąłem lek, jak zmieniałem jej okład na ulżenie, tak jak mi Meronym rzekła, żeby nikt nie widział. I co się stało?

Trzy dni później Bazia w szkole się napowrót uczyła, tak.

Trzy dni! Przestałem szukać dowodów, że Profetka cichaczy, żeby nas zniewolić. Leary z Hilo skrzeczał ropuchom przy drodze i całemu światu, że żaden znachor nie miał większej od niego mocy, nawet nie Profety. Choć ludzie wierzyli w większej mierze, że to zasługa zielarki Winoway, tak, nie jego.



Zające i pieczone taro żeśmy jedli przy wieczornicy jakiś księżyc po tym, jak Bazia chora była, kiedy Meronym wyjawiała dziwny zamiar. Chciała wspiąć się na Mauna Kea, zanim statek po nią przyplynie. Żeby zobaczyć, co jest do zobaczenia. Mama odrzekła piersza, mocno zastrachana: „Po co, siostrzo Meronym? Nicanic nie ma na Mauna Kea prócz zimy bez

kresu i wielkich zwałów skał”.

Mama nie rzekła, cośmy wszyscy myśleli, bo nie chciała wyjść na dziką i niecywilizowaną, ale Sussy nie strzymała. „Ciociu Mero, jak pójdziesz w górę, Stary Dżordzi cie zmarzli i wygłabi ci duszę pokrzywioną łyżką i ci ją zje, żebyś nigdy więcej nie mogła się odrodzić. A ciało ci zmieni w gład oszroniony. Lepiej zostań w Dolinach, tu bezpiecznie”.

Meronym nie śmiała się z Sussy nicanic, rzekła tylko, że Profety mają Bystronia, co odgoni Starego Dżordziego. Wspiąć się na Mauna Kea konieczne było do zmapowania całego Windwardu, rzekła, a i też ludzie z Dolin powinni wiedzieć więcej o ruchach Kona w Leewardzie i Waimea. Był czas, że od takich słów podejrzenia by we mnie hurgały, ale już tak nie myślałem, nie. Za to się bojałem mocno za naszą Meronym. Szemranie niosło się bez dnia całe, kiedy wieść nagle poszła: „Kobieta ze Statku idzie w górę na Mauna Kea!”. Ludzie wpadali ostrzec Meronym, żeby nosa nie wsadzała do zaściana Starego Dżordziego, bo nigdy nazad w dół nie wróci. Nawet Napes nas odwiedził, mówiąc, że wspinanie na Mauna Kea w bajaniu to jedno, a naprawdę to robić, to szaleje czystej wody. Ksieni rzekła, że Meronym może chodzić, gdzie tylko chce, ale nie nakazała nikomu ją tam zawodzić. Zwyczajnie szczyt był za groźny i nieznany, trzy dni w górę i trzy dni w dół, a po drodze dingo i Kona, i Sonmi, i co tam jeszcze. A tak w ogóle, to trzeba było wszystkich rąk w chatach, by gotować się do mieniania w Honokaa.

Tera wszystkich zadziwiłem, tak, i sam siebie, jak zgodziłem się pójść z nią. Nie znali mnie dotąd, że niby byczek z najsamwielkim w zagrodzie przyrodzeniem. No to czemu to zrobiłem? Zwyczajnie. Piersze, dłużny byłem Meronym za Bazię. Drugie, dusza moja na wpół ukamieniała była. Pewnikiem nie będę odrodzony, no to i co do stracenia miałem? Lepiej, żeby Stary Dżordzi moją duszę zjadł, niż kogoś, co się jeszcze mógł odrodzić gdzie indziej, tak? To nie mężność, nie, to rozsądek. Mama nie wydawała się zadowolona, bo w Dolinie czas był na żniwa i wszystko. Ale skoro świt żeśmy z Meronym wyruszyli w drogę i dała mi podróżne żarło, co je sama uwędziła i moczyła. I rzekła, że Tato byłby dumny, jakby widział mnie z takim zawzięciem. Jonasz dał mi taką dzidę ostrą i mocną na łowienie w wodzie strzępieli, a Sussy dała amulety perłowe, żeby ołyskać i oślepić Dżordziem oko, jakby nas gonił. Kobbery, mój kuzyn, przyszedł doglądać kóz i dał nam torbę rodzyneków z rodzinnej winnicy. Bazia była ostatnia, ucałowała mnie, a i Meronym też, i zakląć się nam kazała, że przyjdziemy nazad za sześć dni.



Na wschód od Slooshy nie wspięliśmy się szlakiem Kukuihaele, nie. Ruszyliśmy w głąb łądu na południe w górę strumienia Waiulili i poznałem polanę przy wodospadach Hiiawe, gdzie zahycił Kona, co ubili Tatę pięć – sześć років wcześniej. Zarośnięta tera była, pośrodku tylko dawne ślady obozowych ognisk były wypalone. W płytkich wodach zalewu Hiilawe przepląsałem Jonaszową dzidą dwa strzępiele, żeby nam żarła na dłużej stało. Spadł deszcz i strumień Waiulili pieniawą rwał zbyt wartką, żeby go przejść. No to wiutaliśmy ostrzami drogę bez cukrową trzcinę.

Ciężkie pół dnia żeśmy tak szli, aż doszli do Masywu Kohala. Wietrzne rozwarcie dech nam zaparło i między wędrującymi chmurami widać było Mauna Kea wyżej niż samo niebo, tak. Widziałem już Mauna Kea wcześniej z Honokaa, jasne, ale góra, na którą chcesz się wspiąć nie taka sama jest, jak góra, na którą wejść nie chcesz. Nie taka ładna, nie. Jak byliśmy dość cicho, to

nawet ją słysząc było. Trzcina przeredła przy drzewiastych sosnach i wyszliśmy na Staroszlak do Waimea. Kilka mil pradawną, wykrotną drogą żeśmy się turgali, aż spotkaliśmy handlarza futer i jego psiaka, co się śmiał do nas, jak leżał zziębnięty przy Pochyłym Stawie. Yanagi staremu było i płuca mu już tak pleśnica zżarła, że ino-ino jak Młody Yanagi będzie rodzinne zajęcie przejmował, myślałem. Rzekliśmy że z nas dwójka zielarzy, co szuka rzadkich roślin i może Yanagi nam uwierzył, a może nie. Ale pomienił z nami grzybiaka za strzępiela i ostrzegł, że w Waimea nie są tak przyjaźni, jak to kiedyś bywało, nie. Kona rządzą tera pięścią, ze zmiennym humorem, i nikt nie mógł zgadnąć co będzie.

Jaką milę na wschód od Waimea usłyszeliśmy tętent końskich podków i uskoczyliśmy z traktu w jeden mig, zanim trzech wojowników Kona na czarnych ogierach, z gierkiem na kucyku, pogalopowało dalej drogą. Nienawiść i strach mną sztopły i chciałem nabicić ich jak krewetki na patyk, tylko wolniej. Ten chłopak to myślałem, że to Adam może był, ale zawsze tak myślałem o młodych Kona, bo hełmy nosili i nie mogłem ich dobrze widzieć. Odtamtąd nie rozmawialiśmy dużo, bo słowa mogą być bez cichaczy słyszane, co sam ich wycichaczyć nie możesz. Na południe bez krzaczaste wrzosowisko żeśmy ciągli, aż doszliśmy do Szerokiego Traktu. O Szerokim Trakcie to słyszałem od bazarzy, no i był, rozwarta, długa, płaska droga z kamienia. Drzewiny młode i krzakiabrały łyka, ale cudny i dziki był ten rozłóg szeroki. Meronym rzekła, że w Staromowie zwali go *ae rodrom*, i tu kotwiczyły ich powietrzne łodzie, jak dzikie gęsi na grzęzawiskach Pololu. Ale nie przeszliśmy przezeń, nie, obeszlśmy go, bo nie było gdzie się na nim ukryć.

O zmierzchaniu obóz żeśmy rozbili w kaktusowej niecce, a kiedy ciemno się zrobiło, rozpalilem ogień. Samotność mnie wzięła, z dala od moich z Doliny być. Ale w tej ziemi niczyjej maska Meronym coraz się bardziej zsuwała i mogłem jej się przyjrzeć lepiej niż kiedybyd przedtem. Zapytałem wprost: „Jaki jest ten Cały Świat, zamorskie ziemie za oceanem?”.

Ale jej maska nie opadła całkiem. „A jak ci się zdaje?”.

No to jej mówiłem, jak se w głowie układam miejsca ze starych ksiąg i obrazów ze szkoły. Ziemie, na które Upadek nigdy nie sturgnął, miasta większe niż Bigajl i wieże z gwiazd i słońc jarzące się wyżej niż Mauna Kea, zatoki, w których nie tylko jeden statek Profetów stał, ale miliony, Bystre skrzynie z pysznym żarłem, co go więcej, niż kto mógłby przejeść, kurki, co z nich więcej napicia leci, niż kto wypić może, miejsca, gdzie zawsze jest wiosna, bez chorób, wojen i zniewolenia. Miejsca, gdzie kaźden jest piękny i czystego urodzenia i dożywa roków stu pięćdziesięciu.

Meronym ciaśniej się derką okutała. „Moi rodzice i ich pokolenie wierzyli, tak jak ty, Zachariaszu, że gdzieś święte Staromiasta przetrwały Upadek za oceanami. W ich myślach kołatały się bez ustoję Stare imiona... Melben, Okland, Yonesburg, Buenas Yerbs, Bumbaj, Synga-Pur”. Kobieta ze Statku uczyła me, czego nigdy kaźden Człowiek z Doliny nie słyszał, a ja słuchałem łapczywie i w milczeniu. „Na koniec, pięćdziesiąt roków po tym jak moi ludzie przybili do Profeckiej Wyspy, napowrót wyruszyliśmy Statkiem, co nas tutaj przyniosł”. Hen-hen dingo wyły o ludziach, co im na umarcie szło, do Sonmi modliłem się, żeby to nie o nas wyły. „Należli miasta, gdzie mapy obiecywały, ale tylko pogruchtane rumowiska martwe, zadżunglone, plagami zdjęte i ani śladu miast z bająn, pełnych życia. My, Profeci, nie mogliśmy uwierzyć, że nasz słaby ogieńek Cylwizacji jarzy się tera najsamjaśniej w Całym Świecie i dalej i dalej

żeśmy płynęli rok za rokiem. Ale nie znaleźliśmy płomienia jaśniejszego. Taka samotność nas zdjęła. Tak wielki ciężar dla dwóch tysięcy par rąk! Przysięgam, że tylko kilka miejsc w Całym Świecie ma Bystronia, jak Dziewięć Dolin”.

Zastrachany i dumny naraz byłem, jak te słowa słyszałem, niby młody tato. Jakbyśmy ona i ja nie byli tacy różni, jak bogini i ten, co jej cześć oddaje, nie.



Na drugi dzień pierzaste chmury pokicały niebem na zachód i wężowe słońce od ładu głośno syczało gorącem. Piliśmy jak walenie z lodowatych, węglastych strumieni. Wspięliśmy się wyżej, ku chładowi, aż żaden komar nas już nie kłuł. Suche lasy kikutowe przecinały pasy czarnej, najeżonej lawy, wycharchanej i wyplutej przez Mauna Kea. Ślimaczym tempem żeśmy szli bez te skalne połączie, bo wystarczy lekko się otrzeć o taką skałę, żeby ci krew trysła z palcy. No to i obwiązałem stopy i ręce paskami łyka i tak samo zrobiłem Meronym. Jej stopy całe już w będzlach były, bo jej podeszwy nie miały mojej kozłarzowej twardości, ale nie była z niej jęczka, nie, co by o niej powiedzieć. Rozbiliśmy obóz w lesie z igieł i cierni, a woskowa mgła skryła nasze ognisko, ale też i jakich chichaczy może i zacząłem się bojać. Nasze ciała zmogło zmęczenie, ale myślom naszym nie do snu było jeszcze. No to pogadaliśmy przy żarle. „Naprawdę nie bojasz się”, rzekłem, kciukiem w górę pokazując, „na spotkanie z Dżordżim, jak na szczyt zajdziemy, jak kiedyś Truman Napes?”.

Meronym rzekła, że bardziej stracha się pogody.

Rzekłem, co myślę: „Nie wierzysz, że on prawdziwy, tak?”.

Meronym rzekła, że Stary Dżordzi dla niej prawdziwy nie był, ale mógł być dla mnie.

„No to kto”, zapytałem, „Upadek sturgnął, jak nie Stary Dżordzi?”.

Dziwne ptaki, co ich nie znałem, szemrały wieści w ciemnościach bez mig jaki czy dwa.

Profetka odrzekła: „Starzy sturgli swój własny Upadek”.

Och, słowa jej były jak powróż z dymu. „Ale Starzy mieli Bystronia!”.

Pamiętam, że odrzekła: „Tak, Starobystron włądał chorobami, milami, ziarnem i wiele cudów ze zwykłymi rzeczami robił. Ale jedną rzeczą nie włądał, mocy nie miał nad głodem w sercach ludzi. Tak, głodni byli na więcej i więcej”.

„Więcej czego?”, zapytałem. „Starzy mieli wszystko”.

„O, więcej rynsztunku, więcej żarła, więcej chyżości, dłuższego życia, łatwiejszego życia, więcej władzy, tak. Tera Cały Świat wielki jest, ale nie był wondrous dość wielki dla tego głodu, co kazał Starym wyrwać niebo i ugotować morza, i zatruć ziemię oszalałymi atomami. Więc rozsiewali parszywe nasienie, i nowe plagi się zrodziły i boba rodziły się dziwolągi. Na koniec, wpierw zwolna, potem w okamgnieniu, kraje rozpadły się na dzikie, wojujące plemiona, i dni

Cywilizacji dobiegły końca, prócz paru roztrzęsionych miejsc, gdzie tlą się jej ostatnie iskry”.

Zapytałem, czemu Meronym nigdy takich bają nie mówiła w Dolinach.

„Ludzie z Dolin nie chcą słuchać”, odrzekła, „że ludzki głód zrodził Cywilizację, ale ludzki głód też ją zabił. Wiem to od innych plemion zamorskich, z którymi przestawałam. Jak mówisz, że czyjeś wierzenia nie są prawdziwe, myślą, że mówisz, że ich życie nie jest prawdziwe, ani ich prawda prawdziwa nie jest”.

Tak, pewnie słusznie mówiła.



Trzeci dzień wyprawy był pogodny i słoneczny, ale nogi Meronym jak meduzy się zrobiły, więc to ja targałem wszystko na plecach prócz jej torby. Szliśmy krawędzią góry na południowe zbocze, gdzie bliźni starszlaku gzygakiem wiutały ku szczytowi. Około południa Meronym na mig odpoczęła, a ja zebrałem dość drewna na rozpałkę, żeby na dwie wiązki starczyło, bo drzewa przed nami to już były ostatnie. Gdyśmy w dół patrzali w stronę Mauna Loa, dojrzelismy oddział Kona na Siodłanym Szlaku, metal łyskał im w słońcu. Tak wysoko byliśmy, że ich konie zdawały się małe jak termity. Żałowałem, że nie mogę rozplaskać dzikusów w palcach i wytrzeć mazi o portki. Modliłem się do Sonmi, żeby żaden Kona nigdy nie wjechał na Szczytowy Szlak. Bo tam dobre miejsca były dla nich do zasadzek, a ani Meronim, ani ja nie dalibyśmy rady się bijać za mocno ani za długo. Nie widziałem odcisków kopyt ani śladów biwakowania w każdymbądź razie.

Drzewa się skończyły i wiatr zrobił się silniejszy i z większą hurgawą dał, nie niosąc ani tyci dymu, ani zapachu od gospodarstw, ani gnojowicy, nicanic prócz drobnego, drobnutkiego pyłu. Ptaki rzadziej tu fruwały, na stromych i porośniętych krzakami zboczach, i tylko myszowaty szybowały wysoko. Do wieczora żeśmy dotarli do grupy Starsiedzib, a Meronym rzekła, że to wioska *stronomów*, co byli Bystroniowymi Kapłanami i czytali z gwiazd. W wiosce nikt nie mieszkał od Upadku i nigdy nie widziałem bardziej opustoszałego miejsca. Ani wody tam nie było, ani ziemi do upraw, i noc zapadła, szyjąca zimnem. No to ubraliśmy się grubo i rozpaliliśmy ogień w jednej z pustych siedzib. Płomienie w tan z cieniami szły po gołych ścianach bezmiłośnych. Strachałem się wejściem na szczyt następnego dnia. No to po części, żeby myśli otumanić, zapytałem Meronym, czy to Ksieni prawdę mówiła, jak rzekła, że Cały Świat oblatuje wkoło słońca, albo czy to Ludzie z Hilo słusznie mówili, że słońce oblatuje wokół Całego Świata.

„Ksieni ma słusność”, odrzekła Meronym.

„No to prawdziwa prawda jest różna niż prawda widzialna?”, zapytałem.

„Tak, tak to zwykle jest”, pamiętam, jak Meronym odrzekła, „i dlatego prawdziwa prawda cenniejsza jest i rzadsza niż diamenty”. Już-już z wolna sen ją kapturem okrywał, ale moje myśli trzeźwo mnie trzymały, aż jakaś kobieta podeszła umykami i siadła przy ogniu, kichając cicho, w dreszczu cała. Jej naszyjnik z porcelanek zdradzał, że była rybaczka z Honomu i gdyby żyła, soczysta z niej byłaby kobieta. Rozprostowała paluchy w stronę ognia, w stronę

najsampełniejszego kwiecia z rubinów i brązu, ale westchła tylko tęskno, bardziej tęskno niż ptak w klatce w studni, bo płomienie nie mogły jej rozgrzać nicanic. Zamiast oczu miała w dziurach ocznych kamyki i zastanawiałem się, czy na Mauna Kea się wspina, żeby Stary Dżordzi w końcu ułożył jej duszę do kamiennego snu. Martwi słyszą myśli żywych i ta rybacka topielica patrzyła na mnie kamulcami i głową kiwała „Tak”. I wyjęła fajkę dla przyjemności, ale nie prosiłem o żadne cuchnidło. Długie migi potem ockłem się, ogień przygasał i ukamieniała Honomu już wzięła i poszła. Żadnych śladów w pylicy nie zostawiła, ale czułem dym z jej fajki bez mig czy dwa.

„Bo Meronym”, myślałem, „wie dużo o Bystroniu i życiu, ale Ludzie z Doliny wiedzą więcej o śmierci”.



Czwarty świt wiatrem nas przywitał nie z tego świata, nie. Zakrzywił groźne kręgi światła, horyzont w pałak wyginał i wyrwał słowa z ust, a z ciała bez futra i derki ciepło wyhartował. Szlak ku szczytowi od wioski stronomów był wykrotny i rozpadnięty i ciężko się szło. Wielgaśne kęsy ziemi rozłaziły się na boki i żadnych liściów nie było ani korzeni, ani mchu nawet, tylko suchy i zmarznięty pył i żwir, co w oczy smargał jak kobieta ze wścieklicą. Nasze buty Dolinowe w strzępach już były, no to Meronym dała nam obojgu parę butów Bystrych, Profeckich, nie wiem z czego zrobionych, ale ciepłych i miękkuchnych, i mocnych, żebyśmy iść dalej mogli. Cztery – pięć mil dalej teren się rozplaszczwał i człowiek nie czuł już, że po górze idzie, nie, tylko bardziej jak mrówka po stole, taka płaskość wisiała w nicości między światami. W końcu koło południa wyszliśmy z za łuku i dech mi zaparło z bojaźni, bo i stało tam zaścianie, całkiem jak mówił Truman, choć ściany nie były tak wysokie jak sekwoje, a bardziej jak świerki. Szlak wiódł prosto do stalowych wrót, ale te mocarne ściany długie bez końca nie były, nie, można je było obejść w ćwierć ranka. Wewnątrz zaściania, na wzniesieniu, stały czasy świątyń, tak, najsamdziwiniejsze Starobudowle na Hawajach, albo i w Całym Świecie, kto wie? Ale jak się do nich dostać mogliśmy? Meronym pogładziła te straszliwe wrota i rzekła z cicha: „Musielibyśmy mieć wielkiego jasnogrzmota, żeby z zawiasów takie wysadzić”. Ale z torby jasnogrzmota nie wyjęła, tylko Bystrą linę, taką, co Profety mieniali czasem, cienką i lekką. Nad wrotami wystawały dwa kikuty i próbowała na jeden pętlę zarzucić. Wiatr był większym mistrzem niż ona, ale ja potem spróbowałem i wiutnąłem dobrze z pierszego razu, i na zaścianie Starego Dżordziego żeśmy się podciągali ręka za ręką.



W środku przeraźliwego miejsca na szczycie świata wiatr ucichł, jak w jasnym oku huraganu. Słońce ogłuszało wysoko w górze, tak, ryczało i czas z niego płynął strumieniami. W zaścianiu żadnych ścieżek nie było, tylko milion potrzaskanych głązów, jak w bajaniu Trumana Napesa. Ciała ukamieniałych i rozduszonych to były i zastanawiałem się, czy Meronym albo ja, albo oboje, staniemy się takimi głązami przed zmierzchaniem. Dziesięć – dwanaście świątyń czekało tu i tam, białych i srebrzystych, i złotych, i brązowych. Przysadziste były i przykucnięte, a na nich korony krągłe stały i w większości okien nie było. Najsamblizsza była od nas o sto kroków ledwie i do niej pierszej żeśmy podeszli. Zapytałem, czy to tu właśnie Starzy czcili Bystronia.

Meronym odrzekła, zacudana jak i ja, że to nie świątynie, nie, ale *pserwatoria*, co Starzy

badali w nich planety i Księżyc, i gwiazdy, i to, co między nimi, żeby zrozumieć gdzie wszystko ma swój początek, a gdzie swój koniec. Stąpaliśmy ostrożnie między wykrotnymi skałami. Za jedną zobaczyłem strzaskane porcelanki Honomu i wiedziałem, że to gościni moja była z poprzedniej nocy. Wiatr przyniósł z dali hen-hen szept mojego dziadka... „Judasz”. Dziwne, tak. Ale żeby telepło – nie. Bo wszystko w tym miejscu było dziwne... „Judasz”. Nie rzekłem nicanic Meronym.



Jak zdołała rozewrzeć drzwi pserwatorium, nie wiem i nie naprzykrzajcie się o to. Taka jakby pępowina między zakurzonymi i pordzewiałymi drzwiami a jej antyfonowym jajem w jeden czy dwa migi wyczyniać coś zaczęła. Zajęty byłem pilnowaniem nas przed mieszkańcami tego zaściania. Szept dziadka wyklinał tera półtarze, co znikają, jak na nie prosto patrzałeś. W drzwiach pserwatorium rozwarła się z ostrym sykiem szczelina. Powietrze buchnęło z niej zatechłe i skisłe, jeszcze pewnie sprzed Upadku. Weszliśmy do środka i co żeśmy naleźli?

Opisać takiego Bystronia niełatwo. Rynsztunek tam był, co go na Hawajach nie pomnimy, no to i jego nazwy niepomne są, i prawie nicanic rozpoznać nie mogłem. Łyskające podłogi, białe ściany i dachy. Jedna wielka izba, okrągła i w ziemię zapadła, w środku wielką misę miała, szerszą niż dziesięciu chłopu, co sznurem leżą, co Meronym nazwała *radjote leskop*. I był on, rzekła, najsamdalej widzącym okiem, jakie Starzy zrobili. Wszystko było białe i czyste jak odzienie Sonmi. Tak, nawet pchełki jednej brudu, prócz tego, co myśmy sami wtrompali do środka. Stoły i zydle czekały na siedzących, ustawione wkoło na balkonach ze stali, na których nasze stopy tera dudniły. Nawet Kobieta ze Statku zacudała się wielce tym wspaniałym Bystroniem. Pokazała swojej antyfonie wszystko, na co myśmy patrzali. Antyfona pomrukiwała z cicha i razila jasnością i okna pojawiały się i gasły. „Zapamiętuje to miejsce”, objaśniła Meronym, choć nie pojmowałem za dobrze i zapytałem, co to tak naprawdę było te jajo.

Meronym odetchnęła migów parę i napiła się łyk ze swojej flaszki. „Antyfona to mózg i okno i pamięć. Jej mózg pozwala ci takie rzeczy robić, jak otwierać drzwi pserwatorium, co właśnie widziałeś. Jej okno pozwala ci mówić z innymi antyfonami hen, hen. Jej pamięć pozwala widzieć, co antyfony w przeszłości widziały i słyszały, i chronić bezpiecznie przed zapomieniem to, co moja antyfona widzi i słyszy”.

Zasromany byłem przypominać Meronym o moich w jej torbie przegrzebkach, tak, ale jakbym nie zapytał, to już mogłem nigdy więcej nie mieć okazji, no to zapytałem.

„Ta migotliwa cudna dziewczyna, co ją widziałem w tej... antyfonie przedtem... to ona była z pamięci czy z okna?”.

Meronym zawahała się. „Z pamięci”.

Zapytałem, czy dziewczyna jeszcze żyła.

„Nie”, odrzekła Meronym.

Zawahala się znów i rzekła, że chce mi tera całą prawdę wyjawić, ale że inni z Dolin mogą na nią być niegotowi. Przysięgłem na ikonę Taty nicanic nie mówić nikomu. „Dobrze. To była Sonmi, Zachariaszu. Sonmi, człowiek dziwnieurodzony, co twoje przodki wierzyli, że jest waszą boginią”.

Sonmi była człowiekiem, jak ty i ja? Nigdy tak nie myślałem nawet, ani Ksieni takich bredzeń nie mówiła. Sonmi zrodził Bystry bóg, co zwał się Darwin, tak wierzymy. Czy Meronym wierzyła, że Sonmi żyła kiedyś na Wyspie Profetów, czy też na Bigajlu?

„Urodziła się i zmarła setki років temu za oceanem w stronę północnego zachodu, rzekła Meronym, na półwyspie, który tera jest pustkowiem, ale w Staročasach nazywał się Nea So Copros, a w pradawnych czasach Korea. Krótkie i judasne życie miała Sonmi, i dopiero jak pomarła, trafiła do umysłów czystokrwistych i dziwnieurodzonych”.

Cała ta nowość rozsadzała mi mózg do rozpęku, i nie wiedziałem, w co wierzyć. Zapytałem, co pamięć Sonmi robi w antyfonie Meronym sto років potem.

Tera widziałem, że Meronym pożałowała, jak zaczęła mówić, tak. „Sonmi zabili Starzy wodzowie, co się jej bojali, ale zanim umarła, rzekła słowa do antyfony o swoich czynach i swoim losie. Mam jej pamięć w antyfonie, bo badałam jej krótkie życie, żeby lepiej zrozumieć was, Ludzi z Doliny”.

To dlatego ta dziewczyna tak mie nawiedzała. „Czyli widziałem Bystrą zjawę?”.

Meronym głową kiwnęła. „Zachariaszu, musimy zobaczyć jeszcze wiele budynków przed zmierzchaniem”.



Jak żeśmy szli bez zaścianie do drugiego pserwatorium, głązy zaczęły gadać. „O, słusznie mówiłeś pierwszym razem o przeklętej Profetce, Bracie Zachariaszu! Ona ma ci twoją wiarę wte i wewte, i z góry na dół!”. Zacisłem dłonie na uszach, ale i tak głosy te bez moje ręce przenikały. „Ta kobieta tylko po to Bazię uratowała, żeby ci myślenie honorowym długiem omotać!”. Do bólu gnietły mie te kamienne kształty i słowa. Zacisłem szczękę na sznur, żeby nie odpowiadać. „Ona zbiera i bada Bystronia na Bigajlu, co prawdziwie należy do ludzi z Dolin!”. Diabły gruzłów kamienistych weszły mi pod powieki. „Twój Tato nie dopuściłby żadnej obcej wrobaczyć się w jego zaufanie, bracie, ani używać jego samego jako jucznego muła!”. Słowa te tyle prawdy w sobie miały, że nie mogłem nicanic się wyklócać i trompałem za Meronym w boleści.

Profetka mie do spokojności wrócić próbowała. Nie wyznałem, że głązy na nią śmierdlawie szemrały, ale sama widziała, że coś nie tak było. „Powietrze tu jest rzadkie i wodniste”, rzekła, „i mózg robi się ciężki i łapczywy, i bez to to niewyczajne miejsce jeszcze dziwniejsze się zdaje”.

Doszliśmy do drugiej budowli i padłem zhetany, a Meronym rozwierała drzwi. Rozwrzeszczane słońce darło mi się w głowie. „Szczwana jest, że nie wiem co, Zachariaszu!”.

Truman Napes Trzeci wsparty stał o swój głaz. Meronym nawet go nie słyszała. „Wierzysz jej czy swoim dajesz wiarę?”, wołał mnie żałośnie. „Czy twoje prawdy to tylko rzadkie i wodniste powietrze? Czy ja też taki jestem?”. O, ulgę poczułem w następnym migu, jak tylko drzwi pserwatorium się rozwarły. Duchy z ich dźgliwymi prawdami nie mogły wejść za nami do środka, bo chyba Bystron ich za drzwiami trzymał.

I tak szło całe popołudnie, tak. Większość tych pserwatoriów była jak pierse. Profetka rozwierała je, badała w środku swoją antyfoną i prawie zapominała, że ja też tam byłem. A ja siadałem tylko i wdychałem Bystre powietrze, aż skończyła. Ale jak trompałem między budynkami, wykrotne głazy chórem mnie wołały: „Judasz!” i „Muł juczny!” i „Zniewolnik Statkowy!”. Duchy Ludzi z Dolin błagały mnie nierozwartymi, mrozem skruszałymi ustami, tak: „Ona nie z twoich! Nawet twojego koloru skóry nie ma!”. I wyznać tu muszę, że wonczas przeraźliwą słusność, zdało mi się, głosy owe miały.

Przeżarła mnie całego podejrzliwość.

Żadna Profetka nigdy szczerza z Ludźmi z Dolin nie była i tamtego dnia wiedziałem, że Meronym była taka sama. Gdy doszliśmy do ostatniego budynku, głazy zmieniły już błękitne niebo w bojaźnią zdjęte i szare jak krzemień. Meronym pouczyła mnie, że to nie było żadne pserwatorium, tylko *genrator*, co Bystre czary czynił, zwane *lektryczność*. I one dla całego tego miejsca robiły to, co serce robi dla ciała. Na głos cudała na maszynię, ale ja czułem się głupi i zjudaszowany bez Kobietę ze Statku, odkąd tylko łokciami se drogę do mej chaty rozwarła. Nie wiedziałem, co zrobić, ani jak powstrzymać ją w tym, co zamierza, ale Dżordzi miał własne zamierzenia, niech będzie przeklęty.

Wątpia tego genratora różne były od innych zbudowań. Profetka jaśniała z oczarowania, gdyśmy weszli w echem niosące izby, ale ja nie. Bo wiedziałem, żeśmy nie byli tam sami. Kobieta ze Statku mi nie wierzyła, jasne, ale w najsamwiększej izbie, gdzie mocarne żelazne serce stało cicho, był jakby tron obwiedziony stołami z maleńkimi okienkami i liczbami, i w ogóle. I na tym tronie siedział Stary kapłan, przekrzywiony pod łukowatym oknem. Profetka przeklęła głośno. „Chyba główny stronom”, rzekła cicho, „musiał sambójstwo popełnić, jak sturgnął Upadek, a szczelne powietrze zachowało mu ciało przed rozkładem”. Król kapłanów, nie kto inny w tak cudnym miejscu, rachowałem. Zabrała się zapamiętywać całe te zatracone miejsce w swojej antyfonie, a ja podeszłem bliżej do kapłańskiego króla z ziemi wielkiego Cylwizowania. Włosy miał rozmyrgane w nieładzie, paznokcie szponiaste, a bez roki jego twarz zapadła się trochę i obwisła. Ale Bystre odzienie miał pięknie odstrojone, w przekłutych uszach szafiry i przypominał mi wujka Bees, taki sam haczykowy nos miał, tak.

„Słuchaj no mie, Człowieku z Dolin”, rzekł do mnie Król Kapłanów, co sam się ubił, „tak, słuchaj. My, Starzy, chorzy byliśmy Bystroniem i Upadek nas uleczył. Profetka nie wie jeszcze, że jest chora, ale, o, wielce chora ona”. Za szklanymi łukami fale śniegu miotają się i skrywały słońce. „Niech zaśnie, Zachariaszu, bo inaczej razem ze swoim rodem sprowadzi obcą chorobę na twe cudne Doliny. Ja jej Duszy dobrze przypilnuję w tym miejscu, nie lękaj się”. Kobieta ze Statku kręciła się ze swoją antyfoną, podśpiewując Profecką kołysankę, co ją nauczyła Bazię i Sussy. Myślenie mi tykało w głowie. „Czy zabić ją nie było dzikim uczynkiem?”.

„Nie ma »złe czy dobre«”, król stronomów mnie uczył, „swoich chronisz albo ich judaszysz. Tak, silną wolę masz albo słabą. Zabij no ją, bracie. Nie jest boginią, jest z krwi i włókien, jak ty i ja i Starzy. Zabij no, to twoje obowiązanie, wiesz przecie”.

Rzekłem, że nie mogę. Szemranie mnie mordercą przezwie i Ksieni zwoła wiec, i wygnają mnie z Dolin.

„O, myśl no, Zachariaszu”. Król śmiał się ze mnie. „Myśl! A skąd szemranie ma wiedzieć? Szemranie powie: »Ta mądrówata obca za nic miała nasze bajania i nasze sposoby, i poszła niepotrzebnie na Mauna Kea i dzielny Zachariasz z nią poszedł, żeby jej pilnować, ale wyszło, że nie taka ona Bystra była, jak myślała«”.

Migi mijały. „Dobrze”, odrzekłem na koniec ponuro, „dźgnę ją, jak wyjdziemy z zaściana”. Kapłański król uśmiechł się zadowolony i więcej już nie mówił. Na koniec moja ofiara zapytała mnie, jak mi tam. Dobrze, odparłem, choć znerwowany byłem, bo najsamwięższe, co do tamtego czasu zabiłem, to koza, a tera przysięgłem zabić ludzką Profetkę. Rzekła, że powinniśmy już wracać napowrót, bo nie chciała utknąć w zadymce, i powiodła nas znowu do generatora.

Na zewnątrz, w śniegu po kostki, głązy zamilkły. Jedna burza śnieżna uszła, ale druga, większa, się zbierała.

Szliśmy ku stalowym wrotom, ona z przodu, ja ścisnąłem Jonaszową dzidę i kciukiem sprawdzałem, czy ostra.

„Rób no to już!”, kazał kaźden mordem zionący głąz na Mauna Kea.

Nicanic ociąganiem nie zyska się, nie. Cicho wymierzyłem w kark Profetki i, Sonmi, ulituj się nad moją duszą, pchnąłem rekiniasty czub z całej mocy.



Nie, nie zamordowałem jej, bo w tym okamgnieniu między celowaniem i pchnięciem, Sonmi się ulitowała nad moją duszą, tak, zmieniła mój cel i dzida poleciała wysoko nad stalowe wrota. Meronym nie poznała nawet, że o mało co przeszyłbym jej czaszkę, ale ja poznałem dobrze, że czarem omotał mnie diabeł z Mauna Kea. Tak, wszyscy wiemy, jak go zwa, niech wyklęty będzie.

„Widziałeś tam coś?”, zapytała Meronym, jak rzuciłem dzidą.

„Tak”, łgałem, „ale nikt to nie był, tylko sztuczki tego miejsca”.

„Idziemy stąd”, rzekła, „idziemy stąd w tym migu”.

Stary Dźordzi ostał się sam, przechytrzony, bo wiedziałem, że nie było sposobu, żebym zabił ją bez dzidy, ale wiedziałem też, że on nie spocznie i nie będzie patrzył na me zwycięstwo, nie. Za dobrze znałem już tego skundla.

Jak się wspinałem po linie z torbą Meronym, Mauna Kea nabrała w płuca powietrza i dęła zawrotami śniegu, że aż ziemi dobrze nie widziałem, i dziesięć wiatrów chłostało nam twarze, a palce miałem sztywne od zimna i w pół drogi w górę zsunąłem się pół drogi na dół, a lina parzyła mi palce. Ale na koniec wciągnąłem się na sam szczyt i wydobyłem na górę torbę piekącymi i poroźtwieranymi do krwi palcami. Meronym nie była tak chyża, ale miała już tuż-tuż do szczytu ściany, kiedy nagle czas stanął w miejscu.

Czas się zatrzymał, tak, dobrze słyszycie. Dla Całego Świata prócz mie i szczwanego Diabła jednego, tak, wiecie którego, tak, tego, co szedł chwiejnie wzdłuż ściany, czas się zwyczajnie... zatrzymał.

Płatki śniegu zawisły drobinami w powietrzu. Stary Dżordzi rozświstał ich na bok. „Próbowałem rzec ci do rozumu, Zachariaszu, chłoptasiu uparty, a tera muszę użyć ostrzeżenia i wróżby i władania. Wyciągnij no kozik i przetnij sznur”. Stopami dotykał liny, co niosła zatrzymaną w czasie Meronym. Umęczoną twarz krzywiła w zadymce, a mięśnie naprężała, żeby po linie się wciągnąć. Dwadzieścia stóp ponad niczym w dole. „Upadek może jej nie zabije, jak dam znowu, żeby czas płynął”, Stary Dżordzi widział, jak myślę, „ale skały w dole rozłupią jej kręgosłup i nogi, i nie przetrwa nocy. Dam jej rozważyć własne jej oszalenia”.

Zapytałem, czemu sam nie zabije Meronym.

„Czemu-czemu-czemu?”, prześmiewał Stary Dżordzi. „Chcę, żebyś ty to zrobił i temu-temu-temu właśnie. Bo jak tej liny nie przetniesz, to w trzy księżyce twoja rodzinka umiłowana pomrze cała, klnę się! Klnę! No to masz wybieranie. Z jednej strony Dzielną Mamę masz, Silną Sussy, Rozumnego Jonasza, Słodką Bazię, wszystkich pomartych. Strachliwy Zachariasz będzie żył i skórował cie aż do dnia śmierci. Z drugiej strony masz tylko jedną martwą obcą, co za nią nikt tęsknić nie będzie. Czwórka, co ją kochasz, przeciw jednej, co nie kochasz. Mogę nawet wyczarować Adama, żeby wrócił od Kona”.

No i stanęło się. Meronym musiała umrzeć.

„Tak, stanęło się, chłoptasiu. Liczę do pięciu...”.

Dobyłem ostrza. Ale ziarko wypuściło we mnie kielek bez skorupę pamięci, a ziarko to, to było słowo, co je Dżordzi właśnie wyrzekł, „wróżba”.

Nagle wiutnąłem moim ostrzem za dzidą i spojrzałem diabłu w przeraźliwe oczy. Miał w ślipiach ciekawość, a jego uśmiech blaknący krył w sobie cały sagan ciemnoznaczeń. Plunąłem w niego, ale ślina bumerangiem do mnie wróciła. Czemu? Czy zem umysł zwichnął i widzenia miał?

Stary Dżordzi wielki błąd zrobił, bo przypomniał mi o wróżbach z mojej Nocy Śnień. „Ręce płoń, niechaj no liny nikt nie odcina”. Moje postanowienie stanęło się, bo ręce mi płonęły, no to i lina to była, co mi jej Sonmi ciąć zakazała.

Ostrze zadźwigało o kamień i czas się zaczął napowrót. I milion rąk i wrzasków

diabelskiej zawiei rozdarło mnie i gwyrtowało pięściami, ale nie dało rady mnie od ściany oderwać, nie. Jakoś wciągnęłam Meronym i sprowadziłam nas na dół po drugiej stronie, bez jednej złamanej kości. Nagięliśmy się przeciw hurgającej burzy śnieżnociemnej, napowrót do wioski stronomów. Zataczaliśmy się i przewracali i dotarliśmy tam bardziej zamazani niż żywi, ale dzięki łasce Sonmi czekała tam na nas sucha wiązka drewna. Jakoś rozpałam ogień, żeby przysuszyć, i zaklinam się, że ten ogień życie nam uratował od nowa. Zagotowaliśmy wodę na wrzątek i odmroziliśmy kości i wysuszyliśmy futra, jak tylko się dało. Nie mówiliśmy nicanic, bo za bardzo zlodowieni byliśmy i zhetani. Czy żałowałam, że odmówiłam Staremu Dżordziem?

Nie, nie wronczas. Nie. Choćby nie wiem jaką Meronym przyczynę miała, żeby na tę przeklętą górę wchodzić, nie wierzyłam, żeby kiedykolwiek judaszowała człowieka z Doliny. Nie, w sercu nie wierzyłam. A Kona zrobiliby Dolinom to, co zrobili, wcześniej czy później. Ta pierwsza noc, jak ze szczytu schodziliśmy, to była już w przyszłości. Moja przyjaciółka dała nam lek po żarze i spaliliśmy bezsennym snem króla stronomów.



Droga w Doliny nie była letnią przechadzką, nie, ale dzisiaj nie czas bąkać o tych przygodzeniach. Nie mówiliśmy z Meronym za wiele w drodze w dół, związało nas tera jakieś zawierzenie i zrozumienie. Mauna Kea zrobiła co tylko mogła w swoim przekleciu, żeby nas zabić, aleśmy razem przetrwali. Poznałam, że sama była hen-hen od swojej rodziny i serce mi ścisło się z żalu nad jej samotnością. Abel powitał nas w swej koszarowej siedzibie trzy wieczory później i posłał słowo do naszej chaty Baileyów, żeśmy wrócili. Każdy tylko o jedno pytał: „Co tam widzieliście na górze?”. Samotność tam była i cisza, rzekłam im, i świątynie zatraconego Bystronia, i kości. Ale ani słowa nie rzekłam o stronomowym królu, ani o tym, co mi Meronym mówiła o Upadku, a osobliwie nicanic o moim bijaniu ze Starym Dżordziem, nie, aż miną wieki i wieki całe.

Rozumiem, czemu Meronym nie mówiła całej prawdy o Profeckiej Wyspie i jej plemienu. Ludzie wierzą, że świat jest zbudowany tak a tak, i rzec im, że inaczej, zwala im dach na głowy, a może i temu, co gada.

Szemranie się wieść rozniosła, że Zachariasz, co wrócił z Mauna Kea, nie był ten sam Zachariasz, co na nią poszedł, i prawda to, myślę. Nie ma żadnej podróży, co cie choć trochę nie zmieni. Mój kuzyn Kobbery wyznał, że rodzice w całym Dziewięciu Dolinach przestrzegali córki przed figielowaniem z Zachariaszem od Baileyów, bo rozbierali, że musiałem interes ubić ze Starym Dżordziem, żeby uciec z tego wiertliwego miejsca z duszą całą w czaszce. I choć to nie było całą prawdą, całą nieprawdą też nie było. Jonasz i Sussy nie śmiewali mnie, jak kiedyś. Ale Mama płaczliwa się zrobiła, jak nas w dom zobaczyła i wyściskała mnie. „Mój mały Zachariasz, mój mężny”. I moje kozy się cieszyły i Bazia nie zmieniła się nicanic. Ona i jej bracia urządzili se w szkole nową zabawę, *Zachariasz i Meronym na Mauna Kea*, ale Ksieni zakazała im się w to bawić, bo czasem udawanie może zwichnąć jestestwo. A cała gra to była, mówiła Bazia, ale nie chciałem znać ani jej zasad, ani jak się kończy.



Z wolna nadszedł koniec ostatniego księżyca Meronym w Dziewięciu Dolinach i czas był na mienianie w Honokaa, najsamwiekszy wiec ludzi z Windwardu, co tylko raz w roku

wypadał około zniwnego księżycy. No to i bez wiele dni pracowaliśmy ciężko, tkając kozią wełnę na derki, co była najsamlepszym mienianiem z naszej chaty. Tera, od czasu, jak Tatę zabili, podróżowaliśmy do Honokaa grupami w dziesięciu albo więcej, ale tego roku było nas dwa razy tyle, bo tyle mieliśmy mieniania Profeckiego za goszczenie Meronym. Mieliśmy ręcznie ciągnięte wózki i juczne muły na wszystkie suszone mięsa i skóry, i sery, i wełnę. Wimoway i Róża zamiarowały handlować ziołami, co nie rosły w pobliżu Dolin. Choć Róża i Kobbery już wonczas się ku sobie mieli, mie nie przeszkadzało. Życzyłem kuzynowi szczęścia, bo szczęścia potrzebował i bata, i karku z żelaza i w ogóle.

Jak bez bród Slooshy żeśmy się przeprawiali, znosić musiałem patrzyenie, jak podróżni kładą świeże kamienie na kurhanek Taty, tak mieliśmy w zwyczaju. I Tato dostał wiadro kamieni od przyjaciół i braci, co go szczerze kochali. Na Mauna Kea ten diabeł ostrzył se szponiska na oselce, żeby ucztować na tchórzliwym kłamcy, tak. Po Slooshy żeśmy gzygzakiem na Kukuihaele wchodzili. Jeden ręczny wózek rozpękł się i przewrócił, no to szliśmy wolno i pragnienie brało. Tak, południe już dawno za nami było, zanim doszliśmy do zabiedzonej osady na drugim zboczcu. My, młodzi, żeśmy utrzęśli kokosów z drzew na żarło i każdy z lubością witał mleko do napicia. Jak targaliśmy na południe Starszakiem do Honokaa, wiaterek znad oceanu rześki się zrobił i podniósł nas na duchu. No to bajania zaczęliśmy gadać, żeby skrócić mile, a bajarz siedział tyłem na pierwszym osle, by każdy go słyszał. Roderyk rzekł bajanie o Rudolfie, kozomyku z czerwonym trzosem, i o straszliwej dzidzie Żelaznego Billa, a Wolt zaśpiewał głupawą piosenkę „Dziewczyny z Doliny”, choć żeśmy dźgali go kijami, bo jego śpiewanie uszy krzywiło. Wonczas wujek Bees poprosił Meronym, żeby opowiedziała nam co Profeckiego. Wahala się mig czy dwa i rzekła, że Profeckie bajdy pełne są żalu i straty, i niedobra to wróżba na słoneczne popołudnie przed Dniem Mieniania. Ale mogła nam rzec coś, co zasłyszała od człowieka ze spalonej ziemi hen-hen, w miejscu Panama. Wszyscy taknęliśmy, no to usiadła na pierwszym osle i krótką i słodką bajdę rzekła, co ją wam tera opowiem. No to się zamknijcie, siadźcie cicho i niech no kto mi przyniesie nowy kubek spirytowego napicia, bo mi się garło skleiło i wyszło.



Kiedy sturgnął Upadek, ludzie zapomnieli, jak ogień rozpalać. O, straszne i złe rzeczy się działy, tak. Nocą ludzie nic a nic nie widzieli, zimą nicanic się rozgrzać nie mogli. No to plemię poszło do Mądrego i prosiło: „Mądry, pomóż nam, bo zapomnieliśmy, jak ogień rozniecać i biada tera nam wszystkim”.

No to Mądry wezwał Wronę i nakazał jej tymi słowy: „Leć no bez oceanu pienieć wściekłą do Wielkiego Wulkanu, a na jego lesistych zboczach znajdź no długi kij. Podnieś ten kij, weź go w dziób i leć no z nim do leja Wielkiego Wulkanu i unurzaj go w jeziorze płomieni, co pyrga i pluje w tym miejscu ognistym. Potem przyniesz no ten kij płonący tu, do Panamy, żeby ludzie pamiętali ogień i przypomnieli sobie, jak się go rozpala”.

Wrona posłuchała nakazu Mądrego i poleciała bez pienieć wściekłą oceanu, aż zobaczyła hen-hen Wielki Wulkan i dym, co z niego szedł. Skołowała w dół na jego lesiste zbocza, skubnęła tyć agrestu, łyknęła chłodnej wody ze strumienia, dała skrzydłom odpocząć parę migów, a potem latała wkoło i szukała długiego sosnowego kija. Raz, dwa, trzy i frunęła wrona

w górę z kijem w dziobie i buch, w dół siarkowego leja dzielny ptak zleciał, w górę w ostatnim migu się wzbijając i przeciągając sosnowy kij bez roztopły ogień, wiii-iiiuu-uuuut, buchnął płomieniami! W górę i za wulkan Wrona poleciała z palącego leja i frunęła tera z rozplomieniałym kijem w dziobie. Tak, w stronę domu leciała, skrzydłami wiutała, kij płonął, dni mijały, grad prztekał, chmury czerniały, o, ogień lizał ten kij, w oczy dymem buchał, pióra trzeszczały, dziób płonął... „Boli!”, zakrakęła Wrona. „Boli!”. Ale czy wypuściła kij, czy nie? Czy pamiętamy, jak rozpalać ogień, czy nie?

„Widzicie”, mówiła Meronym jadąc tyłem na osłe, „to nie o Wronach ta bajda, ani o ogniu, ale o tym, skąd my, ludzie, mamy naszego ducha”.

Nie wiem, czy w bajaniu tym było wiele rozumu, ale wciąż je pamiętam i czasem mniej rozumu, to więcej rozumu. W każdym razie dzień chylił się już ku końcowi w rozmokłych chmurach, a my ciągle wiele mil od Honokaa byliśmy, więc rozbiliśmy postój na noc i kością rzucaliśmy, kto strażować będzie, bo czas był zły i nie chcieliśmy ryzykować żadnej zasadzki. Wypadło mi sześć i sześć, więc może moje parszywe szczęście uzdrawiało się trochę, myślałem. Chłopcem do bicia dla losu jestem, tak, wszyscy jesteście.



Honokaa było pełnym życia miastem na północnym wschodzie Windwardu, bo Starzy postawili je dość wysoko, żeby przetrwało podniesienie oceanu, nie tak jak pół Hilo albo Kona, co większość księżyców woda zalewała. Ludzie z Honokaa handlem się głównie i wyrabianiem parali. O, cześć Sonmi oddawali, ale podwoić chcieli powodzenie chytrze i czcili też bogów Hilo. No to my, Ludzie z Dolin, mieliśmy ich za półdzikich. Ich wódz, zwał się Senator, miał więcej mocy niż nasza Ksieni, tak. Miał armię dziesięciu – piętnastu bojowych mężów z dzidami, co ich zadaniem było przymuszać w ludziach Senatorową władzę i nikt Senatorsa nie wybierał, nie, to był ciąg z ojca na syna, jak u dzikich. Honokaa leżało w pół drogi dla ludzi z Hilo i z Honomu, i z Dolin i dla Mookini, zanim ich do zniewoli pojмали, i dla wzgórzowych plemion z północy. Stare mury miejskie odbudowano raz jeszcze i zerwane dachy położono na nowo, ale ciągle można było przechadzać się wąskimi, wietrzystymi uliczkami i se wyobrażać latające kajaki i wozy bez koniów, co jeździły wte i wewte. No i była tam hala mieniania, wielgaśny budynek, co Ksieni mówiła, że kiedyś nazywał się *Kościół*, gdzie wyznawano pradawnych bogów, ale wiedza o tych bogach stracona była z Upadkiem. Kościół miał mocne mury i piękne kolorowe szkło i stał pośród soczystej zieleni z wielością tablic z kamienia, co wyrastały z ziemi w zagrodzeniu do pasania owiec i kóz i świń, i w ogóle. Podczas mieniania strażę Senatorsa obstawiały miejskie bramy i spichlerze i mieli też zamknięcie dla ludzi z żelaznymi kratami. Żaden z armii nigdy nie pobił handlarza, no, chyba że mykał albo łamał pokój, albo prawo. Ludzie w Honokaa mieli więcej prawa niż gdziebądź indziej na Bigjału, prócz Dziewięciu Dolin chyba. Chociaż prawo i Cylwizacja nie zawsze to samo znaczą, nie, bo Kona mieli prawo Kona, ale jednej pchły Cylwizacji nie mieli.

Na tym mienianiu my, z Dolin, piękne żeśmy interesy ubili dla siebie i dla Gminy. Dwadzieścia worków ryżu od plemion ze wzgórz dostaliśmy za płachty brezentu, co ich od Profetów mieliśmy, tak, i krowy i skóry z Parkerowego Ranza za wyroby z metalu. Nikomu nie rzekliśmy, że Meronym jest obca, nie, wołaliśmy ją Ottery z Pustelniczej Chaty z głębi Doliny Pololu. Ottery była zielarką i szczęśliwie urodzonym dziwołagiem, mówiliśmy, żeby

objaśnić jej czarną skórę i białe zęby. Profecki rynsztunek, mówiliśmy, to były ocalałe rzeczy, co je naleźliśmy upchane po kryjówkach. Choć nikt nigdy nie zapytał: „No to skąd macie ten rynsztunek?” i nie czeka na szczerą odpowiedź. Poza Dolinami nikt nicanic nie szemra, tylko trzyma gębę zawartą i korkiem zatkaną. No to jak bajarz, co go Lyons zwali, zapytał mnie, czy byłem ten sam Zachariasz z Doliny Elepaio, co wspiął się na Mauna Kea zeszłego księżycy, ciężko byłem zadziwiony. „Tak”, rzekłem, „jestem Zachariasz z Doliny, ale nie ma we mnie nienawiści tak wielkiej do tego życia, cobym nawet zbliżył się do szczytu tej góry, nie”. Mówiłem, że poszedłem szukać cennych liściów i korzeni z Ottery, moją ciotką z zeszłego życia, ale nie weszliśmy wyżej, niż gdzie się drzewa kończyły, nie. I skoro inaczej słyszał, cóż, mówię mu teraz, że słyszał źle. Lyons dość przyjaźnie mówił, ale kiedy mój brat Harrit rzekł mi, że widział Lyonsa i Brodatego Leary’ego, jak mamrotali coś w zadymionym zaułku, obrachowałem, że powiem o nim Ksieni, jak już w Doliny wrócimy i zobaczą, co ona myśli. Szcurzy smród zawsze mi zalatywał od Leary’ego i za kilka godzin miałem się przekonać, jak bardzo miałem rację.

Z Meronym żeśmy pomieniali naszą przędzę koźlą i derki, i wszystko dość chyżo, tak. Dostałem worek dobrej kawy Manuka, trochę plastikowych rur z drobnymi rowkami, dorodny owies i worki rodzynek od ciemnej dziewczyny Kolekole, i więcej rzeczy, co ich nie pamiętam teraz. Ludzie Kolekole nie są dzicy, jak myślę, choć zakopują zmarłych pod tymi samymi chatami, co w nich żywi mieszkają, bo wierzą, że zmarli będą się tak czuli mniej samotnie. Potem bez miąg czy dwa pomogłem trochę w naszym mienianiu dla Gminy, a potem chodziłem bez celu tu i tam, jaksiemując z niektórymi handlarzami, bo dzicy to nie zawsze zły lud. Dowiedziałem się, że ród Mackenzów wymyślił boga rekinów i ofiarę składali w swojej zatoce z wykrwawionych owiec, co im kopyta wcześniej odcinali. Zwyczajne bajania też słyszałem o Kona, co awanturnie się zapuszczają na wschód od zwykłych swoich ziem łowieckich, co nam wszystkim myśli cieniem okryło. Natknęłam się wreszcie na tłum gapiów, co się wokoło kogoś tłoczyli, przepchłam się bliżej i zobaczyłam Meronym, czy raczej Ottery. Na zydlu siedziała i rysowała ludziom twarze, tak! Mieniała rysunki za bajania albo za trochę żarła i ludzie rozradowani byli jak nie wiem co i patrzali z zadziwem, jak ich twarze się znikąd wyłaniają na papier. I więcej luda jeszcze się cisło i mówili: „Mie teraz zrób! Mie teraz!” Ludzie pytali, gdzie się tak nauczyła, a ona mówiła: „To nie od nauki, bracie, tylko od ćwiczeń”. Brzydulcom dawała piękniejsze twarze, niż mieli, ale artyści to tak robili zawsze w historii. No to Ottery Zielarka od Rysunków rzekła: „Tak, jeśli idzie o twarze, piękne kłamstwa lepsze są niż parchata prawda”.

Noc zapadła i trompaliśmy się nazad do naszych wozów i ciągliśmy losy, kto strażować będzie, a potem zaczęła się zabawa w siedzibach takich, co na nie *bary* mówili. Moja warta wypadła wcześniej, a potem z Woltem i wujkiem Bees pokazałem Meronym niektóre miejsca, nim muzykanci ściągali nas nazad do Kościoła. Piskodujka tam była i banjo, i zębaczowe skrzypce, i cenna, rzadka gitara ze stali i beczki spirytowego napicia, co każde plemię ze sobą przyciągło, żeby pokazać, jakie bogate, i worki błogozieła, bo gdzie Hilo, o, tam błogozieła dużo. Sztugłem się głęboko fają Wolta i cztery dni marszu z naszego swobodnego Windwardu do rządzonego bez Kona Leewardu zdało się jak cztery miliony, tak. Ukołysania błogozieła tuliły mnie do snu tej nocy, a wonczas się bębnienie zaczęło, bo każde plemię miało własny bęben. Foday z chaty przy Lotosowym Stawie i dwóch – trzech z Dolin grało na tam-tamacach z koźlej skóry i na pingach z drewna, a brodacze z Hilo sztompali w swoje flumflumate bębny, a rodziny z Honokaa bili w swoje krrangi, a ludzie Honomu mieli trzęsawki z muszli i całe te piękne bębnowe ucztowanie przękało za radośne struny u młodych i za moje też, tak. A błogoziele

powiedzie cie w *tomp-tomp* i *bum-bum* i *ding-dong*, aż nam, tańczącym, nogi tylko dudniły i krew tompała w żyłach i roki mijały i każde sztopnięcie w bęben odzierało ze mnie jedno życie. Ujrzałem bez okamgnienia wszystkie życia, w jakich kiedykolwiek żyła moja dusza, aż do hen-hen wstecz, przed Upadkiem, tak. Ujrzałem ich z konia, co galopował w huraganie, ale nie mogłem ich opisać, bo słów już nie było. Ale dobrze pamiętam ciemną dziewczynę Kolekole z tatuażem plemienia, tak, była młodą drzewiną, co się gięła, a ja byłem tym huraganem, dułem, a ona się gięła, dułem mocniej, ona gięła się mocniej, a potem byłem skrzydłami Wrony, co wiutały w powietrzu, a ona była płomieniem, co ich lizał, a kiedy drzewina Kolekole opłótła wierzbowe palce wokół mojej szyi, oczy jej iskrzyły i wymruczała mi do ucha: „Raz jeszcze, tak, razem, raz jeszcze”.



„Wstawaj, chłopie”, ojciec mnie strofał zahurgany, „nie czas na ślimaczenie durne w posłaniu”. Bańka śnienia rozpękła i obudziłem się na dobre pod kłującymi derkami Kolekole. Z ciemną dziewczyną przepleceni byliśmy, jak para jaszczurek, co się wzajem polkły. Pachniała winoroślą i popiołem z lawy, a jej oliwkowe piersi unosiły się i opadały, a jak tak patrzyłem, najsamczulsza czułość mnie zdjęła, jakby moim własnym bobo była, co śpi koło mnie. Błogoziele nadal mie odymiało i słyszałem opodal krzykania oszalałej zabawy, choć mgławki brzask już nad światem wzeszedł. Tak, czasem tak się dzieje przy żniwnych mienianiach. No to ziewłem i się przeciągnąłem. Boleśność czułem, ale i zadowolenie, jak zdobywca, wiecie jak to jest, jak się zwyrta piękną dziewczynę. Gdzieś tuż-tuż ktoś robił pachnące dymem śniadanie, no to wsunąłem portki i zarzuciłem kurtę, a dziewczyna Kolekole rozwarła oczy, płowe były, i wyszeptła: „Dobry dzień, kozłarzu”, a ja zaśmiałem się i rzekłem: „Wrócę chyżo z żarłem”. Ale ona mi nie wierzyła, no tom uradził sam ze sobą, że pokażę jej, że się myli, i zobaczę, jak się uśmiecha, kiedy przyniosę śniadanie. Na zewnątrz spichlerza Kolekole był kamienisty trakt, co biegł przy Murach Miejskich, ale czy na północ, czy na południe rozeznac nie mogłem, no to posłem wedle nosa, kiedy nagle strażnik Honokaa sturgał się z wału i tylko parę cali brakowało, żeby mnie zabił.

Wątpia mi strzeliły, część w górę, a część w dół.

Bełt z kuszy wystawał mu z nosa, a grot przegruchtał mu czaszkę na wylot. Żelazny szpic grota wstrząsł całym porankiem i straszliwie przygwoździł wszystko nieruchomo w miejscu.

Oszalała zabawa nieopodal to wojowanie i bijawa była! A pachnące dymem śniadanie to strzechy w ogniu, tak! Pierwsze, co pomyślałem, to o swoich, no to skróciłem pędem w stronę śpichrza Ludzi z Dolin, co w środku miasta stał i „KONA! KONA!” krzyczałem. Tak, ciemne skrzydła tego słowa straszliwego wiutały w całym Honokaa i słyszałem grzmot rozpękły i straszliwy krzyk się podniósł, i poznałem, że to bramę miejską rozhurmalı siłą. Dotarłem już do placu, ale drogę zagroził mi oszalały wrzask paniki i strach, tak, strach i jego rozpalony smród mie zawróciły. Okrężnymi, wąskimi drogami susałem, ale wrzaski i ryki Kona i kopyta i trzaskanie batów coraz bliżej i bliżej były i jak tsunami wypełniły zadymiałe trakty, co stały w ogniu. I nie wiedziałem już, którą drogą przybiegłem, ani dokąd iść miałem i *bumbach!* do rynsztoka mie zepchła stara baba o mlecznych oczach, co powietrze pizgała spinką do włosów i skrzeczała przeraźliwie, jak strzyga, o wrogu, co nadchodzi: „Nigdy mie w łapy swoje brudne nie dostaniecie”. Ale kiedy się podniosłem, blada była i nieruchoma, bo w jej brzuchu bełt

rozkwitał i nagle *ho!* bat związał mi nogi i *ho!* w górę pizgłem i *ho!* na łeb gruchłem i *aiiiij*, kocie łby mi czaszkę roztrzasły, tak, z hurgiem większym, niż jakby mie kto młotem w łeb sztopnęła.



Kiedy się potem ockłem, moje młode ciało było jednym workiem bólu, tak. Kolana miałem pogruchtane, jeden łokieć sztywny i posiniaczony, rozpęknięte żebra, brakło dwóch zębów, szczęki mi się zewrzeć nie chciały, a na łbie pagór taki wyrósł, jakby druga głowa. Kaptur zarzucony miałem, jak kozioł przed zarznięciem, a nogi i ręce ktoś mocarnie związał i rzucił mnie na inne bolesne ciała i pod drugie tak samo. Tak, bolało mnie, jak nigdy przedtem i potem już nigdy, nie! Wozy skrzypiały, podkowy żelazne klup-klupały i za każdym telepem ból zalewał mi czaszkę.

Żadnej tajemnicy w tym nie było. Do zniewoli nas Kona zhytali i wieźli do siebie, jak wtedy mojego zatraconego brata Adama. Nieszczególnie byłem rad, że żyję, czułem tylko ból i beziłę, jak smalczak nadziany na hak, żeby się wykrwawił. Jakaś noga wśród ciał się wierceła i nacisła mi jajka, no tom wymamrotał: „Ktoś tu jeszcze dycha?”. Bo myślałem, że może jeszcze da radę skróliczyć z tej nory, ale głos Kona zakrakał mi cali parę od ucha: „Stulić gęby, osiłki mocarne, bo klnę się, że ozór odsiekam każdemu obsranemu bez dingo jednemu!”. Wilgotne ciepło oblało mi pachę, jakby zsikał się ktoś, co na mnie leżał, a w kilka migów ciepło robiło się coraz chłodniejsze i coraz bardziej ziębiło. Zrachowałem po głosach i odgłosach, że czterech Kona jechało, trzy konie i klatka kurczaków. Nasi oprawcy mówili o dziewczynach, co ich rozwarli i zwyrtali w czasie najazdu na Honokaa, no to wiedziałem, że kaptur na łbie miałem pół dnia, albo dłużej. Jeść mi się nie chciało, ale spragniony byłem jak rozżarzony popiół. Jeden z głosów Kona znajomy się wydał, choć nie wiem czyj. Co każdy długi mig słyhać było dudnienie wojennych kopyt po trakcie i było: „Jak tam, kapitanie?” i „Tak jest!” i „Bitew na naszą stronę się chyli!”. I tak dowiedziałem się, że Kona nie tylko ten jeden wypad na Honokaa zrobili, ale całą północ Bigajlu siłą chytają, tak, a to znaczyło Doliny, moje Dziewięć Dolin. „Sonmi”, modliłem się, „Sonmi Miłościwa, chroń moją rodzinę i lud”.

Na koniec spanie mnie zmogło i śniłem o mojej dziewczynie Kolekole, ale jej piersi i biodra były ze śniegu i skalnej lawy, a jakem się ocknął znowu na wozie, poczułem, że pode mną trup leżał, co całe ciepło ze mnie wysysał. Krzyknęłam: „Hej, Kona, macie tu zmarlaka i może konie by wam podziękowały za trochę ulżenia w ciągnięciu!”. Chłopak na mnie pisnął, jak woźnica Kona chlasnął go batem w nagrodę za moją uprzejmą radę, to pewnie on mnie obsikał. Po ptasich śpiewaniach poznałem, że wieczór tuż-tuż, tak, i cały dzień nas ciągniono.

Długi mig potem zatrzymali nas, zwlekli mnie z wozu i dźgnęli dzidą. Wrzeszczałem i wilem się, słyshałem, jak Kona mówi: „Ten jakoś jeszcze żyw”, i ktoś mnie podniósł, i oparł o skałę wielgaśną jak chata, i po jakim migu zdarli mi kaptur. Usiadłem i oczy zmrużyłem w przygnębnym mroku. Byliśmy na szlaku do Waimea i poznałem dokładnie, gdzie, bo to było przy Pochyłym Stawie, a ta skała, co mnie o nią oparli, to ta sama była, gdzie razem z Meronym spotkaliśmy Starego Yanagiego ledwo jeden księżyc wcześniej.

Patrzałem tera na Kona, jak pyrgają trzech umarłych zniewolników dla dingo i kruków, i wiedziałem, czemu wcześniej rozpoznałem znajomy głos. Bo jednym z tych, co nas pojмали, był

Lyons, bajaran brat Leary'ego. Bajaran i cichacz, niech Stary Dżordzi przeklnie jego kości. Nie było nikogo innego z Doliny prócz mnie spośród przeżytych dziesięciu, nie, w większości Honomu i Hawi, jak rachowałem. Modliłem się, żeby jednym z tych pyrgniętych nie był Kobbery, mój kuzyn. Wszyscy byliśmy młodzi mężczyźni, czyli rozbierałem, że starszych zabili w Honokaa, i że Meronym też, bo wiedziałem, że nie mogła przetrwać takiej hurgawicy ataku, ani przed nią skrócić. Jeden z Kona połał nam twarze ślimaczym strumykiem wody ze stawu. Rozwarliśmy usta, żeby każdą słonawą kropelkę zhytać, ale to nie było dość, żeby pragnienie ugasić. Wódz nakazał giermkowi rozbić obóz, a potem przemówił do swoich przetrzęsionych straszliwie zniewolników. „Od dzisiaj”, rzekł wymalowany skundel, „wasze życie, tak, wasze ciała należą do Kona i im szybciej to uznacie, tym lepiej przetrwać będziecie może mogli jako zniewolnicy prawdziwych dziedziców Bigajla, a dzień przyjdzie, że i całych Ha Wajów”. Wódz rzekł nam, że w naszym życiu są teraz nowe zasady, ale szczęśliwie tych zasad łatwo się było wyuczyć. „Pierwsze, zniewolnicy robią to, co im każą pany Kona, w jednym migu i żadnych »ale czemu«. Złamcie no zasadę, a pan złamie was, czy trochę, czy bardzo, zależy od jego woli, aż nauczycie się lepiej słuchać. Drugie, zniewolnicy nie mówią, chyba że ich pan o co zapyta. Złamcie no zasadę, a pan odchłasta wam język i ja też. Trzecie, nie marnujecie czasu na knowania ucieczek. O następnym księżycu, jak będziecie przedani, dostaniecie na policzku znak waszego pana. Nigdy nikt was za prawdziwego Kona nie weźmie, bo nim nie jesteście, a po prawdzie, wszyscy z Windwardu to pierdy dziwołagów. Złamcie no zasadę, a klnę się, że jak was zhytają, ostrze pana wam ręce odchłasta i stopy, odchłasta wam korzeń, żeby wam gębę nim zatkać, i zostawi przy drodze muchom i szczurom na żer. Zda się wam, że to szybka śmierć, ale wiercie, rzezałem już tak kilka razy i dziwnie wolna jest ona”. Wódz rzekł, że wszystkie pany zabijają złych albo leniwych zniewolników od czasu do czasu, żeby przypomnieć innym, co się przytrafia powolnym. Na koniec zapytał, czy kto się na co skarży.

Nikt nie skarżył się nicanic, nie. Nam, pokój miłującym ludziom z Windwardu, złamano ciała ranami i pragnieniem i głodem, i złamano ducha zabijaniem, co je wszyscy widzieliśmy, i zniewolała przyszłością, co ją widzieliśmy przed sobą. Bez rodziny, bez swobody, bez niczego prócz pracy i bólu, i pracy i bólu, aż pomrzemy, a gdzie się wondrous dusze nasze odrodzą? Zastanawiałem się, czy mogę Adama spotkać, czy on już dawno nie żyje, czy jak. Szczuplaczek Hawi zaczął coś pluć, ale miał najsamwyżej dziewięć – dziesięć roków, no to i nikt nie sykał, żeby się zamknął. Po prawdzie, to lży ronił za nas wszystkich, tak. Jonasza najsamponownie zniewolili i Sussy, i Bazię też, ale to ponure myślenie było, bo obydwie ładne dziewczyny. Ale mama leciwa była, chociaż... Na co ona się Kona przyda? Nie chciałem myśleć o kobiecie ze spinką w Honokaa, co mie do rynsztoku zepchła, ale przestać nie mogłem. Podszedł Lyons i rzekł: „Buuuu!” do Szczuplaczka, a ten zaczął ryczeć jeszcze bardziej, Lyons się śmiał, a potem ściągnął mi moje Profeckie buty. Podziwował, jakie są piękne na jego własnych nogach. „Kozłarz Zachariasz nie pójdzie już grzebać na Mauna Kea”, judasz jeden rzekł, „no to nie będzie ich więcej potrzebował, nie”. Nicanic nie rzekłem, ale Lyonsowi nie podobało się to, że nicanic nie rzekłem, no to i sztopnął mnie w głowę i w jaja moimi własnymi butami. Pewny nie byłem, ale rachowałem, że był drugi ważny po wodzu, bynajmniej nikt mu moich butów odebrać nie próbował.

Noc zapadła i Kona opiekali kurczęta nad płomieniem, a każdego z nas by duszę pomieniał za kropkę łoju z kurczaka na języku. Zaczęliśmy marznąć i choć Kona nie chcieli nas za bardzo zmarnić przed targiem zniewolnikami, to chcieli, żebyśmy słabowici byli i cherlawi, bo nas dziesięciu było, a ich tylko pięciu. Odbili beczułkę spirytu i pili, i jeszcze pili i żarli kurczaki,

co pysznie pachniały, i dalej pili. Poszeptali coś i na nas popatrzeni, a potem jednego Kona posłali do nas z łuczywem płonącym. Trzymał je przy każdym z nas, a jego plemieńcy skrzeczelili: „Tak!” albo: „Nie!”. Na koniec rozwiązał stopy Szczuplaczkowi Hawi i podpierał go, jak ten kicał do ogniska. Tam go ogrzali i nakarmili kurczakiem, i spirytem napoili. My, zapomnieli zniewolnicy, wycieńczeni byliśmy głodem i bólem i komarami od stawu i zazdrościliśmy straszliwie temu chłopaczkowi Hawi. Aż wreszcie Lyons głową kiwnął i zdarli ze Szczuplaczka portki i rozpekli mu tył, smarując dziurę tłuszczem z kurczaka, jak się przy jego tyłku mieniali.

Lyons akurat dźgał żałośnie dziecko, kiedy *kssssss* usłyszałem i się obalił. Reszta czterech śmiechem buchła, bo myśleli, że Lyons nalany był spirytem, ale potem *ksss-ksss* i dwie czerwone plamy wyrosły między oczami kolejnego Kona i on też trupem padł jak ścięty. Jakiś Kona w hełmie i płaszczu wstąpił na polanę, a w ręku trzymał coś jakby kość goleniową, co ją kierował na resztę trzech oprawców. Kolejne *kssss* i chłopak Kona padł. Tera wódz zhytał dzidę i wiutnął ją w hełmowego zbója, co kucnął i potoczył się w bok bez polanę tak, że dzida mu rozdarła płaszcz, ale w ciało nie trafiła. Następne *ksssSSSSss* rozorało pierś wodza i cały się, jak stał, rozpadł na dwie połowy. Nadzieja mi się w serce wmykła, choć cały bojący byłem, a tu *chlast!* bat ostatniego Kona owiutnął się wokół zbójowej goleni i *trzask!* Broń migiem wyrwało z rąk wybawcy i w ręce oprawcy wbecła jakby czarem. Ostatni Kona wycelował bronią w tego, co nas ratował, i podchodził bliżej, żeby nie chybić, i widziałem jego ręce, jak naciskają na haczyk i *KSSSS!* Głowa ostatniego Kona odpadła od karku, a drzewo chlebowca, co rosło za nim, było jednym wielkim *bfufffff* popielastych płomieni i trzasków i parowania w deszczu.

Jego ciało samotnie stało okamgnienie, jak bobo, co się chodzić uczy, a potem *dummmppff!* Bo pomylił głowę broni z dupą i sam se grzmotołyskiem łeb sturgnął. Nasz tajemny wybawca Kona usiadł, trąc się miętko za łokcie, zmajtnął hełm i patrzył żałośnie na pięciu położonych trupem.

„Za stara już na to jestem”, rzekła Meronym, marszcząc brwi ponuro.



Rozwiązaliśmy innych zniewolałych i puściliśmy ich do Konowego żarła. Dla nas Meronym miała dość w jukach przy siodle swojego konia, a odzniewolonym skundlom trzeba było wszelkiej pomocy, co ją tylko dostać mogli. Od zabitych pięciu wzięliśmy tylko na powrót moje buty z nóg Lyonsa. Na wojnie, rzekła Meronym, najsampierw o buty się bojasz, a dopiero potem o żarło i wszystko. Wybawczyni całe bajanie mi rzekła długi mig potem w zawalonej siedzibie Starych, w buszu bez szlaków w Kohalach Leewardu, co ją naleźliśmy i rozpaliliśmy tyci ogieniek.

Niewiele do bajania było, nie. Meronym nie było w Dolinowym spichrzu, kiedy Kona atak uczynili na Honokaa. Była na murach miejskich, morze rysowała, aż płonący belt wyturgał jej z rąk księgę do rysunków. Wróciła do spichrza Dolin, zanim padła miejska brama, ale wujek Bees krzyknął do niej, że mie nie ma, no to poszła szukać, i tyle ją moje ziomki widzieli. Konia i hełm zabrała wodzowi Kona, co pędził na nią traktem, ale w drugą stronę to już nie posusał. W rynsztunku Kona i z wojennym hukaniem Meronym wysprytała z krwią zlanego, płonącego miasta. Żadnych bitew nie było, nie, bardziej oblawa, bo armia Senatorsa szybciej się poddała, niż ktobądź inny. Meronym najsampierw na północ jechała, w stronę Dolin, ale Kona się gęsto

zbierali wokół Kukuihaele, żeby hurmnać w Doliny. No to zawróciła w głąb ładu wzdłuż Staroszlaku Waimea, ale trakt był mocno obsadzony strażą, i nie mogłaby za Kona ująć, jakby ją zatrzymali. Meronym zawróciła więc nazad ku południu, rachując dotrzeć do Hilo i zobaczyć, czy też w straszliwych rękach było. Ale Sonmi wstrzymała ją dość długo, by wypatrzeć wóz telepiący się po trakcie, a z wozu wystawały dwie nogi, a na tych dwóch nogach były Profeckie buty, a tylko jednego człowieka z Windwardu znała, co takie nosił. Nie śmiała mie wyhytać od Kona w biały dzień i raz nawet zgubiła wóz, bo okrążyła oddział konnych. I jakby nie zapite śpiewy Kona, jak dźgali Szczuplaczka, pewnie i by nas minęła w ciemnicy i pogoniła dalej. Ratowanie mnie wielkim ryzykiem dla niej było! „Czemu się nie schowałaś i uratować nie chciałaś skóry?”, zapytałem.

Zrobiła minę, jakbym głupio pytał.

„Tak, ale co teraz zrobimy?”. Myśli mi burzały w głowie i strach trzymał. „Doliny najechali pewnie i spalili... A jak Hilo jeszcze nie padło, to pewnie padnie niezabawem...”.

Przyjaciółka tylko mi rany opatrzyła bandażami i wszystkim, a potem podniosła mi do ust kubek z lekarstwem. „To pomoże na pogruchtane ciało, Zachariaszu. Przestań już gadać i kładź się do snu”.



Jakiś mamrotliwy człowiek obudził mnie w schronieniu Starych, co ciekło, a bez dziury po oknach wpadały liście. Bolało mnie, że nie wiem co, w wielu miejscach, ale już nie tak ostro. Ranek był rześki i pachniał wiatrem od morza, ale wspomniałem straszliwy czas, co cieniem okrył Windward i O!, w głowie jęknąłem, że aż się ockłem do przytomności. Po drugiej stronie izby Meronym mówiła bez antyfonę do tego surowego Profeta, co zhytał mnie, jak przegrzebywałem jej rynsztunek pierszy raz.

Wgapiałem się w nich bez parę migów, zacudowany raz jeszcze, bo w oknach antyfony kolory są ostrzejsze i mocniej rażą. Potem zara zobaczył, że nie śpię, i uznał mnie uniesieniem głowy. Meronym też się obróciła i zapytała, jak się czuję.

„Lepiej, niż wczoraj”. Podeszłem, żeby zobaczyć tego Bystronia szczególnego. Moje stawy i kości jękły. Meronym rzekła, że już spotkałem raz tego Profeta, co mu, jak mówiła, Duofizyt było, a ja rzekłem, że pamiętam go, bo taki był groźny. Profet w oknie słuchał nas, a jego kostusza twarz miększa się o jedną pchłą zrobiła. „Żałuję, że musimy się w tak mrocznych czasach spotykać, Zachariaszu”, rzekł Duofizyt, „ale proszę, żebyś zawiódł Meronym na jeszcze jedną, ostatnią wędrówkę, na Ikatowy Paluch. Wiesz, gdzie to?”.

Tak, wiedziałem, na północ od Ostatniej Doliny, za mostem Pololu, długi pas ziemi, co na północny wschód sięgał. Czy na Ikatowym Paluchu kotwiczy Statek, co Meronym zabierze?

Dwoje Profetów mieniło spojrzenie i Duofizyt rzekł po jakim migu. „Złe wieści mamy wam do przekazania, przykro rzec. Antyfony na Profeckiej Wyspie i na Statku nie odrzekają na transmisje już wiele dni”.

„Co to transmisja?” zapytałem.

„Wieża”, rzekła Meronym, „okno, więc antyfon, jak teraz ja z Duofizytem.

Zapytałem: „Czy antyfony są zgruchtałe?”

„Dużo gorzej być może”, rzekł ten w oknie, „bo w ostatnich księżycach plaga zbliżała się do Profeckiej Wyspy, na zachód od Ankrydż. Straszliwa choroba, co nasz Bystron nie potrafi jej leczyć. Tylko jeden na dwustu, co na nią zlegli, przeżywa, tak. My, Profeci na Hawajach, musimy czynić tak, jakbyśmy sami ostali teraz, bo Statek pewno nie przyplynie”.

„Ale co z Anafi, synem Meronym?”. Po minie Meronym żałowałem, że się w ożór nie capłem, zanim zapytałem.

„Muszę żyć bez wiedzenia”, rzekła moja przyjaciółka tak posępnym głosem, że becząc aż chciałem. „Nie ja pierwsza tak żyć będę, ani nie ostatnia”.

Cóż, ta wieść rozpełkała we mnie nadzieję, co nawet nie poznawałem, że była. Zapytałem Duofizytę, ilu Profetów było jeszcze na całych Hawajach.

„Pięcioro”, odrzekł.

„Chyba pięciuset?”, zapytałem.

Duofizyt widział, jak osłupłem, i sam pojmował czemu. „Nie, tylko pięcioro. Po jednej osobie na każdą dużą wyspę łańcucha. Prawda nasza jest zwykła i teraz czas, żebyś ją poznał. Bojaliśmy się, że plaga dotrze do Profeckiej Wyspy i zduje ostatnie jasne światło Cylwizacji. Szukaliśmy dobrej ziemi, żeby więcej Cylwizacji zasadzić na Hawajach, a nie chcieliśmy przestraszać was tutaj wielką chmarą obcych”.

„No to i widzisz”, rzekła teraz Meronym, „twoje bojanie o moje prawdziwe cele nie były takie pomyłne”.

Nie obchodziło mnie to już nic. Rzekłem: „Jeśli Profety będą jak Meronym, tak, pięć tysięcy ich też powitamy tu, w Dolinach”.

Duofizyt pociemniał, bo myślał, jak niewielu Profetów może jeszcze być żywych. „Przywódcą mojego plemienia tu, na Maui, skąd mówię do was, to przyjazny wódz, tak samo jak wasza Ksieni. Nakazał, żeby dwa kajaki przepłynęły Cieśninę Maui i przybiły na Ikatowy Paluch pojutrze w samo południe”.

Przyrzekłem, że zawiodę tam Meronym bezpiecznie na czas.

„No to sam dziękuję ci za te pomaganie”. Duofizyt rzekł jeszcze, że na kajakach będzie miejsce, jeśli z nią uciec bym chciał z Bigajla.

Ale ja już wiedziałem. „Dziękuję”, rzekłem Profecie zagubionemu, „ale muszę zostać rodzinę naleźć”.



Zostaliśmy w ukryciu zawalonej siedziby jeszcze jedną noc, żeby mięśnie mi się związały, a sińce pogoły. Aż serce kundliło od niepędzenia napowrót w Doliny, coby bijać się albo zwiadować. Ale Meronym widziała konnych Kona i kuszników, jak się wlewali w Doliny bez Kukuihaele, i zapewniła mi, że nie było wielkiego wojowania o Dziewięć Dolin, tak, że to wszystko zamknie się w godzinach, nie w dniach nawet.

Ponury i straszny to był dzień. Meronym nauczyła mnie, jak używać ich goleniową broń. Próbowaliśmy na ananasach, potem na ogromnych rzepach, a potem na żołędziach, aż cel mi się wyostrzył. Wartowałem, jak Meronym spała, a potem ona wartowała, jak ja spałem. Niedługo potem nasz ogień znowu dymił brudno w zmierzchowej mgle i zjedliśmy Konowe żarło, soloną baraninę z glonami i owoce lilikoi, co rosły w naszej siedzibie zawalonej. Dosypałem koniowi owsa do worka i poklepałem, i dałem mu imię Wolt, bo brzydki był jak mój kuzyn. A potem smętnie bolałem w myśleniu, kto z mojego ludu jeszcze żyje. Po prawdzie, nie wiedzieć najsamgorszego gorzej jest, niż je wiedzieć.

Myśl jedna mi tknęła i zapytałem Meronym, jak to jest, że kobieta ze Statku susa konno tak dobrze jak Kona. Odrzekła, że większość Profetów nie umiała jeździć na żadnym zwierzu, ale ona mieszkała kiedyś u plemienia Swannekke, co żyło hen-hen za Ankrydź, hen-hen za Wan Kuwer. Swannekke hodowali konie, jak Ludzie z Doliny kozy, tak, i ich malusie jeździć potrafiły, zanim się jeszcze chodzić naumiały, i ona się naumiała w porze, jak z nimi mieszkała. Meronym nauczyła mnie mnóstwa o plemionach, z którymi żyła, ale nie czas tera na te bajania, nie, późno się robi. Mówiliśmy o drodze na Ikatowy Paluch następnego dnia, bo można jedną drogą przejść bez ostrza Kohali nad Dziewięcioma Dolinami, a można też inną wzdłuż Waipio, do Ablowego garnizonu najsampierw i zcichaczyć, co się stanęło. Bo nie wiedzieliśmy, czy Kona uchlastali i spalili nas w Dolinach, a potem wszystko zabrali, czy może chcieli podbić nas i osiedlić się w naszych siedzibach i zniewolić nas w naszych chatkach własnych. Ale przyrzekłem tera zawieść Meronym na Ikatowy Paluch cało i zdrowo, a wałęsać się pośród konnych Kona bezpiecznie ani zdrowo nie było. Ale Meronym nakazała zcichaczyć najsampierw Doliny i tak droga została postanowiona.



Świt mglil się woskowy i zmulaly. Niełatwo było przeprowadzić konia bez szczyty Kohali i zarośla do źródeł Waipio, nie wiedząc, czy oddział Kona nie czai się gdzieś za ścianą trzciny, co je głośno siekliśmy. Po większości to musieliśmy iść i ciągnąć zwierzę, ale na koniec o południu dotarliśmy do źródła, uwiązaliśmy je w płytkim parowie i sami cichaczem podeszliśmy milę do Abła wzdłuż świerkowej odnogi. Mgła mieniała każdy kikut drzewny w przykulonego Kona, ale i tak wdzięczny byłem Sonmi za te mgłowe okrycie. Wyjrzeliliśmy nad nawisem i w dół na garnizon. Ponury widok, tak. Tylko Ablowe wrota stały zawarte, bo ściany grodzienia i baraków popalone były i sturgane. Nagi człowiek wisiał na belce wrót, tak, za kostki powieszony, jak to Kona robią. Może to był Abel, może nie, ale wrony już się jego wątpiami zajęły i para co odważniejszych dingo zbierała upadłe flaki.

Jak tak patrzaliśmy, ze trzydzieści – czterdzieści zniewolników z Doliny w obławie pojmanyh popędzono w stronę Kukuihaele. Pamiętać będę ten widok, aż mi umierać przyjdzie i jeszcze dłużej. Niektórzy jak muły ciągli wozy z namykniętym łupem i rynsztunkiem. Krzyki Kona i rozkazy huhuczały i chlastały baty. Mgła się za bardzo bagnista zrobiła dla rozróżnienia twarzy z mojego ludu, ale, o, żałosne ich postaci były, jak tak ciągly z wolna ku brodowi Slooshy. Duchy. Żywe duchy. Patrz na los ostatniego cylwizowanego plemienia z Bigajla, myślałem. Tak, i szkoła i Ikonarz tylko z nas zniewolników zrobiły na polach Kona i w ich chatach i stajniach i posłaniach i dziurach w ziemi Leewardu.

Co miałem zrobić? Za nimi popędzić? Ze dwudziestu konnych Kona jechało z nimi do Leewardu. Nawet z bronią Meronym może zdjąłbym pięciu z tych dwudziestu, może więcej, jakbym miał szczęście, a potem co? Kona by każdego z Doliny na śmierć zadźgali na piersze odgłosy bijania. To nie Zachariasz Strachliwy bił się z Zachariaszem Mężnym, nie, to Zachariasz Sambójca z Zachariaszem Co Przetrwa i nie stydę się wcale rzec, który Zachariasz zwyciężył. Dałem Meronym znak, żebyśmy do konia wracali, choć mokro miałem w oczach.



Krępy, daj no mi pieczonego taro. Wspominać taką rozpacz z sił mnie skubie, że nie wiem co.

Jak na powrót ciągliśmy na pastwiska w Kohalach, mgła w dół zeszła i na południe Mauna Kea wyrastała z oceanu chmur, zdało się, że dość tuż-tuż, żeby splunąć na nią. No to i splunąłem, tak, plunąłem z całych sił. Moja dusza może i ukamieniała jest, a szczęście parszywe, ale ciągle mogę kląć kłątwy. Nad każdą z Dziewięciu Dolin czarne węże dymu wiły się w górę i rachowałem, że każdego padlinożerca na Bigajlu, na skrzydłach i na łapach, chrupał i ucztował tego ranka w naszych Dolinach. Wysoko na pastwiskach naleźliśmy rozpierchnięte kozy, niektóre moje, niektóre z Kaimy, ale żadnego kozłarza z nimi nie było, nie. Udoilem kilka i wypiliśmy ostatnie kozie mleko wolnych Ludzi z Dolin. Bez Kręgową Przełęcz zeszliśmy w dół do Kciukowej Skały, gdzie pięć księżyców temu Meronym rysowała swoje mapy, przez wrzosowisko, co mnie, a pode mną Różę, kryło sześć księżyców temu. Mgła i rosa parowały w słońcu i bez pięknie uplecioną tęczę widziałem, że szkołę obalili, tak, tylko czarna skorupa się tera ostała, ostatnie księgi i ostatni zegar. Jechaliśmy w dół do strumienia Elepaio, tam zsiadłem, a Meronym hełm odziała i luźno mi ręce omotała liną, żeby, jak nas zcichaczą, wyglądało, że zhytała zniewolnika, co uciekł, i może jaki mig śmierć by to od nas oddaliło. Trompaliśmy do chaty Clunych, co była najwyżej w górę strumienia. Meronym zsiadła i chwyciła broń, i cichaczyliśmy jak myszki między budowlami, ale moje serce cicho nie było, nie. Wielka bitew się w nim toczyła i rynsztunek prztekał i rozpękał, ale żadnych ciał na ziemi nie było. Wzięliśmy trochę świeżego żarła na podróż przed nami, wiedziałem, że Clunyowie by za złe nie mieli. Odchodząc spod Clunyowych wrót, zcichaczyłem przebitą kokos na splamionym kiju. Muchy wokół latały, co dziwne było i wbrew naturze, no to podejrzeliśmy bliżej i nie był to kokos, nie, to była głowa Makiego Cluny, tak, a w ustach miał jeszcze swoją fajkę.

Takie dzikie skundle ci wymalowani Kona są, bracia. Zawierzysz raz jednemu, zimny trup już jesteś, to wam rzeknę. Od głowy Makiego nerwy się we mnie hurgały, jak ciągliśmy dalej, do naszej chaty Baileyów.



Skopek zsiadłego już koziego mleka stał w dojarni i nie mogłem zatrzymać w głowie pędzących obrazów Sussy, jak ją wleką od turgniętego zydla i co potem jej robią. O, moja biedna, słodka, kochana siostrzyczka. Hurma końskich kopyt odcisła się w błocie na podwórzu. Kozy przepędzili, kurczaki zmykli. Tak cicho. Ani klekotu krosien, ani śpiewania Bazi, ani Jonaszowego nicnierobienia. Tylko strumień i sójczyk gdzieś w strzesze, nicanic więcej. Żadnych straszliwych widoków przy wrotach, za to chociaż Sonmi dziękowałem. W środku jajka z morelami pospadały z hurgniętego stołu. W każdej izbie bojałem się, co zastanę, ale nie, dzięki łasce Sonmi, wyglądało na to, że mi rodziny jeszcze nie zachlastali...

Wina wielka i boleść mnie sztopła.

Wina, bo zawsze to ja byłem ten, co przetrwał i skróliczył, mimo ciężkiej, ukamieniałej duszy. Boleść, bo obaliny mojego rozpękniętego dawnego życia leżały porozturgane wszędzie wokół. Jonaszowe zabawki, co mu Tato strugał całe roki temu. Krosnowe dzieła Mamy wisiały w drzwiach i majtały się w ostatnim łagodnym tchnieniu lata. W powietrzu unosił się zapach spalonych ryb i błogoziała. Pisanie Bazi szkolne ciągle na stole leżało, gdzie pracowała. Nie wiedziałem, co myśleć mam, ani mówić, ani co. „Co mam robić?“, zapytałem moją przyjaciółkę, tak jak i sam siebie pytałem. „Co mam robić?“.

Meronym siedziała na drewnianej skrzyni, co ją Jonasz zrobił, a co Mama mówiła, że to jego pierwsze dzieło mistrza. „Smętny i ponury wybór przed tobą, Zachariaszu“, odrzekła. „Zostać w Dolinach, aż cie zniewolą. Uciekać dalej i czekać, aż Kona napadną i zabiją albo zniewolą. Żyć w głuszy jak pustelnik, aż cie hycą. Przepłynąć ze mną na Maui i pewnie nigdy już więcej na Bigajl nie wrócić“. Tak, takie miałem wybieranie na pewno, ale na nicanic przystać nie mogłem, wiedziałem tylko, że nie chciałem z Bigajla króliczyć bez pomsty za to, co tu się stanęło.

„To nie jest najsamlepsze miejsce, żeby bezpiecznie usiąść i myśleć, Zachariaszu“, rzekła Meronym z czułością taką, że w końcu łzy mi poszły z oczu.



Jak na konia wsiadałem, żeby nazad w górę strumienia jechać, wspomniałem na ikony rodzinne w naszym Ikonarzu. Jeślibym je tam zostawił, żeby je z czasem na opał porąbali, nicanic nie byłoby na dowód, że ród z chaty Baileyów kiedyś w ogóle istniał. No to pobiegłem sam, żeby je dobyć. Jak schodziłem w dół po ścieżce, usłyszałem, że naczynia turgają się na ziemię z półki w szpizarni. Zamarłem.

Powoli obróciłem się i spojrzałem.

Tłusty szczur tam dreptał, złym okiem mnie mierzył i ruszał wąsikowym nosem. „Pewnie żal ci tera, że nie przeciąłeś tej liny na moim zaścianiu, Zachariaszu, co? Tyle żalu i boleści mogłeś uniknąć“.

Nie słuchałem tego łgarza łgarzów. Kona i tak by napadli, tak, nicanic tu moje sprzeciwianie się Diabelskiemu Skundlowi do rzeczy nie miało. Garnek podniosłem, żeby

pyrgnąć w Starego Dżordźiego, ale kiedy celowałem, tłusty szczur znikł, a z pustej izby po mojej lewej doszło mi jak wietrzyk westchnienie z posłania, co go wcześniej nie widziałem. Powinienem był króliczyć stamtąd pędem, wiedziałem, ale nie uciekłem, tylko na palcach podeszłem i zobaczyłem zwiadowcę Kona, jak leżał w miętym gniazdku z derek, błogozielem z Doliny Mormonów po pięty upalony. Bo taki był pewny, że wszystkich nas z Dolin zgonili jako zniewolników, że całkiem zbłogował na służbie.

No to miałem przed sobą straszliwego wroga. Dziewiętnaście – dwadzieścia może roków mu było. Żyłka mu na jabłku Adama pulsowała, co zostało białe między dwoma jaszczurami z tatuażów. „Nalazłeś mie, tak, to mie chłasnij”, szeptało garło. „Tnij no mie”.

Moje drugie wróżenie se pewnie przypominacie i przed moimi oczami też stanęło. „Wróg śpi, niechaj no garła mu nikt nie podrzyna”. Te właśnie okamgnienie wróżba zawczasu widziała, na pewno. Nakazałem mojej dłoni i ramieniu chlastać, ale one jakby kamienne były. Byłem już wcześniej dość w bijawach, kto nie był, ale nigdy nikogo nie zabiłem. Bo mordowanie zakazane było prawem Dolin, tak. Jak mykałeś komuś życie, nikt nicanic nie mieniał z tobą, ani się z tobą nie spotykał, bo tak miałaś duszę zatrutą, że mogłeś innych o chorobę przyprawić. W każdym bądź razie stałem tam, przy swoim własnym posłaniu, ostrze dzierząc kilka cali od tego miętkiego, bladego garła.

Sójczyk w strzesze bajął coś chyżo i głośno. Ptasie śpiewania brzmiały, jakby kto nóż ostrzył, wonczas pierszy raz tak poznałem. Wiedziałem, czemu nie powinienem zabijać tego Kona. Ludowi nie przywróciłbym Dolin. Dokamieniłbym tylko własną wyklętą duszę. Gdybym się odrodził w tym życiu jako Kona, on mógłby być mną, a wonczas zabijałbym siebie samego. Jeśli Adama by a nuż przysposobili i zrobili z niego Kona jak inni, to własnego brata bym zabijał. Stary Dżordźi chciał, żebym go zabił. Czy to już nie były dobre dość powody, żeby zostawić go i zchichaczyć stamtąd?

„Nie”, rzekłem mojemu wrogowi i przeciągnęłam mu ostrzem po garle. Czarowny rubin wzbierał i pulsował, i spieniał się na wełnę, i kałużą płynął na kamienną podłogę. Wytarłem do czysta ostrze o koszulę trupa. Wiedziałem, że za to z czasem zapłacę, ale, jak rzekłem ledwie mig temu, w naszym parszywym świecie dobro nie zawsze jest możliwe.



Jak wychodziłem, wbiecłem na Meronym, co wbiegała i syczała: „Kona!”. Nie było czasu tłumaczyć, co zrobiłem i czemu. Śpiesznie wsadziłem ikony mojej rodziny do juków, a ona podsadziła mnie na konia. Szlakiem od ciotki Bees klup-klupały trzy – cztery konie. O, wychyżyliśmy z chaty Baileyów ostatni raz, jakby Stary Dżordźi nam dupy kąsał. Słyszałem męskie głosy za sobą i obkręciłem się na okamgnienie i nawet zobaczyłem, jak im zbroja łyska bez liście figowców w sadzie, ale, Sonmi Litościwej dzięki, oni nie widzieli, jak znikamy. Jeden mig później słyszeliśmy przesywające ducie w konchę, co się echem rozległo po Dolinie, tak, trzy duchnięcia, i wiedziałem, że Kona musieli należeć zwiadowcę, co go uchlastałem, i ślą alarm do swoich: „Nie wszyscy z Dolin zniewoleni i wyrżnięci”. Wiedziałem, że zapłacę za nieusłuchanie drugiej wróżby chyżej jeszcze, niżbym obstawiał, tak, i Meronym też.

Ale nasze szczęście jeszcze nie wiedło. Inne ducia odrzekły pierszemu, ale byli w dole

strumienia i pogalopowaliśmy nazad bez Kręgową Przełęcz wielce bojący cali, ale w żadną zasadzkę żeśmy nie wpadli. Ledwo ledwo uszliśmy z życiem, tak, okamgnienie dłużej w mojej chacie i jeźdźcy Kona zobaczyliby nas i za nami popędzili. Unikając rozwartych grzbietów Kohala i górskich pastwisk, obeszlśmy brzegiem las dla ukrycia i wonczas dopiero wyznałem Meronym, co zrobiłem śpiącemu zwiadowcy. Nie wiem czemu, ale tajemnice psują człowieka od środka, jak zęby, jak się ich nie wyrwie. Ona słuchała tylko, tak, nicanic mie nie osądzała.



Znałem ukrytą pieczarę przy wodospadzie Mauka i tam nas zawiodłem, jak wszystko dobrze pójdzie na ostatnią noc Meronym na Bigajlu. Nadzieję miałem, że Wolt albo Kobbery, albo inny kozłarż skróliczył może i tera się tu ukrywa, ale, nie, pieczara była pusta, tylko derki leżały, co je kozłarże na kupę zwalili do spania. Pasat się wzmagał i bojałem się o tych w kajakach, co wypłyną z Maui o brzasku, ale nie było aż tak zimno, no to nie ryzykowałem ognia rozpalać, nie tak blisko wroga. Obmyłem rany w bajorku i Meronym się obmyła i zjedliśmy żarło, co je wziąłem od Clunych, i bochen figowy, co zhytałem z własnej chaty, jak szłem po ikony.

Nie mogłem przestać przypominać se rzeczy i bajać, jak jedliśmy, o mojej rodzinie i Tacie, i o Adamie też. Myślałem, że jak żyją w słowach, nie mogli pomrzeć w ciele. Wiedziałem, że brak mi będzie Meronym bardzo, jak już jej nie będzie, bo nie miałem żadnego innego brata na Bigajlu, coby nie stał się już zniewolnikiem. Księżyc wzeszedł i patrzył na moje rozpękłe przecudne Doliny swoimi srebrzystymi, żałośliwymi oczami i dingo płakały po umarłych. Przemyślałem, gdzie się tera dusze moich plemieńców odrodzą, jak kobiety z Dolin już bobów nie będą rodzić. Żałowałem, że nie ma z nami Ksieni, bo ona by mi rzekła o tym, o czym ja nie umiałem nicanic rzec, ani Meronym. „My, Profeci”, odrzekła po jakim migu, „wierzymy, że jak umierasz, to umierasz i nie wracasz”.

„Ale co z Duszą?” zapytałem.

Profety nie wierzą w Duszę.

Ale czy umieranie nie jest straszliwie zimne, jak nie ma nicanic potem?

„Tak”. Zaśmiała się jakoś, ale bez uśmiechu. „Nasza prawda jest straszliwie zimna”.

Ten jeden raz żal mi się jej zrobiło. Dusze przemierzają nieba czasu, Ksieni by rzekła, jak chmury przemierzają nieba tego świata. Sonmi jest wschodem i zachodem, Sonmi jest mapą i krańcem mapy i tym, co za krańcem. Zapaliły się gwiazdy i ja pierszy wartę miałem, ale wiedziałem, że Meronym nie śpi, nie, że myśli i turga się pod derką, aż w końcu poddała się i siadła przy mnie, i patrzaliśmy na wodospad w świetle księżycy. Pytania strasznie mie kąsały całą plagą. Ogniska Ludzi z Dolin i Profetów za jedno dzisiaj zagasły, rzekłem, no to, czy to nie dowód, że dzicy są silniejsi niż cyłwizowani ludzie?

„To nie dzicy są silniejsi od cyłwizowanych”, uznała Meronym, „to wielka liczba jest

silniejsza od mniejszej. Bystron dawał nam przewagę bez wiele roków, jak moja broń dała mi przewagę przy Pochyłym Stawie, ale starczy mieć dość rąk i głów, żeby taką przewagę kiedyś zniweczyć”.

„Czyli lepiej jest być dzikim niż cylwizowanym?”.

„A co te słowa tak naprawdę znaczą?”.

„Dzicy nie mają praw”, rzekłem, „a Cylwizowani mają”.

„A jeszcze głębiej jest tak. Dzikie zadowala swe potrzeby teraz, od razu. Jest głodny, no to je. Jest zły, no to się biją. Rozpiera go, no to wyrta kobietę. Jego wola jest jego wódz, jak wola powie »zabij«, to zabije. Jak zwierzę z pyskiem kłów pełnym”.

Tak, tacy byli Kona.

„Cylwizowany ma takie same potrzeby, ale widzi dalej. Zje teraz połowę żarła, tak, ale połowę zasadzi, żeby nie był głodny jutro. Jak zły jest, zatrzyma się, pomyśli czemu, żeby zły nie chodził raz następny. Jak go rozpiera, cóż, ma siostry i córki, co szacunku potrzebują, więc szanować będzie siostry i córki swego brata. Jego wola jest jego zniewolnik, i jak on powie »Nie rób!«, to nie zrobi, nie”.

No to raz jeszcze zapytałem: „Lepiej jest być dzikim, niż Cylwizowanym?”.

„Dzikich i Cylwizowanych nie dzielą plemiona czy wierzenia, czy łańcuchy gór, nie, w każdym człowieku i jeden tkwi, i drugi. Starzy mieli Bystronia bogów, ale dzikość szakali i dlatego właśnie sturgnął Upadek. Niektórym dzikim, co ich znałam, cudne serce Cylwizowane w piersiach biło. Może nawet i Kona niektórym. Nie ma ich dość, żeby nakazać całemu plemieniu, ale kto wie, co kiedyś będzie. Kiedyś”.

„Kiedyś” było dla nas tylko małą pchełką nadziei.

„Tak”, pamiętam, jak Meronym rzekła, „ale pcheł się człowiek tak łatwo pozbyć nie może”.

Księżyc światło rzucił na dziwne znamię tuż pod łopatką mojej przyjaciółki, co spała mocno. Jakby taki mały odcisk dłoni, tak, głowa i sześć smug się od niej ciągnęły, blade były na jej ciemnej skórze i dziwiłem się, czemu nigdy wcześniej go nie widziałem. Zakryłem ją derką, żeby się nie przeziębila.



Potok Mauka spływał wężowo i pieniście w dół mrocznej Doliny Mauka. Dawał wodę tylko pięciu – sześciu chatom w całej dolinie, bo nie było to przyjazne, słoneczne miejsce, nie. W żadnej z chat Mauka nie hodowali kóz, no to i szlak był przyduszony pełzakami i ciernistymi krzakami, co ci oko wykoła w jeden mig, jak nie będziesz uważał, i ciężko się szło z koniem. Posiekały mnie gałęzie strasznie już po ćwierćmili, nawet jak się za Meronym

chowałem. Ostatnia siedziba w górę doliny i piersza, do jakiej zjechaliśmy, to była siedziba Świętej Sonmi, a jej wodzem był jednooki Sylwester, co siał taro i owies. Szemranie mówiło, że Sylwester coś za bardzo lubił swoje córki, co je w sporej liczbie miał, i obśmierdziło go też za niepłacenie części dla Gminy. Wokół podwórka leżało porozturgane pranie, a córki zabrano, ale Sylwester nigdzie nie poszedł. Jego odchlastana głowa tkwiła na kiju i patrzyła na nas, jak podjeżdżaliśmy. Już czas jakiś tak tkwił, bo robale się w nim zalęgły, a tłusty szczur dorwał się na szczyt kija i wyżarł jedno oko. Tak, wąsaty diabeł ruszał ostrym nosem ku mnie. „Jak tam, Zachariaszu, nie myślisz, że Sylwester przystojniejszy tera, niż przedtem?”, ale nie zwracałem na niego uwagi. „Kukuryku”, buchło z komina i prawie mnie z konia sturgnęło, bo myślałem, że to krzykanie zasadzki.

Był tera przed nami wybór, pożegnać się z koniem i pajęczyć bez kruszałe pasmo do Doliny Pololu albo iść w dół szlakiem Mauka do wybrzeża i ryzykować wbecnięcie na jakiego samotnego Kona, co zmiata resztki po napadach. Czas się jednak kurczył i to zmusiło nas, żebyśmy na koniu ostali, bo musieliśmy do Ikatowego Palucha do południa dotrzeć, a to ciągle było dziesięć mil od Sylwestra. Ominęliśmy chatę przy Niebieskiej Kapuście i Ostatniego Pstrąga, bo nikogo już uratować byśmy nie mogli. Napór deszczu pchnął nas w dół doliny od Kohali, ale dotarliśmy do brzegu bez żadnej zasadzki, choć widzieliśmy świeże ślady Kona pod ostrzolistnymi palmami. Tego dnia ocean nie wyglądał jak staw, nie, ale też nie aż tak pagórzyście, żeby zręcznie wiosłowany kajak wyturgnąć. Gdzieś w niedalekiej dali zabuczała Konowa koncha i roztrząsała mnie bojaźnią. W buczeniu tym słyszałem własne imię. Powietrze było rozbębniowane, a ja uwagi nie dałem drugiej wróżbie i wiedziałem, że zapłacę za to życiem, co je wziąłem, a co nie było konieczne do wzięcia.

Tam, gdzie fałdzista plaża wznosiła się skałą w Meduzowe Klify, musieliśmy krętać się w głąb ładu bez zagajniki bananowców do Traktu Pololu, co wiódł z najsambardziej północnej doliny do Ziemi Niczyjej i w końcu do Ikatowego Palucha. Trakt wciskał się między dwie czarne skały i posłyszeliśmy gwizd, co więcej ludzki był niż ptasi. Meronym sięgła do płaszcza, ale nim dobyła goleniowej broni, dwóch rekiniastych wartowników wyskoczyło z obu stron skał obydwu. Cztery napięte kusze wycelowane były prosto w nasze głowy, kilka cali zaledwie od nas. Bez kauczukowce zcichaczyłem cały oddział Kona, niechby ich klątwa wyżarła! Tuzin konnych, a więcej siedziało w obozie i wiedziałem, że koniec na nas przyszedł, i to tuż-tuż przed końcem naszego dzieła.

„Podaj hasło, konny”, warknął jeden z wartowników.

„A to co, żołnierzu, i czemu tak”, inny dźgał mnie kuszą w pierś, „że skundel z Doliny wyciera dupą dobrego wierzchowca Kona? Kto twój generał, konny?”.

Strasznie bojący byłem i wiedziałem, że to znać.

Meronym warkła raz, dziwnie i wściekle, i popatrzyła bez hełm na nich czterech, a potem taki ryk się z niej dobył potężny, że ptaki z wrzaskiem się rozpizgły. Rycząca wścieklica kryła inność jej mowy. „JAK ŚMIECIE, WY SZCZURZE GÓWNA, WY PIERDY WIEPRZOWE, ZWRACAĆ SIĘ TAK DO GENERAŁA! DUPA MOJEGO ZNIEWOLNIKA WYCIERAĆ BĘDZIE, CO TYLKO NAKAŻĘ! KTO MÓJ GENERAŁ? MÓJ GENERAŁ TO JA, WY ROBACZE PĘCHERZE! JUŻ MI Z TEJ SKAŁY, W TYM MIGU JEDNYM,

I SPROWADŹCIE MI KAPITANA, ALE JUŻ, ALBO KLNĘ NA WSZYSTKICH BOGÓW WOJNY, ŻE KAŻĘ WAS ZE SKÓRY ODRZEZAĆ I PRZYBIĆ DO PIERSZEGO GNIAZDA SZERSZENI!”.

Desperacki i przedziwny plan, tak.

Wybieg Meronym dał nam jeden tylko mig, i to prawie dość było. Dwóch wartowników pobladło i opuściło kusze, i skoczyło w dół na naszą ścieżkę. Dwóch innych znikło w tyle. *Ksss! Ksss!* Dwóch Kona przed nami już więcej nie wstało, Meronym nagle pięty w konia wpląsa, a on tylko chrapnął cicho, na zadzie przysiadł i wystrzelił i straciłem równowagę. Ręka Sonmi mnie w siodle utrzymała, tak, bo jakby nie jej ręka, to czyja? Krzyki i zawołania: „Stój!” i konchy rozduły się za nami, koń galopował i słycać było *fisssssssss-ptdanggggggggg*. Jak pierwszy bełt wprztekł się w konar, to skuliłem się, a potem ogień bólu rozgorzał mi w lewej łydce, tutaj, i poczułem takie chore i ciche sztopnięcie w środku, co się je czuje, jak ciało wie, że coś jest za bardzo rozpękłe do łatwego uleczenia. Patrzajcie no, podwijam portki i widzicie bliznę, gdzie się grot bełtu wgłębił... Tak, bolało tak strasznie, jak wygląda, że bolało, i jeszcze więcej.

Galopowaliśmy tera Traktem Pololu po gruzłowatej, skorzeniałej ziemi, szybciej, niż jak się serfuje po fali, i tak samo ciężko było równowagę utrzymać i nicanic ulżyć se nie mogłem w przeraźliwym bólu. Mogłem tylko coraz ciaśniej chwycić Meronym w pól i próbować prawą nogą wpasować się w rytm galopu, inaczej bym spadł jak kloc i nie byłoby czasu, żeby mie znowu podsadzać, zanimby Kona nas dorwali z kuszami, co kości wierciły na wylot.

Szlak wiódł tunelem drzew tak niskich, że omiały głowę, do mostu Starych bez rzekę Pololu, gdzie uchodzi do oceanu i gdzie była północna granica Doliny. Byliśmy tera jakieś sto kroków od mostu, kiedy słońce wyjrzało i spojrzałem na wprost, a jego wydeptane deski płonęły jasnym złotem, a pordzewiałe rozpory mieniły się brązem. Ból uwolnił wspomnienie, tak, moją trzecią wróżbę. „Brąz płonie, niechaj no bez most nikt nie przechodzi”. Nie potrafiłem objaśnić tego Meronym na koniu, co galopował, no to tylko wrzasłem jej w ucho. „Dostałem z kuszy!”.

Ściągnęła konia cuglami o jard od mostu. „Gdzie?”.

„W lewą łydkę”, rzekłem.

Meronym popatrzała w tył nastrachana bardzo. Nie było śladu tych, co nas ścigali, no to zeskoczyła na ziemię i przyjrzała się bolącemu miejscu. Dotknęła rany i aż jęknęła. „Tera drzewce dźga w ranę, tak, musimy wpierw dostać się na przyjazną ziemię, a potem...”.

Tętent mściwych kopyt zbliżał się Traktem Pololu. Rzekłem wonczas, że nie możemy bez most przejechać. „Co?”. Obkręciła się, żeby mi prosto w oczy zajrzeć. „Zachariaszu, mówisz, że most nie jest bezpieczny?”.

O ile wiedziałem, most był dość mocny, bo jak Jonasz był mniejszy, często brałem go na północ, na podbieranie jajek mewom, a McAulyff z Ostatniego Pstrąga większość księżyców chodził bez most polować na foki ze swoim ciągnionym wózkiem. Ale śnienie w Ikonarzu nie łągało, nie, nigdy, i Ksieni kazała mi zapamiętać wróżby na niezwyčajny dzień i ten dzień dzisiaj przyszedł. „Mówię”, powiedziałem, „że Sonmi rzekła mi, żeby bez niego nie przechodzić”.

Strach rozeźlił Meronym, bo była tylko człowiekiem, jak ja i wy. „A czy Sonmi wiedziała, że hurga nam na ognie chmara Kona?”

Rzeka Pololu jest szeroka u ujścia, rzekłem jej, więc płynie głęboko, a prąd nie taki w niej wartki. Szlak rozwidłał się przed mostem, właśnie w miejscu, gdzie stałem, tak, i wiódł jeszcze tyci kawałek dalej, gdzie mogliśmy wbród przejść. Kopyta dudniły coraz bliżej i za okamgnienie jedno Kona by nas już zobaczyć mogli.

Cóż, Meronym zawierzyła mojemu obłądnemu gadaniu, nie wiem czemu, ale zawierzyła i już-już czysta i zimna Pololu ból mi w ranie mroziła, ale koń utykał bardzo na zwirowym dnie. *Tta-ttamm, tta-ttamm*, trzech Kona wgalopowało na most i zobaczyło nas, i powietrze wokół nas zadrgało i rozcięło się świstem bełta, i drugiego, a trzeci klasnął w wodę i nas obryzgał. Trzech nowych Kona dobiło do pierszej trójki i nie zatrzymało się, żeby strzelać, nie, dudniło bez most Pololu, żeby zajechać nam drogę na drugim brzegu. Zdesperowany byłem i kląłem sam siebie: Tak, już z nas zdechłe smalczaki, nie ma co, myślałem.

Wiecie, jak to jest, jak zwalacie toporem drzewo na ogień? Jak po ostatnim wiotnięciu włókna krzyczą i cały pień jęczy powoli, jak pada? To właśnie słyszałem. Bo jeden czy dwóch z Dolin, co przechodzą cicho z ciągnionym wózkiem to jedno, a galopujący koń to co innego. A już sześcioro – siedmiu – ośmiu galopujących Kona na zbrojnych koniach to o wiele za dużo. Most się rozpękł, jakby ze śliny i słomy go stawiali, tak, rozpory trzały, deski się rozeszły i zużyte druty prztekły.

Niemają to był upadek. Na moście Pololu było z piętnastu albo i więcej Kona. W dół poturgały konie, brzuchami do góry, jeźdźcy wplątani w strzemiona i, jak rzekłem, z Pololu żadne bezpieczne bajorko nie było, coby ich chyć, a potem na wierzch wypyrnęło, nie, to była rzeka leniwa, ale tłoczna wielgaśnymi kamiennymi płaskami i pełna szpiczastych skał, co strasznie ich upadek rozklasty, rozpękły straszliwie. Żaden z Kona nie wstał, tylko dwa – trzy żałośnie konie leżały, turgając się i kopiąc, ale to nie był czas na zwierząt leczenie, nie.



Cóż, bajanie moje prawie całe już wypowiedziane. Razem z Meronym żeśmy bez bród przeszli na drugi brzeg i dziękowałem Sonmi w modłach. Bo choć nie było już Dolin Cylwizowanych, żeby je ratować, nie, to ocalała mi skórę raz ostatni. Reszta oddziału Kona za bardzo chyba zajęta była potopionymi trupami, żeby śledzić naszą dwójkę. Przeszliśmy bez Samotne Wydmy i na koniec doszliśmy do Ikatowego Palucha, żadnych wypadków nie mając. Nie czekały nas tam jeszcze żadne kajaki, ale zsiadliśmy z koni i Meronym Bystroniem na mojej poszarpanej bełtem łydce uczyniła coś przy ranie. Jak wyrwała bełt, ból się taki po mie rozszedł i zmysły zaciemnił, że prawdę rzec, nie widziałem, jak kajaki z Duofizytem z Maui przypląnęły. Tera moja przyjaciółka miała wybór do wybrania, bo albo mie załadować mogła do kajaka, albo zostawić na Bigajlu, choć nie mogłem chodzić nicanic, a ziemia Kona była tuż-tuż. Bajam wam to wszystko dziś, no to wiecie, co Meronym wybrała i czasem żałuję jej wyboru, tak, a czasem wcale. Morskie śpiewy moich nowych plemieńców, co wiosłowali, zbudziły me w pół drogi bez Cieśninę. Meronym zmieniała mi opatrzenie i użyła jakiegoś Bystrego leku, żeby ból uciszyć.

Patrzałem na bujane chmury, leżąc na płask w kajaku. Dusze przemierzają wieki, jak chmury przemierzają niebo i choć ani kształt chmury, ani barwa, ani wielkość nigdy takie same nie zostają, ciągle jest chmurą. I tak samo z duszą jest. Kto rzec może, skąd chmura przywiała? Albo kto tą duszą będzie jutro? Tylko Sonmi, wschód i zachód i kompas, i atlas. Tak, tylko atlas chmur.

Duofizyt zobaczył, że mam oczy rozwarte, i wskazał palcem na Bigajl, w fioletach cały na południowo-wschodnim błękitcie i na Mauna Kea, co głowę kryła, jak nieśmiała panna młoda.

Tak, mój Cały Świat i życie całe skurczyły się dość, żeby pomieścić się o, o, między palcem moim i kciukiem.

* *
*

Oj, był z tego Zachariasza, mojego Taty, dziwny staruch, nie będę tera przeczył, jak już pomarł. Większość tatowych bająn to tylko takie tam kacze pierdy były dla zabawy, a jak już stary był i pomyłony, wierzył nawet, że Meronym Profetka była jego bezcenną ukochaną Sonmi, tak. Upierał się i mówił, że poznał po znamionach i kometach, i w ogóle.

Czy wierzę w bajanie o Kona i uciekaniu z Bigajla? W bajaniach zwykle jest jakieś ziarno prawdy, a w niektórych tych ziarek jest sporo. Wszystko o Meronym Profetce było chyba po większej części prawdą. Bo jak Tato umarł, z siostrą żeśmy przegrzebali jego rynsztunek i znaleźliśmy te srebrne jajo, co na nie „antyfona” mówił. Tato bajął, że jak ogrzejesz jajo w dłoniach, piękna zjawna dziewczyna się objawia w powietrzu i mówi w Staromowie, co jej żaden żyjący nie rozumie, ani nie zrozumie nigdy, nie. Jako Bystronia użyć jej nie możesz, bo nie zabija piratów Kona ani nie napełnia pustego kałduna, ale czasem o zmierzchaniu mój lud i bracia budzą zjawną dziewczynę, tylko żeby popatrzeć, jak się unosi i migocze. Cudna jest i zadziwia maluchów, a jej mamrotanie kołysze nam boba do snu.

Siadajcie no na mig czy dwa.

*

Wyciągnijcie no dłonie.

*

Patrzajcie.

Antyfona Sonmi~451

To kim był Hae-Joo, jeśli nie był do końca tym, za kogo się podawał?

Sama się zadziwiłam, odpowiadając wtedy za niego:

– Jesteś Unionistą.

Hae-Joo powiedział:

– Tak, przypada mi ten zaszczyt.

Student Xi-Li był ogromnie poruszony.

Hae-Joo powiedział, że jeśli nie zaufam mu całkowicie, to moja śmierć jest tylko kwestią minut.

Kiwnęłam głową na znak zgody, zaufam mu.

Ale okłamał cię już, podając się za kogoś innego – dlaczego miałabyś mu zaufać? Skąd mogłaś mieć pewność, że nie chce cię uprowadzić?

Nie miałam pewności. Podjęłam decyzję instynktownie. Mogłam mieć tylko nadzieję, że z czasem okaże się właściwa. Zostawiliśmy Timothy’ego Cavendisha jego nieznanemu losowi i, zbiegając w dół po schodach, pośpieszyliśmy na spotkanie własnemu; windy miały czytniki Dusz i mogły zostać tak skonfigurowane, by nas w nich uwięzić. Przed nami mknęły korytarze, wyjścia awaryjne z hukiem otwierały swoje drzwi, przejścia nikły w ciemnościach. Hae-Joo właściwie znosił mnie po wielu stopniach; nie mogliśmy czekać, aż je pokonam bez pomocy.

W podziemiach pan Chang czekał w zwyczajnie wyglądającym fordzie. Nie mieliśmy czasu na powitania. Auto przyśpieszyło w ciągu tuneli i parkingów dla fordów. Pan Chang spojrzał na swojego sonego, mówiąc, że drogi wyjazdowe z Taemosan na północ i na wschód są zablokowane, ale pochylnia nadal wygląda na bezpieczną i będą tam na nas czekać ich ludzie.

Hae-Joo wydał mi rozkaz, by spróbował jechać pochylnią. Potem wyjął z saszetki nóż sprężynowy, odkroił sobie czubek wskazującego palca lewej ręki i wydłubał małe metalowe jajeczko. Wyrzucając je przez okno, polecił mi w podobny sposób pozbyć się mojego Pierścienia Duszy. Duszę wyciął sobie także Xi-Li.

Unioniści naprawdę wycięli sobie swoje oddane Dżucze wieczne Dusze?

A jak inaczej ruch oporu miałby uciec przed Jednomyślnością? Ryzykowaliby wykrycie na każdym świetle ulicznych. Ford skręcił na rampę i wtedy oślepiająca nawałnica pocisków fosforowych uderzyła w okna, szyby wpadły do środka; zajęczał metal; ford tarł o ściany, aż gwałtownie zatrzymał się ze zgrzytem.

Słona na podłodze usłyszałam dalsze strzały z koltów.

Ford zatrząsł się i z dużą prędkością ruszył przed siebie; słyszałam, jak od samochodu odbija się czyjeś ciało. Wtedy rozległo się wycie, które trwało nieprzerwanie przez kilka dobrych chwil: to był Xi-Li. Hae-Joo przystawił mu kolta do skroni i wypalił.

Jak to? Dlaczego?

Jak się później dowiedziałam, dumdummy Jednomyślności zawierają kalodoxalinę i gigastymulinę. Gigastymulina to trucizna, która gotuje człowieka żywcem w niewyobrażalnej agonii, więc jego wrzaski zdradzają, gdzie jest; kalodoxalina nie dopuszcza do utraty przytomności. Xi-Li zwał się na podłogę w pozycji embrionalnej. Hae-Joo opuścił rękę z koltem. Zniknął wesóły podyplomant, jakiego znałam; zastanawiałam się, czy w ogóle kiedykolwiek istniał.

Forda zalewały strugi deszczu, wiewane wiatrem przez okna. Pan Chang, zrywając rury odpływowe, jechał wąską alejką, którą wywożono śmieci, aż do obwodnicy. Przed sobą widzieliśmy niebiesko-białe rozbłyski u bram kampusu. Unoszące się w powietrzu aero podmuchem przeginało drzewa; władcze głośniki wydawały niezrozumiałe rozkazy, nie wiadomo komu. Pan Chang ostrzegł, żebyśmy się sqlili i chwycili czegoś, zgasił silnik i skręcił gwałtownie z drogi. Ford podskoczył kilka razy; dach wałnął mnie w głowę; Hae-Joo zdołał jakoś wcisnąć mnie pod siebie. Ford nabrał prędkości, ciężaru i stał się nieważki.

Pamiętam upadek: uwolnił wcześniejsze wspomnienie ciemności, zawieszenia w przestrzeni, grawitacji, uwięzienia w innym fordzie; nie potrafiłam odnaleźć we własnej pamięci źródła tego wspomnienia.

Z bambusa poleciały drzazgi, pogiął się metal, zebrami ciężko uderzyłam o podłogę. Chaos i hałas zły się w jedno.

Ford stanął w miejscu z niedziałającym silnikiem. Słyszałam, jak cykają owady i jak na liście spadają krople deszczu, a potem doszły mnie gorączkowe szepty. Leżałam przygnieciona pod Hae-Joo, który poruszał się, jęcząc. W oczy zaświeciła mi latarka; ten, który ją trzymał, zapytał, czy jestem przytomna. Usłyszałam, jak pan Chang prosi, żeby ktoś otworzył drzwi. Zaraz potem czyjeś ręce wyciągnęły Hae-Joo, pana Changa i mnie samą z wraqueforda; byłam poobijana, ale nie połamana. Ciało Xi-Li zostawiono, gdzie upadło. Pełne napięcia twarze, pełne stanowczości twarze, twarze, które rzadko sypiały: Unioniści. Spuszczono mnie do wjazdu. Dłońmi chwytałam szczeble; kolanami szurałam po dnie krótkiego tunelu. Jeszcze więcej ramion wyciągnęło mnie w górę, jak później zobaczyłam – do warsztatu mechanika. Wsadzono mnie do eleganckiego dwuosobowego forda dla egzeqw. Wydano rozkazy; rozesłano komunikaty. Drzwi kierowcy otworzyły się, do środka wskoczył Hae-Joo Im i zapalił silnik. Drzwi garażu drgnęły i rozsunęły się na boki.

Jechaliśmy podmiejskimi bocznymi drogami, aż wjechaliśmy estakadą na zakorkowaną fordoadę. W fordach dookoła nas siedzieli samotni ludzie dojeżdżający do pracy w centrum, zakochane pary na randce, dwu, trzyosobowe rodziny, jedne spokojne, inne się kłóciły. Pan Chang, jak zauważyłam, kolejny raz zniknął bez pożegnania. Kiedy Hae-Joo w końcu przemówił, miał głos, jakby łamano go kołem. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek nawet drasnąłby go dumdummy, miałam dokonać na nim eutanazji tak szybko, jak on to zrobił z Xi-Li. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Unionista błagał mnie o jeszcze trochę cierpliwości, mówiąc, że jeśli by nas teraz

pochwycili, to im mniej będę wiedziała, tym lepiej. Dodał, że przed nami burzliwa noc. Najpierw mieliśmy dojechać do Huamdonggil. Odwiedzałeś kiedyś tamtą strefę, Archiwisto?

Nie. Moje ministerstwo usunęłoby mnie, gdyby kiedykolwiek ujrzano mnie w slamsach untermenschów. A co tam było?

Huamdonggil to przyprawiający o mdłości labirynt ruder, tanich kwater z mieszkaniami dla marginesu, lombardów, barów z narkotykami i przybytków rozkoszy, należących do mroczniejszego świata. Hae-Joo zostawił forda w zamykanym garażu, ostrzegając mnie, żebym cały czas ukrywała oczy i twarz pod kapturem, bo w rejonie slamsów skradzione fabrykanty kończą w burdelach – do użyciu przystosowuje je licha chirurgiczna operacja.

Zygzakowate uliczki i tunele pełne rur i kabli cuchnęły ściekami. Czystokrwieści siedzieli rozwaleni na progach, sqrę mieli zaczerwienioną i podrażnioną od zbyt długiego wystawiania jej na parzący miejski deszcz. Dzieci rozchlapwały wodę z kałuż. Zapytałam, kto tam mieszka; Hae-Joo opowiedział mi, jak szpitale wysysały Dusze migrantów z mózgozą i płucnicą, aż dolarów zostawało im zaledwie tyle, że wystarczało na zastrzyk eutanazji – albo na bilet do Huamdonggil.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego migranci uciekają ze swoich Stref Produkcji do takiego życia, jak tutaj. Hae-Joo wymieniał malarię, powodzie, susze, zmutowane płody rolne, pasożyty, pustkowia wrywające ziemię terenom uprawnym i zwykle pragnienie zapewnienia lepszego bytu dzieciom. Tłumaczył mi, że PapaSong Corp to znacznie bardziej ludzki pracodawca w porównaniu z wieloma fabrykami, z których ci migranci uciekli. Przemysłowcy ludzi obiecują im deszcz dolarów w Dwunastu Współmiastach – migranci bardzo chcą w to wierzyć, a prawdę odkrywają dopiero, gdy już staną się untermenschami. Przemysłowcy działają tylko w jedną stronę. Hae-Joo pociągnął mnie, obchodząc z dala miauczącego szczura z dwiema głowami. Ostrzegł mnie, że gryzą.

Zapytałam, dlaczego Rada Miejska przymyka oczy na taką nędzę.

Hae-Joo odparł, że Huamdonggil wszyscy uważają za chemiczną kloakę, gdzie ludzie ci – jak niepotrzebne odchody – dyskretnie się rozkładają; tylko nie dość niewidocznie. Slamsy untermenschów motywują niższe warstwy konsumentów, gdy pokazuje im się, jaki los spotkać może tych, którzy nie będą wydawać pieniędzy i pracować jak porządni obywatele. Przedsiębiorcy wykorzystują prawną próżnię, by wznosić w slamsach upiorne przybytki przyjemności, więc Humadonggil opłaca swoje istnienie w podatkach i łapówkach dla wyższych warstw. MediCorp otworzył tygodniową klinikę dla umierających untermenschów, żeby mogli oddać zdrowe organy w zamian za eutanazję; EcoCorp zawarł lukratywne kontrakty ze Współmiastem i wysyła codziennie oddział genomowanych immunologicznie fabrykantów – coś w rodzaju katastrofantów – żeby zbierali umarłych i zmywali po nich, nim zalęgna się muchy. Potem mój przewodnik nakazał mi milczenie, bo właśnie dotarliśmy do celu.

Czyli dokąd?

Pamiętam dom gry w madżonga z wystęmem na fasadzie i wysokim bielonym progiem, zapobiegającym wlewaniu się ścieqw do środka; ale teraz nie byłabym w stanie go rozpoznać. Huamdonggil nie jest zbudowane na żadnym regularnym planie, a domy nie mają numerów. Hae-Joo zapukał, mignął wizjer, odsunęły się rygle i otworzył nam strażnik. Pancierz miał cały w zaciekach, żelazny pręt, który trzymał, mógł zadać śmierć jednym ciosem. Burknął, żebyśmy poczekali na Mamę Arak Na. Zastanawiałam się, czy pod osłoną na szyi miał obrożę fabrykanta.

Zadymiony korytarz, wzdłuż którego biegły papierowe ekrany, skręcał i ginął z oczu. Słyszałam kamienie do madżonga; czułam odór spoconych stóp; patrzyłam, jak egzotycznie ubrane czystokrwiste usługujące noszą tace z napojami. Ich umęczony wyraz twarzy morfował w dziewczęce rozpromienienie za każdym razem, gdy rozsuwały papierowe ekrany. Za przykładem Hae-Joo zdjęłam najki, które zebrały brudy ulic Huamdonggil.

– Nie przychodzilibyście, gdyby wszystko było w porządku – usłyszałam nieprzyjemnie brzmiący głos. Należał do osoby zwracającej się do nas z otworu w suficie. Nie byłam pewna, czy jej sklezione błoną usta, półknięcyce oczu i szczekliwą mowę specjalnie genomowano, czy też były wynikiem mutacji. Jej palce, pokryte guzami klejnotów, chwyciły brzeg otworu.

Hae-Joo stanął dokładnie poniżej i zwrócił się do Mamy Arak Na, którą wzięłam za madam owego przybytku. Unionista zrelacjonował, że jakaś komórka zrakowaciała, Mephi i jego komórkę aresztowano, a Xi-Li nie żyje.

Język Mamy Arak Na był dwa razy dłuższy niż normalny ludzki język; używała go jako łapki na muchy. Jej oczy błyszczały w ciemnościach poddasza. Zapytała, jak wielkie rak ma przerzuty. Hae-Joo odrzekł, że właśnie przyszedł to ustalić. Madam kazała nam przejść do salonu.

Do salonu?

Pomieszczenia za niemożliwie głośną qchnią i sztuczną ścianką, oświetlonego słabym solarem. Czarka soq z rubinowych limonek czekała na krawędzi żeliwnego piecyka, starszego niż cały ten budynek, a może i całe miasto. Usiedliśmy na mocno wytartych poduszkach. Hae-Joo popijał napój małymi łykami i powiedział, że mogę zsunąć kaptur. Sufit z desek zadudnił i zaskrzypiał, klapa otworu uchyliła się i pojawiła się w niej twarz Mamy Arak Na. Zobaczyła moją twarz, ale nie wyraziła zdziwienia.

W stareńkim piecyku buczały cicho najnowocześniejsze obwody. Powoli wypływał z niego kolisty obszar cienia i ciszy, aż pochłonął cały salon i wytłumił hałasy z qchni. Pstrokata lampa nad piecykiem zmorfowała w karpia.

W karpia? W rybę?

W perłowo-oranżowego, pokrytego grzybicznymi plamami, półmetrowej długości karpia, z wąsami barwy mandarynki, który oto objawiał się nam, niby jakieś bóstwo. Jeden leniwy ruch ogonem zwrócił karpia w moją stronę. Łodygi lilii wodnych rozstępowały się, gdy płynął. Jego

stare oczy czytały w moich; boczne płetwy zadrgały i zatrzymał się, unosząc się w wodzie bez ruchu. Karp zniżył się kilka cali, by odczytać moją obrozę, i usłyszałam, jak jakiś stary człowiek wymawia moje imię. Spojrzałam na Hae-Joo, ale ledwo go było widać w podwodnym mrogu.

– Jestem równie wdzięczny, że mogę cię widzieć, jak zaszczycony spotkaniem. – Głos, który słyszałam w 3D był pełen ąltury, choć rozszczępiony. Karp przedstawił się jako An-Kor Apis z Unii i przeprosił za owo udratyzowanie sytuacji; kamuflażu wymagała przezorność, gdyż Jednomyślność działała tej nocy na wszystkich połączonych częstotliwościach.

Z wahaniem odpowiedziałam, że rozumiem.

An-Kor Apis zapewnił, że już niedługo zrozumieć znacznie więcej, i poprosił mnie o jeszcze trochę cierpliwości. Karp podpłynął w stronę Hae-Joo, zwracając się do mojego towarzysza „Komendancie Im”.

Hae-Joo doniósł, że zeuntanazował Xi-Li.

Apis odrzekł, że wie i że na ból Xi-Li nie istniał żaden środek znieczulający. Przypomniawszy Hae-Joo, że to Jednomyślność zabiła Xi-Li; Hae-Joo go tylko wyzwolił; tłumaczył Hae-Joo, że Xi-Li nie poświęcił życia na próżno. Potem nastąpił briefing: sześć komórek zostało ujawnionych, a dwanaście innych włączyło zapory. Członek Rady Mephi zdołał się zabić, zanim rozpoczęto tortury. Natępnie karp polecił Hae-Joo wywieźć mnie ze Współmiasta przez Pierwszą Bramę Zachodnią i udać się na północ w konwoju; oraz dobrze zastanowić się nad tym, co mu powiedział.

Karp zatoczył koło, znikając w ścianie salonu, zanim wyłonił się ponownie przez moją pierś.

– Mądrze wybrałaś przyjaciół, Sonmi – zwrócił się do mnie Apis. – Razem możemy dokonać zmian, wielkich zmian, zmian historycznych, by przekształcić nasze społeczeństwo. – Zapewnił mnie, że wkrótce znowu się spotkamy.

Okrąg sęrczył się z powrotem do rozmiarów piecyka i salon wrócił do dawnego wyglądu. Karp stał się maleńką smużką światła, kropeczką; potem zniknął zupełnie.

Jak Hae-Joo zamierzał przedostać się przez Współmiasto bez Dusz w waszych palcach?

Kilka minut potem wprowadzono implantera Dusz, drobnego człowieka o bezbarwnym wyglądzie. Zbadał rozcięty palec Hae-Joo z zawodową pogardą; pęsetą wyjął z żelpaka jakąś drobinę; umieścił ją w świeżej tkance i sprejem naniósł na palec nasęrek. Zastanowiło mnie, jak to jest, że taka niepozorna kropeczka nadaje właścicielowi prawa do świata konsumpcji, a tych, którzy jej nie mają, skazuje na skrajne zniewolenie lub los jeszcze gorszy.

– Od dziś nazywasz się Ok-Kyun Pyo – zwrócił się implanter do HaeJoo, dodając, że jego historię można nagrać na dowolnego sonęgo.

Implanter zwrócił się teraz do mnie, objaśniając, gdy wyjmował parę laserowych cążqw, że laser tnie stal, ale nie powoduje nawet draśnięcia na żywej tkance, więc będę czuła tylko delikatne łaskotanie. Usłyszałam klik.

– Teraz zajmiemy się podsqrnym kodem paskowym.

Implanter posmarował mi przednią część szyi wacikiem ze środkiem znieczulającym, ostrzegając, że ten etap będzie bolał, ale tłumiące pole woł ostrza powstrzyma kod paskowy przed explodowaniem w zetknięciu z powietrzem i przed oderwaniem mi głowy od ciała.

– Genialne – wymamrotał Hae-Joo. Trzymał mnie za rękę.

– Oczywiście, że genialne – potwierdził implanter. – Sam zaprojektowałem.

Żałował, że nie może tego opatentować, i polecił, żeby Hae-Joo był gotowy z tamponem, którym będzie tamował krew. Ostry ból rozdarł mi szyję. Hae-Joo przyłożył tampon; implanter pokazał mi trzymany pęsetą kod paskowy Sonmi~451 i powiedział, że sam ostrożnie zajmie się jego likwidacją. Psiknął na ranę środkiem gojącym i nałożył opatrunek w odcieniu sqry, mówiąc, że bym zmieniła go przed snem.

– A teraz – ciągnął – popełniam przestępstwo tak nowatorskie, że nawet nie ma na nie nazwy. Uduszenie fabrykanty. Ale zamiast orkiestry dętej, nobla za wybitne osiągnięcia naukowe i akademickiej syneqry, jedyne co mam gwarantowane, to pryczę w Latarni.

Jak również, zauważył Hae-Joo, akapit w historii walk z korpokracją.

– Rany – wzruszył się implanter – cały akapit!

Operacja przebiegła sprawnie. Położył mój palec wskazujący na kawałek gazy, psiknął środkiem znieczulającym, naciął poduszczkę palca, przyłożył tamujący krew koagulant, pęsetą wprowadził Duszę do nacięcia i aerozolem rozpylił nasqrek, by ukryć dowody nagłego podniesienia mnie do warstwy czystokrwistych. Tym razem sarkazm w głosie krył szczeróć słów.

– Oby Dusza przyniosła ci wielkie szczęście w ziemi obiecanej, Siostró Yun-Ah Yoo.

Podziękowałam. Zupełnie zapomniałam, że z otworu w suficie patrzyła na nas Mama Arak Na.

– Lepiej, żeby siostra Yoo zrobiła sobie nową twarz do nowej Duszy – powiedziała – inaczej w drodze do ziemi obiecanej będzie musiała odpowiedzieć na parę trudnych pytań.

Czyli potem zabrali cię do twarzeźbiarki?

Tak. Strażnik odprowadził nas aż do ulicy T'oegyero na północnych krańcach Huamdonggil. Pojechaliśmy metrem do galerii Shinch'on, kiedyś bardzo modnego miejsca,

i schodami ruchomymi, pomiędzy szeregiem żyrandoli wygrywających psalmy Urodzonego Przywódcy, wyjechaliśmy na górę w istny labirynt ulic na poziomie osłony, gdzie chodzili tylko konsumenci, którzy dobrze wiedzieli, dokąd zmierzają. Hae-Joo poprowadził mnie przez meandry zaułków, obok dyskretnie ukrytych wejść i tajemniczych tabliczek, do zwykłych drzwi wejściowych. W niszy przy drzwiach kwitła lilia tygrysia.

– Nie rozmawiaj z madam – ostrzegł mnie, gdy nacisnął dzwonek. – Jej kolce należy traktować z odpowiednią czułością.

Lilia, na której wystąpiły jaskrawe prążki, zapytała, z jaką przyszliśmy sprawą.

Hae-Joo odparł, że jesteśmy umówieni z Madam Ovid.

Kwiat zgiął się, by nam się lepiej przyjrzeć, i kazał czekać.

Otworzyły się drzwi.

– Ja jestem Madam Ovid – oświadczyła kobieta o cerze tak białej jak świeżo obrana kość – i nikt taki nie jest ze mną umówiony. – Dzięki uanie jej surowa uroda już od wielu lat wskazywała niezmiennie na wiek lat dwudziestu kilq, ale jej głos był chropawy, jak odgłos pracującej piły. – Nasze biokosmetyczki przyjmują jedynie z osobistego polecenia. Spróbujcie u „twarzemiosła” na jednym z niższych pięter.

Drzwi zamknęły się nam przed nosem.

Hae-Joo odchrząknął i powiedział, nachylając się w stronę lilii.

– Uprzejmie proszę przekazać szacownej Madam Ovid, że Pani Heem-Young przesyła serdeczne pozdrowienia.

Przez chwilę nic się nie działo. Lilia tygrysia zarumieniła się i zapytała, czy przybyliśmy z daleka. Rozpoznałam serię haseł.

Hae-Joo dokończył kod.

– Gdy podróżuje się daleko, odnajdzie się samego siebie.

Madam Ovid otworzyła drzwi, ale jej oschłość pozostała niezmienna. – Któż może się sprzeciwiać Pani Heem-Young?

Kazała nam pójść za sobą i nie marudzić. Solary świeciły słabym światłem, a tłumiące ekrany pochłaniały głosy i kroki. Po minucie marszu przez labirynt korytarzy Madame Ovid pstryknęła palcami i bez słowa dołączył do nas jej asystent. Otworzyły się drzwi, ukazując jaśniej oświetlone studio, i znów było słycać nasze głosy. Pod sterylizującym solarem błyszcząły narzędzia do twarzędzy. Madam Ovid poprosiła, żebym zdjęła kaptur. Nie wydawała się zdziwiona moją twarzą usługującej. Wątpię, żeby kiedykolwiek przekroczyła próg PapaSongu. Zapytała, ile czasu przeznaczamy na zabieg.

Gdy Hae-Joo odrzekł, że musimy wyjść za półtorej godziny, Madam Ovid straciła sarkastyczną *sangfroid*.

– Po co w ogóle zawracać sobie głowę wizytą u artystki? – zapytała. – Można sobie zrobić samemu twarzęzbę wriglejem i szminką. Czy Pani Heem-Young ma Lilię Tygrysią za tanią szpachlarkę, z kodakami „przed i po” na wystawie?

Hae-Joo pośpiesznie wyjaśnił, że nie chcieliśmy pełnego morfu – tylko kosmetyczne zmiany, które zmylą Oko lub pobieżne spojrzenia. Półtorej godziny to w istocie śmiesznie krótki czas, przyznał, i dlatego właśnie Pani Heem-Young przysłała nas do absolutnej mistrzyni.

Wyniosła twarzęzbiarka rozpoznała pochlebstwo, lecz nie była na nie odporna.

– Nikt – rzekła z dumą – nie widzi twarzy wewnątrz twarzy tak doskonale, jak ja.

Madam Ovid chwyciła mnie za podbródek i przekręcała mi twarz w różne strony, mówiąc, że może zmienić mi sgrę, koloryt cery, włosy, powieki i brwi. Zabarwi mi tęczówki na kolor czystokrwistych. Zrobi mi dołeczki i usunie zdradzające mnie kości policzkowe. Postanowiła, że wykorzystamy pozostałe nam osiemdziesiąt dziewięć minut najlepiej jak tylko się da.

Cóż więc stało się z artystycznym dziełem Madam Ovid? Wyglądasz jak Sonmi prosto z wylęgarni.

Jednomyślność przetwarzyła mnie do wystąpień przed sądem w porze największej oglądalności. Gwiazda musiała wyglądać odpowiednio do swojej roli. Jednak, kiedy wychodziłam od Lilii Tygryziej, z twarzą pulsującą bólem, nie rozpoznałby mnie nawet Widzący Rhee. Moje tęczówki, dotąd o barwie kości słoniowej, teraz przybrały odcień orzechowy, oczy zyskały migdałowy kształt, mieszki włosowe poddano hebanizacji. Jeśli cię to ciekawi, Archiwisto, możesz sprawdzić na kodakach zrobionych w chwili mojego aresztowania.

Przy schodach ruchomych czekał złoty chłopiec z czerwonym balonem. Trzymając się dwadzieścia krokw z tyłu, poszliśmy za nim na parking pełen fordów, znajdujący się pod galerią. Dzieciak zniknął, ale pozostał balon, przyczepiony do wycieraczki pojazdu terenowego. Ruszyliśmy Fordostradą 1 w stronę Pierwszej Bramy Wschodniej.

Pierwszej Bramy Wschodniej? Generał Unii – Apis – kazał wam jechać przez Pierwszą Bramę Zachodnią.

Przywódca zaznaczył przy wydawaniu poleceń: „Dobrze zastanów się nad tym, co ci powiedziałem”. Ten szyfr znaczył: „Odwróćcie rozkazy”. Zachód oznaczał wschód, północ oznaczała południe, „podrózujcie w konwoju” znaczyło „jedźcie sami”.

To niebezpiecznie prosty szyfr.

Pedantyczne umysły często nie dostrzegają prostoty. Gdy mknęliśmy fordostradą, zapytałam, czy „Hae-Joo Im” to jego prawdziwe imię i nazwisko. Unionista odpowiedział, że żadne imiona nie były prawdziwe dla ludzi o jego powołaniu. Zjazd z autostrady prowadził łukiem w dół q rogatkom. Zwolniliśmy i stanęliśmy w posuwającej się w ślimaczym tempie kolejce. Przy zjeździe każdy kierowca wyciągał rękę przez okno swojego forda, żeby pokazać Oq Duszę. Egzekwerzy prawa zatrzymywali losowo fordę, żeby zadawać im pytania.

– Mniej więcej jeden na trzydzieści fordów – wyszeptał Hae-Joo – całkiem spore szanse.

Nadeszła nasza kolej przy skanerze. Hae-Joo umieścił na nim palec wskazujący i rozległ się alarm.

Gwałtownie opadł szlaban.

Unionista syknął: „Uśmiechaj się, wyglądasz na znudzoną”.

Podszedł do nas egzekwer, kciukiem pokazując „Z wozu”.

Hae-Joo posłusznie wysiadł, szczerząc się jak chłopak.

Egzekwer zażądał, żeby podał swoje nazwisko i cel podróży.

Mój towarzysz odgrywał rolę po mistrzowsq.

– Eee, ehm, Ok-Kyum Pyo. Panie oficerze, ehm, jedziemy do motelu w jednym z Zewnętrznych Wspólmiast.

Hae-Joo spojrział w tył i ręką wykonał gest, którego nieprzyzwoite znaczenie poznałam od Boom-Sooka i Fanga. Brednie o pozwoleniu na kota, jakie dostała jego matka, egzekwer przerwał jednym krótkim rozkazem. „Jak daleko stąd jest ten motel?”, zapytał. Czy nie wie, że już jest po dwudziestej trzeciej?

– Orgiastikon w Yöju – odparł Hae-Joo konspiracyjnym tonem. – Wygodny, czysty, przyzwoite ceny, chociaż pewnie egzekwerowi prawa, jak pan, dadzą skorzystać z usług przybytk gratis. To tylko pół godziny najszybszym pasem, na wschód zjazdem numer dziesięć. Będziemy tam przed zaciemnieniem i jeszcze zostanie nam trochę czasu – zapewnił.

Egzekwer zapytał, jak Hae-Joo zranił się w palec wskazujący.

– Rany, czyli dlatego Oko uruchomiło alarm? – Hae-Joo jęknął teatralnie i opisał, jak zaciął się, wyjmując pestkę z naturalnego awokado w domu matki swojej dziewczyny. Wszędzie krew, straszne zamieszanie, od tej pory nie tyka naturalnych awokado, wyłącznie bez pestki, z naturą jest więcej problemów niż to warte zachodu.

Egzekwer zajrzał do forda i kazał mi zdjąć nakrycie głowy.

Miałam nadzieję, że strach weźmie za nieśmiałość.

Egzekwer zapytał mnie, czy mój chłopak zawsze tak dużo gada.

Nieśmiało kiwnęłam głową.

Czy to dlatego ja z kolei nic nie mówiłam?

– Tak, proszę pana – odparłam. – Tak, panie oficerze.

Egzekwer powiedział Hae-Joo, że dziewczyny są posłuszne i układne do dnia ślubu, a potem gęba im się nie zamyka.

– Jedźcie – powiedział.

Gdzie spędziliście tamtej nocy zaciemnienie? W motelu w zewnętrznym Współmieście?

Nie. Zjechaliśmy z fordostrady zjazdem numer dwa, potem skręciliśmy w nieoświetloną boczną drogę. Porośnięty ciemnymi sosnami wał skrywał przemysłowy teren, na którym stało ponad sto budynków. Do zaciemnienia zostało już tak niewiele czasu, że oprócz naszego forda nie było woła żadnego pojazdu. Zaparkowaliśmy i przeszliśmy przez wietrzny dziedziniec do bloku betonu z tabliczką: SZQŁKA HYDRA CORP. Dusza HaeJoo błysnęła i odsunęła bramę.

Wewnątrz nie było młodniaków, lecz oświetlona na czerwono budowla, pod której dachem stały olbrzymie zbiorniki. Powietrze było nieprzyjemnie ciepłe i wilgotne. Gęsty bulion z jakimiś pływającymi sznurami, który ujrzałam przez okienka zbiorników, przez chwilę nie pozwalał rozpoznać ich zawartości. Potem wzrok wyławiał pojedyncze nóżki i rączki; rozwijające się twarze, z których każda była identyczna.

Wylęgarnie?

Tak, weszliśmy do budynku genomiki. Patrzyłam, jak zbite w grupy embriony fabrykantów wisiały zawieszony w żelu macicznym. Niektóre spały nieruchome, inne ssały kciuki, jeszcze inne przebierały nóżkami i ruszały rączkami, jakby kopały albo biegły. Zapytałam Hae-Joo, czy ja też zostałam tu wyhodowana.

Hae-Joo odparł, że nie: szqłka PapaSongu w Kwangju jest pięć razy większa niż to miejsce. Zajrzał do wylęgarni i powiedział mi, że te płody są przeznaczone do tuneli wydobywczych uranu pod Morzem Żółtym; miały oczy wielkie jak talerze. Dostałyby obłądu, gdyby zbyt długo wystawiać je na działanie niefiltrowanego światła dziennego.

Od wysokiej temperatury w budynku Hae-Joo cały błyszczał od potu.

– Musisz chcieć już Mydła, Sonmi – powiedział. – Nasz sześciogwiazdkowy penthouse

jest w tę stronę.

Penthouse? W szklce dla fabrykantów?

Mój Unionista lubił ironię. Nasz „penthouse” był pokoikiem nocnego stróża: betonowym pomieszczeniem, w którym był tylko prysznic, pojedyncze posłanie, biurko, kilka krzeseł zestawionych jedno na drugim, zatkany klimatyzator i połamany stół do ping-ponga. W grubych rurach bulgotał wrzątek. Panel sonego monitorował wylęgarnie, a przez okno można było oglądać całą szklkę. Hae-Joo zaproponował, żebym wzięła od razu prysznic, bo nie może mi zagwarantować, że jutro będę miała taką okazję; rozwiesił płachtę, żebym czuła się mniej skrępowana, i zestawił sobie posłanie z krzeseł, podczas gdy ja się myłam. Gdy wyszłam spod prysznicza, na posłaniu czekała torebka Mydła i komplet nowych ubrań.

Nie czułaś się zagrożona i niepewna, śpiąc w zupełnie nieznaney okolicy i nie wiedząc nawet, jak Hae-Joo ma naprawdę na imię?

Nie. Fabrykanty mogą pracować ponad dwadzieścia godzin dziennie dzięki stymulinie w Mydle; ale kiedy dopadnie nas zmęczenie, padamy niemal bez ostrzeżenia.

Obudziłam się trzy godziny później, bardzo czujna; Mydło embrionów z kopalń miało dużą zawartość tlenu. Hae-Joo spał na swoim płaszczu. Przyjrzałam się strupowi zakrzepłej krwi na jego policzku, który zadrapał podczas ucieczki z Taemosan. Sgra czystokrwistych jest taka delikatna. Jego gałki oczne drgały pod powiekami; wszystko inne w pokoju trwało w bezruchu. Może wypowiedział imię Xi-Li, a może to był tylko jakiś odgłos. Zastanawiałam się, którym „ja” stawał się w snach.

Błysnęłam moją Duszą na podręcznego sonego Hae-Joo, żeby dowiedzieć się więcej na temat osoby, którą teraz byłam, Yun-Ah Yoo. Byłam studentką genomiki, urodzoną 30 Drugiego Miesiąca w Naju w Roq Konia. Ojciec był Pomocnikiem w PapaSongu; matka – gospodynią domową; nie miałam rodzeństwa... dane ciągnęły się przez dziesiątki stron, setki stron. Zaciemnienie powoli się rozpraszało. Hae-Joo rozcierał skronie.

– Ok-Kyun Pyo napiłby się starbaxa.

Wybrałam tę chwilę, żeby zadać mu pytanie; dlaczego Unia płaciła cenę, która była dla niej takim obciążeniem, żeby ochronić experimentalną fabrykantę?

– Ha. – Hae-Joo tarł oczy, próbując wygnać z nich resztki snu. – Długa odpowiedź na długą drogę.

Kolejny unik?

Nie, odpowiedział mi wyczerpująco, kiedy zagłębialiśmy się w krajobraz za Współmiastem. Przytoczę ci to w skrócie, Archiwisto, na potrzeby twojej antyfony. Nea So

Copros zatruwa samą siebie na śmierć. Gleba jest zanieczyszczona, rzeki martwe, powietrze naładowane toksynami, dostawy żywności są pełne zmutowanych genów. Niższe warstwy nie mogą pić leków niezbędnych dla przeciwdziałania tym szkodliwym czynnikom. Pas występowania czerniaka i malarii przesuwają się coraz bardziej na południe w tempie czterdziestu kilometrów rocznie. Te ze Stref Produkcji w Afryce i Indonezji, które zaspokajają zapotrzebowanie Stref Konsumpcji, w sześćdziesięciu procentach nie nadają się do zamieszkania. Racja bytu plutokracji, jej zamożność, coraz bardziej się gęrczy; wydawane przez Dżucze Ustawy o Bogaceniu są jedynie plastrem na krwotoki i amputacje. Jediną odpowiedzialnością, jaką jeszcze ma w zanadrzu, jest ulubiona strategia wszelkich bankrutujących ideologii: wyparcie.

Czystokrwisci z niższych warstw wpadają do rynsztoqów untermenszów; egzeczy powtarzają jak papugi Katechizm Siódmy, „Wartością Duszy jest zawarty w niej dolar”.

Ale dlaczego pozwala się czystokrwistym z niższych warstw, by umierali w miejscach takich jak Huamdonggil? Co zastąpi ich ceną pracę?

My. Hodowla fabrykantów kosztuje bardzo niewiele, Archiwisto, i nie mają oni żadnych niewygodnych pragnień lepszego, w pełni wolnego życia. Ponieważ życie fabrykantów kończy się w czterdzieści osiem godzin bez wysoce genomowanego Mydła, na którego wytwarzanie i dostawy monopol ma Corp, fabrykant nie ucieknie. Z moim wyjątkiem, fabrykanci są najwyższą formą organicznej maszyny. Nadal utrzymujesz, Archiwisto, że w Nea So Copros nie ma niewolników?

A jak Unia zamierzała usunąć owo... rzekome „zło” z naszego kraju?

Przez rewolucję.

Wschodnia Azja okresu przedstarciowego była pogrążona w chaosie chorych demokracji, ludobójczych autokracji i właśnie powstających pustkowi! Jeśli Zarząd nie zunifikowałby i nie odciał kordonem tego regionu, stoczylibyśmy się z powrotem w erę barbarzyństwa. Jak to możliwe, że jakakolwiek organizacja może godzić się na taki... terroryzm?

Korpokracja pachnie korupcją i starczym otępieniem. Słońce zachodzi.

Wydaje się, Sonmi, że całym sercem przejąłeś propagandę Unii.

Ja mogłabym powiedzieć, że całym sercem przejąłeś propagandę Nea So Copros, Archiwisto.

Czy Hae-Joo zdradził szczegóły tego, jak Unia zamierza obalić państwo, które utrzymuje dwumilionową armię?

Zdradził. Unia zamierzała spowodować podniesienie sześciu milionów fabrykantów i fabrykant.

Nie rozumiem, dlaczego nie pojęłaś od razu, że to mrzonka chorej wyobraźni.

Wszystkie rewolucje są mrzonkami chorej wyobraźni, dopóki do nich nie dojdzie; potem stają się nieuniknioną historyczną koniecznością.

W jaki sposób Unia miałaby spowodować owo „jednoczesne podniesienie”?

Bitwy toczyły się na poziomie molekularnym. Kilqset Unionistów, pracujących w punktach węzłowych, jak zakłady produkcji Mydła czy wylęgarnie, mogło uruchomić kilka milionów podniesień, dodając katalizator dr. Sulejmana do głównych strumieni dostaw.

Jak duże zniszczenia mogłoby wyrządzić nawet sześć milionów podniesionych fabrykantów i fabrykant w najbardziej stabilnej Piramidzie państwowej w historii cywilizacji?

Kto pracowałby przy liniach produkcyjnych w fabrykach? Kto przetwarzałby ścieki? Dosypywał karmę w hodowlach ryb? Wydobywał ropę i węgiel? Podtrzymywał reakcje w reaktorach? Obsługiwał w barach? Gasił pożary? Trzymał straż na granicznym kordonie? Napelniał zbiorniki exxonu? Podnosił, kopał, ciągnął, pchał? Siał, zbierał?

Czystokrwisci stracili umiejętności, dzięki którym powstają społeczeństwa. Pytanie powinno brzmieć: „Jakich zniszczeń nie wyrządziłoby sześć milionów podniesień, połączonych z milicją z kordonlandów i czystokrwistymi z niższych warstw na granicy stania się untermenszami?”.

Jednomyślność utrzymywałaby porządek. Szeregów policji nie zasilają wyłącznie szpiegzy Unii.

A Jednomyślności pozostałyby jakie metody zastraszania? Falowe kolty na podniesionych? Nawet Yoona~939, usługująca fabrykanta, wolała umrzeć niż dalej żyć w zniewoleniu.

Zaraz, zaraz... w chwili, kiedy uciekaliście, Jednomyślność już od dawna była zaalarmowana o istnieniu konspiracji – próbowali was otoczyć i zamknąć. Woł z zakładów produkcji Mydła natychmiast wyrosłyby kordony bezpieczeństwa.

Jednomyślność była zaalarmowana o istnieniu szpiegów Unii w Taemosan i o jednej podniesionej usługującej fabrykancie. O niczym więcej.

A jaka była twoja rola w tym *überplanie*?

Moim pierwszym zadaniem było udowodnienie, że Sulejmanowski katalizator podniesienia działa. Mój umysł dowiódł tego już choćby przez to, że nie uległ degeneracji. Katalizator syntetyzowano w ilościach przemysłowych w kilk podziemnych zakładach.

„Twoje drugie zadanie”, poinformował mnie Hae-Joo tamtego ranka, „będzie misją ambasadorki”. Generał Apis, karp w salonie madzonga, miał nadzieję, że będę pełniła rolę emisariuszki, pośredniczki między Unią a podnoszonymi fabrykantami; aby pomóc im zmobilizować się jako obywatelom-rewolucjonistom.

Jak się czułaś z taką rolą w organizacji terrorystycznej?

Czułam ogromny przestach: nie genomowano mnie, bym zmieniała historię. Powiedziałam to mojemu Unioniście, ale odrzekł, że nikt nigdy nie jest tak genomowany. „Przemysł to”, nalegał. Apis miał nadzieję, że podejmę decyzję do czasu, aż przyjdzie nam się ponownie spotkać. Na razie Unia prosiła tylko, bym z miejsca nie odrzucała tego pomysłu.

Nie byłaś ciekawa, jak Unia planuje w szczegółach owo lepsze jutro? Skąd wiedziałaś, że nowy ład nie przyniesie jeszcze gorszej tyranii? Pomyśl choćby o bolszewikach, o Saudyjczykach, o Rewolucjach Zielonoświątkowych w Ameryce Północnej. Jeśli wielka zmiana staje się konieczna, z pewnością najrozważniej jest ostrożnie stawiać kroki na drodze stopniowych reform?

Twoja wiedza naukowa jest zadziwiająco obszerna, jak na archiwistę ósmej warstwy. Czyżbyś natknął się na to twierdzenie przy lekturze dzieł z początkw XXI wiek? „Dwoma małymi krokami nie przeskoczysz przepaści?”

Drażymy sporną kwestię, Sonmi. Wróćmy do twojej podróży.

Około jedenastej bocznymi drogami dotarliśmy do Równiny Suanbo. Opylacze wyrzucały kłęby sztucznego nawozu o barwie szafranu, przesłaniające horyzont. Hae-Joo niepokoił się, że będziemy na widoq dla niejednego SatOka, ruszyliśmy więc trasą plantacji WoodCorpu. W nocy padało i na błotnistej drodze powstały kałuże; jechało się powoli, ale nie widzieliśmy żadnego innego pojazdu. Zasadzone wzdłuż drogi hybrydy araukarii i kauczukowca stały w idealnych szeregach i sprawiały wrażenie, że to las maszeruje obok, a nasz ford stoi w miejscu; całe miliony kroczących w szeregu drzew. Wysiadłam tylko raz, kiedy Hae-Joo musiał dolać do baq exxonu z kanistra. Na równinie poranek był piękny, ale na terenie plantacji światło o każdej porze dnia przypominało wilgotny zmierzch. Jedyne dźwięk, jaki dobiegał, to jałowy świst wiatru w stępionych igłach. Bezpyłkowe drzewa były genomowane, by odstręczać insekty i ptaki; zastałe w bezruchu powietrze cuchnęło środkiem owadobójczym.

Las skończył się tak nagle, jak się zaczął; teren zrobił się bardziej falisty. Droga skręciła na wschód, zostawiając na południu pasmo Workasan; na północy rozciągało się jezioro

Ch'ungju. Tym razem to wody jeziora tak cuchnęły, wyjaśnił Hae-Joo; wypływ z hodowli łososi. Na wzgórzach na drugim brzegu jeziora widniały potężne logosy różnych korporacji; malachitowa statua Proroka Malthusa spoglądała badawczo na suchą nieckę. W pewnym punkcie droga biegła pod autostradą Ch'ungju – Taegu – – Pusan. Hae-Joo powiedział, że w Pusan moglibyśmy być za dwie godziny, jeśli odważylibyśmy się wjechać na autostradę, ale on wolał jechać powoli i zachować ostrożność. Nasza pokryta wybojami droga wspinała się serpentyną w górę szczytów Sobaexan.

Hae-Joo nie próbował dostać się do Pusan w jeden dzień?

Nie. Mniej więcej koło siedemnastej ukrył forda w opuszczonym tartaku i wyruszyliśmy pieszo górską ścieżką. Doświadczenie to pochłonęło mnie tak całkowicie, jak kiedyś Współmiasto: na wyrzyszeniach z wapienia rozkraczały się porosty; z rozpadlin wyrastała jarzębina. Lekki wietrzyk niósł zapach pyłu i roślinnych soków; po niebie sunęły chmury. Nad naszymi głowami, niczym elektrony, krążyły genomowane ćmy; logotypy na ich skrzydłach przez pokolenia zmutowały w przypadkowy sylabariusz.

Czułam się odrodzona w innym żywiole, tak obcym usługującym fabrykantom, jak alpejskie łąki obce są łodzikom.

Z odsłoniętej skalnej półki Hae-Joo pokazał ręką jakiś punkt po drugiej stronie doliny i zapytał, czy go widzę.

Kogo? Widziałam tylko ścianę skały.

„Przyjrzyj się dobrze”, kazał mi mój przewodnik, i ze skały wyłoniła się rzeźbiona postać olbrzyma, siedzącego w pozycji lotosu. Szczupłą rękę wznosił we wdzięcznym, pełnym znaczenia geście. Od żywiołów i broni w rękach ludzi jego rysy przez lata zatarły się, zniszczyły i popękały, ale ogólny zarys twarzy nadal można było rozpoznać, gdy tylko objęło się jej całość. Kilka sekund zajęło mi uświadomienie sobie, kogo przypominała mi ta ogromna rzeźba w skale: Timothy'ego Cavendisha.

Hae-Joo niezwykle ubawiło, gdy to powiedziałam. Myślał, że olbrzym był jakimś dawnym demokratą albo zbójcekim władcą ze skłonnością do autoreklamy; a jednak prekonsumenci naprawdę oddawali mu cześć jako bóstwu, które przynosiło zbawienie od nieustannego koła narodzin. To prawda, popękanego od wiatrów i zmiennej pogody olbrzyma z dawnej epoki nadal otaczała aura boskości. Tylko istoty nieożywione mogą być tak pełne życia. Xieni, mówił dalej Hae-Joo, pewnie mogłaby powiedzieć mi więcej. Pewnie StoneCorp wysadzi go, kiedy zabierze się za roboty w tych górach.

Jaki cel miała wasza wyprawa w nieznane?

Każde nieznane dokądś prowadzi. Po drugiej stronie gór, na polanie, natrafiliśmy na niewielkie poletko zboża, na krzakach suszyły się ubrania, na grządkach rosły warzywa, nawadniane przez prymitywny bambusowy system irygacji. Obok było widać niewielki

omentarz. Usłyszałam szemranie anemicznej katarakty. Hae-Joo poprowadził mnie przez wąską szczelinę na dziedziniec otoczony zdobnymi budynkami, niepodobnymi do żadnych, jakie znałam. Jakiś niedawny wybuch wyżłobił w bruc krater, połamał deski w ścianach budynków i zniszczył kryty dachówką dach. Pod porywami tajfunu jedna z pagód przewróciła się na stojącą obok bliźniaczą budowlę, która jeszcze się trzymała, bardziej dzięki oplatającemu ją bluszczowi niż spojeniom.

Hae-Joo powiedział mi, że w tym miejscu od piętnastu wieków stało opactwo, aż korpokracja po Starciach rozwiązała prekonsumenckie religie. Teraz służyło jako schronienie dla kolonii wywłaszczonych czystokrwistych, którzy wolą trudne życie w górach od slamsów untermenschów.

Więc Unia ukryła swoją wysłanniczkę, swoją... „mesjaszkę”... w kolonii recydywistów?

„Mesjaszkę”. Cóż za wielki tytuł dla usługującej z PapaSongu.

Usłyszałam, że ktoś z tyłu szura po bruc: pomarszczona, spalona słońcem, wiejska kobieta, głęjąc, szła przez dziedziniec; podierała się na chłopcu z piętnem mózgozy, niemowie. Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało do Hae-Joo; kobieta objęła Hae-Joo z taką czułością, jak – tak przynajmniej myślałam – przytula matka. Przedstawiono mnie Xieni jako „panią Yoo”. Jedno oko miała mlecznobiałe, drugie przenikliwe i uważne; oboje ich razem wywoływało wrażenie, że obserwują cię badawczo dwie osoby. Przykryła moje dłonie swoimi; ten gest mnie zauroczył. Twarz miała tak leciwą, jak starsza osoba z czasów Cavendisha.

– Cieszymy się, że tu jesteś – powiedziała – bardzo się cieszymy.

Hae-Joo zapytał o krater po bombie.

Xieni odrzekła, że fanatycy coraz częściej atakowali z powietrza; w zeszłym miesiącu pojawił się czynuk i bez ostrzeżenia wystrzelił pocisk. W wybuchu kilka osób odniosło poważne rany, a jedna zginęła. Albo akt złej woli, albo pilot się nudził; albo też jakiś deweloper dostrzegł potencjał tego miejsca na hotel spa dla egzeqów i chciał się nas stąd pozbyć.

– Kto wie? – Westchnęła.

Mój towarzysz obiecał, że dowie się więcej.

Kto żył w tej komunie? Untermensze? Teryści? Unioniści?

Historia każdego mieszkańca kolonii była inna. Poznałam tam ujugurskich dysydentów; rolników z delty Ho Chi Minh, którym uprawną ziemię wysuszono na pył; niegdyś szanowanych obywateli Współmiasta, którzy starli się z polityką korporacji; dewiantów bez szans na zatrudnienie; ludzi pozbawionych dolarów z powodu chorób psychicznych. Z siedemdziesięciu pięciu kolonistów najmłodszy miał dziewięć tygodni; najstarsza była Xieni, miała sześćdziesiąt osiem lat, choć, jeśliby powiedziała, że trzysta, też bym jej uwierzyła.

Ale... jak dawali radę przetrwać bez koncesji na sprzedaż i bez galerii? Co jedli? Co pili? A co z prądem? Z rozrywkami? Jak takie mikrospołeczeństwo mogło funkcjonować bez egzekwatorów prawa, bez hierarchii?

Jedli to, co znaleźli w lesie i zebrali w ogrodzie; pili wodę z katarakty. Dzięki wyprawom zbierackim na wysypiska śmieci mieli plastik i metale na narzędzia. Ich „szkolny” sony był zasilany przez turbinę wodną. Nocne solary ładowały się w czasie dnia energią słoneczną. Rozrywkę dostarczali sobie sami; konsumenci nie potrafili funkcjonować bez 3D i reklawizji, ale ludzie zawsze to potrafili i potrafili nadal. Problemy z prawem i porządkiem? Na pewno jakieś były, ale koloniści cenili sobie niezależność i mieli mocne postanowienie bronić jej przed lekkoduchami z własnych szeregów i wyzyskiwaczami z zewnątrz.

No a zimy w górach?

Potrafili je przetrwać tak samo, jak wcześniej, przez piętnaście stuleci, radziły sobie z nimi mniszki: dzięki planowaniu, oszczędności i hartowi ducha. Kolonię zbudowano nad pieczarą, którą podczas japońskiej aneksji jeszcze głębiej wydrążyły grasujące bandy. Owe tunele dawały schronienie przed zimą i przed aerami Jednomyślności.

Dalekie to było od bukolicznej Utopii. Tak, zimy były srogie; pory deszczowe niemilosierne; choroby nękały uprawy; w pieczarach lęgåło się robactwo i tylko nieliczni mieszkańcy kolonii dożywiali wieq konsumentów z wyższej warstwy. Oczywiście że koloniści sprzecniają się między sobą i po ludzq boleją nad różnymi sprawami, ale robią to razem, w społeczności. W Nea So Copros nie ma społeczności; jest tylko państwo.

Dlaczego Unia zainteresowała się klasztorem?

Unia dostarcza sprzęt, na przykład solary; kolonia zapewnia bezpieczne schronienie wiele kilometrów od najbliższego Oka. Obudziłam się na moim pośłaniu w tunelu tuż przed świtem i podczołgałam do otworu pieczary. Wartowniczką doglądała wywaru stymuliny; uchyliła moją moskitierę, ale ostrzegła, że woqł starych murów opactwa grasują kojoty. Zapewniłam, że nie będę zapuszczać się nigdzie daleko, obeszłam dokoła dziedziniec i precisięłam się między wąskimi skałami na szaroczarną kamienną galerię.

Góra się urywała, od doliny wiał q niebu wiatr, niosąc zwierzęce odgłosy, nawoływania, powarkiwania i niuchania; ani jednego nie umiałam rozpoznać. Gwiazdy w górach w niczym nie przypominają przepraszających za własne istnienie malutkich punkciqw na niebie nad miastem: gwiazdy w górach wiszą na niebie jak wielkie qle i ściekają z nich smugi światła. Nagle jakiś metr ode mnie poruszył się qłaz.

– Ach, to pani Yoo – dobiegåł mnie qłos Xieni – pani też wcześnie wstaje.

Pozdrowiłam ją, jak należało.

Powiedziała mi, że koloniści nie lubili, gdy włóczyła się po kolonii przed świtem, bo bali się, że spadnie kiedyś w przepaść. Wyciągnęła z rękawa fajkę, nabiła ją i zapaliła; powiedziała, że nie będzie mnie częstować, bo mam jeszcze młode płuca, ale w jej wiek jest już wszystko jedno. Tytoń pachniał wonną sgrą.

Zapytałam o wyrzeźbioną w skalnej ścianie postać na drugim brzegu przepaści.

„A, ten stary samotnik”. Kiwnęła głową. Siddhartha miał też inne imiona, ale wszystkie dawno zapomniano. Poprzedniczki Xieni umiały wyrecytować z pamięci wszystkie jego imiona i nauki, ale poprzednią Xienię i starsze rangą zakonnice zesłano do Latarni pięćdziesiąt lat temu, kiedy kryminalizowano opactwa. Kobieta, która ze mną rozmawiała, była wtedy zaledwie w nowicjacie, więc Jednomyślność uznała, iż jest jeszcze na tyle młoda, że można ją reedukować, i wysłali ją, by dorastała w bloq sierot we Współmieście Pearl City.

Zapytałam, czy Siddhartha był swego rodzaju bogiem?

– „Swego rodzaju bogiem” to zgrabne określenie – odrzekła Xieni. – Siddhartha nie przynosi nam szczęścia, nie zsyła kar, nie zmienia pogody, ani nie chroni nas przed bólem istnienia. Naucza jednak, jak przewycięzać ból i zasłużyć na wyższą reinkarnację w przyszłych wcieleniach. Xieni nadal modliła się do niego o świtaniu, „by dać mu dowód, że podchodzę do tego poważnie”, choć zaledwie kilq kolonistów było wierzących.

Odrzekłam, że mam nadzieję, iż Siddhartha odrodzi mnie w jej kolonii.

W świetle budzącego się dnia świat jawił się już wyraźniej. Xieni zapytała, dlaczego mam taką nadzieję.

Próba znalezienia słów i zdań dla tego, co czułam, zajęła mi dłuższą chwilę, ale Xieni nie należała do osób, które popędzają innych, gdy myślą. W końcu nazwałam powód mojego pragnienia: w kolonii mieszkali jedyni czystokrwisci, w których oczach nie było głodu konsumentów.

Xieni zrozumiała. Jeżeli konsumenci będą zadowoleni z życia na jakimkolwiek znaczącym poziomie, mówiła otwarcie, będzie to oznaczało koniec plutokracji. Dlatego istnienie kolonii jest takim bólem dla państwa. Media porównują jej mieszkańców do tasiemców; piętnują ich za to, że kradną deszcz AquaCorpowi; że właściciele patentów HortiCorpu okradają z tantiem; AirCorpowi kradną tlen.

– Pewnego dnia – myślała głośno Xieni – Zarząd uzna, że nasz model życia poza zasięgiem korpokratycznej ideologii stanowi dla nich konkrencję.

Obawiała się, że tego dnia ci, których dziś nazywa się tasiemcami, zostaną obwołani „terrorystami”, na kolonię spadnie deszcz inteligentnych bomb i tunele starego opactwa zaleje fala ognia.

Powiedziałam, że w jej kolonii muszą mieszkać nędzarze, lecz w żadnym wypadq tego

po nich nie widać.

– No właśnie. – Odrzekła tak cicho, że musiałam się nachylić, żeby słyszeć. – To próba utrzymania wewnętrznej równowagi, najpewniej tak trudna, jak udawanie czystokrwistej.

Skąd wiedziała?

Nie pytałam: może przez ukryte otwory w naszych pomieszczeniach podejrzwała, jak wchłaniam Mydło. Gospodyni powiedziała mi, że nauczeni doświadczeniem mają gości na Oq, nawet Unionistów i ich przyjaciół.

– To wbrew starym zasadom gościnności w opactwie – przeprasza ją tłumaczyła Xieni – ale młodszy koloniści bezwzględnie uważają, że musimy być czujni, szczególnie w świecie, w którym jeden dzień wystarczy, by po twarzeźbie każdy stał się, kim tylko chce.

Dlaczego się przed tobą odsłoniła?

Może na znak solidarności? Nie wiem. Jak mówiła Xieni, z wielu zbrodni Dżucze najohydniejszą było stworzenie warstwy niewolników.

Czy mówiła w sensie ogólnym, czy miała na myśli coś konkretnego?

Nie wiedziałam tego aż do następnej nocy. Na razie na dziedzińcu było słychać brzęk patelni: grupa przygotowująca śniadanie rozpoczynała pracę. Xieni spojrzała w stronę szczeliny wiodącej na dziedziniec i zupełnie innym tonem powiedziała:

– A co to za kojot tu idzie?

Chłopak-niemowa przydreptał do Xieni i uśmiechnięty usiadł u jej stóp. Słońce od wschodu zaginało się woł światła, przywracając delikatną barwę dziko rosnącym kwiatom.

Czyli rozpoczął się twój drugi dzień ucieczki?

Hae-Joo zjadł na śniadanie kartoflane ciasteczka i miód figowy; w przeciwieństwie do zeszłego wieczoru, nikt nie nalegał, żebym jadła to, co czystokrwisci. Pożegnaliśmy się; dwie czy trzy nastolatki miały łzy w oczach, gdy patrzyły, jak Hae-Joo odchodzi; natomiast w moją stronę posłały pełne nienawiści spojrzenia, co bardzo mnie rozbawiło. Chociaż Hae-Joo był zahartowanym w bojach rewolucjonistą, miał też wiele z młodego chłopaka. Xieni powiedziała szeptem:

– Będę się za was modliła do Samotnika.

Pod czujnym spojrzeniem jej boga zesliśmy z wysokości, na jakiej była położona

kolonia, i powędrowaliśmy w dół przez pełen głośnych okrzyków las. Ford stał nietknięty tam, gdzie Hae-Joo go ukrył.

Podróż w stronę Yöngju przebiegała gładko; mijaliśmy drewniane wozy, których woźnicami, jak zauważyłam, byli zwaliscy fabrykanci, wszyscy z tych samych komórek macierzystych. Przez pola ryżowe na równinach na północ od jeziora Andongho biegną drogi pozwalające na szybką jazdę, ale za bardzo na widoq, więc zostaliśmy w fordzie, ukryci przed SatOkim aż do godziny piętnastej.

Przejechawszy po starym wiszącym moście, wysoko nad spienioną rzeką Chuwangsan, wysiedliśmy, żeby rozprostować nogi. Hae-Joo przeprosił za swój czystokrwisty pęcherz i załatwił się ukryty w drzewach jakieś sto metrów niżej. Patrzyłam, jak jednobarwne papugi gnieźdzą się na poplamionej guanem skalnej ścianie nad przepaścią; to, jak machały skrzydłami i skrzeczały, przypomniało mi Boom-Sook Kima i jego przyjaciół-egzeków.

W górę rzeki wił się wąwóz; w stronę ujścia rzeka płynęła przez wzgórza równej wysokości, aż znikiała pod osłoną Ulsöng. Nad Współmiastem zbijały się w grupy aera; jak kropeczki.

Liny mostu jęknęły pod ciężarem eleganckiego egzekowego forda; drogiego, jak na taką zwykłą szosę w terenie. Hae-Joo sięgnął po kolta ukrytego w naszym fordzie. Wrócił, trzymając rękę w kieszeni i ostrzegając mnie, żebym nie odzywała się, gdy on będzie rozmawiać, i była gotowa na szybkie ukrycie się za naszym fordem, gdyby drugi kierowca także wyciągnął kolta.

Egzekowy ford zatrzymał się. Krępy mężczyzna ze stylową twarzeźbą odkręcił się na fotelu kierowcy i przyjaźnie kiwnął głową.

– Piękne popołudnie.

Hae-Joo także kiwnął głową w jego stronę, dodając, że rzeczywiście, nie jest zbyt parno.

Czystokrwista kobieta z genomowanym sexapilem wysunęła nogi przez drzwi od strony pasażera. Głowę miała omotaną grubą chustą, tak że było widać tylko jej zadarty nos i zmysłowe usta. Oparła się o barierkę po przeciwnej stronie, tyłem do nas, i nadąsana zapaliła marlboro. W tym czasie jej towarzysz otworzył bagażnik forda i wyjął z niego klatkę, jak do przewozu średniej wielkości psa. Otworzył zamki i wydobyl dziewczynkę o uderzająco doskonałych kształtach, lecz niezwykle drobną, miała około trzydziestu centymetrów wzrostu.

Zapiszczała śmiertelnie przerażona i usiłowała się wyrwać; zobaczyła nas; miniaturowym krzykiem błagała bez słów.

Mężczyzna złapał ją za włosy i wyrzucił za barierkę mostu. Patrzył, jak spada, a potem uduł odgłos rozplaszq o ziemię.

– Proszę, w jaki tani sposób skończył bardzo drogi śmieć. – Wyszczrzył do nas zęby w uśmiechu.

Zmusiłam się, by pozostać w bezruchu i nie odezwać się słowem: w sercu szalała mi nienawiść i furia. Hae-Joo dotknął mojego ramienia. Usiłowałam myśleć o czymś innym, o czymkolwiek; scena z *Upiornej udręki Timothy'ego Cavendisha*, gdy przestępca wyrzuca za balkon niewinnego czystokrwistego, wyłoniła się nieproszona z mojej pamięci.

Domyślałam się, że mężczyzna wyrzucił żywą lalkę-fabrykantę.

Egzek aż palił się, żeby nam wszystko opowiedzieć.

– Lalka Zizzi Hikaru była absolutnym hitem sezonu dwa Sextety temu. Moja córka męczyła mnie o nią bez przerwy. Oczywiście, moja oficjalna żona – kiwnął głową w stronę kobiety przy barierce – od rana do wieczora też wierciła mi dziurę w brzuchu. „Jak mam spojrzeć w oczy sąsiadom, skoro nasza córka jako jedyna dziewczynka w naszym karuzelu nie ma Zizzi?”, pytała.

Egzek przyznał po cichu, że jest pełen podziwu dla specjalistów od marketingu tych lalek. „Wystarczy wziąć jakąś gównianą fabrykantę-zabawkę”, mówił, „zgenomować ją na dawną kiczowatą boginię, a potem podbić cenę o pięćdziesiąt tysięcy i patrzeć, jak same znikają z półek”.

– Oczywiście potem musisz wyłożyć na domek dla lalek od drogiego projektanta i co chwila kupować nowe akcesoria. No więc co grzecznie zrobiłem? Zapłaciłem za wszystko, żeby baby przestały ujadać! Cztery miesiące później, co się dzieje? Nastolatki zapatrzone są już w Marilyn Monroe, a biedna Zizzi jest *passee*.

Z oburzeniem powiedział, że pewien zarejestrowany expirant fabrykantów wycenił expirację jednej z nich na dziewięćset dolarów. Humor wrócił mu, gdy wskazując kciukiem za barierkę zauważył, że przynajmniej przypadkowy upadek z mostu nic nie kosztuje; więc po co wywalać dolary w błoto?

– Szkoda – mężczyzna mrugnął do Hae-Joo – że rozwody nie są tak bezproblemowe.

– Słyszałam, Tłusciochu! – Jego żona odwróciła twarz w naszą stronę. – Powinieneś był zwrócić Zizzi do franczyzy i dać Duszę do redolarowania, jak tylko ci o tym powiedziałam. To coś było uszkodzone od samego początku. Ugryzło mnie.

Tłuscioch zrobił się słodziutki:

– Jak ona od tego nie umarła, najdroższa moja?

Żona rzuciła w jego stronę parę cichych przekleństw. Mężczyzna odgrywał teraz rolę dobrego wujka przed Hae-Joo, przelatując wzrokiem po moich genomicznie powiększonych piersiach i pytając, czy jesteśmy tu na wakacjach, czy tylko przejeżdżamy przez ten odludny teren w sprawach służbowych?

– Ok-Kyun Pyo, proszę pana, do usług. – Hae-Joo uklonił się przed nim, przedstawiając

się jako pomocnik z piątej warstwy we Franczyzie Xięgowości „Orzeł”, małym oddziale korporacji.

Zaciekawienie egzeka, dotąd niewielkie, rozwiało się już zupełnie. On zarządzał polami golfowymi między P'yönghae i Yöngdök.

– Grywasz w gofla, Pyo? Nie? Wiesz, golf to więcej niż gra, to zawodowa szansa.

Powiedział, że pole w Paegam za chwilę będzie mieć jedno czy dwa wolne miejsca; 54-dołkowe, otwarte w każdą pogodę, zieleń, że aż się chce polizać, jeziorka i fontanny tak wspaniałe, jak w wodnych ogrodach Ukochanego Przywódcy. Od jego rechotu robiło mi się niedobrze.

– Przebiliśmy miejscowy motłoch z niższej warstwy w przetargu na dostęp do nawadniaczy. Tylko powołaj się na mnie w rozmowie z naszymi ludźmi od członkostwa: Widzący Kwon.

Ok-Kyun Pyo wprost promieniał wdzięcznością.

Widzący Kwon, zadowolony, zaczął opowiadać swoją historię życia egzeka, lecz jego żona rzuciła niedopałek marlboro z mostu za Zizzi Hikaru, wsiadła do forda, wcisnęła klaxon i bez przerwy trąbiła, a białe i czarne papugi podrywały się całymi chmurami q niebu. Egzek rzucił Hae-Joo ponury uśmiech i doradził mu, żeby po ślubie zapłacił więcej dolarów i począł syna. Gdy odjeżdżał, modliłam się do Siddharthy, żeby jego ford wypadł z hukiem przez barierkę.

Uważałaś, że był mordercą?

Na tyle płytkim, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Ale nienawidzić ludzi takich, jak Widzący Kwon, to żywić nienawiść do całego świata.

Nie do całego świata, Archiwisto: wyłącznie do Dżucze i Korpokracyjnej Piramidy.

Kiedy w końcu dotarliście do Pusan?

Gdy zapadł zmrok. Hae-Joo pokazał mi chmury exxonu z rafinerii w Pusan, o barwie przechodzącej od arbuзовych różów aż po szarości antracytu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział.

Wjechaliśmy na północne obrzeża Pusan nieOczoną polną drogą. Hae-Joo zostawił forda w depozycie w zamykanym garażu na przedmieściu Sömyön i pojechaliśmy metrem do Galerii na placu Ch'oryang; jej franczyzy były takie same, jak w Wangshimni. Opieqniki-fabrykanty

gnały za egzekutowymi podopiecznymi; przechadzające się dostojnie pary taxowały spojrzeniem dostojne przechadzanie się innych par; sponsorowane przez korporacje 3D rywalizowały, które olśni najbardziej i przyćmi wszystkie pozostałe. W starszej, tylnej części galerii właśnie odbywał się retrofestiwal – akwizytorzy sprzedawali mieszczące się w dłoni osobliwości, „przyjaciół na całe życie”: bezzębne krokodyle, maleńkie pisklęta z małpimi łebkami, jonaszoryby w słoikach. Hae-Joo powiedział, że umierają w ciągu czterdziestu ośmiu godzin po zabraniu ich do domu. Cyrkowiec zachwalał przez megafon atrakcje: „Największy dziw świata – dwugłowy schizofrenik!”, „Zobaczcie na własne oczy Madame Matrioszkę i jej ciężarny embrion!”. W barach siedzieli czystokrwisci marynarze z całej Nea So Copros, flirtując z pocieszycielkami pod czujnym okiem mężczyzn z AlfoCorp. Widziałam ogorzałych Himalajczyqww o twarzach szorstkich, niczym niewygarbowana zwierzęca sęra, Chińczyqww Han, mężczyzn z ludów bajkalskich – o mocnym zaroście, lecz bladej cerze, Uzbeqww z brodami, żylastych Aleutów, Wietnamczyqww i Tajów z twarzami o barwie miedzi. Reklawizje w domach pocieszenia obiecywały spełnienie każdego grzesznego marzenia czystokrwistego konsumenta. „Jeśli Seul jest wierną małżonką Członka Rady” – powiedział Hae-Joo – to Pusan jest jego kochanką, która właśnie ściągnęła majteczki”.

Boczne uliczki stawały się coraz węższe; wiatr wiejący alejkami toczył po ziemi butelki i puszki; mijały mnie w pośpiechu zakapturzone postacie. Hae-Joo ujął mnie za ramię i przez dyskretne, nierzucające się w oczy drzwi poprowadził jasno oświetlonym tunelem do bramy zagrodzonej kratownicą; na jednym z bocznych okien widniał napis POSESJA QKJE. Hae-Joo nacisnął dzwonek. Zaszczekały psy; listewki żaluzji rozchyliły się i para bliźniaczych wielkich kłów, jak u szablozębnych bestii, zaśliniła się tuż przy szybie, aż podskoczyłam. Owłosiona kobieta rozsunęła żaluzje i spojrzała na nas; jej twarz rozpromieniła się na widok Hae-Joo.

– Nun-Hel Han! – wykrzyknęła. – Nie było cię prawie rok! I nic dziwnego, jeśli plotki o twoich bijatykach były choć w połowie prawdziwe. Jak tam Filipiny?

Akcent Hae-Joo nagle zrobił się twardy i chropawy; spojrzałam nawet, żeby sprawdzić, czy to na pewno on stoi nadal koło mnie.

– Toną, pani Lim, toną w szybkim tempie. – Tylko półzartem zapytał, czy już wynajęła jego sypialnię.

– Prowadzę dom godny zaufania! – Udała obrażoną, sprawdzając przy tym xięgę rachunkową i ostrzegając, że będzie potrzebowała świeżego wpływu dolarów, jeżeli jego następna podróż ma być tak długa jak poprzednia. Kratownica podniosła się i kobieta spojrzała na mnie. – Ale jeśli twoja śliczna zostanie dłużej niż tydzień, poqj jednoosobowy liczony będzie jak dwójka. Takie zasady, czy się podoba, czy nie. Mnie wszystko jedno.

Marynarz Nun-Hel Han odrzekł, że zostanę z nim tylko jedną albo dwie noce.

– Po jednej w każdym porcie. – Rzuciła chytre, nieprzyjemne spojrzenie. – Czyli to, co o tobie mówią, to prawda.

Była z Unii?

Nie. Właścicielki takich ludzkich przechowalni zajądają własną matkę, jeśli mogą zarobić na tym jakieś dolary; a dużo więcej mogłyby zarobić, zajądając Unionistę. Ale, jak mówił Hae-Joo, właścicielki przechowalni odstraszały też takich, co mogłyby zadawać zbyt wiele pytań, i zapewniały doskonały kamuflaż. Na obszarnej klatce schodowej rozbrzmiewały odgłosy wielu kłótni i głośnych 3D; na szczęście, przywykłam już do schodów. Na dziewiątym piętrze korytarz jak tunel kornika doprowadził nas do odrapanych drzwi. Hae-Joo wyciągnął ukryty w zawiasie kawałek wykałaczków, zauważając, że kierownictwo uległo fatalnemu przyływowi uczciwości.

W pokoju był zatechły materac, niewielka, schludna szafka, szafa ubrań na każdy klimat, podrasowany cyfrowo kodak, na którym białe prostytutki dosiadały Nun-Hel Hana i jego dwóch towarzyszy, pamiętki z Dwunastu Współmiast oraz pomniejszych portów i, oczywiście, oprawiony kodak przedstawiający Ukochanego Przywódcę. Marlboro ze śladami szminki chwiało się na puszcze piwa. Żaluzje w oknach były zamknięte.

Hae-Joo wziął prysznic i przebrał się na całonocne zebranie swojej komórki, ostrzegając mnie, żebym pod żadnym pozorem nie podnosiła żaluzji i nie otwierała nikomu drzwi ani nie odbierała telefonu, chyba że on albo Apis podadzą zakodowane hasło: napisał na kawałek kartki NAWET RZECZY PŁACZA, a potem spalił go w popielniczce. Mydło dla mnie stało w lodówce, a on obiecał, że wróci tuż po końcu zaciemnienia następnego ranka.

Czy tak wybitny uciekinier nie zasługiwał na wystawniejsze przyjęcie?

Wystawne przyjęcia zwracają uwagę. Przystudiowałam na sonym geografii Pusan, wchłonęłam wieczorne Mydło, wzięłam prysznic, potem spałam do szóstej trzydzieści, aż wyglądający na wyczerpanego Hae-Joo wrócił z całą torbą *ttökbukgi* na wynos, które wypełniło pokój ostrym zapachem. Zrobiłam mu filiżankę starbaxa; chociaż jedno, co mi się przydało z dnia w PapaSongu. Wypił z wdzięcznością. Potem poprosił mnie, żebym stanęła przy oknie i zakryła rękami oczy.

Posłusznie stanęłam. Żaluzja poszła w górę, skrzypiąc przy tym zastałymi rolkami.

– Nie patrz... – nakazał Hae-Joo. – A teraz otwórz oczy.

W słońcu migotało mrowie dachów, autostrad, tłumów podróżnych, reklawizji, betonu... a daleko w tle osad nieba zatonął w miejscu, gdzie cała bolesć słowa „jestem” rozplywała się w błękitnym spokoju.

Powiedział głośno.

– Ocean.

Nigdy wcześniej nie widziałas oceanu?

Tylko na sonych, na 3D Papy Songa o Uniesieniu i w książce Yoony; nigdy nie widziałam go naprawdę, na własne oczy. Pragnęłam iść przed siebie i go dotknąć, spacerować wzdłuż wybrzeża.

Hae-Joo uważał, że najbezpieczniej będzie, jeżeli za dnia pozostaniemy w ukryciu, aż przeniosą nas do innej siedziby, gdzieś dalej, w bardziej odludne miejsce. Potem położył się na materacu i po minucie już głośno chrapał.

Mijały godziny; w prześwitach między budynkami, przez które było widać ocean, patrzyłam na frachtowce i okręty wojenne. Kobiety z niższych warstw suszyły znoszoną bieliznę na sąsiednich dachach. Później niebo zachmurzyło się bardziej; aera przewalały się z łoskotem na tle pancerza chmur. Obserwowałam je. Zaczęło padać. Hae-Joo przewrócił się we śnie na drugi bok, bełkocząc: „Nie, tylko znajomy znajomego” – i znowu zamilkł. Ślina ściekała mu z ust, wilgociąc poduszkę. Pomyślałam o profesorze Mephi; podczas naszego ostatniego seminarium mówił o wyobcowaniu od rodziny i przyznał się, że więcej czasu spędził, ucząc mnie niż własną córkę.

Po południu Hae-Joo obudził się, wziął prysznic i zaparzył herbatę z żeń-szenia. Zazdroszczę czystokrwistym ich qchni; przed moim podniesieniem Mydło wydawało mi się substancją o smak najwspanialszym z możliwych, ale teraz miało smak drewniany i nijaki. Gdy jem to, co czystokrwisci, mam wymioty. Unionista zaciągnął żaluzje.

– Czas nawiązać łączność.

Następnie wyjął kodaka Ukochanego Przywódcy z ramki na ścianie i położył go twarzą do blatu na niskim stoliku. Podłączył sonego do gniazdka ukrytego w ramce.

Nielegalny nadajnik? Ukryty w kodaq architekta Nea?

Sacrum to dobra kryjówka dla profanum: obydwie strony są bardzo do siebie podobne. Coraz wyraźniej widoczne zaczęło stawać się 3D mężczyzny; wydawał się ofiarą poważnych poparzeń, leczoną tanim kosztem. Usta otwierały mu się z lekkim asynchronem w stosunku do wypowiedzanych słów. Pogratulował mi bezpiecznego dotarcia do celu i zapytał, kto był ładniejszy z twarzy, on czy karp?

Odpowiedziałam uczciwie: karp.

Śmiech An-Kor Apisa przeszedł w kaszel.

– To moja prawdziwa twarz, cokolwiek to znaczy. – Powiedział, że jego odrażający wygląd bardzo mu odpowiadał, bo egzekwery bali się czymś się od niego zarazić. Następnie zapytał, czy podobała mi się wycieczka przez nasz ukochany kraj.

– Hae-Joo wspaniale się mną opiekował – odrzekłam.

Generał Apis zapytał, czy rozumiem, jaką rolę Unia ma dla mnie do wypełnienia?

Powiedziałam, że rozumiem, ale przerwał mi, nim zdążyłam z wielką niechęcią oznajmić własne niezdecydowanie.

– Zanim cokolwiek postanowisz, chcemy, żebyś zobaczyła w Pusan pewien widok, przeżyła twórcze doświadczenie – zaczął Apis. Ostrzegł mnie, że to nie będzie przyjemne, lecz jest absolutnie konieczne. – Do tego, żebyś mogła podjąć gruntownie przemyślaną decyzję na temat swojej przyszłości z nami. – Jeśli wyraziłabym zgodę, komendant Im zaprowadziłby mnie teraz we właściwe miejsce.

Zadowolona, że mogę jeszcze trochę wygrać na czasie, zgodziłam się pójść.

– Zatem już niedługo będziemy znowu w kontakcie – zapewnił Apis, rozłączając swój wizjer.

Hae-Joo wyjął z szafy dwa kombinezony techników i dwie maski ochronne; włożyliśmy je, a na wierzch zarzuciliśmy płaszcze, żeby strojów nie widziała nasza gospodyni. Na zewnątrz było zimno, jak na tę porę roku i cieszyłam się, że mamy na sobie podwójną warstwę ubrań. Pojechaliśmy metrem do terminalu portowego i taśmociągami zjechaliśmy do miejsc cumowania przy nabrzeżu, mijając po drodze wielkie statki oceaniczne. Morze nocą było oleiste i czarne; ale jeden ze statków pulsował dwoma złotymi łukami i przypominał podmorski pałac. Widziałam go już wcześniej, w poprzednim życiu.

– Złota Arka Papy Songa! – wykrzyknęłam, mówiąc Hae-Joo, że to właśnie ten statek wiozł na swoim pokładzie do Uniesienia na Hawajach dwunastogwiazdne usługujące.

Hae-Joo wiedział; wchodziliśmy na pokład Złotej Arki.

Kontrola bezpieczeństwa na trapie była minimalna; czystokrwisty o zaćmionym spojrzeniu siedział z nogami na biurku, oglądając 3D z fabrykantami-gładiatorami walczącymi w Koloseum w Szanghaju.

– A wy dokąd? Hae-Joo błysnął Duszą:

– Technik piątej warstwy Man-Shik Gang. – Zerknął na swojego ręcznego sonego i odczytał, że został przysłany, by recalibrować termostat na pokładzie siódmym.

– Siódmym? – prychnął wartownik. – Mam nadzieję, że nie jesteś dopiero co po jedzeniu.

Potwierdziwszy zlecenie, strażnik przyjrzał się mnie. Wbiłam wzrok w podłogę.

– A kim jest ta tutaj mistrzyni słownych maratonów, Gang?

– To moja nowa pomocnica – odrzekł Hae-Joo. – Techniczka-asystentka Yoo.

– No proszę. Dzisiaj pierwszy raz w naszym przybytku rozkoszy? Kiwnęłam głową.

Strażnik odrzekł, że nie ma to jak pierwszy raz. Leniwie chuśtał nogą. Machnięciem ręki

wpuścił nas na pokład.

Dostanie się na pokład korpostatq było aż takie proste?

Złota Arka Papy Songa nie jest, Archiwisto, największym na świecie magnesem dla osób, które nielegalnie chciałyby wejść na pokład. Załoga i pomocnicy uwijali się w przejściach, zbyt zajęci własnymi zadaniami, żeby nas zauważyć. Szyby techniczne były puste; zesliśmy w samo podbrzusze arki. Nasze najki dudniły na metalowych stopniach schodów. Gdzieś warczał olbrzymi silnik. Wydawało mi się, że słyszę śpiew. Hae-Joo sprawdził coś na planie poziomym, otworzył rygiel jednego z włazów i nabrał powietrza, jakby chciał coś mi powiedzieć.

Zmienił zdanie, wspiął się do środka, a potem pomógł mi wejść i zamknął za nami właz.

Znalazłam się na chodniq wiszącym pod dachem wielkiej ładowni; jej drugi koniec zasłaniały kłapy, nie było też wystarczająco dużo miejsca, żebyśmy mogli stanąć wyprostowani. Przez kratownicę podłogi chodnika zobaczyłam około dwustu dwunastogwiedznych usługujących z PapaSonga, przepuszczanych przez obrotowe bramki; mogły iść tylko przed siebie. Yoony, Hwa-Soony, Ma-Leu-Da, Sonmi, niektóre starsze siostry macierzyste, których nie rozpoznawałam. Było to bardzo nierzeczywiste wrażenie – widzieć teraz swoje byłe siostry poza PapaSongiem. Śpiewały Psalm Papy Songa, powtarzając go jak litanię. Ich muzyka splatała się z bulgotem rur w tle. Jak wielkim szczęściem przepelniony był ich śpiew. Spłaciły Inwestycję; właśnie rozpoczynała się ich wielka podróż na Hawaje; niedługo miały zacząć nowe życie w Uniesieniu.

Zazdrościłaś im?

Zazdrościłam im pewności tego, co je czeka.

Mniej więcej co pięćdziesiąt sekund stojący z przodu pomocnik wpuszczał następną usługującą przez złote łuki. Za każdym razem siostry klaskały w ręce; dwunastogwiedzna, którą spotykało to szczęście, odwracała się, machała ręką i przechodziła przez bramkę, by ktoś zaprowadził ją do jej kabiny. Obracająca się bramka przesuwawała fabrykanty w kolejce o jedno miejsce bliżej. W końcu Hae-Joo klepnął mnie w nogę i dał znak, żebyśmy na czworakach przepełzli do kłapy oddzielającej wiszący chodnik od następnego pomieszczenia.

Przecież ktoś mógł was zobaczyć?

Pod naszym chodnikiem wisiały jasne punktowe lampy; z dołu byliśmy niewidoczni. A poza tym, nie byliśmy intruzami, tylko technikami przeprowadzającymi konserwację urządzeń.

Następna komnata była w rzeczywistości zamkniętą celą. Na podwyższeniu stało plastikowe krzesło; tuż nad nim wisiał hełm, połączony z masywnym mechanizmem, zwieszonym z pojedynczej szyny na suficie. Trzech uśmiechniętych Pomocniq w ubranych w szkarłatne stroje Papa Songa zaprowadziło usługującą na krzesło. Jeden z nich wytłumaczył,

że hełm posłuży do zdjęcia jej obroży, jak obiecywał Katechizm Dziesiąty.

– Dziękuję, Pomocniq – wyszeptła podniecona usługująca. – Bardzo, bardzo dziękuję!

Na głowie i szyi Sonmi umieszczono hełm; w tym momencie zwróciłam uwagę na liczbę drzwi w celi. Przebiegł mnie zimny dreszcz.

Co było dziwnego w drzwiach?

Drzwi były jedne: wejście z poczekalni. Tylko jedne drzwi. Którędy wyszły stamtąd wcześniej wszystkie usługujące? Ostre kliknięcie hełmu zwróciło moją uwagę na podwyższenie w podłodze, bezpośrednio pod hełmem; usługująca opadła bezwładnie na krzesło, jej oczy wywróciły się w tył, pokazując białka; kable łączące mechanizm hełmu z szyną na suficie napружиły się; hełm się uniół; wyprostował usługującą na krzesło, a następnie podniósł ją w górę nad podłogę. Jej bezwładne ciało tańczyło stepującą taniec; rozradowany uśmiech, który zastygł na martwej twarzy jeszcze się pogłębił, gdy sępa twarzy napięła się lekko pod ciężarem ciała. Jeden z pracowników elektroluxem wessał krew z plastikowego krzesła; inny wytarł je do czysta. Hełm na szynie przewiózł swój ładunek równolegle do naszego chodnika, a potem przez klapę do następnego pomieszczenia. Nad plastikowe krzesło opuścił się nowy hełm, a trzech Pomocniqw sadzało już kolejną podnieconą usługującą.

Hae-Joo wyszeptał mi do ucha:

– Tych nie możesz już ocalić, Sonmi. Gdy weszły na pokład, ich los był przypieczętowany.

Mylił się tylko w niewielkim stopniu; tak naprawdę ich los był przypieczętowany już w wylęgarniach.

Bolec strzelił w kolejny hełmie. Usługującą była Yoona.

Horror owego pomieszczenia trudno dokładnie oddać słowami lub nawet ogarnąć go myślą; można go jedynie przeżyć.

Na czworakach przeszliśmy dalej przez dźwiękoszczelną śluzę. Hełmy wiozły zwłoki do fioletowo oświetlonego pomieszczenia z łukowym sklepieniem; gdy przeszliśmy przez klapę, gwałtownie spadły celsjusze, a huk maszynierii niemal nas ogłuszył.

Pod nami ciągnęła się linia produkcyjna rzeźni, jej pracownicy trzymali w rękach nożyce, wielkie piły, narzędzia, których nazw nawet nie znałam... wszyscy obryzgni krwią od stóp do głów, jak w upiornej wizji piekła. Stożące pod nami diabły zrywały obroże, ubrania, zeskrobywały torebki włosowe, oddzierały sęprę, odcinały ręce i nogi, kroili mięso w plasty, wyjmowały narządy... Pompy ssące elektroluxowały krew... hałas był potężny i wszechogarniający.

Ale... dlaczego... co taka hekatomba miałyby mieć na celu?

Branża genomiki potrzebowała ogromnych ilości płynnej biomasy do wylęgarni, ale przede wszystkim – do produkcji Mydła. Czy może istnieć bardziej ekonomiczna metoda dostarczania protein w Mydle, niż recyklowanie fabrykantów i fabrykant, którzy dożyli końca cyklu pracy? Do tego resztki „odzyskanego białka” zużywano do wytwarzania produktów żywnościowych dla PapaSongu, zjadanych przez konsumentów w jego restauracjach w całej Nea So Copros.

Nie. Mordowanie usługujących, aby zapewnić restauracjom dostawy żywności i Mydła... nie. Takie oskarżenie jest... niedorzeczne. Nie zaprzeczam, że to wszystko widziałas, ale to musiała – musiała! – być robota Unii... wszystko zaaranżowane po to, żeby wyprać ci mózg. Żaden taki „statek-rzeźnia” nie mógłby istnieć, nie pozwolono by na to. Ani Ukochany Przywódca, ani Dżucze nie pozwoliłoby na taką deprawację! Jeśli fabrykantom nie odpłacano by za pracę, otwierając przed nimi życie w społecznościach postprodukcyjnych, cała Piramida byłaby... najohydniejszą perfidią. Prawa biznesu.

Ale... dlaczego to nie wyszło na jaw w czasie twojego procesu?

Muszę kolejny raz powtórzyć, Archiwisto: mój „proces” nie był procesem, lecz kolejną wprawką w kształtowaniu opinii publicznej.

Tak, ale twoje insynuacje to koszmar!

Owszem, ale to przecież nie znaczy, że koszmary nie mogą istnieć. Czy znasz osobiście kogokolwiek, kto był kiedyś w Uniesieniu? Gdzie naprawdę usługujące udają się po zakończonej pracy? Nie tylko usługujące: setki tysięcy fabrykantów i fabrykant, którzy co rano kończą aktywne życie. Gdzie leżą ich Współmiasta?

A co ze wszystkimi 2D o Hawajach? Sama je oglądałaś u Papy Songa pod Chongmyo Plaza. Masz dowód.

Uniesienie to wyświetlane na sonych złudzenie, cyfrowane w Neo Edo. Na prawdziwym hawajskim archipelagu nie ma takiej miejscowości. Wiesz, podczas moich ostatnich tygodni w PapaSongu wydawało mi się, że sceny z życia w Uniesieniu powtarzają się. Te same Hwa-Soony biegły po tej samej piaszczystej plaży do tego samego jeziora wśród skał. Moje niepodniesione siostry nie zwracały na to uwagi, a ja w tym czasie kwestionowałam własny rozsądek; ale teraz już wiem, co się działo.

Nie, nie, to nie do przyjęcia – nie jestem w stanie pojąć – jak takie zło mogło zapaść korzenie w naszym cywilizowanym państwie. Prawo Nea So Copros jest oparte na sprawiedliwym handlu.

W mojej piątej *Deklaracji* opisuję, jak prawo to stopniowo erodowało. To cykl tak stary, jak stare jest życie plemienne. Zaczyna się od niewiedzy. Niewiedza rodzi strach. Strach rodzi nienawiść, a nienawiść przemoc. Przemoc prowadzi do dalszej przemocy, aż każde prawo staje się jedynie tym, czego pragną najsilniejsi. Dżucze pragnie stworzyć, podporządkować sobie, a następnie w zorganizowany i czysty sposób exterminować ogromne plemię ogłupionych niewolników.

Twoje Świadczenie pozostanie zapisane tak, jak je przedstawiasz. Muszę – musimy – iść dalej... Jak długo przyglądałaś się rzeźni, którą opisujesz?

Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że potem Hae-Joo poprowadził mnie przez stołówkę. Czystokrwisci grali w karty, jedli kluski, palili marlboro, wysyłali maile, żartowali, wszystko było normalne. Wiedząc, co dzieje się na dole statku... jak mogli po prostu siedzieć tak, jakby pracowali przy produkcji puszek sardynek? Strażnik z brodą obdarzył mnie rozpromienionym uśmiechem, mówiąc: „Wracaj szybko, kwiatuś”.

W metrze podróżni się chwiali; „widziałam” zwłoki na szynie. Wchodząc po schodach, „widziałam” zwłoki wywożone z sali egzekucji. W swoim pokoju Hae-Joo nie włączył solaru; podniósł tylko żaluzję o kilka cali, żeby wpadające światła miasta rozproszyły ciemność. Nalał sobie szklankę sodzu. Od wyjścia z rzeźni nie padło między nami ani jedno słowo.

Ja jedna ze wszystkich moich sióstr widziałam prawdziwe Uniesienie i przeżyłam.

Nasz sex był pozbawiony radości i wdzięku, z konieczności improwizowany; ale był aktem życia. Gwiazdeczki potu na plecach Hae-Joo były jego darem dla mnie; zebrałam je językiem.

Hae-Joo nerwowo wypalił marlboro w zupełnej ciszy i z ciekawością przyglądał się mojemu znamieniu. Zasnął koło mnie, całkowicie przygniatając mi ramię. Nie budziłam go; ból w ręce zmienił się w zdrętwienie; zdrętwienie przeszło w mrowienie i igielki; potem wyciągnęłam spod niego ramię. Przykryłam go kocem: czystokrwisci przeziębają się nawet gdy jest ciepło. Pusan szykowało się do zaciemnienia. Rozmazany miejski blask przygasł, gdy wyłączono reklamizację i światła. Ostatnia usługująca z ostatniej kolejki na pewno już nie żyła. Linia produkcyjna hekatombi stała już oczyszczona i cicha; rzeźnicy, jeśli to byli fabrykanci, leżeli już na swoich posłaniach. Złota Arka popłynie jutro do nowego portu, gdzie recykling rozpocznie się od nowa.

O godzinie zero wchłonęłam Mydło i weszłam pod koc do Hae-Joo. Miał ciepłe, młode ciało, pełne życia, pomimo koszmaru, którego byliśmy świadkami. Właśnie z powodu tego koszmaru stłumiliśmy jego wspomnienie w sposób, w jaki mogą to uczynić mężczyzna i kobieta.

Ale nie byłaś zła na niego i na Apisa, że pokazali ci Złotą Arkę, nie przygotowując cię wcześniej na tak ekstremalny wstrząs?

Nie. Co mieliby mi powiedzieć? Jakimi słowami?

Ranek przyniósł wilgotną, lepką mgłę. Hae-Joo wziął prysznic, a potem pochłonął ogromną miskę ryżu, kiszoną kapustę, jajka i zupę z glonów. Pozmywałam; mój czystokrwisty kochanek siedział naprzeciw mnie przy stole.

Odezwałam się, pierwszy raz, odkąd zobaczyłam linię odzyskiwania białka. Powiedziałam:

– Ten statek trzeba zniszczyć; każdy statek-rzeźnia w Nea So Copros musi zostać zatopiony.

Hae-Joo odrzekł:

– Tak.

Mówiłam:

– Stocznie, które je wybudowały, muszą zostać zburzone; systemy, które ułatwiły ich budowę, muszą zostać zdemontowane; prawa, które pozwalają tym systemom na istnienie, muszą zostać obalone.

Hae-Joo odrzekł:

– Tak.

Mówiłam:

– Każdego konsumenta, egzeka i Członka Rady w Nea So Copros trzeba przekonać, że fabrykanci są czystokrwisci; jeśli tłumaczenie nie pomoże, podniesieni fabrykanci muszą walczyć u boju Unii, by osiągnąć ten cel, używając każdego koniecznego środka.

Hae-Joo odrzekł:

– Tak.

Powiedziałam:

– Podniesieni fabrykanci potrzebują Katechizmu: aby nauczył ich praw; aby ujarzmił i spożytkował ich gniew; odpowiednio pokierował ich energią. – Ja miałam być fabrykantą, która miała spisać te słowa. Zapytałam, czy Unia rozpowszechniłaby taką deklarację praw?

Hae-Joo odrzekł:

– Nigdy nawet nie waż się w to wątpić.

Wielu ekspertów, świadków na twoim procesie, zaprzeczyło, jakoby *Deklaracje* były

dziełem fabrykanty, podniesionej czy nie, i utrzymywało, że w rzeczywistości napisał je czystokrwisty Abolicjonista.

„Experci” z nadmiarem lenistwa odrzucają to, czego nie są w stanie zrozumieć!

Napisałam *Deklaracje* w Ulsukdo Ceo, poza granicami Pusan, w opuszczonej willi egzeqw, wychodzącej na ujście Nakdong. Podczas ich spisywania konsultowałam się z sędzią, genomistą, syntaktystą i An-Kor Apisem; ale *Deklaracje*, będące Katechizmami Podniesionych, ich logika i etyka, okrzyknięte na moim procesie „najbardziej odrażającą niegodziwością w historii dewiacji społecznych”, były owocem mojego umysłu, Archiwisto. *Deklaracje* zakiełkowały we mnie, gdy Widzący Rhee okaleczył Yoonę~939; rosły przy Boom-Sooq i Fangu; Mephi i Xieni dodały im siłę; a w pełni zrodziły się w rzeźni PapaSongu.

Pochwycono cię wkrótce po tym, jak skończyłaś je pisać?

Tego samego popołudnia. Gdy wypełniłam już swoją funkcję, puszczenie mnie wolno wiązało się z ogromnym ryzykiem. Moje aresztowanie udratyzowano na potrzeby Mediów. Wręczyłam Hae-Joo *Deklaracje* na sonym. Spojrzeliśmy na siebie po raz ostatni; nic, co moglibyśmy powiedzieć, nie było tak wymowne, jak trwanie w milczeniu. Wiedziałam, że nigdy już się nie spotkamy; być może on wiedział, że wiedziałam.

Na skraju posiadłości niewielka kolonia dzikich kaczek przetrwała zanieczyszczenie środowiska; zmutowane geny dają im odporność, której brakowało ich czystokrwistym przodkom. Nakarmiłam je chlebem, patrzyłam, jak łyżwicy marszczą chromową powierzchnię wody, a potem wróciłam do domu, żeby stamtąd móc oglądać przedstawienie. Jednomyslność nie kazała mi długo czekać.

Nad wodą nagle zjawilo się sześć aer; jedno wylądowało w ogródce z tyłu. Wskoczyli z niego agenci, odbezpieczając kolty, i zygzakiem, nawzajem się kryjąc, podkradli się do mojego okna, bardzo dużo machając przy tym do siebie rękami i biegając z demonstracyjną brawurą. Zostawiłam im otwarte okna i drzwi, ale oni odgrywali widowiskowe obłężenie ze snajperami i megafonami.

Chcesz powiedzieć, Sonmi, że spodziewałaś się nalotu?

Kiedy skończyłam pisać mój manifest, następnym etapem mogło być wyłącznie moje aresztowanie.

Jak to? „Następnym etapem” czego?

Teatralnego spektaklu, którego scenariusz powstał, gdy byłam jeszcze usługującą w PapaSongu.

Zaraz, zaraz, zaraz... A to wszystko? Chcesz powiedzieć, że całe twoje... wyznanie jest złożone z wydarzeń wcześniej rozpisanych na sceny?

Główne wydarzenia – tak. Niektórzy zagrali w tym przedstawieniu nieświadomie i przez przypadek: na przykład, Boom-Sook i Xieni, ale większość aktorów to prowokatorzy. Hae-Joo Im i Członek Rady Mephi byli nimi bez wątplenia. Nie zauważyłeś drobnych pęknięć?

Jakich?

Wing~027 był tak samo stabilnym podniesionym jak ja; czy byłam więc aż tak wyjątkowa? Czy Unia naprawdę ryzykowałaby bezpieczeństwo swojej tajnej broni, wysyłając ją na eskapadę przez cały kraj? Czy zamordowanie fabrykanta Zizzi Hikaru przez Widzącego Kwon na wiszącym moście nie podkreślało brutalności czystokrwistych w sposób zbyt dobitny; czy przypadkowy moment morderstwa nie był przypadkowy aż za bardzo?

No a Xi-Li, czystokrwisty chłopak zabity tamtej nocy, kiedy uciekliście z Taemosan? Przecież jego krew... to nie była farba!

Biedny idealista. Był zbytecznym statystą w disneju Jednomyślności.

Ale... Unia? Uważasz, że nawet Unię wymyślono na potrzeby scenariusza?

Nie: Unia istniała przede mną, ale jej *raison d'être* to nie wzniecanie rewolucji. Po pierwsze, przyciąga społecznych malkontentów, jak Xi-Li i trzyma ich tam, gdzie Jednomyślność może ich obserwować; po drugie, Nea So Copros ma w niej użytecznego wroga, którego potrzebuje każde hierarchiczne państwo dla zachowania społecznej spójności.

Nadal nie rozumiem, dlaczego Jednomyślność miałaby zadawać sobie tyle trudu i organizować tę wyreżyserowaną awanturę?

Żeby doprowadzić do pokazowego procesu, Archiwisto! Żeby sprawić, że każdy co do jednego czystokrwisty w Nea So Copros będzie nieufny wobec każdego bez wyjątku fabrykanta i każdej fabrykanty. Żeby wymusić zgodę na Ustawę o Ograniczeniu Wolności Fabrykantów, którą przedstawiono Dżucze. Żeby zdyskredytować Abolicjonizm. Cała ta konspiracja była oszałamiającym sukcesem.

Ale jeżeli wiedziałaś o tej konspiracji, dlaczego z nimi współpracowałaś?

A dlaczego męczennik współpracuje z judaszami? Widzi w dalszej perspektywie inny koniec historii.

A ty widzisz jaki?

Deklaracje. Media załapy Nea So Copros moimi Katechizmami. Każdy uczeń w Nea So Copros zna dziś moje dwanaście „błuznierstw”. Strażnicy powtarzają mi, że mówi się nawet o ogólnopanstwowym „Dniu Czujności” przeciw fabrykantom, którzy wykazują symptomy rodem z *Deklaracji*. Moje idee zostały powielone w miliardach egzemplarzy.

Ale co ma z tego wyniknąć? Jakieś przyszłe rewolucje?

Korpokracji, Jednomyślności, Ministerstwu Świadectw, Dżucze i Przewodniczącemu przytaczam ostrzeżenie, jakiego Seneka udzielił Neronowi: choćbyś nie wiem ilu nas zabił, nigdy nie zabijesz swojego następcy.

Dwa ostatnie krótkie pytania. Żałujesz, że tak potoczyło się twoje życie?

Jak mogę tego żałować? „Żałować” można wyborów błędnych, lecz dokonanych z własnej woli; wolna wola nie odgrywa w mojej opowieści najmniejszej roli.

Kochałaś Hae-Joo Ima?

Powiedz Przywódcy Narcyzmu, że będzie musiał w tej sprawie skonsultować się z przyszłymi historykami. Już skończyłam opowieść. Możesz wyłączyć srebrną antyfonę, Archiwisto. Mam niewiele czasu i chcę, żebyście spełnili moje ostatnie życzenie.

Dobrze... jakie?

Chcę skorzystać z twojego sonetu i kodów dostępu.

Co życzysz sobie pobrać?

Życzę sobie do końca obejrzeć film, który zaczęłam oglądać, gdy przez jedną godzinę w całym moim życiu czułam się szczęśliwa.

Upiorna udreka Timothy’ego Cavendisha

– Panie Cavendish? Już się obudziliśmy?

Wąż z czarnej lukrecji wije się na kremowym tle i wyostrza w polu widzenia. Piątka. Piąty listopada. Dlaczego tak mnie boli korzeń? To jakiś dowcip? O mój Boże, wsadzili mi rurkę w ptaka! Usiłuję się uwolnić, ale mięśnie mnie ignorują. Z butli w gorze jakiś płyn ścieka do innej rurki. Potem do igły w moim ramieniu. A z igły ścieka we mnie. Surowa twarz kobiety,

okolona włosami na pazia. Cmoknięcie dezaprobaty.

– Miał pan szczęście, że gdy pan upadł, był pan tutaj. Naprawdę wielkie szczęście, panie Cavendish. Gdybyśmy pozwolili panu wałęsać się po wrzosowiskach, pański trup leżałby teraz w jakimś rowie!

Cavendish, znajome nazwisko, Cavendish, kto to jest ten „Cavendish”? Gdzie ja jestem? Próbuję ją zapytać, ale mogę tylko piszczeć, jak Maleństwo Kangurzyca zrzucone z wieży katedry w Salisbury. Ogarnia mnie ciemność. Dzięki Bogu.



Szóstka. Szósty listopada. Już się tu kiedyś obudziłem. Obrazek z krytym strzechą wiejskim domkiem. Podpis po kornwalijsku, czy druidzku.

Rurka, która siedziała w ptaku, zniknęła. Coś śmierdzi. Co? Moje łydki są uniesione, a tyłek wycierany szorstką, zimną, mokrą ścierką. Ekskrementy, kał, obrzydliwe, brudne, rozmazane... kupa. Usiadłem na rurce z tym czymś? Och. Nie. Jak to się stało? Próbuję walczyć ze ścierką, ale moje ciało tylko się trzęsie. Ponury robot patrzy mi w oczy. Porzucona kochanka? Obawiam się, że za chwilę mnie pocałuje. Cierpi na niedobór witamin. Powinna jeść więcej warzyw i owoców, śmierdzi jej z ust. Ale przynajmniej kontroluje swoje funkcje motoryczne. Przynajmniej potrafi skorzystać z toalety. Śnie, śnie, śnie, przybądź i mnie wyzwól.



Mów, Pamięci. Nie, ani słowa. Ruszam szyją. Allejuja. Timothy Langland Cavendish ma władzę w szyi i odzyskał nazwisko. Siódmy listopada. Pamiętam jakiegoś wczoraj i widzę jakiegoś jutro. Czas, żadna strzała, żaden bumerang, tylko akordeon. Odleżyny. Ile dni już tu leżę? Chyba spaszuję. Ile lat ma Timothy Cavendish? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Sto? Jak można zapomnieć własny wiek?

– Panie Cavendish?

Jakaś twarz wynurza się nad błotnistą powierzchnię.

– Ursula?

Kobieta zagląda mi w twarz.

– Czy Ursula była pańską małżonką, panie Cavendish?

Nie ufaj jej.

– Nazywam się Judd. Miał pan wylew. Rozumie pan? Drobny wylew.

„Kiedy to się stało?” – próbowałem zapytać.

A wyszło:

– Ee-dy-oe-ał?

Podśpiewuje sobie.

– Dlatego mamy tu chwilowo mały alarm. Ale niech się pan nie martwi. Dr Upward mówi, że robimy fantastyczne postępy. Nie pójdziemy do żadnego straszego szpitala!

Wylew? Wylewny? Rzeka wylała? Margo Roker miała wylew. Margo Roker?

Kim wy wszyscy jesteście? Pamięci, ty stara szmato.

Dedykuję powyższe trio krótkich form wszystkim szczęśliwym Czytelnikom, których umysły nigdy nie zostały zmienione w mielonkę przez pękające w mózgu naczynia krwionośne. Składanie Timothy’ego Cavendisha z powrotem do kupy było tołstojowską pracą edytorską, nawet dla kogoś, kto swego czasu skrócił dziewięć tomów *Historii higieny jamy ustnej na Wyspie Wight* do drobnych siedmiuset stron. Wspomnienia nie chciały do siebie pasować, albo pasowały, ale klej nie trzymał. Nawet wiele miesięcy później, skąd mogłem wiedzieć, czy jakaś poważna część mnie samego gdzieś się nie zagubiła?

Mój wylew był stosunkowo łagodny, to prawda, ale miesiące, które po nim nastąpiły, były okresem największych umartwień w moim życiu. Mówiłem zgoła spastycznie. Nie miałem najmniejszej władzy w rękach. Nie mogłem nawet podtrzeć sobie tyłka. Mój umysł telepał się we mgle, lecz byłem świadom własnej tępoty i mocno mnie ona zawstydziała. Nie mogłem zmusić się, żeby zapytać lekarza czy siostrę Sykes albo panią Judd: „Kim pani jest?”, „Jak się pan nazywa?”, „Czy my się znamy?”, „Gdzie mnie stąd zabiorą?”. Cały czas pytałem o panią Latham.

Basta! Cavendishowi wiedzie się nie najlepiej, ale wcale z nim nie koniec. Kiedy na podstawie *Upiornej Udręki Timothy’ego Cavendisha* nakręcą film, radzę Panu, Drogi Reżyserze, którego widzę jako poważnego, chodzącego w golfie Szweda imieniem Lars, aby wydarzenia owego listopada oddał pan montażem pt. „Bokser trenuje do wielkiej walki”. Niezłomny Cavendish bez mrugnięcia okiem przyjmuje zastrzyki. Ciekawy świata Cavendish odkrywa na nowo język. Zdziczały Cavendish zostaje powtórnie udomowiony przez dr. Upwarda i siostrę Sykes. Cavendish-John-Wayne chodzący z balkonikiem (awansowałem do laski, której nadal używam. Weronika mówi, że upodabnia mnie do Lloyda-George’a). Cavendish *à la* Carl Sagan-popularyzator nauki, opowiadający historie z wnętrza dmuchawca. Dopóki Cavendisha znieczulała amnezja, mógł mówić, że jest dość zadowolony. Teraz, Lars, trąć w złowieszczą strunę.

Pierwszego dnia grudnia (pokazywali kalendarze adwentowe) właśnie zaczęły się *Wiadomości o szóstej*. Samodzielnie zjadłem papkę z banana ze skondensowanym mlekiem i nawet nie rozlałem na śliniak. Obok nas przeszła siostra Sykes i wszyscy pensjonariusze zamilkli, jak rozśpiewane ptaki, gdy pada na nie cień jastrzębia.

W jednej chwili pas cnoty na mojej pamięci rozpiął się i spadł.

Raczej wolałbym, żeby się nie rozpinął. Moi „przyjaciele” w Aurora House byli prostakami z uwiadem starczym, którzy oszukiwali w scrabble z zadziwiającą niezdarnością, i którzy byli dla mnie mili wyłącznie dlatego, że w Królestwie Umierających osoba najbardziej Osłabiona była wspólną linią Maginota przeciw Niezwyciężonej Führerin. Byłem tu uwięziony przez mściwego brata już od miesiąca, więc najwyraźniej nie podjęto żadnych ogólnokrajowych poszukiwań. Musiałem sam zająć się własną ucieczką, ale jak miałem biec szybciej niż ogrodnik-mutant Withers? Jak miałem przechytrzyć Sykes z Czarnej Laguny, skoro nie pamiętałem nawet własnego kodu pocztowego?

Zgroza, zgroza. Papka z banana stanęła mi w gardle.



Ze zmysłami już w pełni władzy oglądałem grudniowe rytuały ludzi, przyrody i zwierząt. W pierwszym tygodniu grudnia staw pokrył się lodem i kaczki ślizgały się po nim zniesmaczone. Aurora House o poranku zamarzał, a kipiał wieczorami. Aseksualna salowa, imieniem Deirdre, przyczepiała błyszczącą folię do oprawek żarówek i – co nie dziwi – wcale jej przy tym nie raził prąd. W wiaderku owiniętym krepiną pojawiła się sztuczna choinka. Gwendolin Bendincks organizowała zbiorowe klejenia papierowych łańcuchów, na które zombie tłumnie przychodzili, a obydwie strony pozostawały całkowicie nieświadome ironii zawartej w tym obrazie. Każdy z zombie głośno domagał się, żeby właśnie on tego dnia mógł otworzyć okienko adwentowego kalendarza, którym to przywilejem Bendincks obdarzała ich, niczym Królowa rozdająca jałmużnę ubogim w Wielki Czwartek:

– Drodzy państwo, pani Birkin znalazła pyzatego bałwanka, wspaniale, prawda?

Służenie siostrze Sykes jako psy pasterskie było dla niej i dla Warlocka-Williamsa metodą przetrwania. Przywodziło mi to na myśl *Pogrążonych i ocalonych* Primo Leviego.

Dr Upward był matolem, na dodatek z Oskarem za arogancję. Pełno ich w szkolnej i akademickiej administracji, wśród prawników i lekarzy. Odwiedzał Aurora House dwa razy w tygodniu i jeśli w wieku pięćdziesięciu pięciu lat jego kariera zawodowa nie przebiegała tak, jak mogłoby sugerować jego nazwisko^[24], to tylko przez nas, przez cholerne przeszkody na drodze wszystkich Emisariuszy Uzdrawiania, przez chorych ludzi.

Skreśliłem go jako potencjalnego sojusznika, kiedy tylko go zobaczyłem. Również nikt z obsługi podcierającej pupki, ucierającej papki i szorującej wanny na pół etatu nie zamierzał narażać na szwank swojej wysokiej pozycji w hierachii, pomagając w ucieczce jednemu z podopiecznych.

Nie, utknąłem w Aurora House na dobre. Stałem w miejscu, jak zegar bez wskazówek. Nasza cywilizacja bez sensu wyśpiewuje co chwila „Melodię Wolności”, ale tylko ci, których wolności pozbawiono, mają choć cień przeczucia, czym ona tak naprawdę jest.

Kilka dni przed Narodzinami naszego Zbawiciela przyjechało minibusem stado bachorów z prywatnej szkoły, żeby śpiewać kolędy. Zombie śpiewali razem z nimi, myląc słowa i agonalnie rżąc. Cały ten harmider tylko mnie stamtąd wykurzył, nawet nie był zabawny.

Pokuśtykałem wokół Aurora House w poszukiwaniu straconego wigoru, co pół godziny czując, że muszę do WC. (Narządy Wenus wszyscy dobrze znają, ale, Bracia, organem Saturna jest pęcherz). Zakapturzone wątpliwości deptały mi po piętach. Dlaczego Denholme płacił moim oprawcom ostatnie srebrniki, by ubezwłasnowolnić mnie jak dziecko? Czyżby Georgette, której na starość puściły zwieracze dyskrecji, opowiedziała mojemu bratu o naszym krótkim zjeździe z autostrady wierności przed tak wielu laty? Czy pułapka, w którą wpadłem, to zemsta rogasza?



Matka zwykła mówić, że uciec można tylko do następnej książki. No więc nie, Mamusiu, nie całkiem. Twoje ulubione sagi o pucybutach, milionerach i złamanym sercach, dużą czcionką, słabiotko chroniły cię przed nieszczęściami, miotanymi w twoją stronę jak piłeczki tenisowe z wyrzutni życia. Prawda, że słabo? Ale owszem, Mamo, masz poniekąd rację. Książki nie dają prawdziwej ucieczki, ale mogą powstrzymać umysł, zanim sam siebie rozdrapie do krwi. Bóg mi świadkiem, że mógłbym zrezygnować ze wszystkiego, co było w Aurora House do roboty, oprócz czytania. Dzień po moim cudownym ozdrowieniu wziąłem *Okresy półtrwania* i, o bogowie, zacząłem się zastanawiać, czy Hilary V. Hush czasem jednak nie napisała całkiem przyzwoitego thrillera. Oczyma wyobraźni ujrzałem *Pierwszą Zagadkę Luisy Rey* w stylowym czarnym wydaniu ze złotym tłoczeniem, sprzedawaną przy kasach w Tesco; potem *Drugą Zagadkę*, potem *Trzecią*. Królowa Gwen (dolin Bendincks) dała mi zatemperowany ołówek 2B w nagrodę za nachalne pochlebstwa (misjonarzami bardzo łatwo manipulować, gdy zobaczą w tobie potencjalnego nawróconego) i zabrałem się do redagowania *Okresów* od deski do deski. Jedną czy dwie rzeczy trzeba będzie wyrzucić: na przykład, że Luisa Rey to kolejne wcielenie jakiegoś Roberta Frobishera. Zdecydowanie za bardzo hipisowsko-ćpunowo-mistyczne. (Ja też mam znamię pod lewą pachą, ale żadna kochanka nigdy nie porównała go do komety. Georgette nazywała je bobkiem). Ogólnie jednak stwierdziłem, że thriller z serii „idealistka kontra zła korporacja” ma potencjał. (Duch sir Feliksa Fincha zawodzi teraz: „Ależ to już było setki razy!”, jakby od czasów Arystotelesa do Andrew Droida-Webbera czegoś jeszcze nie było setki tysięcy razy! Jakby w Sztuce chodziło o Co, a nie o Jak!)

Moja praca redaktorska nad *Okresami półtrwania* utknęła w martwym punkcie przez naturalną przeszkodę – gdy Luisę Rey zepchnięto z mostu, w rękopisie akurat skończyły się kartki. Rwałem sobie włosy z głowy i waliłem się pięścią. Czy druga część w ogóle istniała? Czy była gdzieś upchnięta w pudełku po butach w mieszkaniu Hilary V. na Manhattanie? A może ciągle rosła w jej twórczym łonie? Po raz dwudziesty przeczesalem tajne zakamarki walizki w poszukiwaniu listu od Hilary, ale wychodziło na to, że zostawiłem go w biurze na Haymarket.

Inne zdobycze literackie były chude. Według Warlocka-Williamsa, Aurora House szczylił się kiedyś skromną biblioteką, ale teraz leżała w niej naftalina. („Po prostu telewizja mówi zwykłym ludziom znacznie więcej o życiu”). Do znalezienia owej „biblioteki” potrzebowałem górniczego hełmu i oskarda. Była na samym końcu ślepego korytarzyka, zastawionego zbiorom pamiątkowych tablic z I wojny światowej, z napisem „Ich pamięć trwa wiecznie”. Warstwa kurzu była wyraźna – gruba i równa. Jedna półka ze starymi numerami magazynu „This England”, kilkanaście westernów Zane’a Greya (dużą czcionką), książka kucharska pod tytułem *Dla mnie bez mięsa!* Oprócz tego zostało tylko *Na Zachodzie bez zmian* (któremu na rogach stron dawno temu jakiś pełen fantazji uczeń dorysował okienka z kreskówkowym człowieczkiem masturbującym się własnym nosem – gdzież są dzisiaj

wczorajsi geniusze?) oraz *Jaguary przestworzy*, opowieść o pilotach helikopterów, pióra „najwybitniejszego amerykańskiego autora thrillerów militarnych” (przypadkiem wiem jednak, że napisał ją dla niego ktoś z jego „sztabu” – nie będę wymieniał nazwisk z obawy przed pozwem) i szczerze mówiąc, z innymi rzeczami można było sobie dać spokój.

Zabrałem wszystko. Dla wygłodniałego nawet obierki po ziemniakach to *haute cuisine*.



Ernie Blacksmith i Veronico Costello, zapraszam na scenę, wasz czas właśnie nadszedł. Moja znajomość z Erniem nie była bezkolizyjna – lecz gdyby nie ci współdysydenci, siostra Sykes do dziś szprycowałaby mnie lekami po czoło. Pewnego pochmurnego popołudnia, kiedy zombie odbywali próbę Wielkiego Snu, personel miał zebranie, a jedynym dźwiękiem przerywającym drzemkę w Aurora House były zawody wrestlingu WWF, gdzie Fat Mister Dalloway walczył z Headhunterem, zauważyłem, że czyjaś niedbała ręka zostawiła frontowe drzwi otwarte na oścież. Wykradłem się na rekonesans, uzbrojony w kłamstewko o zawrotach głowy i świeżym powietrzu. Od zimna pierzchły mi usta i cały się trząsnę! Rekonwalescencja pozbawiła mnie podskórnej warstwy tłuszczu; postura skurczyła mi się od quasi-Falstaffa do Jana z Gandawy. Pierwszy raz odważyłem się wyjść na zewnątrz od czasu wylewu sześć, czy siedem tygodni temu. Okrążyłem tereny Aurora House i odkryłem ruiny starego budynku. Potem, przedzierając się przez zaniedbane zarośla, dotarłem do okalającego całą posiadłość muru z cegieł, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim dziur bądź wyłomów. Po nylonowej linie wspiąłem się na mur komandos, ale nie chodząca o lasce ofiara wylewu. Wokół mnie erodowały i tworzyły się na wietrze formacje szeleszczących jak papier liści. Doszedłem do okazałej żelaznej bramy, otwieranej i zamykanej przez pneumatyczno-elektroniczny super-duper gadżet. Cholera, mieli nawet kamerę i bramofon do rozmów w obie strony! Wyobraziłem sobie siostrę Sykes, jak chwali się dzieciom (o mały włos nie napisałem „rodzicom”) przyszłych pensjonariuszy, że wszyscy mogą tu spać bezpiecznie dzięki owym doskonałym zdobyczom najnowszej technologii, co oczywiście miało znaczyć „Zapłaćcie nam na czas, a nie usłyszycie od tatusia ani słowa”. Widok nie zapowiadał niczego dobrego. Hull leżało na południe. Każdy smarkacz doszedłby tu w pół dnia bocznymi drózkami wzdłuż słupów telegraficznych. Ale tylko zbłąkani wczasowicze mogliby kiedykolwiek przekroczyć bramę instytutu. Gdy wracałem podjazdem, usłyszałem pisk opon i wściekle trąbienie ogniście czerwonego range rovera. Ustąpiłem z drogi. Za kierownicą siedział byczek odziany w srebrną ortalionową kurtkę, ulubiony model wyludzaczy funduszy na wyprawy okołobiegunowe. Range rover z chrzęstem zatrzymał się na żwirze przy schodach wejściowych, a kierowca udał się do recepcji, krocząc dumnie jak as przestworzy z *Jaguarów*. Idąc w stronę głównego wejścia, przeszedłem obok kotłowni. Wysunęła się z niej głowa Erniego Blacksmitha:

– Kielonka wody ognistej?

Nie trzeba mnie było dwa razy prosić. W kotłowni śmierdziało nawozem, ale było ciepło od węglowego paleniska pod kotłem. Na worku z węglem, gaworząc z zadowoleniem jak małe dziecko, usadowił się wieloletni pensjonariusz i maskotka Aurory, pan Meeks. Ernie Blacksmith należał do tych cichych osób, które zauważa się dopiero za drugim razem. Bystry Szkot dotrzymywał towarzystwa niejkiej Veronice Costello, która niegdyś, jak głosiła legenda, była właścicielką najwspanialszego salonu z kapeluszami w historii Edynburga. Obydwoje

zachowywali się jak rezydenci obscurnego czechowowskiego hoteliku. Ernie i Veronica szanowali moje życzenie pozostania zgryźliwym tetrykiem, a ja szanowałem ich postawę. Ernie wyjął teraz z wiadra na węgiel butelkę irlandzkiej whiskey.

– Chyba pana pokręciło, jeżeli pan myśli, że można się stąd wydostać bez helikoptera.

Nie było powodu, żeby się zdradzać z czymkolwiek.

– Ja?

Wielki Młot Erniego rozbił mój blef w drobny mak.

– Proszę usiąść na ławce – powiedział, uśmiechając się porozumiewawczo.

Usiadłem.

– Przytulnie tu.

– Kiedyś byłem dyplomowanym palaczem. Tutaj usługi świadczę za darmo, więc kierownictwo przymyka oko na moje drobne wybryki. – Ernie nalał dwie spore miarki do plastikowych kubków. – No to lu.

Deszcz na Serengeti! Rozkwitały kaktusy, hasały lamparty!

– Skąd pan to ma?

– Z handlarzem węglem można się dogadać. Poważnie, niech pan uważa. Withers wychodzi do bramy po drugą pocztę codziennie za piętnaście czwarta. Lepiej, żeby pana nie złapał na planowaniu ucieczki.

– Chyba sporo pan wie.

– Byłem też ślusarzem, po wyjściu z wojska. Człowiek ma wtedy kontakt i z drobnymi przestępcami, i z ochroną – z obiema stronami prawa. Ja sam nigdy nie popełniłem najmniejszego wykroczenia, zaznaczam, byłem czysty jak łza. Ale odkryłem, że dobre trzy czwarte prób ucieczek z więzienia kończy się fiaskiem, bo wszystkie szare komórki – popukał się w czoło – zużywają się na samą wielką ucieczkę. Amatorzy opracowują strategię, profesjonalści logistykę. Na przykład, taka elektryczna blokada na bramie – mógłbym ją rozebrać z zawiązanymi oczami, gdybym musiał, ale co z samochodem na zewnątrz? Z forszą? Z meliną? Bez logistyki człowiek leży i kwiczy. Kwiczy w furgonetce Withersa – pięć minut wystarczy.

Pan Meeks wycężył swoją twarz gnoma i wyrzeźbił jedyne dwa zrozumiałe słowa, jakie jeszcze zachowały się w jego umyśle:

– No właśnie! No właśnie!

Zanim zdołałem się połapać, czy Ernie Blacksmith ostrzegał mnie, czy sondował,

do kotłowni weszła Veronica, w kapeluszu na głowie, którego płomienna czerwień roztopiłaby lód. O mało co, a zgiąłbym się w ukłonie.

– Dzień dobry, pani Costello.

– Pan Cavendish, jakże miło. Wybiera się pan za granicę w taki ziąb?

– Bada teren – odpowiedział Ernie – na polecenie komitetu ucieczkowego, w którym zasiada tylko on sam.

– Kiedy już raz wprowadzili człowieka między Starych, świat nie chce go z powrotem. – Veronica usadowiła się w rattanowym fotelu i poprawiła kapelusz. – My – czyli każdy po sześćdziesiątce – popełniamy dwa przestępstwa samym tylko istnieniem. Pierwsza zbrodnia to Powolność. Jeździmy za wolno, chodzimy za wolno, mówimy za wolno. Świat wejdzie w układy z dyktatorami, zbrojeńcami i baronami narkotykowymi wszelkiej maści, ale wolnego tempa nie zniesie nigdy. Nasze drugie przestępstwo polega na tym, że stanowimy *memento mori* dla każdego człowieka. Świat może czuć się bezpiecznie i trwać w naiwnym zaprzeczaniu tylko wtedy, kiedy znikamy mu z oczu.

– Rodzice Veroniki odsiedzieli dożywocie w inteligencji – dodał Ernie z dumą w głosie.

Uśmiechnęła się czule.

– Przyjrzyjcie się tylko tym, którzy przychodzą tu w godzinach odwiedzin! Potrzebują potem kuracji antywstrząsowej. Z jakiego innego powodu wygłaszałyby, że „Wiek to kwestia umysłu, nie metryki”? Kogo chcą oszukać? Nie nas – siebie samych!

Ernie podsumował:

– My, ludzie starzy, odgrywamy rolę współczesnych trędowatych. Taka jest prawda.

Zaprotestowałem:

– Nie jestem żadnym wyrzutkiem społecznym! Mam własne wydawnictwo i muszę wrócić do pracy. Wiem, że mi nie uwierzycie, ale ja jestem tu uwięziony wbrew własnej woli.

Ernie i Veronica wymienili spojrzenia w swym sekretnym języku.

– Jest pan wydawcą? Czy był pan?

– Jestem. Mam biuro na Haymarket.

– To w takim razie – zapytał rozsądnie Ernie – co pan tutaj robi?

Oto było pytanie. Swoją dość nieprawdopodobną historię zrelacjonowałem im aż do chwili obecnej. Ernie i Veronica słuchali, tak jak słuchają zdrowi na rozumie, uważni dorośli. Pan Meeks drzemał. Dotarłem do pierwszego wylewu, kiedy przerwały mi czyjeś

wrzaski na dworze. Uznałem, że jakiś zombie dostał ataku, ale gdy zerknąłem przez szparę, zobaczyłem, jak kierowca ognistego range rovera krzyczy do kogoś przez telefon komórkowy.

– Po co sobie zawracać głowę?! – Jego mina wyrażała skrajną rezygnację. – Ona kompletnie odjechała. Myśli, że jest rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty!... Nie, nie udaje! Łałabyś w majtki tylko dla jaj?... Nie, nie poznała mnie. Myślała, że jestem jej pierwszym mężem. Mówiła, że nie ma żadnych synów... Dobrze, według ciebie to kompleks Edypa... Tak, opisałem jeszcze raz. Trzy razy... Tak, w szczegółach. Sama przyjeźdź, skoro uważasz, że poradzisz sobie lepiej... No, ja ją też niewiele całe życie obchodziłem. Ale weź jakieś perfumy... Nie, dla siebie. Od niej strasznie śmierdzi... A czym może od niej śmierdzić?... Oczywiście, że myją, ale czasem nie nadążają, to... wycieka cały czas. – Wsiadł do range rovera i z rykiem silnika odjechał w stronę bramy.

Przyszło mi nagle na myśl, żeby rzucić się za nim i przelecieć przez bramę, nim zamknie się z powrotem, ale potem przypomniałem sobie, ile mam lat. Poza tym, i tak zobaczyliby mnie w kamerze i Withers sprowadziłby mnie do Aurory, zanim zdążyłbym zatrzymać jakąś okazję.

– Syn pani Hotchkiss – powiedziała Veronica. – Ona była taka kochana, ale jej syn, o nie. Nikomu nie udaje się przejąć połowy koncesji na hamburgery w Leeds i Sheffield dlatego, że jest kochany. Portfel mu się nie domyka.

Mini-Denholme.

– No, ale przynajmniej ją odwiedza.

– A wiesz dlaczego? – Przebiegły błysk w oku rozświetlił twarz starszej pani. – Kiedy pani Hotchkiss zwietrzyła, że on chce przewieźć ją do Aurora House, schowała wszyściuteńkie rodzinne kosztowności do pudełka po butach i gdzieś je zakopała. A teraz nie pamięta, gdzie, albo pamięta, ale nie chce powiedzieć.

Ernie rozdzielił między nas ostatnie krople whiskey.

– Wkurza mnie u niego, że zostawia kluczyki w stacyjce. Za każdym razem. Na zewnątrz, w normalnym świecie, nigdy by tego nie robił. Ale my jesteśmy tak niedołążni, tak nieszkodliwi, że nawet nie będzie sobie zawracał głowy ostrożnością, kiedy tu przyjeżdża.

Oceeniłem, że nie wypada pytać Erniego, dlaczego zauważył taki drobiazg. Z pewnością przez całe życie nigdy nie powiedział ani jednego zbędnego słowa.



Wizyty w kotłowni składałem codziennie. Na dostawach whiskey nie zawsze można było polegać, czego nie mogłem powiedzieć o towarzystwie. Pan Meeks był dla nich tym, czym czarny labrador dla wieloletniego małżeństwa, kiedy dzieci wyfrunęły już z gniazda. Ernie zabawiał nas gorzkimi refleksjami na temat własnego życia i obserwacjami folkloru w Aurora House, ale jego *de facto* małżonka potrafiła konwersować na każdy temat pod słońcem. Veronica miała w swoim posiadaniu obszerną kolekcję zdjęć z autografami osób o nie do końca

gwiazdorskim statusie. Była wystarczająco odczytana, by docenić mój literacki dowcip, lecz nie dość dobrze, by znać jego źródła. Zawsze lubiłem takie kobiety. Mogłem jej na przykład mówić: „Najbardziej osobliwą różnicą między szczęściem i radością jest to, że szczęście jest stałe, a radość płynna”, i w jej nieznaności J.D. Salingera czułem się bezpiecznie błyskotliwy, czarujący i – tak – młody. Wyczuwałem, że Ernie obserwował moje popisy, ale „co tam?” – myślałem. Człowiek może sobie poflirtować.

Veronica i Ernie należeli do ludzi, którzy zawsze umieją przetrwać. Ostrzegli mnie przed niebezpieczeństwami Aurora House: przed tym, jak smród moczu i lizolu, Marsze Szurania Zombiach, pastwienie się Sykes, czy serwowane posiłki redefiniują pojęcie normalności. Jak mawiała Veronica, kiedy jakąś tyranię przyjmie się za normalność, tyrania odnosi druzgocące zwycięstwo.

Dzięki niej moje pomysły znowu nabrały wigoru. Wyciąłem sobie włosy w nosie i pożyczyłem od Erniego pastę do butów. „Czyść codziennie buty”, mawiał mój ojczulek, „a nigdy nie będziesz gorszy od innych”.

Gdy o tym myślę, sądzę, że Ernie tolerował moje pozy, bo wiedział, że Veronica po prostu wprawiała mnie w dobry humor. Ernie w życiu nie przeczytał nawet jednego dzieła literatury pięknej – „Zawsze wolałem radio” – ale za każdym razem, gdy widziałem, z jakim namaszczeniem uruchamiał wiktoriański system kotłów, czułem, że to ja jestem płytki. To prawda, od czytania zbyt wielu powieści człowiek ślepnie.



Swój pierwszy plan ucieczki obmyśliłem sobie zupełnie sam. Był tak prosty, że trudno go nazywać planem. Wymagał tylko woli i odrobiny odwagi, a nie mózgu stratega. Nocny telefon z biura siostry Sykes i nagranie SOS na sekretarkę w Cavendish Publishing, do pani Latham, której siostrzeniec-kibol jeździ wielkim fordem capri. Przyjeżdżają do Aurora House; po pogroźkach i protestach wsiałam do samochodu; odjeżdżamy. To wszystko. W nocy 15 grudnia (tak mi się wydaje) obudziłem się nad ranem, włożyłem szlafrok i wymknąłem się na pograżony w mroku korytarz (mój pokój zostawiano otwarty, odkąd zacząłem udawać głęboki sen). Nic nie było słycać oprócz chrapania i odgłosów rur. Pomyślałem o Luisie Rey, powołanej do życia przez Hilary V. Hush – jak skrada się wokół Swanekke B. (Proszę, jak mój mózg już pracował). Recepcja wyglądała na pustą, ale przeczołgałem się po ziemi wzdłuż kontuaru, jak komandos, a potem znowu podniosłem się do pionu – spory wyczyn. W gabinecie Sykes światło było zgaszone. Spróbowałem nacisnąć klamkę i owszem, poddała się. Wślizgnąłem się do środka. Przez szczelinę wpadało tylko tyle światła, żeby zorientować się w mroku. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer Cavendish Publishing. Nie połączyłem się z automatyczną sekretarką.

– Połączenie nie może zostać zrealizowane. Proszę się rozłączyć, sprawdzić numer i spróbować ponownie.

Rozpacz. Bałem się najgorszego: że Hogginsowie puścili mi biuro z dymem i nawet telefony się stopiły. Spróbowałem jeszcze raz – nic. Jedyny inny numer, jaki mogłem odtworzyć w głowie, był moją drugą i ostatnią deską ratunku. Po pięciu czy sześciu pełnych napięcia

dzwonek, Georgette, moja szwagierka, odebrała głosem słodkiego kociaka i już wiedziałem, o mój Boże, wiedziałem wszystko.

– Już bardzo późno, Aston.

– Georgette, to ja, Timmy. Możesz poprosić Denny’ego?

– Aston? No co ty?

– To nie Aston, Georgette! Mówi Timmy!

– To poprosz z powrotem Astona.

– Nie znam żadnego Astona! Posłuchaj, musisz dać mi Denny’ego.

– Denny nie może w tej chwili podejść do telefonu.

Georgette zawsze była lekko szurnięta, ale teraz mówiła jak z innej galaktyki.

– Jesteś pijana?

– Pijam tylko w dobrych winiarniach, z dobrą piwniczką. Nie znoszę pubów.

– Nie, posłuchaj, mówi Timmy, twój szwagier! Muszę porozmawiać z Delholme’em.

– Rzeczywiście masz głos podobny do Timmy’ego. Timmy? To ty?

– Tak, Georgette, to ja i jeśli...

– Dziwne, że nie przyjechałeś na pogrzeb własnego brata. Cała rodzina tak uważa.

Podłoga zawirowała.

– Słucham?

– Wiedzieliśmy, że coś tam wisi nad tobą, ale mimo wszystko... Poczułem, jak nogi uginają się pode mną.

– Georgette, powiedziałaś przed chwilą, że Denny nie żyje. Naprawdę? Nie pomyliłaś czegoś?

– Oczywiście, że nie! Myślisz, że jestem szurnięta?

– Powtórz raz jeszcze. – Głos mi się łamał. – Czy... Denny... nie żyje?

– Myślisz, że wymyśliłabym sobie coś takiego?

Fotel siostry Sykes zdradziecko zaskrzypiał, jak krzesło tortur.

– Jak to możliwe? Chryste, jak to się stało?

– Kim pan jest? Jest środek nocy! Kto mówi? Aston, to ty? Poczulem ściskanie w gardle.

– Mówi Timmy.

– A ty gdzie się ukrywasz? Po jakich norach?

– Georgette, jak Denny... odszedł? – Ściskanie w gardle chwyciło jeszcze mocniej.

– Karmił swojego ukochanego karpia. Smarowałam na kolację krakersy pasztetem z kaczki. Kiedy poszłam zawołać Denny'ego, pływał w stawie na brzuchu, z twarzą w wodzie. Mógł już tak pływać dzień czy dwa.

Nigdy nie byłam jego niańką, sam dobrze wiesz. Dixie mówił mu, żeby ograniczył sól, w jego rodzinie wylewy zdarzają się często. Dobrze, przestań już wisieć na telefonie i daj Astona.

– Kto tam teraz jest? Z tobą?

– Tylko Denny.

– Przecież Denny nie żyje!

– Wiem! Pływa w stawie już kilka tygodni. Jak mam go stamtąd wyciągnąć? Słuchaj, Timmy, bądź tak miły, przywieź mi jakiś kosz delikatesów z Fortnum and Masons, dobrze? Zjadłam wszystkie krakersy, a drozdy zjadły resztę okruszków. Więc nie mam co jeść, został tylko pokarm dla ryb i sos cumberland. Aston nie dzwoni odkąd pożyczył zbiory sztuki Denny'ego, żeby pokazać znajomemu rzeczoznawcy, a to już było... kilka dni temu, nawet tygodni. Gazownia wyłączyła mi gaz i...

Moje oczy oślepił snop światła.

Drzwi wypełniły się Withersem.

– To znowu ty?

Nie wytrzymałem.

– Mój brat umarł! Nie żyje, rozumiesz? Umarł mi brat! Jego żona wariuje i nie wie, co robić! To wyjątkowa sytuacja rodzinna! Jeżeli masz w sobie choć krztę chrześcijańskiego współczucia, pomóż mi opanować ten dopust!

Drogi Czytelniku, Withers widział jedynie pensjonariusza w hysterii, który wykonuje niedorzeczne telefony po północy. Nogą odsunął z drogi krzesło. Wykrzyczałem do telefonu:

– Georgette, słuchaj, jestem więziony w jakimś piekielnym domu wariatów, nazywa się Aurora House w Hull, zapamiętasz?! Aurora House w Hull! Sprowadź tu kogoś i ratuj mn...

Olbrzymi paluch mnie rozłączył. Paznokieć był obtłuczony i kwitł pod nim siniak.



Przy śniadaniu siostra Sykes walnęła w gong, ogłaszając rozpoczęcie działań wojennych.

– Przyjaciele, przyjeśliśmy na nasze łono złodzieja.

Zgromadzeni zombie ucichli.

Jeden z nich, pomarszczony jak suchy orzech, uderzył łyżką.

– Arabowie wiedzą, co z takimi robić, siostró! W takiej Arabii Saudyjskiej nikt nic nie podkrada! Przychodzi piątek po południu, parking przed meczetem, ciach! Nie?

– Znalazło się wśród nas jedno zgniłe jabłko.

Przysięgam, wróciło chłopięce gimnazjum w Gresham, raz jeszcze po sześćdziesięciu latach. Te same płatki śniadaniowe, rozmiękające w takiej samej miseczce mleka.

– Cavendish! – Głos siostry Sykes wibrował, jak z plastikowego gwizdka. – Niech pan wstanie!

Głowy wszystkich półżywych kandydatów do sekcji zwłok, w zatechłych garniturach i bezbarwnych bluzkach, odwróciły się w moją stronę. Jeśli odpowiedziałbym jak ofiara, przypieczętowałbym wyrok na siebie.

Jakoś mnie to nie wzruszało. Całą noc nie zmrużyłem oka. Denny nie żył. Pewnie już sam stał się karpim.

– Na miłość boską, kobieto, przestań robić z igły widły. Klejnoty Korony nadal bezpiecznie spoczywają w Tower! Zadzwoń tylko w jedno miejsce. Gdyby w Aurora House była kawiarenka internetowa, chętnie wysłałbym e-mail! Nie chciałem nikogo budzić, więc wpadłem na pomysł, żeby samemu skorzystać z telefonu. Najmocniej przepraszam. Zapłacę rachunek.

– O, bez wątpienia pan zapłaci. Proszę państwa, co robimy ze Zgniłymi Jabłkami?

Gwendolin Bendincks wstała i wskazała na mnie palcem.

– Hańba!

Warlock-Williams powtórzył ten sam gest.

– Hańba!

Jeden po drugim dołączali do nich ci zombie, którzy umyślowo nadażali za rozwojem wydarzeń.

– Hańba! Hańba! Hańba!

Pan Meeks dyrygował chórem, jak Herbert von Karajan. Nalałem sobie herbaty, ale drewniana linijka wytrąciła mi filiżankę z rąk.

Siostra Sykes strzelała elektrycznymi iskrami.

– Niech się pan nie waży patrzeć w inną stronę, gdy odbywa się nad panem sąd!

Chór zmarł śmiercią naturalną, oprócz jednego czy dwóch maruderów. Kostki palców mnie świerzbiły. Gniew i ból pomogły mi w skupieniu myśli, jak w zazen kij do bicia.

– Wątpię, czy pan Withers pani powiedział, lecz okazało się, że zmarł mój brat, Denholme. Nie żyje, trup. Niech pani do niego zadzwoni, jeśli mi pani nie wierzy. Wręcz błagam, żeby pani tam zadzwoniła. Moja szwagierka jest kobietą słabego zdrowia i potrzebuje pomocy przy organizowaniu pogrzebu.

– Skąd mógł pan wiedzieć, że pański brat zmarł, dopóki nie włamał się pan do mojego biura?

Umiejętny podwójny nelson. Zainspirował mnie krucyfiks, który obracała w palcach.

– Wiedziałem od świętego Piotra.

Na jej czole wyrósł surowy mars.

– Co od świętego Piotra?

– Powiedział mi we śnie, że Denholme niedawno przeszedł na łono Abrahama. „Zadzwoń do jego żony, „mówił, „potrzebuje pomocy”. Powiedziałem mu, że w Aurora House nie wolno korzystać z telefonu, lecz święty Piotr zapewnił mnie, że siostra Sykes jest pobożną katoliczką, która nie będzie szydzić z moich wyjaśnień.

La Duca powstrzymana. Brednie poskutkowały. (*Poznaj wroga swego* bije na głowę *Poznaj siebie samego*). Sykes dokonywała w myśli przeglądu opcji: miałem nieszkodliwe urojenia; byłem niebezpiecznym dewiantem; wyznawcą doktryny Realpolitik; wizjonerem od świętego Piotra?

– Nasze reguły w Aurora House służą dobru wszystkich pensjonariuszy.

Czas umocnić zdobyte pozycje.

– To bez wątpienia szczerza prawda.

– Porozmawiam o tym z naszym Panem. A do tego czasu – zwróciła się do jadalni – pan Cavendish ma dozór. Nie puściliśmy w niepamięć tego, co się stało.



Po moim skromnym zwycięstwie stawiałem w salonie pasjansa (jedynie karty były cierpliwe, mnie ta cnota omijała), co nie zdarzyło mi się od feralnego miesiąca miodowego z Madame Ex w Tintagel. (Straszna dziura. Same walące się domy komunalne i sklepy z kadzidełkami). Po raz pierwszy w życiu wada stawiania pasjansa stała się dla mnie oczywista: wynik zostaje ustalony nie w czasie samej gry, lecz podczas tasowania kart, jeszcze przed jej rozpoczęciem. Przecież to kompletnie bez sensu.

Celem pasjansa jest odwrócenie myśli, skierowanie ich gdzie indziej. Gdzie indziej nie było różowo. Denholme zmarł już jakiś czas temu, a ja ciągle tkwiłem w Aurora House. Rozdałem sam sobie rozmyślanie nad najgorszym ze scenariuszy, w którym Denholme na jednym ze swoich lewych kont dał stałe zlecenie na opłacanie mojego pobytu w Aurora House, z dobrego serca, lub ze zjadliwie złej woli. Denholme umiera. Moja ucieczka przed Hogginsami jest objęta klauzulą poufności, więc nikt nie wie, że tu jestem. Stałe zlecenie przeżywa swego stwórcę. Pani Latham mówi policji, że ostatnio widziano mnie, jak udawałem się do lichwiarza. Śledczy Plod domniemywa, że lichwiarz, moja ostatnia deska ratunku, odmówił mi, więc wsiałem w Eurostar i uciekłem z kraju. I tak oto pięć tygodni później nikt mnie nie szuka, nawet Hogginsowie.

Do mojego stołu podeszli Ernie i Veronica. Ernie był w złym humorze.

– Teraz telefon będzie zamykany na noc.

– Czarną dziesiątkę na czerwonego waleta – doradziła Veronica. – Nie przejmuj się, Ernie.

Ernie nie zwracał na nią uwagi.

– Sykes będzie teraz szukała okazji, żeby cię linczować.

– A co może zrobić? Pozbawić mnie płatków śniadaniowych?

– Naszprycuje ci jedzenie lekami! Jak ostatnim razem.

– Jak to?

– Pamiętasz, jak ostatnim razem jej się stawiałeś?

– Kiedy?

– Wtedy, kiedy dostałeś jakże wygodnego dla niej wylewu.

– Chcesz powiedzieć, że mój wylew został... sztucznie wywołany?

Ernie zrobił do granic irytującą minę, mówiąc „Pobudka!”.

– Eee, gadanie! Mój ojciec zmarł na wylew, mój brat prawdopodobnie też. Wydawaj drukiem swoje konfabulacje, jeśli już musisz, ale nie wciągaj w to mnie, ani Veroniki.

Ernie spojrzał groźnie (Lars, przyciemnij światła).

– No tak. Myślisz, że jesteś taki sprytny i mądry, ale jesteś tylko zwykłym nadętym bęcwałem z południa. A-ę, bułkę przez bibułkę!

– Lepiej być nadętym bęcwałem, cokolwiek to znaczy, niż nie mieć jaj. – Wiedziałem, że będę tego żałował.

– Nie mam jaj? Ja? Tylko powtórz. No, powtórz.

– Nie masz jaj. – (Złośliwy Chochliku Perwersji! Dlaczego pozwalam ci za mnie mówić?). – Myślę, że za murami tego więzienia zrezygnowałeś z prawdziwego świata. Poddałeś się, bo się go boisz. Kiedy zobaczysz, że ktoś inny ucieka, głupio ci będzie przyznać się, że gustujesz w łóżach śmierci. Dlatego teraz robisz mi scenę.

W Erniem zabuzował żywszy płomień.

– Nie masz prawa osądzać, gdzie się w życiu zatrzymuję, Timothy Cavendish. – (Szkoci potrafią zmienić każde porządne nazwisko w strzał ze łba). – Ty nie dałbyś rady uciec z większej kwaciarni!

– Jeżeli masz jakiś plan, bez żadnych słabych punktów, proszę, zamieniam się w słuch.

Veronica usiłowała mediować.

– Chłopcy!

W Erniem zawrzała krew.

– Słabym punktem planu może być bałwan, który będzie go realizował.

– Święte słowa, sama mądrość. – Mój sarkazm brzydził mnie samego. – W Szkocji musisz uchodzić za geniusza.

– Nie, w Szkocji geniuszem jest Anglik, który dał się przez przypadek zamknąć w domu starców.

Veronica zebrała porzrzucone karty.

– A znacie pasjansa zegarowego? Trzeba dodawać karty do piętnastu.

– Idziemy, Veronica – wycedził Ernie.

– Nie – warknąłem i wstałem, chcąc dla własnego dobra uniknąć tego, by Veronica musiała dokonywać między nami wyboru. – Ja wychodzę.

Przyrzekłem sobie nie pójść ani razu do kotłowni, aż złoży przeprosiny. Nie poszedłem więc ani tego popołudnia, ani następnego, ani jeszcze następnego.



Ernie odwracał przede mną głowę przez cały tydzień Bożego Narodzenia.

Veronica, przechodząc koło mnie, rzucała przepaszające uśmiechy, ale było jasne, wobec kogo jest lojalna. Patrząc z perspektywy czasu, nie mogę wyjść ze zdumienia. Gdzie ja miałem głowę? Ryzykować stratę jedynych przyjaciół przez głupie nabzdyczenie?! Zawsze miałem wielki talent do dąsów, co wiele tłumaczy. Ci, którzy się boczą, upajają się samotnymi fantazjami. Fantazjami o Chelsea Hotel na Washington Square, o tym, że pukam do pewnych drzwi. Drzwi się otwierają, a panna Hilary V. Hush bardzo się cieszy, że mnie widzi, jej nocna koszulka jest luźna, ona tak niewinna, jak Kylie Minogue, a jednocześnie ma w sobie wilczycę, jak pani Robinson. „Przyleciałem na drugi koniec świata, żeby cię odnaleźć” – mówię. Nalewa whisky z minibaru. Dobrą. Delikatną. Dojrzałą. Niegrzeczna samica husky zaciąga mnie na rozesłane łóżko, gdzie szukam krynicy wiecznej młodości.

Okresy półtrwania, część II, leżą na półce nad łóżkiem. Unosząc się w postorgazmicznym Morzu Martwym, czytam rękopis, a Hilary w tym czasie bierze prysznic. Druga część jest jeszcze lepsza niż pierwsza, lecz Mistrz uczy teraz Akolitkę, jak książkę zmienić w dzieło doskonałe. Hilary dedykuje mi powieść, wygrywa Pulitzera i w swojej przemowie podczas gali wręczenia nagród wyznaje, że wszystko zawdzięcza swojemu agentowi, przyjacielowi i pod wieloma względami ojcu.

Słodycz fantazji. Rak. Nie lekarstwo.



Wigilia w Aurora House była daniem ledwie ciepłym. Wyszedłem przejść się do bramy (przywilej wywalczony w drodze barteru w gabinecie Gwendolin Bendincks), aby zerknąć na świat na zewnątrz. Chwyciłem dłońmi żelazną bramę i wyjrzałem przez pręty. (Ironia kadru, Lars. *Casablanca*). Wzrokiem ogarniałem torfowiska, zatrzymałem spojrzenie na jakimś kurhanie, na opuszczonej zagrodzie dla owiec, spojrzałem wyżej, by objąć wzrokiem normański kościółek, poddający się już żywiołom druidów, przeniosłem wzrok na elektrownię, przeleciałem spojrzeniem atramentowe Morze Dunów do mostu Humber^[25], nad pofałdowanymi polami wyszedłem wojskowy samolot. Biedna Anglia, zbyt wiele historii na kilometr kwadratowy. Lata zawijają się i wrastają w nią z powrotem, jak paznokcie u nóg. Obserwowała mnie kamera przemysłowa. Była nieskończenie cierpliwa. Rozważałem zaprzestanie dąsów na Erniego Blacksmitha, choćby po to, by usłyszeć ludzkie „Wesołych Świąt” od Veroniki.

Nie. Pieprzyć ich oboje.

– Pastorze Preston!

W jednym ręku trzymał sherry, a ja w drugą wtykałem mu świąteczne wypieki. Staliśmy za choinką, gdzie światełka różowiły nam cerę.

– Chciałbym bardzo prosić pana o pewną drobną przysługę.

– O cóż to, panie Cavendish? – Nie był wikarym z serialu komediowego, nie. Pastor Preston robił Karierę w Klerze i był jak dwie krople wody podobny do uciekającego przed podatkami ramiarza z Walii, z którym skrzyżowałem niegdyś szpady w Hereford, ale to inna historia.

– Chciałbym, pastorze, żeby w moim imieniu wrzucił pan do skrzynki kartkę świąteczną.

– Tylko tyle? Na pewno zajmie się tym siostra Sykes, jeśli tylko ją pan poprosi.

Zatem wiedźma już go uprzedziła.

– Z siostrą Sykes nie zawsze mamy zgodne poglądy, jeśli chodzi o kontakty ze światem zewnętrznym.

– Boże Narodzenie to czas budowania mostów.

– Boże Narodzenie to czas niebudzenia licha, pastorze. Tak bardzo chciałbym, żeby moja siostra wiedziała, że o niej myślę przy Narodzinach Pańskich. Siostra Sykes wspomniała być może o śmierci mojego szwagra?

– Tak, bardzo przykre. – Czyli wiedział o sprawie ze świętym Piotrem. – Wyrazy współczucia.

Wyjąłem kartkę z kieszeni marynarki.

– Zaadresowałem do „Opiekunki”, będę miał pewność, że wtedy gwiazdkowe życzenia do niej dotrą. Nie jest całkiem – popukałem się w czoło – tutaj... Przykro mówić. To jak, mogę wsunąć pastorowi do kieszeni sutanny?

Zrobił unik ciałem, ale przyparłem go już do muru.

– To prawdziwe błogosławieństwo, pastorze, mieć przyjaciół, którym można zaufać. Dziękuję, dziękuję z całego serca.

Proste, skuteczne, nienachalne. Szczwany lisie, T.C. Najdalej w Nowy Rok Aurora House obudzi się i odkryje, że zniknąłeś jak Zorro.



Urszula zaprasza mnie do garderoby. „Nie postarzałeś się ani o jeden dzień, Timmy. Ani ty, ani twój wielki wąż!”. Jej płowe futerko ociera się o moją latarnię i kule na mole, wielkie, jak z *Opowieści z Narnii*... ale wtedy, jak zawsze, obudziłem się z obrzmiałym członkiem, równie mi potrzebnym i podobnie użytecznym, jak obrzmiały wyrostek robaczkowy. Godzina szósta. System ogrzewania komponował dzieła w stylu Johna Cage’a. Odmrożone palce u nóg boleśnie mnie piekły. Pomyślałem o wszystkich minionych świętach Bożego Narodzenia. O wiele więcej ich minęło, niż było jeszcze przede mną.

Ile poranków będę jeszcze musiał wycierpieć?

– Odwagi, T. C! Czerwoniutki pociąg pocztowy właśnie wiezie twój list na południe do ukochanego Londynu. Granat rozpryskowy w kopercie wybuchnie, a siła eksplozji zaalarmuje policję, opiekę społeczną i panią Latham pod starym adresem przy Haymarket. Wydostaniesz się stąd migiem. – Wyobraźnia podsuwa mi wszystkie spóźnione prezenty gwiazdkowe, którymi będę świętował swoje uwolnienie. Cygara, dobra, dostała whisky, flircik z jakąś rozkoszną panienką, minuta rozmowy dziewięćdziesiąt pensów. A właściwie dlaczego nie pójść dalej? Meczyk rewanżowy w Tajlandii z Guy-the-Guyem i kapitanem Viagrą?

Nad kominkiem zauważyłem wiszącą powyciąganą pończochę. Nie było jej tam, kiedy zgasilem światło. Kto mógł się tu zakraść, żeby mnie nie budzić? Ernie, proponując świąteczny pokój? A któż inny? Stary, kochany, Ernie! Radośnie dygocząc we flanelowej piżamie, zdjąłem pończochę znad kominka i zaniósłem z powrotem do łóżka. Była bardzo lekka. Wywróciłem ją na drugą stronę i wypadła z niej śnieżyca strzępków podartego papieru. Mój charakter pisma, moje słowa, moje zdania!

List!

Moje zbawienie – podarte na strzępy. Okładałem się pięścią po całym ciele, zgrzytałem włosami, wyrywałem zęby, uszkodziłem sobie nadgarstek, wałąc w materac. Pastorze Preston, piekielny padalcu! Siostró Sykes, skurwiąta stara suko! Stała nade mną, jak Anioł Śmierci, kiedy spałem! Wesołych Świąt i niech cię szlag, panie Cavendish!

Skapitulowałem. Słowo ze średniowiecznej łaciny *capitulare* – fundamentalna konieczność rządząca ludzkim losem, szczególnie moim. Skapitulowałem przed krowiastymi salowymi. Skapitulowałem przed podpisem na prezencie: „Dla p. Cavendisha od nowych kompanów – z życzeniami wielu Gwiazdusi w Aurora House!”. Skapitulowałem przed prezentem: kalendarz „Cuda Przyrody”, dwa miesiące na jednej stronie. (Zestaw nie zawiera daty śmierci). Skapitulowałem przed gumowym indykiem, niestrawnym nadzieniem i bładą brukselką; przed świątecznymi niespodziankami^[26], które otwierały się bezgłośnie (atak serca zaszkodziłby wizerunkowi firmy), z ich papierowymi koronami dla karłów, z ich zakatarzoną trzcinką-piszczalką, z ich nienagannie przyzwoitym dowcipem (Barman: „Co podać?”. Szkielet: „Duże piwo i mopa”). Skapitulowałem przed świątecznymi odcinkami telewizyjnych seriali, okraszonych świąteczną przemocą; przed przemową królowej z jej sarkofagu. Wracając z ubikacji, spotkałem siostrę Sykes i skapitulowałem przed jej triumfalnym „Wesołych Świąt, panie Cavendish!”.

Program historyczny w BBC 2 tego popołudnia prezentował archiwalne filmy nakręcone w Ypres w 1919 roku. Owa kpina piekiel z pięknego niegdyś miasta była również obrazem mojej własnej duszy.



Tylko trzy albo cztery razy, kiedy byłem młody, ujrzałem przelotnie Wyspy Radości, nim zniknęły we mgłach, niskich ciśnieniach, zimnych frontach, przeciwnych prądach i niesprzyjających wiatrach... Wziąłem je za dorosłość. Zakładając, że były stałym punktem krajobrazu w podróży mojego życia, zaniedbałem zapisanie na jakiej szerokości i długości leżą, którądy wiedzie do nich droga. Młody byłem i głupi. Czego bym teraz nie oddał za niezmienną mapę tego, co zawsze nieuchwytnie? Za swego rodzaju atlas chmur.



Dotrwałem do drugiego dnia świąt, bo byłem zbyt nieszczęśliwy, żeby się powiesić. Dotrwałem do drugiego dnia świąt, bo byłem zbyt tchórzliwy, żeby się powiesić. Na obiad był rosół z indyka (z soczewicą, która trzeszczała w zębach). Posiłek ożywiło jedynie poszukiwanie zapodźianego telefonu komórkowego Deirdre (androgynicznego robota).

Wszystkich zombie bawiło zastanawianie się, gdzie mógł być (z boku pod siedzeniem kanapy), wymyślanie miejsc, gdzie raczej go nie było (na choince), i miejsc, gdzie nie ma go na pewno (w nocniku pani Birkin). No i zapukałem do drzwi kotłowni, jak skruszony szczeniak.

Ernie stał nad pralką, rozłożoną na części na gazetach.

– Proszę, kto się zjawił.

– Wesołych Świąt, panie Cavendish – promieniała Veronica w futrzanym toczku. Na kolanach opierała gruby tomik poezji. – Ależ niech pan wejdzie, proszę.

– Już dzień czy dwa nie wpadałem. – Niezręczne niedomówienie.

– No właśnie! – Pan Meeks ćwiczył groteskowe miny. – No właśnie.

Ernie nadal okazywał lekceważenie.

– Ehm... mogę wejść, Ernie?

Uniósł, a następnie opuścił podbródek o kilka stopni, na znak, że jest mu wszystko jedno. Kolejny raz rozbiarał bojler, małe srebrne śrubki obracał w grubiotkich, wysmarowanych olejem palcach. Nie ułatwiał mi sprawy.

– Ernie – powiedziałem w końcu – przepraszam za to wtedy.

– Jasne.

– Jeśli mnie stąd nie wydostaniesz... kompletnie zwariuję.

Rozkręcił kolejną część, której nazwy nawet nie znałem.

– Jasne.

Pan Meeks kołysał się w przód i w tył.

– Czyli... czyli jak będzie?

Przysiadł na worku z nawozem.

– Tylko się nie rozklejaj.

Nie uśmiechałem się chyba od targów książki we Frankfurcie. Minę miałem zbolałą.

Veronica poprawiała filuterny toczek.

– Powiedz mu, Ernest, jaką ustaliliśmy opłatę.

– Uiszczę każdą. – Moje słowa jeszcze nigdy nie były tak szczere. – Ile chcecie?

Ernie kazał mi czekać, aż każdy śrubokręt co do jednego znalazł się z powrotem w torbie z narzędziami.

– Razem z Veronicą postanowiliśmy wybrać się na północ, na nowe ziemie. – Kiwnął głową w kierunku bramy. – Na północy mam znajomego, który się nami zajmie. Czyli bierzesz nas ze sobą.

Tego nie przewidziałem, ale co tam!

– Nie ma sprawy. Z rozkoszą.

– Czyli stoi. D-Day za trzy dni.

– Tak szybko? Już masz jakiś plan?

Szkot pociągnął nosem, odkręcił termos i nalał do kubeczka cierpką czarną herbatę.

– Można tak powiedzieć.



Plan Erniego zakładał bardzo ryzykowny układ przewracających się na siebie kostek domina.

– Każda strategia ucieczki – pouczał – musi być zaplanowana tak, żeby uciekinier był

sprytniejszy od strażników.

W tej mieliśmy być bardzo sprytni, żeby nie powiedzieć: zuchwali, ale gdyby którakolwiek z kostek domina nie przewróciła następnej, plan natychmiast wyszedłby na jaw, a wobec nas wyciągnięto by niezwykle surowe konsekwencje, szczególnie jeśli makabryczna teoria Erniego o celowym faszerowaniu mnie lekami okazała się prawdziwa. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, sam jestem zdumiony, że w ogóle zgodziłem się na udział w tym przedsięwzięciu. Wdzięczność za to, że przyjaciele znowu ze mną rozmawiają, i desperackie pragnienie wydostania się z Aurora House – jeszcze za życia – nie dopuszczała do głosu mojej naturalnej przezorności – tylko takie mogę znaleźć wytłumaczenie.

Na ucieczkę został wybrany 28 grudnia, ponieważ Ernie dowiedział się od Deirdre, że pani Judd miała zostać w Hull na spotkaniu z siostrzenicami i na przedstawieniu pantomimy.

– Podstawa to przeprowadzić wywiad i mieć nosa. – Ernie postukał się po własnym.

Osobiście wolałbym, żeby nie było też Withersa ani jędzy Sykes, ale Withers wyjeżdżał tylko w sierpniu w odwiedziny do matki w Robin Hood's Bay, a Ernie uważał, że pani Judd była najbardziej zrównoważona z nich wszystkich i dlatego najbardziej niebezpieczna.



D-Day. Zgłosiłem się do pokoju Erniego o wpół do jedenastej, kiedy wszyscy zombie od pół godziny leżeli już w łóżkach.

– Ostatnia szansa, żebyś jeszcze się wycofał, jeśli masz obawy, że nie dasz rady – rzucił przebiegły Szkot w moją stronę.

– Nigdy w życiu z niczego się nie wycofałem – odrzekłem, łgając wprost koncertowo.

Ernie odkręcił śruby z przewodu wentylacyjnego i wyciągnął z kryjówki telefon komórkowy Deirdre.

– Ty masz głos najbardziej „a-ę” – poinformował mnie, przydzielając nam różne role – a na wciskaniu kitu przez telefon zarabiasz na życie.

Wystukałem numer Johnsa Hotchkissa, który Ernie już wiele miesięcy wcześniej spisał z książki adresowej pani Hotchkiss.

Po drugiej stronie słuchawki zaspany głos wymamrotał:

– Tach słucham.

– Pan Hotchkiss?

– Psztelefonie. Chto mówi?

Czytelniku, byłbyś ze mnie dumny.

– Dr Conway z Aurora House. Pełnię dyżur za dr. Upwarda.

– Jezu, coś się stało z mamą?

– Obawiam się, że tak, proszę pana. Musi pan przygotować się na najgorsze. Raczej nie doczeka rana.

– Nie! Tak?

Jakaś kobieta zapytała:

– Kto to, Johns?

– Jezus Maria! Naprawdę?

– Niestety.

– Ale... co jej jest?

– Ostre zapalenie opłucnej.

– Zapalenie opłucnej?

Być może wczułem się w rolę ciut bardziej, niż pozwalala na to moja wiedza medyczna.

– Zapalenie opłucnej Healeya może w każdej chwili wywiązać się u kobiet w wieku pańskiej matki. Omówię z panem dokładną diagnozę, kiedy już będzie pan u nas, na miejscu. Matka pyta o pana. Trzymam ją na dwudziestu gramach, ehm, morfady-pięćdziesiąt, więc w żadnym wypadku nie cierpi. Ale dziwne, cały czas mówi o jakiejś biżuterii. Bez przerwy. Powtarza: „Muszę powiedzieć Johnsowi, muszę powiedzieć Johnsowi”. Może pan wie, o co chodzi?

Chwila prawdy.

Kupił to!

– O mój Boże. Jest pan pewien? Pamięta, gdzie ją schowała?

Kobieta w tle pytała:

– Co się dzieje? Co?

– Chyba bardzo się denerwuje, czy te klejnoty zostaną w rodzinie.

– No tak, no tak, ale gdzie one są, doktorze? Mówi, że gdzie je ukryła?

– Muszę do niej wracać. Spotkamy się w recepcji Aurora House... Jak szybko może tu pan przyjechać?

– Niech pan ją zapyta... Nie, niech pan jej... Niech pan powie mamusi, żeby... Panie doktorze...

– Tak?

– Czy może pan przytrzymać telefon przy ustach mamy?

– Jestem lekarzem, nie bawię się w głuchy telefon. Proszę samemu przyjechać. Wtedy pan z nią osobiście porozmawia.

– Niech pan jej powie... Niech chociaż dotrwa, aż tam przyjedziemy, na miłość boską! Niech pan jej powie, że Kociub bardzo ją kocha. Zaraz tam będę... za pół godziny!

Koniec początku. Ernie zamknął torbę na suwak.

– Dobra robota. Miej przy sobie komórkę, na wypadek, gdyby chciał oddzwonić.



Zgodnie z pozycją drugiej kostki domina miałem stać na czatach w pokoju pana Meeksa, podglądając przez szparę w drzwiach. Z powodu zaawansowanego stanu rozkładu naszej maskotce z kotłowni nie przypadła żadna rola w wielkim planie ucieczki, ale pokój Meeksa znajdował się naprzeciwko mojego, a on reagował na „Ćśśś!” Kwadrans przed jedenastą Ernie poszedł do recepcji, by oznajmić mój zgon siostrze Sykes. Ta kostka domina mogła się przewrócić w różne niepożądane strony. (Prowadziliśmy długie dyskusje, kto ma być trupem, a kto posłańcem: w przypadku śmierci Veroniki, poza zasięgiem aktorskich zdolności Erniego leżało odegranie dramatu tak, by megiera nie nabrała podejrzeń; śmierć Erniego, oznajmioną przez Veronicę, wyklucziliśmy z powodu jej skłonności do popadania w melodramatyzm; zarówno pokój Erniego, jak i Veroniki, graniczyły z bardziej przytomnymi zombie, którzy mogliby nam rzucić pod nogi parę kłód. Z drugiej strony, mój pokój znajdował się w starym szkolnym skrzydle, a moim jedynym sąsiadem był pan Meeks. Zatem to mnie wybrano na umarlaka). Oczywiście niechęć, jaką darzyła mnie siostra Sykes, sprawiała, że jej reakcja na wieść o mojej śmierci stanowiła wielką niewiadomą. Czy popędzi, żeby zobaczyć, jak wróg leży bez życia? Żeby wkluć mi w szyję wielką szpilę i sprawdzić, czy aby na pewno zimny ze mnie trup? Czy też najpierw będzie się napawać zwycięstwem?



Kroki. Pukanie do drzwi. Siostra Sykes chwyciła przynętę. Trzecia kostka domina już się chwiała, ale właśnie wkradały się nieprzewidziane okoliczności. Ernie miał towarzyszyć Sykes aż do wrót mojej komnaty śmierci. Ale ona oczywiście musiała pognać przodem. Ze swojej kryjówki zobaczyłem, że wsadza łeb do środka jak Predator. Zapaliła światło. Do środka zwabiła ją klasyczna podstawa każdego spisku – poduszki ułożone pod kocami (zdziwiłbyś się, Czytelniku, jaka udana konstrukcja nam wyszła). Od tego momentu ruch trzeciej

kostki domina był zależny od mechanizmów zamka w drzwiach – zewnętrzna obrotowa zasuwka ciężko chodziła i zanim zdążyłem ją przekręcić, Sykes ciągnęła już od środka za klamkę, zapierając się stopą o futrynę, żeby z powrotem otworzyć drzwi. Jej demoniczna siła wyrwała mi bicepsy z korzeniami i czyniła spustoszenia w nadgarstkach. Wiedziałem już – zwycięstwo nie będzie mi dane.

W tej sytuacji zaryzykowałem wszystko i gwałtownie puściłem klamkę. Drzwi otworzyły się z hukiem do środka, a wiedźma poleciała bezwładnie przez cały pokój. Zanim ponownie mogła przypościć szarżę, zdążyłem już zamknąć drzwi na zasuwkę. Posypał się na mnie katalog gróźb rodem z *Tytusa Andronikusa*. Wszystkie nadal prześladują mnie w sennych koszmarach. Zaspany Ernie nadszedł z młotkiem i trzycalowymi gwoździami. Zabił nimi drzwi i zostawił jędzę warcząca w więziennej celi – pułapce, którą sama wcześniej zastawiła.



Na dole w recepcji terkotała wniebogłosy czwarta kostka domina, jako bramofon przy głównej bramie. Veronica wiedziała, który guzik przycisnąć.

– Cholera, od dziesięciu minut usiłuję się dostać do środka, a matka mi przez ten czas odjeżdża! – Johns Hotchkiss był zdenerwowany. – W chuja sobie, kurwa, tniecie?

– Musiałam pomóc doktorowi Conweyowi okiełznać pańską matkę, panie Hotchkiss.

– Okiełznać? Przy zapaleniu opłucnej?

Veronica nacisnęła przycisk i mieliśmy nadzieję, że na drugim końcu terenu Aurora House właśnie szeroko otwierała się brama. (Uprzedzę Czytelnika, który lubi pisać listy i być może będzie chciał zapytać, dlaczego nie użyliśmy tego samego przycisku wcześniej, by uciec przez bramę – brama zamykała się automatycznie po czterdziestu sekundach; w recepcji zwykle ktoś urzędował; a za ogrodzeniem przez wiele mil rozciągały się skute lodem torfowiska). Przez zamarżającą mgłę coraz głośniejsze dobiegał nas pisk opon. Ernie ukrył się w biurze z tyłu, a ja powitałem range rovera na zewnątrz, przy schodach wejściowych. Za kierownicą siedziała żona Johnsa Hotchkissa.

– I jak z nią? – zapytał Hotchkiss, podchodząc do mnie.

– Jeszcze ciągle jest z nami. Nieustannie o pana pyta.

– Dzięki Bogu. To pan jest tym Conwayem?

Wolałem uniknąć pytań bardziej medycznej natury.

– Nie, doktor jest przy pańskiej mamie, ja tu tylko pracuję.

– Nigdy wcześniej pana nie widziałem.

– Córka jest tu pielęgniarką, a ja co prawda jestem już na emeryturze, ale z powodu

braków personelu i sytuacji z pana mamą poproszono mnie, żebym posiedział w recepcji. Stąd tak późno otworzyłem bramę.

Żona trzasnęła drzwiami do samochodu.

– Johns! Idź już do niej! Na dworze jest mróz, a twoja matka umiera. Możemy zostawić na później kwestie protokołu?

Veronica pojawiła się w wyszywanej cekinami szlafmocy.

– Pan Hotchkiss? Poznaliśmy się już przy kilku okazjach. Pańska mama jest moją najbliższą przyjaciółką. Niech się pan do niej pośpieszy. Leży w swoim pokoju. Doktor uznał, że przeniesienie jej gdzie indziej będzie zbyt niebezpieczne.

Johns Hotchkiss już prawie wyczułby pismo nosem, ale jakże mógł oskarżyć kochaną staruszeńkę o oszustwo i spisek? Jego żona, nie przestając ujadać, ciągnęła go korytarzem.



Znowu siedziałem za kierownicą. Ernie z tyłu usadził swoją artretyczną *mon amour* wraz z niemożliwą liczbą pudeł na kapelusze, a potem wskoczył na siedzenie pasażera. Nie kupiłem nowego samochodu odkąd Madame Ex odeszła, a lata, jakie od tego czasu minęły, nie rozwiały się, jak na to liczyłem. Cholera, który pedał do czego? Gaz, hamulec, sprzęgło, lusterko, kierunkowskaz, skręt. Sięgnąłem do kluczyków w stacyjce.

– Na co czekasz? – zapytał Ernie.

Moje palce upierały się, że kluczyków w stacyjce nie ma.

– Pośpiesz się, Tim. Szybko!

– Nie ma kluczyków! Cholera, nie ma kluczyków!

– On zawsze zostawia kluczyki!

Moje palce jednak obstawały przy tym, że kluczyków w stacyjce nie było.

– Jego żona prowadziła! Zabrała kluczyki! Baba wzięła kluczyki ze sobą! Święty Judo, cholera, i co teraz?!

Ernie spojrział na deskę rozdzielczą, zajrzał do schowka, poszukał na podłodze.

– Nie potrafisz odpalić z kabla? – Mój głos brzmiał desperacko.

– Tylko bez hysterii! – krzyknął, przetrząsając zawartość popielniczki.

Piąta kostka domina przyklejona była w pionie cyjanopanem na fest.

– Przepraszam... – powiedziała Veronica.

– Poszukaj pod daszkiem przeciwsłonecznym!

– Nic tu, cholera, nie ma, oprócz...

– Przepraszam – powiedziała Veronica. – Czy to jest kluczyk samochodowy?

Razem z Erniem odwróciliśmy się i zawyliśmy w stereo: „Nieeeeeee!” na widok klucza yale. Zawyliśmy znowu, gdy zobaczyliśmy, że w naszą stronę ciemnym, prowadzącym od stołówki korytarzem biegnie Withers, a tuż za nim obydwój Hotchkissowie.

– Oj – powiedziała Veronica – ten plan też się nie powiódł...

Patrzyliśmy, jak Withers dobiega do recepcji. Spojrzał przez szybę prosto na mnie, przywołując w moich myślach obraz rottweilera bestialsko poniewierającego lalkę uszytą na podobieństwo Timothy’ego Langlanda Cavendisha, lat 65 M. Ernie pozamykał wszystkie drzwi w aucie, ale co by nam to miało dać?

– A ten? – Czy w ręku Veroniki dyndał tuż przed moim nosem kluczyk do samochodu? Z logo range rovera?

Razem z Erniem zawyliśmy:

– Taaaaaaaak!

Withers otworzył szeroko frontowe drzwi i rzucił się w dół po schodach.

Moje palce, obracając kluczyk, upuściły go na podłogę.

Withers leciał ślizgiem w naszą stronę po zamrożonej kałuży.

Walnąłem głową o kierownicę, aż zatrąbił klakson.

Withers ciągnął już za klamkę zamkniętych drzwi. Moje palce szukały kluczyków na podłodze, podczas gdy petardy bólu rozsadały mi czaszkę. Johns Hotchkiss wrzeszczał:

– Wysiadać z mojego wozu, dziadygi, bo was podam do sądu! ZRESZTĄ I TAK WAS PODAM!

Withers walił w moją szybę kijem baseballowym, chociaż nie – to była jego pięść; wysadzany kamieniami pierścionek żony Hotchkissa zostawiał na szybie rysy; kluczyk jakimś cudem trafił w końcu do stacyjki; zaryczał silnik; na desce zapaliły się kolorowe lampki; Chet Baker śpiewał „Let’s Get Lost”; Withers wisiał na drzwiach i w nie łomotał; Hotchkissowie siedli przykurczeni na przednich świątlach, jak grzesznicy z obrazów El Greco; wrzuciłem pierwszy bieg, ale range rover raczej przesunął się, niż pojechał, bo zaciągnięty był ręczny

hamulec; Aurora House buchnął nagle snopami światła, jak UFO w *Bliskich Spotkaniach Trzeciego Stopnia*; nie zwracałem uwagi na ogarniające mnie wrażenie, że przeżywałem już ten moment wiele razy; zwolniłem ręczny, uderzyłem w Withersa; wrzuciłem dwójkę; Hotchkissowie szamotali się jeszcze, ale odpadli i w końcu wystartowaliśmy!



Objechałem staw w kierunku prowadzącym z dala od bramy, bo przodem w tę właśnie stronę pani Hotchkiss zaparkowała wcześniej range rovera. Spojrzałem w lusterko – Withers i Hotchkiss pędzili za nami, jak komandosi.

– Odciągnę ich jak najdalej od bramy – rzuciłem do Erniego – żebyś miał czas otworzyć zamek wytrychem. Ile potrzebujesz? Czterdzieści pięć sekund?

Ernie mnie nie słyszał.

– Ile czasu zajmie ci otworenie zamka?

– Musisz staranować bramę.

– Co?

– Wielkim range roverem przy pięćdziesięciu milach na godzinę powinno się udać.

– Co? Mówiłeś, że potrafisz otworzyć taki zamek z zamkniętymi oczami!

– Elektryczny zamek najnowszej technologii? Nie ma szans!

– Nie zamykałbym Sykes i nie kradł samochodu, gdybym wiedział, że nie potrafisz otworzyć zamka!

– No właśnie. Jesteś mientki, potrzebowałeś zachęty.

– Zachęty?! – wrzasnąłem, równie wystraszony, jak wściekły i zrozpaczony.

Samochód młócił zarośla, które nie pozostawały mu dłużne.

– Wspaniały dreszcz emocji! – wykrzyknęła Veronica.

Ernie przemówił takim tonem, jakby rozwiązywał problem majsterkowicza:

– O ile tylko centralny słup nie jest wkopany bardzo głęboko, skrzydła bramy przy uderzeniu po prostu polecą na boki.

– A jeśli jest wkopany głęboko?

W Veronice wzięła górę euforia.

– Wtedy przy uderzeniu my polecimy na boki. Czyli gaz do dechy, panie Cavendish!

Brama mknęła wprost na nas, jeszcze tylko dziesięć, osiem, sześć długości samochodu. Gdzieś z dna miednicy przemówił do mnie tatuś. „Czy choć trochę zdajesz sobie sprawę, synu, w jakich jesteś kłopotach?”. Posłuchałem ojca. Posłuchałem go i dałem po hamulcach. Mama syknęła mi do ucha: „Pieprz to, Timmy, co masz do stracenia?”. Z ostatnią myślą zdałem sobie sprawę, że nacisnąłem nie na hamulec, a na gaz – dwie długości samochodu, jedna, bbbuummmm!

Pręty z pionowych nagle zrobiły się poziome.

Brama wyleciała z zawiasów.

Serce skoczyło mi na bungee z gardła do flaków i z powrotem, i jeszcze raz, a range roverem zarzucało po całej drodze. Ile sił blokowałem ujście jelit, hamulce piszczały, ale udawało mi się omijać rowy, silnik cały czas pracował, przednia szyba pozostała nienaruszona.

Wreszcie zahamowałem.

Mgła gęstniała i rzedniała w snopach światła z przednich reflektorów.

– Jesteśmy z ciebie dumni – powiedziała Veronica – prawda, Ernest?

– Pewnie, serduszko! Jasne, że tak! – Ernie poklepał mnie po plecach.

Słyszałem, jak Wihters ciska gromy i toczy pianę tuż za nami.

Ernie odkręcił szybę i wrzasnął w stronę Aurora House.

– Jeełłłoooooopyyyy!

Znowu przycisnąłem gaz. Opony zachrzęściły na żwirze, silnik nabrał pełnej mocy i Aurora House zniknął w ciemnościach. Cholera, kiedy rodzice umierają, wprowadzają się do ciebie.

*

– Może mapę? – Ernie przetrząsał zawartość schowka. Na razie znalazł okulary słoneczne i paczkę Werther’s Originals.

– Nie trzeba. Nauczyłem się trasy na pamięć. Znam każdy zakręt. Ucieczka zawsze w dziewięćdziesięciu procentach zależy od logistyki.

– Lepiej trzymajmy się z dala od autostrad. Mają tam kamery i Bóg wie co jeszcze.

– No właśnie. – Zastanawiałem się nad zmianą fachu z wydawcy na złodzieja

samochodów. – No właśnie.

– No właśnie! No właśnie! – Veronica zaskrzeczała, jak pan Meeks. Naśladowała go genialnie.

Skomplementowałem ją za to.

Chwila ciszy.

– Nic nie mówiłam.

Ernie odwrócił się i krzyknął ze zdziwienia. Kiedy w lusterku zobaczyłem pana Meeksa trzęsącego się z tyłu wozu, niewiele brakowało, byśmy wszyscy wylądowali w rowie.

– Jak... – zacząłem. – Kiedy... Kto...

– Pan Meeks! – zagruchała Veronica. – Cóż za miła niespodzianka.

– Niespodzianka? – zapytałem. – On pokonał prawa fizyki!

– Nie możemy zrobić zawrotki do Hull – zdecydował Ernie – a jest za zimno, żeby go wysadzić. Do rana zamarznie na kość.

– Uciekliśmy z Aurora House, panie Meeks – wyjaśniła Veronica.

– No właśnie – zabecztał dziadek, kompletnie ululany. – No właśnie.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, prawda?

Pan Meeks zachichotał. Ssał cukierka i nucił pod nosem „Brytyjskich grenadierów”, gdy range rover mknął miłą za miłą na północ.



W świetle reflektorów załśniła tablica THAWICKE CROSS. JECHAĆ OSTROŻNIE. Ernie zakończył tu planowanie naszej trasy na mapie wielkim czerwonym krzyżykiem i teraz wiedzieliśmy już dlaczego. Obsługująca autostradę całodobowa stacja benzynowa, a tuż obok pub „Pod Powieszonym Chartem”. Już dawno minęła północ, ale nadal paliły się światła.

– Zaparkuj pod pubem. Pójdę i kupię kanister benzyny, tak że nikt nas nie zauważy. Potem proponuję szybkie piwko, żeby opić robotę. Johns, cymbał, zostawił kurtkę w samochodzie, a w kurtce: ta dam! – Ernie pomachał portfelem wielkości mojej teczki. – Na pewno będzie w stanie postawić nam kolejkę.

– No właśnie! – zachwycił się pan Meeks. – No właśnie!

– Drambuie z wodą sodową – postanowiła Veronica. – O tak, zdecydowanie.

Ernie wrócił po pięciu minutach, niosąc kanister.

– Spokojnie.

Przełał benzynę do baku, a potem wszyscy czworo przeszliśmy przez park do „Powieszonego Charta”.

– Rzeńska noc – zauważył Ernie, proponując swoje ramię Veronice.

Było zimno jak cholera i nie mogłem opanować dreszczy.

– Przepiękny księżyc, Erneście – dodała Veronica, ujmując go pod ramię. – Cudowna noc na ucieczkę! – Zachichotała jak szesnastolatka.

Docisnąłem mocniej wieczko nad starym demonem, Zazdrością. Pan Meeks chwiał się, gdy stawiał kroki, więc podtrzymałem go aż do drzwi, gdzie napis kredą na czarnej tablicy oznajmiał „Wielki Mecz!”. W ciepłym zaciszu salki zebrany tłum oglądał w telewizji mecz piłkarski rozgrywany w odległej, fluorescencyjnej strefie czasowej. W osiemdziesiątej pierwszej minucie Anglia przegrywała ze Szkocją jedną bramką. Nikt nas nawet nie zauważył. Anglia grająca ze Szkocją za granicą w samym środku zimy? Czy to znowu Mistrzostwa Świata? Co jest, cholera, Rip Van Winkle¹²⁷¹?

Nie jestem wielkim miłośnikiem pubów z telewizją, ale w tym przynajmniej nie było *umpcy-umpcy-techno*, a owego wieczoru wolność była i tak najśłodszy z towarów do nabycia. Owczarek zrobił dla nas miejsce na ławce przy kominku. Ernie zamówił drinki, bo, jak stwierdził, przez mój południowy akcent napluliby mi do szklanki. Wziąłem podwójną Kilmagoon i najdroższe cygaro, jakie było na stanie, Veronica poprosiła o swoje Drambuie z wodą sodową, pan Meeks o piwo imbirowe, a Ernie zamówił duże ciemne „Angry Bastard”. Barman nie odrywał wzroku od telewizora – nalewał nam drinki absolutnie na czuja, posługując się wyłącznie zmysłem dotyku. Kiedy tylko usiedliśmy w kąciku, przez bar przetoczył się z rykiem cyklon rozpaczy. Sędzia podyktował karnego dla Anglii. Przynależność plemienna elektryzowała widzów.

– Chciałbym sprawdzić trasę. Ernie, możesz mi dać mapę?

– Ty ją miałeś.

– Czyli musi być... – W moim pokoju. Reżyserze Lars, maksymalne zbliżenie, proszę, na Cavendisha, uświadamiającego sobie właśnie swój brzemienny w skutki błąd. Zostawiłem mapę na łóżku. W prezencie dla siostry Sykes. Z trasą zaznaczoną flamastrem. – Musi być w samochodzie. O, Boże. Myślę, że lepiej dopić i się zbierać.

– Przecież dopiero co zaczęliśmy kolejkę.

Głośno przełknąłem.

– Jeśli chodzi ooo... ehm, o mapę... – Spojrzałem na zegarek i obliczyłem odległości i prędkości.

Ernie zaczynał coś podejrzewać.

– Co z mapą?

Moja odpowiedź utonęła w nagłym żałobnym lamencie całego plemienia. Anglia wyrównała. I dokładnie w tym samym momencie, nie zmyślam, do środka zajrzał Withers. Zatrzymał na nas spojrzenie gestapowca. Nie był w dobrym humorze. Obok niego pojawił się Johns Hotchkiss. Zobaczył nas, ale ten wyglądał na wielce uradowanego. Sięgnął po komórkę, żeby wezwać aniołów zemsty. Stanu komanda dopełniał trzeci zbir w umazanym smarem kombinezonie, ale wydawało się, że jak na razie siostra Sykes zdołała przekonać Johnsa Hotchkissa, żeby nie włączał do tego policji. Tożsamości zbira w wysmarowanym kombinezonie miałem nigdy nie poznać, ale z miejsca wiedziałem: gra skończona.

Veronica westchnęła słabo.

– Taką miałam nadzieję, że zobaczę – rzekła niemal śpiewnie – macierzanke wśród gór, wrzosowiska w rozkwicie, a ty pójdź, dziewczę, pójdź^[28]...

Czekało nas otumanione lekami pseudożycie, pełne restrykcji i dziennych programów. Pan Meeks stanął naprzeciw naszych oprawców.

Wydał z siebie ryk, jak bibijny lew. (Lars, najazd kamerą z parku na zewnątrz, przez zatłoczony bar i w głąb, prosto między nadpsute migdałki pana Meeksa). Telewizowie przerwali rozmowy i gapili się z porozlewanyymi drinkami. Nawet Withers zatrzymał się w pół kroku. Osiemdziesięciolatek skoczył na kontuar, jak Fred Astaire u szczytu kariery, i do swej szkockiej braci zaryczał SOS:

– Czy nie ma tu żadnych prawdziwych Szkotów?

Całym zdaniem! Veronicę i mnie zatkało.

Bar czekał w napięciu. Nikt nawet nie drgnął.

Pan Meeks wskazał Withersa kościstym palcem i wypowiedział pradawne zaklęcie:

– „Te angielskie łotry nastają na prawa od Boga mi dane! Mnie i druhow mych wykorzystali straszliwie i oto pomocy waszej nam trzeba!”.

Withers warknął:

– Chodźcie bez awantur i poddajcie się karze.

I tu wydał go południowy angielski akcent! Jakiś rockers podniósł się niczym Posejdon

i strzelił kostkami palców. Przy nim stanął operator dźwigu. I facet z podbródkiem rekina, w garniturze za tysiąc funtów. I kobieta-rzeźnik, czego dowodziły szramy na jej twarzy.

Wyłączono telewizor.

Szkocki góral łagodnie przemówił.

– Jasne, brachu. Nie zawiedziemy was.

Withers ocenił siły i stwierdził, że najlepszy efekt wywrze ironiczny uśmiezek, mówiący „zastanówcie się!”.

– Ci ludzie ukradli samochód.

– Jesteś gliną? – Kobieta-rzeźnik ruszyła do przodu.

– To pokaż odznakę. – Na przód wysunął się operator dźwigu.

– Ściemnia – ocenił Posejdon.

Może i nie zachowaliśmy tego dnia zdrowego rozsądku, ale Johns Hotchkiss zaliczył fatalnego samobójcę. Kiedy zobaczył, że drogę zagradza mu kij bilardowy, zaczął od przemowy:

– A ty se, kurde, dekle, możesz iść się o własny sporran wytrykać, jak myślisz...

Jeden z jego zębów wleciał do mojej Kilmagoon, piętnaście stóp dalej. (Wyłowiłem go jako dowód, inaczej nikt mi nie uwierzy). Withers złapał i odepchnął nadlatującą pięchę, niedużego Szkota rzucił na stół bilardowy, ale ogr był tylko jeden, a jego rozjuszonych wrogów cały legion.

Scena, jaka nastąpiła, była godna Trafalgaru. Muszę przyznać, że z pewną przyjemnością patrzyłem, jak brutalnie obchodzą się z bydłakiem, ale kiedy Withers upadł na deski i zaczęły na niego spadać masakrujące ciosy, zaproponowałem, żeby taktownie wycofać się lewą stroną sceny do naszego pożyczonego pojazdu. Wyszliśmy tylnymi drzwiami i dreptaliśmy przez wietrzny parking tak szybko, jak tylko mogły nas nieść nasze nogi, których łączny wiek przekraczał trzysta lat. Włączyłem silnik i odjechaliśmy. Na północ.

Gdzie to się wszystko zakończy, nie wiem.

KONIEC



Owszem, Drogi Czytelniku, należy Ci się epilog, jeżeli dotrwałeś ze mną aż do tu. Moja upiorna udręka dobiegła kresu w tym wspaniałym domu w Edynburgu, którego właścicielką jest dyskretna wdowa z Isle of Man. Po bijatyce w „Powieszonym Charcie” całą czwórką ślepych myszek pojechaliśmy do Glasgow, gdzie Ernie miał zblatowanego gliniarza,

gotowego zająć się autem Hotchkissa. Tam nasza drużyna się rozstała. Ernie, Veronica i pan Meeks pomachali mi na pożegnanie na stacji. Ernie obiecał, że weźmie wszystko na siebie, gdyby prawo kiedykolwiek miało się tym zająć, bo jest już za stary, żeby stawać przed sądem. To bardzo przyzwoicie z jego strony. Razem z Veronicą chcieli udać się gdzieś na Hebrydy, gdzie kuzyn Erniego, złota rączka i kaznodzieja, odnawia podupadłe farmy dla rosyjskich mafiozów i niemieckich miłośników celtyckiej mowy. Zanoszę świeckie modły, żeby im się powiodło. Pan Meeks miał zostać podrzucony do biblioteki publicznej z tabliczką „Proszę zaopiekować się tym misiem”, ale podejrzewam, że Ernie i Veronica zabrali go ze sobą. Po przybyciu do domu rzeczony wdowy spałem pod puchową pierzyną snem sprawiedliwych, niczym król Artur na Wyspie Błogosławionej. Dlaczego nie wsiadłem do pierwszego pociągu do Londynu? Sam nie wiem. Może dlatego, że pamiętam uwagę Denholme’a o życiu poza M-25. Nigdy nie dowiem się, jaką rolę odegrał w moim uwięzieniu, ale miał rację – Londyn zaciemnia mapę Anglii, rośnie na niej jak polip na jelitach. A tu, na północy, rozciąga się cały wielki kraj.

W bibliotece znalazłem domowy telefon pani Latham. Nasza pierwsza rozmowa po okresie rozłąki była wzruszająca. Oczywiście, pani Latham opanowała emocje i najpierw natarła mi uszu, zanim opowiedziała, co działo się przez wiele tygodni mojej nieobecności. Kiedy nie stawiałem się na umówioną kastrację o trzeciej, hydra Hogginsów urządziła w biurze Armagedon, ale pani Latham, mojej opocec, przydało się jak znalazł wiele lat ryzykownej pracy w wydawnictwie. Podstępnie nagrała wandali kamerą wideo, którą dostała od siostrzeńca. Hogginsowie zostali zatem powstrzymani: „Od Timothy’ego Cavendisha trzymajcie się z dala”, ostrzegła, „albo film trafi do Internetu, a wyroki w zawieszeniu zamienicie na więzienną celę”. Przekonała ich w ten sposób do przyjęcia godziwej oferty, która dawała im udział w przyszłych tantiemach. (Podejrzewam, że skrycie podziwiali żelazne nerwy Lady Cerber). Zarząd budynku wykorzystał moje zniknięcie – i zdemolowanie biura – jako pretekst, by nas wysiedlić. Gdy pisze te słowa moja była siedziba jest zmieniana w Hard Rock Cafe dla stęsknionych za krajem Amerykanów. Najstarszy siostrzeniec mojej sekretarki, rezydujący w Tangerze, prowadzi zatem Cavendish Publishing ze swojego własnego domu. A teraz najlepsza wiadomość: wytwórnia w Hollywood kupiła prawa do ekranizacji *W ryja* za sumę tak niedorzecznie olbrzymią, jak numer na kodzie kreskowym. Sporo pieniędzy trafi do Hogginsów, ale po raz pierwszy, odkąd skończyłem dwadzieścia dwa lata, jestem nadziany.

Pani Latham zajęła się moimi kartami kredytowymi, itd., a ja kreślę plany na przyszłość na podkładkach pod piwo, jak Churchill i Stalin w Jałcie, i muszę przyznać, że przyszłość nie rysuje się zbyt marnie. Znajdę jakiegoś wygłodniałego murzyna, który zmieni te zapiski w mój własny filmowy scenariusz. A co tam, skoro Dermot „Kastet” Hoggins może napisać bestseller, na podstawie którego kręć film, to dlaczego niby Timothy „Łazarz” Cavendish miałby nie móc? Umieszczę siostrę Sykes w książce, pod pręgierzem opinii – i trafi do księgarń. Owszem, kobieta była prostolinijna – bigotki przeważnie takie są – ale przez to wcale nie mniej niebezpieczna. Teraz świat pozna jej imię i skaże je na wieczne potępienie. Drobnymi problemami, jak pożyczony samochód Johnsa Hotchkissa, należy jeszcze delikatnie się zająć, ale najgorsze sprawy zostały już załatwione. Pani Latham skontaktowała się mailowo z Hilary V. Hush, by poinformować, że jesteśmy zainteresowani *Okresami półtrwania*, i listonosz niecałe pół godziny temu przyniósł drugą część. W środku było zdjęcie i okazuje się, że „V” oznacza „Vincent”! A jaki spaślak! Ze mnie też żaden chippendale, ale Hilary ze swoim obwodem w pasie zająłby nie dwa, a trzy siedzenia w klasie turystycznej. Czy Luisa Rey jeszcze żyje, dowiem się niedługo w tawernie „Krzywa Pokrzywa” – wraku galeonu i moim *de facto* biurze

w bocznej uliczce, gdzie Maria, królowa Szkotów, wezwała diabła na pomoc swej sprawie. Właściciel tawerny, serwujący podwójne miarki alkoholu, jakie w Londinium, gdzie króluje marketing i zarządzanie, byłyby o połowę mniejsze, klnie się, że regularnie widuje Jej Nieszczęsną Wysokość. *In vino Veritas*.

I to by było mniej więcej tyle. Wiek średni przeminął, ale to nastawienie, nie wiek, skazuje człowieka na szeregi zombie, lub też zsyła ocalenie. Krainę młodych także zamieszkuje wiele dusz zombie. Miotają się, ale ich wewnętrzne skostnienie pozostanie ukryte najwyżej przez kilka dziesięcioleci, to wszystko. Za oknem grube płatki śniegu opadają na spadziste dachy i ściany z granitu. Jak Sołżenicyn w Nowym Jorku, będę tyrał na wygnaniu, z dala od miasta, gdzie moje kości zrosły się w człowieka.

Jak Sołżenicyn, powrócę, gdzie mój dom, o zmierzchu pewnego pięknego dnia.

Okresy półtrwania. Pierwsza zagadka Luisy Rey

40

Czarne morze z hukiem wdziera się do środka. W zimnej wodzie zmysły Luisy znowu się wyostają. Tył jej volkswagena uderzył w wodę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, więc siedzenie ocaliło jej kręgosłup, ale teraz samochód przekręca się kołami do góry. Pas bezpieczeństwa unieruchamia ją zaledwie kilka cali od przedniej szyby. Morska woda uderza ją w głowę. Wydostań się, bo umrzesz. Luisa panikuje, wpuszcza wodę do płuc i szamocze się, żeby, kaszląc, zaczerpnąć powietrza nad powierzchnią. Odepnij pas. Luisa przekręca się i zgina się wpół, żeby sięgnąć do zamka. Naciśnij przycisk. Nie klika. Twój ciężar za bardzo go obciąża. Samochód opada głębiej półsaltem, wielka bańka powietrza z bulgotem płynie w górę, jak kałamarnica. Ubranie Luisy jest wzdęte, ciężkie i lepi się do ciała. Luisa histerycznie wali w przycisk i odpięty pasek odpływa. Powietrza. Znajduje odrobinę powietrza uwiecznionego pod przednią szybą. Morskie masy ciemnej wody blokują drzwi przed otwarciem. Odkręć okno. Szyba odkręca się wolno do połowy i zacina, dokładnie tu, gdzie zawsze się zacina. Luisa chybotliwie odwraca się i przeciska przez szparę głowę, ramiona i tułów. Z szarpnięciem uwalniają się dwa słowa.

Raport Sixsmitha!

Luisa wciąga głowę z powrotem do tonącego auta. Fatalnie, nic nie widzę! Plastikowa torba. Wetknięta pod siedzenie. Zgina się w ciasnym wnętrzu... Jest. Zapiera się i ciągnie, jak kobieta ciągnęłaby worek kamieni. Wpycha się stopami do przodu z powrotem w szparę okna, ale raport jest za gruby. Tonący samochód ciągnie Luisę w dół. Bołą ją już płuca. Te wszystkie papiery zrobiły się cztery razy cięższe. Torba przeszła przez okno, ale kiedy Luisa kopie i walczy, czuje, że poraża ją piorun. Setki stron, wirując, wypadają z żółtawego skoroszytu, kołując, gdzie zabierze je morze, wszędzie wokół, jak gra w karty w „Alicji”. Luisa zrzuca z nóg buty, jej płuca krzyczą, klną, błagają. Każde uderzenie serca dudni w uszach. Którędy w górę? W wodzie jest zbyt ciemno, żeby móc się zorientować. W górę to w przeciwną stronę, niż samochód. Jej płuca za moment przestaną pracować. Gdzie jest samochód? Luisa uświadamia sobie, że za Raport Sixsmitha zapłaciła życiem.

41 Isaac Sachs patrzy z góry na wspaniały poranek nad Nową Anglią. Labirynty przedmieść z miniaturowymi rezydencjami barwy kości słoniowej, jedwabiste trawniki inkrustowane turkusami basenów. Na policzku Sachs czuje chłód szyby okna małego odrzutowca Seboardu. Dokładnie sześć stóp pod jego siedzeniem, w ładowni, leży walizka, a w niej wystarczająca ilość C-4, żeby samolot zmienić w meteor. Czyli, myśli Sachs, posłuchałeś głosu sumienia. Luisa Rey ma Raport Sixsmitha. Przypomina sobie jej twarz w tak wielu szczegółach, ile tylko jest w stanie odtworzyć w pamięci. Masz wątpliwości? Czujesz ulgę? Strach? Słuszność sprawy? Mam przecucie, że już nigdy jej nie zobaczę.

Alberto Grimaldi, człowiek, którego przechytrzył, śmieje się z jakiejś uwagi asystenta. Obok przechodzi hostessa z tacą pełną podzwaniających drinków i napojów. Sachs zagłębia się w swoim notesie, gdzie pisze następujące zdania.

• Wykład: działania rzeczywistej przeszłości + przeszłości wirtualnej można zilustrować na przykładzie wybranego wydarzenia znanego z historii, takiego jak zatonięcie „Titanica”. Faktyczny przebieg katastrofy, taki, jaki miał miejsce, zacierają się i ginie w niepamięci wraz z wymieraniem naocznych świadków, ginięciem dokumentów + wrak statku rozkłada się w grobie na dnie Atlantyku. Lecz wirtualne zatonięcie „Titanica”, powstałe z odtworzonych wspomnień, dokumentów, pogłosek, fikcji – jednym słowem z wierzeń – staje się coraz bardziej „prawdziwe”. Rzeczywista przeszłość jest krucha i coraz mroczniejsza + coraz trudniejszy staje się do niej dostęp i jej rekonstrukcja: z drugiej strony, przeszłość wirtualna, plastyczna i łatwa w kształtowaniu, coraz bardziej się rozjaśnia + coraz trudniej ją obejść/obnażyć jako fałszerstwo. • Teraźniejszość zmusza wirtualną przeszłość, żeby działała na jej korzyść, nadawała wiarygodność jej mitologiom + uprawomocniała narzuconą wolę. Władza szuka prawa i sama w sobie stanowi prawo „kształtowania krajobrazu” przeszłości wirtualnej. (Racja jest po stronie tego, kto opłaca historyków). • Symetria wymaga istnienia również faktycznej oraz wirtualnej przyszłości. Wyobrażamy sobie, jak będzie wyglądał przyszły tydzień, przyszły rok, czy rok 2225 – wyobrażamy sobie wirtualną przyszłość zbudowaną z życzeń, przepowiedni + marzeń na jawie. Ta wirtualna przyszłość może wpływać na rzeczywistą przyszłość, jak w samospełniającej się przepowiedni, lecz przyszłość faktyczna za nami naszą przyszłość wirtualną w sposób tak oczywisty, jak jutro przyćmiewa nasze dzisiaj. Podobnie jak Utopia, rzeczywista przyszłość + przyszłość wirtualna istnieją jedynie w mglistej dali, gdzie nikomu na nie się nie przydają. • Pytanie: Czy istnieje znaczące rozróżnienie między mylącą uludą dymu, luster + cieni – przeszłością faktyczną – od innej równie mylącej uludy – faktycznej przyszłości? • Model czasu: niekończąca się matrioszka z namalowanymi momentami, każdą laleczkę (teraźniejszość) umieszczoną wewnątrz łańcucha laleczek (wcześniejsze teraźniejszości) nazywam faktyczną przeszłością, ale postrzegamy ją jako przeszłość wirtualną. Laleczka „teraz” w podobny sposób obejmuje łańcuch wszystkich teraźniejszości, które dopiero nastąpią, a które ja nazywam faktyczną przyszłością, lecz postrzegamy je jako przyszłość wirtualną. • Twierdzenie: Kocham Luisę Rey.

Detonator uruchomiony. C-4 wybuchu. Odrzutowiec pochłania kula ognia. Metalowe i plastikowe części, kable obwodów, pasażerowie, ich kości, ubrania, notesy i mózgi – wszystko traci określoność w płomieniach, których temperatura przekracza tysiąc dwieście stopni Celsjusza.

Rzeczy od-stworzone i zmarli istnieją wyłącznie w naszej faktycznej i wirtualnej

przeszłości. Teraz obydwie przeszłości zaczynają się rozwidlać.

42 – Betty i Frank chcieli lepiej zarządzać swoimi finansami – opowiada Lloyd Hooks słuchaczom przy śniadaniu w Swanekke Hotel. Krąg neofitów i akolitów z wielką uwagą słucha Guru Energii doradzającego samemu prezydentowi. – Więc postanawiają, że Betty stanie pod latarnią, żeby wpadło trochę kasy. Przychodzi noc i Frank odwozi Betty do rewiru, do nowej pracy. „Frank” – pyta Betty. – „Ile mam brać?”. Frank liczy, liczy i mówi: „Sto baksów za całą imprezę”. Więc Betty wysiada, a Frank parkuje w cichej uliczce. Za kilka chwil podjeżdża gość starym, rozwalającym się chryslerem i pyta Betty: „Ile za całą noc, skarbie?”. Betty mówi: „Sto dolarów”. A gość: „Mam tylko trzydzieści. Co można za trzydzieści?”. Więc Betty leci do Franka i pyta. Frank mówi: „Powiedz, że za trzydzieści zrobisz mu ręką”. Więc Betty wraca do gościa...

Lloyd Hook zauważa z tyłu Billa Smoke’a. Bill Smoke podnosi jeden-dwa-trzy palce; trzy palce zmieniają się w zaciśniętą pięść; pięść wykonuje gest, jakby cięła powietrze. Alberto Grimaldi, nie żyje; Isaac Sachs, nie żyje; Luisa Rey, nie żyje. Oszust, sprzedawczyk i węższąca baba. Oczy Hooksa mówią Smoke’owi, że zrozumiał i w jego umyśle pojawia się fragment greckiego mitu. „Świętego gaju Diany strzegł Kapłan Wojownik, którego obdarowywano bogactwem, lecz który na swoją pozycję zapracował, mordując poprzednika”. Kiedy spał, ryzykował życie. Grimaldi, ty spałeś zbyt długo.

– W każdym razie, Betty wraca do gościa i mówi że za trzydzieści zrobi mu ręką, więc chce, czy nie? Facet mówi: „Dobra, skarbie, wskakuj, niech będzie ręką. Jest tu jakaś cicha uliczka?”. Betty każe mu jechać za róg w uliczkę Franka. Gość rozpina spodnie i wyjmuje zajebicie wielką pałę. Betty chwytą powietrze i mówi: „Poczekaj! Zaraz wracam”. Wyskakuje z samochodu, puka w szybę Franka. Frank opuszcza szybę. „Co znowu?”. – Hooks robi pauzę przed puentą. – A Betty: „Frank, weź pożycz mu siedemdziesiąt baksów!”.

Ludzie, którzy mogliby być członkami zarządu, chichoczą jak hieny. Kto uważa, że pieniądze szczęścia nie dają – Lloyd Hooks pławi się w blasku powszechnej uwagi – ten zdecydowanie miał ich za mało.

Przez lornetkę Hester Van Zandt ogląda opuszczających się w wodę nurków.

Bosy nastolatek w poncho podchodzi wolno od strony plaży z nieszczęśliwą miną i klepie kundla Hester.

– Znaleźli już samochód? Kanał jest w tym miejscu dość głęboki. Dlatego tak biorą tu ryby.

– Trudno stwierdzić z tej odległości.

– Niezła ironia losu, utonąć w morzu, które wcześniej samemu się skaziło. Strażnik ma chyba na mnie ochotę. Powiedział mi, że kierowca jechał po pijaku. Jakaś kobieta, koło czwartej rano.

– Specjalna strefa bezpieczeństwa na całej wyspie obejmuje też Swanekke Bridge. Seaboard może podać do publicznej wiadomości co tylko chce i nikt nie będzie tego podważał.

Nastolatek ziewa.

– Myślisz, że utonęła w tym samochodzie? Ta kobieta? Albo może udało jej się wydostać, ale utonęła później?

– Trudno powiedzieć.

– Jeżeli była na tyle pijana, żeby wypaść przez barierki, nie dopłynęłaby do brzegu.

– Kto wie?

– Fatalna śmierć.

Nastolatek ziewa i odchodzi. Hester zmęczonym krokiem wraca do przyczepy. Milton, Indianin, siada na schodku i pije mleko z kartonu. Wyciera usta i mówi:

– Wonder Woman już nie śpi.

Hester robi kilka kroków, obchodząc Milтона, i pyta leżącą na kanapie kobietę, jak się czuje.

– Cieszę się, że żyję – odpowiada Luisa Rey – zapchałam się drożdżówkami i już trochę wyschłam. Dzięki za ubranie.

– Dobrze, że akurat nosimy ten sam rozmiar. Nurkowie szukają twojego auta.

– Szukają Raportu Sixsmitha, a nie mojego auta. Ucieszyliby się też, gdyby znaleźli moje ciało.

Milton zamyka drzwi na zasuwkę.

– Czyli wypadłaś przez barierkę, wpadłaś do morza, wydostałaś się z tonącego wozu, przepłynęłaś trzysta metrów do brzegu i masz tylko trochę siniaków?

– Kiedy myślę o wniosku o odszkodowanie, boli mnie bardzo.

Hester siada.

– Co chcesz teraz zrobić?

– Najpierw muszę wrócić do mieszkania po parę rzeczy. Potem chyba pomieszkam u mamy w Ewingsville Hill. A potem... z powrotem do punktu wyjścia. Bez Raportu Sixsmitha nie jestem w stanie zainteresować ani policji, ani mojego naczelnego tym, co się dzieje na Swanekke.

– U matki będziesz bezpieczna?

– Dopóki Seaboard myśli, że nie żyję, Joe Napier nie będzie mnie szukał. A kiedy odkryją, że się jednak nie zabiłam... – Wzrusza ramionami. Po wydarzeniach ostatnich sześciu godzin broni jej pancierz fatalizmu. – Tak zupełnie bezpieczna pewnie nie będę. Ale to ryzyko jeszcze do przyjęcia. Nie robię takich rzeczy zbyt często, nie jestem ekspertką.

Milton wsadza kciuki w kieszenie.

– Odwiozę cię do Buenas Yervas. Daj mi chwilę, zadzwonię do znajomego, żeby przyjechał pick-upem.

– Dobry chłopak – mówi Luisa, gdy już wyszedł.

– Powierzyłabym mu własne życie – mówi Hester.

44 Milton idzie do odrapanego sklepu, gdzie zakupy robią mieszkańcy kempingu, parku przyczep, plażowicze, przyjezdni na Swanekke i mieszkańcy okolicznych samotnych domków. W radiu za ladą leci kawałek The Eagles. Milton wrzuca dziesięć centów do aparatu, sprawdza, czy na ścianach nie ma podsłuchu i wykręca numer, który zna na pamięć. Nad wieżami chłodniczymi Swanekke para wodna unosi się jak dżinny, które przybrały postać kalafiorów. Pylony maszerują na północ do Buenas Yervas i na południe do Los Angeles. Śmieszne, myśli Milton. Władza, czas, grawitacja, miłość. Wszystkich sił, które naprawdę dają czadu, nie da się zobaczyć. Po drugiej stronie słuchawki ktoś odbiera telefon:

– Tak?

– Napier? To ja. W sprawie niejakiej Luisy REY... A właśnie, że założmy, że żyje? Że chodzi sobie wolno, pogwizduje i robi zakupy? Byłbyś zainteresowany miejscem jej pobytu? Za ile? Nie, ty podaj sumę. To teraz pomnóż przez dwa... Nie? Miło się rozmawiało. Muszę lecieć... – Milton uśmiecha się pod nosem. – To samo konto i bardzo proszę w ciągu jednego dnia roboczego. Owszem. Co? Nie, nikt inny jej nie widział oprócz van Zandt. Nie. Tak, coś mówiła, ale leży na dnie. Na pewno. Żrą go ryby. Nie żartuj, tylko tobie sprzedają supernewsy... Tak, zawożę ją do mieszkania, a potem jedzie do matki... W porządku, za godzinę. Konto jak zwykle. Jeden dzień roboczy.

45 Luisa otwiera drzwi do mieszkania, słyszy odgłosy niedzielnego meczu i uderza ją zapach popcornu.

– Od kiedy pozwoliłam ci smażyć na oleju?! – woła do Javiera. – Dlaczego rolety są opuszczone?

Javier wskakuje do przedpokoju i się szczyrzy.

– Luisa! Popcorn zrobił twój wujek Joe. Oglądamy mecz, Giants grają z Dodgersami. Dlaczego jesteś ubrana jak jakaś stara baba?

Luisa czuje, że wszystko w niej sztywnieje.

– Chodź tu. Gdzie on jest?

Javier prycha.

– Siedzi na kanapie. A co?

– Chodź tu natychmiast! Matka chce, żebyś wrócił do domu.

– Przecież jest w hotelu. Wzięła nadgodziny.

– Luisa, to na moście to nie moja robota! Przysięgam! – Joe Napier pojawia się za Javierem z uniesionymi otwartymi dłońmi, jakby uspokajał spłoszone zwierzę. – Posłuchaj...

Głos Luisy drży.

– Javi! Już, tutaj! Stań za mną!

Napier podnosi głos.

– Posłuchaj...

Tak, rozmawiam z własnym mordercą.

– Dlaczego miałabym cię słuchać, choćby jednego słowa?

– Bo jestem jedyną osobą w Seaboardzie, która wie o wszystkim i nie chce twojej śmierci! – Spokój opuścił już Napiera. – Wtedy na parkingu chciałem cię ostrzec! Pomyśl tylko! Gdybym był mordercą, to czy w ogóle byśmy teraz rozmawiali? Przy świadkach? Nigdzie się stąd nie ruszaj, na miłość boską! Nie jesteś bezpieczna. Twoje mieszkanie cały czas może być pod obserwacją. Dlatego opuściłem rolety.

Javier słucha z rozdziawioną buzią. Luisa trzyma go, ale nie wie, co zrobić, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo.

– Co tu robisz?

Napier jest znowu spokojny, ale zmęczony i zmartwiony.

– Znałem twojego ojca, kiedy był gliną. Dzień zwycięstwa nad Japonią na Silvaplane Wharf. Wejdz, Luisa. Usiądź.

46 Joe Napier obliczył, że dzieciak sąsiadów przytrzyma Luisę wystarczająco długo, żeby posłuchała, co powie. Nie jest dumny, że plan się powiódł. Napier, bardziej obserwator niż mówca, ostrożnie cyzeluje zdania.

– W czterdziestym piątym byłem już od sześciu lat gliną w Rejonie Spinoza. Żadnych

pochwał, żadnych nagan. Zwykłym gliną. Trzymałem się z dala od afer, umawiałem się na randki ze zwykłą dziewczyną, maszynistką. Piętnastego sierpnia w radiu ogłosili, że Japońce się poddały, i całe Buenas Yervas odtańczyło taniec zwycięstwa. Łała się whisky, wyły klaksony, wybuchały fajerwerki, ludzie wzięli wolny dzień, nawet jeśli im szefowie nie dali. Gdzieś koło dziewiątej wezwali nas razem z kolegą z patrolu do sprawy ucieczki z miejsca wypadku w dzielnicy koreańskiej. Normalnie nie zawracalibyśmy sobie głowy tym, co się tam dzieje, ale ofiarą był biały chłopak, więc wiadomo było, że będziemy mieć na głowie rodzinę z całą masą pytań. Jedziemy wozem na miejsce, a tu przez radio twój ojciec nadaje Kod Ósmy. Wzywa wszystkie radiowozy na Silvapłana Wharf. Podstawową zasadą było, że nie weszło się w tym rejonie doków. Chyba że chciało się stracić pracę. Mafia miała tam swoje magazyny, pod parasolem Ratusza. Do tego Lester Rey – Napier postanawia nie cenzurować języka – w Rejonie Dziesiątym był znany z upierdliwości, regulaminowy jak w szkółce niedzielnej. Ale jednak postrzelono dwóch policjantów, a to już zmieniało postać rzeczy. Przecież mógłby się tam wykrwawiać akurat twój kumpel. Więc natychmiast zawróciliśmy i dojechaliśmy do nabrzeża tuż za innym wozem ze Spinozy – za Bronzmanem i Harkinsem. Najpierw nic nie widziałem. Ani śladu Lestera Reya, ani ich radiowozu. Latarnie w dokach się nie paliły. Przejechaliśmy między dwiema ścianami kontenerów, skręciliśmy za róg na plac, gdzie jacyś faceci załadowywali wojskową ciężarówkę. Myślałem, że trafiliśmy do niewłaściwej części doków, kiedy rzuciło mi się w oczy, że strasznie się coś śpieszyli przy ładowaniu. Jakoś to było dziwne – w noc narodowego święta? I wtedy uderzył w nas grad pocisków i wszystko przestało być dziwne. Bronzman i Harkins przyjęli pierwsze uderzenie – my po hamulcach, w powietrzu pełno szkła, nasz samochód zarzuciło na ich wóz, razem z kolegą wyturlaliśmy się z auta, schowaliśmy się za pryzmą stalowych rur. W wozie Bronzmana nie przestaje wyc klakson, a oni nie wysiadają. Wokół nas świszczy coraz więcej kul, a ja sram pod siebie – zostałem gliną, żeby uniknąć działań wojennych. Mój kolega zaczyna w odpowiedzi strzelać do nich. Ja za nim, ale szanse, że kogokolwiek trafimy, są w zasadzie zerowe. Szczerze mówiąc, byłem wdzięczny, kiedy ciężarówka w końcu przejechała obok nas. Jak ostatni matoł, za szybko wyskoczyłem z ukrycia, żeby jeszcze zdążyć spisać jej numery. – Napiera boli język. – I wtedy wszystko się zaczęło. Jakiś facet leci z wrzaskiem na mnie przez plac. Strzelam do niego. I chybiam – to najszcześniejsze chybienie w moim życiu. I w twoim, Luisa, bo gdybym zastrzelił twojego ojca, to ciebie by tu nie było. Lester Rey pokazuje coś za moimi plecami, pędem koło mnie przebiega i kopie w jakiś przedmiot rzucony z ciężarówki, który toczy się w moją stronę. Potem wali we mnie oślepiające światło, huk rozrywa mi głowę, a tyłek przeszywa kłujący ból. Leżę, gdzie upadłem, półprzytomny i dopiero sanitariusze na noszach biorą mnie do karetki.

Luisa nadal milczy.

– Miałem szczęście. Odłamek granatu rozorał mi obydwie pośladki. Poza tym nie miałem żadnych innych obrażeń. Lekarz powiedział, że pierwszy raz w życiu widział, żeby jeden odłamek zrobił cztery dziury. Z twoim ojcem było oczywiście dużo gorzej. Był podziurawiony jak ementaler. Zaraz go operowali, ale oko było nie do uratowania i musieli mu je usunąć na dzień przed moim wyjściem ze szpitala. Nie rozczulał się nad sobą; po prostu uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Najbardziej upokarzającą z przysług jest uratowanie komuś życia. Lester też o tym wiedział. Ale nie ma dnia, a pewnie i godziny, żebym o nim nie myślał. Za każdym razem, kiedy siadam.

Luisa przez chwilę nic nie mówi.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego na Swanekke Island?

Napier drapie się za uchem.

– Bałem się, że wykorzystasz moją znajomość z twoim ojcem, żeby coś ze mnie wydusić...

– O tym, co naprawdę stało się z Rufusem Sixsmithem?

Napier nie potwierdza, ani nie zaprzecza.

– Wiem, jak działają reporterzy.

– Ty próbujesz mnie wytykać nieuczciwości?

Mówi ogólnie, nie zna konkretów – nie może wiedzieć o domu Margo Roker.

– Jeżeli będziesz dalej szukać raportu Rufusa Sixsmitha – Napier zastanawia się, czy powinien to mówić przy chłopaku – po prostu cię zabiją. Nie ja! Ale ktoś inny. Błagam cię. Wyjedź jutro z miasta. Rzuć w cholerę pracę i dawne życie, i jedź!

– Alberto Grimaldi wysłał cię, żebyś mi to powiedział, tak?

– Nikt nie wie, że tu jestem, i módlmy się, żeby nie wiedzieli, bo będę w takich samych opałach, jak ty.

– Jedno pytanie...

– Chcesz wiedzieć... – naprawdę wolałby, żeby ten dzieciak tu nie stał – ...czy to, co się stało z Sixsmithem, to ja? Odpowiedź brzmi: nie. Nie zajmuję się... taką robotą. Nie mówię, że jestem niewinny. Jestem winny, bo przymknąłem oczy. Wynajęty przez Grimaldiego płatny morderca zabił Sixsmitha i zepchnął cię wczoraj z mostu. Nazywa się Bill Smoke – jeden z wielu, jak sądzę. Nie mogę cię zmusić, żebyś mi uwierzyła, ale mam nadzieję, że cię przekonam.

– Skąd wiedziałeś, że przeżyłam?

– Nie traciłem wiary... Luisa, życie jest więcej warte, niż jakiś news. Błagam cię ostatni raz, rzuć tę sprawę... Muszę już jechać i będę się modlił, żebyś zrobiła to samo. – Wstaje. – I jeszcze jedno. Umiesz posługiwać się bronią?

– Mam alergię na broń.

– To znaczy?

– Na widok broni mam mdłości. Dosłownie mdłości.

– Wszyscy powinni nauczyć się posługiwać bronią.

– Tak, całe tłumy takich, co umieli, leżą w kostnicach. Ten Bill Smoke nie będzie grzecznie czekał, aż wyjmę broń z torebki, prawda? Jedyne, co mogę zrobić, to zdobyć dowody, które tak nagłośnią sprawę, że zabicie mnie przestanie mieć sens.

– Nie doceniasz przyziemnego pragnienia zemsty.

– Dlaczego tak się o mnie martwisz? Spłaciłeś już swój dług wobec Taty. Sumienie masz czyste.

Napier ponuro wzdycha i wie, że już nic więcej nie zdoła.

– Miłego oglądania meczu, Javi.

– Kłamałeś – mówi chłopak.

– Kłamałem, tak, ale nie jestem kłamcą. Kłamanie jest złe, ale kiedy świat staje na głowie, małe zło może zrobić wiele dobrego.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie zawsze, ale tak właśnie jest.

Joe Napier wychodzi z mieszkania.

Javier też jest zły na Luisę.

– A ty mi mówisz, że coś sobie zrobię, bo skaczę przez kilka balkonów?

47 Kroki Luisy i Javiera odbijają się echem na klatce schodowej. Javier wygląda przez poręcz. Niższe piętra robią się coraz mniejsze, jak spirale muszli. Czuje, że zaczyna mu się kręcić w głowie i oszołomiony łapie powietrze. Tak samo jest, kiedy spogląda w górę.

– Gdybyś mogła zobaczyć przyszłość – pyta – chciałabyś?

Luisa zarzuca na ramię torebkę.

– To zależy, czy mogłabym ją zmieniać, czy nie.

– Załóżmy, że byś mogła. Na przykład, gdybyś zobaczyła, że na drugim piętrze porwą cię szpiegdy komunistów, to na parter pojechałabyś windą.

– A jeżeli szpiegdy złapałoby windę i porwali wszystkich, którzy w niej są? A co, jeżeli, właśnie próbując zmienić przyszłość, wszystko wprawiasz w ruch?

– Jeżeli widziałabyś przyszłość, tak jak widać koniec Szesnastej Ulicy z dachu Kilroya, to znaczy, że przyszłość już jest stała. A jak już jest stała, to znaczy, że nie możesz jej zmienić.

– No tak, ale to, co widać na końcu Szesnastej, nie obejmuje ludzkich działań. Wszystko jest niby ustalone przez planistów, architektów, projektantów, oprócz tego, że ktoś może pójść i wysadzić jakiś budynek w powietrze. A wydarzenia jednej minuty obejmują ludzkie działania.

– Czyli w końcu jak? Można zmieniać przyszłość czy nie?

Może odpowiedź nie jest funkcją metafizyki, ale po prostu władzy?

– To wielka niewiadoma, Javi.

Zeszli już na sam parter. Cybernetyczne bicepsy *Człowieka za sześć milionów dolarów* brzęczą, kiedy naprężają się w telewizorze Malcolma.

– To cześć, Luisa.

– Javi, nie wyjeżdżam z Buenas Yervas na zawsze. Chłopak wyciąga rękę na pożegnanie. Ten gest zaskakuje Luisę: jest oficjalny, ostateczny i bardzo przyjacielski.

48 Zegar w kształcie srebrnego powozu w domu Judith Rey w Ewingsville wydzwaniał godzinę pierwszą. Żona finansisty zabawia Billa Smoke'a rozmową.

– Ten dom cały czas budzi we mnie demona materialnego pożądania – zwierza mu się matka Luisy, obwieszona biżuterią kobieta po pięćdziesiątce. – To kopia Franka Lloyda Wrighta. Oryginał zdaje się zbudowano gdzieś na przedmieściach Salem. – Stoi o cal za blisko.

Sama wyglądasz jak czarownica z przedmieść Salem, której odwaliło w Tiffanym, myśli Bill Smoke, a głośno mówi:

– Ach tak?

Latynoskie służące, opłacone przez firmę cateringową, noszą tace z jedzeniem między gośćmi, którzy wszyscy bez wyjątku są biali. Do lnianych serwetek, złożonych w kształt łabędzi, przyklejone są tabliczki z ich nazwiskami.

– Ten dąb białolistny na trawniku od frontu pewnie już stał, kiedy Hiszpanie budowali tu swoje misje – mówi żona gospodarza – prawda?

– Bez wątplenia. Dęby żyją sześćset lat. Dwieście lat rosną, dwieście lat stoją, dwieście lat usychają.

Widzi, że do wystawnego salonu wchodzi Luisa, i pozwala ojczymowi ucałować się w oba policzki. Czego ja chcę od ciebie, Luiso Rey? Luisę ściska jakaś kobieta w jej wieku:

– Luisa! Boże mój, chyba ze trzy, albo cztery lata! – Kobieta nachyla się i ze zjadliwym

wdziękiem zadaje pytanie: – Ale to prawda, że jeszcze nie wyszłaś za mąż?

– Tak, to najzupełniej prawda. – Odpowiedź Luisy jest zwięzła. – A ty?

Smoke czuje, że ona wyczuła jego wzrok, i z powrotem skupia uwagę na żonie gospodarza. I zgadza się, że tak, sekwoje, które rosą niecałą godzinę jazdy stąd, musiały być już potężne, kiedy na tronie zasiadał Nabuchodonozor. Judith Rey staje na stołeczku specjalnie po to przyniesionym i dotąd stuka srebrną łyżeczką w butelkę różowego szampana, aż wszyscy się odwrócą, by słuchać.

– Panie, panowie i młodzieży – deklamuje – właśnie podano kolację! Ale, zanim zaczniemy, chciałabym powiedzieć kilka słów o wspaniałym dziele dokonanym przez Towarzystwo Walki z Rakiem w Buenas Yervas i o tym, jak Towarzystwo wykorzysta pieniądze zebrane dzięki dzisiejszej kweście, którą wszyscy państwo tak szczerze wspierają.

Bill Smoke zabawia parkę dzieciaków, wyjmując z rękawa złotego krugerranda. Chce od Ciebie, Luiso, żebyś dała mi się zabić z bliska. Przez chwilę Bill Smoke rozmyśla o siłach, które w nas drzemią, a które jednak są różne od nas samych.

49 Służące sprzątnęły już po deserze, w powietrzu unosi się aromat kawy i w salonie zapada obzarta, niedzielna senność. Najstarsi wiekiem goście znajdują sobie przytulne miejsca na drzemkę. Ojczym Luisy gromadzi grupkę swoich rówieśników, żeby pokazać im kolekcję samochodów z lat pięćdziesiątych, żony i matki zajmują się grą w misterne aluzje, dzieciaki wychodzą na dwór, żeby się przekrzykiwać w słońcu prześwitującym przez korony drzew wokół basenu. Trzej bracia Hendersonowie zdominowali rozmowę przy stole, gdzie bawią się w randkę w ciemno. Każdy z trójki jest jednakowo błękitnooki i złotowłosy, Luisa ich nie rozróżnia.

– Co bym zrobił – mówi jeden z braci – gdybym ja był prezydentem? Po pierwsze, postawiłbym sobie za cel wygranie zimnej wojny, a nie tylko jej „nieprzegranie”.

Drugi przejmuje pałeczkę.

– A ja nie płaszczyłbym się przed Arabami, których dziadkowie parkowali wielbłądy gdzieś w piachu.

– Ani przed żółtymi komuchami. Wprowadziłbym w tym kraju – i wiem, że to mocne słowa – prawne imperium korporacji. Bo jak tego nie zrobimy...

– ...Japończycy zrobią to pierwsi. Przyszłość to korporacje. Musimy pozwolić, żeby biznes rządził tym krajem, i wprowadzić prawdziwe rządy technokratów.

– Które nie ugną się przed świadczeniami społecznymi, związkami, polityczną poprawnością wobec bezdomnych kolorowych transwestytów-inwalidów z arachnofobią...

– Technokratyczne rządy fachowców. Zaprowadźmy kulturę, która nie wstydy się przyznać, że majątek przyciąga władzę...

– I że ci, którzy pomnażają majątek – czyli my – zdobywają zasłużoną nagrodę. Kiedy ktoś dąży do władzy, zadaję proste pytanie: „Czy myślisz jak biznesmen?”

Luisa zwija papierową serwetkę w zbitą kulę.

– Ja zadaję trzy proste pytania: Jak doszedł do władzy? Jak ją wykorzystuje? I jak, skurwysynowi, można ją odebrać?

50 Judith Rey znajduje Luisę w zacisznym pokoju męża. Ogląda telewizję.

– „Lesba”, tak powiedział Anton Henderson i gdyby nie to, że to o tobie, Psiaczkę... Nie wiem, to nie jest śmieszne! Twój... bunt wobec świata staje się coraz uciążliwszy. Narzekasz, że jesteś samotna, więc przedstawiam cię miłym, młodym mężczyznom, ale ty zachowujesz się wobec nich jak „lesba” i cały czas burczysz tylko tym swoim głosem ze „Spyglassa”.

– Kiedy słyszałaś, jak narzekam, że jestem samotna?

– Wiesz, że tacy chłopcy, jak Hendersonowie, nie spadają z nieba.

– Kwaśne deszcze spadają z nieba.

Ktoś puka do drzwi i do pokoju zagląda Bill Smoke.

– Pani Rey? Przepraszam, że przeszkadzam, ale będę już musiał wychodzić. Z ręką na sercu, to była najprzyjemniejsza, najwspanialej zorganizowana kwesta, na jakiej byłem.

Ręka Judith Rey frunie do ucha.

– Och, bardzo miło z pana strony...

– Herman Howitt, młodszy partner w Musgrove Wyeland, z filii w Malibu. Nie miałem okazji przedstawić się przed kolacją, absolutnie wyborną. To ja rezerwowałem dziś rano miejsce w ostatniej chwili. Mój ojciec zmarł ponad dziesięć lat temu, świeć Panie nad jego duszą. Rak. Nie wiem, jak z matką dalibyśmy radę przez to przejść, gdyby nie pomoc Towarzystwa. Kiedy Olly całkiem przypadkowo wspomniał o kweście, musiałem zadzwonić i sprawdzić, czy może ktoś w ostatniej chwili odwołał przyjęcie, a mnie uda się wcisnąć na jego miejsce.

– Ogromnie nam miło, że jednak pan przyjechał, witamy w Buenas Yervas.

Trochę niski, ocenia Judith, ale niezłe umięśniony, pewnie dobrze zarabia i chyba tylko kilka lat starszy od Luisy, na pewno nie ma jeszcze trzydziestu pięciu. „Młodszy partner” brzmi obiecująco.

– Mam nadzieję, że następnym razem pańska żona będzie mogła panu towarzyszyć?

Bill Smoke vel Herman Howitt uśmiecha się nieśmiało.

– Niestety, jak na razie jedyna pani Howitt to moja mama.

– Ach tak? – rzuca Judith Rey.

Bill Smoke wbija wzrok w Luisę, ale ona nie zwraca na niego uwagi.

– Podziwiam zasady, jakim pani córka dała na dole wyraz. Wielu ludziom z naszego pokolenia brak moralnego kręgosłupa.

– Och, zgadzam się absolutnie. Lata sześćdziesiąte może chciały dobrze, ale nic z tego nie wyszło. Z niezującym już ojcem Luisy pozostawaliśmy w separacji, ale oboje zawsze staraliśmy się zaszcześcić w córce umiejętność rozróżniania dobra i zła. Luisa! Skarbie, możesz chociaż na chwilę oderwać się od telewizora? Herman pomyśli... Luisa? Psiaczk, co się dzieje?

Prezenter wiadomości monotonna czyta:

– Policja potwierdziła, że wśród dwunastu osób, które zginęły dziś rano w katastrofie odrzutowca Lear nad Górami Skalistymi w Kolorado, był prezes Seboardu Alberto Grimaldi, najlepiej opłacany członek zarządu w Ameryce. Ze wstępnego dochodzenia Federalnej Administracji Lotnictwa wynika, że przyczyną katastrofy była eksplozja, do której doszło na skutek awarii systemu paliwowego. Szczątki wraku rozrzucone są na obszarze kilku kilometrów kwadratowych...

– Luisa, Psiaczk? – Judith Rey klęka przy córce, która wpatruje się bez tchu w obrazy pogiętych szczątków samolotu na polu kukurydzy.

– Straszne...! – Bill Smoke rozkoszuje się smakiem złożonej potrawy, której wszystkich składników nawet on, kucharz doskonały, nie potrafi wymienić. – Znała pani kogoś wśród ofiar, pani Luiso?

51 Poniedziałek rano. Newsroom „Spyglassa” aż huczy od plotek. Podobno pismo splajtowało; podobno jego właściciel Kenneth P. Ogilvy wystawia „Spyglassa” na aukcję; bank udziela kolejnego kredytu; bank zakręca kurek. Luisa nie informuje ich, że dwadzieścia cztery godziny temu wyszła cała z próby morderstwa. Nie chce mówić ani matce, ani Grelschowi, a poza tym, oprócz siniaków, cała historia wydaje się coraz bardziej nierzeczywista.

Luisę ogarnia bolesne poczucie osobistej straty po śmierci Isaaca Sachsa, choć prawie go nie znała. Czuje też lęk, ale pomaga jej skupienie się na pracy. Ojciec powiedział kiedyś, że gdy fotoreporterzy wojenni chowają się za obiektywem, mówią, że strach nie ma do nich dostępu; dziś rano Luisa nagle doskonale to rozumie. Rozrysowuje strukturę tego spisku w formie rozgałęzionego diagramu. Bill Smoke wiedział, że Isaach Sachs sypanął, więc jego śmierć można wytłumaczyć, ale komu zależało, żeby jednocześnie sprzątnąć Alberta Grimaldiego? Dziennikarze schodzą się powoli do gabinetu Doma Grelscha na kolegium redakcyjne o dziesiątej. Jest już kwadrans po.

– Grelsch aż tak się nie spóźnił nawet kiedy jego pierwsza żona rodziła dziecko – mówi Nancy O’Hagan, malując paznokcie. – Ogilvy musiał go przyśrubować do koła tortur.

Roland Jakes wyłubuje ołówkiem wosk z ucha.

– Poznałem perkusistę, który grał we wszystkich hitach The Monkees. Nie mógł przestać gadać o seksie tantrycznym. Najbardziej lubi pozycję „na hydraulika”. Siedzisz i czekasz cały dzień, ale nikt nie przychodzi.

Cisza.

– Boże, chciałem rozładować napięcie.

Zjawia się Grelsch.

– „Spyglassa” sprzedano. Jeszcze dzisiaj dowiemy się, kogo oszczędziła hekatomba.

Jerry Nussbaum wsadza kciuki w szlufki.

– Trochę to nagłe.

– Nagłe, to mało powiedziane. Zaczęli negocjować pod koniec zeszłego tygodnia. – W Grelschu się gotuje. – Dziś rano *pach-pach*, było już po sprawie.

– Musieli dostać jakąś gigantyczną ofertę – sonduje Jakes.

– Zapytaj o to Ogilvy’ego.

– Kto nas kupił? – pyta Luisa.

– Informacja pójdzie do prasy dziś po południu.

– No, powiedz, Dom – męczy go O’Hagan.

– Powiedziałem: informacja pójdzie do prasy po południu.

Jakes zwija skręta.

– Wygląda na to, że tajemniczemu nabywcy naprawdę zależy na „Spyglassie”, a dopóki nic się nie popsuło, to po co naprawiać.

Nussbaum prycha.

– A skąd wiesz, że tajemniczy nabywca uważa, że nic się nie popsuło? Kiedy w zeszłym roku Allied News kupiło „Nouveau”, wywalili z roboty nawet sprzątaczkę.

– No tak. – O’Hagan zatrząskuje puderniczkę. – Kolejny raz nici z rejsu statkiem po Nilu. I święta znowu u bratowej w Chicago. Królowa mrożonek i jej bachory. Tylko jeden dzień, a tyle może się zmienić.

52 Przyglądając się geometrycznemu dziełu sztuki przed gabinetem wiceprezesa Williama Wileya, Joe Napier uzmysławia sobie, że już wiele miesięcy temu został odsunięty na boczny tor. Ulotniła się gdzieś lojalność, a kontrolę sprawowały teraz wiadome źródła. No i dobrze, myśli Napier, jeszcze tylko półtora roku. Słyszy kroki i czuje przeciąg. Ale bomba w samolocie z dwunastoma ludźmi na pokładzie to już nie środki bezpieczeństwa, to zbiorowe morderstwo. Kto wydał rozkaz? Czy Bill Smoke pracował dla Wileya? A może to zwykła katastrofa lotnicza. Przecież się zdarzają. Wiem tylko, że nie wiedzieć jest niebezpiecznie. Napier nie może sobie darować, że ostrzegł wczoraj Luisę Rey – tylko się bez sensu narażał, a kompletnie niczego nie osiągnął.

W drzwiach pojawia się sekretarka Williama Wileya.

– Pan Wiley ma teraz dla pana czas.

Napier ze zdziwieniem widzi, że w gabinecie jest Fay Li. Wymieniają uśmiechy, jak wymaga tego sytuacja. William Wiley wita Napiera głośnym:

– Joe! Co słyszać? – I równie energicznie ściska mu dłoń.

– Smutny dzień, panie prezesie – odpowiada Napier, siadając, ale dziękując za papierosa.
– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć... pan Grimaldi... – Nigdy cię nie lubiłem. Nigdy nie wiedziałem, jaki z ciebie może być pożytek.

– Straszna tragedia. Po Albercie można przejąć kierownictwo, ale nie da się go zastąpić.

Pod pretekstem kurtuazyjnej rozmowy Napier pozwala sobie na jedno pytanie:

– Jak długo zarząd chce odczekać, zanim rozważy nową nominację?

– Spotykamy się dziś po południu. Sam Alberto nie chciałby, żebyśmy dłużej niż to konieczne trwali w zawieszeniu bez szefa sztabu. Joe, wiesz dobrze, że osobiście miał do ciebie wielki szacunek. Wręcz...

– Nabożny – podsuwa Fay Li.

– Właśnie, nabożny!

– Pan Grimaldi był wspaniałym człowiekiem.

– Bez wątplenia. – Wiley zwraca się do Fay Li: – Fay, powiedzmy Joemu, co chcemy zaproponować.

– W dowód uznania za nienaganną pracę pan Wiley proponuje ci wcześniejszą emeryturę. Przez półtora roku, które ci jeszcze zostało, będziesz dostawał w ramach premii pełną miesięczną pensję, a potem rewaloryzowaną emeryturę.

Zmuszają mnie do odejścia! Napier robi zachwyconą minę. Bill Smoke za tym stoi. Jego „O Jezulu!” pasuje zarówno do oferty emerytury, jak i do tego sejsmicznego tąpnięcia, które nagle przestawia go poza krąg wtajemniczonych, na pozycję zwykłego świadczeniobiorcy.

– Jestem... zaskoczony.

Wiley mówi tylko:

– Wiem, Joe.

Dzwoni telefon.

– Nie. – Wiley marszczy brwi ze słuchawką przy uchu. – Pan Reagan może poczekać. Jestem zajęty.

Do chwili, w której Wiley kończy rozmowę, Napier wie już, co robi. Okazja jedna na milion, żeby zejść z zalanej krwią sceny. Udaje starego służącego, któremu z wdzięczności odjęło mowę.

– Fay. Panie Wiley. Nie wiem, jak mam dziękować.

William Wiley dla żartu robi wielkie oczy.

– Na przykład przyjmując propozycję?

– Oczywiście, że przyjmuję!

Wiley i Fay Li jedno przez drugie nie nadają z gratulacjami.

– Rozumiesz oczywiście – mówi dalej Wiley – że w przypadku tak delikatnej pracy, jak ochrona, musimy wprowadzić zmiany w życie z chwilą, kiedy wyjdiesz ode mnie z gabinetu.

Pięknie, nie chcecie tracić ani sekundy, co?

Fay Li dodaje:

– Załatwię, żeby przywieźli ci wszystkie prywatne rzeczy i potrzebne dokumenty. Wiem, że rozumiesz, że z wyspy musimy odwieźć cię pod eskortą. Wszyscy będą patrzeć, czy pan Wiley przestrzega protokołu.

– Oczywiście, że rozumiem. – Napier uśmiecha się, przeklinając ją w duchu. – Sam ten protokół pisałem.

Miej trzydziestkę ósemkę w kaburze na łydce aż do wyjazdu ze Swanekke i długo, długo potem.

53 Muzyka w sklepie Lost Chord zawiera w sobie wszystkie myśli Luisy, uporczywie

krażące wokół „Spyglassa”, Sixsmitha, Sachsa i Grimaldiego. Słysząc dźwięki krystalicznie czyste i hipnotyczne, dźwięki jak widmo, dźwięki, które płyną jak rzeka... znajome i bardzo bliskie. Luisa stoi oczarowana, jakby trwała w strumieniu czasu.

– Znam tę muzykę – mówi sprzedawca, kiedy ten w końcu pyta, czy nic jej nie jest. – Rany, co to za utwór?

– Przykro mi, ktoś już zamówił, nie jest na sprzedaż. Właściwie nie powinienem nawet tego puszczać.

– Aha. – Po kolei. – Dzwoniłam w zeszłym tygodniu. Rey, Luisa Rey. Mówił pan, że znajdzie pan dla mnie bardzo rzadkie nagranie Roberta Frobishera, *Atlas Chmur na sektet*. Ale tak czy owak to za chwilę, bo muszę też mieć to, co leci teraz. Muszę. Pewnie wie pan, jak tak czasem człowieka chwyta. Co to w ogóle jest?

Skruszony sprzedawca podsuwa Luisie złączone ręce w geście „możesz mnie zakuć w kajdanki”.

– *Atlas Chmur na sektet* Roberta Frobishera. Słuchałem, żeby się upewnić, czy nie jest porysowany... Okej, kłamię. Słuchałem z czystej ciekawości. Trochę inne niż Delius, prawda? Dlaczego wytwórnie nie chcą finansować takich pereł? Zbrodnia. Ale jeśli chodzi o stan, pani płyta jest tip-top.

– Gdzie mogłam ją wcześniej słyszeć?

Młody człowiek, zdziwiony, wzrusza ramionami.

– W Stanach jest ich najwyżej kilka egzemplarzy.

– Ale ja to znam. Na pewno to znam.

54 Kiedy Luisa wraca do biura, Nancy O’Hagan rozmawia podnieconym głosem przez telefon.

– Shirl? Shirl! Mówi Nancy. Święta w cieniu sfinksów jeszcze mogą się udać. Kupiło nas Trans Vision Inc. – mówi podniesionym głosem. – Trans Vision Inc... Ja też nie, ale – O’Hagan ścisza głos – właśnie widziałam Ogilwiego, tak, poprzedniego szefa, jest w nowym zarządzie. Dzwonię, żeby powiedzieć, że mnie nie zwolnią! – Rozradowana kiwa głową w stronę Luisy. – Nie będzie prawie żadnych cięć, więc zadzwoń do Janine i powiedz jej, żeby sobie spędzała święta sama ze swoimi koszmarnymi bachorami.

– Luisa! – woła Grelsch, stojąc w drzwiach swojego gabinetu. – Pan Ogilvy chce z tobą rozmawiać.

K.P. Ogilvy siedzi na miejscu Doma Grelscha, w jego chwiejnym fotelu, więc naczelny musi zadowolić się plastikowym taborecikiem. Twarzą w twarz właściciel „Spyglassa” przypomina Luisie obraz sędziego z Dzikiego Zachodu, ryty w stali.

– Nie da się tego powiedzieć w miły sposób – zaczyna – więc powiem po prostu. Zwalniamy panią. To polecenie nowego właściciela.

Luisa przygląda się, jak wiadomość się od niej odbija. To nie przebije zepchnięcia z mostu do morza w prawie całkowitych ciemnościach. Grelsches unika jej wzroku.

– Mam umowę o pracę.

– A kto nie ma? Jest pani zwolniona.

– Tylko ja z całej redakcji nie podobam się nowemu panu?

– Na to wygląda. – K.P. Ogilvy się krzywi.

– Chyba mam prawo spytać, dlaczego ja.

– Właściciele zatrudniają, zwalniają i to oni mówią, kto ma do czego prawo. Przy ofercie takiego pakietu ratunkowego, jaki zaproponowało Trans Vision, nikt nie pyta o drobiazgi.

– „Drobiazg”. Wygrawerujecie mi to na złotym zegarku?

Dom Grelsches wierci się na taboreciku.

– Panie Ogilvy, myślę, że Luisa ma prawo do jakichś wyjaśnień.

– To niech pyta Trans Vision. Może jej osoba nie pasuje do ich wizji „Spyglassa”. Może jest zbyt radykalna. Przesadza z feminizmem. Za ostra. Za bardzo się pcha.

To tylko preteksty.

– Chciałabym zapytać Trans Vision o kilka rzeczy. Gdzie jest ich centrala?

– Gdzieś na wschodzie. Ale wątpię, żeby ktoś tam chciał z panią rozmawiać.

– Gdzieś na wschodzie. Z kim pan teraz zasiada w zarządzie?

– Pani jest zwolniona, a ja nie składam oświadczeń pod przysięgą.

– Tylko jedno pytanie, panie Ogilvy. Przez wzgląd na trzy fantastyczne lata mojej pełnej poświęceń pracy, proszę powiedzieć: jaki jest związek między Trans Vision a Seaboard Power?

Dom Grelsches słucha z wielkim zainteresowaniem. Ogilvy waha się przez ułamek sekundy, a potem arogancko mówi:

– Jestem bardzo zajęty. Dostanie pani pensję do końca miesiąca, proszę nie przychodzić do pracy. Dziękuję i do widzenia.

Arogancja, myśli Luisa, oznacza obłudę.

55 ŻEGNA WAS OKRĘG SWANNEKKE,
KRAINA SURFERÓW, KRAINA ATOMU,
WRACAJCIE DO NAS NIEBAWEM!

Jest niezłe. Joe Napier włącza w jeepie automatyczną kontrolę prędkości. Jest dobrze. Seaboard Power, praca, Margo Roker i Luisa Rey oddalają się w przeszłość z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Jest super. Dwie godziny do domku w górach Santo Christo. Mógłby na kolację złapać jakiegoś suma, jeżeli jazda za bardzo go nie zmęczy. Patrzy w lusterko: srebrny chrysler jedzie sto jardów za nim już drugą milę, ale właśnie wyprzedza i znika z przodu. „Spokojnie”, Napier mówi sam do siebie, „wyrwałeś się”. W jeepie coś stuka. Na zegarze zbliża się trzecia – piękna popołudniowa godzina. Autostrada mila za milą biegnie wzdłuż rzeki, teren powoli się wznosi. Prowincja strasznie zbrzydła przez ostatnie trzydzieści lat, ale gdzie zrobiło się ładniej? Po obu stronach drogi osiedla mieszkaniowe kolonizują tereny zrównane przez buldożery. Całe życie zajęło mi, żeby się stamtąd wyrwać. We wstecznym lusterku Napiera Buenas Yervas kurczy się do rozmiarów postrzępionej smugi. Jeśli córka Lestera chce grać Wonderwoman, nie powstrzymasz jej. Zrobiłeś, co mogłeś. Daj już jej spokój. Nie jest dzieckiem. Napier szuka w radiu jakiejś stacji, ale wszędzie mężczyźni śpiewają jak kobiety, a kobiety jak mężczyźni, aż znajduje jakąś sentymentalną stacyjkę, która gra „Everybody’s Talking”. To Milly z ich dwojga była muzykalna. Napier pamięta wieczór, kiedy zobaczył ją pierwszy raz: grała na skrzypkach w zespole „Hokus Pokus i Kowbojki z Piasków”. Chciał, żeby Milly patrzyła na niego tak, jak spoglądają na siebie muzycy, kiedy czują, że muzyka płynie bez trudu, chciał takiej zażyłości. Niedługo potem zakochali się w sobie. Luisa Rey jest jak dziecko, dobrze o tym wiesz. Napier zjeżdża z autostrady zjazdem nr 18 i skręca w starą drogę, którą kiedyś przemierzali poszukiwacze złota, w stronę Copperline. W silniku stuka coraz głośniejsze. W lasach na zboczach gór widać już zapowiedź jesieni. Droga biegnie wzdłuż zwężającego się wąwozu pod wiekowymi sosnami, ku miejscu, gdzie zachodzi słońce. Kiedy już się tu znalazł, nagle nie jest w stanie przypomnieć sobie ani jednej myśli z ostatnich czterdziestu pięciu minut. Napier zatrzymuje się przy sklepie spożywczym w Copperline, gasi silnik i wyskakuje z jeepa. Słyszysz szum? To Lost River. Co przypomina mu, że Copperline to nie Buenas Yervas, i drzwi jeepa, które przed chwilą zamknął kluczykiem, zostawia otwarte. Właściciel sklepu wita gościa po imieniu, w ciągu sześciu minut sprzedaje mu plotki z ostatnich sześciu miesięcy i pyta, czy przyjechał na urlop na cały tydzień.

– Mam urlop już na stałe. Zaproponowano mi... – nigdy wcześniej nie użył tych słów wobec samego siebie – ...wcześniejszą emeryturę. Nawet się nie zastanawiałem.

Spojrzenie właściciela sklepu widzi wszystko.

– No to oblewamy dziś u Duane’a? Czy jutro robimy stypę?

– Lepiej w piątek. Trochę jedno i drugie, ale głównie oblewamy. Przez pierwszy tydzień wolności chciałbym u siebie odpocząć, a nie zwać się nieprzytomny u Duane’a pod stołem. – Napier płaci za zakupy i wychodzi. Nagle bardzo chce już znaleźć się sam w swojej chacie. Opony jeepa miażdżą kamienistą drogę przez las. Smugi światła przednich reflektorów skaczą po odwiecznych drzewach.

O, znowu. Napier słyszy szum Lost River. Pamięta, jak pierwszy raz przywiózł Milly do chaty, postawionej przez jego braci i ojca. Teraz został tylko on. Tamtego wieczoru obydwój poszli się kąpać zupełnie nago. To był jej pomysł. Płuca i głowę wypełnia mu leśny zmierzch. Żadnych telefonów, telewizji przemysłowej, ani nawet zwykłej telewizji, żadnych kontroli przepustek, żadnych „nieoficjalnych” zebrań ochrony w dźwiękoszczelnym gabinecie prezesa. Nigdy więcej. Emerytowany ochroniarz najpierw ogląda kłódkę na drzwiach, sprawdzając, czy nikt przy niej nie majstrował, a dopiero potem otwiera okiennice. Rany boskie, uspokój się. Uwolniłeś się już od Seaboardu, żadnych haczyków, nie musisz tam wracać.

A jednak, kiedy wchodzi do środka chaty, trzyma w ręku trzydziestkę ósemkę. Widzisz? Nikogo nie ma. Napier rozpala ogień i w kominku trzaskają płomienie. Robi sobie fasolkę z kiełbasą i osmalone pieczone w ogniu ziemniaki. Do tego kilka piw. Długo, długo odlewa się na zewnątrz. Droga Mleczna się iskrzy. Napier zapada w bardzo głęboki sen.



Znowu nie śpię. Strasznie chce mu się pić, piwo rozsadza pęcherz. Już piąty czy szósty raz? Odgłosy lasu nie kołyszają dziś Napiera do snu, tylko uwierają jego dobre samopoczucie. Hamulce? Sowa. Trzask gałązek? Szczur, przepiórka, nie wiem, cokolwiek, jesteś w lesie. Weź, zaśnij. Wiatr. Głosy pod oknem? Napier budzi się i widzi pumę, przycupnęła na belce pod stropem; budzi się z krzykiem; puma to Bill Smoke, stał z podniesioną ręką, żeby rozwalić mu łeb latarką; na belce nie ma nic. Czy teraz pada deszcz? Nasłuchuje.

To tylko rzeka, tylko rzeka.

Zapala kolejną zapalną, żeby zobaczyć, czy warto już wstawać: 4.05. Nie. Pora pomiędzy. Napier zakopuje się w fałdy ciemności, szukając jakiejś dziury na sen, ale prześladowają go wyraźne, niedawne wspomnienia domu Margo Roker. Bill Smoke mówi. „Stój tu i pilnuj. Według mojego informatora Roker trzyma dokumenty w swoim pokoju”. Napier zgadza się, zadowolony, że właśnie ograniczył swój udział w sprawie. Bill Smoke zapala wielką latarkę i idzie na górę.

Napier ogarnia wzrokiem sad Margo Roker. Najbliższy dom jest ponad milę stąd. Zastanawia się, dlaczego zwykle działający samotnie Bill Smoke chciał, żeby z nim przyjechał do tak prostej roboty.

Cichy krzyk. Który gwałtownie się urywa.

Napier biegnie po schodach na górę, potyka się, mija ciąg pustych pokojów.

Bill Smoke klęczy na antycznym łóżku, wałąc latarką w coś leżącego w pościeli, snop

światła z latarki smaga ściany i sufit, latarka niemal bezgłośnie trafia w głowę Margo Roker, bezwładną, bez czucia. Jej krew na pościeli – nieprzyzwoicie czerwona, mokra.

Napier krzyczy, żeby przestał.

Bill Smoke odwraca się, sapiąc. „Co jest?”.

„Mówiłeś, że dzisiaj miało jej nie być w domu!”.

„Nie, nie, źle usłyszałeś. Mówiłem, że według mojego informatora starej nie ma w domu. Dziś trudno znaleźć ludzi, na których można polegać”.

„Jezus Maria, Boże drogi, nie żyje?”.

„Strzeżonego pan Bóg strzeże, Joe”.

Nieźle to wymyślił, przyznaje Joe Napier, leżąc w chacie, kiedy sen nie chce przyjść. Zmusił mnie do uległości. Współdziałał w pobiciu na śmierć bezbronnej starszej kobiety, działaczki GreenFrontu? Nawet wywalony ze studiów prawniczych jąkała mógłby posłać go do więzienia na resztę życia. Gdzieś gwizdże kos. Wyrządziłem Margo Roker wielką krzywdę, ale rozstałem się już z tamtym życiem. Cztery niewielkie blizny po kulach, dwie na każdym pośladku, bolą. Przeszedłem samego siebie, żeby Luisie Rey przemówić do rozsądku. Przez okno wpada wystarczająco dużo światła, żeby na zdjęciu w ramce widzieć wyraźnie twarz Milly. Jestem tylko sam jeden, protestuje. Nie rozmnożę się. Chcę tylko trochę pożyć. Chcę łowić ryby.

Joe Napier wzdycha, ubiera się i zaczyna z powrotem pakować rzeczy do jeepa.

Milly zawsze wygrywała bez słowa.

56 Judith Rey zawiązuje szlafrok-kimono i boso przechodzi po ogromnym bizantyjskim dywanie na marmurową podłogę kuchni. Z przepastnej lodówki wyjmuje trzy czerwone grejpfruty, przekrawa je na pół i po kolei wkłada zimne, ciekące połówki do wyciskarki. Urządzenie byczy jak osy złapane w pułapkę, a dzbanek napełnia się perlistym, pełnym mięszu kolorowym sokiem. Nalewa sobie do pełna szklankę z niebieskiego szkła i powoli rozkoszuje się smakiem zimnych kropel.

Na pasiastej kanapie Luisa je croissanta i przelatuje wzrokiem strony gazety. Wspaniały widok – ponad wystawnymi dachami Ewingsville i aksamitnymi trawnikami aż do przedmieść Buenas Yervas, gdzie drapacze chmur wzrastają z mgły morskiej i smogu miasta – ma w sobie o tej porze coś nierzeczywistego.

– Nie chcesz pospać dłużej, Psiaczk?

– Dzień dobry. Nie, pojedę zabrać rzeczy z biura, jeżeli mogę wziąć jeden z samochodów.

– Oczywiście. – Judith Rey próbuje czytać córce w myślach. – Marnowałaś tylko czas w „Spyglassie”, Psiaczk. Kiepski brukowiec.

Judith Rey przysiadła na poręczu sofy i odgania od szklanki z sokiem natrętą muchę. Przygląda się badawczo zakreślonymu artykułowi w dziale informacji gospodarczych.

„Guru Energii” Lloyd Hooks obejmie ster Seaboard Inc. We wspólnym oświadczeniu Biały Dom i zarządzający elektrowniami gigant Seaboard Power Inc. ogłosiły dziś, że Sekretarz Energii Lloyd Hooks ma przejąć funkcję prezesa korporacji, stanowisko nieobsadzone po tragicznej śmierci Alberta Grimaldiego, który zginął w katastrofie samolotowej dwa dni temu. Wall Street zareagowała na to wzrostem kursu akcji Seaboardu o 40 punktów procentowych. „Ogromnie cieszymy się, że Lloyd przyjął naszą propozycję” – mówi wiceprezes Seaboardu William Wiley. „Choć nominacja odbyła się w tak tragicznych okolicznościach, zarząd czuje, że Alberto łączy się dziś z nami w górze i również gorąco wita nowego członka kierownictwa, który wniesie do Seaboardu świeże wizje”. Natomiast Menzies Graham, rzecznik Departamentu Energii mówi: „W Waszyngtonie z pewnością będzie nam brakować doświadczenia i wiedzy Lloyda Hooksa, lecz prezydent Ford szanuje jego wolę i ma nadzieję na stałą współpracę. To jeden z największych umysłów, jakie zajmują się dziś problemami energii. Dzięki takim właśnie ludziom nasz kraj w pełni potwierdza swoją wielkość”. Lloyd Hooks ma przejąć nowe obowiązki w przyszłym tygodniu. Biały Dom ogłosi nazwisko jego następcy jeszcze dzisiaj.

– Zajmowałaś się tą sprawą? – pyta Judith.

– Ciągłe się zajmuję.

– Kto ci ją zlecił?

– Prawda mi ją zleciła. – W ironii, z jaką mówi córka, brzmi szczerowość. – Jestem wolnym strzelcem.

– Od kiedy?

– Odkąd Ogilvy mnie wylał. Zwolnienie mnie z pracy było decyzją polityczną, mamó. To tylko dowodzi, że byłam na tropie jakiejś dużej sprawy. Gigantycznej.

Judith Rey patrzy na córkę i widzi młodą kobietę. Miała kiedyś malutką córeczkę. Stroiłam ją w falbanki, zapisywałam na lekcje baletu, przez pięć lat posyłałam na obozy konne. A tu proszę. I tak zmieniła się w Lestera. Całuję Luisę w czoło. Luisa marszczy brwi, podejrzliwa jak nastolatka.

– Co?

57 Luisa Rey wpada do Snow White, żeby wypić ostatnią kawę w „Spyglassie” i żeby pożegnać się z Bartem. Jedyne wolne miejsce to stołek obok człowieka schowanego za „San Francisco Chronicle”. To dobra gazeta, myśli Luisa i siada.

– Dzień dobry – mówi Dom Grelsch.

Luisa czuje nagły przypływ terytorialnej zaborczości.

– Co tu robisz?

– Nawet naczelnicy muszą jeść. Przychodzę tu co rano, odkąd żona... wiesz. Jajecznicę mogę zrobić sobie w domu, ale... – Pokazuje talerz z cielęcymi kotlecikami gestem mówiącym „Sama rozumiesz”.

– Nie widziałam cię tu wcześniej ani razu.

– Dlatego że wychodzi – mówi Bart, robiąc trzy rzeczy naraz – na godzinę, zanim ty się zjawiasz. To co zwykle?

– Poproszę. Dlaczego nigdy mi nie mówiłeś, Bart?

– Nikomu innemu nie opowiadałem też, o której ty się zjawiasz i znikasz.

– Do biura przychodzę rano pierwszy – Dom Grelsch składa gazetę – a wieczorem wychodzę ostatni. Los naczelnego. Chciałbym z tobą pogadać, Luisa.

– O ile dobrze pamiętam, dostałem wymówienie.

– Już daj spokój. Chcę ci powiedzieć, dlaczego... nie składałem rezygnacji, chociaż Ogilvy potraktował cię jak gówno. A skoro jestem z tobą taki szczery – już w zeszły piątek wiedziałem, że chcą cię zczyścić.

– Miło, że uprzedziłeś.

Naczelnicy ścisza głos do ledwo słyszalnego szeptu:

– Wiesz, że żona ma białaczkę. Wiesz, że mam kłopoty z ubezpieczeniem?

Luisa postanawia ostatecznie skinąć głową.

Grelsch zbiera się w sobie.

– W zeszłym tygodniu, kiedy negocjowali przejęcie... dano mi do zrozumienia, że jeśli zostanę w „Spyglassie” i zapewnię, że nigdy nie słyszałem... – Grelsch nie mówi tego z radością w głosie – ...o pewnym raporcie, oni spowodują, że ubezpieczyciele łagodniej spojrzą na moją sprawę.

Luisa zachowuje wyniosły spokój.

– Wierzysz, że dotrzymają słowa?

– W niedzielę rano dzwonił do mnie mój agent ubezpieczeniowy, Arnold Frum. „Przepraszam, że przeszkadzam, pierdu pierdu, ale miło mi powiadomić, że Blue Shield zmieniło decyzję w państwa sprawie i będzie opłacać wszystkie rachunki za leczenie żony”. Czek

z refundacją dotychczasowych kosztów już do mnie wysłali. Możemy nawet zatrzymać dom. Nie jestem z siebie dumny, ale nie wstydzę się, że rodzina jest dla mnie ważniejsza niż prawda.

– Prawda to Buenas Yerbas skażone promieniowaniem.

– Wszyscy dokonujemy ryzykownych wyborów. Jeśli mogę ratować żonę w zamian za to, że w jakimś drobnym stopniu zwiększę prawdopodobieństwo awarii w Swanekke... trudno, będę musiał z tym żyć. Ale bardziej wolałbym, żebyś pomyślała, na co sama się narażasz, stając z nimi do walki.

Do Luisy wraca nagła fala wspomnień, jak tonęła pod wodą, i serce skacze jej do gardła. Bart stawia przed nią kawę.

Grelsch kładzie na kontuar kartkę maszynopisu. Jest na niej siedem nazwisk napisanych w dwóch kolumnach.

– Zgadnij, co to za lista.

W oczy rzucają się dwa nazwiska: Lloyd Hooks i William Wiley.

– Członkowie zarządu Trans Vision Inc.?

Grelsch kiwa głową.

– Blisko. Członkami zarządu są dla publicznej wiadomości. To jest lista nieoficjalnych doradców korporacyjnych, którzy dostają pieniądze pochodzące z Trans Vision Inc. Nazwiska zakreślane powinny cię zainteresować. Patrz. I Hooks, i Wiley. Rozleniwili się i przestali uważać, a rączki tylko do siebie.

Luisa składa kartkę i chowa do kieszeni.

– Bardzo ci za to dziękuję.

– To słynna menda Nussbaum się do tego dokopał. I jeszcze coś. Znasz Fran Peacock z „Western Messengera”?

– Witamy się na medialnych bankietach. Tam nikt nie rozmawia o niczym poważnym.

– Znam Fran od wielu, wielu lat. Wpadłem wczoraj do niej do biura i powiedziałem w skrócie, nad czym pracujesz. Do niczego cię wobec niej nie zobowiązałem, ale jak zdobędziesz dowody, z którymi będziesz mogła stanąć do walki, Fran chętnie porozmawia tym razem o czymś poważniejszym.

– Nie łamiesz porozumienia z Trans Vision Inc.?

Grelsch wstaje i składa gazetę.

– Nie mówili, że nie mogę dzielić się z innymi własnymi kontaktami.

58 Jerry Nussbaum oddaje Luisie kluczyki do samochodu.

– Dobry Boże, spraw, żebym się odrodził jako sportowy wóz twojej matki. Wszystko jedno który. To już ostatnie pudło?

– Tak – mówi Luisa. – I dzięki.

Nussbaum wzrusza ramionami, jak skromny maestro.

– Będzie nam brakować prawdziwej kobiety do męskich dowcipów. Nance to właściwie już facet po tylu latach w newsroomie.

Nancy O'Hagan wali w maszynę do pisania, która właśnie się zacięła i pokazuje Nussbaumowi wyprostowany środkowy palec.

– Jakoś ciągle nie mogę uwierzyć – Roland Jakes patrzy ponuro na puste biurko Luisy – że ciebie wywalili, a zostawili takiego gniota, jak Nussbaum.

Nancy O'Hagan syczy jak kobra:

– Jak taki Grelsch – wycelowuje papierosem w jego gabinet – może rozwalać się z nogami na biurku i pozwalać, żeby Ogilvy tak chamsko cię traktował?

– Trzymaj za mnie kciuki.

– „Trzymaj kciuki”? – prychnął Jakes. – Nie potrzebujesz, żeby ktokolwiek trzymał za ciebie kciuki. I tak nie wiem, dlaczego tak długo wytrzymałaś tu w tym sflaczałym syfie. Lata siedemdziesiąte będą patrzeć, jak satyra wydaje ostatnie tchnienie. To prawda, co mówił Lehrman. W świecie, gdzie przyznaje się pokojowego Nobla Henry'emu Kissingerowi, wszystkich nas wyrzuca z pracy.

– A, właśnie – przypomina sobie Nussbaum – wracając, wstąpiłem po listy. Jest coś dla ciebie. – Wręcza Luisie zgniętą kopertę.

Luisa nie poznaje trudnego do odczytania pisma drobnych pętelek. Ogląda badawczo rozmazany stempel pocztowy i pokazuje go Nussbaumowi.

– Czy tu jest data czwartego września? Nussbaum mruży oczy.

– Tak mi się wydaje. A co wtedy było?

Luisa nie odpowiada i rozcina kopertę. W środku jest kluczyk do sejfu, zawinięty w krótki list. Na twarzy Luisy maluje się coraz większe napięcie, gdy oczami przelatuje wiadomość. Sprawdza dwa razy napis na kluczyku.

- Third Bank of California, Dziewiąta Ulica. Gdzie to jest?
- Trochę dalej od centrum. Na rogu Dziewiątej i Flanders Boulevard.
- Do zobaczenia. – Luisa wychodzi. – Świat jest mały.
- Zaraz – mówi Jakes – ale... co to było?

59 Czekając na światłach, Luisa raz jeszcze spogląda na list od Sixsmitha i kolejny raz sprawdza, czy nic jej w nim nie umknęło. Pisał go w pośpiechu.

Międzynarodowe lotnisko BY

3.09.1975

Droga Pani Luiso,

przepraszam za ten list. Ktoś życzliwy w Seboardzie ostrzegł mnie, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Do ujawnienia wad konstrukcyjnych HYDRY-Zero trzeba mieć końskie zdrowie, więc będę postępował zgodnie z radą owej życzliwej osoby. Skontaktuję się z Panią tak szybko, jak tylko będę mógł, z Cambridge, albo przez IAEA. A tymczasem pozwoliłem sobie złożyć swój raport na temat Swannekke B w sejfie w Third Bank of California przy Dziewiątej Ulicy. Będzie Pani potrzebny, gdyby cokolwiek mi się stało. Proszę, niech Pani będzie ostrożna.

Pozdrawiam w pośpiechu,

R.S.

Klaksy trąbią ze złością, kiedy Luisa próbuje opanować słabo jej znaną skrzynię biegów. Gdy mijają Trzynastą Ulicę, miasto traci typowy dla Zachodniego Wybrzeża charakter, po którym znać pieniądze. Podlewane przez służby miejskie drzewa świętojańskie ustępują miejsca powyginanym latarniom. W bocznych uliczkach nie widać już nigdzie ludzi zziębniętych od joggingu. Zwykła przemysłowa okolica, jak na każdym przedmieściu pełnym podupadłych zakładów. Lumpy śpią na ławkach, chwasty rozsadzają płyty chodników, mieszkańcy mają skórę z każdą przecznicą ciemniejszą, wzmocnione drzwi są pooblepiane ulotkami, graffiti pokrywa każdy skrawek powierzchni od ziemi do wysokości nastolatka ze sprejem w rękę. Śmieciarze znowu strajkują i w słońcu rozkładają się hałdy śmieci. Lombardy, pralnie bez szyldów i małe sklepiki spożywcze próbują związać koniec z końcem, zaglądając do przesianych kieszeni klientów. Jeszcze dalej sklepy ustępują bezimiennym manufakturom i blokom komunalnym. Luisa nigdy nawet nie przejeżdżała przez tę dzielnicę i robi jej się nieswojo na myśl, że każde miasto zawsze ma jakieś sekrety. Czy Sixsmith umyślnie chciał ukryć raport, a potem zamaskować także miejsce, gdzie go schował? Dociera do Flanders Boulevard i dokładnie na wprost widzi Third Bank of California. Wokół budynku – parking dla klientów. Luisa nie zauważa poobijanego czarnego chevroleta, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

60 Fay Li w kapeluszu i szerokich okularach słonecznych porównuje godzinę na swoim zegarku z tą na zegarze na ścianie w banku. Klimatyzacja nie wytrzymuje zmagani z przedpołudniowym upałem. Fay ociera chusteczką pot z czoła, wyciera ręce, wachluje się i dokonuje oceny ostatnich wydarzeń. Napier, na pierwszy rzut oka wyglądasz jak matoł, ale jesteś bystry, na tyle bystry, żeby wiedzieć, kiedy się z ukłonem wycofać. Luisa Rey powinna tu być lada chwila, jeśli Bill Smoke miał dobre informacje. Smoke, wyglądasz na bystrego, ale w gruncie rzeczy straszny z ciebie palant, a twoi ludzie nie są aż tak lojalni, jak myślisz. Sam nie robisz tego dla pieniędzy, więc zapomniałeś już, jak łatwo przekupić zwykłych śmiertelników.

Wchodzą dwaj dobrze ubrani Chińczycy. Jeden z nich spojrzeniem mówi, że nadchodzi Luisa Rey. Cała trójka spotyka się przy kontuarze odgradzającym boczny korytarz: SEJFY BANKOWE. Od rana przy sejfach nie było prawie żadnego ruchu. Fay Li rozważała umieszczenie tu wtyczki z zewnątrz, ale wartownik na minimalnej pensji i tak w całkiem naturalny sposób nie spina się w pracy – a to bezpieczniejsze rozwiązanie, niż pozwolenie ludziom triady, by zwęszyli, że można tu wygrać coś większego.

– Dzińdobli – mówi Fay Li do strażnika najgorszą chińską angielszczyzną – blat i ja my ciemy wziąś siejfu. – Dzwoni małym kluczykiem. – Pać, klucz mamy.

Znudzony chudy chłopak ma twarz całą w pryszczach.

– Paszport?

– Paśpolt tu, pać, paśpolt.

Mocą odwiecznej plemiennej magii chińskie ideogramy odstraszą przed zbyt dokładnym ich studiowaniem. Strażnik pokazuje ruchem głowy korytarz i wraca do czytania *Aliens!* Drzwi nie są zamknięte. Nie pracowałbyś u mnie trzech sekund, gnoju, myśli Fay Li.

Na samym końcu korytarza pancerne drzwi są otwarte na oścież. Za nimi znajduje się sala z sejfami, ustawionymi w kształt trójkębu. Jeden ze współników idzie z nią w lewą alejkę, drugiemu Fay każe czekać w prawej. Tu jest jakieś sześćset sejfów. W jednym z nich leży raport za pięć milionów dolarów, dziesięć tysięcy baksów za stronę.

W korytarzu słychać zbliżające się kroki. Damskie obcasy. Stukają.

Pancerne drzwi się otwierają.

– Jest tu kto?! – woła Luisa Rey.

Cisza.

W chwili, gdy drzwi się zatraskują, podbiega do niej dwóch mężczyzn. Czyjaś dłoń zakrywa Luisie usta.

– Dziękuję. – Fay Li wrywa Luisie z ręki kluczyk. Jest na nim wygrawerowany numer:

36/64. Fay Li przechodzi do rzeczy. – Najpierw zła wiadomość. Ta sala jest dźwiękoszczelna, nie ma tu kamer, a moi ludzie mają broń. Raport Sixsmitha nie dostanie się w twoje ręce. A teraz dobra. Działam w imieniu klientów, którzy chcą, żeby HYDRY nigdy nie uruchomiono, a Seaboard został skompromitowany. Odkrycia Sixsmitha trafią na pierwsze strony gazet za dwa, trzy dni. Czy w Seaboardzie polecą głowy, to już ich sprawa. Nie patrz tak na mnie, Luisa. Wszystko jedno, kto odkryje prawdę, więc dlaczego to ty miałabyś ją odkryć? A jeszcze lepsza wiadomość: nic złego ci się nie stanie. Moi współpracownicy odwiozą cię do pewnego miejsca w Buenas Yervas, gdzie przez chwilę cię przytrzymamy. Wieczorem będziesz już wolna. A do tego czasu nie będziesz nam sprawiała kłopotów. – Fay Li wyciąga zdjęcie Javiera, które wisiało na tablicy nad biurkiem Luisy, i macha jej cał przed nosem. – Bo w razie czego, mamy na to sposób.

Opór w oczach Luisy ustępuje miejsca posłuszeństwu.

– Wiedziałam, że masz dużo rozumu. – Fay Li zwraca się teraz po kantońsku do mężczyzny trzymającego Luisę: – Zabierz ją i zamknij. Ale nic z nią nie rób przed sprzątnięciem. Może i jest dziennikarką, ale nie skurwiła się do końca. Ciało pozbądź się jak zwykle.

Mężczyzna z Luisą wychodzą. Przy drzwiach zostaje drugi, trzymając je szeroko otwarte.

Fay Li znajduje sejf 36/64 na wysokości wzroku, na samym szczycie środkowej odnogi trójzęba.

Klucz przekręca się w zamku, otwiera drzwiczki.

Fay Li wyciąga żółtawy skoroszyt. REAKTOR HYDRA-ZERO – MODEL OCENY OPERACYJNEJ – SZEFEKTY DR RUFUS SIXSMITH – NIEAUTORYZOWANE POSIADANIE STANOWI PRZESTĘPSTWO FEDERALNE NA MOCY USTAWY O SZPIEGOSTWIE WOJSKOWYM I PRZEMYSŁOWYM Z 1971 R Fay czuje, jak od stóp do głów przechodzi ją dreszcz triumfu, pozwala sobie na uśmiech. To kraj, który każdemu daje szansę. Wtedy dostrzega dwa kable biegnące z wnętrza skoroszytu w głąb sejfu. Zagląda do środka. Na oklejonej taśmą, równo ułożonej kupce cylindrów, kabli i elektronicznych płytek, jakieś cztery na dwa cale, błyska czerwona dioda.

Smoke, ty...

61 Wybuch podrywa Luisę jak piórko i ciska ją do przodu, niczym fala przyboju na Pacyfiku. Korytarz obraca się o dziewięćdziesiąt stopni – kilkakrotnie – i wali ją w zębra i głowę. Luisa nic nie widzi przez bolesne mroczki w oczach. Ściany jęczą. Kawały gipsu, glazury i szkła obrywają się i walą na podłogę, potem sypią się jeszcze delikatnie i przestają.

Złowroga cisza. Co się ze mną dzieje? Wśród kurzu i dymu słychać wołania o pomoc, z ulicy dobiegają krzyki, powietrze świdrują dzwonki alarmów, wszędzie czuć swąd. Umysł Luisy znowu zaczyna działać. Bomba. Wynajęty strażnik charczy i jęczy. Z ucha cieknie mu krew, czerwone strużki zbiegają się i zalewają kołnierzyk koszuli. Luisa próbuje się wydostać, ale wybuch oderwał jej nogę.

Otwiera usta do krzyku, ale horror mija, noga po prostu ugrzęzła pod nieprzytomnym Chińczykiem, który Luisę wyprowadzał. Uwalnia się – choć zeszywniała i obolała, ale jednak cała i zdrowa – i czołga się przez hol przy wejściu, który teraz zmienił się w plan filmowy. Luisa widzi pancerne drzwi wyrwane z zawiasów. Musiały przeleć kilka cali ode mnie. Potłuczone szkło, wywrócone krzesła, kawałki ściany, ranni ludzie w szoku. Z przewodów wentylacyjnych buchają kłęby tłustego, czarnego dymu i włączają się automatyczne spryskiwacze. Luisa jest przemoczona, dusi ją dym, ślizga się na mokrej podłodze, potyka, wpada na innych, ogłuszona, zgięta w pół.

Przyjazna dłoń chwyta Luisę za przegub.

– Trzymam panią, już panią trzymam. Pomogę pani wyjść na zewnątrz, za chwilę znowu coś może wybuchnąć.

Luisa pozwala prowadzić się w oślepiające słońce, gdzie stoi żądny sensacji tłum gapiów. Strażak prowadzi ją na drugą stronę ulicy, zablokowanej przez gigantyczny korek samochodów, i przypominają jej się kwietniowe zdjęcia z Sajgonu. Z budynku ciągle buchają wielkie kłęby dymu.

– Proszę odejść! Tędy! Proszę się odsunąć! Tam!

Luisa-dziennikarka usiłuje coś powiedzieć Luisie-ofierze wybuchu. W zębach chrzęszczą jej okruchy tynku. Coś pilnego. Pyta osobę, która ją ratuje:

– Jak to się stało, że tak szybko pan tu dotarł?

– Nic się nie stało – mówi – ma pani wstrząśnienie mózgu.

Strażak?

– Już dam radę pójść sama...

– Nie, tu będzie pani bezpieczna...

Otwierają się drzwi zakurzonego czarnego chevroleta.

– Niech pan mnie puści!

Trzyma ją w żelaznym uścisku.

– Do samochodu – mówi cicho – albo ci, kurwa, łeb rozjebię.

Ta bomba miała być dla mnie, a teraz...

Człowiek, który chciał uprowadzić Luisę, z jękiem zwała się na twarz.

62 Joe Napier chwyta Luisę Rey za rękę i szarpnięciem odciąga od chevroleta. Jezu, o mały włos! W drugiej ręce trzyma kij bejsbolowy.

– Jeżeli chcesz jeszczeżyć, lepiej chodź ze mną.

Dobrze, myśli Luisa.

– Dobrze – mówi.

Napier ciągnie ją z powrotem w pchający się tłum, żeby przesłonić Smoke'owi linię strzału, kij bejsbolowy wręcza jakiemuś zdziwionemu chłopakowi i szybkim krokiem idzie w stronę Osiemdziesiątej Pierwszej Alei, jak najdalej od chevroleta. Iść nie rzucając się w oczy, czy biec ile sił, chociaż nas zauważą?

– Mój samochód stoi pod bankiem – mówi Luisa.

– W tym korku będą nas mieli jak na talerzu – mówi Napier. – Bill Smoke ma dwóch goryli, strzelą po prostu przez okno. Możesz chodzić?

– Mogę biec.

Są już w jednej trzeciej odległości między dwiema przecznicami, kiedy Napierowi majaczy z przodu głowa Billa Smoke'a, sięgającego do kieszeni marynarki. Napier się ogląda. Razem z drugim zbirem, zachodzącym od tyłu, Smoke ich osacza. Po drugiej stronie ulicy materializuje się trzeci. Policja zjawi się na miejscu wybuchu dopiero za ładne parę minut, a im zostały zaledwie sekundy. Dwa zabójstwa w biały dzień: ryzykowne, ale stawka jest na tyle duża, że zaryzykują, a wokół jest takie zamieszanie, że uda im się zwać. Rozpaczliwie szukając dróg ucieczki, Napier zauważa, że przechodzą właśnie koło magazynu bez okien.

– Po schodach – mówi do Luisy, modląc się, żeby drzwi się otworzyły.

Drzwi się otwierają.

Niewielka recepcja, dość ciemna, oświetlona tylko jedną jarzeniówką, sarkofagiem dla much. Napier zaryglowuje drzwi. Nastolatka za biurkiem, w swojej najlepszej sukience, i stary pudel na posłaniu z tekturowego pudła patrzą na nich nieporuszeni. Na drugim końcu widać trzy tylne wyjścia. Wszędzie panuje monotony hałas maszyn.

Nagle wyrasta przed nimi czarnooka Meksykanka i furczy:

– Żadnych nielegalnych! Żadnych nielegalnych! Szefa nie ma! Szefa nie ma! Przyjdźcie kiedy indziej!

Luisa mówi coś do niej bardzo łamanym hiszpańskim. Meksykanka rzuca jej piorunujące spojrzenie, a potem wściekle pokazuje kciukiem tylne wyjścia. Na drzwi wejściowe spada nagle silne uderzenie. Napier i Luisa biegną przez pomieszczenie dudniące echem.

– Lewe czy prawe drzwi?

– Nie wiem. – Luisa łapie powietrze.

Napier odwraca się, żeby zapytać Meksykankę, ale wejściowymi drzwiami znowu wstrząsa potężne uderzenie, kolejne wyrывa z nich drzazgi, a następne z hukiem otwiera je na oścież. Napier ciągnie Luisę przez lewe wyjście.

63 Bisco i Roper, dwa zbiry, których Bill Smoke wynajął do tej roboty, wałą w drzwi całym ciałem. W wyobraźni Bill Smoke widzi Williama Wileya i Lloyd Hooksa na sali sądowej, uznanych za winnych najwyższego stopnia głupoty. Mówiłem wam! Jak można było wierzyć, że Joe Napier tak po prostu odpuści sobie wyrzuty sumienia i weźmie się za wędkowanie?

Z drzwi zostały już tylko drzazgi.

W środku chuda Meksykanka dostaje ataku hysterii. Nastolatka i pudel w kokardach spokojnie siedzą przy biurku, jakby to oni, a nie Meksykanka, byli tajnym mózgiem tego przybytku.

– FBI! – wrzeszczy Bisco, machając prawem jazdy. – Którędy poszli?

Meksykanka piszczy:

– Dbamy pracownikom! Bardzo dobry! Bardzo dużo płacimy! Nie trzeba związków!

Bisco wyciąga broń i rozważa pudła.

– KTÓRĘDY, KURWA, POSZLI?

Jezus Maria, Chryste Panie, dlatego właśnie działałam sam.

Meksykanka zaciska zęby na zwiniętej pięści, dygocze i wybucha coraz głośniejszym zawodzeniem.

– Zajebicie, Bisco. Jasne, FBI zawsze zabija pudelki. – Roper nachyla się nad dziewczyną, która w ogóle nie zareagowała na śmierć psa. – Którymi drzwiami wyszedł ten mężczyzna z kobietą?

Dziewczyna patrzy na niego, jakby był tylko pięknym zachodem słońca.

– Mówisz po angielsku?

Histeryczka, niemowa i zdechły pies. Bill Smoke idzie w stronę trzech par drzwi wyjściowych, i dwóch pojebów, którzy spierdolili robotę.

– Tracimy czas! Roper, prawe drzwi. Bisco, lewe. Ja biorę środkowe.

Rzędy, przejścia i sterty kartonowych pudeł, ustawionych po dziesięć jedno na drugim, maskują prawdziwe rozmiary magazynu. Napier starannie blokuje drzwi wózkiem.

– Powiedz, że minęła ci alergja na broń – syczy.

Luisa kręci głową.

– A ty masz broń?

– Tylko korkowiec. Na sześć strzałów. Chodź.

Jeszcze ciągle biegną, gdy Luisa słyszy odgłos wyważania drzwi. Napier zasłania linię wzroku wieżą z pudeł. Potem znowu podbiegają kilka jardów, ale nigdzie jeszcze nie dobiegli, choć wydaje się, że już uciekają kilka minut. Przed nimi wyrasta trzecia wieża, która nagle wali się na ziemię i kilkadziesiąt Wielkich Ptaków wysypuje się na wolność – Luisa poznaje głupawe żółte emu z programu dla dzieci, który Hal oglądał, kiedy nie miał pracy. Napier pokazuje: „biegnij z pochyloną głową”. Luisa ma nadzieję, że odgłos maszyn zza ściany zagłuszył hałas upadających pudeł.

Pięć sekund później kula rozrywa tekturę trzy cale od głowy Luisy i w twarz frunie jej puchate pierze, którymi są wypchane Wielkie Ptaki. Luisa potyka się i wpada na Napiera; powietrze nad nimi przecina strzała huku. Napier błyskawicznie wyciąga broń i strzela dwa razy koło Luisy. Od huku Luisa kuli się przy ziemi.

– Uciekaj! – krzyczy Napier, gwałtownie ją podnosząc.

Luisa posłusznie puszcza się biegiem. Napier zaczyna przewracać pudła, żeby zatrzymać pościg.

Dziesięć metrów dalej Luisa dobiega do rogu. Na drzwiach z dykty wisi napis WYJŚCIE AWARYJNE.

Zamknięte. Joe dobiega do niej niemal bez tchu. Próbuje wyważyć drzwi, ale nie daje rady.

– Zostaw, Napier! – słyszą. – Nie ciebie chcemy.

Napier strzela z bliska w zamek.

Drzwi nadal nie chcą się otworzyć. Napier ładuje w zamek trzy kolejne naboje. Przy każdym strzale Luisa się kuli. Przy czwartym strzale słyhać tylko trzask iglicy. Napier kopie w drzwi podeszwą buta.

W nielegalnej manufakturze terkocze pięćset maszyn do szycia. W powietrzu lepkiem od upału unoszą się strzępki materiałów, tworząc aureole wokół gołych żarówek wiszących nad każdą szwaczką. Luisa i Napier pędzą wzdłuż alejki dookoła, zgięci w pół. Kulawym Kaczorom Donaldom i udreżonym Scooby-Doo kobiety zszywają wnętrzości, zabawka po zabawce, rząd

po rzędzie, paleta po palecie. Każda szwaczka – same Latynoski i Chinki – ma wzrok utkwiony w igle maszyny, więc Luisa i Napier nie powodują wielkiego zamieszania.

Ale jak się stąd wydostać?

Napier wpada – dosłownie – na Meksykankę z prowizorycznej recepcji. Kobieta daje im znak ręką, żeby biegli w zastawiony do połowy, nieoświetlony korytarz. Napier odwraca się do Luisy, przekrzykując metaliczny łoskot. Na jego twarzy widać nieme pytanie. „Ufać jej?”.

Luisa bez słów odpowiada: „A masz lepszy pomysł?”. Idą za kobietą wzdłuż bel materiałów i zwojów kabli, rozdartych kartonów pełnych oczu pluszowych misiów i przeróżnych trzewi maszyn do szycia. Przejście skręca w prawo i kończy się żelaznymi drzwiami. Przez brudną kratkę do środka wpada smużka dziennego światła. Meksykanka grzebie w pęku kluczy. Tu jest rok 1875, myśli Luisa, nie 1975. Pierwszy klucz nie pasuje. Kolejny wsuwa się w zamek, ale nie chce się przekręcić. Są w tej hali zaledwie trzydzieści sekund, a Luisa już czuje ją w uszach.

Z odległości sześciu jardów dobiega wojenny okrzyk:

– Ręce do góry!

Luisa gwałtownie się obraca.

– Powiedziałem, kurwa, ręce do góry!

Ręce Luisy posłusznie się podnoszą. Bandyta trzyma pistolet wycelowany w Napiera.

– Odwróć się, Napier! Powoli! Rzuć broń!

Señora drze się:

– Nie zabija! Nie zabija mnie, *señor* Oni zmusili, ja pokazuje drzwi! Oni mówili, mnie zabić...

– Stul, kurwa, pysk, pizdo brudna meksykańska! Won! Z drogi!

Kobieta przepelza obok niego, przyciskając się do ściany i krzycząc:

– ¡*No dispaes!* ¡*No dispaes!* ¡*No quiero morir!*

Napier przekrzykuje fabryczny huk:

– Bisco, ile za to bierzesz?

Bisco krzyczy:

– Dobra, Napier! Czas na ostatnie słowo.

– Nie słyszę! Co mówisz?

– JAKIE – JEST – TWOJE – OSTATNIE – SŁOWO?

– Ostatnie słowo? A ty co? Brudny Harry?

Bisco krzywi się.

– Zapisuję ostatnie słowa w zeszycie. To były twoje. A twoje? – Patrzy na Luisę, cały czas celując w Napiera.

Strzał z pistoletu wrywa dziurę w fabrycznym łoskocie i Luisa mocno zaciska powieki. Czuje, że jakiś twardy przedmiot dotyka jej stopy. Zmusza się, żeby otworzyć oczy. To pistolet, który zatrzymał się przy jej nodze. Nie wiadomo dlaczego, twarz Bisco wykrzywia grymas agonii. W rękę *señory* błyszczy klucz francuski i miażdży szczękę bandyty. Na jego twarz spada jeszcze co najmniej dziesięć wściekłych ciosów, a za każdym Luisa coraz bardziej kuli się w sobie. Z każdym uderzeniem słyhać kolejne słowo:

– *¡Yo! ¡Amaba! ¡A! ¡Ese! ¡Perro!; ¡Hijo! ¡De! ¡Put!*

Luisa spogląda na Joe Napiera. Ten patrzy oszołomiony, ale cały.

Señora ociera usta i nachyla się nad nieruchomą, zmiażdżoną nie do poznania twarzą Bisco.

– I nie nazywaj mnie meksykańską pizdą! – Robi krok nad jego pokrwawioną głową i otwiera drzwi kluczem.

– Lepiej, żeby tamci dwaj myśleli, że to moja robota – mówi jej Napier, podnosząc pistolet Bisco.

Señora mówi do Luisy:

– *Quitatelo de encima, cariño. Anda con gentuza y ¡Dios mío! este viejo podría ser tu padre.*

65 Napier siedzi w wagonie metra wśród fresków graffiti i przygląda się córce Lestera Reya. Jest oszołomiona, roztrzęsiona, ma potargane włosy, a jej ubranie jest jeszcze całe mokre od spryskiwacza w banku.

– Jak mnie znalazłeś? – pyta w końcu Luisa.

– Powiedział mi taki duży, gruby gość od ciebie z biura. Nosboomer, jakoś tak.

– Nussbaum.

– Tak. Strasznie długo musiałem mu tłumaczyć.

Cisza trwa od stacji Reunion Square do Siedemnastej Alei. Luisa skubie dziurę w džinsach.

– Rozumiem, że nie pracujesz już w Seboardzie?

– Wczoraj posłali mnie na zieloną trawkę.

– Zwolnili?

– Nie. Wysłali na wcześniejszą emeryturę. Tak. Posłano mnie na zieloną trawkę.

– I z zielonej trawki wróciłeś dzisiaj rano?

– Można tak powiedzieć.

Następna cisza trwa od Siedemnastej Alei do McKnight Park.

– Czuję – Luisa się waha – że zламаłam... Nie, że ty zламаłeś tam jakieś wyższe postanowienie. Jakby Buenas Yervas uchwaliło, że mam dzisiaj umrzeć. Ale jeszcze żyję.

Napier zastanawia się.

– Nie. Miasto ma to gdzieś. A ty lepiej myśl, że życie uratował ci ojciec, kiedy trzydzieści lat temu kopnął lecący na mnie granat. – Ich wagon cały się trzęsie i zgrzyta. – Musimy wstąpić do jakiegoś sklepu z bronią. Z pustymi magazynkami czuję się nieswojo.

Metro wyjeżdża w słońce, na powierzchnię.

Luisa mruży oczy.

– Dokąd jedziemy?

– Na spotkanie z pewną osobą. – Napier patrzy na zegarek. – Specjalnie tu przyleciała.

Luisa trze czerwone oczy.

– Czy ta osoba może dać nam kopię Raportu Sixsmitha? Bo wydaje mi się, że nic innego nie ma w tej chwili znaczenia.

– Tego jeszcze nie wiem.

66 Megan Sixsmith siedzi na niskiej ławce w Muzeum Sztuki Współczesnej w Buenas Yervas i przygląda się wielkiemu portretowi starszej pani, z twarzy podobnej do niedźwiedzia, namalowanemu na płótnie, na którym oprócz przeplatających się szarych i czarnych linii nie ma niczego więcej. Portret, jedyny przykład sztuki figuratywnej w sali pełnej Pollocków, de

Kooningów i Miró, po cichu straszy. „Patrz”, mówi starsza pani, „na swoją przyszłość. Twoja twarz też kiedyś będzie wyglądać jak moja”. Czas rozsunął na jej skórze pajęczynę zmarszczek. Mięśnie tu obwisły, tam się napięły, powieki opadają. Najpewniej jej perły są podrzędnej jakości, a włosy ma w nieładzie po całym popołudniu uganiania się za wnukami. Ale widzi rzeczy, których ja nie dostrzegam.

Koło niej siada kobieta mniej więcej w jej wieku. Nie zaszkodziłoby, gdyby się umyła i przebrała.

– Megan Sixsmith?

Megan patrzy na nią z boku.

– Luisa Rey?

Luisa kiwa głową w stronę portretu.

– Zawsze mi się podobała. Ojciec ją znał, to znaczy, tę prawdziwą starszą panią. Przeżyła Holokaust i osiedliła się w BY. Prowadziła pensjonat w Little Lisbon. Ten malarz u niej mieszkał, zanim stał się sławny.

Odwaga wyrasta wszędzie, myśli Megan Sixsmith, jak chwasty.

– Joe Napier mówi, że przyleciała pani dzisiaj z Honolulu.

– Joe jest tutaj?

– Ten facet za mną, w dżinsowej koszuli, udaje, że ogląda Warhola. Pilnuje nas. Obawiam się, że jego paranoja jest najzupełniej usprawiedliwiona.

– Owszem. Muszę mieć jakiś dowód, że jest pani osobą, za którą się podaje.

– Bardzo mnie to cieszy. Ma pani pomysł, jak to załatwimy?

– Jaki film Hitchcocka mój wujek lubił najbardziej?

Kobieta, która podaje się za Luisę Rey, myśli przez chwilę i uśmiecha się.

– Rozmawialiśmy o Hitchcocku w windzie – domyślałam się, że pani o tym napisał – ale nie przypominam sobie, żeby powiedział, który film był jego ulubiony. Bardzo lubił tę scenę bez słów z *Zawrotu Głowy*, gdzie James Stewart śledzi tajemniczą kobietę aż do nabrzeża, a w tle widać San Francisco. Podobała mu się *Szarada* – wiem, że to nie Hitchcocka – ubawiło go, co pani powiedziała: że Audrey Hepburn ma głowę, jak wyduszką.

Megan odchyła się na oparcie ławki.

– Tak. Wujek wspominał o pani w kartce, którą napisał z hotelu na lotnisku. Był bardzo

niespokojny i zdenerwowany, i pisał zdania w stylu „Jeśli cokolwiek by mi się stało” – ale to nie był list samobójcy. Nie było takiej siły, która mogłaby popchnąć Rufusa do samobójstwa, choć tak twierdzi policja. Wiem, że by tego nie zrobił. – Zapytaj ją i, na miłość boską, niech ci tak nie drży głos. – Panno Rey, uważa pani, że mojego wujka zamordowano?

Luisa Rey odpowiada:

– Niestety, mam co do tego pewność. Przykro mi.

Przekonanie, z jakim mówi Luisa, działa jak katharsis. Czyli jednak nie zaczynasz wariować.

– Wiem, że pracował dla Seboardu i dla Departamentu Obrony. Nigdy nie widziałam całego raportu, ale sprawdziłam go od strony matematycznej, kiedy przyjechałam do Rufusa w lipcu. Sprawdzaliśmy nawzajem swoje prace.

– Dla Departamentu Obrony? Chyba „Energii”?

– Obrony. Produktem ubocznym reaktora HYDRA-Zero jest wzbogacony uran. Najwyższej jakości i w ogromnych ilościach. – Megan daje Luisie Rey przetrawić wszystko, co z tego wynika. – Czego pani potrzebuje?

– Raportu. Tylko jego raport jest w stanie pogrzyźć Seboard przed prawem i opinią publiczną. I uratować mi skórę.

Zaufać jej, obcej osobie, czy wstać i wyjść?

Ciąg uczniów w parach ustawia się wokół portretu starszej pani. Gdy przewodnik krótko opowiada o obrazie, Megan mówi cicho:

– Rufus wszystkie naukowe dokumenty, dane, notatki i pierwsze wersje raportów trzymał na „Rozgwieździe” – na jachcie – żeby móc korzystać z nich w przyszłej pracy. Pogrzeb jest dopiero w przyszłym tygodniu, postępowanie spadkowe wcześniej się nie zacznie, więc to, co jest na łódce, powinno być na razie nietknięte. Głowę dam, że miał tam kopię raportu. Ludzie z Seboardu pewnie już dawno przeczesałoby cały pokład, ale Rufus miał zasadę, żeby nie mówić o „Rozgwieździe” w pracy...

– Gdzie teraz cumuje?

67 MARINA ROYALE, PRZYŁĄDEK YERBAS

TU CUMUJE „WIESZCZKA”

NAJLEPIEJ ZACHOWANY SZKUNER NA ŚWIECIE!

Napier parkuje wypożyczonego forda przed klubem, dawnym drewnianym hangarem

na jachty. Rozświetlone okna baru zapraszają do środka, a marynarskie flagi łopoczą w wieczornym wietrze. Gdy Luisa i Napier przechodzą przez ogród przy klubie i schodzą po schodkach do sporej przystani, od strony wydm dobiegają śmiechy i szczekanie psów. Na tle ciemniejącego nieba na wschodzie rysuje się sylwetka drewnianego trójmasztowca, górującego nad smukłymi jachtami z włókna szklanego. Ludzie kręcą się jeszcze na łodziach i pomostach, ale jest ich niewiele.

– „Rozgwiazda” stoi przy kei najdalej od klubu – Luisa sprawdza mapkę od Megan Sixsmith – za „Wieszczką”.

Dziewiętnastowieczny statek jest rzeczywiście przepięknie odrestaurowany. Pomimo zadania, jakie przed nimi stoi, uwagę Luisy odwraca dziwna siła ciężenia, która każe jej na chwilę zatrzymać się i przyjrzeć olinowaniu, posłuchać, jak trzeszczą drewniane kości „Wieszczki”.

– Co się dzieje? – pyta szeptem Napier. Jest za ciemno, żeby mógł odczytać coś z jej wyrazu twarzy.

Co się dzieje? Znamię Luisy lekko pulsuje. Ona sama próbuje chwycić obydwie elastyczne końce tej chwili, lecz znikają w przeszłości i w przyszłości.

– Nic.

– To normalne, że się boisz. Sam mam stracha.

– Hmm.

– Chodź. Jesteśmy już prawie na miejscu.

„Rozgwiazda” stoi dokładnie tam, gdzie pokazuje mapka Megan. Wspinają się na pokład. Napier wkłada spinacz w zamek drzwi kabiny i wsuwa w szparę patyczek od lizaka. Luisa patrzy, czy nikt ich nie obserwuje.

– Założę się, że nie nauczyłeś się tego w wojsku.

– I przegrałabyś. Drobni włamywacze są jako żołnierze bardzo pomysłowi. Komisja Poborowa nie była zbyt wybredna... – Kliknięcie. – Poszło.

W kabinie wszystko jest poukładane na swoim miejscu. Nie ma w niej książek. Na elektronicznym zegarze 21:55 zmienia się w 21:56. Cieniutki promień latarki Napiera zatrzymuje się na przyrządach nawigacyjnych wbudowanych w blat szafki na dokumenty.

– Może tutaj?

Luisa otwiera jedną z szuflad.

– To tu. Poświeć.

Mnóstwo teczek, skoroszytów. Uwagę Luisy zwraca jeden, żółtawy. REAKTOR HYDRA-ZERO – MODEL OCENY OPERACYJNEJ – SZEFEK PROJEUKTU DR RUFUS SIXSMITH.

– Mam. Jest. Joe? Wszystko w porządku?

– Taa. Tylko... może coś wreszcie pójdzie bez problemów.

Więc jednak Joe Napier potrafi się uśmiechać.

W drzwiach kabiny coś się porusza; jakiś mężczyzna przesłania gwiazdy. Napier widzi panikę na twarzy Luisy i gwałtownie się odwraca. W świetle latarki Luisa dostrzega, jak w przegubie trzymającego broń mężczyzny napręża się ścięgno, dwukrotnie, ale nie pada strzał. Nieodbezpieczony? Joe Napier jakby dostał czkawki i osuwa się na kolana, aż wali głową o stalową podstawę stołu z przyrządami.

Leży bez ruchu.

Luisę ogarnia panika i przestaje wiedzieć, gdzie się znajduje. Delikatne kołysanie jachtu toczy latarkę Napiera po podłodze, a jej snop światła obraca się wkoło, oświetlając jego rozerwaną klatkę piersiową. Wokół nieprzyzwoicie szybko rozlewa się nieprzyzwoicie czerwona i lśniąca plama krwi. Szekle i kabestany dzwonią na wietrze, jak niestrojone dzwony.

Zabójca zamyka za sobą drzwi kabiny.

– Połóż raport na stole, Luisa – mówi cicho i łagodnie. – Nie chcę, żeby poplamiał się krwią.

Luisa posłusznie robi, co jej kazał. Twarz mężczyzny pozostaje w cieniu.

– Luisa, czas pożegnać się z tym światem. Luisa chwyta się stołu.

– Bill Smoke. To ty zabiłeś Sixsmitha. Odpowiada jej ciemność:

– Wszystkich was zabiły siły wyższe. Ja tylko posłałem kulkę. Skup się.

– Śledziłeś nas od banku, w metrze, aż do muzeum...

– Czy przed śmiercią zawsze masz taki słowotok? Głos Luisy drży.

– Jak to „zawsze”?

68 Joe Napiera unosi nawałnica ciszy.

Widmo Billa Smoke’a majaczy mu przed oczami.

Joe Napier więcej niż połową swojego istnienia jest już daleko.

Napływają słowa, by znowu poturbować ciszę. Zabije ją.

Masz w kieszeni trzydziestkę ósemkę.

Jezu, zrobiłem już, co do mnie należało, umieram.

Tak? Powiedz Lesterowi Reyowi, że zrobiłeś co należało i umierasz.

Prawa ręka Napiera wędruje cal za całem do kabury. Joe próbuje zrozumieć, czy jest teraz niemowlakiem w kołysce, czy człowiekiem, który umiera we własnym łóżku. Mijają noce, nie, mijają życia. Napier chce odpływać, ale jego palec wskazujący ma zadanie do wykonania i nie zgadza się o tym zapomnieć. Kolba rewolweru układa się w dłoni. Palec sam wsuwa się w stalowy kabłąk, a w nagłym rozbłysku wie już, co ma robić. Spust, to coś, tak. Naciśnij. Powoli, tak, powoli...

Unieś broń pod kątem. Bill Smoke jest o kilka jardów od niego.

Spust nie chce ustąpić pod palcem – a potem niewiarygodny huk odrzuca Billego Smoke'a w tył, ręce latają mu bezwładnie, jak u marionetki.

Gdy zostały mu jeszcze cztery momenty życia, Napier posyła kolejny pocisk w marionetkę, której sylwetka obrysowana jest gwiazdami. Nieproszone, przypląwa do niego słowo „Silvapłana”.

Gdy zostały mu jeszcze trzy momenty życia, Joe widzi, jak ciało Billa Smoke zsuwa się po drzwiach kabiny.

Dwa momenty życia, godzina na wbudowanym zegarku zmienia się z 21:57 na 21:58.

Oczy Napiera zapadają się, nowo narodzone słońce przebija ukośnie przez pradawne dęby i tańczy na zapomnianej rzece. Patrz, Joe, czaple.

69 Na oddziale, w którym leży Margo Roker, w szpitalu okręgowym w Swanekke, Hester van Zandt spogląda na zegarek. 21:57. Godziny odwiedzin kończą się o dziesiątej.

– Jeszcze jeden, na odchodne, Margo? – Hester patrzy na leżącą w śpiączce przyjaciółkę, a potem kartkuje *Antologię Poezji Amerykańskiej*. – Może Emersona? O, proszę. Pamiętasz to? Sama mi go kiedyś dałaś do przeczytania.

Jeśli zabójca sądzi, że zabija,

Lud zabijany – że pada zabity,

Jeden i drugi nie przeniknął, czyja

Dłoń im nadaje ruch i sens ukryty.

Dal i niepamięć są mi bliską jawą,

Cień w moich oczach płonie słońca zniczem,

Kto zczezł bez wieści – bogom równy sławą;

Hańba i chwała nie różnią się niczem.

Źle liczy, kto mnie nie uwzględnia w cenie;

Gdy chce mi uciec – jestem mu skrzydłami;

Jam jest wątpiący i jego zwątpienie,

Mną hymny wiernych są – i wierni sami.

Daremnie ufa, że mu drzwi otworzę,

Mocarz-bóg, mędrzec...¹²⁹¹

– Margo? Margo? Margo!

Powieki Margo Roker drgają, jak w fazie REM. Z krtani próbuje wydobyć się jęk. Margo łapie powietrze, a potem jej oczy otwierają się szeroko. Mruga powiekami, gdy zaalarmowana zauważa wychodzące z nosa rurki. Hester van Zandt też jest w panice, ale pełnej nadziei.

– Margo! Słyszysz mnie? Margo!

Wzrok leżącej kobiety zatrzymuje się na przyjaciółce i głowa opada jej na poduszkę.

– Tak, słyszę cię, Hester, wrzeszczysz mi w samo ucho.

70 Luisa Rey uważnie przegląda wydanie „Western Messengera” z 1 października. Z zasnutą parą kuchni Snow White dobiega brzęk naczyń i talerzy.

Lloyd Hooks ucieka mimo \$250.000 kaucjiPrezydent Ford przyrzeka, że „wypleni przestępców, którzy przynoszą hańbę amerykańskim korporacjom”.Rzecznik policji BY potwierdził, że nowo mianowany prezes Seaboard Power Inc., były „Guru Energii” Lloyd Hooks uciekł z kraju, tracąc prawo do zwrotu wpłaconej w poniedziałek kaucji w wysokości ćwierci

miliona dolarów. Do tego najnowszego zwrotu wydarzeń w „Seaboardgate” doszło dzień po tym, jak Hooks przysięgł „bronić uczciwości swojej oraz naszych wielkich amerykańskich korporacji przeciw zalewowi podłych kłamstw”. Prezydent Ford włączył się do dyskusji na konferencji prasowej w Białym Domu, potępiając Hooksa i dystansując się od byłego doradcy swojego poprzednika. „Mój rząd jednakowo traktuje wszystkie osoby łamiące prawo. Wyplenimy przestępców, którzy przynoszą hańbę amerykańskim korporacjom i ukarzymy ich z całą przewidzianą przez prawo surowością”. Zniknięcie Lloyda Hooksa, rozumiane przez wielu jako przyznanie się do winy, jest najnowszym wydarzeniem w serii poważnych afer ujawnionych przy okazji zajścia, jakie miało miejsce 4 września w Marinie Royale na Przylądku Yerbas, gdzie śmiertelne strzały oddali do siebie Joe Napier i Bill Smoke, pracownicy ochrony wzbudzającej kontrowersje i należącej do Seaboard Inc. elektrowni jądrowej na Swanekke Island. Naoczny świadek tych wydarzeń, Luisa Rey, korespondentka „Western Messengera”, wezwała na miejsce przestępstwa policję, a dochodzenie zdążyło już objąć również śmierć brytyjskiego fizyka jądrowego i konsultanta Seaboardu dr. Rufusa Sixsmitha, który zginął zabity w zeszłym miesiącu, katastrofę samolotu należącego do byłego prezesa Alberta Grimaldiego, który wybuchł nad Kolorado dwa tygodnie temu, oraz eksplozję w Third Bank of California na przedmieściach BY, w której zginęły trzy osoby. O udział w spisku oskarżonych zostało pięciu dyrektorów Seaboard Power, dwóch z nich popełniło samobójstwo. Trzech pozostałych, w tym wiceprezes William Wiley, zgodziło się zeznawać przeciw Seaboard Corporation. Aresztowanie Lloyda Hooksa, którego zatrzymano dwa dni temu, „Western Messenger” przyjął z ogromną satysfakcją, jako zadośćuczynienie za wsparcie udzielone przez nas Luisie Rey. Między innymi dzięki naszej pomocy ujawniła poważny skandal – aferę, jakiej istnieniu William Wiley początkowo zaprzeczał, nazywając nasze doniesienia „oszczerczą bujną rodem z powieści szpiegowskiej, całkowicie niewartą tego, by poważnie na nią odpowiadać”. *Dokończenie* – s. 2., *Tło wydarzeń* – s. 5., *Komentarz* – s. 11.

– Na pierwszej stronie! – Bart nalewa Luisie kawę. – Lester byłby dumny, jak nie wiem co.

– Powiedziałby, że jestem dziennikarką i robię, co do mnie należy.

– No właśnie.

Luisa nie ma już wyłączności na Seaboardgate. W Swanekke roi się od reporterów, ekip dochodzeniowych z senatu, agentów FBI, policji okręgowej i scenarzystów z Hollywood. Swanekke B wstrzymała działanie; C jest zawieszona.

Luisa wyjmuje jeszcze raz kartkę od Javiera. Trzy talerze UFO latają na niej nad Golden Gate Bridge:

Cześć, Luisa, tu jest OK, ale mieszkamy w domku i nie mogę skakać przez balkony, jak idę do kolegów. Paul (czyli Wolfman, ale Mama mówi, że nie wolno mi go już tak nazywać, chociaż mu się chyba podoba, jak tak na niego mówię) zabiera mnie jutro na kiermasz znaczków, a potem będę mógł wybrać, na jaki kolor chcę mieć pomalowany pokój, no i on gotuje lepiej niż mama. Wczoraj Cię znowu widziałem w telewizji i w gazetach. Nie zapominaj o mnie tylko dlatego że jesteś teraz sławna, ok? Javi.

Listonosz przyniósł też nadaną pocztą lotniczą przesyłkę od Megan Sixsmith, odpowiedź na prośbę Luisy. Paczuszka zawiera osiem ostatnich listów, jakie Robert Frobisher napisał do swojego przyjaciela Rufusa Sixsmitha. Luisa plastikowym nożykiem przecina paczkę. Wyjmuje jedną z pośliskłych kopert, ze stemplem z 10 października 1931, podnosi ją do nosa i głęboko wciąga powietrze. Czy cząsteczki z Château Zedelghem i z dłoni Roberta Frobishera, drzemiące w tym papierze przez czterdzieści cztery lata, wirują teraz w moich płucach, w mojej krwi?

Któż to wie?

Listy z Zedelghem
Zedelghem

10 – x – 1931

Sixsmith,

Ayrs w łóżku od trzech dni, otumaniony morfiną, krzyczy z bólu. B. rozpraszające i przykre. Dr Erget ostrzega J. i mnie, żebyśmy nie mylili *joie de vivre*, jaką Ayrs ostatnio odnalazł w muzyce, z jego rzeczywistym stanem zdrowia, i zabrania V.A. pracować w łóżku, dopóki jest chory. Przy dr. Egrecie przechodzą mnie ciarki. Nigdy nie spotkałem jeszcze konowała, którego bym nie podejrzewał, że spiskuje, żeby mnie wykończyć, zdzierając przy tym ze mnie, ile tylko da sobie radę wykoncypować.

Zakopałem się w swojej własnej muzyce. Okrutne, co powiem, ale kiedy przy śniadaniu zjawia się Hendrick i mówi: „Nie dzisiaj, Robercie”, niemal czuję ulgę. Całą zeszłą noc spędziłem nad rozdudnionym *Allegro* na wiolonczelę, błyskającym wybuchami triol. Ciszę przerywał tylko przeraźliwy trzask pułapek na myszy. Pamiętam, że kościelny zegar wybił trzecią rano. „*Słyszałem lelka*”, rzecz Huckleberry Finn, „*i psa, co wył za kimś, komu szło na umarcie*”. Zawsze mi w głowie brzmiało to zdanie. A potem nagle Lucille trzepała za oknem pościel o jaśniutkim poranku.

Morty Dhondt był już na dole, powiedziała, gotów do wyprawy. Myślałem, że śnię, lecz nie. Na twarzy jakbym miał skorupę i przez chwilę nie wiedziałem nawet, jak się nazywam, choćbyś mnie pytał. Wyburczałem, że nie chcę nigdzie iść z Mortym Dhondtem, że chcę spać, że mam pracę.

– Ale już w zeszłym tygodniu zgodził się pan, że pojedziecie dziś samochodem! – zaprotestowała Lucille.

Przypomniałem sobie. Umyłem się, ogoliłem i włożyłem czyste ubranie. Posłałem Lucille, żeby znalazła chłopaka, który pucował mi wcześniej buty, etc. Na dole w sali śniadaniowej przyjazny handlarz biżuterią palił cygaro i czytał „Timesa”.

– Niech się pan nie śpieszy – powiedział, kiedy przeprosiłem za swoją opieszałość. – Tam, dokąd jedziemy, nikt nie zauważy, czy jesteśmy za wcześnie, czy za późno.

Pani Willems przyniosła mi kedgeree, a do pokoju wwionęła J. Nie zapomniała, jaki dziś dzień, dała mi bukiet białych róż, związanych czarną wstążką, i uśmiechnęła się, jak kiedyś się uśmiechała.

Dhondt jeździ bordowym bugatti royale, typ 41 z 1927 roku, nieźle sunie, Sixsmith. Jeździe, jak naoliwiony diabeł – prawie pięćdziesiąt na tłuczniu! – i ma klakson, którym Dhondt huczy przy najmniejszej okazji.

Piękny dzień na ponurą wyprawę. Im bliżej Frontu się podjeżdża, tym krajobraz w większej ruinie. Za Roeselare ziemia cała poorana jest lejami, poprzecinana rowami zapadających się okopów i ospowata od wypalonych połaci, gdzie nawet chwasty nie chcą rosnąć. Te kilka drzew, które ciągle stoją tu i ówdzie – gdy je dotkniesz, czujesz pod dłonią zwęglony kikut bez życia. Pasemka zieleni wyglądają jak natura nie tyle przywrócona do życia, ile pokryta pleśnią. Dhondt przekrzykiwał ryk silnika i mówił, że rolnicy ciągle jeszcze nie mają odwagi orać pól z obawy przed niewypałami. Nie można przejść tamtędy, żeby nie myśleć o tym, jak gęsto leżą tam ludzie przysypani ziemią. Lada chwila padnie rozkaz natarcia i żołnierze piechoty powstaną tłumnie z ziemi, strzepując pył zaschniętego błota. Trzynaście lat od rozejmu wydaje się jak trzynaście godzin.

Zonnebeke to rozwalająca się wioska na wpół podreperowanych ruin. Jest tu też cmentarz 11. batalionu Essex 53. brygady. Komisja Grobów Wojennych powiedziała mi, że na tym właśnie cmentarzu mógł zostać pochowany mój brat, w każdym razie, jest na to największa szansa. Adrian zginął w ataku 31 lipca w bitwie pod Mesen, w samym centrum walk. Dhondt wysadził mnie przy bramie i życzył mi powodzenia. Bardzo taktownie powiedział, że ma coś niedaleko do załatwienia – choć musieliśmy być jakie pięćdziesiąt mil od najbliższego sklepu z biżuterią – i zostawił mnie z moją misją Don Kichota. Były żołnierz o wyglądzie gruźlika pilnował furtki, kiedy akurat nie zajmował się żalonną grządką warzyw. Pracował też jako ogrodnik – jak myślę, samozwańczy – i pomachał przede mną puszką na datki, na „utrzymanie terenu”. Rozstałem się z frankiem, a on zapytał całkiem znośnym angielskim, czy szukam jakiegoś konkretnego grobu, ponieważ zna na pamięć każdą mogiłę na cmentarzu. Napisałem mu na kartce imię i nazwisko brata, ale zrobił tylko słynną minę Galów, która mówi: „Ja mam swoje problemy, ty masz swoje, to jest twój problem”.

Zawsze czułem, że w magiczny sposób będę wiedział, które ZASNAŁ W PANU jest grobem Adriana. Napis się rozjarzy, sroka kiwnie głową, albo po prostu muzyczna pewność zaprowadzi mnie na właściwe miejsce. Kompletne bzdury, oczywiście. Nagrobnych tablic było tyle, że nie można się było doliczyć, wszystkie jednakowe i ustawione jak na paradzie. Mur cmentarza obrastał wokół jeżynami. Powietrze było duszne, jakby niebo miało za chwilę nas przygniść.

Wzdłuż alejek i rzędów szukałem mogił na F. Wiedziałem, że szanse są niewielkie, ale nigdy nic nie wiadomo. Komisja Grobów też się czasem myli – jeśli pierwszą ofiarą wojny jest prawda, to drugą jakością pracy urzędników. Okazało się w końcu, że na tym cmentarzu

we Flandrii nie leży żaden „Frobisher”. Najbliższy alfabetycznie był „Froames, B. W, szeregowy 2389, 18. Dywizja Wschodnia”, więc położyłem białe róże od J. na jego grobie. Kto wie? Może Froames prosił Adriana o ogień któregoś wieczoru, gdy wszyscy padali z nóg, albo kucał z nim skulony w okopach pod bombami, albo razem jedli zupę. Głupota i sentymenty, wiem.

Spotyka się czasem bufonów, jak Orford w Balliol^[30], którzy obnoszą się ze swoim poczuciem, że coś im odebrano, bo wojna skończyła się, zanim mieli okazję się wykazać. Inni, tu na myśl przychodzi mi Figgis, przyznają się do poczucia wielkiej ulgi, że przed 1918 nie dorosli jeszcze do wieku poborowego, ale przyznają to z pewnym zażenowaniem. Często skarżyłem ci się, jak to dorastałem w cieniu owianego legendą brata – każda reprimenda zaczynała się od „Adrian nigdy nie...” albo „Gdyby twój brat dziś tu był, to...”. W końcu zacząłem aż nienawidzić samo jego imię. Gdy usilnie starałem się o wydalenie z Frobisherii, słyszałem tylko „Przynosisz wstyd nazwisku Adriana!”. Nigdy, przenigdy tego rodzicom nie zapomnę.

Przypomniałem sobie nasze ostatnie pożegnanie pewnego deszczowego popołudnia w Audley End, Adrian był w mundurze, Ojczulek mocno go objął. Dnie powiewania flagami i wiwatów dawno się już skończyły – słyszałem później, że żandarmeria wojskowa eksortowała poborowych do Dunkierki, żeby nie dopuścić do masowych dezercji. Wszystkie te zastępy Adrianów, upchane jak sardynki na cmentarzach we wschodniej Francji, zachodniej Belgii i dalej. Przy przekładaniu talii zwanej okolicznościami historii nasze pokolenie, Sixsmith, wyciągnęło dziesiątki, walety i damy. Adriana – trójki, czwórki i piątki. I tyle.

Oczywiście, na „i tyle” nigdy się nie kończy. Listy Adriana porażały zmysł słuchu. Można zamknąć oczy, ale nie da się zatkać uszu. Chrobotanie wszy w fałdach munduru; tupot szczerów; trzask kości, gdy trafia w nie kula; terkot karabinów maszynowych; grzmoty wybuchów w oddali, błyskawice tych, które eksplodują bliżej; dzwonienie kamyków odbijających się od stalowych hełmów; bzyczenie much latem nad ziemią niczyją. Późniejsze rozmowy dorzuciły do tego przeraźliwe rzenie koni; pęknięcie zamrożonego błota; huk samolotów; czołgi, gąsienicami mielące błoto; ludzie po amputacjach, wybudzający się z narkozy; świst miotaczy ognia; chlupot bagnetów zagłębiających się w szyjach. Muzyka europejska to zapamiętała dzikość, przerywana długimi okresami ciszy.

Zastanawiam się, czy mój brat lubił chłopców tak samo jak dziewczęta, czy to tylko ja mam w sobie to zepsucie. Zastanawiam się, czy zmarł we wstrzemięźliwości. Myślę o tych wszystkich żołnierzach, leżących razem, kulących się, żywych; zimnych, martwych. Uprzątnąłem grób B.W. Froamesa i poszedłem z powrotem do bramy. Cóż, moja misja okazała się bezcelowa. Ogrodnik majdrował przy sznurze i nic nie powiedział. Morty Dhondt odebrał mnie na czas, jak w zegarku, i popędziliśmy znów ku cywilizacji, ha!

Przejeżdżaliśmy przez miejscowość Poelkappelle, czy jakoś tak, aleją wiązów ciągnącą się mila za milą. Dhondt wybrał tę prostą drogę, by wycisnąć z bugattiego wszystko, co się da. Szpalery wiązów zamazywały się w jedno drzewo, powtarzające się w nieskończoność, jak na wirującym dziecięcym bąku. Wskazówka prędkościomierza dochodziła do maksimum, kiedy jakiś kształt, jak biegnąca wariatka, rzucił się nam prosto pod koła – uderzył w przednią szybę i kręcąc w powietrzu koziółki, przeleciał nam nad głowami. Serce skoczyło mi do gardła, mówię ci! Dhondt nacisnął na hamulce, droga zarzuciła nas w jedną stronę, odbiła w drugą, opony piszczwały i w powietrzu uniósł się swąd rozgrzanej gumy. Nagle wszystko zaczęło być znowu

policzalne. Zęby wbiły mi się głęboko w język. Gdyby hamulce nie zablokowały się tak, że bugatti sunął dalej po trajektorii wzdłuż drogi, zakończylibyśmy dzień – a może i życie – okręceni wokół wiązów. Auto się zatrzymało. Wskoczyliśmy z Dhondtem i pobiegliśmy w tył – tylko po to, żeby zobaczyć, jak gigantyczny bażant trzepie połamanymi skrzydłami. Dhondt rzucił wymyślne przekleństwo chyba w sanskrycie i zakrzyknął pełne ulgi *ha!*, że nikogo nie zabił, jak również w konsternacji, że jednak zabił coś. Kompletnie odjęło mi mowę i tylko ocierałem chusteczką krwawiący język. Zaproponowałem, żeby skrócić nieszczęsnemu ptakowi cierpienia. Dhondt w odpowiedzi rzucił przysłowiem, którego idiotyczność była chyba zamierzona: „Ci, co w karcie dań, nie martwią się o sos”. Wrócił do bugattiego, żeby uruchomić ponownie silnik. Nie mogłem się połapać, co ma na myśli, więc podszedłem do bażanta, na co zaczął jeszcze bardziej histerycznie walić skrzydłami. Pióra na piersi, z której kucharz zrobiłby medaliony, zmatowiła krew i odchody. Bażant wrzeszczał, jak nowo narodzone dzieciątko, Sixsmith. Żałowałem, że nie mam broni. Na poboczu leżał kamień wielkości mojej pięści. Rozstrzaskałem nim z całej siły ptakowi łeb. Nieprzyjemne – nie to samo, co strzelać do ptaków, zupełnie nie.

Starłem z siebie jego krew, jak tylko dałem radę, zerwanymi przy drodze liśćmi szczawiu. Dhondt uruchomił już auto, wskoczyłem do środka i pojechaliśmy do następnej wioski. Miejsce jakies bezimienne, o ile dobrze zauważyłem, ale była tam nędzna kawiarnia-cum-garaż-cum-salon pogrzebowy, którą grupa milczących tubylców dzieliła z rojem much, latających w kółko jak otumanione anioły śmierci. Ostre hamowanie zwichrowało przednią oś w bugattim, więc M.D. zatrzymał się, żeby ktoś się tym zajął. Usiedliśmy *al fresco* na skraju „placu”, będącego w rzeczywistości bajorem błota na kocich łbach, z wbitym w centralnym punkcie cokołem, którego mieszkańca już dawno temu przetopiono na kule. Umorusane dzieciaki goniły po placu jedyną pozostałą w kraju tłustą kurę – wleciała na cokół. Dzieciarnia zaczęła rzucać w nią kamieniami. Zastanawiałem się, czyja była ta kura. Zapytałem barmana, kto wcześniej zajmował cokół. Nie wiedział, urodził się na południu. Moja szklanka okazała się brudna, więc poprosiłem barmana o wymianę. Obraził się i od tamtej pory był już mniej rozmowny.

M.D. zapytał, jak mi poszło na cmentarzu w Zonnebeke. Tak naprawdę mu nie odpowiedziałem. Przed oczami co chwila stawał mi poharatany, zakrwawiony bażant. Zapytałem M.D., co robił w czasie wojny.

– A, wiesz pan... trzeba było pilnować interesów.

– W Bruges? – zapytałem zdziwiony, bo trudno mi było wyobrazić sobie kupca diamentów z Belgii, którego interes rozkwita pod okupacją Kaisera.

– Dobry Boże, nie – odpowiedział M.D. – w Johannesburgu. Przeczekaliśmy tam z żoną wojnę.

Pogratulowałem mu zmysłu przewidywania. Wyjaśnił skromnie:

– Wojny nie wybuchają bez ostrzeżenia. Zaczynają się do niewielkich pożarów na horyzoncie. Wojny się zbliżają. Ten, kto mądry, wygląda dymu i przygotowuje się do wyjazdu, jak Ayrs i Jocasta. Obawiam się tylko, że następna wojna będzie tak wielka, że nie

zachowa się żadne miejsce z przyzwoitą restauracją.

Był aż tak pewny, że zbliża się kolejna wojna?

– Kolejna wojna zawsze się zbliża, Robercie. Nikt ich nigdy do końca nie gasi. A co jest iskrą, od której wybuchą? Żądza władzy, centralna siła natury ludzkiej. Zagrożenie przemocą, strach przed przemocą, bądź też faktyczna przemoc są narzędziami tej straszliwej żądy. Żądę władzy widać w sypialniach, kuchniach, fabrykach, związkach zawodowych i na granicach państw. Posłuchaj dobrze i zapamiętaj. Państwo narodowe to tylko ludzka natura nadmuchana do monstualnych rozmiarów. Narody to twory, w których prawa ustanawia przemoc, QED. Tak było zawsze i tak zawsze będzie. Wojna, Robercie, to jeden z dwóch nieodłącznych towarzyszy ludzkości.

– A ten drugi? – zapytałem.

– Diamenty.

Rzeźnik w pokrwawionym fartuchu biegł przez plac i dzieciaki się rozpierchły. Teraz stanął przed problemem zwabienia kury z kokołu.

A Liga Narodów? Z pewnością narody znają prawa inne niż wojna. A dyplomacja?

– Ach, dyplomacja – rzekł M.D., w swoim żywiole – wyciera to, co rozlało się w czasie wojny; sankcjonuje jej skutki; daje silnemu państwu środki, by narzucało swoją wolę słabszemu, oszczędzając przy tym floty i bataliony na potężniejszych przeciwników. Tylko profesjonalni dyplomaci, nieuleczalni idioci i kobiety widzą w dyplomacji długotrwałą alternatywę dla wojny.

Reductio ad absurdum poglądów M.D., twierdziłem jednak, sprowadzała się do tego, że nauka wymyśla coraz krwawsze metody wojny, aż moc niszczenia, jaką posiadzie ludzkość, przewyżczy naszą moc tworzenia i cywilizacja sama siebie doprowadzi do zagłady. M.D. przyjął moje zastrzeżenia ze zjadliwą uciechą.

– Właśnie tak. Nasza żądza władzy, nauka i wszystkie te zdolności, które wzniosły nas nad poziom małp poprzez ludzi dzikich do ludzi współczesnych, zdmuchną *homo sapiens* jeszcze przed końcem tego wieku! Ty prawdopodobnie zdążysz to jeszcze zobaczyć, szczęściarzu. Cóż za symfoniczne crescendo to będzie, co?

Przyszedł rzeźnik i poprosił barmana o drabinę. Muszę kończyć. Oczy same mi się zamykają.

Twój,

R.F.



Sisxmith,

Ayrs powinien już jutro stanąć na nogi po dwóch tygodniach w łóżku. Nie życzyłbym syfilisu najgorszemu wrogowi. No, może jednemu czy dwóm. Syfilytyk stopniowo się rozkłada, jak gnijące w sadzie spadłe owoce. Dr Egret wpada codziennie, ale niewiele już może przepisać oprócz coraz większych dawek morfiny. V.A. nie cierpi morfiny, bo zagłusza mu muzykę.

J. ma ostatnio napady przygnębienia. Są czasem noce, kiedy wtula się we mnie, jakbym był jej kołem ratunkowym, gdy ona tonie. Żal mi kobiety, ale interesuje mnie jej ciało, nie jej problemy. A raczej – interesowało.

Ostatnie dwa tygodnie spędziłem w pracowni muzycznej, przerabiając fragmenty spisane przez cały rok w „seksstet nachodzących na siebie solistów”: fortepian, klarnet, wiolonczela, flet, obój i skrzypce, każdy gra swoim własnym językiem, we własnej tonacji, gamie i barwie. W pierwszej serii każdą partię solo przerywa następna: w drugiej, każda partia przerywana w serii pierwszej ma swój dalszy ciąg. Rewolucja w muzyce czy zwykła sztuczka? Nie dowiem się, dopóki nie skończę, a wtedy będzie już za późno, lecz to pierwsza myśl, z jaką się budzę, i ostatnia, z jaką zasypiam, nawet z J. w łóżku. Powinna zrozumieć, że artysta żyje w dwóch światach.

Nazajutrz

Miałem z V.A. diabelną kłótnię. Przez całą poranną sesję dyktował etiudę *à la* toccata, pierońsko znajomą, aż poznałem, że to refren z mojego własnego „Aniela z Mons”! Jeśli Ayrs łudził się, że nie zauważę, był w wielkim błędzie. Powiedziałem mu prosto z mostu – to moja muzyka. Zmienił ton:

– Jak to twoja? Frobisher, kiedy pan dorośnie, zrozumie, że wszyscy kompozytorzy czerpią inspirację z otoczenia. Pan jest jednym z elementów mojego, dostając za to, dodam, przyzwoitą pensję, korzystając z codziennych warsztatów kompozycji w szkole mistrza i obracając się wśród najwybitniejszych muzycznych umysłów tego wieku.

No, zupełnie kto inny, niż człowiek, którego pchałem na wózek do stróżówki portiera kilka tygodni temu, kiedy przekonywał mnie, żebym został aż do wiosny. Zapytałem, kim chce mnie zastąpić. Panią Willems? Ogrodnikiem? Evą? Nefertiti?

– Och, z całą pewnością sir Trevor Mackerras znajdzie dla mnie odpowiedniego chłopca. Tak, dam ogłoszenie. Nie jest pan aż tak wyjątkowy, jak pan myśli. A teraz, chce pan tu dalej pracować, czy nie?

Nie potrafiłem znaleźć żadnego sposobu, żeby się odegrać, więc wyszedłem, narzekając na straszliwy ból w dużym palcu u nogi. V.A. wystrzelił mi z flanki ostrzeżenie:

– Jeśli stan pańskiego palca nie polepszy się do rana, Frobisher, niech pan jedzie go leczyć do Londynu i nie wraca.

Czasem chcę ułożyć wielkie ognisko i wrzucić starego capa w sam środek huczących płomieni.

Okolo tygodnia później

Nadal tu jestem, J. odwiedziła mnie później, ucięła mi gadkę, jaki to Ayr jest dumny, jak bardzo ceni moją pracę, jak to miewa właściwe artyście fomy i wybuchy, etc, ale „proszę, zostań”, jeśli nie dla Ayrsa, to dla niej. Przyjąłem jej posłannictwo – listek figowy wraz z gałązką oliwną – i kochaliśmy się tej nocy niemal z czułością. Zbliża się zima, a ja nie mam ochoty na serię przygód po całej Europie, finansowaną z moich skromnych zasobów. Gdybym teraz stąd odszedł, musiałbym raczej szybciotko poznać jakąś głupią, bogatą dziedziczkę fortuny. Któraś przychodzi ci do głowy? Wyślę do Janscha kolejną paczkę, żeby zasilić mój fundusz awaryjny. Jeśli Ayr nie podzieli się ze mną wpływami za moje pomysły do „Todtenvogla” – który od czasu Krakowa był już dwadzieścia razy prezentowany publicznie – będę musiał sam się wynagrodzić. Postanowiłem być ostrożniejszy, zanim znowu pokażę V.A. moje kompozycje. Wiesz, paskudnie żyje się, kiedy dach nad głową zależy od dobrej woli pracodawcy. Jeden Bóg wie, jak służący to wytrzymują. Zastanawiam się, czy służba we Frobisherii bez przerwy gryzie się w język, jak ja teraz muszę.

Eva wróciła z wakacji w Szwajcarii. To znaczy, ta młoda kobieta twierdzi, że jest Evą, a podobieństwo jest zaiste uderzające, ale zasmarkane brzydkie kaczątko, które wyjechało z Zedelghem trzy miesiące temu, powróciło jako niezwykle wdzięczny łabędź. Pomaga matce, przeciera powieki ojca wacikami zmoczonymi w zimnej wodzie i całymi godzinami czyta mu Flauberta, jest uprzejma dla służby i nawet pyta mnie o postępy w pracy nad sekstetem. Byłem pewien, że to jakaś nowa strategia, żeby mnie stąd wygryźć, ale minęło już siedem dni i zaczynam podejrzewać, że E. we wcieleniu koszmarnej młodocianej jędzy zniknęła na amen.

No dobrze, w *pax* z E. chodzi też o coś więcej, niż się na pozór wydaje, ale najpierw muszę objaśnić ci parę spraw. Od czasu mojego przyjazdu do Neerbeke, właścicielka domu, gdzie E. mieszka w Bruges, Mme van de Velde, nalegała zarówno u E., jak i J., żebym ich odwiedził, tak, by ich pięć córek – chodzą z E. do szkoły – mogło poćwiczyć angielski u prawdziwego angielskiego dżentelmena. M. van de Velde, jak pamiętasz, to ów rzekomo obsceniczny gość z Minnewater Park, który okazał się producentem amunicji i szanowanym filarem społeczeństwa, etc. Mme van de Velde jest jedną z tych męczących, upartych bab, których ambicji nie powstrzyma żadne „jest w tej chwili b. zajęty”. Tak naprawdę, to można by podejrzewać J. o uknućie tego *fait accompli* z czystej złośliwości – kiedy jej córka wyrasta na łabędzia, matka zamienia się we wstrętą starą jędzę.

Na dziś właśnie wyznaczono mi obiad u van d. Veldów – pięć równo rozsadzonych córek plus Mama i Ojczulek. Potrzebowałem nowych strun do wiolonczeli, a Ayrswowi nie zaszkodzi, kiedy się przekona, jak bardzo jest bezradny, gdy mnie nie ma, więc udałem chojraka i miałem nadzieję, że v. d. V zatrudniają choć kucharza wykwalifikowanego odpowiednio do dochodów właściciela fabryki. Zatem o jedenastej samochód van de Velda – srebrny Mercedes-Benz, dziękuję bardzo – zajechał na podjazd Zedelghem i szofer, spocony bałwanek bez szyi i bez znajomości francuskiego, zawiózł mnie i E. z powrotem do Bruges. Dawniej jechałobyśmy w śmiertelnej ciszy, ale tu nagle zacząłem opowiadać E. co nieco o mych dniach w Cambridge. E. ostrzegła mnie, że najstarsza van de Veldówna, Marie-Louise, postanowiła za wszelką cenę wyjść za Anglika, więc muszę strzec mej cnoty jak najstaranniej.

I jak ci się podoba?

W domu van de Veldów dziewczęta ustawiono na schodach do powitania według starszeństwa, najmłodsza na początku – czekałem niemal, że zaraz zaczną śpiewać i niech mnie świśnie, Sixsmith, zaczęły. „Greensleeves”, po angielsku. Przesłodzone, jakby się dropsów najadły. Potem pani v. d. V. uszczypnęła mnie w policzek, jakbym po długiej ucieczce wrócił w końcu do domu, i powiedziała, pohukując, jak sowa: „How do you do-ooo”. Wprowadzono mnie do „salonu” – pokoju zabaw dla dzieci – i usadzono na „krześle pytań”, pudle na zabawki. Córki v. d. V., hydra z głowami o imionach Marie-Louise, Stephanie, Zenobe, Alphonsine i zapomniałem imienia ostatniej, miały lat od dziewięciu do wieku rzeczonyj Marie-Louise, o rok starszej od Evy. Wszystkie dziewczęta cechuje całkowicie nieuzasadniona pewność siebie. B. długa sofa ugięła się pod całą rodziną grubasów. Służąca wniosła lemoniadę, a Mme zaczęła przesłuchanie.

– Eva mówi nam, panie Frobisher, że pańska rodzina ma znakomite koneksje w Cambridge?

Spojrzałem w stronę Evy; zrobiła minę, jakby udawała wielce zafascynowaną. Stłumiłem uśmiech i przyznałem, że moja familia figuruje w Domesday Book^[31] i że Ojczulek jest sławnym duchownym. Wszelkie próby zmiany tematu z wybadywania, czy stanowią odpowiednią partię, były wysyłane na aut i po kwadransie przyglądania się temu swoimi wyłupiastymi oczami Marie-Louise wyczuła aprobatę mamy i postanowiła, że to ja będę jej Rycerzem. Zapytała:

– Panie Frobisher, zna się pan dobrze z Sherlockiem Holmesem z Baker Street?

Proszę, pomyślałem, dzień może jeszcze nie być całkiem stracony. Dziewczyna z poczuciem ironii musi mieć w sobie jakąś ukrytą głębię.

Ale Marie-Louise mówiła poważnie! Mózdzek zaiste ptasi.

– Nie – odrzekłem – nie znam się osobiście z panem Holmesem, ale widuję go, gdy co środę grywa z Davidem Copperfieldem w bilard w moim klubie.

W jadalni podano lunch na pięknej drezdeńskiej zastawie. Na ścianie, na kwiecistej tapecie, wisiała wielka reprodukcja *Ostatniej Wieczery*. Jedzenie rozczarowało. Wiórowaty pstrąg, warzywa rozgotowane na breję, ciasta jakieś prostackie; myślałem, że stołuję się znowu

w Londynie. Panny chichotały *glissando* przy mych trywialnych pomyłkach we francuskim – choć ich angielski ranił uszy niemiłosiernie. Mme v. d. V., która również spędzała lato w Szwajcarii, długo opowiadała, jak to hrabina Tschepp-Pysky, czy księżna Sündumpstätt wychwalała Marie-Louise pod niebiosą jako „Kwiat Alp”. Nie mogłem nawet wydusić uprzejmego „*Comme c'est charmant!*”.

M. v. d. V. wrócił z biura. Zadał setkę pytań o krykieta, by zabawić córki owym oryginalnym angielskim rytuałem, w którym punkty, o dziwo, zdobywa się, gdy wybije się piłkę na aut. Durnota klasy mistrzowskiej, a tak cały czas zajęty planowaniem następnego nudnawego wtrętu, że nigdy dokładnie nie słucha. Otwarcie sam sobie prawi komplementy, zaczynając od: „Może pan nazwać mnie staromodnym, ale...”, albo: „Niektórzy uważają mnie za snoba, lecz...”. Eva posłała mi kwaśne spojrzenie. Miało znaczyć: „No i co? Naprawdę uważałeś, że ten cymbał zagrażał mojej reputacji?!”.

Po lunchu wyszło słońce i Mme v. d. V. oznajmiła, że wszyscy się przejdą, żeby pokazać szanownemu gościowi atrakcje Bruges. Próbowałem powiedzieć, że już dość wystawiłem na próbę ich gościnność, ale tak łatwo nie miało mi się upiec. Wielki Patriarcha prosił o wybaczenie – miał do podpisania górę papierów wielką jak Matterhorn. Oby zginął przysypany lawiną. Kiedy służące odziały już panny w rękawiczki i kapelusze, zawołano po powóz i obwieziono mnie od kościoła do kościoła po kolei. Jak pisał stary Kilvert^[32], nie ma nic bardziej męczącego, niż kiedy ktoś mówi, czym masz się zachwycać, i pokazuje to kijem. Z trudem mogę sobie przypomnieć choć jeden kościółek. Przy ostatnim punkcie trasy, wieży z zegarem, szczęka bolała mnie już od tłumionego ziewania. Mme van de Velde rzutem oka oceniła wieżę i oznajmiła, że pozwoli, żebyśmy się, młodzi, sami tam wdrapali, a ona poczeka w *patisserie* po drugiej stronie placu. Marie-Louise, która tuszą przerasta matkę, powiedziała, że to nie przystoi damie zostawiać mamam samą. Mądrala nie mogła iść z powodu astmy, a jak Mądrala nie szła, etc., etc., aż w końcu tylko ja i Eva kupiliśmy bilety na górę. Ja płaciłem, żeby pokazać, że nie winię jej osobiście za straszliwą stratę całego dnia. Poszedłem przodem. Spiralne schody robiły się coraz węższe. Na wysokości dłoni biegła lina przewieszona przez żelazne obręcze umocowane do ściany. Stopy musiały same wymacać sobie drogę. Jedynym źródłem światła były rzadko rozmieszczone wąskie okna. Jedynymi odgłosami były nasze kroki i kobiece oddech E., przypominający mi o nokturnach z jej matką. Van de Veldówny to pięć niekończących się *allegretti* na źle strojony klawesyn i moje uszy bardzo były wdzięczne, że są od nich wolne. „Zapomniałem policzyć stopni”, pomyślałem na głos. Mój głos brzmiał, jak zamknięty w szafce z pledami. Eva powiedziała z wolna:

– *Oui...*

Na górze wyszliśmy do przestronnego pomieszczenia, w którym mieściły się koła zębate mechanizmu zegara, każde wielkości kół u powozu. W suficie zniknęły liny i kable. Na drewnianym rozkładanym krześle drzemał cieć. Miał sprawdzić nam bilety – na kontynencie trzeba bez przerwy pokazywać bilet – ale prześliznęliśmy się obok niego i po drewnianych schodach wspięliśmy się na samą już górę, na taras widokowy.

Daleko w dole rozpościerało się trójkolorowe Bruges: oranż dachówek; szarość murów; brąz kanałów. Konie, automobile, cyklicy, idący parami chłopcy z chóru, szpiczaste dachy, pranie na sznurach w bocznych uliczkach. Poszukałem Ostendy, znalazłem. Oświetlony słońcem

pas Morza Północnego zmienił barwę na ultramarynę Polinezji. Mewy zataczały koła, niesione prądami powietrza; od wpatrywania się w nie zaczęło mi się kręcić w głowie i pomyślałem o albatrosie Ewinga. Eva oznajmiła, że w dole dostrzega siedzące wszystkie van de Velde. Uznałem, że to komentarz pod adresem ich obfitych kształtów, lecz spojrzałem na miejsce, o którym mówiła, i owszem, sześć bezkształtnych punkcików maźniętych pastelą tkwiło wokół kawiarnianego stolika. E. złożyła swój bilet w papierową strzałkę i posłała ją nad parapetem. Leciała niesiona wiatrem, aż spaliło ją słońce. Co by zrobiła, gdyby cieć się obudził i zażądał od niej biletu?

– Rozplakałabym się i powiedziała, że ukradł mi go jakiś okropny chłopak, Anglik.

Zatem ja także złożyłem swój bilet w strzałkę, powiedziałem E., że nie ma teraz już żadnych dowodów, i też go puściłem w powietrze. Zamiast poszybować wysoko, moja strzałka w jednej chwili zniknęła z pola widzenia. Charakter E. zależy od tego, pod jakim kątem nań patrzeć, cecha właściwa szlachetnym opalom.

– Wie pan, nie pamiętam papy tak szczęśliwego i pełnego życia, jak teraz – powiedziała.

Okropność wszystkich v. d. V zrodziła między nami koleżeńską więź. Zapytałem wprost, co się stało w Szwajcarii? Czy się zakochała, pracowała w sierocińcu, przeżyła mistyczne spotkanie w śnieżnej grocie?

Kilkakrotnie zaczynała zdanie. W końcu powiedziała (z rumieńcem!):

– Tęskniłam za pewnym młodym człowiekiem, którego poznałam w czerwcu tego roku.

Zdziwiony? Pomyśl, jak ja się czułem! Ale byłem w każdym calu dżentelmenem, jakim mnie znasz. Zamiast wdać się we flirt, odrzekłem:

– A pani pierwsze wrażenie przy spotkaniu z owym młodym człowiekiem? Czyż nie było całkowicie niekorzystne?

– Częściowo niekorzystne.

Przyglądałem się kropelkom jej potu od wspinaczki po schodach, jej ustom i bardzo, bardzo delikatnemu meszkowi nad górną wargą.

– Jest wysokim, ciemnym, przystojnym, muzykalnym cudzoziemcem?

Zachnęła się.

– Jest... tak, wysoki, dość ciemny, przystojny – nie aż tak bardzo, jak mu się wydaje, ale powiedzmy, że może zwracać uwagę – fantastycznie muzykalny, a cudzoziemiec z niego do cna. Zdziwiający, że pan tak wiele o nim wie! Jego też pan śledzi, gdy przechodzi przez Minnewater Park?

Musiałem się roześmiać. Ona też.

– Robercie, wyczuwam... – spojrzała na mnie nieśmiało – że jesteś doświadczony. A tak poza wszystkim, mogę mówić do pana „Robercie”?

Powiedziałam, że już najwyższy czas, żeby mówiła mi po imieniu.

– To, co mówię, jest... nie do końca na miejscu. Jesteś zły?

– Nie – odrzekłem – nie. Zaskoczony, mile połączony, tak, ale zły: wcale.

– Zachowywałam się wobec ciebie tak paskudnie. Ale mam nadzieję, że możemy zacząć od nowa.

Odpowiedziałem, że oczywiście, też bym tego chciał.

– Od dzieciństwa – rzekła, odwracając wzrok – wyobrażałam sobie, że ten taras to mój własny balkon z *Tysiąca i jednej nocy*. Często przychodzę tu o tej porze, po szkole. Jestem cesarzową Bruges. Jego mieszkańcy to moi poddani. Van de Veldowie to moje błazny. Każę im ściąć głowy.

Czarujące z niej stworzenie, naprawdę. Krew mi wrzała i poczułem nagły impuls, by złożyć na ustach cesarzowej Bruges namiętny pocałunek.

Ale nie było mi dane zrobić nic więcej, bo grupa piekielnych Amerykanów wlała się na taras przez wąskie drzwi. Taki ze mnie głupiec, że udawałem, że nie jestem w towarzystwie Evy. Podziwiałem widoki z drugiej strony, próbując naciągnąć wszystkie poluzowane struny mojej osoby. Kiedy cieć oznajmił, że taras widokowy wkrótce się zamyka, Eva zdążyła już wyjść. Bardzo w jej stylu. Znowu zapomniałem policzyć stopnie, schodząc na dół.

W cukierni Eva pomagała najmłodszej v. d. V bawić się przeplataniem sznurka na palcach. Mme van de Velde wachlowała się kartą deserów i jadła z Marie-Louise eklerkę, nie pozostawiając suchej nitki na przechodzących osobach i ich strojach. Eva unikała mojego wzroku. Czar prysł. Natomiast rozmarzonymi oczyma jałówki szukała mojego wzroku Marie-Louise. Spacerem wróciliśmy do domu v. d. V, gdzie, alleluja, czekał już Hendrick z Cowleyem. Eva rzekła mi w drzwiach *au revoir* – obejrzałem się i zobaczyłem, że się uśmiecha. Błogość! Wieczór był złoty i ciepły. Całą drogę do Neerbeke widziałem twarz Evy z jednym czy dwoma zabłąkanymi pasemkami włosów, jakie zwiął tam wiatr. Nie bądź nieprzytomnie zazdrosny, Sixsmith. Wiesz, jak to jest.

J. wyczuwa *entente* między Evą a mną i nie podoba jej się to ani trochę. Zeszłej nocy wyobrażałem sobie, że pode mną leży E., a nie jej matka. Crescendo nadeszło zaledwie kilka taktów później, dużo przed częścią J. Czy kobiety potrafią wyczuć zdrady wyobraźni? Pytam, bo z niebywałą intuicją, delikatnie mnie ostrzegła.

– Chcę, żebyś wiedział, Robercie. Jeśli kiedykolwiek tkniesz Evę, dowiem się i cię zniszczę.

– Nawet o tym nie myślę – skłamałem.

– Na twoim miejscu nawet bym o tym nie śniła – ostrzegła.

Nie mogłem tego tak zostawić.

– Skąd ci, u diabła, przyszło do głowy, że twoja pająkowata, arogancka córka może mi się w ogóle podobać?

Zachnęła się w ten sam sposób, jak Eva na tarasie.

Twój,

R.F



Zedelghem

24 – x – 1931

Sixsmith,

gdzie twoja odpowiedź, do stu diabłów? Dobrze, jestem ci niezwykle zobowiązany, ale jeżeli myślisz, że będę czekał, aż nadejdą twoje listy, grubo się mylisz. Wszystko zionie nienawiścią, nienawistne jak mój ojciec-hipokryta. Mógłbym go doprowadzić do ruiny. On zrujnował mnie. Wyglądanie końca świata jest najstarszą rozrywką ludzkości. Dhondt ma rację, niech szlag trafi jego belgijską przenikliwość, niech szlag trafi przenikliwość wszystkich Belgów. Adrian żyłby dziś, gdyby Belgia, „to dziarskie państwko”, nigdy nie istniała. Ktoś powinien zmienić ten karłowaty kraj w olbrzymie jezioro dla jachtów i wrzucić do niego wynalazcę Belgii, a stopy przywiązać mu do jakiej Minerwy. Jak wypłynie, jest winny. Och, przebić mojemu ojcu oczy rozżarzoną do białości prętą! Jednego wymień. Dalej, wymień mi choć jednego sławnego Belga. Ma więcej pieniędzy niż Rotszyld, ale sądzisz, że wypłaci mi choć złamany grosz? Nieszczęśliwy jestem, taki nieszczęśliwy. Po chrześcijańsku to, żeby odciąć mnie od majątku, nie zapisując mi jednego szylinga? Utopić go to za łagodnie. Dhondt ma rację, niestety. Z wojen nigdy do końca nikt nie leczy, są tylko kilkuletnie okresy remisji. Wszyscy chcemy Końca, więc obawiam się, że właśnie tego się doigramy. Proszę. Zmień to w muzykę. Kotły, cymbały i miliony trąbek, jeśli byłbyś tak uprzejmy. Płacę staremu capowi własną muzyką. Wykończ mnie.

Twój,

R.F.



Zedelghem

29 – x – 1931

Sixsmith,

Eva. Bo jej imię oznacza pokusę: cóż bliższego istocie człowieka? Bo w jej oczach unosi się dusza. Bo marzę o tym, że zakradam się przez aksamitne kotary do jej pokoju, gdzie sam otwieram drzwi, nucę jej melodię, ach jakże – jakże – jakże łagodnie, ona staje bosymi stopami na moich, przykłada mi ucho do serca i tańczymy walca, jak marionetki. Po pocałunku mówi: „*Vous embrassez comme un poisson rouge!*” – i w oświetlonych księżycem lustrach zakochujemy się w naszej młodości i w naszym pięknie. Bo przez całe życie uczone kobiety, idiotki, próbowały mnie rozumieć, uleczyć, ale Eva wie, że ja to *terra incognita*, i odkrywa mnie nieśpiesznie, jak kiedyś ty. Bo ma ciało jak chłopak. Bo pachnie migdałami i trawą na łące. Bo gdy uśmiecham się na jej zamiary zostania egiptologiem, kopie mnie w piszczel pod stołem. Bo przy niej myślę o czymś innym, niż o sobie. Bo nawet, gdy jest poważna, to roziskrzona. Bo woli opowieści podróżnicze od sir Waltera Scotta, Billy’ego Mayerla od Mozarta i nie potrafi odróżnić C-dur od bz-dur. Bo ja, tylko ja, widzę jej uśmiech ułamek sekundy wcześniej, nim pojawi się na jej twarzy. Bo choć Imperator Robert nie jest dobrym człowiekiem – najlepszą jego część zarekwirowała niewybrzmiana jeszcze muzyka – ale i tak obdarza mnie tym najrzadszym z uśmiechów. Bo słuchaliśmy razem lelków. Bo z gejzeru na czubku jej głowy tryska śmiech i pada kroplami na cały poranek. Bo mężczyzna mojego pokroju nie powinien zajmować się takim „pięknem”, a jednak czuję ją w skrytych zakamarkach serca.

Twój,

R.F.



Le Royal Hôtel, Bruges

6 – xi – 1931

Sixsmith,

rozwoły. B. paskudne sprawy, ale mój i Ayrsa odbył się w ciągu jednego dnia. Jeszcze wczoraj rano pracowaliśmy nad drugą częścią jego ambitnego łabędziego śpiewu. Oznajmił, że podczas sesji przyjmujemy teraz inną taktkę.

– Frobisher, chciałbym, żeby zaproponował pan dziś parę motywów do części *Severo*. Coś z przedednia wojny w e-moll. Gdy będzie już pan miał coś, co mi się spodoba, przejmę to od pana i rozwinę potencjał pańskich nut. Zrozumiał pan?

Zrozumieć – zrozumiałem. Podobać mi się – nie podobało ani trochę. Owszem, współautorów mają prace naukowe, a kompozytor może pracować z jakimś muzycznym wirutozem, by badać granice tego, co możliwe do zagrania – jak Elgar i W.H. Reed – ale współautorstwo dzieła symfonicznego? B. wątpliwy pomysł, powiedziałem tak V.A w dość stanowczych słowach.

Syknał:

– Nie mówię o „współautorstwie”, chłopcze. Pan zbiera surowy materiał, ja doskonałą go tak, jak uznam za stosowne.

Nie uspokoiło mnie to. Ayrz mnie strofował:

– Wszyscy wielcy mają uczniów, którzy dla nich wykonują tę pracę. A niby jak inaczej taki Bach mógłby dostarczać co tydzień nową mszę?

– O ile dobrze pamiętam, żyjemy teraz w wieku XX – odpaliłem. – Publiczność płaci, żeby słuchać kompozytora, którego nazwisko wydrukowane jest w programie koncertu. Nie płacą za Vyvyana Ayrsa tylko po to, żeby dostawać Roberta Frobishera.

V.A. się uniósł.

– Nie będą „dostawać” pana! Dostaną mnie! Nie słucha pan, Frobisher. Pan odwała robotę przy kieracie, ja pilnuję orkiestracji, aranżuję, szlifuję.

Robota przy kieracie, jak mój „Anioł z Mons”, pod lufą przystawioną do skroni, skradziona do *Adagia* w finalnym pomniku chwały Ayrsa? Można ubierać plagiat w jakie się chce szatki, ale nie przestanie być plagiatem.

– Plagiatem? – Ayrz mówił spokojnym tonem, ale kostki palców aż pobiełały mu na lasce. – W dawnych dniach, gdy był pan wdzięczny za moje nauki, nazywał mnie pan jednym z największych żyjących kompozytorów w Europie. Czyli na świecie. Dlaczego tej klasy artysta miałby popełniać „plagiat” jakiegokolwiek pracy kopisty, który, pozwolę sobie panu przypomnieć, nie był nawet w stanie otrzymać stopnia bakałaza w college’u dla dożywotnio uprzywilejowanych? Nie ma pan w sobie wystarczającego głodu, chłopcze, to jest pański problem. Jest pan Mendelssohnem małpującym Mozarta.

Stawka w grze wzrosła, jak inflacja w Niemczech, ale jestem organicznie niezdolny do ulegania pod presją: okopałem się.

– Powiem panu, dlaczego miałby pan popełniać plagiat! Bo jest pan muzycznie bezpłodny! Najlepsze momenty w „Todtenvoglu” są moje. Pomysłowe kontrapunkty w *Allegro*

non troppo nowego dzieła są moje.

Nie przyjechałem, cholera, do Belgii, żeby zostać jego wyrobnikiem.

Staremu smokowi z nozdrzy poszedł dym. Dziesięć taktów ciszy na 6/8. Zgasił papierosa.

– Pańska drażliwość nie zasługuje na poważne traktowanie. W zasadzie zasługuje pan na zwolnienie z pracy, ale to byłoby działaniem pod wpływem chwili. Zamiast tego chciałbym, żeby pan pomyślał. Na przykład o swojej reputacji. – Ayrs rozwinął to słowo. – Reputacja jest wszystkim. Moja, oprócz szaleństw młodości, kiedy złapałem francę, jest nie do naruszenia. Twoja, mój wydziedziczony przyjacielu, hazardzisto i bankrucie, już nie istnieje. Wyjeżdżaj z Zedelghem, kiedy ci się żywnie podoba, ale pamiętaj: wyjedziesz bez mojej zgody, a wszystkie towarzystwa muzyczne na zachód od Uralu, na wschód od Lizbony, na północ od Neapolu i na południe od Helsinek będą wiedziały, że łajdak nazwiskiem Robert Frobisher gwałtem próbował wziąć żonę ślepnącego Vyvyana Ayrsa, jego ukochaną żonę, tak, czarującą Mevrouw Crommelynck. Nie będzie zaprzeczać. Wyobraź pan sobie skandal! I to po wszystkim, co Ayrs zrobił dla Frobishera... żaden bogaty patron, żaden zubożały patron, żaden organizator festiwalu, żaden zarząd, żaden rodzic, którego mały złotowłosy aniołek chce się nauczyć grać na pianinie, nie będzie chciał mieć z panem nic wspólnego.

Czyli V.A. wie. Od tygodni, a prawdopodobnie miesięcy. Byłem w fatalnym położeniu. Podkreśliłem tylko własną niemoc, obrzucając Ayrsa paroma b. przykrymi wyzwiskami.

– Och, pochlebstwa! – zapał. – *Encore*, Maestro!

Powstrzymałem się od zmasakrowania krostowatego trupa fagotem na śmierć, przedwcześnie. Nie powstrzymałem się przed zasyczeniem, że jeśli Ayrs byłby choć w połowie tak dobrym mężem, jakim jest manipulatorem i złodziejem pomysłów ludzi zdolniejszych od niego, może jego żona nie puszczałaby się tak bardzo. A tak właściwie, dodałem, to jaką wiarygodność miałyby jego kampania obsmarowująca moje nazwisko, kiedy towarzystwa Europy dowiedzą się, jakiego rodzaju kobietą jest Jocasta Crommelynck prywatnie?

Nawet go nie drasnąłem.

– Frobisher, jesteś pan beznadziejnym ignorantem. Liczne romanse Jocasta prowadzi i zawsze prowadziła z największą dyskrecją. Elita każdego społeczeństwa jest przesiąknięta niemoralnością, a jak inaczej, sądzisz pan, utrzymywałyby władzę? Reputacja włada sferą publiczną, nie prywatną. To publiczne czyny składają ją z tronu. Wydziedziczenie. Ucieczka ze słynnych hoteli. Niespłacanie sum, które jest się winnym pożyczkodawcom z wyższych sfer – ostatniej desce ratunku. Jocasta miała moje błogosławieństwo, kiedy cię uwiodła, zarozumiała pajacu. Potrzebny mi pan byłeś do dokończenia „Totdenvogla”. Myślisz pan, że jesteś jurnym byczkiem, lecz mnie i Jocastę łączy alchemia, której nawet nie możesz pan spróbować zgłębić. Odkocha się w panu w jednej chwili, kiedy tylko zaczniesz nam pan grozić. Zobaczysz pan. Idź pan teraz i wróć jutro z odrobioną pracą domową. Będziemy udawać, że pański drobny wybuch nigdy nie nastąpił.

Zrobiłem, co kazał, z przyjemnością. Musiałem pomyśleć.

J. z pewnością odegrała ważną rolę w odkrywaniu najnowszej historii mojego życia. Hendrick nie mówi po angielsku, a V.A. nie dałby rady sam wszystkiego dojść. Musi gustować w mężczyznach o podejranej moralności – to wyjaśnia, dlaczego wyszła za Ayrsa. Jaka w tym rola E. – nie mogę rozgryźć, bo wczoraj była środa, więc E. była w szkole w Bruges. Czy Eva mogłaby wiedzieć o moim romansie z jej matką i mimo to, okazywać mi tak otwarcie miłość? Chyba nie?

Popołudnie spędziłem, chodząc po smętnych polach, i pieniałem się w samotności. Schroniłem się przed gradem pod daszkiem wejścia zburzonej przez bomby kaplicy. Myślałem o E., myślałem o E., myślałem o E. Tylko dwie rzeczy były oczywiste: powiesić się na maszcie flagowym w Zedelghem lepsze było, niż pozwolić jego właścicielowi, pasożytowi, rabować mój talent choćby dzień dłużej; a nigdy więcej nie zobaczyć E. było nie do pomyślenia.

– To wszystko skończy się wielkim płaczem, Frobisher!

Owszem, być może, ucieczka kochanków często się tak kończy, ale ja ją kocham, naprawdę ją kocham, i tak się rzeczy mają.

Wróciłem do château tuż przed zmierzchem, zjadłem zimną kolację w kuchni pani Willems. Dowiedziałem się, że J., ta Kirke ze swoimi pieszczołami, jest w Brukseli w sprawach zarządzania majątkiem i tego wieczoru już nie wróci. Hendrick powiedział, że V.A. zamknął się wcześniej w swoim pokoju z radio, wydając polecenie, by mu nie przeszkadzano. Wybornie. Długo moczyłem się w wannie i napisałem ciąg dobrze ze sobą powiązanych linii basu. W okresach kryzysów zawsze pędzę w muzykę, gdzie nic nie może mnie dotknąć. Sam też wcześniej wróciłem do swojego pokoju, zamknąłem drzwi na klucz i spakowałem walizę.

Obudziłem się dziś rano o czwartej. Za oknem wisiała marznąca mgła. Chciałem złożyć V.A. ostatnią wizytę. Bez butów, w skarpetkach, zakradłem się przez lodowate korytarze pod drzwi Ayrsa. Trzęsąc się cały, uchylilem je, starając się, jak mogłem, żeby zachowywać się absolutnie bezgłośnie – w sąsiednim pokoju sypia Hendrick. Światło było zgaszone, ale w poświacie żaru z kominka zobaczyłem Ayrsa, wyciągniętego, jak mumia w British Museum. Pokój cuchnął gorzkimi lekarstwami. Podkradłem się do sekretarzyka koło łóżka. Szuflada ciężko chodziła i gdy ją szarpnąłem, zakołysała się stojąca na blacie butelka eteru – ledwo ją złapałem. Luger, z którym V.A. tak się obnosił, leżał w kawałku zamszu, owinięty sznurkową podkoszulką, a obok... na spodku leżały naboje. Zagrzechotały. Delikatna czaszka Ayrsa była ode mnie ledwie kilka cali, ale się nie obudził. Oddychał, świszcząc, jak stara rżężąca katarynka. Poczulem impuls, żeby zwędzić garść nabojów, więc tak zrobiłem.

Na gardle Ayrsa pulsowała błękitna żyłka i musiałem zwalczyć zadziwiająco silne pragnienie rozplątania jej scyzorykiem. Niesamowite. Nie całkiem *deja vu*, raczej *jamais vu*. Zabijanie, doświadczenie, które nielicznym dane jest poza okresami wojny. Jaki *timbre* ma morderstwo? Nie obawiaj się, nie piszę ci wyznania z popełnionego mordu. Praca nad sekstem i jednoczesna ucieczka przed pościgiem byłyby mocno kłopotliwe, a zakończyć karierę, dyndając w zabrudzonej bieliźnie, żaden honor. Co gorsza, zamordowanie z zimną krwią ojca Evy mogłoby również zabić jej uczucia do mnie. V.A. zatem spał dalej, w błogiej nieświadomości, a ja schowałem do kieszeni jego pistolet. Ukradłem już naboje, więc w zabraniu lugera kryła się

pewna logika. Pistolety to dziwnie ciężkie przedmioty. Dotykając mojego uda, wydawał basowy ton: z pewnością zabił już jakichś ludzi; jak uszczypnie, będzie znak. Dlaczego go wziąłem? Chcesz precyzyjnej odpowiedzi? Nie wiem. Ale przystaw sobie jego gardziel do ucha, a zupełnie inaczej będziesz słyszał świat.

Ostatnią wizytę złożyłem w pustym pokoju Evy. Położyłem się na jej łóżku, gładziłem jej ubrania, wiesz, jaki się przy pożegnaniach robię sentymentalny. Zostawiłem na jej toalecie najkrótszy list w życiu; „Cesarzowo Bruges. Na twym balkonie, o twojej godzinie”. Wróciłem do swojego pokoju. Czule pożegnałem się z łóżem z baldachimem, podniosłem odporne okno i rzuciłem się do ucieczki przez oblodzony dach. „Rzuciłem” – to dobre słowo: dachówka zsunęła się w dół i rozbiła na żwirowej alejce. Leżałem na brzuchu, wyczekując krzyków i „larumów”, jakie podnieść się mogły w każdej chwili, ale nikt niczego nie usłyszał. Dotarłem na ziemię, korzystając z uprzejmości rosnącego tam cisu, i przemknąłem przez oblodzony ogród, pilnując, by ozdobnie przystrzyżone krzewy osłaniały mnie przed widokiem z pokojów służby. Okrążyłem fronton i ruszyłem Mnisim Duktem. Wiatr wiał ze wschodu, prosto z Syberii, i cieszyłem się, że mam kozuch Ayrsa. Usłyszałem artretyczne topole, lelki w skamieniałym lesie, rozwścieczonego psa, kroki na zamarzniętym żwirze, rosnące pulsowanie w skroniach, a i żal – nad sobą samym, nad całym tym rokiem. Minąłem starą stróżówkę i skręciłem na drogę do Bruges. Miałem nadzieję, że złapię jaki furgon z mleczarni albo furmankę, ale nic nie jechało. Na tle mroźnego przedświt gwiazdy zaczynały blednąć. W chatach płonęło kilka świec, w kuźni dojrzałem rozognioną twarz, ale drogę na północ miałem całą dla siebie.

Tak myślałem, ale dobiegł mnie z tyłu odgłos samochodu. Nie zamierzałem się chować, więc zatrzymałem się i patrzyłem, co jedzie. Oślepiły mnie reflektory, samochód zwolnił, zgasł silnik i znajomy głos zakrzyknął na mnie:

– A pan gdzie się wybiera po cichu o tak niemożliwej porze?

Pani Dhondt, nie kto inny, owinięta w czarne futro z fok. Czy Ayrsowie wysłali ją, żeby schwytała zbiegłego niewolnika? Zmieszany wybełkotałem jak kompletny idiota:

– Zdarzył się wypadek!

Przeklinałem się w duchu za tę ślepą uliczkę błagi, bo ewidentnie byłem zdrowy jak koń, szedłem sam na piechotę, z walizą i chlebakiem.

– Okropna historia! – odrzekła pani Dhondt z żołnierskim zapalem, mówiąc za mnie w przerwach, gdy ja milczałem. – Przyjacieli, czy ktoś z rodziny?

Dostrzegłem łódź ratunkową.

– Przyjacieli.

– A Bruno ostrzegał pana Ayrsa, żeby właśnie dlatego nie kupował cowleya! W nagłych sytuacjach zawodzi. Jocasta jest niemądra, dlaczego do mnie nie zadzwoniła? No to niech pan wskakuje! Jedna z moich arabskich klaczy urodziła dwa cudne źrebaczki ledwie godzinę temu, cała trójka ma się wspaniale. Właśnie jechałam do domu, ale wciąż za bardzo jestem

w emocjach, żeby zasnąć, więc odwiozę pana do Ostendy, jeśli nie zdąży pan na pociąg z Bruges. Uwielbiam jeździć o tej porze. A cóż to za wypadek? Niechże pan nie traci ducha, Robercie. Nigdy nie można zakładać, że stało się najgorsze, dopóki nie ma się w rękę wszystkich faktów.

O świcie dojechaliśmy do Bruges dzięki kilku oczywistym nieprawdom. Wybrałem ten doskonały hotel po drugiej stronie ulicy od św. Wacława, bo z zewnątrz wygląda jak podpórka do książek, a w skrzynkach na kwiaty rosną tu miniaturowe jodełki. Moje pokoje wychodzą na spokojny kanał po stronie zachodniej. Teraz, kiedy skończyłem ten list, ledwo będę miał czas się zdrzemnąć, zanim nadejdzie pora, by iść na dzwonnice. E. może tam być. Jeżeli nie, będę czaił się w przejściu koło jej szkoły i tam ją dopadnę. Jeśli i tam jej nie będzie, trzeba będzie zadzwonić do van de Veldów. Jeżeli moje nazwisko już jest zohydzone, przebiorę się za kominiarza. Jeżeli mnie przejrzą, długi list. Jeżeli długi list zostanie przechwycony, kolejny czekać będzie na jej toaletce. Jestem zdecydowany na wszystko.

Twój,

R.F.

PS. – Dzięki za pełen niepokojów list z 5 listopada, ale co z ciebie taka nadopiekuńcza kwoka? Oczywiście, że wszystko u mnie w porządku – oprócz konsekwencji opisanego zadrażnienia z V.A. Wszystko jest bardziej niż w porządku. Mój umysł może przyjąć każde twórcze zadanie, jakie tylko wymyśli. Komponuję właśnie najlepsze dzieło mojego życia; wszystkich moich żywotów. Mam pieniądze w portfelu i więcej jeszcze w 1. Banku Belgijskim. Co przypomina mi – jeżeli Otto Jansch nie ustąpi z trzydziestu gwinei za parę Münthów, powiedz mu, że może obdrzeć ze skóry własną matkę i wytarzać ją w soli. Zobaczmy, ile dadzą na ulicy Rosyjskiej albo Greckiej.

PPS. Jeszcze jedno odkrycie za zrządzeniem losu. W Zedelghem, gdy pakowałem walizę, sprawdziłem, czy nic nie wpadło pod łóżko. Znalazłem przedarty na pół tom, przez jakiegoś dawnego gościa wetknięty pod jedną z nóg, żeby łóżko się nie kiwało. Może przez jakiegoś pruskiego oficera, a może to Debussy, kto wie? Nie zwróciłem na to uwagi, aż minutę później dotarł do mnie tytuł na grzbiecie książki. Usmarowałem się przy tym, ale podniosłem łóżko i wyciągnąłem oprawione strony. Oczywiście: *Adama Ewinga Dziennik Pacyficzny*. Od strony, na której się urywał, do końca pierwszego tomu. Uwierzysz? Wsunąłem połówkę książki do walizy. Połknę ją w całości już niedługo. Szczęśliwy, umierający Ewing – nigdy nie zobaczył koszmarnych zjaw, czyhających za rogiem historii.



Le Royal Hôtel, Bruges

pod koniec xi – 1931

Sixsmith,

całe noce pracuję nad *Atlasem Chmur na sektet*, dopóki nie padnę, całkiem dosłownie, w żaden inny sposób nie mogę zasnąć. Moja głowa jest wielkim fajerwerkiem inwencji. Na raz przychodzi do mnie muzyka całego życia. Widzę teraz, że granice między hałasem a dźwiękiem są umowne. Wszystkie granice są umowne, granice państw również. Można przekroczyć każdą umowność, każdą konwencję, jeżeli tylko wcześniej człowiek to sobie wyobrazi. Weź tę wyspę, w połowie drogi między *timbrem* a rytmem, nie ma jej w żadnej księdze teorii, a jednak istnieje! Słyszę w głowie doskonale czyste instrumenty, każdy, o jakim zamarzę. Kiedy skończę, nic we mnie nie zostanie, wiem, ale Królewski Szyling^[33], który trzymam w spoconej dłoni, jest Kamieniem Filozoficznym! Ktoś taki jak Ayrs, siedzi nad swoim przydziałem tworzenia po trochu, po kawałku, przez całe długie życie. Ja nie. Nie miałem żadnej wiadomości od Ayrsa ani od jego cudzołożnej, niezrównoważonej, melodramatycznej żony. Chyba myślę, że uciekłem do Anglii. Zeszłej nocy śniłem, że wypadłem z Imperial Western i chwyciłem się mojej rynnny. Skrzypce, straszliwie gwałcone – to ostatnia nuta mojego sektetu.

Mam się doskonale. Chciałbym, żebyś też mógł zobaczyć tę jasność. Prorocy ślepli, gdy widzieli Jehowę. Nie głuchli, a ślepli, weź pod uwagę. Nadal mogli go słyszeć. Mówię sam do siebie całe dni. Na początku, nieświadomie, dźwięk ludzkiego głosu działał na mnie kojąco, ale teraz sporo się muszę natrudzić, żeby przestać, więc gadam i gadam. Kiedy nie komponuję, chodzę na spacer. Mógłbym napisać już przewodnik Michelina po Bruges, gdybym miał wolny kawałek kartki i czas. Krążę po uboższych dzielnicach, nie tylko po alejach bogaczy. Za brudnym oknem jakaś babcia przesadzała fiołki do donicy. Zapukałem w szybę i poprosiłem, żeby się we mnie zakochała. Wydeła usta, nie sądzę, żeby mówiła po francusku, ale powtórzyłem. Jakiś facet o głowie jak kula armatnia, z absolutnym zanikiem podbródka, pojawił się w oknie, obrzucił zionącymi siarką przekleństwami mnie i moją rodzinę.

Eva. Codziennie wchodzę na dzwonnice, śpiewając szczęśliwe zaklęcie, jedna sylaba na miarę, „Dzi-siaj – dzi-siaj – niech – tu – bę-dzie – dzi-siaj – – dzi-siaj”. Jak dotąd, jej nie było, chociaż czekam do zmroku. Dni złote, brązowe, żelazne, wodniste, mgliste. Zachody słońca jak różane galaretki. Nadciągające noce, w powietrzu igiełki mrozu. Eva strzeżona jest gdzieś w klasie szkolnej w dole, na ziemi, obgryza ołówek, marzy, żeby być ze mną, wiem to na pewno, a ja patrzę w dół spomiędzy odłupujących się apostołów, marzę, żeby być z nią. Jej przekłęci rodzice musieli znaleźć u niej liścik na toaletce. Żałuję, że nie zrobiłem tego wszystkiego sprytniej. Szkoda, że nie zabiłem cholernego oszusta, kiedy miałem okazję. Ayrs nigdy nie znajdzie zastępstwa za Frobishera – *Wieczny powrót* z nim umrze. Van de Veldowie musieli przechwycić mój drugi list do Ewy w Bruges. Próbowałem blefem dostać się do jej szkoły, ale pogoniła mnie para wieprzy w liberiach, z gwizdkami i pałkami. Szedłem za E. ze szkoły, ale zasłony dnia rozsuwają się na tak krótko, że gdy wychodzi ze szkoły okutana peleryną z kapturem, jest już ciemno i zimno, a wokół niej orbitują przyzwoitki v. d V. i koleżanki z klasy. Wyjrzałem spod czapki i szalika, czekając, aż wyczuje mnie jej serce. Wcale nie śmieszne.

Dzisiaj otarłem się o jej paltot, kiedy przechodziłem obok w tłumie, gdy padała mżawka. E. mnie nie zauważyła. Gdy się do niej zbliżam, pedał forte podnosi brzmienie od krocza, rezonując w klatce piersiowej i w górę, aż gdzieś za oczy.

Dlaczego jestem taki zdenerwowany? Może jutro, tak, jutro, na pewno. Nie ma się czego obawiać. Powiedziała mi, że mnie kocha. Już niedługo, niedługo.

Twój,

R.F.



Le Royal Hôtel, Bruges

25 – xi – 1931

Sixsmith,

z nosa mi cieknie i strasznie kaszlę od niedzieli. Akurat w sam raz do moich siniaków i skaleczeń. Prawie nie wychodziłem z pokoju i nie mam ochoty. Z kanałów wypelza lodowata mgła, zatyka człowiekowi płuca i mrozi żyły. Przyślij mi kauczukowy termofor, dobrze? Tu są tylko naczynia z kamionki.

Zajrzał dziś kierownik hotelu. Pełen powagi pingwin, bez tyłka i bioder. To zapewne jego lakierki piszczą tak, gdy chodzi, ale w Niderlandach nigdy nic nie wiadomo. Złożył mi wizytę, żeby upewnić się, że jestem zamożnym studentem architektury, a nie jakimś wątpliwym, szemranym gościem, który pryśnie z miasta, nie regulując rachunku. W każdym razie, obiecałem mu, że jutro w recepcji dam mu dowód wypłacalności, zatem wizyty w banku nie da się uniknąć. To poprawiło mu humor i wyraził nadzieję, że studia dobrze mi idą. Wspaniale, zapewniłem. Nie mówię, że jestem kompozytorem, bo nie jestem już w stanie wytrzymać Kretyńskiego Przesłuchania: „A jaki rodzaj muzyki pan tworzy?”; „Och, a co mogłem już pańskiego słyszeć?”; „Skąd przychodzą panu pomysły?”.

Poza tym nie jestem w nastroju do pisania listów, nie po moim drugim spotkaniu z E. Człowiek, który zapala lampy, robi właśnie obchód. Gdybym tylko mógł cofnąć czas, Sixsmith. Zrobiłbym, co w mojej mocy.

Nazajutrz

Poprawa. Eva. Ach. Śmiałybym się, gdyby tak nie bolało. Nie pamiętam, gdzie skończyłem w ostatnim liście. Czas zamazuje się w *allegri* od mojej Nocy Objawienia. Stało się jasne, że nie uda mi się złapać E. na osobności. Ani razu nie pojawiła się o czwartej na dzwonnicy. Moje wiadomości do niej zostały przechwycone – tylko takie wyjaśnienie przyszło mi do głowy. (Nie wiem, czy V.A. dotrzymał obietnicy, by obsmarować moje nazwisko w Anglii; może coś już słyszałeś? Nie dbam o to nadto, ale chciałbym wiedzieć). Na poły

liczyłem, że J. wyśledzi mnie w hotelu – w drugim liście pisałem, gdzie jestem. Nawet bym się z nią przespał, gdybym tylko otworzył tym jaką drogę do Evy. Przypomniałem sam sobie, że nie popełniłem żadnego przestępstwa – *va bene*, zbiegu, żadnego przestępstwa, o którym Commelynck-Ayrsowie by wiedzieli – i wygląda na to, że Jocastą kolejny raz dyrygował mąż. Najpewniej zawsze tak było. Nie miałem więc wyboru, jak złożyć wizytę w domu van de Veldów.

O zmierzchu przeszedłem Minnewater Park, padał śnieg z deszczem. Zimno, jak na Uralu. Luger Ayrsa też chciał się ze mną przejść, więc mój stalowy druh zniknął ukryty w przepastnych kieszeniach kozucha, które zapiąłem na guzik. prostytutki z obwisłymi podbródkami paliły papierosy na podium dla orkiestry. Nie kusiło mnie ani przez moment – tylko desperaci wyprawiają się gdziekolwiek w taką pogodę. Wyniszczone zdrowie Ayrsa odstraszyło mnie od nich, prawdopodobnie na całe życie. Przed domem v. d. V. czekały ustawione w kolejce kabriolety, konie parskały na mroźnym powietrzu, szoferzy otulali się długimi paltotami, pałac i przytupując dla rozgrzewki. Okna oświetlone żółtawymi lampami, trzepot panien wkraczających w towarzystwo, szampan w wysokich kieliszkach, rozmigotane kandelabry. Odbywało się właśnie jakieś spore towarzyskie wydarzenie. Wybornie, pomyślałem. Kamuflaż. Jakaś zadowolona para ostrożnie weszła po schodach, drzwi się otwarły – Sezamie! – na mroźne powietrze wyrwał się gawot. Wszedłem za nimi po posypanych solą stopniach i zastukałem złoconą kołatką, próbując zachować spokój.

Wyfrakowany Cerber rozpoznał mnie – zaskoczony służący nigdy nie wróży nic dobrego.

– *Je suis desole, Monsieur, mais votre nom ne figure pas sur la liste des invites.*

Wsadziłem już nogę w drzwi. Listy gości, ostrzegłem, nie dotyczą stałych przyjaciół rodziny. Lokaj uśmiechnął się przepaszająco – miałem do czynienia z zawodowcem. Akurat wtedy przemknęło obok mnie sznurem stadko ozdobionych cekinami gąsek w płaszczykach i służący nieopatrznie dał im przejść obok mnie. Byłem już w połowie rozświetlonego korytarza, kiedy odziana w białą rękawiczkę dłoń złapała mnie za ramię.

Wtedy pękłem, przyznaję, w sposób całkowicie pozbawiony godności – nie zaprzeczę, że przeżywam beznadziejny okres – i ryknąłem imię Evy, wrzeszczałem je w kółko bez przerwy, jak rozpuszczone dziecko w napadzie histerii, aż muzyka do tańca ucichła, a schody w holu wypełniły się zszokowanymi bachantami. Tylko puzonista grał dalej. Gwałcił puzon za dwóch. Nagle z ulów wyleciał cały rój konsternacji, we wszystkich ważniejszych językach. Przez złowieszcze bzyczenie nadeszła Eva, w jaskrawoniebieskiej balowej sukni, ze sznurem zielonych pereł. Chyba zawołałem: „Dlaczego mnie tak unikasz?!” – czy coś równie pełnego godności.

E. nie chciała sunąć w powietrzu wprost w me ramiona, roztopić się w mych objęciach i pieścić mnie słowami miłości. Pierwszą częścią jej symfonii był Niesmak.

– Co się z tobą dzieje, Frobisher?

W holu wisiało lustro; spojrzałem, żeby zobaczyć, co ma na myśli. Zapuściłem się, ale, jak wiesz, kiedy komponuję, kiepsko u mnie z goleniem.

Część druga: Zdziwienie.

– Madame Dhondt mówiła, że wróciłeś do Anglii.

Rzeczy się miały coraz gorzej.

Część trzecia: Złość.

– Jak śmiesz pokazywać się tutaj po... po tym wszystkim?

Rodzice powiedzieli jej o mnie same kłamstwa, zapewniałem. Z jakiego innego powodu przechwycili moje listy do niej? Powiedziała, że dostała obydwie listy, ale podarła je „z litości”. Teraz byłem już raczej wstrząśnięty. Zażądałem rozmowy z nią *tete-a-tete*. Mieliśmy sobie tyle do wyjaśnienia. Banalnie przystojny młodzieniec objął ją ramieniem, zagroził mi drogę i powiedział coś do mnie po flamandzku, roszcząc sobie prawa do własności. Odpowiedziałem mu po francusku, że trzyma swoje łapy na dziewczynie, którą kocham, dodając, że wojna powinna nauczyć Belgów, kiedy uchylać się przed przeważającą siłą. Eva złapała go za rękę i objęła jego pięść obiema dłońmi. Intymny gest, teraz to widzę. Dosłyszałem imię galanta, wyszeptane przez jakiegoś przyjaciela, który ostrzegał go, żeby nie sprzedawał mi fangi: Grigoire. Bańka zazdrości głęboko w moich bebechach właśnie otrzymała imię. Zapytałem Evę, kim był ów warczący piesek.

– To mój narzeczony – odrzekła chłodno – nie jest Belgiem, jest Szwajcarem.

Twój kto? Bańka pękła, zatrula żyły.

– Mówiłam ci o nim, tamtego wieczoru na dzwonnicy! Dlaczego wróciłam ze Szwajcarii taka radosna... Mówiłam ci, ale potem zmusiłeś mnie do czytania tych... upokarzających listów.

To nie przejęzyczenie Ewy ani pomyłka mojego pióra. Grigoire Narzeczony. Wszyscy ci kanibale, karmiący się moją godnością i napawający się moją jej utratą. Taki finał. Moja namiętna miłość? Nie istnieje. Nigdy jej nie było. Ów niewidzialny puzonista fałszował teraz „Ode do radości”. Ryknąłem na niego z gwałtownością żywiołu – zdarłem gardło – żeby grał w tonacji zamierzonej przez Beethovena, albo nie grał wcale. Zapytałem:

– Szwajcar? To dlaczego taki agresywny?

Puzonista z napaśzeniem zaczął V Symfonię Beethovena, też w złej tonacji. Głosowi E. brakowało tylko jednego stopnia do zera absolutnego.

– Jesteś chyba chory, Robercie. Powinieneś już iść.

Grigoire Szwajcarski Narzeczony razem z lokajem złapali mnie za ramiona i przemaszerowali ze mną przed całym stadem do drzwi. Wysoko, wysoko w górze dojrzałem dwie małe v. d. V. w szlafmycach, gapiące się w dół schodów przez barierki podestu, jak wyszlafmycone gargulce. Puściłem do nich oko.

Błysk triumfu w okolonych długimi rzęsami oczach mojego rywala i jego „*Go home to England*”, powiedziane z silnym akcentem, rozpały we mnie, przykro rzec, Frobishera Bydlaka. W chwili, gdy wyrzucano mnie przez próg, obłąpiłem Grigoire’a chwytem rugbisty, robiąc wszystko, żeby zadowolony z siebie papug poleciał ze mną. Rajskie ptaki w holu zaskrzeczały, pawiany podniosły ryk. Poturlaliśmy się w dół po schodach, a raczej załomotaliśmy głucho, pojechaliśmy po lodzie, zakłęliśmy, tupnęliśmy i rozdarliśmy się. Grigoire krzyknął ze strachu, potem z bólu – dokładnie jak na recepcie przepisanej przez panią doktor Zemstę! Kamienne schody i oblodzony chodnik nabiły mi tak samo czarne siniaki, jak jemu, tak samo mocno walnąłem łokciami i biodrami, ale przynajmniej nie tylko ja miałem w Bruges zmarnowany wieczór, więc wrzeszczałem, kopiąc go w żebra, po jednym kopniaku na każde słowo, zanim na wpół pobiegłem, na wpół pokuśtykałem na mojej poobijanej kostce.

– Miłość boli!

Już mi teraz lepiej na duchu. Ledwo pamiętam nawet, jak E. wygląda. Kiedyś miałem jej twarz wypaloną w moich oczach idioty, widziałem ją wszędzie i w każdym. Grigoire ma doskonałe palce, długie i giętkie. Robert Schumann okaleczył sobie dłonie, przywiązując do nich ciężary. Myślał, że to zwiększy zasięg palców na klawiaturze. Podniosłe kwartety smyczkowe, a co za straszny głupiec! Natomiast Grigoire urodził się z doskonałymi dłońmi, ale najpewniej nie odróżnia półtonu od półgłówka.

Sześć, czy siedem dni później

Nie dokończyłem tego listu i o nim zapomniałem, cóż, na pół zapomniałem, zakopał się gdzieś pod papierem nutowym i zbyt zajęty byłem komponowaniem, żeby go wyławiać. Za oknem lodowata zimowa pogoda. Połowa zegarów w Bruges zamarzła na fest. Czyli już wiesz o Evie. Po całej tej sprawie czułem się mocno pusty w środku i wydrażony, a cóż, na Boga, odbija się echem w wydrażonej dziupli? Muzyka, Sixsmith, niech się stanie Muzyka, słuchaj tylko. W czasie sześciu godzin rozgrzewania się przy kominku napisałem wczoraj dla mego klarncisty sto dwa takty żałobnego marszu opartego na „*Odzie do radości*”.

Miałem dziś rano jeszcze jednego gościa; taką popularnością nie cieszyłem się od czasu owego niesławnego dnia na Derby. W południe obudziło mnie przyjazne, lecz stanowcze pukanie do drzwi. Zawołałem:

– Kto tam?!

– Verplancke.

Nie mogłem sobie przypomnieć, skąd znam to nazwisko, ale kiedy otworzyłem drzwi, stał za nimi mój muzyczny policjant, ten, który w moim dawnym życiu pożyczył mi rower.

– Mogę wejść? *Jepensais vous rendre une visite de courtoisie.*

– Jak najbardziej – odrzekłem, dodając raczej dowcipnie: – *Voila qui est bien courtois,*

pour un policier.

Uprzątnąłem mu fotel i zaproponowałem, że zadzwonię po herbatę, lecz mój gość podziękował. Z trudem ukrywał zdziwienie nieładem. Wyjaśniłem, jak to opłacam pokojówki, żeby nie zaglądały do mojego pokoju. Nie znoszę, jak kto dotyka mi nut. M. Verplancke kiwnął głową ze zrozumieniem, a potem wyraził zaniepokojenie, dlaczego to dzentelmen zatrzymuje się w hotelu pod pseudonimem? Dziwactwo odziedziczone po ojcu, powiedziałem, znanej postaci życia publicznego, która woli zachować swoją prywatność tylko dla siebie. Ja też trzymam swój zawód w tajemnicy, żebym nie musiał na fajfach brzdąkać w klawisze. Jak odmawiam, zwykle się obrażają. V. wydawał się zadowolony z takiej odpowiedzi.

– Le Royal, wystawny drugi dom, gdy własny daleko. – Rozejrzał się po moim salonie. – Nie wiedziałem, że sekretarzom tak dobrze się płaci.

Przyznałem to, co pełen taktu jegomość już bez wątpienia wiedział: drogi moje i Ayrsa się rozeszły i dodałem, że mam swój własny, niezależny dochód, co zaledwie dwanaście miesięcy temu byłoby szczerą prawdą.

– Milioner na rowerze? – Uśmiechnął się. Uparty facet, przyznasz.

Nie całkiem milioner, również obdarzyłem go uśmiechem, ale dzięki opatrności wystarcza mi środków, by móc pozwolić sobie na Le Royal.

W końcu przeszedł do sedna sprawy.

– Narobił pan sobie, M. Frobisher, wpływowych wrogów w czasie pańskiego krótkiego pobytu w naszym mieście. Pewien producent, chyba obydwaj wiemy kto, złożył do mojego przełożonego skargę, opisując incydent, jaki miał miejsce wieczorem kilka dni temu. Jego sekretarka – doskonała klawesynistka, gra w naszym ansambli – rozpoznała pańskie nazwisko i skierowała skargę na moje biurko. I stąd tu jestem.

Robiłem, co mogłem, żeby go zapewnić, że to wszystko absurdalne nieporozumienie, spowodowane staraniami o uczucia pewnej młodej damy. Uroczy gość kiwnął głową.

– Wiem, wiem. *Cherchez la femme*. W młodości serce gra nam *piu fortissimo*, niż głowa. Trudność polega jednak na tym, że ojciec owego młodzieńca jest bankierem kilku z naszych miejskich szacownych osobistości i nieprzyjemnie zarzeka się, że oskarży pana o napad z pobiciem.

Podziękowałem M. Verplancke za ostrzeżenie i takt, i obiecałem, że odtąd nie będę w mieście zwracał na siebie uwagi. Ale nie było to takie proste.

– Monsieur Frobisher, nie uważa pan, że w naszym mieście jest w zimie niebywale mroźno? Nie sądzi pan, że klimat śródziemnomorski może byłby dla pana Muzy lepszą inspiracją?

Zapytałem, czy gniew bankiera można uspokoić, jeżeli dałbym słowo, że wyjadę z Bruges

w ciągu tygodnia, po ostatecznych poprawkach w sekstecie. V. myślał, że owszem, taki układ rozładowałby sytuację. Dałem zatem moje słowo dżentelmena, że poczynię przygotowania do wyjazdu.

Gdy V. załatwił już sprawy służbowe, zapytał, czy mógłby zobaczyć zapis nutowy mojego sekstetu. Pokazałem mu kadencję na klarnet. Początkowo był zakłopotany jego widmowością i niecodzienną strukturą, ale przez następną godzinę zadawał wnikliwe pytania o mój na wpół wymyślony zapis nutowy i osobliwą harmonię utworu. Gdy uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie, dał mi wizytówkę, usilnie prosił mnie, bym przesłał mu wydany egzemplarz partytury dla jego ansamblu, i wyraził ubolewanie, że jego publiczna persona musiała tu rzutować na prywatną. Przykro mi było, że już wychodził. Pisanie to straszliwie samotna przypadłość.

Widzisz więc, muszę zrobić coś dobrego w moje ostatnie dni. Nie obawiaj się o mnie, Sixsmith, mam się całkiem dobrze i jestem na pewno zbyt zajęty, żeby poddawać się melancholii! Przy końcu ulicy jest tawerna dla marynarzy, gdzie mógłbym znaleźć towarzystwo, gdybym miał taki kaprys (marynarzyki wchodzą tam i wychodzą dniem i nocą), ale teraz znaczenie ma dla mnie tylko muzyka. Muzyka grzechocze, muzyka wzbiera, muzyka się przewala.

Twój,

R.F.



Hôtel Memling, Bruges

kwadrans po czwartej rano,

12 – xii – 1931

Sixsmith,

o piątą dziś rano strzeliłem sobie w łeb przez usta z lugera V.A. Ale widziałem ciebie, mój kochany, najkochańszy druhu! Jakże jestem wzruszony, że tak bardzo się o mnie troszczysz! Na tarasie dzwonnicy, wczoraj, o zachodzie słońca. Czysty fart, że nie dostrzegłeś mnie pierwszy. Dotarłem już do ostatniego piętra schodów, kiedy zobaczyłem z profilu jakiegoś mężczyznę, patrzącego z balkonu w stronę morza – poznałem twój wytworny gabardynowy płaszcz, twój jedyny filcowy kapelusz. Jeszcze jeden stopień, a ujrzałbyś mnie przyczajonego w cieniu. Przeszedłeś wolno na stronę północną – jeden zwrot w moim kierunku, a byś mnie dostrzegł. Przyglądałem ci się, dopóki miałem śmiałość – minutę? – zanim się wycofałem i biegiem puściłem w dół, na ziemię. Nie gniewaj się. Dziękuję ci, nawet nie wiesz jak, za to, że próbowałeś mnie odnaleźć. Przypląnąłeś „Królową Kentu”?

Pytania chyba w tej chwili nie bardzo mają sens, prawda?

To nie był czysty fart, że ja pierwszy cię zobaczyłem, nie całkiem. Świat to teatr cieni, opera, a takie rzeczy w jego libretcie są oczywiste. Nie złość się na moją rolę. Nie zrozumiałbyś, choćbym nie wiem jak długo ci tłumaczył. Jesteś genialnym fizykiem, twój kompan Rutherford *et al.* są zgodni, że masz przed sobą wspaniałą przyszłość, jestem pewny, że mają rację. Ale w niektórych podstawowych sprawach osioł z ciebie. Zdrowi nie potrafią zrozumieć pustych w środku, złamanych. Próbowałbyś wymienić wszystkie powody, dla których warto żyć, ale ja zostawiłem je za sobą na Victoria Station w początkach lata. Powód, dla którego chyłkiem schodziłem z tarasu, był taki, że nie mogłem dopuścić, byś oskarżał się o to, że nie udało ci się mnie odwieść od moich zamiarów. I tak pewnie możesz się za to winić, ale nie rób tego, Sixsmith, nie bądź takim bałwanem.

Mam też podobnie nadzieję, że nie byłeś zbyt rozczarowany, kiedy odkryłeś, że się wyniosłem z Le Royal. Kierownik zwiedził się o wizycie M. Verplancke. Jak mówił, czuje się w obowiązku poprosić mnie, bym opuścił hotel, z powodu wielu rezerwacji. Bzdury, ale przyjąłem je jako dobry pretekst. Frobisher Parszywiec chciał urządzić burdę, ale Frobisher Kompozytor pragnął spokoju, żeby dokończyć sekstet. Zapłaciłem cały rachunek – *pach*, poszły ostatnie pieniądze Janscha – i spakowałem walizę. Błąkałem się krętymi alejkami i przechodziłem na drugi brzeg skutych lodem kanałów, nim natknąłem się na ten karawanseraj, wyglądający na opuszczony. Recepcja – słabo obsadzona personelem dziupla pod schodami. Jedyna ozdoba w moim pokoju – olbrzymi „Śmiejący się Kawaler”, zbyt paskudny, żeby go ukraść i sprzedać. Z mojego brudnego okna widać ten sam wałący się, stary wiatrak, na którego schodach uciałem drzemkę pierwszego poranka w Bruges. Ten sam. Zabawne. Krążymy w koło.

Wiedziałem, że nie doczekam 25. urodzin. Chociaż raz przybyłem gdzieś za wcześnie. Zawiedzeni w miłości, wołający o pomoc, cikliwi tragicy, którzy przynoszą samobójstwu złą sławę, to idioci, co śpieszą się z nim, jak dyrygenci-amatorzy. Prawdziwe samobójstwo jest rozplanowaną w czasie, uporządkowaną wewnętrzną pewnością. Ludzie nieznoszącym sprzeciwu tonem orzekają „Samobójstwo to Egoizm”. Zawodowi duchowni, jak Ojczulek, posuwają się krok dalej i nazywają je tchórzliwym zamachem na życie. Niedolegi trzymają się tego zdradliwego rozumowania z różnych powodów: aby uciec przed palcami wskazującymi winnego; aby na słuchaczach zrobić wrażenie mocnym charakterem; aby znaleźć ujście dla gniewu; albo po prostu, bo nie mają w sobie dostatecznie dużo cierpienia, by odczuwać współczucie. Tchórzostwo nie ma z tym nic wspólnego – do samobójstwa trzeba nie lada odwagi. Japończycy mają o tym właściwe wyobrażenie. Nie, egoizm to żądać od drugiego człowieka, by znosił nieznośny byt tylko po to, żeby oszczędzić rodzinie, przyjaciółom, wrogom trochę zagłębiania się w duszę. Jedyne egoizm polega na marnowaniu dnia obcym osobom, zmuszając je do bycia świadkami groteski. Więc ja zawiążę gruby turban z kilku ręczników, żeby stłumił strzał i wchłonął krew, i zrobię to w wannie, żeby nie plamić żadnych dywanów. Wczoraj wieczorem zostawiłem list pod drzwiami dziennego biura kierownika – znajdzie go jutro o ósmej rano – informujący go o zmianie mojego statusu egzystencji, więc przy odrobinie szczęścia jakiejś niewinnej pokojówce oszczędzi się nieprzyjemnej niespodzianki. Widzisz, myślę o maluczkich.

Nie pozwól im mówić, że zabiłem się z miłości, Sixsmith, to byłoby zbyt żałosne. Byłem zadurzony w Evie Crommelynck przez mgnienie oka, ale obydwaj wiemy w głębi duszy, kto jest

prawdziwą miłością mojego życia.

Załatwiłem tak, aby razem z tym listem i resztą książki Ewinga w Le Royal czekała na ciebie teczka zawierająca mój dokończony rękopis. Koszty wydania pokryj z pieniędzy Janscha, wyślij egzemplarz każdemu z załączonej listy. Cokolwiek zrobisz, nie pozwól, żeby którykolwiek z oryginałów dostał się w ręce mojej rodziny. Ojczulek westchnie: „*Eroica* to to nie jest” – i wsadzi nuty do szuflady; ale to niezrównane dzieło. Pobrzmiewa w nim *Biała Msza* Skriabina, zagubione odciski stóp Strawińskiego, chromatyka z bardziej księżycowego Debussy’ego, lecz prawda jest taka, że nie wiem, skąd to wszystko pochodzi. Sen na jawie. Nigdy nie napiszę niczego choćby w jednej setnej tak dobrego. Chciałbym teraz mówić nieskromnie, ale nie mówię. W *Atlasie Chmur na sekstet* jest całe moje życie, on *jest* moim życiem, jestem teraz jak wypalony fajerwerk, ale przynajmniej byłem fajerwerkiem.

Ludzie to zbiór obrzydlistwa. Wolałbym raczej być muzyką niż masą rurek wokół ciała półstałego, oplatającą je przez kilka dekad, zanim stanie się tak cieknąca, że przestanie funkcjonować.

Luger tu leży. Jeszcze trzynaście minut. Czuję przestkach, naturalnie, ale moje umiłowanie dla takiej kody jest silniejsze. Elektryzujący dreszcz, kiedy, jak Adrian, wiem, że mam umrzeć. Czuję dumę, że zrobię to do końca. Istnieją sprawy pewne. Zedrzyj przesady wpojone przez guwernantki, szkoły i państwa, a w samym sercu każdego człowieka znajdziesz nieusuwalne prawdy. Rzym znowu przeżyje zmierzch i upadek, Cortes znowu pożegluje w morze, a później także i Ewing, Adriana znowu rozerwą na kawałki, ty i ja będziemy znów spać pod gwiazdami Korsyki, znowu przyjadę do Bruges, znowu zakocham się i odkocham w Evie, ty znów przeczytasz ten list, Słońce znowu wystygnie. Gramofonowa płyta Nietzchego. Kiedy się kończy, Stary puszcza ją od początku, przez wieki wieków.

Czas nie może wniknąć w tę przerwę od życia. Nie zostajemy martwi na długo. Kiedy luger pozwoli mi odejść, moje narodziny, kolejne, spłyną na mnie w jednym uderzeniu serca. Za trzynaście lat od tej chwili spotkamy się znowu w Gresham, dziesięć lat później będę z powrotem w tym samym pokoju, trzymając ten sam pistolet, układając ten sam list, a moje postanowienia będą tak doskonałe, jak mój wielogłowy sekstet. W takich oto przejrzyście pewnych sprawach znajduję pocieszenie.

Sunt lacrima rerum.

R.F

Adama Ewinga Dziennik Pacyficzny

kiedyśmy pospołu *mal de mer* na Morzu Tasmańskim cierpieli i wydziwić się na to nie mogę, jak owo chłopię, co jak chochlik pełne było życia, zapalone wielce do swej podróży dziewiczej, i któremu tak pilno było wszystkim dogodzić, w sześć zaledwie tygodni tym posępnym młodzianem się stało. Jego piękno świetliste uleciało z niego, marynarza ukazując kłocowatego, w jakiego dnia pewnego się zmieni. Już teraz predylekcję do grogu wykazuje. Podług Henry’ego, owo „zrzucanie kokona” jest nieuniknione, *bon gre mal gre*, i zda się,

że racja. Tyle kształcenia i rozumu, co Rafael liznął od opiekunki swej, pani Fry z Brisbane, źle chłopcu okrętowemu pośród świszczypałów w kubryku służy. Jakże chciałbym mu dopomóc! Gdyby nie państwa Channingsów interwencja, mój własny los pięknie mógłby teraz losowi Rafaela odpowiadać. Finbara zapytałem, czy myśli, że chłopak „przystaje” do reszty. Od delfickiej odpowiedzi Finbara: „Przystaje jak często, panie Ewing?” cały kambuz rechotem się zaniósł, a ja w ciemnościach tkwiłem nadal.

Sobota, 7 grudnia ~

Petrole w górze się unoszą, rybitwy na wodzie, a albatrosy na linach siadają, jak na grzędach. Ryby podobne borettom gonią za rybkami podobnymi szprotkom. Gdyśmy z Henrym wieczereć jedli, zdało się, że nawałnica fiołkowych ciem ze szpar w księżycu wychynęła, latarnie zduszając, zakrywając twarze, jedzenie i powierzchnię każdą rozedrganą skrzydełek płachtą. Dla potwierdzenia owej zapowiedzi bliskości lądu, człowiek przy sondzie głębokość ledwie ośmnastu sążni okrzyknął. Pan Boerhaave nakazał kotwicę rzucić, inaczej dryf zepchnąłby nas nocą na jaką rafę.

Białka moich oczu cytrynowożółty wygląd mają, a brzegi powiek poczerwieniałe są i wrażliwe. Henry zapewnia, że symptom ten jest pożądanym, jednakże usłuchał prośby mej o zwiększoną dawkę remedium na Robaka.

Niedziela, 8 grudnia ~

Dnia Pańskiego na „Wieszczce” nie przestrzegają, zatem dziś rano z Henrym postanowiliśmy krótkie czytanie Biblii w jego kabinie poprowadzić, w stylu Kościoła Niskiego, wzorem kongregacji z Ocean Bay, w czasie jakby „okrakiem” na przedpołudniowych i porannych wachtach, dla dania wachtom sterburty i bakburty możliwości do nas dołączenia. Pisać przykro, wszelako ani jeden człowiek z wachty żadnej nie odważył się przyjściem swoim niezadowolenia pierwszego oficera ściągnąć, będziem jednak niezrażeni trwać w naszym postanowieniu i wysiłkach. Rafael był na topie masztu i modlitwy nam przerwał, po trzykroć wołając: „Ziemia! a-hoooooj!”.

Zakończyliśmy praktyki religijne wcześniej i czoła stawiliśmy morskim bryzgom, by patrzeć, jak znad horyzontu rozkołysanego ląd się wyłania.

– Raiatea – rzekł nam pan Roderick – z Wysp Towarzystwa.

(Kolejną razą „Wieszczka” kilwater krzyżuje z „Endeavourem”. Sam kapitan Cook nadał temu archipelagowi imię).

Zapytałem, czyli będziemy do brzegu dobijać. Pan Roderick potwierdził:

– Kapitan życzy sobie wizytę złożyć w jednej z Misji.

Wyspy Towarzystwa coraz bardziej się wylaniały, a po trzech tygodniach oceanicznych szarości i błękitów wzrok rażących, oczy nasze radowały się na widok górskich zboczy mchami upstrzonych, roziskrzonych kataraktami, rozmazanych dżunglą z jej kakofonią dźwięków wszelakich. „Wieszczka” przeszła już piętnastu sążni głębokość, lecz woda tak czystą była, że przezierały mieniące się barwami korale. Spekulowaliśmy z Henrym, jakim sposobem moglibyśmy kpt. Molyneux perswazją nakłonić do dania nam pozwolenia zejścia na ląd, gdy oto tenże sam od strony rufy się pojawił. Brodę miał przystrzyżoną, a lok nad czołem pomadą pociągnięty. Bynajmniej nas nie ignorując, jak to miał w zwyczaju, z uśmiechem do nas podszedł, przyjaznym jak u przechery.

– Panie Ewing, doktorze Goose, zechcieliby panowie kompanią dla mnie i pierwszego oficera być w wyprawie na ląd? Jeszcze tego ranka schodzimy na tę oto wyspę. W zatoczce na północy wybrzeża osada leży Metodystów, „Nazaret” ją nazwali. Dżentelmeni o dociekliwych umysłach mogą ją znaleźć interesującą.

Henry propozycję przyjął z entuzjazmem, a i ja nie wzdragałem się na nią przystać, lubo nie ufałem pobudkom, jakie starym szopem kierowały.

– Zgoda więc – oznajmił kapitan.

Godzinę później „Wieszczka” kotwicę rzuciła w Zatoce Betlejmskiej, łuczku małym wybrzeża z czarnego piasku, osłanianym przed pasatami zębem Nazaretańskiego Przylądka. Wzdłuż brzegu biegło *stratum* prymitywniejszych, strzechą krytych chat, na „szczudłach” wzniesionych opodal linii wody, zamieszkiwanych (jak słusznie przypuszczałem) przez ochrzczonych Indian. Powyżej chat owych stał tuzin budowli z drewna, zręczne dzieło rąk cywilizowanych, a wyżej jeszcze, pod samym szczytem wzgórza, dumny kościół się wznosił, oznaczony białym kształtem krzyża. Opuszczono dla nas większe z czółen. Za czterema wiosłami siedli Guernsey, Złamas i para plebejskich gadów. Pan Boerhaave kapelusz przywdział i kamizelkę odpowiedniejszą na salony Manhattanu niżli na wiosłowanie przybojem. Do plaży dobiliśmy bez przypadków gorszych niż porządne zmoczenie, wszelako jedynym kolonistów emisariuszem był polinezyjski pies kuri dyszący pod złotawym jaśminem i drzewem o kwiatach cynobrowych w kształcie trąbek. Chaty przy wodzie i „Ulica Główna”, co biegła kręto w górę aż do kościoła, puste były i bez śladu życia ludzkiego.

– Dwudziestu ludzi, dwadzieścia strzelb – skomentował pan Boerhaave – i miejsce całe nasze byłoby przed kolacją. Aż się człek zastanawia, co, sir?

Kpt. Molyneux wydał wiosłującym polecenie czekania w cieniu, a my tymczasem „złożymy wizytę Królowi w jego Kancelarii”. Podejrzenia moje, że niecodzienna uprzejmość kapitana powierzchowną ledwie była, potwierdziły się, gdyżśmy znaleźli zabity deskami sklep, a on wyrzucił z siebie przekleństwo sążniste.

– Może to być – spekulował Holender – że czarnuchy nawrócone odwróciły się od religii na powrót i pastorów na leguminę zjadły?

Głos dzwonu z wieży kościelnej się rozległ i kapitan klepnął się w czoło.

– A niech mnie, gdzie ja łeb mam? To dzień święty dzisiaj, na B–a i świątobliwe s–y w swoim mizernym kościółku pomekują!

Wspięliśmy się żółwim krokiem na strome wzgórze, tempo naszej grupy rumatyzm kpt. Molyneux zwalniał. (Mulisty bezdech czuję, gdy się natężam. Gdy pomnę mój wigor z Chathamów, bojaźń mię bierze, jak poważnie parazyt nadwreżęa mój stan fizyczny). Do przybytku czci Pańskiej w Nazarecie dotarliśmy akurat, gdy kongregacja się z niego wyłaniała.

Kapitan kapelusz zdjął, ryknął gromko:

– Uszanowanie! Jonathon Molyneux, kapitan „Wieszczki”.

Zataczając ruch ręką, na nasz statek wskazał w zatoce. Nazarejczycy mniej byli wylewni – mężczyźni obdarzyli nas ostrożnymi głów skinieniami, a ich żony i córki za wachlarzami się skryły. Wołania „Sprowadźcie pastora Horroksa!” odbiły się echem w kościelnych zakątkach, gdy przebywający w nim tubylczy mieszkańcy wylali się teraz dla przypatrzenia się przybyszom. Więcej sześćdziesięciu dorosłych mężów i kobiet naliczyłem, z których część trzecią stanowili Biali, przyodziani w niedzielne „najlepsze” ubrania (jakie tylko można było sprokurować podróżą dwutygodniową do najbliższego składu z odzieżą). Czarni patrzyli na nas z ciekawością nieskrywaną. Kobiety tubylców odziane były przyzwoicie, jednakże więcej jak kilka oszpeconych było szyjnym wolem. Chłopcy, osłaniający przed słońcem swe jasnoskóre panie parasolkami z liści palmowych, uśmiechali się lekko. Uprzywilejowana grupa Polinezyjczyków wytworną szarfę nosiła przez ramię, wyszywaną w białe krucyfiksy, jakby pewnego rodzaju uniform.

Teraz wyleciał ku nam człowiek jak kula armatnia, którego duchowna szata jego powołanie zdradzała.

– Giles Horrox jestem – oznajmił patriarcha – kaznodzieja z Betlejemskiej Zatoki i przedstawiciel Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego na Raiatea. Cóż to za sprawa was tu sprowadza, panowie? Proszę mówić szybko.

Kpt. Molyneux wystąpił teraz z introdukcją, która pana Boerhaavego „z Holenderskiego Kościoła Reformowanego” prezentowała, dr. Henry’ego Goose’a, „medyka szlachty londyńskiej, uprzednio w Misji na Fiji” oraz pana Adama Ewinga, „amerykańskiego notariusza, literze prawa wiernego”. (*Teraz oczy mi się na grę łajdaka otwały!*).

– Nazwisko kaznodziei Horroksa i nazwę Zatoki Betlejemskiej my, pobożni pielgrzymi Południowego Pacyfiku, z atencją wymawiamy. Nadzieję mieliśmy świętować Dzień Pański przed pastora ołtarzem – kapitan spojrzał wzrokiem smętnym na kościółek – lubo, niestety, przeciwne wiatry opóźniły nasze przybycie. Jednakże przynajmniej zapytam, czyli wasza taca kościelna jeszcze nie schowana?

Pastor Horrox kapitana wzrokiem zmierzył.

– Dowodzisz pan statkiem pobożnym, sir?

Kpt. Molyneux wzrok opuścił, pokorność udając.

– W żadnej mierze nie tak pobożnym ani niezatapialnym, jak Kościół pastora, wszelako owszem, pan Boerhaave i moja skromna osoba robim, co w naszej mocy, dla dopomożenia duszom naszej pieczy powierzonym. Zmagania to bez końca, przykro rzecz. Marynarze ku rozpuszcie wracają, jak tylko się do nich tyłem odwrócim.

– Och, kapitanie – rzekła dama w koronkowym kołnierzu – my także recydywistów mamy w Nazarecie! Darować proszę mężowi memu ostrożność. Doświadczenie nas uczy, że większość statków pod tak zwaną chrześcijańską banderą jedynie choroby nam przynosi i pijaków. Przymuszeni jesteśmy winę domniemywać, póki nie dowiedzie się niewinności.

Kapitan ponownie w ukłonie się zgiął.

– Pani, nie mogę wybaczać, gdzie despektu żadnego nie było.

– Upředzenia pani przeciw owym „Wizygotom Morskim” w pełni są usprawiedliwione, pani Horrox – pan Boerhaave przyłączył się do dyskusji – ale nie będę tolerował ani kropli grogu na pokładzie „Wieszczki”, choćby nie wiem jak krzyczeli! I wrzask podnoszą, a jakże, ale ja w odpowiedzi im krzyczę: „Jedyny spirytus, jakiego wam trzeba, to Spiritus Sanctus!”, i wrzeszczę im to coraz głośniejsz i głośniejsz!

Gierka ta słowna wywarła zamyślony skutek. Pastor Horrox przedstawił swe córki dwie i trzech synów, z których wszyscy urodzeni byli w Nazarecie. Dziewczęta mogły ze Szkoły Dam pochodzić, lecz chłopcy pod wykrochmalonymi kołnierzami spaleni słońcem byli jak kanakowie. Lubo niechęcią targany na takie wciąganie mię lassem w kapitana maskaradę, to jednak ciekaw byłem dowiedzieć się więcej o teokracji tej wyspy i dozwoliłem nurtowi wydarzeń dalej mię nieść. Wkrótce grupa nasza na plebanię Horroksów przeszła, której to siedziby żaden małostkowy konsul południowej półkuli by się nie powstydział. Składał się na nią salon duży ze szklanymi oknami i meblami palisandrowymi, toaleta, dwie służbówki i jadalnia, w której teraz świeże warzywa nam podano i kruchą wieprzowinę. Stół stał z każdą z nóg w naczyniu z wodą zanurzoną. Pani Horrox objaśniła:

– Mrówki, zmore Betlejem. Ich potopione korpusy okresowo trzeba z wodą wylewać, boby dla innych były niczym grobla wprost na stół.

Skomplimentowałem ich domostwo.

– Pastor Horrox – rzekła nam z dumą pani domu – ciesielstwa był uczony w hrabstwie Gloucester. Większość Nazaretu własnymi rękoma zbudował. Widzi pan, na poganina umyśle materialny pokaz wywiera wrażenie. Myśli: „Jakież u tych chrześcijan domy czyściuteńkie i odszykowane! A nasze kurniki jakie brudne! Jakież hojny Bóg Białych jest! A nasz jak nam skąpi!”. Tym właśnie sposobem kolejny nawrócony ku Panu się zwraca.

– Gdybym tylko mógł od nowa życie swoje przeżyć – opinię wyraził pan Boerhaave bez

bodaj śladu rumieńca – wybrałbym misjonarza bezinteresowną ścieżkę. Pastorze, znajdujemy tu misję rozwiniętą, co głęboko już korzenie zapuściła, ale jak zacząć dzieło nawracania na pogrążonym w barbarzyństwa mrokach nadmorskim piasku, gdzie nigdy stopa chrześcijanina nie stanęła?

Pastor Horrox ponad rozmówcą spojrział w stronę przyszej sali zgromadzeń.

– Wytrwałość, sir, współczucie i prawo. Lat piętnaście temu nie przyjęli nas w tej zatoce tak kordialnie, jak was, sir. A ta wyspa w kształcie kowadła, co ją na zachód od nas widać? Czarni ją Borabora zwa, lecz „Sparta” wydaje się lepszą nazwą, tak wojowniczy lud to był! Na plaży w Zatoce Betlejemskiej walczyliśmy i niektórzy z nas padli. Gdyby pistolety nasze w pierwszym tygodniu bitew nie wygrały, cóż, Misja na Raiatea byłaby nadal jeno marzeniem. Wszelako wolą Pańską było, abyśmy zapalili tu latarnię naszą i płomień podtrzymywali. Po pół roku możliwość jużesmy mieli sprowadzić tu z Tahiti nasze kobiety. Żałuję tubylców śmierci, ale gdy Indianie zobaczyli, jak Pan trzody swej broni, cóż, nawet Spartanie błagali nas, by i do nich kaznodziejów wysłać.

Pani Horrox podjęła opowieść.

– Kiedy ospa zbierać zaczęła tu śmiertelne żniwo, Polinezyjczykom wsparcia było trzeba, tak duchowego, jak i materialnego. To współczucie nasze barbarię przywiodło wonczas do chrzcielnicy. Teraz kolej na to, aby Boże Prawo trzymało trzodę naszą od Pokusy z dala – i od grasujących marynarzy. Wielorybnicy zwłaszcza mają nas w pogardzie za nauczanie kobiet cnoty i skromności. Nasi mężczyźni przymuszeni są strzelby mieć zawsze dobrze opatrzone.

– Jednakże jeśli statek ich się rozbije – zauważył kapitan – gwarantuję, że te same chamy los będą błagać o wyrzucenie ich na brzegi, na które ci sami „przekłęci misjonarze” Ewangelię przynieśli, czyż nie?

Wszyscy żywo się zgodzili.

Pani Horrox odpowiedziała na me pytanie o to, jak się prawo i porządek wprowadza na tych samotnych przyczółkach Postępu.

– Nasza Rada Kościelna – mąż i trzech mężczyzn ze starszyny – prawa takie ustanawiają, jakie zdadzą się koniecznymi, w czym modlitwa nas prowadzi. Straż Chrystusowa nasza, zaufani tubylcy, co dowiedli, że wiernymi są sługami Kościoła, prawa te egzekwują w zamian za kredyt w sklepie mego męża. Czujność jest niezbędną, przeciwnie za jaki tydzień...
– Panią Horrox dreszcz przeszył, jakby widma apostazji zatańczyły *hula* na jej mogile.

Po posiłku przeszliśmy do bawialni, gdzie chłopak tubylec schłodzoną herbatę nam podał w miłych oku filiżankach z tykwy. Kpt. Molyneaux zapytał:

– Sir, skąd fundusze się biorą na Misję tak pracowitą, jak pastora?

Pastor Horrox wyczuł zmianę wiatrów i kapitana wzrokiem zmierzył na nowo.

– Mączka z maranty i kokosowy olej pokrywają koszta, kapitanie. Czarni pracują na plantacji naszej dla opłacenia szkoły, studiów nad Biblią i kościoła. Za tydzień, jeśli Bóg pozwoli, będziemy mieć już obfite zbiory.

Zapytałem, czy Indianie z własnej, nieprzymuszonej woli pracowali.

– Jakże inaczej?! – zakrzyknęła pani Horrox. – Jeśli gnuśności ulegną, wiedzą, że Straż Chrystusowa ich za to ukarze.

Zapytać chciałem o owe karne zachęty, ale kpt. Molyneux szybko rozmowę przechwycił.

– Wasz statek Towarzystwa Misyjnego na pokład bierze te nietrwałe towary wszystkie w drodze powrotnej do Londynu naokoło Hornu?

– Słusznie pan domniemywa, kapitanie.

– Rozważał pan, pastorze, o ileż bezpieczniejszymi byłyby świeckie podstawy pańskiej Misji – a co za tym idzie także i *duchowe* – gdyby miał pan pewny rynek zbytu bliżej Wysp Towarzystwa?

Pastor służącemu nam chłopcu powiedział, żeby opuścił pokój.

– Rozważałem tę kwestię długo, ale gdzie? Rynki meksykańskie małe są i nietrudno tam o bandytów, Kapsztad to mariaż skorumpowanych oficjalistów akcyzy i pazernych Afrykanerów. Na Morzach Południowochińskich od bezlitosnych, bezczelnych piratów aż się roi. Holender z Batawii człowieka oskubie do czysta. Bez obrazy, panie Boerhaave.

Kapitan na moją osobę wskazał.

– Pan Ewing zamieszkuje... – przerwę zrobił dla wyjawienia swej propozycji – ...w San Francisco, w Kalifornii. Słyszał pan o wroście tego miasta z mizernej miejsciny na siedemset dusz do metropolii, w której zamieszkuje... ćwierć miliona? Żaden cenzus doliczyć się ich nie może! Chińczyk, Chilijczyk, Meksykanin, Europejczyk, cudzoziemiec wszelkiej barwy każdego dnia napływa. Takie jajko... Panie Ewing, czy mógłby nas pan uprzejmie poinformować, ile w tych dniach w San Francisco za jajko się płaci?

– Dolara, tak mi żona pisała.

– Jeden jankeski dolar za zwykłe jajko. – (Kpt. Molyneux uśmiech ma jak zmumifikowany krokodyl, jakiego widziałem niegdyś w składzie przemysłowym w Luizjanie). – To z pewnością człowiekowi z pańską orientacją musi dać do myślenia.

Pani Horrox twardo po ziemi stąpała.

– Całe to złoto szybko wykopią.

– Owszem, szanowna pani, lecz nienasycone, zgiełku pełne, coraz bogatsze miasto San

Francisco – tylko trzy tygodnie rejsu szkunerem przegłębnym, jak moja „Wieszczka” – pozostanie, a przeznaczenie jego kryształowo czyste. San Francisco Londynem się stanie, Rotterdamem, Nowym Jorkiem Pacyfiku.

Nasz *capitan de la casa* w zębach ością tuńczyka dłubał.

– Czy wierzysz pan, panie Ewing, że towary, co na naszych plantacjach rosną, osiągnąć mogą godziwą cenę w pańskim mieście? – (Jak dziwnie słyszeć, że zwa tak osadę naszą!). – Zarówno gdy gorączka złota trwa jeszcze, jak i kiedy się skończy?

Prawdomówność ma kartą była, jaką kpt. Molyneux zagrał ku swym nieszczerym korzyściom, ale nie kłamałbym mu na przekór, tak samo, jak nie kłamałbym ku pomocy.

– Wierzę.

Giles Horrox zdjął koloratkę.

– Zechciałby pan towarzyszyć mi do biura, Jonathonie? Jego konstrukcja napawa mię dumą. Jest mego własnego projektu, aby straszliwe *typhoo* wytrzymała.

– Doprawdy, Gilesie? – odrzekł kpt. Moleneux. – Prowadź pan.



Mimo że nazwisko dr. Goose'a nieznane było w Nazarecie aż do dziś ranka, wszak gdy żony betlejemskie zwiedziały się o przybiciu do ich brzegów angielskiego medyka, przypomniały sobie przypadłości wszelkie i tłum ich utworzył się na drodze do plebanii. (Dziwnie w towarzystwie być płci pięknej po tylu dniach w zamknięciu z płcią brzydszą!). Szczodrość mego przyjaciela nie dawała pozwolenia usługi odmówić bodaj jednemu pacjentowi, zarekwirowano więc salon pani Horrox na jego gabinet do konsultacji, i płachty płótna w nim rozwieszono dla zapewnienia odpowiednich przesłon. Pan Boerhaave na „Wieszczkę” wrócił dla nadzoru większej czynienia przestrzeni w ładowni.

Uprosiłem Horroksów o pozwolenie zwiedzenia Zatoki Betlejemskiej, wszelako plaża niemożebnie gorącą była, a moskity tak nękały, że skierowałem swe kroki na powrót na „Ulicę Główną”, ku kościołowi, skąd rozlegały się dźwięki psalmodii. Myślałem dołączyć do wieczornego nabożeństwa. Ani dusza jedna, ani pies, ani nawet tubylec spokoju Dnia Pańskiego nie zakłócał. Zajrzałem do kościoła mrocznego, a w środku dym był tak gęsty, że obawiać się zacząłem, mylnie, że budynek w ogniu stoi! Śpiewy już końca dobiegły, a w ich miejsce rozlegał się chór kaszlnięć. Pięćdziesiąt czarnych głów ku mnie się zwróciło i sprawę sobie zdałem, że w powietrzu gęsto było nie od dymu z ognia czy z kadzidła, ale z surowej machorki! Bo każdy fajkę pykał.

Na ambonie pękaty Biały stał i kazanie prawił ową hybrydową mową, „cockneyem antypodów”. Ów pokaz religijności nieoficjalnej wcale obrazy nie budził, aż zaczęła docierać do mnie treść „kazania”. Cytata: „I stało się, że św. Piotr, tak, ten, co to go Pan Jezus zwał »Słodkim Piotrem od Fajeczki«, przybył on z Rzymu i nauczał w Palestynie długonosych Żydów,

o co się z tym całym tytoniem rozchodzi, a teraz ja właśnie tego was nauczam”. Tu przerwał dla jednemu z nich nauk udzielenia. „Ej, czarnuchu, nie tak, wszystko nie tak robisz, tytoń od *grubego* końca się wkłada. Od tego, patrzaj, J – u Zakichany! Ile razy powtarzać ci mam, że *to jest cybuch*, a to jest, psiakrew, *główka!* Rób, jak Mudfish obok ciebie. Niecee, pokażę ci!”.

Przygarbiony Biały o cerze ziemistej opierał się o szafkę (zawierającą, jak później stwierdziłem, setki egzemplarzy Pisma Świętego, które wydrukowano w Polinezji – muszę o jeden taki uprosić jako suvenir przed naszym wyjazdem), dymnym rytuałem się przyglądając. Podałem mu swe nazwisko szeptem, by uwagi palaczy od kazania nie odwracać. Młody mężczyzna przedstawił się jako Wagstaff i objaśnił mnie, że ów, który ambonę zajmował, był „Pryncypałem Nazaretańskiej Szkoły Kurzenia”.

Wyznałem, że taka akademia nieznaną mi była.

– To zamysł Ojca Upwarda z Misji na Tahiti. Musi pan zrozumieć, sir, że Polinezyjczyk typowy gardzi przemysłem, nie ma bowiem pojęcia żadnego o wartości pieniądza. „Jak ja głodny” – powiada – „idę czegoś nazbieram albo nałowię. Jak mi zimno, rzeknę kobiecie »Tkaj!«”. Próźniacze ręce, panie Ewing, a obaj wiemy dobrze, jakie zatrudnienie Diabeł dla nich znajduje. Wszelako zaszczepiając próźniakom owym łaknienie delikatne tego nieszkodliwego liścia, daję im pobudkę do zarobku pieniędzy, aby machorkę mieli możliwość sobie kupić – nie trunki, racz pan zauważyć, lecz tytoń – ze składu handlowego Misji. Genialne, nieprawdaż?

Jakże się miałem nie zgodzić?

Światło z wolna odplywa. Słyszę głosy dziecięce, egzotyczne ptasie oktawy, przybój o brzeg zatoki uderzający. Henry coś przy zapinkach mankietów gdera. Pani Horrox, która nas z Henrym dzisiaj gości, służącą przysłała dla oznajmienia nam, że wieczerza podana.

Poniedziałek, 9 grudnia ~

Ciąg dalszy wczorajszej opowieści. Potem, jak szkoła kurzenia mogła już się rozejść (kilku uczniów chwiała się i mdłości miało, lecz ich bakałarz, komiwojażer, handlarz tytoniem, zapewnił nas: „Lada chwila złapią się na haczyk, jak rozdymka!”), siła upału już osłabła, choć Przylądek Nazaret nadal się w złocistym słońcu prażył. Pan Wagstaff zażył ze mną przechadzki wzdłuż zadrzewionej odnogi lądu, na północ się ciągnącej od Betlejemskiej Zatoki. Jako że najmłodszym był z synów wikarego z Gravesend, od wczesnego dzieciństwa powołanie do misjonarstwa czuł. Towarzystwo, w porozumieniu z pastorem Horroksem, wysłało go tu dla ożenienia z wdową z Nazaretu, Elizą, *de domo* Mapple, oraz aby ojcem był dla jej syna, Daniela. Przybył na te brzegi w maju przeszłego roku.

Cóż za szczęście, orzekłem, mieszkać w raj takim, ale uprzejmość ma wzbudziła gorzką wesołość młodzieńca.

– Też tak w początkowych dniach wierzyłem, sir, teraz jednak sam nie wiem właściwie. Bo wszak raj to miejsce doskonałe, a tutaj każde żywe stworzenie biega dziko, kąsa i drapie.

Poganin ku Bogu przywieziony to zbawiona dusza, wiem to, jednak słońce ani na chwilę nie przestaje tu palić, a fale i kamienie tak zawsze rozjarzone są, że oczy bolą mię aż do zmierzchu. Czasem myślę, że oddałbym wszystko za mgłę na Morzu Północnym. Prawda jest taka, że to miejsce *nasze* dusze nadweręza, panie Ewing. Żona żyje tu od małego dziewczątka, a wcale jej nie jest łatwiej. Pomyśleć można, że dzikusy wdzięczni będą, bo wszak kształcim ich, leczym, daję zatrudnienie i żywot wieczny przynosim! Och tak, mówią „Proszę, sir” i „Dziękuję, sir” wcale pięknie, ale tutaj – Wagstaff się w serce uderzył – tutaj człowiek nic nie czuje. Owszem, wygląda to niby raj, ale Raiatea to miejsce upadłe, tak samo jak wszędzie indziej. Niby węży tu nie ma, ale Diabeł dzieło swoje czyni tu, jak i na całym świecie. Mrówki! Mrówki wchodzą wszędzie. Do strawy, w odzienie, nawet człowiekowi do nosa. Póki tych mrówek przeklętych nie nawrócim, wyspy nigdy prawdziwie *nasze* nie będą.

Dotarliśmy do jego skromnego domostwa, przez pierwszego męża jego żony postawionego. Pan Wagstaff do środka mię nie zaprosił, sam tylko wszedł, by przynieść nam butelkę wody na spacer. Obszedłem dokoła skromny ogródek przed domem, który pielili właśnie czarny ogrodnik. Zapytałem go, co tam też hodował.

– David taki nierozgarnięty! – zawołała do mnie ode drzwi kobieta, w rozmemłany i złachany fartuch odziana. Obawiam się, że jej wygląd i sposób bycia opisać mogę jedynie jako niechlujny. – Pan jest tym angielskim doktorem, co się u Horroksów zatrzymał?

Objasniłem, że jestem notariusz z Ameryki, i zapytałem, czyli mam przyjemność z panią Wagstaff.

– Po ślubnych zapowiedziach i przysiędze małżeńskiej można tak wnosić.

Powiedziałem, że dr Goose w gabinecie *ad hoc* w domu Horroksów przyjmuje, jeśliby miała życzenie udać się do niego z wizytą. Zapewniłem ją, że Henry jest doskonałym medykiem.

– Doskonałym dość, by mię stąd przenieść, lata mi przywrócić, które tu zmarnowałam, i w Londynie mię urządzić z rentą trzystu funtów rocznie?

Taka prośba leżała poza mego druha możliwościami, przyznałem.

– Więc pański doskonały medyk nic dla mnie zrobić nie może, sir.

Od krzaków za moimi plecami dobiegły mię chichoty, odwróciłem się i ujrzałem zastęp Murzyniątek (z zaciekawieniem spostrzegam, jak wiele jasnoskórego potomstwa rodzi się ze związków ras mieszanych). Zignorowałem dziatwę, odwróciłem się ku gospodyni i zobaczyłem, jak basalyk Biały lat dwunastu czy trzynastu, równie jak jego matka brudny, przemyka się koło pani Wagstaff, która zatrzymać go nie próbuje. Jej syn bisurmanił także *deshabille*, jak jego tubylczy koledzy.

– Hola, kawalerze – zwróciłem mu uwagę – nie dostaniesz czasem udaru od słońca, latając tak odziany?

W niebieskich oczach chłopca dziki błysk się czaił, a to, co odrzekł w polinezyjskiej

mowie, zdumiało mię równie mocno, jak Murzyniátka rozbawiło, i rozpierzchły się, jak stadko szczygłów.

Pan Wagstaff rzucił się za chłopcem, wielce podniecony.

– Daniel! Wracaj! Daniel! Wiem, że mię słyszysz! Baty dostaniesz! Słyszysz? Smary! – Zwrócił się do żony: – Pani Wagstaff! Chcesz, żeby twój syn wyrósł na dzikusa? Każ mu przynajmniej odzienie nosić! Co też sobie pan Ewing pomyśli?

Jeśliby pogardę pani Wagstaff dla jej młodego męża we flaszcze jakiej zamknąć, można by ją przedawać jako trutkę na szczury.

– Pan Ewing pomyśli sobie, co pomyśli. Poczem jutro swym zgrabnym szkunerem stąd odpłynie i myślenie swe ze sobą zabierze. Przeciwnie do pana i mnie, panie Wagstaff, którzy tu pomrzemy. I modłę się, by rychło. – Zwróciła się do mnie: – Mój mąż możności nie miał kształcenia do końca odebrać, sir, więc na mnie spoczywa przykry obowiązek wyjaśniania mu spraw oczywistych dziesięć razy na dzień.

Niechętny oglądaniu upokorzenia pana Wagstaffa przez żonę, złożyłem niewiązący ukłon i za płót się wycofałem. Słyszałem męskie oburzenie niweczone przez kobiece wymówki i uwagę skupiłem na pobliskim ptaszku, którego refren w moich uszach brzmiał jak: *Tutli nic nie piska, nieeee... Tutli nic nie piska...*

Mój przewodnik dołączył do mnie, wyraźnie przygaszony.

– Proszę o wybaczenie, panie Ewing, nerwy pani Wagstaff ostatnio straszliwie są zszarpane. Nie sypia nazbyt wiele za przyczyną upału i moskitów.

Zapewniłem go, że „wieczne południe” Mórz Południowych na próbę wystawia najwytrzymalsze organizmy. Szliśmy pod oślizgłymi palmowymi liśćmi, wzdłuż zwięzającego się cypla, wzbierającego szkodliwą dla zdrowia płodnością, pełnego włochatych gąsienic, jak mój kciuk grubych, które spadały ze szponów przepięknej *heliconii*.

Młody człowiek opowiedział, jak to Misja zapewniała niegdyś rodzinę pani Wagstaff o nienagannym jej narzeczonego wychowaniu. Pastor Horrox ślub im dał w dzień po przybyciu Wagstaffa do Nazaretu, kiedy oczarowanie tropikami nadal zaślepiało mu oczy. (Czemu Eliza Mapple na tak skojarzone stadło przystała, pozostaje tajemnicą: Henry spekuluje, że szerokość geograficzna i klimat sprawiają, iż pleć słabsza „rozum traci” i staje się podatną na wpływy). „Ułomności” oraz prawdziwy wiek narzeczonej pana Wagstaffa, a nadto nieskory do uległości charakter Daniela dotarły do niego wkrótce potem, jak wyschły ich obojga podpisy na ślubnych dokumentach. Ojczym dawać baty nowemu podopiecznemu próbował, ale doprowadziło to tylko do takich „okropnych rekryminacji” także ze strony matki, jak i pasierba, że sam nie wiedział co począć. Pastor Horrox nie tylko panu Wagstaffowi nie dopomógł, ale wręcz ganił go jako słabeusza i prawda jest taka, że z dziewięciu dni na dziesięć nieszczęsnym jest jak Hiob. (Jakiekolwiek bądź nieszczęścia trapią pana Wagstaffa, czyli może się które z pasożytniczym Robakiem równać, wgryzającym się w me kanały mózgowe?).

Rachując, że zajmę uwagę ponuro zadumanego młodzieńca sprawami praktyczniejszej natury, zapytałem, czemu taka mnogość Pism Świętych leży w kościele nietknięta (i po prawdzie tylko przez mole czytana).

– Winien to podług zasad pastor Horrox objaśnić, ale, by rzec krótko, Misja w Matavia Bay jako pierwsza Słowo Pańskie na polinezyjski przetłumaczyła i tubylczy misjonarze, z Biblii tych korzystający, tak słuszną liczbę nawróceń osiągnęli, że Whitlock, członek starszyny – jeden z założycieli Nazaretu, nieżyjący już – Misję przekonał, by powtórzyć eksperyment i tutaj. Widzi pan, niegdyś czeladnikiem był u grawera z Highgate. Zatem wraz z bronią i narzędziami pierwsi misjonarze prasę drukarską przywieźli, kałamarze z atramentem, kaszty zecerskie i ryzy papieru. W ciągu dni dziesięciu od założenia Zatoki Betlejemskiej trzy tysiące elementarzy wydrukowano dla szkół misyjnych, nawet jeszcze nim zaczęto kopać ogrody. Ale przyszły nazaretańskie ewangelie i Słowo szerzyły od Wysp Towarzystwa, przez Wyspy Cooka, do Wysp Tonga. Wszelako teraz prasa pordzewiała, mamy tysiące Biblii, które o czytelnika błagają – a czemu?

Zgadnąć nie mogłem.

– Zbyt niewielu Indian. Statki kurz chorób tu przywożą. Murzyni go wdychają, puchną w chorobie i padają jak muchy. Tych, co przeżywają, o monogamii i małżeństwie nauczamy, ale ich związki nie są owocne.

Zauważyłem nagle, że zastanawiam się, ileż to miesięcy temu pan Wagstaff ostatnią razą się uśmiechnął.

– Zabić to, co można by miłować i uleczyć – osądził – wydaje się, że tak sprawy tego świata działają.

Ścieżka dobiegła końca u brzegu morza przy rozkruszałej „sztapie” z czarnego koralu, na dwadzieścia jardów długiej, a wysokiej na dwóch ludzi.

– Mówią na to *marae* – poinformował mnie pan Wagstaff. – Podobno zobaczyć je można na wszystkich Morzach Południowych.

Na górę się wdrapaliśmy, skąd piękny widok miałem na „Wieszczkę”, do której pływak sprawny łatwo by dopłynął. (Finbar węborek przez burtę opróżniał i czarną sylwetkę Autuy wyszpiegowałem na samym szczycie bezanu, jak zwijał topenanty topżagła).

Pytanie zadałem o pochodzenie i cel *marae* i pan Wagstaff ze zwięzłą odpowiedzią pośpieszył.

– Jedno pokolenie temu ledwie Indianie urządzali tu swoje wiece, krwi upuszczanie i ofiary dla ich bożków fałszywych, tu właśnie, na tych kamieniach, gdzie teraz stoim. – Myśli me ku Plaży Bankietowej na Chatham się zwróciły. – Straż Chrystusowa każdemu Murzynowi, co tu stopę postawi, grube baty teraz spuszcza. Czyli też raczej – spuszczałyby. Dzieci tubylców nawet imion dawnych bożków już nie znają. Wszystko to pobojowisko i ruina.

Otuliły mię płatki i zapach plumerii.



Za sąsiadkę przy kolacji panią Derbyshire miałem, wdowę, której siódmy krzyżyk mocno już szedł, całą gorzką i twardą jak zielone żołądziejce.

– Wyznam, że do Amerykanów nieprzychylnie żywię – rzekła mi. – Mego ukochanego wuja Samuela zabili, pułkownika w Artylerii Jego Królewskiej Mości, w wojnie tysiąc osiemset dwunastego roku.

Złożyłem (niechciane) kondolencje, dodałem wszelako, że lubo i mój ojciec zginął w tymże samym konflikcie z rąk Anglików, Brytyjczycy są w gronie mych przyjaciół najbliższych. Doktor nazbyt gromko się zaśmiał i ryknął:

– Brawo, Ewing!

Pani Horrox chwyciła ster rozmowy w swe ręce, nimeśmy się na rafy nadziali.

– Pracodawcy pańscy, panie Ewing, wielką wiarę muszą pokładać w pańskie talenta, skoro panu interesa powierzają wymagające tak długiej i żmudnej podróży.

Odrzekłem, że owszem, notariuszem jestem piastującym stanowisko na tyle wysokie, że mi obecne me zadanie powierzono, wszelako na tyle niskie, bym czuł się zobligowanym je przyjąć. Nagrodą dla mej pokory były pełne wyrozumienia cmokania.

Pastor Horrox modlitwę dziękczynną odmówił nad talerzami żółtawej zupy i prosił Pana o błogosławieństwo dla swego przedsięwzięcia z kpt. Molyneux, poczem kazanie nam zaczął prawić na swój wielce ulubiony temat, kiedyśmy już jedli.

– Zawsze niezachwianie wierzę, że w naszym Świecie Cywilizowanym Bóg nie przez Cuda Czasów Biblijnych się objawia, ale przez Postęp. To Postęp w górę Ludzkość wiedzie po drabinie ku Panu. Nie żadna to Drabina Jakubowa, lecz raczej „Drabina Cywilizacji”, jeśli rzecz tak można. Najwyżej na drabinie tej Anglosas stoi. Łacinnik – szczebel czy dwa poniżej. Niżej jeszcze są Azjaci – pracowita rasa, zaprzeczyć nie można, lecz aryjskiej odwagi jej brakuje. Sinologowie usilnie twierdzą, że niegdyś do potęgi aspirowali, gdzież jednak ów żółtoskóry Szekspir, co? Albo migdałowooki da Vinci? Argumenty nie do obalenia. Jeszcze niżej Negrów mamy. Tych potulnych przyuczyć można do pracy z zarobkiem, wszelako Negr hałaśliwy i kłótniwy jest diabłem wcielonym! Amerykański Indianin także jest zdatny do prac wykonywania na kalifornijskich *barrios*, czy nie tak, panie Ewing?

Odrzekłem, iż w rzeczy samej.

– Teraz zaś w materii Polinezyjczyków naszych. Przygodny przybysz na Tahiti, O-hawaii czy w Betlejem dla przykładu, zgodzi się, że Wyspiarz Pacyfiku potrafi z dokładnymi instrukcjami „A – B – C” piśmiennictwa, rachunków i pobożności przyswoić, sposobem takim wznosząc się ponad Negra, z Azjatać mogąc stawać w szranki na niwie pracowitości.

Henry przerwał, zauważając, że Maorys do „D – E – F” kupiectwa, dyplomacji i kolonializmu się wzniosł.

– To mą tezę potwierdza. Na samym końcu, najniżej stoją i najmniej znaczą owe „Rasy Bezpownotnie Stracone”, australijski Aborygen, Patagończyk, różne ludy afrykańskie, etc. Jeden ledwie szczebel nad wielkimi małpami stojąc, tak zatwardziało przeciw Postępowi się upierają, że, jak u mastodontów i mamutów, obawiam się, iż rychłe „strącenie z drabiny” – po kuzynach ich, Guanczach i Tasmańczykach – to najprawdopodobniejsza perspektywa.

– Masz pan na myśli – kpt. Molyneux zupeł dokończył – wymarcie?

– Owszem, kapitanie, tak właśnie. Prawa Natury i Postęp naprzód prą. Stulecie nasze świadkiem będzie, jak plemiona ludzkości wypełnią przepowiednie w cechach ich ras zapisane. Ludy wyższe na powrót wśród przeludnionych dzikusów właściwą im liczebność zaprowadzą. Dojść może do scen nieprzyjemnych, wszelako ludzie o intelektualnej odwadze nie mogą się przed tym wzdragać. Wtenczas pełen chwały porządek zapanuje, gdy wszystkie rasy znać będą i przyjmą swe miejsce na Bożej drabinie cywilizacji. W Zatoce Betlejemskiej ujrzyć już można, jak wstaje przyszłe zaranie.

– Amen, pastorze – odrzekł kpt. Molyneux.

A niejaki pan Gosling (najstarszej córki pastora Horroksa epuzer) uściśnął mu rękę w przesadnych gratulacjach.

– Jeśli wolno mi z tak wielką śmiałością rzec, sir, uderza mię, iż to niemal... tak, to niemal *strata dla ludzkości*, jeśli pańska teoria opublikowaną nie zostanie, sir. Dzięki „Drabinie Cywilizacji Horroksa” Towarzystwo Królewskie rozgorzałoby płomieniem!

Pastor Horrox odrzekł:

– Nie, panie Gosling, *tutaj* działalność prowadzę. Pacyfik musi należeć inszego Kartezjusza, inszego Cuviera.

– Mądrze z pańskiej strony, pastorze – Henry klasnął dłońmi, ubijając latającego owada, i badawczo się jego resztkom przyglądał – że trzymasz pan podobne myśli dla siebie.

Nasz gospodarz nie mógł ukryć irytacji.

– Jakże to?

– Cóż, po dokładnej analizie jasnym się staje, że „teoria” zbędną jest, gdy starcza proste prawo.

– A jakież to prawo, sir?

– Pierwsze z „Dwóch Praw Przetrwania podług Goose’a”. Brzmi ono „Słabi to jadło, silnym na sadło”.

– Wszelako pańskie „proste prawo” ślepe jest na fundamentalną tajemnicę, „Czemuż białe rasy mają świat w swym panowaniu?”.

Henry zachichotał i pantomimicznie załadował strzelbę, wziął cel wzdłuż lufy, oko zmrużył, poczem całe towarzystwo przestraszył głośnym:

– Bum, bum, bum! No proszę, dostał, nim we mnie z dmuchawki strzelił!

Z ust pani Derbyshire wyrwało się skonfundowane:

– Och!

Henry ramionami wzruszył.

– A gdzież owa tajemnica fundamentalna?

Pastor Horrox stracił dobry humor.

– Implikacją wywodów pańskich jest, że biała rasa światem nie z bożej łaski rządzi, lecz dzięki strzelbie? Ależ twierdzenie takie jest nieledwie tęż samą tajemnicą w pożyczone szatki przebraną! Jakim to sposobem strzelbę w ręce swe dostał Biały człowiek, a nie, dajmy na to, Eskimo czy Pigmej, jeśli nie przez majestat woli Wszechmogącego?

Henry nie zgodził się.

– Broń, jaką posiadamy, nie została nam którego ranka wprost na kolana rzucona. To nie *manna* z niebiosów nad Synajem. Od Agincourt Biały człowiek nauki o prochu doskonali i rozwija, aż dzisiaj nowoczesne armie możliwość mają na pole bitwy rzucić strzelby w dziesiątkach tysięcy! „Aha!”, zapytacie. „Jednako czemuż my, Arianie? Czemu nie Uriasze z Ur ani Mandragorowie z Mauritiusa?”. Bo, pastarze, ze wszystkich ras świata, umiłowanie nasze – czy raczej zachłanność – dla skarbów, złota, przypraw i dominacji, o, przede wszystkim najmilszej sercu dominacji, jest najgorliwsza, najzachłanniej, najbardziej skrupułów pozbawiona! To zachłanność owa, tak właśnie, nasz Postęp napędza; czy koniec nam w piekle przyniesie, czyli w niebiosach, tego nie wiem. Ani pan to wiesz, sir. Ani też mię to zbytnio obchodzi. Wdzięczność czuję jedynie, że Stwórca po stronie zwycięzców mię umieścił.

Szczerłość Henry’ego wzięto błędnie za grubiańskość i pastor Horrox, Napoleon na swej równikowej Elbie, cały z oburzenia spąsował. Skomplementowałem zupełną naszą gospodyni (choć po prawdzie tak remedium na Robaka kolejnej dawki już pragnę, że trudność mi sprawia połykanie czegokolwiek bądź, prócz najprostszych dań) i zapytałem, czy żółwie złowiono na pobliskich plażach, czyli też z daleka je importowano.



Później, w łóżku leżąc w dusznych ciemnościach, podsłuchiwany przez gekony, Henry wyjawiał mi, że przyjęcia pacjentów w ciągu dnia istną były „paradą histerycznych,

opieczonych w słońcu bab, którym żadnego lekarstwa nie było trzeba, prócz pończoszarek, modystek, gorseciarek, perfumerii i oznak rozmaitych statusu, właściwych ich płci!”. Jego „konsultacje”, opowiadał dalej, w jednej części medycyny dotyczyły, a w dziewięciu polegały na czczych pogaduszkach.

– Zarzekają się, że ich mężowie kobiety tubylców trykają, a one w strachu śmiertelnym żyją, że „coś” złapią. Chusteczki do nosa jedna za drugą łzami nasiąkały.

Od jego wyznań poczułem się nieswojo i zauważyć się ośmieliłem, że Henry spróbować mógłby powściągliwości nieco większej, gdy się z gospodarzem nie zgadza.

– Adamie najdroższy, jam właśnie powściągliwości *próbował* i więcej, niżli nieco! Aż świerbiło mię, by staremu capowi wykrzyknąć: „Po cóż dłużyć przy prawdzie widomej, że śpieszno nam ciemniejsze rasy do grobu wpędzić dla zajęcia ich ziem i bogactw? Wilki w norach nie siedzą i wielce pokrętnych teorii o rasie nie knują dla usprawiedliwienia trzódki owiec pożarcia! »Intelektualna odwaga«? Prawdziwą »intelektualną odwagą« jest na bok listki figowe cisnąć i przyznać, że wszyscy ludzie to drapieżcy, lecz biali drapieżcy, z naszym śmiertcionośnym duo kurzu chorób i broni palnej, przykładem są drapieżności *par excellance*, no i cóż?”.

Niepokoi mię, że pełen oddania medyk i chrześcijanin prawy może takiemu cynizmowi ulec. Zapytałem, jak brzmieć może Drugie Prawo Przetrwania podług Goose’a. Henry uśmiechnął się w ciemnościach i odchrząknął.

– Podług Drugiego Prawa Przetrwania żadnego drugiego prawa nie ma. Jedz albo cię zjedzą. Tyle.

W niedługi czas potem chrapać zaczął, jednako Robak mój zasnąć mi nie dał, aż gwiazdy zaczęły blednąć. Gekony pożywiały się i dreptały delikatnie po mej pościeli.



Świt wstał kroplami potu zroszony i szkarłatny jak marakuja. Tubylcy, mężczyźni i kobiety zarówno, z mozołem szli, „Ulicą Główną” się wspinając na kościelne plantacje na szczycie wzgórza, gdzie pracowali, aż żar poobiedzia stawał się do zniesienia niepodobnym. Nim czólno przyplnęło dla zabrania mnie i Henry’ego na powrót na „Wieszczkę”, poszedłem przyjrzeć się, jak pracujący na plantacji chwasty wśród upraw wrywają. Przypadkiem, tego ranka na pana Wagstaffa padło być ich karbowym i kazał jednemu z tubylczych chłopców przynieść nam kokosowe mleko. Wstrzymałem się z zapytaniem o jego rodzinę, a on sam ich nie wspomniał. Bat nosi, „ale rzadko z niego użytek czynię, dla tego celu jest Straż Chrystusowa. Ja nadzorców tylko dozoruję”.

Trzech z tych dygnitarzy swym krajanom się przyglądało, hymn nucąc („szanty lądowe”), i reprimend udzielało tym, co się ociągali. Pan Wagstaff mniej był dziś do rozmowy skory niżli wczoraj, i dozwolił, by uprzejmości me przeszły w ciszę, jedynie odgłosami dżungli i robotników przerywaną.

– Myśli pan o tym, że wolnych ludzi w niewolników zmieniliśmy, prawda?

Odpowiedzi uniknąłem, mówiąc, że pan Horrox był już wyeksplikował, że praca ich opłacała dobrodziejstwa Postępu przez Misję przyniesione. Pan Wagstaff jakby mię nie słyszał.

– Istnieje pewne plemię mrówek „zbójnicami” zwane. Insekty te na kolonie mrówek pospolitych napadają, rabują ich jajka do własnych gniazd, a gdy się z nich nowe mrówki wyklują, cóż, skradzione mrówki robotnicami się stają w imperium większym i ani im się przyśni, że kto je kiedy skradł. Jeśli mnie pan zapytasz, to Jahwe, Pan nasz, mrówki owe jako pewien model stworzył, panie Ewing. – Spojrzenie pana Wagstaffa brzemiennie było przecuciem przyszłości. – Dla ujrzenia przez tych, co oczy mają.

Ludzie charakteru niestałego irytują mnie, a pan Wagstaff do nich się liczył. O wybaczenie prosiłem i udałem się do kolejnej przystani, czyli do szkolnej klasy. Dzieciątka z Nazaretu obiedwiech barw skóry Pisma Świętego się uczą, arytmetyki i A – B – C. Pani Derbyshire naucza chłopców, a pani Horrox dziewczynki. Popołudniami białe dzieci dodatkowe trzy godziny mają kurateli z *curriculum* właściwym ich progeniturze (choć Daniel Wagstaff, dla przykładu, wydaje się odpornym na fortele pedagogów), podczas gdy ich ciemniejszej skóry koledzy do rodziców dołączają na polach przed codziennymi nieszporami.

Na mą cześć krótki popis się odbył. Dziesięć dziewcząt, pięć białych, pięć czarnych, każda po jednym Świętym Przykazaniu recytowały. Poczem uraczono mię „Tam dom twój, gdzie jest kochanym”, przy akompaniamencie pani Horrox na pianinie, którego przeszłość większą chwałą była okryta niżli czas obecny. Dziewczęta zachęcono następnie do zadawania gościowi pytań, wszelako jedynie Białe panienki ręce podniosły.

– Sir, czy zna pan Jerzego Waszyngtona? – (Niestety nie). – W ile koni zaprzężony jest pański powóz? – (Teś trzyma konie cztery, lubo ja jazdę wierzchem preferuję).

Najmłodsza pytanie mi zadała:

– Czy mrówki boli czasem głowa? – (Gdyby dla chichotów przyjaciółek z klasy dziewczątko łzami rzewnymi się nie zalało, nadal stałbym tam i rozmyślał nad owym pytaniem).

Napomniałem uczniów, by żyli jak Biblia każe i posłuszni byli starszym, poczem się pożegnałem. Pani Horrox powiedziała mi, że tych, co odpływali, niegdyś girlandami plumerii obdarowywano, jednako starszyzna Misji girlandy uznała uwłaczającymi moralności.

– Jeśli dozwolim dziś na girlandy, jutro czas na tańce przyjdzie. Jeśli jutro będą tańce... – Dreszcz nią wstrząsnął.

Żal.



Do południa mężczyźni wszystkie towary załadowali i „Wieszczkę” wyciągali na holu z zatoki, pod wiatr, który wiał z nieprzychylnego kierunku. Wraz z Henrym do mesy

przeszliśmy dla uniknięcia bryzgów wodnych i przekleństw. Przyjaciel mój epopeję układa w byronicznych strofach, zatytułowaną „Historia prawdziwa Autuy, ostatniego z Moriori” i dziennika me pisanie przerywa zapytaniem, co się z czym rymuje:

– „Sromy trud”? „Szczęścia łut”? „Robin Hood”?

Przywołuję zbrodnie, jakie pan Melville misjonarzom Pacyfiku imputuje w swym opowiadaniu ostatnim o Taipi. Podobnie jak to bywa z kucharzami, doktorami, notariuszami, duchownymi, kapitanami i królami, czy mogą także ewangeliści jedni być dobrzy, drudzy źli? Może Indianie z Wysp Towarzystwa i Chathamów szczęśliwsi byłiby „nieodkryci”, wszelako mowa taka czcym jest do księżycy wołaniem. Czyż nie powinniśmy wysiłkom pana Horroksa i jego braci w wierze przyklaskiwać dla wspierania Indian w ich wspinaczkę po „Drabinie Cywilizacji”? Czyż takie wzniesienie się nie jest ich jedynym zbawieniem?

Nie znam odpowiedzi, ani też wiem, skąd płynęła niegdyś pewnośc mych lat młodych.

Podczas gdy noc spędzał na plebanii u Horroksów, jakiś rabuś do mej trumny się włamał, a kiedy nicpoń nie mógł klucza do mego kufra z chlebowego drzewa naleźć (noszę go na szyi), zamek siłą wyłamać próbował. Gdyby udało mu się skrzynię zbobrować, czyny i dokumenta pana Busby’ego karmą byłyby teraz dla morskich koników. Jakże chciałbym, aby nasz kapitan z tak uczciwej gliny jak kpt. Beale był ulepionym! Nie śmiem złożyć w ręce kpt. Molyneux mych wartościowych przedmiotów, a Henry ostrzegł mnie przed „wsadzaniem kija w mrowisko” poprzez podniesienie sprawy usiłowanego przestępstwa przed panem Boerhaavem, aby dochodzenie każdego złodzieja na pokładzie nie zachęciło do spróbowania szczęścia, gdy się tylko plecami odwróć. Jak miemam, ma słuszność.

Poniedziałek, 16grudnia ~

Dziś w południe słońce pionowo na niebie stało i wszystkich ów zwyczajowy opętał humbug jako „chrzest morski” znany, w którym „Szczury Lądowe” (ci z załogi, co przekraczają równik po raz pierwszy) wytrzymać przymuszeni są wszelkie znęcania i podtapiania, jakie Wilkom Morskim dyrygującym ceremoniami przyjdą do głów. Pełen rozsądku kpt. Beale nie marnował na to czasu podczas mej podróży ku Australii, jednako marynarze na „Wieszczce” w pełni skorzystać mieli z należnych im uciech. (Dotąd mniemałem, że wszelkie pojęcie „uciechy” jest dla Boerhaavego do anatemy podstawą, ażem zobaczył, jakie okrucieństwa kryły się w owych „dokazywaniach”). Finbar uprzedził nas, że dwa „Szczury Lądowe” to Rafael i Złamas. Ten drugi już na morzu dwa lata był, ale żeglował tylko w rejsach Sydney – Kapsztad.

Podczas psiej wachty marynarze płócienny dach zawiesili nad pokładem dziobowym i zgromadzili się wkoło kabestanu, gdzie „Król Neptun” (Pocock, w niedorzeczną szatę odziany, z peruką ze szmaty do pokładu czyszczenia) zasiadł w otoczeniu dworu. Szczurów Lądowych do kotbelek przywiązano, jak dwóch św. Sebastianów.

– Konował, jako też pan Kutawis! – zakrzyknął Pocock na widok Henry’ego i mnie. – Czyście zbawić nasze dziewicze siostrzyczki przybyli od mej zastrupiałej smoczej pały?

Pocock wulgarny taniec z marszpikiem tańczył, a marynarze klaskali, śmiejąc się rozpustnie. Henry ze śmiechem odparł, że wolałby, aby dziewice *dla niego* przeznaczone brody nie miały. Riposta Pococka w sprawie bród u dziewic nazbyt nieprzyzwoitą była dla jej odnotowania.

Jego Wodorostowa Wysokość tyłem się do swych ofiar obrócił.

– Złamasie z Kapsztadu, Łotrze z Miasta Skazańców, gotowicie wstąpić do Synów Neptuna zakonu?

Rafael, w którego chłopięcy duch na powrót przy takich wybrykach wstąpił, odrzekł skwapliwie:

– Tak, Wasza Wysokość!

Złamas jeno gburowato głową kiwnął.

Ryknął Neptun:

– O nieeeeeee! Dopóty nie, aż was, kutasy cholerne, ogolim z tych łusek! Nieście mi mydło do golenia!

Torgny z cebrzykiem smoły pośpieszył, którą z pomocą szczotki twarze więźniów wysmarował. Poczem objawił się Guernsey, za Królowę Amfitrytę odziany, i brzytwą smołę usunął. Obywatel Kapsztadu przekleństwa miotał, co spowodowało uciechę wielką i ładnych parę brzytwy „obsunąć”. Rafael dość rozsądku miał dla znoszenia udręki swej w milczeniu.

– Lepiej, lepiej – burczał Neptun, nim wrzasnął: – Obu im oczy zawiązać i młodego Łotra do mej sali sądowej wprowadzić!

Owa „sala sądowa” beczką była morskiej wody, w którą Rafaela głową w dół zanurzono, a pozostali do dwudziestu śpiewnie odliczali, poczem Neptun nakazał swym dworzanom „najnowszego mego królestwa mieszkańca wyłowić!”. Kiedy chłopcu zdjęto z oczu opaskę, oparł się o nadburcie, by dojść do siebie po męczarniach.

Złamas mniej potulnie się poddał, wrzeszcząc:

– Puszczaj mię, s – y!

Król Neptun aż oczy przewracał w udawanej zgrozie.

– Jeśli tej mordzie śmierdzącej nie trzeba, chłopcy, do *czterdziestu* siedzieć w słonej wodzie, to niech mię szlag trafi!

Po odliczeniu do czterdziestu Afrykanera wydobyto, ale wciąż ryczał:

– Co do jednego każdego s – na po kolei zabiję, klnę się, zabiję!

Ku ogólnej uciecze zanurzono go po raz wtóry na kolejnych czterdzieści odliczeń. Gdy Neptun obwieścił, że wyrok się skończył, Złamas już tylko krztusić się mógł i słabo czkać. Pan Boerhaave teraz owe dokazywania zakończył i najmłodszy z Synów Neptuna oczyścili twarze pakułami i mydłem.

Finbar rechotał jeszcze przy kolacji. Mnie okrucieństwo nigdy nie okrasiało twarzy uśmiechem.

Środa, 18 grudnia ~

Morze jak szkło, wiatru ledwie co czuć słaby powiew, term. się z 90° nie rusza. Załoga uprała hamaki i podciągnęła je dla schnięcia. Moje codzienne bóle głowy coraz wcześniej się zaczynają i Henry ponownie dawkę zwiększył robakobójczego remedium. Modłę się, by jego zapasy nie wyschły, nim rzucim kotwicę na Hawajach, boby ból nieuśmierzony czaszkę mi rozsadził. Wreszcie doktor mój ręce pełne ma pracy przy wielu wypadkach róży i gorączki żółciowej na „Wieszczce”.

Tego poobiedzia nerwową sjęstę zgiełk przerwał, więc na pokład wyszedłem i znalazłem tam młodego rekina, nad którym bestwiono się i go z wody przez burtę wciągano. Drgał w swych własnych, lśniących, rubinowych sokach dobry czas jeszcze, nim Guernsey oznajmił, że już zdechły jest na amen. Jego paszcza i oczy przywołały mi w umyśle obraz matki Tildy. Finbar jego truchło na pokładzie rozkroił i całkiem soczystego mięsa w swoim kambuzie zrujnować nie zdołał (pomnę jego drewniane dorsze). Co przesądniejsi z marynarzy uczta wzgardzili, rozumując, że rekiny znane są z ludzi jedzenia, tym gustem jeść mięso rekina byłoby kanibalizmem *per procura*. Pan Sykes spędził owocne popołudnie, papier ścierny robiąc ze skóry wielkiej ryby.

Piątek, 20 grudnia ~

Czy może to być, że karakany coraz tłustsze rosną, karmiąc się na mnie, gdy śpię? Dziś rano jeden obudził mię, idąc mi przez twarz i usiłując się z mej dziurki od nosa pożywiać. Prawdę piszę – miał sześć cali! Opętało mię nagłe pragnienie zabicia ohydlika wielkiego, ale w mej lilipuciej, mrocznej kabinie miał przewagę. Poskarżyłem się Finbarowi, który na to mię usilnie namawiał, bym zapłacił dolara za specjalnie szkolonego „szczura na karakany”. Poczem bez wątplenia będzie chciał „kota na szczury” mi sprzedać dla zapanowania nad „szczurem na karakany”, poczem trzeba mi będzie „psa na koty” i kto wie, gdzie się to wszystko zakończy?

Niedziela, 22 grudnia ~

Upał, żar, roztapiam się, swędzę i w będlach cały jestem. Dziś rankiem lament upadłych aniołów mię obudził. Nasłuchiwałem w mej trumnie, gdy chwile w minuty przechodziły, i zastanawiałem się, cóż to za nowe diabelstwo we mnie mój Robak wyczyniał, ażem dosłyszał z góry dobiegający okrzyk:

– Dmucha!

Odsłoniłem bulaj, wszelako godzina nazbyt mroczna była dla wyraźnego widzenia, więc mimo słabości, zaparłem się i po schodni się wspiąłem.

– Tam, sir, tam! – Rafael mię przytrzymał, w pasie jedną ręką chwytając, gdy wskazywał drugą.

Schwyciłem mocno poręcz, bo nogi mam teraz niepomiernie chwiejne. Chłopak nadal wskazywał ręką.

– Tam! Prawda, sir, że są cudne?

W nocnym świetle pianę dostrzegłem, ledwie trzydzieści stóp od dziobu przy sterburcie.

– Stado sześciu! – krzyknął Autua z góry.

Usłyszałem, jak walenie oddech biorą, a potem poczułem, jak na nas deszcz spada kropelk piany! Zgodziłem się z chłopcem, że to doprawdy podniosły widok. Jeden z nich uniósł się nad fale, opadł w dół i pod wodę się zanurzył. Sylwetki ich płetw ogonowych rysowały się na tle lekko poróżowiałego wschodu.

– Tym bardziej szkoda jest, mówię, że wielorybikiem nie płyniemy – zauważył Newfie.
– Tylko w tym jednym wielkim ze sto beczek olbrotu być musi!

Pocock warknął:

– O, nie! Pływałem niegdyś na wielorybniku, kapitan najpiekniejszym był z brutali, jakiego kto widział. Po owych trzech latach „Wieszczka” zda się wiosłową łódką na niedzielne ekskursje!

Na powrót w mej trumnie jestem, odpoczywam. Przeływamy przez wielką wylęgarnię humbaków. Okrzyk „Dmucha!” tak często się rozlega, że nikt już nie trudzi się oglądać. Usta mi pierzchną i pękają.

Monotonia ma barwę błękitu.

Wigilia Narodzenia Pańskiego ~

Najsilniejsza z wichur, wzburzone morze i mocne statku kołysania. Palec tak mam

spuchnięty, że Henry przymuszony był mi ślubną obrączkę rozciąć, aby nie zaczopowała krążenia i nie dała puchliny wodnej zaczątków. Strata owego symbolu związku mego z Tildą melankolią mię przepełnia ponad miarę. Henry wymyśla mi, że „głupi muflon”, i upiera się, że żona me zdrowie stawiałaby wyżej dwóch tygodni bez kółka z metalu. Obrączka jest na bezpiecznym przechowaniu u doktora, bo zna on hiszpańskiego złotnika w Honolulu, co ją za rozsądną cenę zreperuje.

Dzień Narodzenia Pańskiego ~

Po wczorajszej wichurze wielkie fale się ostały. O świcie wyglądały jak górskie łańcuchy o złotych szczytach, gdy promienie słońca z ukosa padały nisko pod chmurami barwy burgunda. Zebrać musiałem całą siłę, by dojść do mesy, gdzie pan Sykes i pan Green przyjęli byli inwytację od Henry'ego i ode mnie do spożycia naszego prywatnego bożonarodzeniowego posiłku. Finbar podał nam jadło mniej szkodliwe, niżli ma w zwyczaju – *lobscouse* (soloną wołowinę, kapustę, bulwy yamu i cebulę), byłem zatem w stanie do żołądka przyjąć z tego większość i nawet utrzymać. Ciasto śliwkowe śliwki żadnej nigdy nie ujrzało. Kpt. Molyneux słowo do pana Greena posłał, by podwojono racje grogu dla marynarzy, więc do poobiedniej wachty marynarze byli już spici. Saturnalia w pełnej krasie. Kwartę słabego piwa w niefortunnego wiano koczodana, który największą na całej spojonej maskaradzie siurpryzę sprawił, skacząc za burtę. Wróciłem do kabiny Henry'ego i wspólnie drugi rozdział Mateusza czytaliśmy.

Kolacja na głowie postawiła mój system trawienny i uczyniła koniecznym częste odwiedzanie kingstona^[34]. Przy mojej ostatniej wizycie na zewnątrz Rafael czekał. Przeprosiłem, że czekać był przymuszonym, ale chłopak odparł, że nie, że sam wykoncypował to spotkanie. Wyznał, że coś mocno go trapi i pytanie mi zadał:

– Bóg wpuszcza nas do nieba, jeśli człowiek żałuje, prawda?... nieważne, co kto czyni, Bóg nie zsyła człowieka do... wie pan... – tu uczeń wykrztusił – ...do piekła?

Przyznaję, umysł mój bardziej ku jelitom niż teologii się kierował, toteż rzuciłem jeno lekko, że trudno, by Rafael przez niewiele lat swego życia zdołał znaczną listę grzechów śmiertelnych wykroić. Lecz gdy zakołysała się latarnia sztormowa, ujrzałem, że twarz młodziana wykrzywia rozpacz. Żałując frywolnego braku powagi, zapewniłem, że *Wszchemogący zaprawdę jest nieskończonym, że „więcej będzie w niebie radości nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, niżli nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi, którzy nie potrzebują pokuty”*^[35]. Czy Rafael potrzebę miał zwierzenia mi się, zapytałem, już to jako przyjacielowi, już to jako podobnie osieroconemu, czy względnie obcej osobie? Powiedziałem, że zauważył już wcześniej, jak ostatnio przybitym się wydawał, i ubolewałem, jak zmienił się bardzo z owego rozradowanego chłopca, co na pokład wszedł w Sydney i tak pilno mu było szeroki świat zobaczyć. Jednak nim odpowiedź ułożył, atak rozluźnienia kiszek zmusił mię do powrotu do kingstona. Gdym z niego wyszedł, Rafaela już nie było. Nie będę tej sprawy drażył. Chłopak wie, gdzie mię szukać.

Później ~

Siedem dzwonów pierwszej wachty właśnie rozbrzmiało. Od Robaka mego głowa mię boli tak, jakby serce dzwonu waliło w mą czaszkę. (Czy mrówki *boli* czasem głowa? Z rozkoszą bym się w mrówkę zmienił, aby tylko uwolnić się od tych mąk). Jak Henry i reszta spać mogą przez tę wrzawę rozpustną i bluźniercze przyśpiewki – nie wiem, lecz im całym sercem zazdroszczę.

Wciągnąłem nosem nieco na Robaka remedium, lecz uniesienia już nie wywołuje. Pomaga ledwie czuć się w połowie normalnie. Potem się po pokładzie pokręciłem, ale Gwiazdę Dawida skrywały gęste chmury. Kilka trzeźwych okrzyków z góry (między nimi Autuy) i pan Green za sterem pozwoliło mi pewność mieć, że nie cała załoga była pijana jak bele. Puste flaszki toczyły się od prawej do lewej burty i na powrót z każdym przechyłem. Potknąłem się o Rafaela bez przytomności wokół kotwicznej windy zwiniętego, dłoń jeszcze gorsząca zaciskającego na pustym kubku. Jego naga, młoda pierś była rdzawymi bryzgami pokryta. Że chłopak pocieszenie znalazł w trunku, miał w swym przyjacielu w Chrystusie, sprawiło, iż własny duch mój bardziej przygasł.

– Myśli o poczuciu winy odpoczynek mącą, panie Ewing? – wyrzekł dybuk u mego ramienia, aż zem upuścił fajkę. Był to Boerhaave.

Zapewniłem Holendra, że lubo sumienie me całkiem nieturbowane, wątpię wszelako, by i jego takie było. Boerhaave z uśmiechem przez burtę splunął. Gdyby znienacka kły mu i pazury wyrosły, zdziwiony bym nie był. Przerzucił sobie Rafaela przez ramię, klepnął śpiącego ucznia po pośladkach i somnambuliczne brzemię do luku na rufie zaniósł dla usunięcia go z miejsca, gdzie mu się mogła stać krzywda, tak przynajmniej wierzę.

Drugi dzień Świąt Narodzenia Pańskiego ~

Wczorajszy zapis na więzienie wyrzutów sumienia skazuje mię przez resztę mych dni. Jakże przewrotnie go czytać, jakże ja byłem nonszalancki! Chory jestem, gdy słowa te piszę. Rafael się powiesił. Powiesił, za pomocą pętli przez niższy nok rei przerzuconej na grotmaszcie. Wszedł na swój szafot między końcem własnej wachty a pierwszym dzwonem. Los postanowił, zem to ja miał być między tymi, co go odkryją. Opierałem się o nadburcie, bo Robak przy wyganianiu go napady mdłości powoduje. W błękitnym półmroku usłyszałem krzyk i ujrzałem, jak pan Roderick w stronę nieba spogląda. Minę miał skonfundowaną; po niej niedowierzenie nastąpiło; na koniec smutek i żal. Jego usta do jakiegoś słowa się ułożyły, lecz żadne nie padło. Wskazał na to, czego nazwać nie mógł.

Kołysało się tam ciało, szary kształt, o zagle się ocierający. Hałas zewsząd wybuchł, lecz kto do kogo krzyczał, nie pomnę. Rafael wisiał nieruchomo, jak ołowiany pion, gdy „Wieszczka” kołysała się w przód i tył, i na boki. Ten chłopak miły, bez życia jak jagnię na haku w jatce! Autua wdrapał się na górę, lecz mógł jedynie delikatnie ciało chłopca opuścić. Słyszałem, jak Guernsey mamrocze:

– Nie powinniśmy byli w piątek wypływać, piątek jest Jonasz.

Umysł mój pytanie pali: „Czemu”? Nikt o tym nie mówi, jednak Henry, który równie jak ja był przerażonym, powiedział mi, że w sekrecie Złamas do zrozumienia mu dał, iż Boerhaave i jego gady plebejskie dopuszczali się na chłopcu występków sodomicznych wbrew naturze. Nie tylko w noc Narodzenia Pańskiego, lecz każdej nocy przez wiele tygodni.

Obowiązkiem mym jest prześledzić tę rzekę ciemną do źródła i wymierzyć łajdakom sprawiedliwość, wszelako, Panie, sam ledwie się zdołam! Henry mówi, że nie mogę się biczować za każdym razem, gdy tylko niewinność dzikiego bestialstwa pada ofiarą, lecz jakże mam to zostawić? Rafael miał lat tyle, co Jackson. Taką frustrację czuję, że znieść tego nie zdołam.

Piątek, 27grudnia ~

Podczas gdy Henry'ego zawołano do jakiegoś wypadku, zawlokłem się do kabiny kpt. Molyneux dla powiedzenia, co myślę. Nie był rad z wizyty, lecz nie wyszedłem, ażem całe oskarżenie postawił, a mianowicie, iż kamraci Boerhaavego udręczyli Rafaela conocnym okrucieństwem, aż chłopak, możliwości nie widząc żadnego oddechu czy ulgi, odebrał sobie życie. Na koniec kapitan zapytał:

– Oczywiście masz pan dowód zbrodni? List samobójcy? Podpisane zeznania?

– Każdy człowiek na pokładzie wie, że prawdę mówię – odparłem. Kapitan nie może być nieczuły na brutalność Boerhaavego! Zażądałem kwerendy w sprawie udziału pierwszego oficera w Rafaelowym samobójstwie.

– Możesz pan sobie żądać, czego pan chcesz, do woli, mości Kutazwisie! – wykrzyknął kpt. Molyneux. – To ja decyduję, kto na „Wieszczce” pływa, kto dyscyplinę utrzymuje, kto majtków ćwiczy, nie żaden gryziپیور zas – ny, nie jego pie – ne brednie i na Krew Pańską, żadna „kwerenda”! Wynoś się pan i niech cię szlag!

Takż zrobiłem i natychmiast wpadłem na Boerhaavego. Zapytałem go, czy myśli i *mnie* zamknąć w swej kabinie z gadami plebejskimi i mieć potem nadzieję mojego powieszenia się przed zaraniem. Kły swoje pokazał i głosem od jadu i nienawiści ociekającym takie oto ostrzeżenie mi rzucił:

– Trupem pan cuchniesz, Kutazwis, żaden człowiek mój pana nie tknie, chyba że mu zapłacą. Umrzesz pan na swoje „podgorączkowania”.

Notariusze Stanów Zjednoczonych, miałem jeszcze przytomność go ostrzec, nie znikają tak wygodnie, jak chłopcy okrętowi z kolonii więzi. Myślę, że możliwość uduszenia mię rozważał. Wszelako nazbyt jestem chory, by obawiać się holenderskiego sodomity.



Zwątpienia oblegają me sumienie, obarczone oskarżeniem o współudział w zbrodni. Czy to *ja* Rafaelowi dałem przyzwolenie, by samobójstwo popełnił? Gdybym tak przeczuł był jego nieszczęście, kiedy ostatnią razą ze mną rozmawiał, pojął zamysł jego i odrzekł: „Nie, Rafaelu, Pan nie może *planowanemu* samobójstwu darować, bo skrucha prawdziwą być nie może, gdy ma miejsce, *zanim* wydarzy się zbrodnia” – chłopak może by jeszcze dychał. Henry upiera się, że nie mógł wiedzieć, lecz raz tę jedyną słowem jego puste mi się zdają. Och, czy *ja* posłałem tego niewinnego biedaka do Pieła?

Sobota, 28 grudnia ~

Pokaz Laterna Magica w mej głowie ukazuje chłopca, jak linę bierze, wchodzi na maszt, pętlę wiąże, uspokaja się, szepcze coś do Stwórcy, w próżnię się rzuca. Gdy leciał tak przez czarną ciemność, czyli spokój czuł, czy przestach? Trzask karku.

Gdybym tylko wiedział! Możliwość miałem pomóc dziecku wydostać się ze statku, jego przeznaczenie odwrócić, jak Channingowie niegdyś odwrócili moje, lub pomóc mu wyrozumieć, że żaden stan tyranii nie trwa wiecznie.

Na „Wieszczce” podniesiony jest każdy cal żagla i szkuner „śmiga niby strzyga” (nie za moją przyczyną, lecz z powodu gnijącego ładunku) i dziennie przepływa szerokości ponad 3 stopnie. Straszliwie chory teraz i skazany na mą trumnę. Jak mniemam, Boerhaave sądzi, że się przed nim skrywam. W błędzie jest, bo chęć słusznej zemsty, z jaką na jego głowę spaść myślę, jest jednym z nielicznych płomyków, które do tej pory nie zagasły jeszcze w tym straszliwym odrętwieniu. Henry zaklina, bym dziennik pisał dla dania zajęcia mózgowi memu, wszelako pióro coraz bardziej mi się opiera i coraz bardziej w rękę ciąży. Za trzy dni będziem w Honolulu. Lojalny mój doktor pocziwie obiecuje, że będzie mi na ład towarzyszył, nie poskąpi wydatków dla zdobycia silnego środka na biegunkę i pozostanie przy mym łóżku, aż całkowicie wyzdrowieję, nawet jeżeli „Wieszczka” bez nas przymuszona będzie odpłynąć do Kalifornii. Bóg niech ma w opiece tego najlepszego z ludzi. Dziś więcej już pisać nie mogę.

Niedziela, 29 grudnia ~

Chory jestem bardzo.

Poniedziałek, 30 grudnia ~

Robak wraca. Jego worki z trucizną rozpęły się. Dręczy mię ból, odleżyny i straszliwe pragnienie. Do Oahu zostały jeszcze wciąż dwa lub trzy dni na północ. A od śmierci dzieli mię ledwie kilka godzin. Pić nie mogę i nie pamiętam już, kiedy ostatnio jadłem. Kazałem

Henry'emu obiecać, że dziennik ten dostarczy do Bedforda w Honolulu. Stamtąd dotrze do mej osieroconej rodziny. Henry przysięga, że sam go im dostarczę na nogach własnych, lecz nie mam już nadziei. Szlachetny Henry uczynił, co w jego mocy, lecz mój parazyt nazbyt jest złośliwy i przymuszony jestem duszę zawierzyć Stwórcy.

Jackson, gdy na mężczyznę wyrośniesz, nie pozwól, by twoja profesja oddaliła cię od najbliższych. W czasie tych miesięcy z dala od domu myślałem o Tobie i Twojej Matce z nieustanną czułością i jeśli by tak się stało [...] ^[36].

Niedziela, 12 stycznia ~

Pokusa, by zacząć od zdradzieckiego końca, jest silna, lecz pamiętnik ten wiernym chronologii wydarzeń pozostanie. W Nowy Rok bóle przewalały się w mej głowie takimi grzmotami, że przyjmowałem lekarstwo Goose'a co godzinę. Nie mogłem utrzymać się na nogach na rozkołysanym statku, zatem w koi w mej trumnie leżałem, wymiotując do worka, choć trzewia me już do cna były wypróżnione, i trzęsąc się w lodowatej, palącej gorączce. Mojej Choroby nie można już było dłużej przed załogą skrywać i trumnę wzięto w kwarantannę. Goose powiedział kpt. Molyneux, że mój parazyt był zakaźny, sam się w ten sposób stając wzorem odwagi bezinteresownej. (Współdziałali kpt. Molyneux i Boerhaavego w następnych wykroczeniach dowieść nie można ani też wykluczyć. Boerhaave źle mi życzył, lecz zmuszony jestem przyznać, że mało prawdopodobnym jest, aby brał udział w opisanej niżej zbrodni).

Przypominam sobie, że wynurzałem się z mierzwi gorączki. Goose był o cal ode mnie. Jego głos ściszył się do pełnego oddania szeptu:

– Kochany panie Ewing, pański Robak właśnie dogorywa, wypuszczając ostatnie trucizny krople! Musi pan wypić ten środek na przeczyszczenie dla wydalenia jego zwapniałych resztek. Zaśnie pan po nim, wszelako gdy się zbudzi, Robak, który tak pana udręczył, będzie już poza pana organizmem! Kres cierpienia już blisko! Niech pan usta otworzy raz ostatni, bez turbacji, druhu kochany... tak, gorzkie i cuchnie paskudnie, to od mirry, ale połknijmy żwawo, za Tildę i Jacksona...

Poczułem dotyk szkła na wargach i rękę Goose'a głowę mi podtrzymującą. Próbowałem mu podziękować. Elixir wodą z zęby smakował i migdałami. Goose głowę mi uniósł i gładził mię po jabłku Adama, ażem płyn przełknął. Czas upływał, nie wiem jak długi. Trzeszczenie mych kości i desek statku złało się w jedno.

Ktoś zapukał. Światło ciemności mej trumny złagodziło i doszedł mię z korytarza głos Goose'a.

– Tak, dużo lepiej, panie Green! Najgorsze za nami. Wyznam, pełen byłem obaw, ale na twarz pana Ewinga kolor powraca i puls mu się wzmacnia. Już za godzinę? Wyborne wieści. Nie, nie, teraz śpi. Bądź pan łaskaw kapitanowi powiedzieć, że będziem dziś wieczór schodzić na ląd – gdyby mógł słowo posłać dla przygotowania kwatery, wiem, że też pana Ewinga uprzejmości takiej nie zapomni.

Twarz Goose'a znowu w me pole widzenia wpłynęła.

– Adamie?

Insza pięść zastukała do drzwi. Goose przekleństwo wyrzekł i odpłynął. Nie mogłem już więcej głową ruszać, lecz słyszałem, jak się Autua domaga:

– Ja widzieć pan Ewing!

Goose kazał mu iść precz, lecz upartego Indianina nie tak łatwo było zbić z pantałyku.

– Nie! Pan Green mówi, on już lepiej! Pan Ewing życie mi ocalił. On mój obowiązek!

Na to Goose tak Autui powiedział: zem znajdował w Autui nosiciela mej choroby i łotra, knującego, jakby wykorzystać mą słabość dla obrabowania mię nawet z guzików u kamizelki. Błagałem Goose'a, tak twierdził, aby „Trzymał tego Negra prze – o ode mnie z dala!”, dodając, że żałuję, iż ongiś uratowałem mu jego łajdacki kark. To powiedziawszy, Goose drzwiami trzasnął i zaryglował drzwi do mej trumny.

Czemuż Goose tak łął? Czemu za żadną cenę nikogo do mnie nie dopuszczał? Odpowiedź uniosła rygiel w drzwiach matactwa i straszliwa prawda kopniakiem drzwi otwarła. A mianowicie, że doktor trucicielem był, a ja jego ofiarą. Od czasu poddania mię „Kuracji”, doktor zabijał mię stopniowo swym „lekarstwem”.

Robak mój? Fikcja, zaszczerpiona przez siłę sugestii doktora! Goose doktorem? Nie, objazdowym oszustem-mordercą!

Walczyłem, by się podnieść, jednak diabelska mikstura, którą mój inkub ostatnio mię napoił, tak zupełnie i bez reszty osłabiła me członki, zem nie mógł nawet lekko poruszyć bodaj jedną kończyną. Próbowalem o pomoc krzyżeć, ale płuca nie chciały powietrza nabierać. Słyszałem kroki Autuy, jak oddalał się, wchodząc po schodni, i modliłem się do Boga, by go na powrót sprowadził, lecz On miał przeciwne zamysły. Goose wdrapał się po linie na mą koję. Oczy me zobaczył. Widząc w nich przestach, zdjął demon maskę.

– Co pan mówisz, Ewing? Jakże mam rozumieć, kiedy pan się tak ślinisz i plujesz?

Wydałem słaby jęk.

– Niechże zgadnę, co mi pan powiedzieć próbujesz, „Och, Henry, byliśmy przyjaciółmi, Henry, *jakże* możesz mi to robić?”. [Udawał mój konania szept chrapliwy]. Prawda, że co do joty zgadłem? – Goose odciął klucz z mej szyi i mówił dalej, gdy moją skrzynię otwierał. – Medycy tworzą bractwo szczególne, Adamie. Dla nas ludzie nie są istotami świętymi, stworzonymi na obraz i podobieństwo Wszechmogącego, nie, ludzie to porcje mięsa; a jakże, zarzonego i twardego jak podeszwa, lecz gotowego na rożen i na ruszt. Naśladował głos mój diablo udatnie. „Ale czemuż ja, Henry? Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi?”. Cóż, Adamie, nawet przyjaciele składają się z mięsa. Banalnie to proste. Potrzebuję pieniędzy, a w twej skrzyni jest podobno

zgoła fortunka, więc cię też zabiłem. I gdzie tu tajemnica? „Ale Henry, to niegodziwe!”. Cóż, Adamie, świat *jest* niegodziwym. Maorys na Moriori żeruje, Biali na swych krewnych o ciemniejszej skórze, pchły na myszach, koty na szczurach, Chrześcijanie na niewiernych, pierwsi oficerowie na chłopcach okrętowych, Śmierć żeruje na Żywych. „Słabi to jadło, silnym na sadło”.

Goose zajął mi w oczy, czy jeszcze świadome, i w usta mię pocałował.

– Twoja kolej jedzonym być, Adamie drogi. Nie byłeś mniej łatwowierny niżli każdy z mych poprzednich patronów.

Wiek mojej skrzyni otworzył się. Goose przeliczył zawartość portfela, prychnął, znalazł szmaragd od von Weissa i pod lupą go zbadał. Nie wywarł na nim wrażenia. Nikczemnik rozwiązał pliki dokumentów do majątku Busbych się odnoszących i zalakowaną kopertę rozdarł w poszukiwaniu banknotów. Słyszałem, jak przelicza me skromne zasoby. Opukał skrzynię, tajnych skrytek szukając, lecz żadnej nie znalazł, bo i żadnej nie było. Na koniec odciął guziki od mojej kamizelki.

Goose zwrócił się do mnie przez me delirium, jakby do wadliwego narzędzia mówił.

– Szczerze mówiąc, rozczarowanym. Znałem już prostych robotników z większą sumką funtów na rachunku. Twe ukryte zapasy nawet kosztów arszeniku i opiatów nie pokryją. Gdyby pani Horrox nie była dodała sznura czarnych pereł na wsparcie mojej słusznej sprawy, cóż, Goose¹³⁷¹, biedna gąska, byłby ugotowany! Czas nam się rozstać. Z ciebie za godzinę trup będzie, a ja, hejże ho! Dla mnie czas w drogę!



Następne, co przytomnie pamiętam, to topienie się w morskiej wodzie tak świetlistej, że aż oczy bolały. Czyżby Boerhaave znalazł me ciało i za burtę cisnął dla zapewnienia milczenia mego, a nadto uniknięcia nużących procedur z amerykańskim konsulem? Umysł mój wszelako wciąż działał i nadal możliwość miał w pewnym stopniu o moim losie decydować. Przystać na utonięcie czy usiłować pływać? Utonięcie było rozwiązaniem daleko mniej kłopotliwym, zatem myśli ostatniej poszukałem i zdecydowałem się na Tildę, machając na pożegnanie, gdy „Belle-Hoxie” z Silvaplanu Wharf odpływała tyle miesięcy temu, a Jackson krzyczał: „Tatku! Niech mi tatko przywiezie łapę kangura!”.

Myśl o tym, że nigdy więcej ich nie ujrzę, tak mię przybiła, że postanowiłem pływać i znalazłem się nagle nie w morzu, ale na pokładzie zwinięty, targany wymiotami i trzęsiony gorączką, bólami, skurczami i uciskaniem. Autua trzymał mię (wmusił we mnie uprzednio cały kubek słonej wody dla trucizny „wypłukania”). Odbijało mi się raz za razem i wymiotowałem. Boerhaave przepchnął się przez tłum gapiących się dokerów i marynarzy, warcząc:

– Mówiłem ci już, czarnuchu, że ten Jankes obchodzić cię nie powinien! I skoro bezpośredni rozkaz to dla cię za mało...

Choć słońce niemal mię oślepiło, ujrzałem, jak pierwszy oficer brutalnie Autuę w żebra

kopie i do drugiego kopniaka się składa. Autua złapał jedną ręką gołęń zrzędlivego Holendra w mocnym uścisku, jednocześnie głowę mą delikatnie na deski pokładu opuszczając, i powstał całym swym wzrostem, podnosząc nogę napastnika ze sobą, tym samym pozbawiając Boerhaavego ekwilibrum. Holender na łeb padł, rycząc jak lew. Autua teraz drugą stopę chwycił i cisnął pierwszego oficera naszego przez nadburcie, jak worek rzepy.

Czy załoga nazbyt bała się, nazbyt zdumioną była, czyli też rozradowaną zbyt, by stawiać jakikolwiek bądź opór – tego nie dowiem się już nigdy, ale Autua zniósł mię w dół po trapie na nabrzeże, nieturbowany. Rozum znać mi dał, że Boerhaave w Niebie być nie może, ani też Autua w Piekło, musimy być zatem w Honolulu. Od portu główną arterią przeszliśmy, pełną zgiełku języków niezliczonych, kolorów skóry, religii mnogich i zapachów. Wzrok mój padł na Chińczyka, co pod rzeźbionym smokiem odpoczywał. Dwie kobiety, których barwiczki i tiurniury na najstarszy z zawodów świata wskazywały, spojrzały na mnie i zrobiły znak krzyża. Powiedzieć im próbowałem, że jeszcze nie martwy, ale już ich nie było. Serce Autuy biło u mego boku, odwagi mi dodając. Po trzykroć pytał obcych:

– Gdzie lekarza, przyjacielu?

Po trzykroć go lekceważono (jeden odrzekł: „Nie ma lekarstw dla śmierdzących czarnuchów!”), nim stary handlarz ryb burkliwie drogę do lazaretu wskazał. Na czas jakiś straciłem przytomność, ażem słowo „Klinika” usłyszał. Ledwie w to powietrze cuchnące, ciężkie od fetoru nieczystości wstąpiłem, zwymiotowałem na powrót, mimo że żołądek mój próżny był jak ciśnięta w kąt rękawiczka. Bzyczenie plujek wkoło się unosiło, a wariat wrzeszczał o Jezusie, co pływa po Morzu Sargassowym. Autua wymamrotał coś do siebie we własnej mowie.

– Cierpliwy, pan Ewing, tu śmierć cuchnie, pan do Sióstr biorę.

Jak siostry Autuy mogły zabłąkać się tak daleko od Chathamów, zagadką było, którą anim próbował rozwiązać, tylko zawierzył się jego opiece. On zaś tę kostnicę opuścił i niedługo już tawerny, domy mieszkalne i składy coraz rzadsze się stały, aż ustąpiły plantacjom cukru. Wiedziałem, że powinien Autuę zapytać o Goose’a lub go przed nim ostrzec, wszelako nie miałem mocy najmniejszej, by mówić. Sen, w którym nudności czułem, to morzył mię, to popuszczał uścisk. Wyłoniło się nagle wzgórze, a jego nazwa kołatała się gdzieś w osadach pamięci: Diamentowa Głowa. Prowadziła nań droga z kamieni, wykrotów i kurzu złożona, okolona z obu stron uparcie w ziemię wczepiającą się roślinnością. Autua raz tylko marsz przerwał dla nabrania w ręce chłodnej wody ze strumienia i do warg mi podania, aż dotarliśmy w końcu do Misji katolickiej, za ostatnimi polami. Zakonnica myślała przegonić nas miotłą i głośnie „sio”, jednak Autua nakazał jej, hiszpańskim równie łamanym, jak jego angielski, schronienia udzielić Białemu, którego miał w swej pieczy. Na koniec przybyła jedna z sióstr, co wyraźnie Autuę znała i przekonała insze, że ów dzikus misję swą wykonywał nie z nieszczerých intencji, lecz z miłosierdzia.



Na dzień trzeci jużem mógł siadać, jeść samodzielnie, dziękować mym aniołom stróżom i Autui, ostatniemu wolnemu Moriori na tym świecie, za me zbawienie. Autua obstaje, że gdybym nie był zapobiegł wyrzuceniu go za burtę jako pasażera, co nie opłacił biletu, on

by teraz mnie ocalić nie mógł, więc niejako to nie Autua zachował mię przy życiu, a ja sam siebie. W każdej razie siostra zakonna żadna nigdy nie opiekowała się mną tak czule, jak Autua dłońmi stwardniałymi od lin zajmował się każdą mą potrzebą przez te dziesięć ostatnich dni. Siostra Weronika (od Miotły) żartem mówi, że przyjaciel mój winien być namaszczoney i mianowany zarządcą szpitala.

Nie wspominając ani Henry'ego Goose'a (czy też truciciela, który takie imię przyjął), ani też kąpieli w morskiej wodzie, jaką Autua zafundował Boerhaavemu, kpt. Molyneux me ruchomości przez agenta Bedforda przesłał, bez wątpienia na względzie mając głównie szkody, jakie mój teść jego przyszłości jako handlowca działającego z bazy w San Francisco mógłby wyrządzić. Drugi wzgląd, jakim się Molyneux kierował, to pragnienie odcięcia swej reputacji od mordercy, znanego jako „Arszenikowy Goose”, powszechną już niesławą okrytego. Piekielnika ani jeszcze zatrzymali Konstabile Portowi, ani, jak mniemam, dzień taki kiedy nastąpi. W tym rojnym ulu bezprawia, jakim jest Honolulu, dokąd statki wszelkich bander i narodów co dzień przyplływają i skąd odpływają, człowiek może swe nazwisko i dzieje zmienić między daniem głównym a leguminą.

Wyczerpany jestem i muszę odpocząć. Dziś moje trzydzieste czwarte urodziny.

Pozostaję wdzięczny Bogu za wszelkie Jego łaski.

Poniedziałek, 13 stycznia ~

Przyjemnie jest popołudniem na dziedzińcu siedzieć pod drzewem kukui. Azurowe cienie, plumeria i koralowy hibiscus niedawne złe wspomnienia łagodzą. Siostrzyczki pracują przy swych zajęciach. Siostra Martynika warzyw dogląda, koty odgrywiają swe kocie tragedie i komedie. Zawieram znajomości wśród miejscowej ptasiej fauny. *Palila* łebek ma i ogonek z polerowanego złota, *äkohekohe* to przystojna hawajka cynobrowa z grzebieniem na głowie.

Za ścianą przytułek jest dla znajd, takóž przez siostry administrowany. Słyszę, jak dziatwa śpiewa na lekcjach (zupełnie jak moi koledzy z klasy i ja śpiewaliśmy kiedyś, nim filantropia państwa Channingów przyszłość mą zmieniła). Gdy czas nauki końca dobiega, dzieci bawią się wśród czarownego rozgwaru. Czasem, co śmielsze z nich na gniew się narazi zakonnice, wspinając się na mur i odbywając *grand tour* nad ogrodami hospicjum, po rozłożystych gałęziach kukui. Jeśli „droga wolna”, pionierzy ręką machają ku kolegom mniej śmiałym, by dołączyli do nich w tej ludzkiej ptaszarni i twarze białe, twarze brązowe, twarze kanaków, twarze Chińczyków, twarze Mulatów pojawiają się w drzewnym świetle nad ziemią. Niektóre w wieku są Rafaela i gdy go wspominam, żółć wyrzutów sumienia do gardła mi podchodzi, ale sieroty śmieją się do mnie, małpują jak małpy, język pokazują albo próbują orzeszki kukui zrzucić w usta chrapiących rekonwalescentów i nie dają mi w markotności pograżać się nazbyt długo. Żebrzą u mnie o centa czy dwa. Rzucam w górę monetę, którą zręczne palce bez ochyby w powietrzu chwytają.

Niedawne me przygody nieliczego filozofa ze mnie zrobiły, osobliwiej nocą, gdy nie słyszę niczego, prócz strumienia, co głązy obraca w kamyki przez nieśpieszną wieczność. Tako

płyną moje myśli. Naukowcy w historii rozróżniają ruchy i na podstawie tych ruchów zasady formułują, jakie rządzą cywilizacji powstaniem i upadkiem. Moje przekonania jednak w przeciwną stronę biegną. Mianowicie: historia żadnych reguł nie dopuszcza, a jedynie skutki.

Cóż doprowadza do skutków? Złe czyny i czyny szlachetne.

Cóż doprowadza do czynów? Przekonania.

Przekonania zarówno nagrodą są, jak i polem bitwy – w głębi umysłu, jak i w jego zwierciadle: w świecie. Jeśli *wierzym*, że ludzkość drabiną jest plemion, areną starć, wyzysku i bestialstwa, to ludzkość taka z całą pewnością jest wtenczas powołana do istnienia, a historia Horroksów, Boerhaave'ów i Goose'ów zwycięży. Wam i mnie, zamożnym, uprzywilejowanym, do których los się uśmiecha, nie będzie działa się tak źle w tym świecie, pod warunkiem że fortuna będzie nam nadal sprzyjać. I cóż z tego, że sumienie gryzie? Po cóż podważać dominację rasy naszej, okrętów naszych wojennych, naszej schedy i naszego dziedzictwa? Po cóż walczyć z „naturalnym” (och, pokręte słowo) rzeczy porządkiem?

Po cóż? Z takiego powodu: pewnego pięknego dnia świat z samych drapieźców złożony pożre sam siebie. Tak, diabeł pochwyti, co najbardziej z tyłu, i pociągnie tak, że to, co z przodka było samego, *będzie tym*, co najdalej w tyle. W pojedynczym człowieku samolubność szpeci duszę; dla rodzaju ludzkiego samolubność jest zagładą.

Czy to właśnie ową entropią jest, zapisaną w naszej naturze?

Jeśli *wierzym*, że ludzkość wznieść się może ponad kiel i pazur, jeśli *wierzym*, że różnorodne rasy i religie mogą w tym świecie współistnieć tak spokojnie, jak sieroty siedzą razem na drzewie kukui, jeśli *wierzym*, że przywódcy muszą być sprawiedliwi, że na przemoc nałożyć trzeba kaganiec, z władzy się rozliczyć, a bogactwa Ziemi i jej Oceanów sprawiedliwie rozdzielić, taki świat nadejdzie. Nic mię tu nie zwodzi. Najtrudniejszy to ze światów do urzeczywistnienia. Nieprosty postęp, jaki pokolenia wypracowały, zaprzepaścić może jedno pociągnięcie piórem krótkowzrocznego prezydenta czy cios szabłą próżnego generała.

Życie poświęcone kształtowaniu świata, jaki *chcę*, by Jackson odziedziczył, a nie, jaki *boję się*, że odziedziczy – taka Idea życia zdaje mi się godną. Po powrocie do San Francisco oddam się sprawie Abolicjonistów, bo życie zawdzięczam niewolnikowi, co sam wyzwolił się z niewolnictwa oraz ponieważ od czegoś zacząć muszę.

Już słyszę teścia ripostę: „Oho, wybornie, sentymenta *Wigów*, Adamie. Wszelako *mnie* o sprawiedliwości nie praw! Jedź do Tennessee na ośle i przekonaj wieśniaków, że są ledwie malowanymi na biało Negrami, a ich Murzyni to Biali malowani na czarno! Płyn do Starego Świata, mów im, że prawa niewolników ich Imperium tak niezbywalnymi są, jak prawa belgijskiej Królowej! Och, ochrypniesz, zbiedniejesz i posiwiejesz na wiecach! Będą na ciebie pluli, strzelali do ciebie, linczowali, urabiali medalami, wiejskie prostaczki będą tobą gardzić. Ukrzyżują cię! Adamie, marzycielu naiwny. Ten, kto do walki chce stanąć z wielogłowym smokiem ludzkiej natury, okupić musi zmagania okrutnym bólem, a jego rodzina razem z nim płacić jest przymuszoną! I dopiero, gdy wydasz śmiertelne tchnienie, pojmiesz, że żywot twój więcej nie znaczył niżli jedna kropla w nieskończonym oceanie!”.

Lecz czymże jest każdy ocean, jeśli nie morzem kropel?

Podziękowania Manuelowi Berri, Jocaście Brownlee, Amber Burlinson, Angeles Marin Calbello, Henry’emu Jeffreysowi, Late Junction, Rodneyowi Kingowi, Davidowi Koernerowi, Sabine Lacaze, Jenny Mitchell, Jan Montefiore, Scottowi Moyersowi, Davidowi De Neef, Hazel Orme, Johnowi Pearce’owi, Jonathanowi Peggowi, Steve’owi Powellowi, Elizabeth Pynter, Mike’owi Shawowi, Douglasowi Stewartowi, Marnix Verplancke, Carole Welch.

Materiały do rozdziałów Ewinga i Zachariasza zostały zebrane dzięki pomocy stypendium Society of Authors. Wyczerpująca praca Michaela Kinga na temat Moriori, *A Land Apart*, jest źródłem prawdziwych opowieści o historii Chathamów. Inspiracją do pewnych scen z listów Roberta Frobishera było dzieło Erica Fenby’ego *Delius: As I Knew Him*. Vyvyan Ayrs cytuje Nietzschego bardziej swobodnie, niżby się chciał do tego przyznać, a wiersz czytany przez Hester van Zandt Margo Roker to *Brahma* Emersona.

Przypisy

[1] Zob. Herman Melville, „Encantadas czyli wyspy zaczarowane”, w: *Weranda i inne prawdziwe opowieści*, przeł. K. Korwin-Mikke, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980. [2] Łk 8, 24, Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka. [3] Księga Psalmów, *ibid.* [4] Psalm 80, 7, *ibid.* [5] *Ojciec mój nigdy mi o dendroglifach nie wspomniał i dowiedziałem się o nich jedynie w sposób w Introdukcji opisany. Teraz, gdy rasa Moriori z wyspy Chatham krawędź przekroczyła już zagłady, mniemam, że zdrada ich już nie dotyka.* – J.E. [6] Gruzlica węzłów chłonnych (przyp. tłum.). [7] Aluzja do Poloniusza podsłuchującego za arrasem w *Hamlecie* Szekspira (przyp. tłum.). [8] Caius College – jeden z college’ów uniwersytetu w Cambridge (przyp. tłum.). [9] Walt Whitman, „Podróż do Indii”, tłum. S. Vincenz, „Żdźbła traw” w *Poezjach Wybranych*, PIW 1966. [10] BYPD – Buenas Yervas Police Department – Policja Buenas Yervas (przyp. tłum.). [11] Elektrownia jądrowa w Pensylwanii (przyp. tłum.). [12] Volkswageny garbusy to po angielsku Beetles, co wymawia się tak samo jak Beatles (przyp. tłum.). [13] E. Gibbon, *Zmierzch cesarstwa rzymskiego*, przeł. S. Kryński, PIW, Warszawa 1975. [14] Hull – miasto na północy Anglii, brzmi podobnie do „hell” – piekło (przyp. tłum.). [15] Gmach londyńskiego sądu (przyp. tłum.). [16] Obwodnica Londynu (przyp. tłum.). [17] Dr John Dee (1527–1608) – brytyjski matematyk, zajmujący się również filozofią naturalną, okultyzmem i alchemią, prześladowany z powodu oskarżeń o konszachty z diabłem. Peter Hawley Harvey Crippen (1862–1910) – Amerykanin mieszkający w Londynie, który zamordował swą żonę, a jej zwłoki ukrył pod podłogą własnego domu (przyp. tłum.). [18] Hellen Keller (1880–1968) – amerykańska pisarka, pedagog i działaczka społeczna. Od wczesnego dzieciństwa niesłysząca i niewidoma. Dorosłe życie poświęciła działalności na rzecz osób niepełnosprawnych (przyp. tłum.). [19] Inaczej autostrada A1 – najdłuższa droga w Wielkiej Brytanii, łącząca Londyn z Edynburgiem (przyp. tłum.). [20] „Małpia Łapka” – opowiadanie-horror W.W. Jacobsa, o talizmanie, który miał moc wskrzeszania umarłych. Gdy na prośbę rozpaczającej matki małpia łapka przywraca do życia syna, który zginął w wypadku w fabryce, wskrzeszony syn puka do drzwi koszmarnie

poharatany i zmiżdżony, jak w chwili śmierci (przyp. tłum.).[21] Pamiętne zdanie z filmu *Soylent Green* z 1973 r. – w finale ludzie odkrywają straszliwą prawdę o pochodzeniu żywności, którą są karmieni (przyp. tłum.).[22] Autobiograficzna powieść Briana Keenana, który w 1986 roku został porwany w Bejrucie przez islamskich fundamentalistów i przez prawie 5 lat pozostawał w ich niewoli (przyp. tłum.).[23] Według autora, nazwa ta oznacza „New East Asian Sphere Of Co-Prosperity”, czyli Nową Wschodnioazjatycką Sferę Współdobrobytu. Podobna nazwa, „Great East Asian Co-Prosperity Sphere” występuje także w powieści Mitchella *number9dream* (przyp. tłum.).[24] Upward – po angielsku „w górę” (przyp. tłum.).[25] Most u ujścia rzeki Humber do Morza Północnego, niedaleko Hull, jest jednym z najdłuższych mostów wiszących świata – ma ponad dwa kilometry długości (przyp. tłum.).[26] Christmas cracker – popularna w Anglii zabawka – rulonik papieru, w którym ukryte są: papierowa korona, którą później każdy zakłada na głowę podczas świątecznego obiadu, karteczka z motto lub żartem i często jakiś drobny prezent. Dzięki umieszczonej wewnątrz specjalnej tekturowej konstrukcji, delikatnie nasączonej substancją wybuchową, gdy pociągnie się za oba końce rulonika, słychać cichy wystrzał (przyp. tłum.).[27] Opowiadanie Washingtona Irvinga, którego tytułowy bohater zasypia w lesie i budzi się dopiero po dwudziestu latach, w zmienionej rzeczywistości (przyp. tłum.).[28] *Wild Mountain Thyme* – tradycyjna piosenka szkocka (przyp. tłum.).[29] Ralf Waldo Emerson, „Brahma”, przekład Stanisława Barańczaka.[30] Jeden z college’ów Uniwersytetu w Oxfordzie (przyp. tłum.).[31] Doomsday Book – księga spisu ludności zarządzanego przez Wilhelma Zdobywcę w 1085 r. w podbitej przez niego Anglii (przyp. tłum.).[32] Francis Kilvert (1840–1879) – angielski pastor epoki wiktoriańskiej, autor pamiętników, w których ze swadą opisywał uroki życia na angielskiej prowincji (przyp. tłum.).[33] Królewski Szyling (King’s Shilling) – moneta dawana rekrutom w dawnych czasach, jako dowód zaciągnięcia się do armii brytyjskiej i symbol gotowości na śmierć w walce (przyp. tłum.).[34] Pokładowa toaleta na żaglowcu (przyp. tłum.).[35] Łk 15, 7, Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka.[36] *Tu pismo ojca w spazmatyczność wpada i jest nieczytelne.* – J.E.[37] Goose – po polsku gęś (przyp. tłum.).

